



Arturo **PÉREZ-
REVERTE**



znak

Misja: Encyklopedia



Arturo **PÉREZ-
REVERTE**

Misja: *Encyklopedia*

Przełożyła
JOANNA KARASEK

WYDAWNICTWO ZNAK
Kraków 2017

Dla Gregoria Salvadora.
I dla Antonia Colino, Antonia Mingote i admirała Alvareza-
Arenasa, *in memoriam*

Przemijają wiary i prawdy, mija pokolenie ludzkie i jest zapomniane, – i nikogo to nic nie obchodzi, z wyjątkiem tych może nielicznych, którzy wierzą w prawdę, wyznają wiarę, – albo też miłują tych ludzi.

Joseph Conrad, *Murzyn z załogi Narcyza*,

tłum. J. Lemański

Powieść ta jest oparta na rzeczywistych wydarzeniach, występują w niej autentyczne postaci i scenerie, choć duża część tej historii i jej bohaterów jest fikcją, dziełem nieskrępowanej wyobraźni autora.

Pojedynek o świcie w Paryżu pod koniec XVIII wieku łatwo można sobie wyobrazić. Wystarczy przeczytać kilka książek i obejrzeć parę filmów. Jednak opisać go jest znacznie trudniej. Zaś rozpocząć od niego powieść – to spore ryzyko. Chodzi o to, by czytelnik zobaczył to, co autor widzi albo sobie wyobraża. Trzeba stać się oczami kogoś innego – czytelnika – i usunąć się dyskretnie w cień, tak by on sam zobaczył przedstawianą historię. A ta opowieść wymaga łąki pokrytej porannym szronem, rozwidnionej niewyraźnym, szarym światłem, jakie wyobrażamy sobie, przywołując obraz lekkiej, niezbyt gęstej mgły, przez którą przebija się pierwsza jasność świtu, w otaczających francuską stolicę lasach, wchłoniętych dziś przez nią albo już nie istniejących.

W scenie tej trzeba też umieścić postaci. W niepewnych promieniach słońca, które jeszcze nie całkiem wstało, dostrzeżemy lekko rozmyte we mgle sylwetki dwóch mężczyzn. Nieco dalej, pod drzewami, przy trzech stojących tam konnych zaprzęgach, zobaczymy kolejne sylwetki mężczyzn zawiniętych w peleryny, w naciśniętych na czoło trójgraniastych kapeluszach zasłaniających im twarze. Jest ich może pół tuzina, ale nie oni są najważniejsi w tej scenie, na razie więc nie będziemy się nimi zajmować. Naszą uwagę powinni przykuć dwaj mężczyźni stojący naprzeciwko siebie, nieruchomo, w mokrej trawie na łące. Ubrani są w obcisłe spodnie, prócz tego mają na sobie tylko koszule. Jeden jest chudy, raczej wysoki jak na te czasy, siwe włosy ma zebrane w krótki kucyk na karku. Drugi jest średniego wzrostu, ma włosy kręcone na skroniach i wypomadowane zgodnie z najwykwintniejszą modą jego czasów. Żaden z nich nie wydaje

się młody, choć jesteśmy zbyt daleko, by móc to właściwie ocenić. Podejdźmy więc bliżej i lepiej im się przypatrzmy.

Obaj trzymają w dłoniach szpady. Jeśli przyjrzymy się im dokładnie, odkryjemy, że jest to rodzaj broni przypominający floret. Sprawa zatem wygląda serio. Poważnie. Mężczyźni stoją w odległości trzech kroków od siebie, jeszcze bez ruchu, uważnie przyglądają się sobie nawzajem. Są jakby zamyśleni. Być może koncentrują się na tym, co ma się zdarzyć. Ramiona opadają im wzdłuż tułowia i czubki stali dotykają oszronionej trawy. Ten niższy, który z bliska wydaje się też młodszy, wygląda wyniośle, okazuje nieco teatralnej pogardy. Można by powiedzieć, że choć przygląda się swojemu adwersarzowi, zależy mu, by dobrze wyglądać w oczach tych, którzy patrzą na nich ze skraju polany. Drugi mężczyzna, wyższy i starszy, ma niebieskie oczy, wodniste i melancholijne, które wydają się przesiąknięte panującą wokół wilgocią. Możemy odnieść wrażenie, że patrzy na mężczyznę, który stoi naprzeciw niego, jeśli jednak dobrze się przyjrzymy, dostrzeżemy, że jest inaczej. Jego spojrzenie jest zamyślane, jakby lekko roztargnione. Nieobecne. Być może, gdyby w tej chwili stojący naprzeciwko niego mężczyzna zmienił pozycję, jego wzrok nadal tkwiłby w tym samym punkcie, a on sam pozostałby obojętny na wszystko, skupiony na odległych obrazach, które tylko on widzi.

Od grupy osób zebranych pod drzewami dobiega głos i mężczyźni stojący na polanie powoli podnoszą szpady. Krótко się pozdrawiają, jeden unosi rękę na wysokość brody, a następnie stają w pozycji. Ten niższy opiera wolną dłoń na biodrze, przybierając bardzo elegancką pozę szermierza. Drugi, wyższy, o wodnistych oczach, z siwym kucykiem, wysuwa broń i unosi wolną rękę w ten sposób, że ramię i przedramię tworzą niemal kąt prosty, a luźne palce lekko opadają do przodu. Stał, kiedy

styka się po raz pierwszy, dźwięczy metalicznie, jej wyraźny odgłos srebrzyście rozbrzmiewa w chłodnym powietrzu świtu.

A teraz wróćmy do pisania. Opowiedzmy tę historię. Dowiedzmy się, jak te postaci się tu znalazły.

1. MEŹCZYŻNA WYSOKI I MEŹCZYŻNA GRUBY

Dobrze jest posłuchać, jak rozmawiają o matematyce, fizyce nowoczesnej, historii naturalnej, ludzkich prawach, zabytkach i literaturze, czasem z taką powściągliwością, jakby chodziło o fałszywą monetę. Żyją w mroku i umierają tak, jak żyli.

J. Cadalso, *Listy marokańskie*

Znalazłem je w głębi biblioteki, choć wcale ich nie szukałem: dwadzieścia osiem dużych tomów oprawnych w skórę koloru kasztanowego, zniszczoną przez czas, sfatygowaną przez dwa i pół wieku używania. Nie wiedziałem, że tam są – myszkowałem pośród regałów, szukając czegoś innego, i naraz zaskoczył mnie napis na grzbiecie: *Encyclopédie, ou Dictionnaire raisonné*. To było pierwsze wydanie. To, które zaczęło się ukazywać drukiem w 1751 roku i którego ostatni tom wyszedł w roku 1772. Oczywiście znałem owo dzieło. Przynajmniej jako tako. Nawet niewiele brakowało, żebym je kupił od mojego przyjaciela księgarza i antykwariusza Luisa Bardona pięć lat wcześniej, kiedy mi je zaproponował, gdyby umówiony klient się wycofał. Nie miałem szczęścia – a może raczej fortuna czuwała, bo cena była bardzo wysoka – klient dotrzymał umowy. Był nim Pedro J. Ramírez, wówczas redaktor naczelny dziennika „El Mundo”. Pewnego wieczoru, kiedy byłem u niego na kolacji, zobaczyłem, jak dumnie książki te prezentują się wystawione w jego bibliotece. Ich właściciel wiedział o moim układzie z Bardorem i żartowaliśmy z tego. „Obyś następnym razem miał więcej szczęścia”,

powiedział mi. Ale następnego razu już nie było. To bardzo rzadka pozycja na rynku starych książek. Bardzo trudno dostać całe, kompletne wydanie.

Zatem tego poranka w bibliotece Hiszpańskiej Akademii Królewskiej – zajmuję tam od dwunastu lat fotel T – stałem naprzeciwko dzieła, które stanowiło kompendium największej intelektualnej przygody osiemnastego wieku: triumfu rozumu i postępu nad ciemnymi mocami wcześniejszego świata. Systematyczny zbiór siedemdziesięciu dwóch tysięcy haseł, szesnastu i pół tysiąca stron i siedemnastu milionów słów, potępiony przez Kościół katolicki, zawierający najbardziej rewolucyjne myśli tamtych czasów, nad którego autorami i wydawcami zawisła groźba więzienia i śmierci. Zastanawiałem się, jak to dzieło, które przez tak długi czas znajdowało się na indeksie książek zakazanych, dotarło w to miejsce. Kiedy i w jaki sposób? Promienie słońca wpadające przez okna biblioteki malowały wielkie świetliste prostokąty na ziemi, tworząc atmosferę jak na obrazach Velazqueza, a przede mną lśniły złotawe grzbiety dwudziestu ośmiu tomów stojących na półkach. Wyciągnąłem rękę, wyjąłem jeden z nich i otworzyłem na stronie tytułowej:

Encyclopédie,

ou

Dictionnaire raisonné des sciences, des arts et des métiers,

par une société de gens des lettres.

Tome premier

MDCCLI

Avec approbation et privilège du Roy

Dwie ostatnie linijki sprawiły, że krzywo się uśmiechnąłem. Czterdzieści dwa lata po owym *MDCCLI*, w roku 1793, wnuk owego *Roy*, który wyraził aprobatę i wydał przywilej zezwalający na druk tego właśnie

pierwszego tomu, został publicznie zgilotynowany na paryskim placu wskutek idei, jakie rozpały Francję i sporą część świata, a rozpowszechnione zostały właśnie przez tę encyklopedię. Życie płata figle, stwierdziłem. Ma specyficzne poczucie humoru.

Przewróciłem kilka kart na chybił trafił. Papier, nieskazitelnie biały pomimo swojego wieku, szeleścił tak, jakby świeżo go zadrukowano. Dobry, szlachetny papier bezdrzewny, pomyślałem, odporny na czas i ludzką głupotę, jakże różny od kwaśnej celulozy współczesnego papieru, którego kartki po kilku latach żółkną, stają się łamliwe i niszczeją. Przytknąłem do nich nos, z przyjemnością wdychając powietrze. Nawet zapach był świeży. Zamknąłem księgę, odstawiłem ją na półkę i wyszedłem z biblioteki. Zająłem się innymi sprawami, jednak wspomnienie tych dwudziestu ośmiu tomów, stojących dyskretnie w kącie starego budynku przy ulicy Filipa IV w Madrycie pośród tysięcy innych książek, nie opuszczało mnie. Później napomknąłem o tym Victorowi Garcii de la Concha, honorowemu dyrektorowi, którego spotkałem przy wieszakach w holu. Podszedł do mnie w zupełnie innej sprawie – chciał poprosić o tekst na temat złodziejskiego żargonu używanego w utworach Queveda, potrzebował go do jednego z dzieł, jakie wtedy tworzył – ja jednak rozmowę sprowadziłem na sprawę, która w tamtej chwili mnie interesowała. García de la Concha właśnie skończył pisanie historii Hiszpańskiej Akademii Królewskiej i powinien mieć jeszcze w pamięci te rzeczy.

– Od kiedy *Wielka Encyklopedia Francuska* jest w Akademii?

Wydawał się zaskoczony pytaniem. Ujął mnie pod ramię z tą nadzwyczajną delikatnością, dzięki której podczas trwania swojej kadencji zapobiegł próbom schizmy i utworzenia siostrzanych akademii w Ameryce Łacińskiej – odwiedzenie Meksykanów od próby stworzenia własnego

słownika było prawdziwie koronkową robotą – jak i przekonał pewną fundację bankową do sfinansowania siedmiu tomów *Dzieł wszystkich Cervantesa* w związku z czterechsetleciem publikacji *Don Kichota*. Może właśnie dlatego wybieraliśmy go na to stanowisko tak wiele razy, aż wiek przestał mu pozwalać na jego zajmowanie.

– Nie orientuję się zbyt dobrze – powiedział, kiedy szliśmy korytarzem do jego biura. – Wiem, że znalazła się tu pod koniec osiemnastego wieku.

– Kto mógłby mi powiedzieć o tym coś więcej?

– A dlaczego cię to interesuje, jeśli nie uznasz tego pytania za niedyskrecję?

– Sam jeszcze nie wiem.

– Nowa powieść?

– Zbyt wcześnie, by o tym mówić.

Utkwił w moich źrenicach lekko podejrzliwe spojrzenie swoich niebieskich oczu. Czasem, żeby zaniepokoić moich kolegów akademików, opowiadam o powieści, której w rzeczywistości wcale nie zamierzam napisać, jednak grożę im, że wszyscy się w niej znajdą. Nosi tytuł *Oczyszcza, zabija i przynosi chwałę*¹: ma to być historia zbrodni popełnionych w obecności ducha Cervantesa, który błąka się po naszym budynku i widzą go tylko portierzy. Pomysł polega na tym, że akademicy giną po kolei, począwszy od profesora Francisca Rico, naszego najznamienitszego znawcy dzieł Cervantesa. On miałby zginąć pierwszy, powieszony na sznurze od zasłon w Sali Poczestunków.

– Nie mówisz o swojej dyskusyjnej powieści kryminalnej, prawda? O tej, w której...

– Nie, możesz być spokojny.

García de la Concha, zawsze bardzo dobrze wychowany, powstrzymał się od westchnienia ulgi. Jednak najwyraźniej się uspokoił.

– Podobała mi się twoja ostatnia. *Tancerz do wycięcia*... To coś, no nie wiem...

Cały nasz dyrektor honorowy. Zawsze taki miły. Nie dokończył zdania, dając mi wspaniałomyślnie okazję, żebym mógł wzruszyć ramionami z właściwą skromnością.

– Do wynajęcia.

– Słucham?

– Nosi tytuł *Tancerz do wynajęcia*.

– No tak, pewnie. O niej mówię... Ubiegłego lata pojawiło się w „¡Hola!” zdjęcie samego premiera na letniku w Zaharze de los Atunes, w hamaku, z twoją książką w ręku.

– Raczej jego żony – zaprotestowałem. – Przecież on w życiu nie przeczytał żadnej książki.

– O mój Boże... – García de la Concha uśmiechnął się wymijająco, oburzony tylko na tyle, ile wymagały tego dobre maniery. – Mój Boże.

– Może widziałeś go kiedyś na jakimkolwiek wydarzeniu kulturalnym? Na premierze teatralnej? W operze? W kinie?

– O mój Boże.

Ostatnie powtórzenie padło już w jego biurze, podczas gdy rozsiadaliśmy się w fotelach. Słońce nadal wpadało przez okna i przyszło mi do głowy, że to jest właśnie jeden z tych dni, kiedy opowieść chwyta człowieka i już nie puszcza. Być może, pomyślałem, od tej rozmowy zależą następne dwa lata mojego życia. W pewnym wieku zaczyna być więcej historii do opisania niż czasu, żeby się nimi zająć. Wybór jednej powoduje śmierć innych. Dlatego trzeba wybierać rozważnie. Mylić się tylko tyle, ile można.

– Nie wiesz nic więcej? – zapytałem.

Wzruszył ramionami, bawiąc się nożem do papieru z kości słoniowej, leżącym zazwyczaj na jego biurku, z wygrawerowanymi herbem i dewizą, jakie widnieją na medalach, które nosimy podczas uroczystych ceremonii. Od chwili powstania w 1713 roku Hiszpańska Akademia Królewska jest miejscem pielęgnowania tradycji, co obejmuje także przychodzenie w krawacie i zwracanie się do siebie w oficjalnych sytuacjach *per pan*. Absurdalny zwyczaj, żeby nie było wśród nas kobiet, przełamano już dawno. Coraz więcej pań pojawia się na posiedzeniach plenarnych w każdy czwartek. Świat się zmienił, a nasza instytucja razem z nim. Teraz jest to pierwszorzędne przedsiębiorstwo lingwistyczne, gdzie my, akademicy, jesteśmy jedynie radą nadzorczą. Dawny wizerunek klubu dla starszych panów, zakurzonych dziadków erudytów, dziś stał się tylko przestarzałym stereotypem.

– Wydaje mi się, że don Gregorio Salvador, nasz dziekan, kiedyś opowiadał mi o tym – powiedział García de la Concha po chwili namysłu. – Była jakaś podróż do Francji czy coś... Żeby tutaj sprowadzić te książki.

– Dziwna sprawa. – Nie zgadzały mi się daty. – Jeśli stało się to pod koniec osiemnastego wieku, jak mówiłeś wcześniej, *Encyklopedia* była w Hiszpanii zakazana. I jeszcze długo to miało trwać.

García de la Concha pochylił się, oparł łokcie o blat, splótł palce i popatrzył na mnie sponad nich. Jak zwykle w jego oczach lśniła pełna entuzjazmu zachęta do działania, o ile tylko jemu nie komplikowano życia.

– Może bibliotekarz Sánchez Ron będzie mógł ci pomóc – odpowiedział. – On zarządza archiwami, w których znajdują się sprawozdania ze wszystkich posiedzeń od początku istnienia Akademii. Jeśli jakaś podróż po książki się odbyła, tam musi być coś na ten temat.

– Jeśli odbyła się w tajemnicy, bardzo wątpię.

Moje przypuszczenie wywołało jego uśmiech.

– Możesz się mylić – zaprotestował. – Akademia zawsze zachowywała prawdziwą niezależność od władz, choć bywało, że działała w trudnych warunkach. Pamiętaj o czasach Ferdynanda VII i o zakusach dyktatora Prima de Rivery, żeby ją kontrolować... Albo o tym, że kiedy po wojnie domowej Franco nakazał zapełnić miejsca republikańskich akademików przebywających na emigracji, Akademia sprzeciwiła się, a ich fotele pozostawały nie zajęte do chwili, kiedy ich właściciele emigranci umarli albo wrócili do Hiszpanii.

Zastanowiłem się nad skutkami tych decyzji w owych czasach. Pomyślałem o możliwych i skomplikowanych okolicznościach. To jest, podpowiadał mi mój instynkt, świetna historia.

– To byłaby świetna historia, prawda? – stwierdziłem. – Gdyby te książki dotarły tutaj potajemnie.

– Sam nie wiem, nigdy się tym nie zajmowałem. Jeśli to cię tak bardzo interesuje, spróbuj szczęścia i idź pogadać z bibliotekarzem... Możesz też zwrócić się do don Gregoria Salvadora.

Tak zrobiłem. Moja ciekawość już została rozbudzona. Zacząłem od Daría Villanuevy, dyrektora, który jako prawdziwy Galisyjczyk zadał mi trzydzieści pytań, a sam nie odpowiedział na żadne z moich. On też interesuje się kryminałami i kiedy powiedziałem mu, że w mojej powieści ginie profesor Rico, poprosił, żeby zabójcą mógł zostać on sam. Było mu wszystko jedno, czy ofiara zawiśnie na sznurze od zasłon, czy na strunie do gitary.

– Niczego ci nie obiecuję – odparłem. – Jest już kolejka po głowę Paco, każdy chce go zamordować.

Spojrzał na mnie wymownie, opierając dłoń na moim ramieniu.

– Zrób, co w twojej mocy, proszę. Marzę o tym. Obiecuję, że w zamian przywrócę akcenty w zaimkach wskazujących.

Następnie poszedłem do José Manuela Sancheza Rona, człowieka szczupłego i wysokiego, o siwych włosach i inteligentnym spojrzeniu, którym przygląda się światu z chłodną przenikliwością. Zostaliśmy wybrani do Akademii niemal w tym samym czasie i blisko się zaprzyjaźniliśmy. On pracuje nad tematami naukowymi – jest profesorem w dziedzinie historii nauki – i w tamtych czasach zajmował się jeszcze naszą biblioteką. Jego obowiązki obejmowały więc odpowiedzialność za takie skarby, jak pierwsze wydanie *Don Kichota*, cenne rękopisy Lopego de Vegi i Queveda i tym podobne rzeczy, które leżą na dole, w podziemnym sejfie.

– *Encyklopedia* dotarła tutaj pod koniec osiemnastego wieku – potwierdził. – To pewne. I owszem, była zakazana zarówno we Francji, jak i w Hiszpanii. Tam tylko teoretycznie, tutaj zaś całkowicie.

– Chciałbym się dowiedzieć, kto ją tu przywiózł. Jak zdołał przedostać się przez ówczesne sita? Jak udało się ją dostarczyć do naszej biblioteki?

Pomyślał chwilę, kołysząc się w fotelu, częściowo schowany za stosami książek, które zakrywały jego biurko.

– Zakładam, że podobnie jak wszystkie decyzje Akademii, i tę podjęto podczas posiedzenia plenarnego – odezwał się w końcu. – Nie sądzę, żeby o tak ważnej sprawie zdecydowano bez zgody wszystkich akademików... Czyli musi być relacja z posiedzenia, na którym o tym postanowiono.

Zerwałem się jak pies myśliwski, który czuje w powietrzu właściwy trop.

– Możemy poszukać w archiwach?

– Tyle że jeszcze nie wszystkie dokumenty z posiedzeń zostały zdigitalizowane. Są tylko papierowe oryginały, w takiej formie, jak je spisano.

– Jeśli odnajdziemy te akta, będziemy mogli stwierdzić, kiedy to było. I w jakich okolicznościach.

– Dlaczego tak cię to interesuje? Następna powieść? Tym razem historyczna?

– Na razie to tylko ciekawość.

– Zajmę się tym. Porozmawiam z szefową archiwum i powiem ci, jak jest... A swoją drogą, w sprawie Paco Rico... Pamiętasz, że to ja mam być mordercą?

Pożegnaliśmy się i wróciłem do biblioteki. Do panującego tu zapachu starego papieru i skóry. Prostokąty słońca wpadające przez okna przemieściły się i zwęziły tak, że stały się niemal niewidoczne, a *Encyklopedia* w dwudziestu ośmiu tomach leżała teraz pogrążona w mroku na swojej półce. Stare złocenia na grzbiecie już nie błyszcząły, kiedy przesunąłem po nich palcem, głaszcząc starą, zniszczoną skórę. Wtedy nagle poczułem, że znam historię, którą chcę opowiedzieć. Stało się to całkiem naturalnie, tak jak czasem bywa. Zobaczyłem ją wyraźnie, ułożoną w mojej głowie, z wprowadzeniem, rozwinięciem intrygi, punktem kulminacyjnym i rozwiązaniem – ciąg scen z pustymi polami do wypełnienia. Pojawiła się nowa powieść, a jej fabuła czekała na mnie w zakamarkach tej biblioteki. Tego samego wieczoru po powrocie do domu zacząłem obmyślać historię. Pisać ją.

Jest ich dwudziestu czterech, ale tego czwartku udział w posiedzeniu bierze tylko czternastu...

Jest ich dwudziestu czterech, ale tego czwartku udział w posiedzeniu bierze tylko czternastu. Docierają kolejno do starego budynku, pojedynczo albo parami, niektórzy powozami, ale większość pieszo, w korytarzu tworzą grupki, wieszając płaszcze, peleryny i kapelusze przed wejściem do sali plenarnej i zajęciem miejsc wokół wielkiego prostokątnego stołu pokrytego gienzowym obiciem z plamami atramentu i wosku ze świec.

Laski opierają się o krzesła, a chustki do nosa pojawiają się i znikają w rękawach żakietów. Krąży podawane z rąk do rąk – dzięki trosce dyrektora – pudełko z tabaką, ozdobione na wieczku herbem markiza. „A psik”. „Na zdrowie”. „Dziękuję”. I kolejne kichnięcia i wyciągane chustki. Kulturalny rozgwar, wypełniony kichnięciami, kaszlem i cichymi rozmowami o bólach stawów, przeziębieniach, zgadze i innych przypadłościach, zajmuje pierwsze minuty rozmów, jeszcze kiedy stoją, przed odczytaniem modlitwy *Veni Sancte Spiritus*, po czym wszyscy zasiadają na krzesłach, których obicie na oparciach wyraźnie nadgryzł już ząb czasu i nadwyrężyli użytkownicy. Najmłodszy ze zgromadzonych tu mężczyzn liczy ponad pół wieku, wszyscy mają na sobie sukienne żakiety w ciemnych barwach, widać kilka sutann, parę peruk – wypomadowanych albo nie – twarze są ogolone, a na nich zmarszczki i blizny znaczą wiek każdego z akademików. Wszystko zdaje się pasować do skromnego wystroju sali oświetlanej świecami i oliwnymi lampami. Portrety zmarłego króla Filipa V oraz markiza de Villeny, twórcy Akademii, znajdują się na honorowym miejscu, między zasłonami ze zniszczonego aksamitu, starymi odbarwionymi kobiercami, zmatowiałymi lakierowanymi meblami oraz półkami zastawionymi książkami i teczkami pełnymi dokumentów. Od jakiegoś czasu pomimo cotygodniowych dokładnych porządków wszystko jest pokryte cienką warstwą szarego pyłu pochodzącego z budowy – Skarbiec, w którym dzięki wspaniałomyślności króla Karola III zbierają się akademicy, stanowi starą przybudówkę Pałacu Królewskiego, obecnie przebudowywanego. W osiemnastym wieku, którego ostatnia, trzecia część właśnie dobiegła połowy, nawet język kastylijski i jego mądrzy znawcy cierpią w Hiszpanii niedostatek.

– Mamy jakieś książki? – pyta Vega de Sella, dyrektor Akademii.

Don Jerónimo de la Campa, krytyk teatralny, autor sążnistej *Historii hiszpańskiego teatru* w dwudziestu dwóch tomach, podnosi się z trudem, podchodzi do fotela dyrektora i podaje mu księgę dwudziestą, dopiero co wydaną. Z uśmiechem wyrażającym największą uprzejmość dyrektor odbiera książkę i przekazuje ją w ręce bibliotekarza, don Hermogenesa Moliny, wybitnego latynisty i znakomitego tłumacza Wergiliusza i Tacyta.

– Akademia dziękuje don Jeronimowi za dar jego dzieła, które teraz będzie dostępne w bibliotece – mówi Vega de Sella.

Francisco de Paula Vega de Sella, markiz Oxinaga, jest wielkim koniuszym na dworze Jego Królewskiej Mości. To elegancki mężczyzna ubrany zgodnie z najnowszą modą, jego niebieski żakiet i wiśniowy kaftan z dwiema dewizkami wyróżniają się barwnością w całej sali. Właściciel dyskretnej fortuny potrafi poruszać się na dworze, a jego talenty dyplomatyczne stały się przysłowiowe. Mówi się o nim, że gdyby przeznaczono go do stanu duchownego – jak jego brata, w tym czasie biskupa Solsony – byłby już kardynałem w Rzymie, z dużym prawdopodobieństwem obrania go na papieża. I choć jako poeta jest zaledwie znośny, jednak to nie jego młodzieńcze *Listy do Clorindy* przysporzyły mu sławy, ale publikacja przed dziesięciu laty książeczki zatytułowanej *Rozmowy o różnorodności, czyli o równości ludzi*, która zyskała rozgłos wśród zwolenników nowoczesnych idei i dezaprobatę cenzorów inkwizycji. Nie wspominając nawet o trwającej pewien czas korespondencji z Rousseau, co dowodzi oświeceniowej famy prac Akademii, a w związku z tym budzi nieufność zagorzałych papistów.

– Sprawy bieżące – ogłasza.

Na to wezwanie don Clemente Palafox, sekretarz, informuje obecnych o stanie prac w Akademii, o wyznaczeniu zadań i obowiązków przy kolejnej edycji słownika, o studiach nad ortografią i wysokości przychodów

uzyskanych dotychczas z wielkiego wydania *Don Kichota* w czterech tomach, które niedawno zeszło z prasy drukarza Ibarry.

– A teraz – kończy sekretarz, patrząc na wszystkich sponad szkielec binokli – przeprowadzimy głosowanie dotyczące podróży do Paryża i zakupu *Encyclopédie*.

Wyraz ten wymawia po francusku z dobrym akcentem – Palafox jest uznanym hellenistą, autorem przekładu i opracowania *Poetyki* Arystotelesa – i żeby upewnić się, czy nie ma żadnego komentarza do jego słów, rozgląda się wokół, trzymając w prawej ręce pióro zawieszane kilka cali nad kartą papieru, na której spisuje sprawozdanie.

– Czy mają panowie akademicy dodatkowe wnioski poza kwestiami przedyskutowanymi na poprzedniej sesji? – pyta dyrektor.

Na przeciwnym krańcu stołu podnosi się jedna ręka. Pulchna, ze złotymi pierścieniami. Światło kaganka wiszącego na ścianie rzuca jej złowrogi cień na giemzę pokrywającą stół.

– Oddaję głos don Manuelowi Higuierueli.

Higuieruela przemawia. To sześćdziesięcioletek o grubej szyi i nosowym głosie, ubrany w wywatowany zakiet i perukę bez pomady, zawsze przekrzywioną, jakby nie pasowała na głowę, której pospolitość przełamuje tylko spojrzenie oczu – żywe, złośliwe i inteligentne. Jest marnym komediopisarzem i średnim poetą, wydaje także ultrakonserwatywnego „Cenzora Literackiego”, pismo cieszące się silnym poparciem najbardziej reakcyjnych kręgów szlachty i kleru. Ze swojej dziennikarskiej trybuny przypuszcza zaciekle ataki na wszystko, co pachnie postępem i oświeceniowymi doktrynami.

– Proszę, żeby zapisano w aktach mój sprzeciw wobec tego projektu – oznajmia.

Dyrektor widzi kątem oka, że sekretarz wszystko notuje. Potem słabo wzdycha i starannie dobiera słowa:

– Projekt podróży został zatwierdzony przez Akademię podczas posiedzenia plenarnego przed tygodniem... Dziś będziemy głosować nad kandydaturami panów akademików, którym zostanie powierzone to zadanie.

– Mimo to chciałbym powtórzyć mój protest wobec tej niedorzeczności. Dotarły do moich rąk zapisy znajdujące się pod hasłami „Bóg” i „dusza”, które wzbudziły oburzenie teologów... I mogę panów zapewnić, że ich lektura niemal przyprawiła mnie o niemoc. To dzieło nie jest godne, by się tu znaleźć.

Vega de Sella rozgląda się przezornie wokół. Kiedy pojawia się problem wymagający publicznego zabrania głosu, duża część akademików nie otwiera ust i przybiera nieodgadniony wyraz twarzy, jakby poruszana sprawa ich nie dotyczyła. Wiedzą, na jakim świecie żyją, i nie można się spodziewać pomocy z ich strony. Na szczęście, pociesza się w myśli dyrektor, udało mi się doprowadzić w ubiegłym tygodniu do tajnego głosowania, w którym anonimowe karty wrzucono do urny. Pełen sukces. Gdyby trzeba było podnieść rękę, nieliczni tylko odważyliby się zająć takie stanowisko. Ledwo dwa lata wcześniej wielu z nich, łącznie z samym dyrektorem, poddano śledztwu inkwizycji w sprawie czytania cudzoziemskich filozofów i choć oficjalnie niczego nie udowodniono, wszyscy wiedzą, że autorem donosu był ten sam człowiek, który teraz poprosił o głos.

– Proszę zatem zabrać głos, don Manuelu. – Vega de Sella uśmiecha się ze stoicką łagodnością. – Jak zwykle sekretarz należnie zanotuje pańską wypowiedź.

Higueruela rozpoczyna wystąpienie z widoczną rozkoszą. W stylu artykułów, jakie sam redaguje, snuje apokaliptyczną wizję katastrofalnego, jego zdaniem, stanu myśli w Europie, kreśli obraz wichrzycielskiego wolnomyślicielstwa i ateizmu, które burzą spokój niewinnych narodów, bezbożnictwa toczącego fundamenty europejskich domów królewskich oraz autorów głównego narzędzia rewolucyjnej zapaści – filozoficznych doktryn z bezsensownym kultem rozumu, który zatruwa naturalny porządek i obraża Boga: cynicznego Woltera, hipokryty Rousseau, krętacza Monteskiusza, ateuszy Diderota i d’Alemberta i wielu innych, których ohydne umysły stworzyły *Encyklopedię* – wypowiedzenie tego słowa w języku hiszpańskim podbija jeszcze pogardliwy ton przemowy – której nabyciem Akademia zamierza skalać swoją bibliotekę.

– Dlatego protestuję przeciwko zakupowi tego nikczemnego dzieła – dodaje na koniec. – Jak również przeciwko podróży w tym celu do Paryża członków naszego zgromadzenia.

Zapada cisza, zakłócana tylko odgłosem – skrzyp, skrzyp – skrobienia pióra sekretarza po karcie papieru, na której spisuje relację. Dyrektor ze swoim zwykłym spokojem rozgląda się wokół.

– Czy któryś z panów akademików chciałby dodać komentarz?

Ustaje skrzypienie pióra sekretarza, nikt jednak nie otwiera ust. Większość spojrzeń jest utkwiona w pustkę, w oczekiwaniu końca burzy. Reszta najbardziej konserwatywnego sektora Akademii obecna na spotkaniu i złożona z jeszcze czterech członków – dwóch spośród pięciu duchownych będących akademikami, książe del Nuevo Extremo i wysoki urzędnik Ministerstwa Skarbu – kiwa głowami, okazując tym poparcie dla słów Higuerueli. I choć ubiegłotygodniowe głosowanie było anonimowe, dyrektor Vega de Sella, podobnie jak wszyscy zebrani, domyśla się, że są to te osoby, które oddały czyste kartki, co stanowiło elegancką formę okazania

swej dezaprobaty dla przedmiotu głosowania. Tak naprawdę głosów przeciwnych zakupieniu *Encyklopedii* naliczono sześć, łącznie z tym należącym do Higuierueli. Ale dyrektor jest absolutnie pewien, że szósty głos przeciwko oddała, paradoksalnie, osoba stojąca na ideologicznych antypodach wobec radykalnego dziennikarza – akademik w noszonej zgodnie z nową modą panującą w Anglii i Francji marynarce frakowej o wąskich rękawach i w krzykliwym krawacie ściskającym mu szyję, o włosach nie upudrowanych, ale pokręconych na skroniach – który w tej chwili wcale nie przez przypadek unosi dłoń na przeciwnym końcu stołu.

– Głos zabierze pan Sánchez Terrón.

Przypadek tego człowieka, wiedzą wszyscy, jest wyjątkowy. Justo Sánchez Terrón jest, jak się to nazywa w Hiszpanii, radykalnym postępowcem. Urodzony w Asturii, skromnego pochodzenia, zdobył pozycję dzięki studiom i lekturom, cieszy się opinią człowieka o nowoczesnym sposobie myślenia. Jest urzędnikiem państwowym, a jego głośny raport na temat hospicjów, więzień i powszechnych amnestii – *Traktat o nieszczęśliwości ludów*, jak brzmi jego tytuł – wywołał wiele dyskusji. Od tamtego czasu liczne kawiarnie i madryckie kręgi towarzyskie stały się sceną literacko-filozoficznych debat, których jest bohaterem, i być może w tym właśnie określeniu tkwi sedno jego zachowania. W połowie szóstej dekady swojego życia, oślepiiony sukcesem, niezdolny, by spojrzeć na siebie krytycznie, Sánchez Terrón stał się pedantycznym zarozumialcem, zachowującym się nieznośnie arogancko, a z powodu wiecznego moralizatorstwa jego pism i przemów za plecami mówi się o nim „Katon z Oviedo”. Na dodatek, jako że z pewnym opóźnieniem zapoznał się ze stanem myśli i kultury, jego najbardziej irytującą specjalnością stało się odkrywanie tego, co większość wie już od dawna, i ogłaszanie tych rewelacji światu, który powinien okazywać mu

wdzięczność za ich objawienie. Poza tym mówi się, że przygotowuje spektakl dramatyczny w teatrze, mający pogrzebać zgniłych pogrobowców sceny narodowej. Co się zaś tyczy najnowszych autorów i filozofów, Asturyjczyk uważa się za jedyne go pośrednika pomiędzy nimi a zapóźnionym społeczeństwem hiszpańskim, którego sam, bez zahamowań, obwołał się przewodnikiem i tłumaczem. I zbawicielem, jeśli mu się pozwoli. W tej dziedzinie nie znosi sprzeciwu ani konkurencji. Wszyscy wiedzą, że od lat pracuje nad obszernym dziełem zatytułowanym *Słownik rozumu*, w którym część haseł i argumentów przedstawianych jako jego własne stanowią przekłady tekstów francuskich encyklopedystów z drobnym zaledwie retuszem.

– Niechaj w aktach pozostanie także moja krytyka – mówi, lubując się we własnym głosie i poprawiając koronki wystające z rękawów fraka – tej niedopuszczalnej podróży do Paryża. Uważam, że to nie jest odpowiednie miejsce dla *Encyklopedii*. Jeśli Hiszpania potrzebuje naprawy – co nie podlega dyskusji – może ona nadejść jedynie poprzez oświecenie określonych kręgów elity intelektualnej...

– Do których ja się zaliczam – szeptem parodiuje jego ton jeden z akademików.

Sánchez Terrón przerywa przemowę, zimnym wzrokiem poszukując żartownisia, jednak wszyscy wokół stołu zachowują kamienne oblicza. Zaświadczające o ich niewinności.

– Proszę kontynuować, don Justo – prosi dyrektor, ze swobodą zapobiegając zwadzie.

– Poszukiwaniem światła rozumu i postępu – znów rozwija wątek Sánchez Terrón – nie powinna zajmować się ta uczona izba, gdyż nie należy to do jej prerogatyw. Hiszpańska Akademia Królewska ma tworzyć słowniki, dbać o gramatykę i ortografię. Stanowić, oczyszczać i przynosić

chwałę językowi kastylijskiemu... Koniec, kropka. Idee, nawet te najlepsze, rezultat oświecenia, należą do filozofów. – W tej chwili toczy wyzywającym spojrzeniem wokół. – I to oni powinni się nimi zajmować.

Wszyscy rozumieją, że mówiąc o filozofach, myśli: „my, filozofowie”. I – zgodnie z ludowym przysłowiem: „szewcy do kopyt” – zostawcie *Encyklopedię* nam, którzy potrafimy ją czytać i zasługujemy na tę lekturę. Kiedy Sánchez Terrón milknie, wokół stołu rozlega się pomruk dezaprobaty; niektórzy akademicy wiercą się niezadowoleni na swoich krzesłach i złośliwości wyraźnie cisną im się na usta. Jednak surowe spojrzenie dyrektora utrzymuje festyn w ryzach.

– Niechaj głos zabierze nasz bibliotekarz, don Hermógenes Molina.

Wezwany – mężczyzna krępy i niskiego wzrostu, o dobrotliwej twarzy, w wyświechtanej brązowej, przetartej na łokciach kurtce, która lepsze czasy ma już dawno za sobą – uniósł rękę i dziękując dyrektorowi za okazję do zabrania głosu, przypomina swoim towarzyszom przyczyny sprowadzenia do biblioteki wszystkich dwudziestu ośmiu tomów opublikowanych w Paryżu przez Diderota, d’Alemberta i Le Bretona. Jest to bowiem, mówi nie bez pewnego wzruszenia, pomimo swoich niedoskonałości, najznamienitszy nowoczesny owoc ludzkiego intelektu: monumentalna kompilacja najbardziej zaawansowanej wiedzy w dziedzinach filozofii, nauki, sztuki i innych domenach znanych i tych, które poznane będą. Jedno z tych twórczych i znaczących, rzadkich w historii ludzkości dzieł, które oświecają swych czytelników i otwierają wrota do szczęśliwości, kultury i postępu narodów.

– Byłoby niewybaczalnym uchybieniem – kończy – gdyby dzieło to nie znalazło miejsca pośród ksiąg wzbogacających naszą bibliotekę, ku oświeceniu i radości panów akademików, jako podnieta do naszych prac, dla dumy tej uczonej instytucji.

Znów unosi dłoń dziennikarz Higuera. Z jego spojrzenia sączy się jad.

– Filozofia, natura, postęp, ziemskie szczęście – ucina ostro – to nie są pojęcia, które leżą w naszej kompetencji, a jeśli nawet, to tylko w tym celu, by je zdefiniować i przestrzec przed nimi prostaczków, zwłaszcza że zagrażają one świętym fundamentom monarchii i religii... Choć nasze ideały są bardzo od siebie odległe, nawet sprzeczne, z satysfakcją stwierdzam, że zgadzam się z moim kolegą, panem Sanchezem Terronem. – Kieruje krzywy uśmiech do wspomnianego akademika, który odpowiada krótkim i suchym skinieniem głowy. – Z pozycji krańcowo różnych, że tak się wyrażę, obaj potępiamy ten wielce niewłaściwy zamysł... I pozwolę sobie przypomnieć panom akademikom, że *Wielka Encyklopedia Francuska* znajduje się na indeksie ksiąg zakazanych przez Święte Oficjum. Nawet we Francji.

Wszyscy spoglądają na don Josepha Ontiverosa, ekonoma arcybiskupstwa w Toledo i stałego sekretarza Rady Najwyższej Inkwizycji – właśnie skończył osiemdziesiąt jeden lat, jest duchownym o siwych włosach, słabych kolanach i trzeźwym umyśle, od trzech dekad zajmuje fotel pod literą R. A ten wzrusza ramionami z pobłażliwym uśmiechem, pełnym tolerancji. Mimo pełnionego urzędu Ontiveros jest człowiekiem niezwykle wykształconym i światłym, pozbawionym wszelkich uprzedzeń. Najlepsza wersja Horacego w języku hiszpańskim wyszła czterdzieści lat wcześniej spod jego pióra – *Faunie, kochanku rusalek...* – i wszyscy dobrze wiedzą, że podpisany „Linarco Andronio” przekład poezji Katullusa, dzieło znakomite, też był jego autorstwa.

– Z mojej strony *nihil obstat* – mówi duchowny, wywołując uśmiechy na twarzach zebranych wokół stołu.

– Przypominam z całą życzliwością don Manuelowi Higuierueli – włącza się dyrektor ze zwykłym u niego taktem – że kościelną zgodę na przywiezienie *Encyklopedii* do naszej Akademii uzyskano dzięki stosownym krokom don Josepha Ontiverosa... Święte Oficjum uznało w swej mądrości, że tomy te, choć nieopatrznie byłoby oddawać je w ręce osób niewykształconych, to mogą jednak stać się lekturą panów akademików bez szkody dla ich dusz czy sumień... Czyż nie, don Josephie?

– Tak, w każdym szczególe – potwierdza zapytany.

– Kontynuujmy zatem – mówi dyrektor, patrząc na zegar na ścianie. – Czy pan bibliotekarz zgadza się ze mną?

Ten przerywa pisanie, podnosi wzrok znad księgi akt i lustruje całe zgromadzenie, poprawiając okulary na nosie.

– Przystępujemy do głosowania nad wyborem dwóch panów akademików, którzy pojedą do Paryża, by przywieźć ze sobą do Madrytu dwadzieścia osiem tomów *Encyklopedii*, zgodnie z decyzją powziętą przez niniejsze zgromadzenie, co potwierdzono w sprawozdaniu, którego fragment teraz odczytam:

Zebrane w siedzibie Akademii zwanej Skarbcem plenarne zgromadzenie Królewskiej Akademii Hiszpańskiej po uzyskaniu koniecznych zezwoleń miłościwie nam panującego Jego Królewskiej Mości oraz władz kościelnych wyraża zgodę większością głosów, by wyznaczyć spośród akademików dwóch godnych mężów, którzy zaopatrzeni w odpowiednie środki, zapewniające możliwość przejazdu i utrzymania, pojedą do Paryża w celu zakupienia kompletnego dzieła znanego jako Encyclopédie, ou Dictionnaire raisonné des sciences, des arts et des métiers oraz

przywiezienia go do Akademii, aby w jej bibliotece mogło być swobodnie konsultowane przez tytularnych członków tejże instytucji.

Następuje chwila ciszy, przerywanej tylko astmatycznym kaszlem wiekowego don Felipe Hermosilli – autora znanego *Katalogu dawnych autorów hiszpańskich*. Akademyści spoglądają po sobie z nadzieją i w większości z uroczystym wyrazem twarzy, świadomi symbolicznej doniosłości tego aktu; pośepnie i z wyraźnymi oznakami niezadowolenia w mniejszości: dwaj najbardziej konserwatywni duchowni, książę del Nuevo Extremo i wysoki urzędnik Ministerstwa Skarbu patrzą porozumiewawczo na Higuera i Sancheza Terrona, solidaryzując się z ich zastrzeżeniami, choć nie chcą sobie komplikować życia, wypowiadając się głośno.

– Czy są jeszcze jakieś komentarze? Nie? – sprawdza dyrektor. – W takim razie głosujmy. Jak właśnie przeczytał nam sekretarz, chodzi o wybranie spośród nas dwóch godnych mężów.

– Tak zapisano w aktach – potwierdził don Gregorio Salvador, kiedy poszedłem go odwiedzić. – „Dwóch godnych mężów”. Jestem tego pewien, bo wiele lat temu przeczytałem ten dokument.

Przez drzwi balkonowe widziałem za jego plecami budynki przy ulicy Malasaña. Stary profesor i akademik – osiemdziesięciolatek, szanowany językoznawca, najstarszy spośród czynnych członków Hiszpańskiej Akademii Królewskiej – siedział na sofie w bibliotece w swoim mieszkaniu. Na stoliku stała filiżanka kawy podana mi przez jedną z jego wnuczek.

– To znaczy, że istnieje protokół z tego posiedzenia? – zaciekałem się.

Potaknął żwawym ruchem głowy. Był to patrycjuszowski czerep, starożytny, świetnie zachowany, o siwych włosach, jeszcze bujnych, i śmiejących się oczach, którym – pomimo zaawansowanego wieku i ostatnio przebytej operacji katarakty – tylko do czytania potrzebne były okulary. Don Gregorio Salvador od trzydziestu lat uczestniczył w posiedzeniach Akademii, był obecny zawsze, w każdy czwartek. Zachował nadzwyczajną jasność umysłu, znał najlepiej historyczne szczegóły i dawne anegdoty. Współautor monumentalnego *Słownika lingwistycznego i etnograficznego Andaluzji* był jedynym akademikiem, do którego niemal wszyscy zwracaliśmy się *per pan*, nawet poza tradycyjnym ceremoniałem posiedzeń plenarnych.

– Jasne – odrzekł. – Zachowały się wszystkie protokoły. Jedyny problem polega na tym, że istnieją tylko na papierze i nie ma prostego sposobu, by do nich dotrzeć. To trzysta lat ksiąg, w których zapisywano przebieg wszystkich sesji, niech pan sobie wyobrazi. Żeby znaleźć tę konkretną kartę, trzeba by cierpliwie szukać, czwartek po czwartku.

– Czy można określić, który to był rok?

Zastanawiał się przez chwilę, obracając w dłoni hebanową laskę ze srebrną gałką. Drugą rękę trzymał w kieszeni szarego swetra, jaki nosił do koszuli z krawatem i spodni z ciemnej flaneli. Buty widocznie używane, były wypastowane i błyszczące. Don Gregorio Salvador to zadbany mężczyzna. Pryncypialny.

– Sądzę, że musiało to być po roku 1780. Tak uważam, bo pracowałem nad materiałem o wydaniu *Don Kichota* Ibarry, które ukazało się właśnie w tym roku, a w protokołach wspominało, że edycję tę opublikowano wcześniej.

– I są tam wzmianki o podróży akademików?

– Tak. Mieli jechać do Paryża po kompletne wydanie *Encyklopedii*. Nie wszyscy akademicy się na to zgadzali. Doszło do zwady.

– Jakiego rodzaju?

Wyjął rękę z kieszeni – chudą, kościstą, zniekształconą przez artretyzm – i wykonał nieokreślony ruch w powietrzu.

– Nie potrafię panu powiedzieć. Jak wspominałem, protokół ten przeglądałem tylko pobieżnie. Sprawa była ciekawa i postanowiłem wrócić do niej później, potem jednak zająłem się innymi zagadnieniami.

Podniosłem do ust filiżankę kawy.

– To dziwne, prawda? Przecież *Encyklopedia* była dziełem zakazanym w Hiszpanii, a tu wszystko poszło tak gładko.

– Nie wydaje mi się, żeby „gładko” było odpowiednim słowem. Jak panu wspominałem, mam wrażenie, że podróż do Francji przebiegała burzliwie... Z drugiej strony Akademia była szczególną instytucją, w skład której wchodziły różne interesujące osoby. – W tym miejscu stary akademik się uśmiechnął. – Naprawdę bardzo różne.

– I dobrzy, i źli, chce pan powiedzieć?

Uśmiech don Gregoria stał się jeszcze wyraźniejszy. Przez kilka sekund przyglądał się gałce swojej laski, nic nie mówiąc.

– Można by i w ten sposób ich opisać – odezwał się w końcu. – Gdyby założyć, że wiadomo, która strona miała słuszność, a która nie... Bo oczywiście strony były różne. Jak to w Hiszpanii, i wtedy, i zawsze. A w tamtych czasach różnice, które później okazały się fatalne w skutkach dla naszej historii, już dość wyraźnie się zarysowały: jedna grupa, działająca w dobrej wierze, powodowana szlachetnym zapałem, wiarą w postęp i edukację, żywiła przekonanie, że aby ludzi uszczęśliwić, trzeba ich kształcić... A druga, pozostając skostniała w swojej świadomej ignorancji, obojętna wobec nowoczesności i oświecenia, żyła w zapiekłej

nienawiści do wszystkiego, co nowe. I oczywiście istnieli ludzie niezdecydowani i oportuniści, którzy zależnie od okoliczności gromadzą się wokół uczciwych ludzi to z jednej, to z drugiej strony... I już się przędy, zarówno wewnątrz Akademii, jak i na zewnątrz, nici na sznur, którym dusiliśmy się wzajemnie w Hiszpanii przez kolejne dwa stulecia.

Patrzył na mnie z uwagą. Z zaciekawieniem. Jakby kalkulował prawdopodobieństwo, czy mógłbym o tym napisać. W końcu widać uznał, że to możliwe.

– Czy zna pan dobrze tę epokę? – zapytał.

– Mniej więcej.

– Julián Marías, który też był akademikiem, ojciec Javiera, powieściopisarza, często pisywał o tych czasach. Istnieje jego ważna książeczka *Hiszpania możliwa w czasach Karola III...* Nie pamiętam dobrze, ale być może tam opowiada, jak się w Akademii znalazła nasza *Encyklopedia...* On również, swoją drogą, doświadczył po wojnie domowej prześladowań i oskarżeń.

Znów się uśmiechnął, tym razem z roztargnieniem. Może zatopiony we wspomnieniach. W najdawniejszych z nich stary akademik, urodzony w 1927 roku, zachował obrazy naszych własnych najróżniejszych guernik.

– Hiszpania nie ma szczęśliwej historii – zauważył melancholijnie.

– Niewiele krajów ma szczęśliwą historię.

– To prawda – przyznał. – Nasza jednak była wyjątkowo niepomyślna. Osiemnasty wiek to kolejna zmarnowana szansa: odcytani wojskowi, uczeni marynarze, oświeceni ministrowie... Wtedy zaczęła się odnowa, która powoli pokonywała opór najbardziej reakcyjnych sektorów Kościoła i społeczeństwa pozostającego pod wpływem kleru, który szpiegował i wciskał wszędzie swe macki niczym wielki czarny pająk. Nowe idee wstrząsały starą Europą...

Don Gregorio, mówiąc, powoli przesuwiał wzrokiem po książkach na półkach – były one wszędzie, leżały stosami na meblach i na podłodze, a ja podążyłem za jego spojrzeniem. To nie mógł być przypadek, dodał po chwili, że podróż akademików do Paryża odbyła się za panowania króla Karola III. Wtedy nastał czas nadziei. Kler po części, choć była to mniejszość, był wykształcony i dość postępowy. Pojawiło się wielu szlacheckich ludzi, którzy starali się nieść oświecenie i rozproszyć mroki trwające od wieków.

– Hiszpańska Akademia Królewska uznała – ciągnął – że jej obowiązkiem jest dołączyć do tego ruchu. Ponieważ powstało wielkie dzieło, które niesie oświecenie Europie, mówili, sprowadźmy je i przestudiujmy. Dość już nadawania każdemu hasłu naszego słownika, swoją drogą świetnego, chrześcijańskiego zabarwienia, z Bogiem obecnym nawet w przysłówkach, i odwracania się od rozumu, nauki i przyszłości... Niechaj język hiszpański, poza tym, że szlachecki, piękny i wyszukany, będzie też oświecony i rozumny. Niech będzie filozoficzny.

– Rewolucyjny pomysł.

– Owszem. Akademicy w większości byli ludźmi roztroprnymi, o wysokim poziomie moralnym. Proszę zwrócić uwagę, jak niezwykle definicje udało im się zamieścić, przy bardzo skromnych środkach, w *Słowniku autorytetów*... Pod koniec wieku niemal wszyscy akademicy pozostawali jeszcze praktykującymi katolikami, znajdowało się wśród nich wielu duchownych, jednak w dobrej wierze starali się pogodzić własne poglądy z nowymi ideami. Przeczuwali, że precyzyjnie definiując język, czynią go bardziej racjonalnym i naukowym i zmieniają także Hiszpanię.

– Jednak nic więcej się nie stało.

Don Gregorio uniósł nieco łaskę, okazując w ten sposób, że ma inne zdanie.

– Nie całkiem – zaprotestował. – Choć to prawda, że okazję zmarnowano. Zabrakło tego, co wydarzyło się we Francji: rewolucji obalającej stary porządek... Wolter, Rousseau, Diderot, filozofowie, którzy doprowadzili do powstania *Encyklopedii*, zostali wyeliminowani albo przezwyciężali przeszkody z największą trudnością. Ich spuściznę najpierw zdławiono represjami, a potem utopiono we krwi.

Dopiłem kawę, zapanowała cisza. Stary akademik znów popatrzył na mnie z zaciekawieniem.

– Jednak – dodał po chwili – przywiezienie tych dwudziestu ośmiu tomów stojących w naszej bibliotece było wspaniałą przygodą... Doprawdy napisze pan o tym?

Gestem wskazałem książki, które nas otaczały, jakby w nich znajdował się klucz do zagadki.

– Być może. Jeśli uda mi się dowiedzieć więcej o całej sprawie.

Uśmiechnął się życzliwie. Jakby pomysł bardzo go ucieszył.

– Byłoby dobrze, bo to jeden ze szlachetnych epizodów w dziejach naszej Akademii. To akt sprawiedliwości przypomnieć, że nawet w mrocznych czasach zawsze znajdowali się godni mężowie, którzy walczyli o to, by nieść swoim rodakom oświecenie i postęp... I że nigdy nie brakowało tych, którzy próbowali im przeszkodzić.

Zakończyli debatę punktualnie o wpół do dziewiątej, jak zazwyczaj, żegnając się do następnego czwartku. Zima daje o sobie znać bodaj ostatni raz, choć noc jest pogodna: między okapami dachów można dostrzec gwiazdy. Justo Sánchez Terrón idzie w kierunku ulicy Mayor, kiedy słyszy za plecami stukot końskich podków. Latarnia przed Pałacem Rad Królewskich tuż obok akademika wydobywa cień zbliżającej się dorożki. Kiedy powóz znajduje się na jego wysokości, ze środka słychać głos,

woźnica ściąga cugle i w okienku pojawia się przekrzywiona peruka Manuela Higuierueli, wieńcząca jego pospolitą, okrągłą twarz.

– Niech pan wsiada, don Justo. Podwiozę pana do domu.

Zaczepony odmawia z wyniosłą pogardą, której nawet nie stara się skrywać. Nie łączy ich przyjaźń pozwalająca na wspólne przejażdżki po Madrycie, mówi jego mina, tym bardziej u boku literata i dziennikarza o wstecznych poglądach, nawet po słabo oświetlonych ulicach i w towarzystwie nielicznych przechodniów, którzy mogliby uznać, że się sprzeniewierza swej skromności i powszechnie uznanej prawości.

– Jak pan chce – godzi się Higuieruela. – W takim razie będę panu towarzyszył pieszo.

Dziennikarz wysiada z powozu, poprawia pelerynę, a kapelusz umieszcza pod pachą – niemal nigdy nie nosi go na głowie z powodu peruki – odprawia woźnicę i bez skrępowania rusza obok Sancheza Terrona. Ten zaś idzie z rękami schowanymi w kieszeniach płaszcza, z odkrytą głową i brodą zwieszoną na pierś. Surowość widać nawet w sposobie chodzenia. Kiedy spaceruje, taki właśnie ma wygląd – zamyślony, refleksyjny. Zaabsorbowany. Zawsze wydaje się pochłonięty głębokimi myślami filozoficznymi, nawet jeśli idzie ze wzrokiem wbitym w ziemię, by nie wejść w psie odchody.

– Trzeba położyć kres temu absurdowi – wyrzuca z siebie Higuieruela.

Sánchez Terrón idzie przed siebie w najgłębszym milczeniu. Wie, jaki absurd ma na myśli ten człowiek. W ostatecznym głosowaniu na posiedzeniu, kiedy oddano łącznie osiem głosów za i sześć przeciwko, wśród tych drugich znalazł się także jego głos, wskazano akademików mających przywieźć z Paryża *Encyklopedię* – to bibliotekarz don Hermógenes Molina i emerytowany brygadier marynarki wojennej don Pedro Zárate, przez wszystkich w Akademii zwany admirałem, zajmujący

fotel tradycyjnie przeznaczony dla przedstawiciela wojska lub Floty Królewskiej, zaznajomionego z literacką niwą.

– Pańskie i moje opinie, don Justo, różnią się w wielu kwestiach – mówi Higuera. – Jednak w tej sprawie, choć z różnych przyczyn, to punkty widzenia są zbieżne. Dla mnie, patrioty i katolika, to dzieło tak zwanych filozofów francuskich jest katastrofalnie szkodliwe... Czy zdaniem pana, wybitnego myśliciela, eksperta we wszelkich zagadnieniach dotyczących niedojrzałości naszego naiwnego hiszpańskiego ludu, lektura tych ksiąg tu i teraz nie jest czymś zbytecznym?

– Niewczesnym – niuansuje ten drugi z ostrą surowością.

– Niech i tak będzie, wszystko jedno. Niewczesna, zbyteczna... Nieważne, jak to nazwiemy. Takie właśnie jest zadanie nas, akademików – znajdowanie odpowiednich przymiotników. Rzecz polega na tym, i z pańskiego punktu widzenia, i z mojego, że Hiszpania nie jest gotowa, by *Encyklopedia* niezręcznie krążyła tu z rąk do rąk... Według pana – i proszę wybaczyć, że ośmielam się przenikać pana myśli – idee Diderota i jego kumpli są, jakkolwiek czasem zbieżne z pańskimi, jednak zbyt niebezpieczne, by udostępniać je szerokiej publiczności.

Słowa te wywołują kolejne wyniosłe spojrzenie Sancheza Terrona, pełne bezbrzeżnej pogardy.

– Niebezpieczne, mówi pan?

Jednak zapytany dobrze zna ten ton i nie daje się zastraszyć.

– Tak, owszem, mówię: niebezpieczne i absurdalne. Człowiek ma pochodzić od ryb, a góry od morza. Co za bzdury!

– Bzdurą jest pańskie wyrażanie opinii o sprawach, których pan nie rozumie.

– Niechże pan da spokój tym zasłonom dymnym, przejdźmy do sedna. Tutaj potrzebni są nauczyciele, wykształceni przewodnicy, którzy potrafią

zinterpretować i wyjaśnić dzieło tak ogromne i złożone. – Higuera rzuca swojemu towarzyszowi chytre spojrzenie, pochlebne i sprytne. – Tacy jak pan, nie szukając daleko... W Hiszpanii, krótko mówiąc, encyklopedyczne winogrona zbyt są zielone, by się nadawały na wino... Czyżbym się mylił?

Idą przez Platerías obok placu Mayor. O tej porze przechodniów jest niewielu. Brama Guadalajara jest pogrążona w mroku, podobnie jak poskładane kramy ze srebrem, o drzwiach zastawionych drewnianymi żaluzjami. Ciche koty przemykają pomiędzy kopcami śmieci, które zebrane obok bram, oczekują na przyjazd śmieciarzy.

– To jest Hiszpania, don Justo. Czyli jeśli Bóg nie pomoże, wszyscy będą filozofami. Nawet niektóre kobiety, moje znajome, powołują się na Newtona i cytują Kartezjusza, a na toaletkach trzymają książki Buffona, być może tylko po to, żeby oglądać obrazki... Niedługo wszyscy skończymy, tańcząc kontredansy w paryskim stylu, z fryzurami *à la* filozofka i upudrowani jak myszy we młynie.

– A co to wszystko ma wspólnego z *Encyklopedią* i Akademią?

– Pan głosował przeciwko zakupowi i podróży.

– Muszę panu przypomnieć, że głosowanie było tajne, i jak pan śmie...

– Tak, tajne, pewnie. Ale w Akademii wszyscy się znamy.

– Ta rozmowa jest niefortunna, don Manuelu.

– Ależ absolutnie... Niech pan pozwoli. Jest potrzebna zarówno panu, jak i mnie.

Słychać dzwony. Z pobliskiego kościoła pod wezwaniem świętego Genezjusza wychodzą ksiądz z ministrantem niosącym oleje, zapewne spieszą do umierającego. Akademicy przystają – Higuera żegna się znakiem krzyża z pochyloną głową, Sánchez Terrón ma minę pełną dezaprobaty i pogardy.

– Moją opinię już pan zna – mówi dziennikarz, kiedy znów ruszają w drogę. – Potrzebny nam jak cholera ten wydrukowany potok niewiary i bezbożności, który obraża całą tradycję i wszystko, co uczciwe... Ta fala próbuje zmieść tron i ołtarze, zastępując je kultem takich słów, jak rozum i natura, które mało kto rozumie... Wyobraża pan sobie zamęt i rewolucje, na jakie nas narażają podobne idee, jeśli dostęp do nich będzie miał każdy kadet, student pierwszego roku albo czeladnik w sklepie?

– Też nie o to chodzi – oponuje poważnie Sánchez Terrón. – Pan przesadza, jak zwykle. Unosi się pan. A ja nie jestem jednym z pańskich nieokrzesanych czytelników, proszę pamiętać. Akademia sprowadzi *Encyklopedię* na wyłączny użytek akademików. Nie ma mowy o tym, by miała się dostać w niepowołane ręce.

Higueruela uśmiecha się z cynicznym sceptycyzmem.

– Akademików? Niechże mnie pan nie rozśmiesza, don Justo. Zna ich pan i gardzi nimi tak samo jak ja, bo w większości są to mierne gryzipiórki, erudyci od siedmiu boleści, myszy biblioteczne zupełnie oderwane od wielkich problemów naszych czasów... A niektórzy na dodatek są naprawdę naiwni, mimo wieku. Ilu spośród nich jest zdolnych połączyć Woltera albo Rousseau i nie nabawić się niestrawności? Jakie mogą być konsekwencje, jeśli ten materiał wybuchowy trafi w niepowołane ręce, poza kontrolą trzeźwych filozofów, takich jak pan?

Ostatnie zdanie to czysty balsam. Sánchez Terrón nie protestuje przeciw tym słowom, ogranicza się do uniesienia brwi. Jego próżność nie pozwala mu dostrzec oportunisty i bezczelności Higuerueli. Filozof dalej idzie powoli, bardzo poważny, z rękami w kieszeniach płaszcz, z brodą przyklejoną do piersi. Obraz czystej prawości. Obok niego, gotowy nadal zarzucać przynętę i nie wypuszczać zdobyczy, dziennikarz wymownie i przekonująco macha rękami.

– To podziwu godny trud, jaki dla szlachetnego języka kastylijskiego wykonujemy w Akademii – nalega. – To nie podlega dyskusji: Cervantes, Quevedo, ortografia, słownik i tak dalej... Wszystko nadzwyczaj chwalebne. Bardzo filantropijne i patriotyczne... Jednak mieszanie się do tych filozoficznych nowinek to stanowcza przesada. Zgadza się pan?

– Mógłbym się zgodzić – przyznaje Sánchez Terrón.

Higueruela parska krótkim śmiechem pełnym satysfakcji. Wyraźnie jest na dobrej drodze.

– To wszystko nie należy do naszej uczonej instytucji – dodaje, okazując więcej pewności. – Istnieją granice rozpasania i ludzkiej pychy, a poza tymi granicami znajdują się monarchia, religia katolicka i jej nie podlegające dyskusji dogmaty...

W tym momencie przerywa mu Sánchez Terrón, wzdragając się, jakby zobaczył węża.

– Wstrętni ateści, których należałoby wtrącić do kazamatów? Dobrze znam tę starą śpiewkę, mój panie. Pańską i pańskich kamratów, zgrzybiałych ramoli w perukach spadających na oczy, z długimi paznokciami, w świeżej koszuli raz na dwa tygodnie. Tą drogą niech pan nie idzie.

Dziennikarz ostrożnie zmienia taktykę. Uważa, by nie wchodzić na grząski teren.

– Cóż, przepraszam, don Justo. Nie miałem zamiaru obrażać pana ani dyskutować... Znam pańskie idee i je szanuję.

Jednak Katon z Oviedo już nabrał rozpędu.

– Pan nie szanuje nawet własnej matki, don Manuelu... Jest pan krzykaczem, który całe życie zbiera chrust na stosy dla heretyków, niczym wiek temu... Okrzykami domaga się pan kajdan i trybunałów pod wodzą księży. To pańskie piśmidło...

– Proszę o nim zapomnieć. Zapomnieć o wszystkim. Dziś nie rozmawia z panem walczący redaktor, ale przyjaciel.

– Przyjaciel?! Daj pan spokój, człowieku. Ma mnie pan za idiotę?

Zatrzymali się na chwilę przy stopniach przed kościołem Świętego Filipa, niezwykle tłocznych za dnia, o tej porze zaś całkiem pustych, naprzeciwko zamkniętych księgarń Castilla, Correi i Fernández. Ciemne sylwetki zawiniętych w szmaty żebraków widać na kamiennych schodach i w wejściach do sklepików.

– Ja walczę przeciw wrogom ludzkości, choćbym musiał to robić samotnie – ogłasza Sánchez Terrón, wskazując okiennice zasłaniające witryny księgarń, jakby je powoływał na świadków. – Za przewodników biorę jedynie rozum i postęp. Moje idee w niczym nie są podobne do pańskich.

– Zgoda – przyznaje Higuera bezczelnie. – Nawet nieraz atakowałem je publicznie, na piśmie, przyznaję. Wiele razy.

– I to jeszcze jak! Na przykład w ostatnim numerze pańskiego pisma, choć nie wymienił mnie pan z nazwiska.

– Proszę posłuchać – przerywa dziennikarz. – To, co ma się zdarzyć, jest na tyle poważne, że jestem gotów na razie, choć nie na zawsze, uszanować pańskie idee, don Justo, w imię wspólnej korzyści. Godności Hiszpańskiej Akademii Królewskiej.

– Godność to nie jest podstawowa cecha tego pańskiego szmatławca, don Manuelu, jeśli pozwoli pan, że tak się do pana zwrócę.

Kolejny cyniczny uśmiezek.

– Dziś pozwalam panu na wszystko. Choć skoro już doszło do takiej między nami poufałości, uważam, że pan nie ustrzegł się pewnej obłądy.

Sánchez Terrón gwałtownie podnosi głowę.

– Nasza rozmowa jest skończona. Dobranoc.

Rusza energicznie, wściekły, przyspiesza kroku. Szybko się oddala. Jednak Higuera biega za nim, zrównuje krok i cierpliwie idzie obok, nie odzywając się. Zostawia mu przestrzeń do refleksji. W końcu Sánchez Terrón zwalnia, zatrzymuje się i patrzy na dziennikarza.

– Co pan proponuje?

– Nie chce pan, żeby myśli zebrane w *Encyklopedii* zmieniły się w zabawę w podaj dalej. Żeby każdy miał do nich dostęp, bez wprowadzenia, bez pośrednictwa. Krótko mówiąc, bez pana jako tłumacza. Bo pański *Słownik rozumu* na przykład...

Sánchez Terrón przygląda mu się, zły i wyniosły.

– Co z nim?

Higuera uśmiecha się wilczo. Jest u siebie. On też wie, z pewnego źródła, że Sánchez Terrón bez skrupułów łupi filozofów zza Pirenejów.

– To bez wątplenia wyjątkowe dzieło. I przede wszystkim hiszpańskie, z pełnym szacunkiem. Tu wcale nie potrzebujemy myślicieli żabojadów. Nawet jeśli idzie o ateizm i błędzenie, my, Hiszpanie, jesteśmy samowystarczalni... Nie uważa pan?

Ironiczny ton znów się odbija, bez żadnego efektu, od spiżowej próżności filozofa.

– I co? – Ten ogranicza się do krótkiego pytania.

Higuera bezczelnie wzrusza ramionami.

– Przychodzę z gałązką oliwną.

Sánchez Terrón patrzy na niego zaskoczony, bardziej zdziwiony niż oburzony.

– Pan do mnie?

Dziennikarz rozkłada ramiona z dłońmi obróconymi wierzchem do dołu, jakby pokazywał, że niczego w nich nie chowa.

– Szanowny kolego, proponuję rozejm. Zawijemy taktyczną koalicję, czasową, ale owocną. Unię dwóch krańców.

– Niech pan to wyjaśni bliżej.

– Tych dwadzieścia osiem tomów nie powinno tu dotrzeć. Nawet nie powinno przekroczyć hiszpańskiej granicy. Trzeba zapobiec tej podróży.

Sánchez Terrón ze zmarszczonymi brwiami przygląda mu się w ciszy przez dobrą chwilę.

– Nie widzę takiej możliwości – stwierdza podejrzliwie. – Akademia zaopatrzyła bibliotekarza i admirała w odpowiednie środki. Obaj mówią po francusku, są obowiązkowi i słowni. Mężowie godni, jak stwierdza protokół. Honorowi. Nic nie może przeszkodzić...

– Myli się pan. Widzę bardzo wiele możliwych przeszkód. Mnóstwo trudności.

– Na przykład?

– To długa podróż – odpowiada Higuieruela z dwuznacznym grymasem na twarzy. – Po drodze są granice, odprawy celne. Niebezpieczeństwa. *Encyklopedia*, wyklęta przez Kościół, zakazana przez liczne dwory królewskie w Europie, oficjalnie jest też zabroniona we Francji. Jej wydawcy sprzedają ją po kryjomu, zupełnie albo prawie.

– Całkiem swobodnie.

– Wszystko jedno... Pan, don Justo, zna dyskusje, jakie toczyły się na ten temat w Hiszpanii. Początkowy opór Świętego Oficjum, potem Rady Państwa i w końcu interwencja Jego Królewskiej Mości, który za namową złych doradców przychylił się do tego projektu...

– Do czego pan zmierza? – niecierpliwi się Sánchez Terrón.

Rozmówca wytrzymuje jego spojrzenie, niewzruszony.

– Do jedyne go możliwego celu. Czyli pańskiej pomocy w udaremnieniu tej podróży.

– A jaka rola miałaby mi przypaść?

– Gdyby sprawa wyszła tylko ode mnie, prawdopodobnie wszystko zinterpretowano by jako zwykły manewr reakcji. Jednak z pana udziałem rzecz się zmienia. Możemy zjednoczyć siły i środki... Pan prowadzi korespondencję z francuskimi filozofami i księgarzami. Z ludźmi o postępowych poglądach. Ma pan przyjaciół w Paryżu.

– Czyli, uważa pan, można wziąć ich w kleszcze, tak? Między pańskie i moje wpływy?

– Właśnie tak. Zmiażdżyć ten absurdalny zamysł, naciskając z obu stron.

Dotarli niczym Niegodziwość z Pychą pod rękę do placu Puerta del Sol, gdzie panuje większy ruch. Dyliżanse zatrzymują się na pobliskiej ulicy Postas przy zamkniętych sklepach bławatnych, podróżni rozchodzą się w czerwonym poblasku latarni oświetlających plac, a za nimi widać tragarzy z walizami i pakunkami. Grupka ludzi z braku lepszego zajęcia czeka obok budki wartowniczej przed Poczta Główną, gdzie o tej porze zazwyczaj docierają wydrukowane ulotki z wiadomościami na temat wojny z Anglią i z oblężonego Gibraltaru.

– Znam kogoś – dodaje Higuera. – To osobnik doskonały do tej roli. Powiem więcej, jeśli pan zdecyduje, że jest ze mną w tej sprawie. Musi pan wiedzieć, że człowiek ten porusza się swobodnie po Hiszpanii i Francji, a jego sposób wykonania poruczonych mu dyskretnych zadań stanowił źródło satysfakcji jego mocodawców.

– Za pieniądze, jak wnioskuję.

– A za cóż by innego? Doświadczenie, szanowny don Justo, pokazuje, że nie ma nikogo skuteczniejszego niż dobrze opłacony fachowiec. Nigdy nie miałem zaufania do wolontariuszy-entuzjastów, spontanicznie podejmujących się tego czy owego, dla których jedynym profitem jest

dobrze samopoczucie albo kaprys, jednak kiedy napotykają trudności, są gotowi porzucić człowieka na stratowanie pod końskimi kopytami. Natomiast osobnik pracujący dla pieniędzy bez względu na swoje poglądy zazwyczaj pozostaje wierny do samego końca. I to właśnie taki człowiek.

– Nie ma pan złych zamiarów wobec naszych kolegów?

– Oczywiście, że nie. Za kogo mnie pan bierze?

Przechodzą przez Puerta del Sol, zbliżając się do dorożek stojących u wylotu ulicy Carretas. Sánchez Terrón mieszka kilka kroków stąd, tuż obok gospody przy ulicy Preciados. Higuera daje znak woźnicy, a ten zapala światło w jednym z wozów.

– Nikt nie zamierza zrobić krzywdy naszym umiłowanym bibliotekarzowi i admirałowi – mówi dziennikarz. – Chodzi tylko o to, żeby im przeszkodzić. Do tego stopnia utrudnić im zadanie, by wrócili z pustymi rękami... Jak pan to widzi?

– W każdym razie to pomysł wart namysłu – ostrożnie zgadza się Sánchez Terrón. – A kim jest ten osobnik?

– Człowiek z rozległymi możliwościami, proszę być spokojnym. I tyłoma skrupułami, ile koniecznie potrzeba. Raposo. Nazywa się... Pascual Raposo.

– I mówi pan, że jest sprytny, tak?

Higuera trzyma już stopę na schodku dorożki. Dotyka głowy, żeby poprawić perukę, i lampa oliwna nadaje tłusty połysk jego nikczemnemu uśmiechowi.

– Sprytny i niebezpieczny – potwierdza – jak zapowiada jego nazwisko.

Niełatwo było odnaleźć ten protokół. Dokumentację przechowywano pod kluczem w archiwum Akademii, a archiwistka, Lola Pemán, należy do tego rodzaju cerberów, dla których najlepszym sposobem konserwowania

dokumentów jest zakaz dotykania ich przez kogokolwiek. Jednak w końcu, przewyciężywszy zwyczajowe przeszkody biurokratyczne, zdobyłem prawo dostępu do osiemnastowiecznych oryginałów.

– Proszę uważać przy przewracaniu kartek. – Archiwistka traktowała tę sprawę jak osobistą zniewagę. – To nie jest papier wysokiej jakości, do tego w kiepskim stanie. Może się podrzeć.

– Proszę się nie martwić, Lolu.

– Wszyscy tak mówią... A potem zawsze to samo.

Usiadłem pod jednym z okien w bibliotece, w niszy ze stojącym tam biurkiem do pracy dla akademików. Cieszyłem się tą chwilą. Szczegóły wszystkich czwartkowych zebrań plenarnych, jednego po drugim, spisywano w grubych tomach oprawnych w jagnięcą skórę, pismem wyraźnym, skreślonym niemal jakby ręką kopisty, które zmieniało się czasem, po śmierci jednego redaktora i wraz z pojawieniem się następnego. Pismo sekretarza Palafoxa było eleganckie, lekko spiczaste, łatwo dające się czytać: „Akademia, zebrana w swej siedzibie przy ulicy Tesoro...”.

Ku mojemu rozczarowaniu dokumenty nie były zbyt klarowne. W czasach, kiedy mimo oświeczonej polityki Karola III inkwizycja zachowywała ogromną władzę, przezorność akademików nakazywała – także w treści rozpoznać można było rękę sekretarza Palafoxa – by na piśmie utrwalić możliwie najmniej szczegółów. Znalazłem zaledwie wzmiankę o zainteresowaniu Akademii zakupem całości *Encyklopedii* – „Plenarne zgromadzenie Akademii większością głosów zatwierdza...” – a następnie notatkę zawierającą nazwiska akademików wybranych, by odbyć podróż: „Akademia, pewien czas temu uzyskawszy informację, że można nabyć kompletne wydanie *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*, wyraża zgodę na jej zakup w edycji oryginalnej i zleca, by panowie Molina i Zárate ją tu przywieźli z Paryża”.

Jednak było to dość, by zacząć śledzić przebieg sprawy. W dobrze udokumentowanej książce *Uczeni z Hiszpańskiej Akademii* autorstwa Antonia Colino i Elisea Alvareza-Arenasa udało mi się znaleźć biografie obu delegatów, choć nawet nie wspomniano tam o ich podróży do Paryża. Pierwszym z nich był bibliotekarz don Hermógenes Molina, który w tym czasie miał sześćdziesiąt trzy lata, wybitny profesor i tłumacz dzieł klasyków. Drugiego zidentyfikowałem jako emerytowanego brygadiera Floty Królewskiej don Pedra Zárate, zwanego przez swych towarzyszy admirałem, który specjalizował się w terminologii morskiej i był autorem poważnego słownika z tej dziedziny.

Znalazłszy te podstawowe dane, zacząłem szperać w słownikach biograficznych, *Encyklopedii powszechnej* Espasa, w Internecie, bibliografiach. W kilka dni zrekonstruowałem całkiem nieźle, na ile to było możliwe, podstawowe fakty z życia obu postaci. Choć nie zgromadziłem zbyt wielu danych. Obaj byli osobami dyskretnymi i szanowanymi. Dwa szare żywoty, jeden poświęcony przekładom i nauczaniu, drugi to po wycofaniu się ze służby spokojne i pełne erudycji studia nad sztuką morską, w końcu uwieńczone tytułem akademika. Jedynym czynem wojennym brygadiera Zárate, jaki udało mi się ustalić, był udział w młodości w wielkiej bitwie morskiej przeciwko flocie brytyjskiej w roku 1744. Nic z tego, co przeczytałem o każdym z nich, nie stało w sprzeczności ze słowami zapisanymi w księgach protokołów przez sekretarza Palafoxa: dwaj godni mężowie.

Skrzypi drewniana podłoga, kiedy po deserze kelner niesie tacę z dymiącym dzbankiem kawy, wodą i butelką likieru oraz kompletem przyrządów do palenia tytoniu. Dbając o swoich dwóch gości, Vega de Sella, dyrektor Hiszpańskiej Akademii Królewskiej, sam czyni honory domu – pełna filiżanka i kieliszczyk maraskino dla bibliotekarza, don

Hermogenesa Moliny, i naporstek muszkatelu dla admirała Zárate, którego umiar – ledwo tylko spróbował baraniny w zielonym sosie i wina z Mediny del Campo – jest legendarny wśród członków Akademii. Wszyscy trzej siedzą przy stole w małej jadalni restauracji Złota Fontanna, z której przez otwarte okno można widzieć przejeżdżające licznie powozy i tłum zmierzający w górę i w dół przez zjazd San Jerónimo.

– To wielka przygoda – mówi Vega de Sella. – Dzięki niej, nie muszę powtarzać, zyskują panowie uznanie swoich towarzyszy i całej Akademii... Dlatego chciałbym podziękować obu panom tym obiadem.

– Nie wiem, czy staniemy na wysokości zadania – odzywa się bibliotekarz. – Czy spełnimy oczekiwania?

Vega de Sella przybiera minę pełną ufności, światową, wyrażającą stosowny nadmiar oddania.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości – stwierdza zachęcająco. – Zarówno pan, don Hermogenesie, jak i admirał wywiążą się z zadania, tak jak zwykle... Tego jestem absolutnie pewien.

To powiedziawszy, pochyla się nad stołem i zbliża końcówkę hawańskiego cygara do płomyka zapalanej świecy, przyniesionej wraz z tytoniem przez kelnera.

– Absolutnie pewien – powtarza, rozpierając się w fotelu, a jego uśmiech pojawia się za obłokiem sinego dymu.

Don Hermógenes Molina, bibliotekarz Akademii – zaufani przyjaciele mówią do niego „don Hermes” – grzecznie kiwa głową, niezbyt przekonany. Jest to mężczyzna niski, krępy, dobrotliwy, owdowiały przed pięciu laty. Znakomity łacinnik, profesor języków klasycznych, jego przekład *Żywotów równoległych* Plutarcha stanowi kamień milowy w dziejach kultury literackiej w Hiszpanii. Choć niezbyt dba o wygląd – wytarty na łokciach żakiet ma plamy czekolady i ślady tabaki na klapach –

nadrabia to z nawiązką dobrym charakterem, zjednując sobie uznanie towarzyszy. Jako bibliotekarz pozwala akademikom korzystać także z książek, które są jego prywatną własnością, a nawet dokonuje zakupów rzadkich lub potrzebnych egzemplarzy w antykwariatach za własne pieniądze, o których zwrot zapomina się upomnieć. W odróżnieniu od dyrektora i wielu akademików don Hermógenes nie nosi peruki ani nie używa pomady do włosów, które ma krótko i źle przyszyżone, jeszcze ciemne, choć już poprzetykane siwizną. Mocna broda, która dla starannego wyglądu potrzebowałaby golenia dwa razy na dzień, nadaje twarzy ciemny odcień, a brązowe, dobrotliwe oczy, zniszczone wiekiem i lekturami, zdają się patrzeć na świat z pewnym roztargnieniem i kulturalnym zadziwieniem.

– Zrobimy wszystko najlepiej, jak będziemy umieli, panie dyrektorze.

– Nie mam cienia wątpliwości.

– Darzę wielkim zaufaniem pana admirała – dodaje bibliotekarz. – Jest człowiekiem, który wiele podróżował i zna świat. Do tego świetnie mówi po francusku.

Wspomniany pochyla się lekko na krześle, gdzie siedział wyprostowany, sztywny i poważny jak zazwyczaj, z opartymi o krawędź stołu mankietami nieskazitelnego czarnego fraka, uzupełnionego szeroką jedwabną krawatką, która zdaje się zmuszać go do trzymania głowy jeszcze wyżej. Całą swoją schludną postacią stanowi żywy kontrast z miłą niedbałością bibliotekarza.

– Pan też doskonale mówi w tym języku, don Hermogenesie – zauważa sucho.

Ten z kolei skromnie kręci przecząco głową, podczas gdy Vega de Sella spośród kłębow dymu rzuca w stronę admirała taksujące spojrzenie; szanuje starego wilka morskiego, choć zachowuje wobec niego pewien dystans. Nie bez powodu Pedro Zárate y Queralt znany jest jako człowiek ekscentryczny

i stroniący od świata. Emerytowany brygadier Floty Królewskiej, autor świetnego słownika morskiego, jest wysoki, szczupły, jeszcze przystojny, o melancholijnym wyrazie twarzy i sztywnych, niemal szorstkich manierach. Ma siwe, dość długie włosy, zaczynające już rzednąć, zebrane na karku wstążką z tafty w krótki kucyk. Tym, co najbardziej zwraca uwagę w jego twarzy, są jasnoniebieskie oczy, wodniste i przezroczyste – zazwyczaj wpatrujące się w rozmówcę z uporczywością, która staje się niepokojąca, niemal nieznośna, jeśli dość długo wytrzyma się to spojrzenie.

– To nie to samo – protestuje don Hermógenes. – Moja znajomość jest czysto teoretyczna. Czytałem teksty i tak dalej. Łacina zawładnęła całym moim życiem, zostawiając niewiele miejsca innym przedmiotom.

– Ależ pan czyta biegle Montaigne’a i Moliera, panie bibliotekarzu – mówi Vega de Sella. – Niemal równie spokojnie jak Cezara czy Tacyta.

– Czym innym jest czytanie w danym języku, a zupełnie innym swobodne jego używanie w mowie – upiera się skromnie Molina. – W odróżnieniu ode mnie don Pedro często się nim posługiwał: kiedy żeglował z francuską eskadrą, miał aż nadto okazji, by go praktykować. To naturalnie jeden z powodów, dla których wybrano go do tej podróży. Natomiast nie potrafię zrozumieć, dlaczego wybrano także mnie.

Dyrektor układa na twarzy doskonały uśmiech. Niemal zbolały, że musi znów mówić o oczywistościach.

– Dlatego, że jest pan godnym człowiekiem, don Hermogenesie. Rozważnym, szanowanym i kompetentnym bibliotekarzem w tej uczonej izbie. Osobą nieposzlakowaną, podobnie jak i nasz admirał. Koledzy akademicy nie pomylili się, pokładając w panu swoje zaufanie... Czy znacie już panowie datę wyjazdu?

Patrzy na jednego i drugiego, poświęcając obu dokładnie tyle samo czasu, kilka sekund wyłącznej uwagi. Usłużna uprzejmość kulturalnych

osób. W takich szczegółach delikatność Vegi de Selli wydaje się rzeczą najbardziej naturalną, dzięki czemu Jego Wysokość Karol III uważa go za swój skarb i prawą rękę w dziedzinie oczyszczania, stanowienia języka kastylijskiego, przez innych zwanego hiszpańskim, i przynoszenia mu chwały. Krążą plotki, że już wkrótce na jego szyi zawisnie łańcuch Orderu Złotego Runa za wybitne zasługi.

– Logistykę pozostawiam mojemu towarzyszowi podróży – wyjaśnia bibliotekarz. – Jako wojskowy, ma doświadczenie w zarządzaniu. Jest przytomny i zorganizowany. Dla mnie to wszystko jest zbyt trudne.

Dyrektor zwraca się do don Pedra Zárate.

– Jakie ma pan plany?

Ten zaś kładzie na stół jeden palec, a drugi ustawia w pewnej odległości i wzrokiem mierzy między nimi odległość, jakby obliczał mile na mapie morskiej albo w atlasie.

– Najkrótsza droga wiedzie traktem pocztowym z Madrytu do Bajonny, a stamtąd do Paryża.

– To jakieś trzysta mil³, obawiam się...

– Dwieście siedemdziesiąt pięć, według moich obliczeń – odpowiada admirał z chłodem znawcy. – Prawie miesiąc podróży. W jedną stronę.

– Na kiedy planują panowie wyjazd?

– Za jakieś dwa tygodnie będziemy gotowi, kalkuluję.

– Dobrze. Będę miał dość czasu, żeby zorganizować potrzebne środki. Czy oszacowali już panowie swoje potrzeby?

Admirał wyjmuje zza mankietu kurtki złożony we czworo arkusz papieru i rozkłada go na stole, wygładzając starannie. Jest wypełniony cyframi zanotowanymi pismem wyraźnym, bardzo starannym i czystym.

– Poza ośmioma tysiącami reali na samą *Encyklopedię*, oceniam na pięć tysięcy koszty pobytu w Paryżu i transportu, a dodatkowo jakieś trzy

tysiące na opłacenie podróży nas obu. Tutaj spisałem wszystkie szczegóły.

– To nie jest dużo pieniędzy – zauważa Vega de Sella ze zdziwieniem.

– Wystarczy. Nie przewiduję więcej kosztów niż te podstawowe. Akademii nie stać zbytki.

– Nie chciałbym, by pańska kieszeń...

Z pewną wyniosłością jasne oczy admirała wytrzymują spojrzenie Vegi de Selli, które właśnie jest skupione na niewielkiej poziomej bliźnie, na poły ukrytej pomiędzy zmarszczkami, ciągnącej się od skroni po lewą powiekę jego rozmówcy. Choć stary marynarz nigdy o tym nie mówi, krążą wśród akademików słuchy, jakoby to był ślad po odłamku, jaki zranił go podczas bitwy morskiej pod Tulonem.

– Mówię tylko za siebie, panie dyrektorze, nie za don Hermogenesa – wyjaśnia admirał. – Ale moja kieszeń jest moją sprawą.

Vega de Sella zaciąga się cygarem i spogląda na bibliotekarza, który kiwa głową z uprzejmym uśmiechem.

– Ślepo wierzę w wyliczenia mojego towarzysza podróży – stwierdza. – On żyje ze spartańskim umiarem człowieka morza, a ja jestem przyzwyczajony do skromnego życia.

– Jak sobie panowie życzą – poddaje się dyrektor. – Za kilka dni nasz skarbnik przekaze panom w gotówce część środków na podróż, a resztę w liście kredytowym do pewnego paryskiego bankiera z zaufanej firmy Vanden-Yver.

Admirał unosi palec wskazujący i godzi nim, po wojskowemu, w kartkę z kosztami podróży.

– Naturalnie rozliczymy całą kwotę do ostatniego reala – oświadcza uroczystym tonem. – Dzięki odpowiednim pokwitowaniom.

– Ależ, drogi przyjacielu... Nie sądzę, by trzeba było stosować aż tak skrajne wymogi księgowe wobec panów.

– Powtarzam moje słowa – upiera się admirał ze swoją zwykłą oschłością, przytrzymując palec na kartce z rachunkami, jakby od niej zależał jego honor. Vega de Sella zauważa, że jego paznokcie, w odróżnieniu od długich i brudnych zaniedbanego bibliotekarza, są całkiem krótkie i doskonale schludne.

– Według woli – zgadza się. – Należy jednak zastanowić się nad pewnym szczegółem; normalne wozy pocztowe są kiepsko wyposażone, niewiele dyliżansów przejeżdża całą trasę, a drogi są okropne. Panowie zaś nie są już w wieku, przepraszam za poufałość, by jeździć na oklep na mułach. Nikt z nas nie jest.

Żart budzi dobrotliwy uśmiech u don Hermogenesa, natomiast admirał pozostaje nieporuszony. Wobec wszystkiego, co choćby w najmniejszym stopniu odnosi się do jego osoby, don Pedro Zárate zawsze zachowuje się z pełną dystansu kokieteryą, nawet w stosunku do uwag na temat swojego wieku. Pomimo całkiem dobrej sylwetki, ubrań, które leżą na nim znakomicie, i wytwornego wyglądu akademicy dają mu sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć lat, jednak nikt nie zna jego dokładnego wieku.

– Droga powrotna – wyjaśnia dalej admirał – może być trudniejsza ze względu na bagaż. Dwadzieścia osiem tomów dużego formatu sporo waży. Trzeba będzie odpowiednio przystosować środek transportu, a biorąc pod uwagę sytuację, odprawy celne i tak dalej, niebacznym byłoby wysłać je bez dozoru.

– Powóz, bez wątpienia – sugeruje Vega de Sella po chwili namysłu. – Najlepiej byłoby, gdyby panowie mieli osobny pojazd. I raczej ciągnięty nie przez muły, tylko przez konie, które mają równiejszy krok i są szybsze... – Tu krzywi się nieco na myśl o kosztach. – Choć nie wiem, czy będzie to możliwe.

– Proszę się tym nie martwić. Wystarczą nam zwykłe dyliżanse pocztowe.

Dyrektor zastanawia się jeszcze chwilę.

– Mam angielski powóz – stwierdza – który jest idealny do konnego zaprzęgu. Może chcieliby panowie go użyć?

– Jest pan doprawdy wspaniałomyślny, ale poradzimy sobie z tym, co mamy do dyspozycji... Prawda, don Hermogenesie?

– Oczywiście.

Dyrektor już widzi, jak sobie radzą, każdy w swoim stylu. Bibliotekarz, poddający się niewygodom podróży ze swoją zwykłą, pełną rezygnacji dobroduszością, żartujący ze wszystkiego z niezmaconym humorem i optymizmem. Admirał, stoik dbający o pozory, chroniący się za sztywną wojskową dyscypliną podczas nie kończących się przejazdów, pobytów w nędznych oberżach, posiłków z kociołków ze starym sztokfiszem i cieciorką, w obłokach kurzu i pośród niezliczonych uciążliwości podróży.

– Będzie też potrzebny panom służący.

Don Hermógenes spogląda na niego zaskoczony.

– Co takiego?

– Pachołek, ktoś, kto się zajmie pomocą w niedogodnościach podróży.

Patrzą po sobie z pewnym zakłopotaniem. Vega de Sella wie, że don Hermógenes, zupełnie nie zważający na codzienne szczegóły, jest fatalnie obsługiwany i jeszcze gorzej żywiony przez stareńką służącą, która zajmowała się domem jeszcze za życia jego żony. Don Pedro Zárate to przypadek przeciwny. Nigdy nie był żonaty. Od czasu kiedy odszedł z Floty Królewskiej, żyje w towarzystwie swoich dwóch sióstr, starych panien, w podobnym wieku i o bardzo podobnym wyglądzie – często widuje się ich, jak w niedziele spacerują we trójkę pod wjazdami Prado, niedaleko ich domu przy ulicy Caballero de Gracia – które poświęcają całe swoje życie

trosce o niego. I owa kobieca ofiarność i siostrzana nabożność zdają się mieć tylko jeden cel: żeby nikt w Akademii nie mógł się równać z doskonałą i surową elegancją brata. Ciemne żakiety – one same tną wykroje i nadzorują krawca – zawsze z delikatnego sukna, niebieskiego, szarego albo czarnego, doskonale układają się na wysokiej i szczupłej sylwetce admirała. Jego kamizelki i spodnie śmiało mogą stawać w szranki z garderobą każdego arystokraty francuskiego, skarpety są nieskazitelne, bez jednej zmarszczki czy widocznego szwu, a wyprasowanie koszul i krawatów mogłoby przyprawić o bladą zazdrość samego księcia Alba.

– Mogę wyprawić kogoś z mojego domu – proponuje Vega de Sella.

– A jego wynagrodzenie? – niepokoje się don Hermógenes. – Nie wiem jak pan admirał, ale ja...

Wywołany marszczy brew, zde gustowany. To oczywiste, że ze względu na wychowanie i charakter oburza go mówienie o pieniądzach, choć pomimo wypiełgnowanego wyglądu nie ma ich zbyt wiele. Vega de Sella wie, że don Pedro Zárate i jego siostry właściwie nie posiadają majątku, żyją ze skromnych oszczędności oraz emerytury brygadiera i nie mają wiele więcej. Bo w tej nieszczęsnej Hiszpanii, kraju odwiecznej niesprawiedliwości i spóźnionych zapłat, gdzie emerytowani wojskowi i ludzie morza często umierają w nędzy, nawet należności nie przychodzą regularnie ani na czas.

– To sługa z mojego domu, jak mówię. Po prostu odstąpiłbym go panom.

– To też wspaniałomyślne z pańskiej strony, dyrektorze – mówi don Hermógenes. – To bardzo miłe. Jednak nie sądzę, aby było konieczne... Czy pan uważa tak samo, panie admirał?

Don Pedro kiwa głową.

– To luksus, bez którego możemy się obejść – ocenia chłodno.

– Jak panowie wolą – zgadza się Vega de Sella. – Ale powóz i woźnicę oddam panom do dyspozycji. Żeby był z panami ktoś zaufany. I proszę się co do tego ze mną nie spierać.

Don Pedro znów kiwa głową, tym razem nie otwierając ust. Szorstki, bardzo poważny, równie tajemniczy jak zwykle, jednak na jego twarzy widoczna jest melancholia. Być może, myśli dyrektor, to jego sposób wyrażania troski. To będzie długa, ryzykowna podróż. Wyjątkowa i szlachetna przygoda, odpowiadająca niezwykłym czasom – niesienie oświecenia, wiedzy tej epoki, do tego skromnego zakątka mądrej Hiszpanii, do jej królewskiej Akademii. I spróbują tego dokonać dwaj mężowie godni, prawi, odważni, którzy przejadą przez Europę coraz bardziej wzburzoną, gdzie stare trony już się chwieją i wszystko zdaje się zmieniać zbyt szybko.

1. Dewiza Hiszpańskiej Akademii Królewskiej brzmi: „Oczyszcza, stanowi i przynosi chwałę”.

2. *Raposo* – lis albo człowiek sprytny, szchwany.

3. Mila hiszpańska mierzy 6,687 km, a więc mowa o odległości rzędu 2000 km.

2. MEŹCZYZNA NIEBEZPIECZNY

To, co przyszło z zagranicy, przyjęto ze zbytnimi ograniczeniami doktrynalnymi i politycznymi. A wszystko po to, by chronić liczne przywileje i tradycje ideologiczne, nie mające już sensu w nowym świecie, którego widać było jutrzeńkę.

F. Aguilar Piñal, *Hiszpania oświeconego absolutyzmu*

W powieściach staram się zawsze dbać o miejsca akcji; choćby ich opisy miały się ograniczyć do kilku linijek, to ułatwiają stworzenie atmosfery odpowiedniej dla postaci i fabuły, a czasami stanowią część intrygi. Bez popadania w epicką przesadę można powiedzieć, że wrażenia odczuwane w dzień słoneczny albo szary, na otwartej lub ograniczonej przestrzeni, emocje związane z deszczem, mrokiem czy ciemnością wplatają się w akcję lub dialogi i pomagają skuteczniej wyznaczyć obszary narracyjne. Zasadniczo chodzi o to, by czytelnik wyobraził sobie sceny i sytuacje tak, jak sugeruje autor. Aby dzielił w najwyższym możliwym stopniu punkt widzenia opowiadającego historię.

Jestem dość dobrze obeznany z Madrytem ostatnich trzydziestu lat osiemnastego wieku, akcja jednej z moich wcześniejszych powieści toczyła się wówczas. Zatem wiedziałem, gdzie szukać danych, by dobrze osadzić moich bohaterów w tej scenerii. Mody i obyczaje tamtej epoki, nawet potoczne powiedzenia i sposób mówienia w owych czasach mogłem znaleźć w odpowiednich książkach – dziełach Cadalsa i Leandra Fernandeza de Moratín, farsach Ramona de la Cruz i Gonzaleza del Castillo, w pamiętnikach i relacjach z podróży ze szczegółowymi opisami

postaci, miejsc i zabytków. Także struktura miasta, bieg ulic czy lokalizacja budynków nie stwarzały poważniejszych problemów. W swojej bibliotece posiadam znakomite dzieła, do których sięgałem już wcześniej, kiedy pisałem powieść na temat powstania przeciwko wojskom napoleońskim z 2 maja 1808 roku. Jednym z nich był plan Madrytu opublikowany w 1785 roku przez kartografa Tomasa Lopeza, praca wykonana z podziwu godną precyzją – często zapominamy o tej zalecie map z czasów, kiedy nie istniały zdjęcia satelitarne – z załącznikiem zawierającym pełny spis ulic i budynków. Kolejne to książka zatytułowana *Plan miasta i dworu w Madrycie*, opublikowana przez Martineza de la Torre i Asensia w roku 1800, której kupno przed wielu laty zaproponował mi antykwariusz i księgarz Guillermo Blázquez. To ostatnie dzieło zawierało, prócz składanego planu, który dał tytuł opracowaniu, także sześćdziesiąt cztery mniejsze ilustracje przedstawiające charakterystyczne szczegóły każdej z dzielnic miasta.

Dysponując takim materiałem, łatwo było umiejscowić budynek Skarbca, gdzie miała swoją siedzibę Hiszpańska Akademia Królewska w czasach, kiedy dokonywano zakupu *Encyklopedii* – była to przybudówka Pałacu Królewskiego, którego wnętrza wówczas jeszcze wykańczano. Skarbiec dziś już nie istnieje, został zburzony w 1810 roku, kiedy tworzono plac Oriente; jednak znalazłem w Internecie rysunki tego budynku, prace anonimowego francuskiego architekta, przechowywane w Bibliotece Narodowej. Z nimi i z kopiami innych planów w ręce chodziłem po tej okolicy, starając się dopasować aktualną topografię do tej sprzed wieków, urządziłem sobie długie spacer, podczas których próbowałem odtworzyć wygląd budynku, gdzie członkowie Hiszpańskiej Akademii Królewskiej zbierali się przez czterdzieści lat, aż do roku 1793, kiedy królewskim dekretem została im przyznana siedziba przy ulicy Valverde. W ten sposób

wyobraziłem sobie ówczesnych czcigodnych mędrców wchodzących do starej budowli i wychodzących z niej, a także odtworzyłem przybliżoną trasę, jaką Manuel Higuera i Justo Sánchez Terrón, dwaj akademicy, którzy z różnych przyczyn ideologicznych byli przeciwni zakupowi *Encyklopedii*, przemierzali podczas nocnej przechadzki ulicą Mayor aż do placu Puerta del Sol, kiedy to ten pierwszy przekonywał drugiego, by zjednoczyć siły przeciwko paryskiej wyprawie akademików.

Przed przystąpieniem do dalszych prac musiałem wyznaczyć scenę jeszcze jednego wydarzenia – spotkania Higuera i Sancheza Terróna z niebezpiecznym człowiekiem z tej historii, Pascuałem Raposo – które odegra nadzwyczaj ważną rolę w późniejszym rozwoju akcji. Opowieść wymagała, by odbyło się ono w specyficznym miejscu, którego atmosfera pozwoli nakreślić pewne cechy tej postaci. W końcu zdecydowałem się umieścić tę trójkę w lokalu typowym dla tamtej epoki – kawiarni w stylu znanym z *La comedia nueva* (Nowej komedii) Moratina, ale z połączonymi salami, gdzie można by grywać w bilard, karty i szachy. Miejsce takie powinno znajdować się w centrum miasta, zatem po przyjrzeniu się mapom wybrałem lokalizację pomiędzy ulicą San Justo i placem Conde de Barajas, w sercu tak zwanego – nie zawsze właściwie – Madrytu dynastii austriackiej. Sprawdziłem to następnie w terenie – wszystko zdawało się idealnie pasować. I tam, przed starym budynkiem, który mógł już istnieć w czasach, kiedy toczy się akcja naszej opowieści, wyobraziłem sobie jednego z bohaterów, jak bez najmniejszej chęci przychodzi na spotkanie.

Lokal, którego szuka Justo Sánchez Terrón, stoi przy wąskiej, ciemnej uliczce niedaleko placu Puerta Cerrada. Na sznurach rozwieszonych między balkonami suszy się pranie, a środkiem brukowanej ulicy płynie strumień brudnej wody. Fasada budynku wychodzi na dość przyzwoitą okolicę, ale sam Sánchez Terrón nalegał, by spotkać się w dyskretniejszym miejscu,

gdzie nie dosięgną ich ludzkie spojrzenia. Filozof i akademik z uniesioną brwią przemierza szybkim krokiem ostatni odcinek drogi, popycha uchyloną bramę i wchodzi do środka, marszcząc nos – czuć tam starą wilgocia i dymem tytoniowym. W głębi ciemnego korytarza słychać gwar rozmów i stukot uderzających o siebie bil. Światło dochodzące przez okienko w górze oświetla czekającego mężczyznę, siedzącego na krześle i przeglądającego gazetę „Diario Noticioso” przy stoliku, na którym stoi filiżanka z nie dopitą czekoladą i talerzyk z okruchami biszkopta.

– Punktualny jak zwykle, don Justo – mówi Manuel Higuera zamiast powitania, chowając do kieszonki obcisłego żakietu zegarek, na którym właśnie sprawdzał godzinę.

– Streszczajmy się – odpowiada Sánchez Terrón z pewną irytacją.

– Na wszystko będzie czas.

– Nie mam go wiele.

Higuera z uśmiechem dopija ostatni łyk, mozolnie podnosząc się od stolika.

– Reumatyzm – wyjaśnia, odstawiając filiżankę. – Kiedy dłuższy czas się nie ruszam, sporo wysiłku kosztują mnie pierwsze kroki... Pan tymczasem zawsze zdrów jak rydz. Na leśnej polanie.

Sánchez Terrón gestem okazuje zniecierpliwienie.

– Proszę mi oszczędzić tych pogaduszek. Nie przyszedłem tu rozmawiać o naszym zdrowiu.

– Pewnie. – Drwiąca mina. – Tego by brakowało.

Higuera z przesadną uprzejmością wskazuje ręką korytarz i obaj akademicy ruszają w milczeniu. Rozgwar rośnie, w miarę jak zbliżają się do pomieszczenia w głębi. Wchodzą do przestronnej sali podzielonej na dwie części – jedną zajmują stoły bilardowe, przy których liczni mężczyźni zajęci są kijami i kulami z kości słoniowej, w drugiej, mniejszej

i znajdującej się na podwyższeniu, stoją stoliki otoczone przez graczy i gapiów. Kelner w fartuchu krąży tam z dzbankami z kawą i czekoladą, napełniając filiżanki. Czyta się też tu gazety i pali tytoń, fajki i papierosy, a zamknięte okna powodują, że panuje mroczna atmosfera, zagęszczona jeszcze szarym dymem.

– *Ecce homo* – mówi Higuera.

Ruchem brody wskazuje stoliki, gdzie gra się w karty. A tam mężczyzna około czterdziestki, o kręconych włosach i gęstych bokobrodach przyciętych w kształt siekiery, podnosi twarz na ich widok. Potem kładzie na stół króla kier, wymienia kilka słów z innymi graczami, wstaje i podchodzi do nowo przybyłych. Jest raczej niski, szeroki w ramionach opiętych kurtką z brązowego sukna. Ma zamszowe spodnie, nie nosi skarpet ani pantofli do chodzenia po mieście, tylko zwykłe wysokie buty ze sztylpami. Kiedy jest już przy nich, Higuera czyni honory.

– Don Justo, przedstawiam panu Pascuala Raposo.

Rękę, którą tenże Raposo swobodnie wyciąga – silną, szorstką, tak samo ciemną jak ogorzała twarz – Sánchez Terrón lekceważy, trzyma dłonie założone na plecach i ogranicza się do uniesienia brody o dwa cale ruchem, który bardziej niż powitanie oznacza pogardę. Nie przejmując się tym, Raposo przez chwilę przygląda mu się, prawie uprzejmie, swoimi ciemnymi oczyma, po czym spogląda uważnie na swoją rękę ciągle zawieszoną w pustce, jakby chciał sprawdzić, co może się w niej nie podobać, a potem podnosi ją do kamizelki, gdzie zatyka kciuk za kieszonkę.

– Proszę wejść – mówi.

Akademicy idą z nim do osobnego pokoju, gdzie mieści się stół nakryty zielonym suknem, z talią wytartych kart, i kilka krzeseł, na których siadają.

– Słucham panów.

Raposo zdaje się zwracać do Higuierueli, choć patrzy też na Sancheza Terrona. Ten wzrusza ramionami w mało uprzejmym geście, przekazując inicjatywę swojemu towarzyszowi. Pośród ludzi takich jak wy, zdaje się sugerować filozof swoim milczeniem, ja jestem wyłącznie gościem.

– Don Justo i ja uzgodniliśmy – zaczyna Higuieruela – że skorzystamy z pańskich usług.

– W takim zakresie jak ustaliliśmy trzy dni temu?

– Tak, właśnie. Kiedy może pan przystąpić do realizacji planu?

– Kiedy panowie wskażą. Zależać to będzie, jak sądzę, od wyjazdu tych jegomościów.

– Według naszych informacji wyruszają w następny poniedziałek.

– Zwykłym powozem pocztowym?

– Akademia podstawia im wóz podróżny... Konie będą zmieniać na stacjach wymiany, tam gdzie to będzie możliwe.

Pauza. Raposo bierze do ręki talię kart i tasuje ją, zamyślony. Sánchez Terrón zauważa, że po każdym kolejnym tasowaniu między palcami Raposa pojawia się as.

– Będzie pan jechał za nimi – ciągnie Higuieruela. – Dyskretnie, rzecz jasna... Wyruszy pan w podróż sam?

– Tak. – Mężczyzna kładzie na suknie trzy walety po kolei i patrzy na talię, jakby zastanawiał się, gdzie jest czwarty. – Będę jechał konno.

– Pan Raposo był żołnierzem – wyjaśnia Higuieruela Sanchezowi Terronowi. – Służył w kawalerii. Pracował też w policji, kiedy likwidowano zakon jezuitów. A swoją drogą...

Raposo unosi kartę, trójkę trefl, żeby przerwać nadmierną wymowność dziennikarza. Sympatyczna mina – nagła, znikająca równie szybko, jak się pojawiła – osłabia gwałtowność gestu.

– Wątpię, czy pana – mówi, spoglądając na Sancheza Terrona – interesuje mój życiorys. Nie przyszli panowie tutaj, byśmy rozmawiali o mnie, ale o podróży. I podróżnych.

– Droga do celu jest mniej ważna – tłumaczy Higuieruela. – Wystarczy, żeby pan ich śledził... Poważna praca zacznie się dopiero w Paryżu. Tam trzeba zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, by uniemożliwić im wykonanie zadania. W żadnym razie tych dwadzieścia osiem tomów nie może przekroczyć granicy hiszpańskiej.

Raposo uśmiecha się zadowolony. Właśnie położył na suknie ostatniego waleta trefl obok pozostałych trzech.

– Da się zrobić – mówi.

Cisza. Z kolei Sánchez Terrón po chwili wahania zabiera głos.

– Ma pan, jak rozumiem, dobre kontakty w Paryżu.

– Spędziłem tam trochę czasu. Znam miasto. I jego zasadzki.

Ostatnie słowo sprawia, że filozof mruga.

– Naturalnie – zauważa – nienaruszalność fizyczna obu podróżnych musi zostać bezwzględnie uszanowana.

– Całkiem bezwzględnie?

– Tak jak mówię.

Spojrzenie Raposa spomiędzy bokobrodów obramowujących jego twarz unosi się powoli znad kart na guziki z masy perłowej zdobiące żakiet Katona z Oviedo. Następnie wędruje po pretensjonalnym krawacie aż do jego oczu.

– Oczywiście – mówi niewzruszonym tonem.

Sánchez Terrón wytrzymuje jego spojrzenie przez chwilę. Potem przenosi je ku Higuierueli z odrazą, prosząc, by teraz on przejął pałeczkę.

– To nie wyklucza, naturalnie – odzywa się dziennikarz – kłopotów, jakie pan, Raposo, uzna za konieczne.

– Kłopotów? – Wezwany drapie się po zaroście. – No tak. Jasne.

Akademicy wymieniają spojrzenia: pełne obaw Sancheza Terrona, uspokajające Higuierueli.

– Najlepiej byłoby – sugeruje dziennikarz – by w obliczu określonych trudności tamci panowie zdecydowali, że muszą zarzucić to przedsięwzięcie.

– Trudności – powtarza Raposo, jakby analizował sens tego słowa.

– Właśnie.

– A jeśli nie wystarczą zwykłe trudności?

Higuieruela kurczy się niczym kalmar. Brakuje tylko, żeby trysnął atrament.

– Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Rozumie pan doskonale. – Raposo zbiera walety i troskliwie składa całą talię. – Chciałbym ustalić, co mam robić, jeśli pomimo kłopotów i trudów podróży ci panowie zdobędą książki, po które jada.

Higuieruela otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale wyprzedza go Sánchez Terrón.

– W takim przypadku ma pan wolną rękę, żeby pozbawić panów ich zdobyczy.

Jeśli filozof chciał zachować w tej rozmowie wyższość moralną, to mu się nie udało. Raposo patrzy na niego z wyraźną złośliwością.

– Jak wolną?

– Całkowicie wolną.

Mężczyzna spogląda z ukosa na Higuieruelę, upewniając się co do sensu usłyszanych słów. Potem odkłada karty na sukno.

– Wolna ręka kosztuje, proszę panów.

– Wszystko zostanie uregulowane – uspokaja go dziennikarz. – Co do reala ponad ustaloną kwotę.

Wkłada rękę do wewnętrznej kieszeni żakietu, wyjmując z niej sakiewkę – w środku znajduje się sześć tysięcy osiemdziesiąt reali w dziewiętnastu złotych uncjach – i oddaje ją w ręce Raposa. Ten przez chwilę ocenia jej wagę, nie otwierając i patrząc ze spokojną beczelnością to na jednego akademika, to na drugiego.

– Dzielą się panowie kosztami?

Na te słowa Sánchez Terrón wierci się na krześle.

– Nie pańska sprawa – mówi szorstko.

Raposo wyrazem twarzy okazuje, że się zgadza, chowając sakiewkę do kieszeni.

– Ma pan rację. Nie moja.

Znów milczenie. Raposo nadal przygląda się im bez słowa, z dziwnym błyskiem rozbawienia w oku.

– Grają panowie w karty? – pyta naraz. – W remika czy w coś innego?

– Ja gram – odzywa się Higuera.

– Nie. Absolutnie – protestuje z pogardą Sánchez Terrón.

– W karty wygrywa się albo przegrywa... Ale zawsze jedno karty trzeba zbijać innymi... Rozumiecie panowie?

– Oczywiście.

Raposo opiera łokcie na suknie, patrzy na talię i znów odwraca się do filozofa. A wtedy Sánchez Terrón odnosi wrażenie, że pod kurtką u jego boku widzi rękojeść wielkiego noża.

– Co by było, gdyby wskutek skrajnych, nieprzewidzianych okoliczności któryś z podróżników albo obaj wpadli w tarapaty?

Bardzo długa cisza. Higuera z swoim zwykłym cynizmem odzywa się pierwszy.

– Jak duże?

– No nie wiem. – Raposo uśmiecha się wymijająco. – Kłopoty to rzecz normalna podczas długich i niebezpiecznych wypraw.

– Los nas wszystkich pozostaje w rękach Pana Boga.

– Albo przeznaczenia – uzupełnia Sánchez Terrón tonem uroczystym i przemądrzałym. – Natura rządzi się nieugiętymi prawami.

– Rozumiem. – W oczach Raposa po raz kolejny pojawia się błysk kpiny. – Prawa natury, mówi pan.

– Tak, właśnie.

– Król, dama, walet i tak dalej... Licytujesz albo cię przelicytują.

– No tak, tak sędzę.

Raposo znów drapie się po bokobrodach.

– Jest coś, czego zawsze chciałem się dowiedzieć – mówi po chwili namysłu. – Panowie jesteście członkami akademii języka, prawda?

– Istotnie – potwierdza dodatkowo ruchem głowy Sánchez Terrón.

– Od dawna mam taką wątpliwość... Kiedy słowo zaczyna się od „nie”, należy je pisać razem czy osobno? Poprawnie pisze się „nieugięty” czy w dwóch słowach: „nie ugięty”?

W tym samym czasie w swoim domu przy ulicy Niño don Hermógenes Molina, bibliotekarz Hiszpańskiej Akademii Królewskiej, pakuje bagaże. Niewielka skrzynia i stara walizka ze skóry i kartonu, bardzo wysłużone, leżą otwarte przy łóżku w sypialni. Gospodyni, która u niego sprząta, włożyła już do nich bieliznę, szlafrok, szlafmycę i nowe buty z krowiej skóry na zapas, kupione specjalnie na podróż. Nie jest to olśniewająca garderoba – pończochy są pocerowane, koszule zaczynają się strzępić przy

mankietach i kołnierzyku, a wełna szlafmicy bardziej prześwituje, niż grzeje. Dochody starego profesora i tłumacza łaciny w Madrycie w tamtej epoce – jak i w każdej innej – nie wystarczają na wiele więcej, a koszty węgla, wosku i oliwy, opłaty za ogrzewanie, jedzenie i oświetlenie, czynsz i podatki gminne, do tego tytoń, książki i inne drobiazgi pochłaniają całe skromne przychody tego domostwa.

– Stół zastawiony, don Hermogenesie – ogłasza gospodyni, pojawiając się w drzwiach.

– Już idę.

Gospodyni – piętnaście lat na służbie u wołanego na kolację i jego żony nieboszczki – pochrząkuje niechętnie.

– Tylko niech pan zaraz przyjdzie, bo zupa wystygnie.

– Przecież mówię, że już idę.

Nie spiesząc się, don Hermógenes składa kamizelkę i spodnie i pakuje je do skrzyni. Następnie układa na wierzchu, tak żeby nie pomięły się rękawy ani poły, żakiet z ciemnego sukna, mocno znoszony. Na oparciu krzesła wisi czarna peleryna ze szkarłatnymi wyłogami, parasol przeciwsłoneczny z nawoskowanej tafty i czapa z futra bobra z okrągłym otokiem, niejasno kojarząca się ze strojem duchownego; na komodzie leży reszta skromnych przedmiotów, jakie towarzyszyć będą ich właścicielowi w podróży, która rozpocznie się już niebawem – przybory do golenia i mycia, dwa ołówki i zeszyt, zniszczony kieszonkowy zegarek z dewizką, lakierowana tabakiera, brzytwa z rękojeścią z byczego rogu i Horacy w dwujęzycznym wydaniu w oktawie.

Ułożywszy żakiet w kufrze, bibliotekarz staje bez ruchu. Zamyśla się. Czasami wyobrażenie czekającej go podróży powoduje silne, obezwładniające zmęczenie, gęste jak zupa czekająca teraz na stole w jadalni. Czuje głęboki niepokój. Don Hermógenes jeszcze nie rozumie,

jak to się stało – wszyscy przypisują to jego wrodzonej dobroci, ale on sam tak tego nie widzi – że podjął się bez specjalnego oporu wykonania zadania powierzonego mu przez kolegów akademików i wskutek tego dzisiaj znajduje się w przeddzień długiej, męczącej podróży za granicę. Nie jest już w wieku ani w formie odpowiednich do podejmowania takich wysiłków, stwierdza z westchnieniem smutku. Nigdy nie był zainteresowany podróżami poza Hiszpanię, chyba że do Włoch, kolebki świata łacińskiego, której poświęcił życie i studia; nigdy jednak nie miał okazji do odbycia tej wyśniewanej wyprawy, poznania Florencji czy Neapolu, zwiedzenia Rzymu, spacerowania wśród jego czcigodnych kamieni, by nasłuchiwać między nimi echa pięknej łacińskiej mowy, z której wskutek alchemii czasu i historii powstanie później język kastylijski, teraz używany przez najróżniejsze narody na brzegach wszystkich oceanów. Don Hermógenes nigdy nie opuścił Hiszpanii, a i tutaj nie podróżował zbyt wiele – w młodości do Alcalá de Henares i Salamanki na studia, potem do Sewilli, Kordoby, Saragossy. Niewiele więcej. Większość czasu spędził przy płomieniu świecy, niszcząc wzrok nad dawnymi tekstami, z palcami poplamionymi atramentem, obgryzając czubek pióra. „Dla chwały Temistokla uznać można jego pochodzenie nieznanym...” I tak dalej.

Jednak istnieje pewne kuszące słowo, nazwa miasta: Paryż. Czeka go na końcu uciążliwej drogi, jaką akademik widzi przed sobą. Miano to stało się w ostatnich czasach fascynującą przynętą dla takich osób, które jak don Hermógenes czują – w Hiszpanii często skrycie, z powodu zwykłej ostrożności – puls właśnie zmieniającego się świata, oświecenie, które stawiając rozum ponad starymi dogmatami, wyznacza właśnie ścieżkę mogącą prowadzić do powszechnej szczęśliwości ludzi. W wieku sześćdziesięciu trzech lat, odumarły przez żonę, dobrą kobietę, wycieńczoną przez chorobę i po chrześcijańsku pogodzoną z losem,

bibliotekarz Akademii wierzy w to inne życie; jego wiara jest szczerą i żadne poważne wątpliwości – jak to się dzieje z niektórymi znajomymi (to słabość właściwa obecnym czasom) – nie mącą zbyt spokoju jego duszy. Bibliotekarz królewskiej Akademii uważa, że Pan Bóg jest Stwórcą i miarą wszechrzeczy, ale także – bo przecież pisma, wśród których spędził całe życie, doprowadziły go do takiego wniosku – sądzi, że człowiek powinien znajdować szczęśliwość i zbawienie na ziemi, wiodąc życie w harmonii z prawami naturalnymi, i nie odkładać tej pełni na inne istnienie, to pozaziemskie, które miałyby kompensować cierpienia doznane tutaj. Pogodzenie obu przekonań nie zawsze jest proste, ale szczerą pobożność i religijność don Hermogenesa sprawiają, że w chwilach największej niepewności pojawiają się mosty łączące rozum i wiarę.

W takim kontekście Paryż jest wielkim wyzwaniem. Kuszącym przeżyciem. W tym mieście, które stało się niekwestionowanym centrum świata rozumu walczącego z bezrozumnością, tygłem, gdzie buzuje wszystko, co najlepsze w ludzkim intelekcie i nowoczesnej filozofii, rozwiązują się węzły gordyjskie, kruszeją wierzenia wcześniej nie do pokonania, dyskutuje się o wszystkim, co pod słońcem i na ziemi. Nawet święte podstawy monarchii francuskiej – i w logicznej konsekwencji wszystkich innych istniejących królestw – nie pozostają nienaruszalne w ogólnym zamęcie. Poznać to wszystko z bliska, poczuć pod palcami pulsowanie szalonego serca nowego świata, przeżyć kilka dni pośród wrzenia miasta, w którego salonach, kawiarniach i magłach, od kantorów sklepowych aż po królewskie korytarze, kipi to wszystko, jest okazją, której nawet przyrodzona pokojowa natura don Hermogenesa nie może się oprzeć.

– Mówiłam, że zupa stygnie. I nie będę powtarzać.

– Już idę, Juano. Przestań marudzić... Powtarzam ci, już idę.

Bibliotekarz podnosi wzrok i widzi przez okno sypialni klasztor Trynitariuszek znajdujący się na końcu ulicy. I stwierdza, że przy każdej okazji, spoglądając tam, odczuwa ogarniającą go melancholię. Zatechły, nieoświecony i zgnębiony naród, tak bardzo potrzebujący idei, które zmienią na lepsze jego przyszłość, przechowuje sporą część tutejszych dolegliwości za tymi murami z czerwonej cegły. Miguel Cervantes, człowiek, który przysporzył największej chwały literaturze hiszpańskiej i powszechnej, leży właśnie tam, w zbiorowym grobie. Jego kości, pomieszane z innymi, obróciły się w proch. Umarł w biedzie, opuszczony przez niemal wszystkich, zapomniany przez współczesnych, po latach pełnych niedoli, niemal nie zaznając za życia sukcesu swojej nieśmiertelnej powieści. Jego zwłoki przeniesiono na teren klasztorny ze skromnego mieszkania, gdzie żył i umarł, dwie przecznice stąd, na skrzyżowaniu ulic Francos i León, bez świty ani jakiegokolwiek pompy, i pochowano gdzieś w ciemnym kącie, który dawno temu popadł w niepamięć. Zlekceważony przez współczesnych, uznany dużo później, gdy za granicą zaczęto się zaczytywać *Don Kichotem* i drukować jego kolejne wydania, dziś nie ma nawet tablicy czy napisu upamiętniającego jego imię. Dopiero z czasem, dzięki rozsądkowi i zaangażowaniu sprawiedliwych ludzi – głównie obcokrajowców – oddano mu należną cześć, której jego rodacy odmówili mu za życia i wobec której dziś jeszcze spora część zgnuśniałej Hiszpanii, przywiązanej do walk byków, teatralnych fars i towarzyskich mód, pozostaje obojętna. Te anonimowe ceglane mury są smutnym symbolem całego ciemnego narodu, drzemającego wśród ruin przeszłości, samobójczo zadowolonego i uwięzionego w sobie samym. Gorzką pośmiertną lekcją jest ten zapomniany grób godnego męża, żołnierza spod Lepanto, pojmanego w niewolę w Algierze, nieszczęsnego za życia, który stworzył najbardziej genialną i nowatorską powieść wszech czasów.

– Don Hermogenesie! Albo przyjdzie pan natychmiast, albo odnoszę zupę do kuchni!

Z pełnym rezygnacji westchnieniem akademik odwraca się od okna i idzie powoli do jadalni korytarzem, gdzie naprzeciw ściany z półkami pełnymi książek stoi ołtarzyk Niepokalanej z polichromowanego gipsu, przed którym płonie słaby płomyk świeczki wstawionej do lichtarza.

Zebranie wiadomości na temat emerytowanego brygadiera don Pedra Zárate y Queralta okazało się trudniejsze niż poznanie życia bibliotekarza. Początkowo nie udawało mi się znaleźć o nim żadnych informacji poza kilkoma linijkami w książce Sisiña Gonzaleza-Allera na temat hiszpańskich ludzi morza czasów oświecenia. Wreszcie po licznych poszukiwaniach skojarzyłem rozmaite dane i częściowo zrekonstruowałem jego biografię. Pełen dyskrecji, bez specjalnie godnych podkreślenia czynów podczas służby na morzu, akademik ten nie należał do grona wyróżniających się, słynnych wojskowych tamtych czasów. Udało mi się ustalić, że według wszelkiego prawdopodobieństwa pozostał kawalerem – marynarze na służbie w marynarce wojennej potrzebowali zezwolenia przełożonych na zawarcie małżeństwa, a to musiałoby zostawić ślad w oficjalnych rejestrach – i potwierdzić, że mieszkał w domu przy ulicy Caballero de Gracia, przy skrzyżowaniu z ulicą Alcalá. Jedyna pewna informacja, jaką znalazłem na temat jego udziału w manewrach wojennych, dotyczyła służby w wieku dwudziestu sześciu lat w stopniu podporucznika marynarki na pokładzie okrętu Real Felipe, wyposażonego w sto czternaście dział, podczas ciężkiej bitwy morskiej koło przylądka Sicié w pobliżu Tulonu, wspólnie z eskadrą markiza de la Victorii, 22 lutego 1774 roku. I od tego dnia jego kariera w marynarce wojennej przebiegała w sposób bliżej nie znany, najpierw w akademii straży morskiej w Kadyksie, a potem

w biurokracji ministerstwa marynarki, aż do chwili przejścia w stan spoczynku w stopniu brygadiera.

Natomiast więcej informacji niż o życiu wojskowym znalazłem w archiwach Akademii na temat jego zaangażowania literackiego. Niemal od samego początku Hiszpańska Akademia Królewska kultywowała tradycję posiadania wśród swoich członków przedstawiciela sił zbrojnych, czy to lądowych, czy morskich, by zajmował się hasłami słownika odnoszącymi się do wojskowości, bardzo zresztą licznymi w czasach takich jak tamte, kiedy wojna – Wielka Brytania pozostawała wrogiem Hiszpanii przez cały osiemnasty wiek – była na porządku dziennym. W tej dziedzinie don Pedro Zárate działał prężnie, jego nazwisko figuruje pod wieloma hasłami umieszczonymi w słownikach wydanych w latach 1783 i 1791, a dotyczących języka wojskowego. Jednak najważniejszym dziełem jego życia był *Słownik marynarki wojennej*, pierwsze tego rodzaju dzieło opracowane w Hiszpanii, nie licząc kilku dość chaotycznych podręczników żeglugi czy mniej ambitnych tezaurusów. Siedząc przy jednym ze stołów w naszej bibliotece, trzymałem w rękach jego egzemplarz – wydany *in quarto*, z piękną typografią, w Kadyksie w 1775 roku. A kilka dni później, przy obiedzie w Lhardym z moim przyjacielem admirałem José Gonzalezem Carrionem, dyrektorem Muzeum Morskiego w Madrycie, słuchałem, jak mówił on więcej i nieco głębiej o tej książce i jej autorze. Słownik autorstwa don Pedra Zárate, potwierdził, to klasyka. Podstawowe dzieło dla ludzi morza tamtych czasów, które przewyższa jedynie wydany pół wieku później *Hiszpański słownik morski* autorstwa Timotea O'Scanlana.

Przedtem, z tego, co wiadomo, Zárate współpracował z Juanem José Navarro, markizem de la Victorią, który wysłał hiszpańską eskadrę na bitwę z Anglikami pod Tulonem. Navarro opracował w 1756 roku wspaniały

wielkoformatowy album dotyczący nauk morskich, który nigdy nie został opublikowany, a niedawno dopiero wydaliśmy jego faksymile. W niektórych notach odnoszących się do tego dzieła znajdują się listy i raporty podpisane: don Pedro Zárate y Queralt. Niemal wszystkie dotyczą słownictwa marynarskiego, które było jego głównym przedmiotem zainteresowania.

Pochylił się, żeby sięgnąć po teczkę, którą trzymał opartą o nogę krzesła, wyjął plastikową przezroczystą obwolutę i położył ją przede mną na obrusie. Były w niej liczne fotokopie.

– Masz tutaj wszystko, co udało mi się znaleźć na temat twojego brygadiera czy admirała, jak go nazywano w Akademii Królewskiej. Znajdziesz tam rekomendację awansu na porucznika fregaty, napisaną własnoręcznie przez markiza de la Victorii, i list admirała, bardzo interesujący, na temat zalet i precyzji słownictwa morskiego... To przybliży ci jego postać.

– Na członka Hiszpańskiej Akademii Królewskiej został wybrany w 1776 roku – zauważyłem. – Na miejsce generała Osoria, wywodzącego się z wojsk lądowych.

– Zbieg dat wydaje się logiczny: słownik Zaratego wyszedł rok wcześniej, stąd zainteresowanie jego osobą. Nowością tego dzieła było to, że po raz pierwszy opublikowano systematyczne, świetnie uporządkowane kompendium terminologii morskiej... Zárate miał też znakomity pomysł, by każdemu wyrazowi towarzyszyły jego odpowiedniki w ówczesnych najważniejszych dla żeglugi językach: francuskim i angielskim. Było to dzieło zbieżne z zasadami oświeczonej marynarki, która przechodziła w tamtym czasie zupełną odnowę i jeszcze należała do najważniejszych flot świata. To praca czysta, świeża, uporządkowana, nowoczesna... Wspaniałe, pierwszorzędne osiągnięcie naukowe i kulturalne.

– Ludzie morza jeszcze czytali – zauważyłem prowokacyjnie. – I pisali książki.

González Carrión wybuchnął śmiechem. Teraz też tacy się trafiają, powiedział. Choć jest ich mniej. Faktem jest, dodał, że w drugiej połowie osiemnastego wieku, wskutek reformy przeprowadzonej przez markiza Ensenadę, nasza flota morska rosła w siłę i wydawało się, że nic jej nie zatrzyma. Zamorskie kolonie dostarczały materiałów pozwalających na budowę zgodnie z najnowocześniejszymi w owym czasie technikami konstrukcyjnymi, a dzięki akademii straży morskiej w Kadyksie oficerowie Floty Królewskiej odbierali elitarne wykształcenie naukowe i morskie, chociaż załogi, rekrutowane siłą, źle opłacane i pozbawione jakiegokolwiek motywacji przez niesprawiedliwy, arystokratyczny system, nie zawsze stawały na wysokości zadania. Niesamowicie dużo ważnych dzieł opublikowanych przez hiszpańskich ludzi morza tamtej epoki znajduje się dziś w bibliotece Muzeum Morskiego – statuty, kartografia, portulany, podręczniki i rozprawy dotyczące nawigacji morskiej. Około setki książek fundamentalnych dla nautyki i nauki w ogóle.

– Byli to oświeceni marynarze w czasach pełnych nadziei – zakończył mój rozmówca. – Ludzie cieszący się uznaniem, nawet u wrogów... Kiedy Antonio de Ulloa został uwięziony przez Anglików, gdy wracał z podróży, w trakcie której wytyczał długość geograficzną Ameryki, przyjmowano go w Londynie z wszelkimi honorami, wstąpił do tamtejszych towarzystw naukowych. – Tutaj przerwał i przyglądał się swojemu talerzowi wzrokiem pełnym melancholii. – Ale to wszystko: ludzie, statki, książki, skończyło się pod Trafalgarem, kilka lat później... A potem przyszło to, co przyszło.

Zmieszał widelcem ciecierzycę z *cocido*, ale zaraz odłożył go na talerz. Tak jakby jego własne słowa odebrały mu apetyt.

– Zárate na swoim skromnym poletku był jednym z owych oświeconych marynarzy – dodał po chwili milczenia. – Jednym z tych, którzy z uporem starali się przyczynić do budowy marynarki nowoczesnej i szanowanej, która potrafiłaby sprostać wyzwaniu, jakim było utrzymanie hiszpańskiego imperium, wówczas rozciągającego się jeszcze po obu stronach Atlantyku i nad Pacyfikiem. Człowiek uczony, godny, uczciwy, tak jak wielu innych, którzy nie doczekawszy się jakiegokolwiek oficjalnego uznania, zginęli w beznadziejnych bitwach morskich albo po prostu umarli w nędzy, z poborami zaległymi w połowie lub w ogóle nie wypłaconymi... Bo kraj, w którym żyli, nie zamierzał się zmieniać. Było zbyt wiele ciemnych sił, a każda z nich ciągnęła w swoją stronę.

Znów zamilkł z widelcem w ręku, po czym odłożył go na brzeg talerza i sięgnął po kieliszek wina.

– Przynajmniej próbowali. – Wypił łyk i spojrzał na mnie ze smutnym uśmiechem. – Ci wspaniali ludzie przynajmniej próbowali.

Jako że istnieje słownik Akademii, który ukazuje całą wielkość, obfitość i piękno języka kastylijskiego, a marynarka i żegluga są motorem handlu i postępu, chciałem stworzyć słownik znacznie skromniejszy, który, podobnie jak to jest wśród innych światłych narodów, zawierałby i poszerzał część poświęconą sztukom i naukom morza; nie po to, by wymyślać słowa, ale by wiernie i porządnie zebrać określenia uznane autorytetem naszych pisarzy, a także poprzez rozumne i oświecone używanie, a nawet powszechną mowę prostych ludzi morza, by w ten sposób przyczynić się do ich lepszego użycia i znajomości...

Don Pedro Zárate, emerytowany brygadier Floty Królewskiej, odkłada pióro i raz jeszcze czyta ostatnie linijki, kończące wstęp do nowego wydania jego *Słownika marynarki wojennej*. Światło lampy oliwnej stojącej

na biurku w gabinecie wystarcza mu, bo pomimo wieku zachował wzrok niemal doskonały, widzi z bliska bez okularów. W końcu zadowolony z tekstu potrząsa puszką z piaskiem do osuszania atramentu, składa papier razem z czterema innymi kartami zapisanymi wcześniej i całość lakuje. Potem zanurza pióro w kałamarzu, wypisuje adres – drukarnia Kolegium Straży Morskiej, Kadyks – i kładzie pakiet dokładnie na środku stołu, po czym wstaje, rozglądając się ostatni raz wokół, by sprawdzić, czy wszystko zostawił w porządku. To ostatnie spojrzenie jest jednym z jego zwyczajów, które pomimo upływu lat znamionują rutynowe zachowania. Admirał jest wierny nie tylko drobiazgowości, będącej wynikiem marynarskiego wykształcenia i zawodowych przypadków młodości, kiedy każde wyruszenie w podróż niosło ze sobą ewentualność, że powrotu nie będzie, ale też przestrzega pedantycznie dyscypliny. Pozostawienie każdej rzeczy na swoim miejscu oznacza wygodę, że łatwo odszuka się wszystko po powrocie, a równocześnie ci, którzy pozostają i którzy, być może, w przypadku definitywnej nieobecności właściciela, będą musieli któregoś dnia zająć się wszystkim, odnajdą rzeczy bez problemu.

Gabinet jest niewielki, ascetyczny, podobnie jak całe szlacheckie domostwo, godne i bezpretensjonalne. Płomień lampy oświetla kilka praktycznych mebli z mahoniem i orzecha, dywan średniej jakości, dębowe regały z licznymi książkami i kilka obrazków o tematyce morskiej. Na głównej ścianie nad kominkiem, w którym nigdy się nie rozpala i na którego gzymsie stoi pod szklanym kloszem makieta okrętu wyposażonego w siedemdziesiąt cztery działa, wisi sześć kolorowych rycin, oprawionych razem, przedstawiających bitwę morską pod Tulonem pomiędzy flotą hiszpańską i angielską. Don Pedro Zárate rzuca na nie szybkie spojrzenie, po czym wychodzi na korytarz, idzie do sieni, a podeszwy jego wygodnych starych angielskich butów podróżnych z wysoką cholewą, świeżo

wypastowanych i wypolerowanych, stukają na drewnianej podłodze. Amparo i Peligros, jego siostry, czekają już na niego w domowych sukniach, pełnych wstążek i tasiemek, z włosami zebranymi pod schludnymi, nakrochmalonymi czepkami. Są do niego podobne posturą i szczupłą konstytucją, zwłaszcza Amparo, starsza z kobiet; podobieństwo jednak widać głównie w ich oczach w kolorze niebieskim, tak jasnym i wodnistym, że wydaje się rozpływać w świetle; właśnie dzięki jasnym oczom uroda całej trójki ma charakter niezbyt typowo hiszpański do tego stopnia, że niektórzy sąsiedzi nazywają siostry Zárate Angielkami. Panny, łagodne i oddane, od trzydziestu lat poświęcają życie dla pomyślności admirała. Troszczą się o niego, od kiedy wrócił z morskich wypraw, tak samo jak dbały o swego starego ojca, tak jak robiłaby to ich matka, którą cała trójka straciła przedwcześnie. Obie siostry żyją dla brata i tylko praktyki religijne, codzienna msza i budujące lektury odrywają je czasem od tych obowiązków.

– Woźnica wszedł na górę po twoje bagaże – mówi Amparo. – Powóz czeka na ulicy.

Wydaje się bardzo wzruszona, a jej siostra powstrzymuje łzy. Obie jednak stoją wyprostowane, dzielne, podtrzymywane rodzinną dumą. Wiedzą, jaki jest powód podróży admirała, i choć ich zdaniem, uzgodnionym przy piecu w pokoju, nic, co pochodzi z Francji, nie może być dobre – wywrotowi filozofowie i inni szaleńcy nie cieszą się estymą ich spowiedników – duma z faktu, że don Pedro jest członkiem Hiszpańskiej Akademii Królewskiej, która zleciła mu wykonanie ważnego zadania za granicą, sprawia, iż wszystko wygląda inaczej. Jeśli w sprawę zaangażowano ich brata, nie może w niej być niczego złego. Jeszcze czego. Nie można niczego zarzucić woli kształcenia narodów, wręcz przeciwnie. A przecież o to chodzi, bez względu na to, czy celem podróży byłby Paryż,

czy Konstantynopol. Także spowiednicy, choć są świętymi kapłanami, działającymi w bliskości łaski boskiej, mogą się czasem mylić.

– Włożyliśmy szynkę i dwa bochenki chleba do kosza – mówi starsza z sióstr, podając admirałowi płaszcz o szerokich klapach, bardzo dobrze skrojony z granatowego sukna. – I dwie butelki *pajarete*¹ w wiklinowych plecionkach... Czy to będzie dość?

– Pewnie. – Don Pedro obciąga rękawy żakietu skrojonego podobnie do fraka, w angielskim stylu, i wsuwa ręce w rękawy płaszcza. – W zajazdach i gospodach można wszystko dostać.

– Może teraz i tak jest – mówi Peligros, która nigdy nie wyjechała za rogatki stolicy.

Admirał przez chwilę gładzi pomarszczone policzki sióstr. Delikatnie dotyka twarzy każdej z nich. Podwójny znak oddania, przez który przebija czułość.

– Nie martwcie się, proszę. To wygodna podróż, będziemy jechać prywatnym powozem, który na nasz użytek oddał ze swojego domu dyrektor Akademii... Poza tym don Hermógenes Molina to godny mąż, a i woźnicy można ufać.

– No nie wiem. – Starsza z sióstr marszczy nos. – Woźnica wydał mi się dość bezczelny. Ma spory tupet.

– To właśnie dobrze – uspokaja ją admirał. – Na taką wyprawę jak ta potrzeba człowieka obytego w świecie, kogoś, kto wiele podróżował.

– Wątpię, czy podróżował więcej niż ty w młodości. Ty też jesteś człowiekiem światowym.

Admirał uśmiecha się zamyślony, zapinając płaszcz.

– Raczej byłem, Amparo... Ale to było tak dawno temu, że już zapomniałem.

Młodsza z sióstr podaje mu trójgraniasty czarny pilśniowy kapelusz, nieskazitelnie i dopiero co wyszczotkowany. Don Pedro zauważa, że za otok od wewnątrz siostry wsunęły wizerunek świętego Krzysztofa, patrona podróżników.

– Uważaj bardzo, Pedrito.

Zwracają się do niego „Pedrito”, jak wtedy, kiedy byli dziećmi, tylko w nadzwyczajnych okolicznościach. Ostatnim razem zdarzyło się to przed dwoma laty, gdy admirał spędził trzy tygodnie w łóżku z ostrym ropniem w piersi, leczony pijawkami, syropami i kataplazmami, a siostry siedziały na zmianę dzień i noc przy wezglowiu z różańcem w rękach i zdrowaškami na ustach.

– Zostawiłem w pokoju list. Do Kadyksu. Poślijcie go na pocztę, proszę.

– Bądź spokojny.

Admirał wybiera laskę spośród tuzina ustawionych w stojaku. Hebanową, ze srebrną rączką. W środku kryjącą kilka piędzi dobrej stali z Toledo. Odwracając się do sióstr, dostrzega u obu zatroskane spojrzenia, choć żadna nic nie mówi – wiele razy widziały, jak zabierał tę laskę ze sobą. Ukryty sztylet jest zwykłym środkiem ostrożności, odpowiednim w obecnych czasach. I w każdych innych.

– Zostawiłem trochę pieniędzy w skrzyni w sypialni. Gdybyście potrzebowały...

– Nie będziemy – przerywa mu wyniośle starsza siostra. – W naszym gospodarstwie wystarcza to, co jest.

– Przywiozę wam coś z Paryża. Kapelusz dla każdej. I jedwabny szal.

– Na pewno nie są lepsze niż nasze haftowane chusty – protestuje patriotycznie Peligros, dotknięta do żywego. – Te pochodzące z Filipin,

prawdziwie hiszpańskich wysp... Gdzie tam do nich tym francuskim szmatkom!

– Już tam coś dla was znajdę.

– Lepiej nie wydawaj pieniędzy na głupstwa – napomina go Amparo. – Musisz mieć jakieś zabezpieczenie.

– Jedziemy tylko po trochę książek. Nie na wojnę na morzu.

– Mimo wszystko pilnuj się cały czas. A pieniądze trzymaj dobrze schowane. I uważaj, co jesz. Tam gotują tłusto, używają dużo smalcu, a to nie może służyć żołądkowi...

– Tam nawet gotują ślimaki – dodaje krytycznie młodsza siostra.

– Zgoda – poddaje się admirał. – Żadnych ślimaków ani smalcu czy masła. Tylko oliwa. Obiecuję.

– Czy aby na pewno będzie w Paryżu? – niepokoje się Peligros. – I w tych gospodach po drodze?

Don Pedro uśmiecha się czule i cierpliwie.

– Tego jestem pewien, moja siostrze. Możesz być spokojna.

– I ciepło się ubieraj – nalega Amparo – i nie zapominaj zmieniać skarpet, kiedy tylko je przemoczysz... Włożyłyśmy ci do skrzyni sześć zapasowych par. Podobno we Francji często pada deszcz.

– Tak będę robił – uspokaja je znów admirał. – Proszę, nie martwcie się o mnie.

– Masz ze sobą syrop, który ci zrobił aptekarz? Tak? Uważaj, żeby nie potłuc butelki. I nie zostaw go gdzieś po drodze. Zawsze miałeś bardzo wrażliwe płuca.

– Obiecuję, że zawsze go będę miał pod ręką.

– I uważaj na Francuzki – dodaje Peligros, która jest śmielsza.

Amparo podskakuje, spoglądając na nią z naganą.

– Siostrze, na Boga!

– O co ci chodzi? – ta odpowiada. – Może one nie są takie, jak mówią?

– A cóż ty o tym wiesz? Poza tym takie słowa ubliżają chrześcijańskiemu miłosierdziu.

– Jakiemu miłosierdziu?! Co tam owijać w bawełnę?! Już one są dobre!

Starsza siostra żegna się znakiem krzyża, oburzona.

– Chryste Panie, Peligros!

– Daj spokój, wiem, co mówię. Wszystkie te filozofki w tych swoich modnych salonach rozmawiają z mężczyznami... Pewnie któregoś dnia nawet zaczną pojawiać się w kawiarniach. Albo i coś więcej.

Admirał śmieje się, wkładając kapelusz. Siwe włosy na karku ma związane w kitkę czarną wstążką z tafty.

– Możecie być spokojne. Nie jestem już w odpowiednim wieku ani na Francuzki, ani na Hiszpanki.

– Tylko tak ci się zdaje – protestuje Peligros. – Niejeden amant chciałby w twoim wieku wyglądać tak jak ty, prawda, Amparo?

– Oczywiście – potwierdza siostra. – Każdy by chciał.

Siedząc w pierwszych promieniach słońca przed drzwiami oberży Świętego Michała, z nogami wyciągniętymi pod stołem, z rękami w kieszeniach i dzbankiem wina przed sobą, Pascual Raposo obserwuje dwóch mężczyzn, którzy rozmawiają, stojąc przy powozie zaprzężonym w czwórkę koni naprzeciwko, na rogu ulicy przy placu de la Paja. Ten wyższy i szczupły, w ciemnym płaszczu, trójgraniastym kapeluszu, z laską w ręce, właśnie wyszedł z jednej z pobliskich bram i zatrzymał się, by porozmawiać z drugim, niskim i grubym, który ma na sobie zwykłą pelerynę i czapkę z bobra. Woźnica – brodacz o nieokrzesanym wyglądzie ubrany w grubą kaftan – układa ostatnie bagaże na dachu powozu.

Uważnym okiem, wprawnym w dostrzeganiu szczegółów istotnych w jego zawodzie, podczas kiedy inni, mniej doświadczeni lub bardziej nieuważni, żałują, że nie zwrócili na nie uwagi, Raposo dostrzega strzelbę w pokrowcu leżącą na koźle i pudełko z pistoletami, które woźnica przyniósł pod pachą, kiedy znosił walizki z domu, i włożył do środka powozu, zanim zaczął mocować bagaże na dachu.

Mając czterdzieści trzy lata, życiorys pełen trudów walki i stare szwy nad lewą nerką po ciosie zadany nożem, weteran więzienia w Ceucie, Raposo jeszcze ciągle żyje dzięki dobremu oku do takich właśnie szczegółów. Siedem lat wojskowej kariery, już dawno zamienionej na inny sposób życia, przygotowało go, a raczej dostarczyło podstaw taktycznych do funkcjonowania w czasach, które miały nadejść później. Tamte lata wyrobiły zwyczaje i wyostrzyły spojrzenie. Dla byłego kawalerzysty żywot jest ciągłą ucieczką przed pościgiem. Zarabia na życie w różnych krajach i na różne sposoby, choć żaden z nich nie jest łatwy. I każdy nieprzyjemny.

Dwaj mężczyźni wsiadają do powozu i zamykają za sobą drzwiczki, a woźnica sadowi się na koźle. Słysząc uderzenie bata i zwierzęta ruszają, powoli, krok za krokiem, ciągnąc za sobą powóz na północ. Raposo zostawia na stole monetę, wstaje, powoli obciąga krótką kurtkę z bawełnianymi wyłogami i nasuwa czarny kapelusz na bakier, na madrycką modłę. Młoda kobieta, ładna, jasnowłosa, z mantylką wysoko na głowie, idzie, stukając obcasami, z jednego z pobliskich kościołów. Raposo z beczelnym spokojem patrzy jej w oczy i robi krok w tył, żeby ustąpić dwornie miejsca.

– Błogosławiony niech będzie ksiądz, który cię ochrzcił, ślicznotko.

Kobieta mija go, nie zwracając na niego uwagi. Obojętny wobec jej wzgardy Raposo przygląda się, jak odchodzi, a sam mlaska głośno i następnie rusza w ślad za powozem, odprowadzając pojazd wzrokiem

w głąb ulicy Caballero de Gracia. Nie jest to właściwie konieczne, bo dawny żołnierz kawalerii dokonał już niezbędnych ustaleń i wie, jaką drogą opuści Madryt akademicka ekspedycja. Warto jednak to sprawdzić. Przewiduje, że trafią na trakt do Burgos przez bramę Fuencarral albo bramę Świętej Barbary – Raposo dobrze zna tę trasę, każdy przystanek i każdy zajazd – biorąc pod uwagę aktualną godzinę, a także niezwykłą jak na tę porę roku suszę, kalkuluje, że mają przed sobą jakieś osiem albo i dziesięć godzin dobrej drogi, mogą więc przekroczyć Somosierrę następnego dnia i zatrzymać się na nocleg, tak jak się to zazwyczaj robi, w oberży Juanilli. I tam zamierza się z nimi zrównać, bez pośpiechu, zanim rozpoczną trzeci etap podróży. Będzie jechał konno na bardzo dobrym zwierzęciu, które kupił trzy dni wcześniej – zdrowym i silnym bułanym, niezbyt wysokim czterolatku, gotowym stawić czoła długiej drodze albo jej dużej części. Zawsze pozostaje możliwość, w razie konieczności, zakupu innego konia albo skorzystania z koni pocztowych. Co do wyposażenia na podróż do Paryża zajmującą cztery tygodnie, stare przyzwyczajenia od dawna kazały mu poruszać się tylko z tym, co niezbędne, Raposo zabiera więc jedną skórzaną walizkę, przytroczoną do końskiego zadu, sakwę z prowiantem, woskowaną pelerynę, chroniącą przed zimmem i deszczem, wełniany koc z Zamory, zrolowany i spięty paskami, z włożoną w środek starą kawaleryjską szablą. Wszystko to jest już spakowane i czeka gotowe w pokoju w gospodzie przy ulicy Palma, gdzie mieszka, grzejąc łóżko córki właścicielki – matka żywi absurdalną nadzieję, że się pobiorą – a koń, napasiony i gotowy pod siodło, czeka w stajni niedaleko bramy Fuencarral.

– Do licha, Pascual! Co za niespodzianka! Oczom nie wierzę!

Spotkanie nie w porę nie zmazuje uśmiechu z twarzy Raposa. W jego pełnym niespodzianek fachu uśmiech należy do reguł gry, aż do odpowiedniej chwili, kiedy zmieni się w morderczy grymas. Pozdrawia go

znajomek z podłych knajp ulic Barquillo i Lavapiés – golarz z cygańskim warkoczykiem i siatką na włosach, który ma swój zakład na tej samej ulicy i który poza goleniem bród potrafi też zgrabnie zagrać na gitarze fandango czy seguidillę.

– Wstąp do mnie, ogolę cię i przy okazji coś opowiem. Chodź, ja funduję.

– Spieszę się, Pacorro – wymawia się Raposo. – Jestem zajęty.

– To tylko chwila. Mam jedną sprawę, która może cię zainteresować. – Porozumiewawczo puszcza oko. – W twoim guście.

– Gust mi się zmienia.

– A ta ma trochę anyżku i sezamu i aż się prosi: „zjedz mnie”...

Pamiętasz Marię Fernandę?

Raposo kiwa głową z drwiną.

– Pamiętam i ja, i pół Hiszpanii.

– No właśnie. Jest taki jeden, który smali do niej cholewki. Fircyk z pretensjami. Jakiś markiz czy ktoś taki. A przynajmniej tak twierdzi.

– I co?

– Lubi się stroić i biega za nią po szulerniach. Tam się zakolegowaliśmy. I wtedy wpadłem na pomysł, że można by mu wykręcić numer z upragnioną dziewczyną.

Ostatnie słowo budzi złośliwy śmiech Raposa.

– María Fernanda dziewczyną nie była nawet w łonie matki.

Fryzjer potakuje zgodnie.

– Pewnie, ale fircyk tego nie wie. I da się parę groszy wyciągnąć... Mógłbyś udawać jej znieważonego brata?

– Mam inne sprawy.

– Szkoda, no trudno... Z brzytwą w ręku można sporo żądać. A nawet bez brzytwy.

Raposo wzrusza ramionami, żegnając się.

– Innym razem, Pacorro.

– Tak, do następnego razu.

Kiedy Raposo oddała się od zakładu golarza, powóz akademików jest już na rozdrożu przy San Luis. Śledzący przyspiesza kroku, by dogonić pojazd, i stwierdza, że ten właśnie skręcił w prawo. Widać wyraźnie, że zmierza w kierunku bramy Fuencarral, zgodnie z przewidywaniami. Czyli można teraz spokojnie iść do zajazdu, zabrać bagaże, pożegnać się z córką właścicielki i zabrać konia ze stajni.

– Co łaska, na miłosierdzie boże. – Staje przed nim kulejący żebrak, pokazując mu kikut okaleczonej ręki.

– Won stąd.

Na widok wrogiej twarzy kaleka znika w jednej chwili, okazując cudowną zręczność – był i go nie ma. Patrząc na oddalający się powóz, Raposo rozmyśla o swoich sprawach i gładzi się po bokobrodach. W tej chwili głowę ma zajęta skomplikowanymi przewidywaniami oraz obliczeniami mil i przystanków, zajazdów i oberż, dróg ciągnących się, krzyżujących i biegnących równolegle. W końcu uśmiecha się do siebie, niemal okrutnie, lekko odsłaniając zęby. Dla kogoś takiego jak on, kto przez długi czas głównie patrzył na zabijanie ludzi albo własnoręcznie ich zabijał, większość spraw straciła swoje zasadnicze znaczenie i bardzo niewiele rzeczy ma sens. Po pierwsze, ludzie zazwyczaj dzielą się na dwie wielkie grupy – tych, którzy popełniają czyny niegodne z wrodzonej niegodziwości, tchórzostwa lub dla przetrwania, i na tych, którzy, jak on sam, dopuszczają się podłości za pieniądze, płatne gotówką. Po drugie, można mieć pewność tylko co do tego, że w tym niesprawiedliwym

świecie, jaki dane mu było poznać, istnieją jedynie dwa sposoby, by znieść niesprawiedliwość, czy to boską, czy ludzką – poddać się i ją cierpieć albo się do niej przyłączyć i owo cierpienie zadawać.

1. *Pajarete* – delikatne słodkie wino z południa Hiszpanii.

3. ROZMOWY W ZAJAZDACH I PO DRODZE

Fizyka i doświadczenie powinny służyć człowiekowi za przewodników we wszystkich jego działaniach. Ich właśnie powinien pytać o radę w sprawach religii, moralności, ustawodawstwa, rządów politycznych, nauki i sztuki, one powinny pouczać go o przyjemnościach i cierpieniach¹.

baron Holbach, *System przyrody*

Przy odtwarzaniu podróży akademików z Madrytu do Paryża natknąłem się na pewne techniczne problemy. Trudno porównywać warunki jazdy – tam, gdzie teraz są szybkie drogi i autostrady, były w osiemnastym wieku gościńce, nieprzejezdne przy gorszej pogodzie, które pokonywano wozami i konno. W tamtych czasach podróż znaczyła przygodę. Nawet cała sieć zajazdów, oberż i stacji wymiany koni w pojazdach pocztowych nie była jeszcze udoskonalona, co miało się stać dopiero w następnym stuleciu. Jedną z trosk takich oświeconych monarchów jak Karol III było stworzenie systemu połączeń drogowych, który byłby godny zaufania, zapewniał bezpieczeństwo w drodze i większy komfort podróży.

Choć drukowane plany dróg istniały już od dwóch wieków, to właśnie wówczas, kiedy toczy się akcja naszej opowieści, ten rodzaj przewodników stał się bardzo popularny w związku z modą na podróżowanie i dzięki wzrostowi ogólnej ciekawości właściwej epoce. Publikowano w małym formacie przewodniki opisujące drogi łączące europejskie stolicy i przecinające prowincje, podawano w nich odległości w milach – jedna to

pięć i pół kilometra, czyli dystans, jaki przejeżdżano w ciągu godziny – pomiędzy kolejnymi stacjami. Podróżny zaopatrzony w tego rodzaju przewodnik mógł precyzyjnie obliczać kolejne etapy trasy, biorąc pod uwagę, że odległość pokonywana w ciągu jednego dnia wynosiła od sześciu do dziesięciu mil.

W mojej bibliotece posiadam parę takich publikacji, zdobyłem też kilka dodatkowych, żeby dobrze udokumentować tę powieść. W kwestii dróg hiszpańskich najlepsza okazała się książka José Matiasa Escribana z 1775 roku, natomiast opis dróg i postojów francuskich znalazłem w przewodniku wydanym w Paryżu przez Jaillota w 1763 roku. Potrzebowałem też map, które pokazałyby mi ówczesne drogi, wioski i miasta, i tak się stało, że na pewnej licytacji starych książek udało mi się dzięki niezwykłemu łutowi szczęścia znaleźć rzadki gruby tom wielkiego formatu, zawierający całość prac Tomasa Lopeza, Hiszpana, który sporządził mapy całego kraju pod koniec osiemnastego wieku. Natomiast rozwiązanie kwestii dróg we Francji zawdzięczam Michèle Polak, która w swoim paryskim antykwariacie, specjalizującym się w książkach o żeglarstwie i podróżach, zachowała dla mnie w bardzo dobrym stanie egzemplarz *Nouvelle carte des postes de France*.

– Mam coś, co cię zainteresuje – powiedziała przez telefon.

Cztery dni później byłem w Paryżu. Każdy pretekst jest dobry, żeby zagłębić się w barwnej jaskini skarbów przy ulicy de l'Échaudé, gdzie stopy książek leżą na półkach i na ziemi wokół piecyka elektrycznego, przez co zawsze się obawiam, że kiedyś dojdzie tam do pożaru.

– I co, teraz włączysz się po stałym lądzie? – zapytała na mój widok.

– Tylko nie myśl, że tak już zostanie – odparłem.

Był to stary żart. Od czterdziestu lat kupuję w tej księgarni publikacje dotyczące żeglugi i kartografii osiemnastego i dziewiętnastego wieku;

najpierw byłem klientem jej ojca – Michèle wówczas wyglądała na atrakcyjną panienkę – a potem jej, kiedy przejęła interes. To Michèle zawdzięczam, prócz wielu traktatów o żegludze, jedną z moich ulubionych książek: *Cours élémentaire de tactique navale dédié à Bonaparte Ramatuelle’a*; używali jej francuscy marynarze podczas bitwy pod Trafalgarem i ja wiele razy z niej skorzystałem podczas pracy nad powieścią wydaną w 2005 roku, kiedy opisywałem ten właśnie fragment historii.

– Oto i mapa – powiedziała.

Położyła ją na stole. Cztery piędzi na pięć, mniej więcej. Czysta i w doskonałym stanie, w nowej oprawie: *Dédiée à son Altesse Serenissime Monseigneur le Duc. Bernard Jaillot, géographe ordinaire du Roy*.

– Druk z 1738 roku – dodała Michèle, wskazując na kartę.

– Nie okaże się nieco zbyt wczesny jak na moje potrzeby?

– Nie sądzę. Wtedy wszystko zmieniało się wolniej niż teraz... Wątpię, czy w ciągu zaledwie pięćdziesięciu lat zaszły zasadnicze zmiany.

Wziąłem podaną mi lupę i poszukałem drogi, którą jechali akademicy od Bajonny. Była wyraźnie poprowadzona linią z wieloma kropkami – Bordeaux, Angoulême, Orlean, Paryż. Każdy postój zaznaczono małym kółeczkiem. Wszystkie szczegóły były czytelne.

– Wspaniała – powiedziałem.

Pokiwała głową, potwierdzając.

– Tak, pewnie, że wspaniała... Bierzesz?

Odłożyłem lupę na mapę, skrycie przełknąłem ślinę i spojrzałem właścicielce w oczy.

– Zależy – powiedziałem.

Jej uśmiech przyprawił mnie o dreszcz. Już wspominałem, że znamy się od czterdziestu lat. Zjadła zęby na tym biznesie, a ja widziałem, jak je traci.

Na koszt mój i innych stałych klientów.

– Ile chcesz – zapytałem – żebym ci za nią zapłacił?

Kiedy wróciłem do Madrytu, z pomocą mapy próbowałem ustalić tropy. Potrzebowałem specjalistycznych opracowań współczesnych moim bohaterom, które pozwoliłyby mi poznać te miejsca, gdzie mieli się poruszać. Na szczęście osiemnasty wiek obfitował w takie dzieła – podróże w owym czasie były modne wśród osób wykształconych i wielu oświeconych podróżników wydawało przewodniki, wspomnienia i memuary. Nie musiałem zbyt wiele szukać, bo dysponuję szczegółowymi kolekcjami wydań Cruza, Ponza i Alvareza de Colmenara, a także opisami wypraw do Hiszpanii i Francji, a zwłaszcza dwiema książkami wspomnieniowymi, *Podróż po Hiszpanii w czasach Karola III* Josepha Townsenda (1786–1787) i *Podróż europejska* markiza Ureñi (1787–1788), które zaspokoiły po części moje potrzeby i, jak mogłem szybko zdać sobie sprawę, okazały się bezcenne, dostarczając mi najdrobniejszych szczegółów:

Droga jest szeroka, pięknie się wiję pośród ziem czerwonych, gliniastych. Całość to siedem mil, z krótkimi odcinkami złego, kamienistego traktu...

Mogłem się więc zabrać do tej części opowieści, kiedy moi bohaterowie opuścili Madryt. Przyjrzeć się trasom, zmianom koni, zajazdom, gdzie odpoczywali po drodze. Przemierzyć w wyobraźni te miejsca, które don Pedro Zárate i don Hermógenes Molina, śledzeni z bliska przez złoczyńcę Pascuala Raposo odwiedzili, jadąc do stolicy Francji. Dane mi było iść po ich śladach i lepiej zrozumieć rozmiar ich przedsięwzięcia. Nawet opis pojazdu, którym podróżowali akademicy, wymagał szczegółowych badań. Potrzebny był mi powóz podróżny kryty, sprawny, wytrzymały. We

wspomnieniach Ureñi natknąłem się na powóz zwany berliną, ale byłem o krok od odrzucenia tej możliwości, kiedy w słowniku wydany w 1780 roku sprawdziłem, że termin ten odnosił się do pojazdów o dwóch miejscach, podczas kiedy ja dla potrzeb tej opowieści musiałem mieć cztery siedzenia. Wreszcie po długich poszukiwaniach w mojej bibliotece i w Internecie udało mi się dowiedzieć, że mianem berliny określano też bardziej pojemne karety; znalazłem do tego sporo ilustracji. Postanowiłem więc użyć nazwy „berlina” na określenie pojazdu z czterema miejscami, pomalowanego na czarno i zielono, wyposażonego w angielskim stylu tak, by mogły go ciągnąć cztery konie, z miejscem na bagaż na dachu i z kozłem, gdzie siedział woźnica użyczony przez markiza Oxinagę. I pośród panującego wewnątrz turkotu, przy szklanych okienkach, teraz zamkniętych, żeby chronić pasażerów przed kurzem, siedząc naprzeciwko siebie na wytartych skórzanych poduszkach, czasem rozmawiając, czasem czytając, to drzemiąc, to oglądając w milczeniu surowe górskie pejzaże, jadą admirał i bibliotekarz.

– Czy to, co słyhać, to wycie wilków? – pyta don Hermógenes, podnosząc głowę.

– Możliwe.

Resory monotonnie skrzypią w rytm równomiernego kołysania karety, tylko kiedy koła natrafiają na kamień albo wykroty, cały powóz chwieje się przy akompaniamencie głośnych trzasków. Bibliotekarz czyta stare numery „Merkuriusza Historycznego i Politycznego”, „Cenzora Literackiego” i „Gazety Madryckiej”, gdy tymczasem Pedro Zárate wygląda przez okno, zapatrzony na orły i sępy szybujące nad granitowymi kamieniskami i choinami, w które obfitują pejzaże przełęczy Somosierra.

– Światło już coraz słabsze – skarży się bibliotekarz.

Admirał odsłania firanki i przytrzymuje je łańcuszkiem, żeby jego towarzysz podróży mógł korzystać z resztek jasności dnia, ale wkrótce jego uprzejmość staje się bezużyteczna. Słońce, wiszące już bardzo nisko, kryje się za drzewami rosnącymi wzdłuż drogi i barwi gasnącą czerwienią niebo ponad przykrytymi śniegiem szczytami gór widocznymi w oddali. Zmęczony wytężaniem wzroku, don Hermógenes odkłada w końcu czasopismo na siedzenie. Potem zdejmuje okulary, podnosi wzrok i spotyka spojrzenie don Pedra. Kieruje ku współtowarzyszowi przyjazny uśmiech.

– Jakież to dziwne, panie admirale. Jakże ciekawe... Od wielu lat już jesteśmy w Akademii i nigdy nie rozmawialiśmy, no, może zamieniliśmy kilka zdań... A teraz razem bierzemy udział w tej niezwykłej przygodzie.

– To dla mnie przyjemność, don Hermogenesie – mówi don Pedro, skinąwszy głową. – Cieszy mnie pana towarzystwo.

Bibliotekarz unosi dłoń w serdecznym geście.

– Proszę zwracać się do mnie: don Hermesie, tak jak wszyscy.

– Nigdy bym nie śmiał...

– Panie admirale, nalegam. Jestem do tego przyzwyczajony. To byłaby miła poufałość, tym bardziej z pana strony. Przyjdzie nam spędzić razem kilka tygodni. Wiele wspólnie przeżyjemy.

Jego towarzysz zastanawia się, jakby to była rzeczywiście poważna sprawa.

– Czyli, don Hermesie?

– Tak właśnie.

– Zgoda. Jednak pod warunkiem, że i pan uprości formy. Mówienie *per* panie admirale do towarzysza podróży nie jest konieczne. Proszę zwracać się do mnie po imieniu.

– To byłoby dziwne. Wśród akademików pan jako wojskowy...

– Dobrze – przerywa mu don Pedro. – Zatem proszę mówić po prostu: admirale. Bardzo proszę.

– Zgoda.

Wóz przechyla się nieco, staje na chwilę, po czym znów rusza z impetem. Droga wiedzie teraz ostro pod górę i z kozła dobiega głos popędzającego konie woźnicy, któremu towarzyszy strzelanie z bata. Don Pedro wskazuje w stronę „Cenzora Literackiego”, którego egzemplarz bibliotekarz odłożył na bok.

– Czytał pan coś interesującego?

– Nic wartego uwagi. To, co zwykle... Zagorzała obrona corridy i ostra krytyka tej sztuki, którą Moratín wydał niedawno pod pseudonimem.

Admirał uśmiecha się gorzko.

– Chodzi o tę, gdzie krytykuje retorykę i pedanterię hiszpańskich autorów, proponując nowoczesny styl? Tę, którą nagrodziliśmy w konkursie Akademii?

– Tę samą.

Admirał głośno wspomina, że przeczytał ją w swoim czasie z wielką przyjemnością. On też był w jury. Ten Moratín to człowiek o nowoczesnym, jasnym sposobie myślenia; jeden z tych świetnie wychowanych młodzieńców z dobrym smakiem, krytycznych wobec barbarzyństwa ograniczonego pospólstwa, publiczności przyzwyczajonej do głupstw, jakie zalewają teatry, przywykłej do prostackich fars opowiadających o losach straganiarek i służących albo tragedii pełnych cudów, burz, rzezi, wielkich książąt Moskowii i szewczyków, których w ostatnim akcie rozpoznaje się jako zaginionych królewskich synów.

– I mówi pan, że atakują go w „Cenzorze”? – pyta na koniec.

– Moralnie... Sam pan wie, co wypisuje nasz kolega Higuieruela.

– Jakich argumentów używa?

– Tych, co zwykle. – Bibliotekarz przybiera zrezygnowaną minę. – Powołuje się na odwieczne hiszpańskie cnoty i tak dalej. Stara śpiewka: cudzoziemskie mody niszczą rdzenne cechy naszego ludu, jego tradycje, religię *et cetera*.

– Jakież to smutne. My, Hiszpanie, ciągle jesteśmy najgorszymi wrogami nas samych. Z zacięciem gasimy każdy blask, kiedy tylko widzimy, że zaczyna świecić.

– Nasza podróż dowodzi czegoś przeciwnego.

– Nasza podróż, proszę wybaczyć, jest nic nie znaczącą kroplą w morzu narodowego marazmu.

Bibliotekarz spogląda na towarzysza podróży ze szczerym zaskoczeniem.

– Nie wierzy pan w przyszłość, admirale?

– Niespecjalnie.

– Dlaczego więc zachowuje się pan, jakby... Dlaczego bierze pan udział w tej przygodzie?

Zapada cisza, mącona tylko skrzypieniem kół powozu, stukotem końskich podkówek i trzaskiem bata dobiegających z zewnątrz. W końcu don Pedro uśmiecha się dziwnie. Jest zamyślony.

– Kiedyś w młodości walczyłem na statku... Anglicy nas otoczyli i nie było już nadziei, że zwyciężymy. Jednak nikt nawet nie pomyślał, żeby opuścić banderę.

– To się nazywa bohaterstwo – mówi z podziwem bibliotekarz.

Wilgotne niebieskie oczy patrzą na niego dobrą chwilę.

– Nie – odzywa się w końcu admirał. – To się nazywa wytrwałość. Pewność, że czy się wygra, czy przegra, trzeba wypełniać swoje obowiązki.

– Z dumą, jak myślę. A raczej: jak się obawiam.

– Duma, don Hermesie, jeśli jest przyprawiona inteligencją, może być cnotą równie użyteczną jak każda inna.

– Ma pan rację... Zapamiętam.

Admirał znów wygląda przez okno. Jest coraz mniej światła. Droga, teraz prosta, prowadzi w dół, konie idą żwawiej i powóz przyspiesza.

– Apatia i marazm: to nasze cechy narodowe – odzywa się po chwili. – Chęć, żeby nie komplikować sobie życia... My, Hiszpanie, lubimy być niedojrzali. Takie pojęcia, jak tolerancja, rozum, nauka, przyroda, nie spędzają nam snu z powiek... To wstyd, że zachowujemy się tak, jakbyśmy byli Murzynami na końcu świata, i jako ostatni przyjmujemy wieści o powszechnym oświeceniu, które już od dawna szerzy się w całej Europie.

– Zgadza się z panem.

– A dodatkowo z tych nielicznych dóbr, jakie mamy w kraju, czyli z różnorodności, czynimy kość niezgody i broń zaczepną: ten autor jest z Estremadury, ten z Andaluzji, ten z Walencji... Sporo nam brakuje, by stać się cywilizowanym narodem o poczuciu jedności, takim jak wiele innych, które słusznie pozostawiają nas w tyle... Myślę, że niezbyt sensownie jest zawsze wypominać, jak mamy w zwyczaju, z jakiego regionu kto pochodzi. Lepiej o tym zapomnieć i wszystkich zasłużonych ludzi traktować po prostu jako Hiszpanów.

– W tym też ma pan rację – przyznaje bibliotekarz. – Sądzę jednak, że nieco pan przesadza.

– Przesadzam? Nie ma u nas, don Hermogenesie... don Hermesie... Niech pan popatrzy. Nie ma u nas Erazmów, nie wspominając o Wolterach. Najlepsze, co nam się zdarzyło, to ojciec Feijóo.

– A to wcale nie ma.

– Ale nawet on nie odzęgkuje się od wiary katolickiej czy wierności monarchii. Nie ma w Hiszpanii ani oryginalnych myślicieli, ani

oryginalnych filozofów. Wszechobecna religia nie pozwala im rozkwitnąć. Nie ma wolności... Kiedy myśl dociera z daleka, chwyta się ją opuszkami palców, żeby się nie poparzyć.

– Znów powtarzam: ma pan rację, admirale. Ale wypowiedział pan przed chwilą słowo „wolność”, które jest jednak obosieczne. Ludzie z północy Europy rozumieją je inaczej. Tutaj byłoby szaleństwem ciemnemu i okrutnemu ludowi sugerować, że może sam decydować o swoim losie. To skrajność, która przesądziłaby o losach królestwa. A monarchowie nie rzucą się w przepaść i nie wprowadzą reform, którymi wykopaliby sobie grób.

– Nie chce mi pan chyba opowiadać o świętym pochodzeniu władzy królewskiej, don Hermesie!

– W żadnym razie. Ale o należnym jej szacunku owszem. I to dziwne, że spieram się o to z panem, który był oficerem królewskiej marynarki.

Admirał śmieje się cicho, niemal miło. Po czym pochylając się przyjaźnie, lekko klepie bibliotekarza po kolanie.

– Czym innym jest oddać życie, wypełniając obowiązek, kiedy trzeba, a zupełnie czym innym oszukiwać się co do natury władców i rządów... Lojalność da się pogodzić z krytyczną jasnością umysłu, drogi przyjacielu. I zapewniam pana, że na pokładzie królewskich okrętów widziałem rzeczy równie haniebne jak na stałym lądzie.

Słońce zaszło chwilę temu i na niebie pozostała jedynie słaba poświata. Gasnące światło w kolorze szarzejącego błękitu pozwala jeszcze dostrzec kontury elementów krajobrazu, a we wnętrzu powozu obrysowuje kształt dwóch podróżnych.

– Jestem tylko starym marynarzem, który czyta książki – ciągnie admirał. – I w hiszpańskich dziełach napotkałem na ustępy o dobrym smaku, oświeceniu, nauce i filozofii, ale nigdy o wolności... W naszym

stuleciu pojęcia „postęp” i „wolność” idą ramię w ramię. Nigdy wcześniej światło myśli nie było tak jasne ani nie dawało takiej nadziei na przyszłość dzięki odwadze nowoczesnych filozofów... W Hiszpanii jednak tylko nieliczni mają odwagę przeciwstawić się dogmatom katolickim. Może i o tym marzą, ale nie mają śmiałości, by wyrazić swoje poglądy publicznie.

– Taka ostrożność w zachowaniu jest logiczna – protestuje bibliotekarz. – Proszę spojrzeć na przypadek biedaka Olavidego.

– Sam pan widzi. Można się popłakać. Intendent najwierniej sekundujący reformistycznym pragnieniom Karola III porzucony w tchórzliwym milczeniu przez swojego króla i jego rząd.

– Admirale, na Boga. Nie to miałem na myśli. Króla do tego nie mieszajmy.

– A dlaczego? Wszystko do tego zmierza, prędzej czy później. To król zlecił Olavidemu wprowadzenie reform, a potem przekazał go w ręce inkwizycji. Przez skazanie intendenta okryliśmy się wstydem wobec wykształconych narodów, unaoczniając podporządkowanie cywilnej władzy kościelnemu zwierzchnictwu... Oświecony monarcha, taki jak nasz, w którym pokłada się wielkie nadzieje, nie może z powodu wyrzutów sumienia padać Świętemu Oficjum w ramiona.

Teraz pośród mroku dają się odróżnić jedynie kontury ciemnych sylwetek obu rozmówców. Nagle słychać trzask i powóz podskakuje na drodze z impetem, który niemal zderza ze sobą podróżnych. Ciemność na drodze sprawia, że podróż staje się niebezpieczna i bibliotekarz opuszcza szybę w oknie, by uważnie rozejrzeć się po okolicy.

– Jest pan niesprawiedliwy – mówi po chwili. – Postępu nie osiąga się w jednej chwili, musi przejść rozmaite stany pośrednie. Być może wielu z nas z powodu osobistych przekonań nie chce upadku monarchii albo zniknięcia religii... Jestem zwolennikiem oświecenia, jak pan wie, ale nie

mam zamiaru przekraczać granic wiary katolickiej. Światłem przewodnim powinna ciągle pozostawać religia.

– Tym światłem powinien być rozum – oponuje admirał zdecydowanie. – Tajemnica i objawienie nie dają się pogodzić z nauką. Z rozumem. A wolność bierze się z rozumu.

– Znów wracamy do wolności. – Bibliotekarz ponownie wystawia głowę przez okno. – Jest pan upartym człowiekiem, drogi przyjacielu.

– Cervantes powiedział to ustami Don Kichota: wolność jest najcenniejszym darem na świecie... „Zdaje się przecie okrucieństwem w niewolników zamieniać tych, których Bóg i natura wolnymi stworzyli”²... Czemu przygląda się pan z taką uwagą?

– Wydaje mi się, że widzę światło. Może to oberża, w której spędzimy dzisiejszą noc.

– Oby tak było. Zupełnie obilo mi nerki przez to trzęsienie. A to dopiero początek podróży.

Następnego dnia, kiedy Pascual Raposo oddaje konia stajennemu, bierze swoje bagaże i otrzepując ubranie, wchodzi do oberży leżącej za rzeką Pirón, obok dużego rozpalonego kominka przy trzech stołach bez obrusów, na ławkach ustawionych wzdłuż stołów, siedzi towarzystwo i je kolację. Przy pierwszym ze stołów, obsługiwanym przez dziewczkę, rozsiedli się dwaj woźnice – jednym z nich jest ten, który powozi kareta akademików. Przy drugim siedzi paru tragarzy – Raposo zauważył ich muły w stajni i towary złożone na podwórzu, znajdujące się pod czujnym okiem jednego z ich towarzyszy – jedzących, pijących i głośno przy tym hałasujących. Przy trzecim, nieco oddalonym, siedzą osoby z lepszego towarzystwa – dwaj podróżnicy, których śladem podąża nowo przybyły, i kobieta, u której boku znajduje się młody dżentelmen. To grono obsługuje

osobiście właściciel, który widząc Raposa, idzie mu na spotkanie z mało gościnnym wyrazem twarzy.

– Już nie mamy wolnych pokoi – oświadcza szorstko. – Wszystko zajęte.

Podróżny uśmiecha się spokojnie, ukazując białe zęby i oblicze pokryte pyłem drogi.

– Niech się pan nie martwi, przyjacielu. Dam sobie radę... Na razie chciałbym coś zjeść.

Jego pozornie zgodne podejście uspokaja oberżystę.

– Z tym nie będzie kłopotu – mówi nieco bardziej uprzejmie. – Mamy kociołek świńskich ryjów i raciczek.

– A wino?

– Tutejsze. Daje się wypić.

– Dla mnie wystarczy.

Gospodarz waha się nieco, taksuje od stóp do głów ubiór nowego gościa, starając się przypisać go do którejś z kategorii, by usadzić przy właściwym stole. Nowo przybyły jest ubrany w sukieną kurtkę i zamszowe spodnie z getrami. Mógłby uchodzić za myśliwego, ale uwadze oberżysty nie umyka szabla wsunięta w zrolowany koc, którą Raposo, wchodząc, zostawił razem z bagażem przy drzwiach. Gość samodzielnie rozwiewa wątpliwości gospodarza, siadając przy stole mulników, którzy zamilkli, widząc, że do nich podchodzi, ale chętnie robią mu miejsce.

– Dobry wieczór wszystkim.

Wyjmuje sprężynowy nóż w rogowej oprawie, który miał za pasem u boku, kolejno pobrzękuje siedem zapadek, kiedy otwiera ostrze i odkrawa kromkę z bochenka chleba leżącego na stole. Potem wyciąga dłoń po dzbanek, który podaje mu jeden z mulników, i nalewa sobie wina. Dziewka stawia przed nim dymiący talerz apetycznie wyglądającej zupy.

– Smacznego – życzy jeden z towarzyszy przy stole.

– Dziękuję.

Nabiera zupy cynową łyżką i je z apetytem, powoli przełykając, a mulnicy wracają do rozmowy. Niektórzy palą, wszyscy piją. Mówią o zwierzętach, punktach poboru myta przy mostach i na rogatkach, a potem zaczynają komentować przewagę talentu torreadora Costillaresa nad osiągnięciami Pepego-Hilla. Raposo kończy kolację w milczeniu, nie włącza się do rozmowy, ukradkiem obserwując towarzystwo zajmujące najbardziej oddalony stół: obu akademików oraz kobietę i młodzieńca. Ci ostatni podróżują bez wątpienia drugim z powozów stojącym przed zajazdem. Powozi nim zapewne człowiek siedzący przy trzecim stole razem z woźnicą akademików. Kobieta jest w średnim wieku, wygląda dobrze, a siedzący obok niej młodzian nieco ją przypomina. Oboje, przede wszystkim kobieta, rozmawiają ze współbiesiadnikami, ale Raposo nie potrafi wyłowić ich słów pośród gwaru.

– Czy to prawda, że tamci państwo zajęli wszystkie pokoje? – pyta dziewczynę, kiedy ta przynosi więcej wina.

Dziewka potakuje. Dwaj starsi panowie dzielą wspólny pokój, a pani i młodzieniec zajmują dwie oddzielne sypialnie. Podobno tych dwoje to matka i syn podróżujący do Nawarry. W kolejnej izbie mieszkają woźnice, a we wspólnej sali, gdzie leży sześć sienników, zamieszkali mulnicy. Czyli Raposo będzie musiał negocjować miejsce na nocleg z woźnicami albo przespać się w stajni.

– Dziękuję, mała. Dam sobie radę.

Wycierając talerz kawałkiem chleba, jastrząb przygląda się swoim ofiarom. Ten okrągły i niższy z akademików, niejaki don Hermógenes Molina, rozmawia serdecznie z kobietą i młodzieńcem. Oboje, zwłaszcza kobieta, wyglądają na zadowolonych z towarzystwa na tym etapie podróży.

Bibliotekarz wydaje się sympatyczny, uważny, niegroźny, pogodny; należy do osób, które lubi się od pierwszego wejrzenia. Ten drugi, brygadier czy admirał Zárate, bierze niewielki udział w rozmowie, potakując czasem lub krótko komentując, jeśli ktoś z towarzystwa zada mu pytanie. Wysoki, chudy, z krótkim, marynarskim kucykiem, w jaki zebrał szpakowate włosy nad kołnierzem żakietu, siedzi na brzegu ławy z nadgarstkami opartymi o kant stołu, sztywny i wyprostowany, jakby stał na paradzie wojskowej, w rozmowie współbiesiadników uczestniczy od czasu do czasu, ma kulturalny wyraz twarzy, nieco melancholijny, a może zdystansowany.

– Podasz mi świeczkę, przyjacielu?

Na prośbę Raposa jeden z mulników podnosi ze stołu mosiężny lichtarzyk, w którym płonie na wpół wypalona już świeczka. Raposo dziękuje, wyjmując z kieszeni kurtki pęczek czterech cygar i jedno wkłada do ust, przysuwając płomień do jego końcówki. Potem odchyła się, wypuszczając kłęb dymu, i wraca do obserwacji stołu, gdzie siedzi dwóch woźniców. Wie, że ten wiozący akademików nazywa się Zamarra i podobnie jak berlina, którą podróżują, pochodzi z domu markiza Oxinagi – odstąpił on powóz swoim kolegom na podróż. Przed wyjazdem z Madrytu Raposo zebrał trochę informacji na temat woźnicy: czterdziestolatek, analfabeta, z bliznami po ospie na twarzy. Nikt specjalny, mężczyzna wielki, niezgrabny, jakby stworzony do życia w drodze, niezręczny w ruchach zawsze, kiedy nie siedzi na koźle z wodzami w jednej ręce i batem w drugiej. Niewątpliwie potrafi się posługiwać strzelbą, którą wozi w futerale obok siebie, wysoko na koźle.

– W dąbrowie, która rośnie przed postojem Milagros nad rzeką Riazą, kiedy jedziesz w górę.

– Przy tym drewnianym moście?

– Nie, tu bliżej... Przy wąwozie prowadzącym do brodu.

Jeden z mulników opowiada historię, która zwraca uwagę Raposa. Rozbójnicy, mówi. I dziewczyna z zajazdu to potwierdza. Jakaś banda krąży po okolicy na drodze wiodącej do Arandy de Duero. Przed tygodniem napadli na podróżnych i mówi się, że nadal tam grasują. Trzeba zachować ostrożność.

– Warto podróżować w gromadzie – sugeruje jeden z mulników. – Trzeba przyłączyć się do innych osób w drodze.

Raposo rzuca ostatnie spojrzenie w stronę stołu akademików, którzy nadal rozmawiają z damą i jej synem. Potem prosi dziewczynę, by mu napełniła manierkę wodą i bukłak winem, a kiedy ta je przynosi, mężczyzna woła oberżystę i pyta, ile jest winien za kolację, stajnię i owies dla konia, za wszystko płaci dwie pesety, życzy dobrej nocy mulnikom, zabiera swoje rzeczy i wychodzi na dwór, gdzie stoi nieruchomo, paląc w ciemności, aż w końcu niedopałek parzy mu palce. Wtedy upuszcza go na ziemię, rozgniała podeszwą, idzie do stajni i dogląda konia, sprawdza mu kopyta i podkowy. Potem szuka spokojnego kąta daleko od zwierząt, układa słomę na posłanie, rozwija wełniany koc i idzie spać.

Jest zimno, a przez szpary między okiennicami zasłaniającymi okna pozbawione szyb mogłaby wlecieć sowa. Po powrocie z wychodka, ustawionego na podwórzu zajazdu, don Hermógenes siada na brzegu łóżka – z kiepskim materacem, cienko wypełnionym sfilcowaną wełną, przez który czuje się deski – i cicho szepce, niemal nie otwierając ust, swoje codzienne modlitwy. Jest w nocnej koszuli i szlafmocy. W świetle małej lampki, z której nie tylko kropla po kropli kapie oliwa, ale także prosto pod sufit w pokoju unosi się dym, bibliotekarz może zobaczyć, jak jego towarzysz podróży już leży w łóżku i przykryty kołdrą przewraca kartki książki, którą czyta: *Lettres à une princesse d'Allemagne...* Eulera w trzech tomach wydanych w oktawie. Mimo że to już druga noc, jaką

spędzają we wspólnym pokoju, intymność wymuszona przez okoliczności nadal jest kłopotliwa dla obu. Tylko dobre wychowanie i nadzwyczajna grzeczność każdego z nich sprawiają, że potrafią znieść sytuacje najbardziej krępujące podczas podróży – rozbieranie się, przymus wzajemnego słuchania chrapania, używanie miednicy do mycia albo urynału z drewnianą pokrywą stojącego w kącie pokoju.

– To bardzo miłe osoby, ta pani i jej syn – zauważa bibliotekarz.

Don Pedro Zárate odkłada książkę na podolek i trzyma ją na kołdrze, zaznaczając palcem stronę, na której przerwał lekturę.

– Młodzieniec jest bardzo dobrze wychowany – zgadza się z opinią rozmówcy. – A niewiasta to osoba nadzwyczaj uprzejma.

– Urocza – potwierdza don Hermógenes.

Spotkanie w zajeździe, miła kolacja i przyjemna rozmowa przy deserze to szczęśliwy przypadek, uważa bibliotekarz. Kobieta pochodzi z dobrej rodziny, jest wdową po pułkowniku artylerii Quirodze, a teraz towarzyszy synowi, wojskowemu i oficerowi, w drodze do rodziny narzeczonej, mieszkającej w Pampelunie. Młodzian ma zamiar oficjalnie poprosić o rękę dziewczyny.

– Może jeszcze ich spotkamy w naszej podróży – dodaje. – Byłoby dla mnie przyjemnością znów móc dzielić z nimi stół.

– Na razie pojedziemy wspólnie w konwoju aż do Arandy de Duero.

Don Hermógenes czuje ukłucie niepokoju. Nie waha się go okazać.

– Myśli pan, że istnieje niebezpieczeństwo ataku rozbójników? Krzyże, które od czasu do czasu widać na poboczu drogi, postawione na pamiątkę zabitych podróżnych, wcale mnie nie uspokajają.

Admirał zastanawia się chwilę.

– Nie sądzę, żeby coś się mogło stać – stwierdza. – Warto jednak zachować ostrożność. Pomysł, byśmy jutro podróżowali razem, moim

zdaniem jest bardzo dobry.

– W każdym razie będzie z nami dwóch woźniców uzbrojonych w strzelby.

– Nie zapominajmy też o młodym Quirodze, który bez wątpienia potrafi się bronić. A pan i ja mamy moje pistolety. Naładuję je jutro przed wyjazdem.

Wspomnienie broni jeszcze bardziej niepokoi bibliotekarza.

– Nie jestem człowiekiem nawykłym do prochu, drogi admirale.

Ten zaś śmieje się uspokajająco.

– Ani ja, skoro już o tym mówimy. Od bardzo dawna go nie używam. Ale zapewniam pana, że kiedy się to okaże konieczne, pan, tak samo jak każdy, będzie umiał się nim posłużyć... Mało kto w potrzebie tego nie potrafi.

– Mam nadzieję, że takiej potrzeby nie będzie.

– Ja też. Proszę spać spokojnie.

Don Hermógenes kładzie się i nakrywa po pierś.

– Żałosna ta Hiszpania – odzywa się ze smutkiem. – Wystarczy oddalić się dwie mile od miasta, żeby znaleźć się wśród barbarzyńców.

– Nie brakuje barbarzyńców też wśród innych narodów, don Hermesie... Tyle tylko że przez tych cierpimy bardziej, bo są nasi.

Wygląda na to, że admirał tego wieczoru zrezygnował już z lektury. Wsunął zakładkę między kartki i odłożył książkę na szafkę. Teraz kładzie głowę na poduszce. Don Hermógenes wyciąga rękę, by zgasić lampę, ale zatrzymuje się w pół gestu.

– Wybacz mi pan pewien dość impertynencki komentarz, admirale? Usprawiedliwiony tą konieczną intymnością, w jakiej się znajdujemy.

Jasne oczy jego towarzysza wydają się jeszcze jaśniejsze w bliskim świetle, które podkreśla czerwonawe żyłki na policzkach, i patrzą na niego uważnie. Z lekkim zaskoczeniem.

– Ależ naturalnie, słucham.

Don Hermógenes waha się jeszcze przez chwilę. Wreszcie decyduje się odezwać.

– Zauważyłem, że nie jest pan człowiekiem pobożnym.

– Ma pan na myśli praktyki religijne?

– No cóż... Nie wiem. Nie widziałem, żeby się pan modlił, i wygląda, że nie robi pan tego. Pytam, ponieważ ja się modlę i nie chciałbym pana urazić moimi zwyczajami.

– Pana przesądami, chce pan powiedzieć?

– Proszę nie kpić.

Admirał śmieje się serdecznie, jego poprzednia powaga całkiem zniknęła.

– Wcale nie kpię, przepraszam. Tylko żartowałem.

Don Hermógenes kiwa głową, pobłażliwie i z serdecznością.

– Dziś, kiedy zatrzymaliśmy się na chwilę, żeby rozprostować kości, rozmawialiśmy o sprzecznościach... Rozum kontra religia, pamięta pan?

– Pamiętam doskonale.

– Cóż, nie chciałbym, by uważał mnie pan za dewota. Muszę wyznać, że miewam czasami problemy z sumieniem, bo wydaje mi się, iż posuwam się do granicy tego, co dozwolone w chrześcijańskiej doktrynie...

Admirał unosi dłoń, gotów zaprotestować, używając cięższego argumentu, jednak po chwili zastanowienia opuszcza rękę na kółdre.

– U innej osoby nazwałbym to hipokryzją. – Jego ton jest uprzejmy. – Jak u ludzi, którzy wyznają ślepią wiarę w dogmaty, a po kryjomu czytają

Rousseau... Jednak pana znam, don Hermesie. Pan jest uczciwym człowiekiem.

– Zapewniam pana, że nie jest to hipokryzja. To bolesny konflikt.

– Wśród oświeconych narodów...

Z miną wyrażającą rezygnację admirał nie kończy zdania. Jednak bibliotekarz czuje się zraniony w swoim patriotyzmie.

– Wśród ich oświeconych elit, chciał pan powiedzieć – protestuje. – Tych, którzy kierują wozem. Jak pan powiedział przed chwilą, ciemny motłoch można spotkać wszędzie.

– To właśnie miałem na myśli. – Admirał wskazuje na książkę, którą odłożył na szafkę. – Tylko dobrze zorganizowane i silne państwo, chroniące artystów, myślicieli i naukowców, jest zdolne zapewnić materialny i moralny postęp narodowi... A to nie jest przypadek naszego kraju.

Zastanawiając się nad tą gorzką prawdą, obaj akademicy milkną. Zza okiennicy słychać samotne szczekanie psa. Potem wraca cisza.

– Zgasić światło? – pyta don Hermógenes.

– Jak wola.

Unosząc się nieco na łożku, bibliotekarz zdmuchuje płomień. Dymny zapach zgaszonego knota roznosi się po ciemnym pokoju.

– Nazywają się oświeconymi – słychać naraz głos admirała – narody rozwijające mądrość. A cywilizowanymi zwą się te, których obyczaje zgodne są z rozumem... Ich przeciwieństwo stanowią narody barbarzyńskie, pośród nich przeważają gusty prostackiego, ciemnego pospólstwa, któremu władza schlebia i które oszukuje.

Don Hermógenes w ciemności kiwa głową.

– Zgadzam się z panem.

– Cieszę się. A dzieje się tak dlatego, że religia to najwyższa forma oszustwa wymyślona przez człowieka. Pogwałcenie zdrowego rozsądku do granic absurdu. – Ton głosu don Pedra znów staje się kpiący. – Co na przykład pan sądzi o polemice na temat rozporka u spodni? Naprawdę uważa pan, że ksiądz powinien decydować o pracy krawca?

– Na Boga, admirałe... Proszę nie wracać do tej żalösnej sprawy. Proszę mnie nie dręczyć.

Obaj śmieją się głośno, aż bibliotekarza łapie atak kaszlu. Francuska moda, rozpowszechniona przez zagraniczne gazety, na jedno rozcięcie, czyli rozporek w męskich spodniach, mający zastąpić tradycyjnie używaną klapkę zapinaną po lewej i prawej stronie, napotyka w Hiszpanii gwałtowny opór ze strony Kościoła, który nazywa rozporek niemoralnym i sprzecznym z dobrymi obyczajami. Nawet inkwizycja interweniuje, ogłaszając w kościołach edykt; grozi w nim karami dla krawców i ich klientów, którzy by ulegli tej nowej modzie.

– Choć to za ledwie przykład, czym jesteśmy lub mamy się stać. Sprawa rozporka jest tylko anegdotą – stwierdza admirał. – Znacznie gorsze są niewolnictwo i handel ludźmi, sprzedawanie państwowych urzędów, cenzura książek, corrida i publiczne egzekucje traktowane jak widowisko... Potrzeba nam mniej doktorów z Salamanki, a więcej rolników, kupców i marynarzy. Takiej Hiszpanii, gdzie wreszcie zrozumie się, że igła krawca zrobiła więcej dla szczęśliwości rodzaju ludzkiego niż *Logika* Arystotelesa czy dzieła zebrane Tomasza z Akwinu.

– Jestem tego samego zdania – zgadza się bibliotekarz. – Najważniejszym celem jest bez wątpienia edukacja. Ona będzie dźwignią rozwoju dla nowego człowieka.

– I dlatego jesteśmy w tej podróży, don Hermesie... Tłuczemy się w tym przeklętym powozie i śpimy w łózkach wołających o pomstę do

nieba, pchły nas gryzą i jedzą nas pluskwy. Po to tylko, żeby dołożyć naszą śrubkę do tej dźwigni.

– I kupić w Paryżu parę modnych spodni ze ślicznymi rozporkami.

Kolejny wybuch śmiechu bibliotekarza przerywa dopiero następny atak kaszlu. Akademik śmieje się jeszcze chwilę, cicho charkając, z oczami otwartymi w ciemności.

– Dobranoc, admirale.

– Dobranoc, przyjacielu.

Madryt, Aranda de Duero, Burgos... W kolejnych dniach, już zaznajomiony z mapami i osiemnastowiecznymi przewodnikami, ustaliłem dość precyzyjnie szlak podróży akademików, licząc w milach odległość między zajazdami i postojami. Potem to wszystko naniosłem na mapę Tomasa Lopeza, a w końcu na współczesny atlas drogowy. Większość dzisiejszych tras pokrywa się z dawnymi – stare trakty używane przez powozy i konie zastąpiono autostradami i drogami szybkiego ruchu, jednak ich przebieg jest niemal taki sam. Stwierdziłem poza tym, że niektóre boczne drogi wiernie powielają stare marszruty, znaczone są tymi samymi toponimami, jakie występowały na osiemnastowiecznych mapach: oberża Pedrezuela, Cabanillas, zajazd w Foncioso... Mnie bardziej przydały się odnogi mniej uczęszczane, które – choć już asfaltowe i nowocześnie oznaczone – biegły tak samo jak wtedy, kiedy powstały na specjalnie wyszukanych w tym celu najbardziej płaskich i dostępnych terenach, wzdłuż brzegów rzek, przez mosty, brody, wąwozy i przełęcz. Niewiele zmieniły się przez ostatnie dwa i pół wieku, stwierdziłem, porównując mapy. Jadąc tamtędy, mógłbym zobaczyć albo odtworzyć ze sporym prawdopodobieństwem pejzaże, jakie bibliotekarz i admirał podziwiali podczas podróży. Włożyłem więc do torby parę starych map

i przewodników, aktualny atlas drogowy, aparat fotograficzny i notes i wyruszyłem odwiedzić te miejsca, zmierzając autostradą A1 z Madrytu do granicy z Francją.

Miałem jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Należało połączyć wątki. W mojej bibliotece zgromadziłem całkiem pokaźną sekcję dotyczącą osiemnastego wieku, zawierającą książki z tamtego czasu, wspomnienia, biografie i najnowsze badania. Jedną z tych publikacji, poleconą przez don Gregoria Salvadora *Hiszpania możliwa w czasach Karola III*, napisaną przez filozofa Juliana Mariasa, była szczególnie użyteczna do opisu sposobu patrzenia na świat bohaterów naszej podróży do Paryża. Miałem całe notatniki pełne zapisków i dość dobrze sprecyzowane światopoglądy postaci, potrzebowałem jednak ostatecznego wsparcia – potwierdzenia, że mój ogląd historii jest poprawny. Zadzwoiłem więc do Carmen Iglesias i zaprosiłem ją na obiad.

– Opowiedz mi krótko o przyczynach porażki Karola III – poprosiłem.

– Na jakim poziomie zaawansowania?

– Jakbym był jednym z twoich najbardziej tępych uczniów.

Roześmiała się.

– Wolisz wersję pesymistyczną czy optymistyczną?

– Raczej krytyczną wobec tego, co się stało.

– Jak wiesz, wydarzyło się też wiele dobrego.

– Owszem, ale dziś interesuje mnie to, co złe.

Spojrzała na mnie przebiegle.

– Nowa powieść?

– Może.

Śmiała się jeszcze chwilę. Carmen i ja przyjaźniliśmy się od dwunastu lat. Moja przyjaciółka to osoba drobna, elegancka i diabelnie przenikliwa.

Hrabina jakaś tam. W młodości była nauczycielką księcia Asturii. Napisała kilka ważnych książek na temat myśli politycznej, została też pierwszą kobietą zajmującą stanowisko dyrektora Królewskiej Akademii Historycznej. Przed szacownym budynkiem tejże właśnie instytucji, niemal na rogu ulic Huertas i León, czekałem na Carmen o poranku, tak jak umówiliśmy się przez telefon. Był to piękny dzień, niemal upalny. Mieliśmy pomysł, żeby przejść się po okolicy, a potem pójść do tawerny Viña Pe na placu Santa Ana.

– Karol III był na tyle dobrym królem, na ile to było możliwe.

Szliśmy w kierunku ulicy Prado. Byliśmy blisko miejsca, gdzie kiedyś mieszkał bibliotekarz don Hermógenes Molina. Dzielnica ta, zwana Barrio de las Letras, czyli Dzielnicą Literacką, jest bardzo specyficzna: klasztor, w którym pochowano Cervantesa, wznosił się po naszej prawej ręce, kilka kroków dalej stał dom, w którym mieszkali Góngora i Quevedo. Nieco dalej żył i umarł autor *Don Kichota*. Oczywiście żaden z tych budynków się nie zachował. Tylko dom Lopego de Vegi, położony bardzo niedaleko, ocalał przed rozbiórką dzięki staraniom Hiszpańskiej Akademii Królewskiej.

– Czy można więc – zaciekałem się – banalnie nazwać jego panowanie czasem oświecenia?

Carmen nie potwierdziła w okamgnieniu, jak się tego spodziewałem.

– Tylko w pewnym sensie – powiedziała po chwili zastanowienia. – Nie był to król postępowy w dzisiejszym rozumieniu; jednak pochodził z Neapolu i był człowiekiem wykształconym, potrafił otaczać się odpowiednimi ludźmi, kompetentnymi ministrami, myślącymi w sposób nowoczesny... Jego działania często były zbieżne z postępową filozofią tamtych czasów. Niektóre prawa, jakie wprowadził, były tak nowatorskie, że okazywały się bardziej rewolucyjne niż prawo stanowione we Francji.

Zaczynałem rozumieć niuanse, które zauważała jako historyk. Podzielałem jej wątpliwości.

– Oczywiście, były pewne ograniczenia – stwierdziłem. – „Trafiliśmy na kościół, Sancho”³. I tak dalej.

Roześmiała się, biorąc mnie pod rękę.

– Nie chodziło tylko o zderzenie z Kościołem. Karol III był jednym z tych królów, którzy mieli wspaniałe intencje, jednak zachował skrupuły związane z wiarą... I siły reakcyjne wykorzystały to, by skutecznie na niego wpływać. Nie dało się zatrzymać postępu, ale sypać piasek w tryby mechanizmu – owszem.

– W każdym razie był to czas wielkich nadziei, prawda?

– Bez wątpienia.

– Mam wrażenie, że dylemat, czy nadzieja ta powinna brać się z wiary, czy z rozumu, nie został rozstrzygnięty.

Carmen zgodziła się ze mną. W osiemnastowiecznej Hiszpanii, dodała, ogromne znaczenie miał nie tylko Kościół, ale także tradycjonalizm i marazm. Samo społeczeństwo. W kraju, gdzie szlachta nie płaciła podatków, pracę uznawano za przekleństwo, a blasku człowiekowi dodawał fakt, że żaden z jego przodków nie miał się jakiegokolwiek rzemiosła, naturalnymi tendencjami były gnuśność i odrzucenie wszystkiego, co mogłoby prowadzić do zmian.

Zatrzymałem się i popatrzyłem na Carmen. Za jej plecami znajdowała się witryna sklepu ze starodrukami – wystawiono tam ryciny i wielkie mapy. Jedna z kart przedstawiała Hiszpanię i na niej także mimo woli prześledziłem trasę podróży moich dwóch akademików do granicy.

– Chcesz powiedzieć, że tutaj nigdy nie nastąpiła poważna próba podważenia ustalonego porządku? A stało się tak zarówno z powodu

moralnego tchórzostwa, jak i lenistwa? Sądziłem, że także mieliśmy wybitnych ludzi oświecenia.

Puściła moją rękę. Wzruszyła ramionami, trzymając torbę przy boku.

– Nie mieliśmy oświecenia w takim sensie jak inne kraje Europy, bo tu nigdy nie istniał skoordynowany ośrodek skupiający filozofów i myślicieli politycznych, którzy by swobodnie pracowali nad nowymi ideami. Tutaj „oświecenie” zamieniono na „oświatę”, słowo znacznie bardziej umiarkowane. Dlatego Hiszpania nie znalazła się na mapie Europy oświeceniowej za własne zasługi, lecz jedynie przez to, że służyła za pudło rezonansowe. Uczciwie patrząc, nawet przy dużej dawce dobrej woli nie możemy porównywać Feijó’a, Cadalsa czy Jovellanosa z Diderotem, Rousseau, Kantem, Hume’em lub Lockiem... Właściwie nasze oświecenie zatrzymało się w połowie drogi.

– To ciekawe, że tak uważasz. Od tygodni czytam wszelkiego rodzaju pisma z epoki, ale ani razu nie natknąłem się na pozytywne znaczenie słowa „wolność”.

– Nie znajdziesz też żadnej opinii, która kwestionowałaby władzę królewską. I to niemal pół wieku po tym, jak baron Holbach pisał we Francji: „Czy mogą narody, jeśli nie brak im rozumu, zezwalać tym, których uczynili depozytariuszami swoich praw, by zawsze ich unieszczęśliwiali?”.

– Rozumiem – podsumowałem. – Król o dobrych intencjach, świetli ministrowie, ale ze wszystkich stron ograniczają ich czerwone linie.

– To dobra metafora. Bardzo niewielu Hiszpanów odważyło się przeciwstawić katolickim dogmatom i tradycyjnej monarchii. Wielu tego pragnęło, ale, jak wcześniej mówiłam, nieliczni tylko się odważyli.

Znów ruszyliśmy przed siebie. Na placu Santa Ana wokół stolików w ogródkach restauracji tłoczyło się mnóstwo ludzi, a rój dzieci kłębił się

na niewielkim placu zabaw tuż obok. Siedzący pod pomnikiem Pedra Calderona de la Barca akordeonista grał *Tango starej gwardii*. Brązowa podobizna Garcíi Lorki zapatrzonego na ptaki stojąca po drugiej stronie placu wyglądała, jakby cierpliwie czekała na kolejny pluton egzekucyjny.

– Oświecona Hiszpania była ostrożna – podsumowała Carmen. – Niemal anemiczna w porównaniu z Francją.

Rozejrzałem się wokół, zatrzymując wzrok to na dzieciach bawiących się na huśtawkach, to na gościach barów.

– Zabrakło tu gilotyny, moim zdaniem... Mam na myśli to, co urządzenie owo symbolizuje.

– Nie bądź prostacki.

– Mówię poważnie.

Popatrzyła na mnie jakby rozbawiona i nieco oburzona. Potem się zastanowiła.

– Tak, symbolicznie. – W końcu pokiwała twierdząco głową. – Tutaj nie było takiej rewolucji, która otwierałaby drogę innym przewrotom... Pomyśl, jak głęboko zakorzenione są nasze mroki, jak ciemno musiało tu być w osiemnastym wieku i jak wiele zawdzięczamy tym, którzy walczyli wówczas, kiedy konsekwencją nie był tylko tytuł w gazecie albo komentarz w Internecie, ale wygnanie, dyskredytacja, więzienie lub śmierć.

Właśnie rozmawiają o tym, co w Hiszpanii możliwe, a co niemożliwe. Podczas gdy berlina turkocze, jadąc na północ, skrzypią resory na złej drodze i pokrywa ich pył wznoszony przez jadący przed nimi powóz – ten odcinek pokonują wspólnie z damą i jej synem wojskowym, których poznali w zajeździe – don Hermógenes Molina i don Pedro Zárate przysypiają, czytają, oglądają krajobraz albo podejmują swoją długą rozmowę.

– Czy pan się drapie, don Hermesie?

– Owszem, mój drogi admirale. Jakieś maleńkie stworzenia, których dokładnej klasyfikacji zoologicznej nie znam, gryzły mnie przez całą noc.

– Coś takiego! A to pech. Mnie dziś oszczędziły.

– Musiałem im się wydać miłszy.

Ci dwaj mężczyźni, którzy w Akademii całymi latami wymieniali zaledwie uwagi językowe i konwencjonalne uprzejmości, teraz przez konieczną intymność poznają się lepiej, a nawet spoufalają – o ile to jest właściwe słowo – w sposób potwierdzający wzajemny szacunek i mającą pojawić się wkrótce przyjaźń. Tworzy się tak – powoli, jeszcze niedostrzegalnie dla zainteresowanych – coraz bliższa i solidarna więź, często spotykana między osobami o charakterach szlachetnych, kiedy te zbliżają się do siebie poprzez wspólne stawianie czoła nieprzewidzianym zdarzeniom, problemom czy trudnościom.

– O czym pan myśli, admirale?

Zapytany zwleka chwilę, zanim oderwie wzrok od widoków za oknem. Na kolanach trzyma otwartą książkę Eulera, której od dobrej chwili już nie czyta.

– Zastanawiam się nad tym, o czym rozmawialiśmy w nocy. Wyobraża pan sobie naukowe kształcenie zamiast scholastyki, która panuje na wszystkich naszych uniwersytetach, no, może z nielicznymi wyjątkami? Wyobraża pan sobie Hiszpanię, gdzie zamiast roju teologów, adwokatów, skrybów i łacinników byliby geometry, astronomowie, chemicy, architekci, naukowcy?

Bibliotekarz kiwa potakująco głową, choć nie bez obiekcji.

– Naród myślicieli, filozofów i naukowców wcale nie musi być przez to lepiej rządzony – zauważa.

– Może i nie. Jednak gdyby mądrzy ludzie swobodnie działali i wypowiadali się, naród mógłby lepiej bronić się przed złymi rządami

i Kościołem.

– A pan znowu swoje. – Don Hermógenes unosi dłoń w geście protestu. – Proszę nie mieszać do tych spraw Kościoła.

– Jakże mógłbym go nie mieszać? Matematyka, ekonomia społeczna, nowoczesna fizyka, historia naturalna: nimi zawsze pogardzali ci, którzy potrafią wypowiedzieć trzydzieści dwa sylogizmy rozstrzygające, czy czyściec jest stały, czy płynny...

– Niechże pan nie przesadza. Kościół także szanuje naukę. Przypominam panu, że Kolumb z początku otrzymał wsparcie od zakonnych astronomów i uczonych z klasztoru w Rabidzie.

– Jedna jaskółka wiosny nie czyni, don Hermesie. Ani nawet dwadzieścia. – Admirał zamyka książkę i odkłada ją na bok, na siedzenie. – Dwa i pół wieku po Kolumbie Jorge Juan, wybitny człowiek morza, którego miałem zaszczyt nieco poznać, opowiadał mi, że kiedy wrócili razem z Antoniem de Ulloą z wyprawy, podczas której wyznaczali długość geograficzną Peru, musieli w sprawozdaniu z podróży pominąć niektóre z naukowych konkluzji, ponieważ kościelni cenzorzy uznali, że są sprzeczne z dogmatami katolickimi, a nawet zmuszono ich, by określili system kopernikański jako „fałszywą hipotezę”... A to, moim zdaniem, jest niedopuszczalne. Od kiedy to nauka ma się uginać pod naporem opinii kolejnych biskupów?

Bibliotekarz śmieje się dobrotliwie, z rozbawieniem.

– Skoro w grę wchodzi ludzie morza, wcale się nie dziwię, że odzywa się w panu duch Floty Królewskiej.

– Jedyne, co się we mnie odzywa, to zdrowy rozsądek, don Hermesie. Kiedy na statku musiałbym wyznaczyć kurs za pomocą oktantu, a słońce przysłoniłyby chmury, na nic zdałoby się klepanie zdrowasiek. Na pełnym

morzu, jeśli ma się kłopoty, pomoc mogą jedynie tablice i mapy morskie, kompas i astronomia, a nie modlitwy.

Powóz stanął. Bibliotekarz opuszcza szybę w okienku i wystawia głowę, żeby zobaczyć, co się stało.

– Nie mogę zaprzeczyć, że ma pan nieco racji, przyznaję... Proszę jednak, by szanował pan także mój punkt widzenia.

– Jak pan sobie życzy. – Admirał jest zgodny. – Ale gdybyśmy się wyswobodzili spod ciężaru przesądów, słusznie można by nazywać nasze czasy wiekiem oświecenia albo filozofii... To stulecie, jeszcze zanim się skończy, jestem pewien, będzie świadkiem zaniku sofizmatów perypatetyki i teologii oraz narodzin lepszego pożytkowania czasu. Zastąpią je solidne, pożyteczne studia, a zamiast codziennej mszy, teatru Calderona, corridy, kastanietów, taniego folkloru i pokrzykiwań będziemy mieli obserwatoria astronomiczne, pracownie fizyczne, ogrody botaniczne i muzea historii naturalnej... Czy coś pan widzi?

– Musiało się coś stać. Tamten powóz też się zatrzymał.

Otwierają drzwiczki. Młody Quiroga wysiadł ze swojego pojazdu i zbliża się do nich.

– Złamało nam się koło – informuje. – Nasz woźnica stara się je naprawić, pomaga mu woźnica panów.

– Czy to coś poważnego?

– Jeszcze nie wiadomo. Ale możliwe, że oś została uszkodzona.

– Co za kłopot! Czy matka pana dobrze się czuje?

– Znakomicie, dziękuję.

Akademicy wysiadają z berliny. Admirał przysłania dłonią oczy, mrużąc je w ostrym świetle, i obserwuje pejzaż wokół. Droga biegnie pomiędzy skałami, po czym wdziera się do wąwozu, obrzeżona dębami, kilkoma

wierzbami i drzewami oliwnymi. Na wzniesieniu, które już minęli, stoją resztki ruin zamku, zachowała się jedynie pusta wieża i fragment muru.

– Skorzystamy z okazji, żeby podejść i pozdrowić pańską matkę, jeśli pan pozwoli.

Młody oficer uśmiecha się z wdzięcznością. Jego włosy nie są teraz wypomadowane, a spod trójgraniastego kapelusza z galonami – to jedyny szczegół jego stroju, który zdradza wojskowego, porucznika gwardii hiszpańskiej – wygląda twarz o miłych rysach, ogorzała od słońca i świeżego powietrza. Można mu dać jakieś dwadzieścia trzy, dwadzieścia pięć lat.

– Naturalnie. Ucieszy ją chwila rozmowy z kimś innym niż ja.

Akademicy biorą kapelusze i wszyscy trzej idą do drugiego powozu, a po drodze młody Quiroga dzieli się swoimi obawami dotyczącymi koła – wyskoczyło kilka sworzni, przez co skrzywiła się piasta i popękała jedna ze szprych. Most nad rzeką Riazą jest drewniany, w bardzo złym stanie, nie puszcza się tamtędy powozów; każda, najmniejsza nawet usterka, jeśli nie będzie naprawiona, może uniemożliwić im przejście brodu, który znajduje się nieco w dole rzeki.

– Nie jest to jedyny możliwy problem – stwierdza admirał, ciągle przyglądając się otoczeniu.

Młodzieniec śledzi jego spojrzenie i zaraz wszystko rozumie.

– To nie jest dobre miejsce – zgadza się z admirałem, zniżając głos. – Pustkowie, dwie mile od Arandy... Niepokoi pana ta dąbrowa, prawda?

– Tak.

– Mówicie tak z powodu tych pogłosek, jakie słyszeliśmy wczoraj w zajeździe? – niepokoi się bibliotekarz.

– Owszem – odpowiada admirał. – Proszę pamiętać, don Hermesie, że dlatego właśnie podróżujemy wspólnie z panem porucznikiem i jego matką.

Żeby lepiej się chronić.

– Do licha. Jest nas pięciu mężczyzn, razem z woźnicami... A to już spora gromada, prawda?

– Wszystko zależy, jak duża byłaby gromada rozbójników, jeśli są gdzieś w okolicy. A mamy jedynie dwie strzelby woźniców i moje dwa pistolety podróżne.

– Ja też mam przy sobie dwa – dodaje młody Quiroga. – I moją regulaminową szablę.

Admirał wzdycha, zaniepokojony.

– Mamy pańską matkę pod opieką, jeśli wystąpiłyby problemy, opór byłby zbyt ryzykowny... Oznaczałby narażenie jej na nieprzyjemne obawy.

Młodzieniec się uśmiecha.

– Proszę się nie obawiać. Pułkownikowa ma silny charakter. A jako małżonka wojskowego swoje przeżyła.

Rozmawiając, docierają do drugiego powozu, gdzie woźnice trudzą się nad kołem. Zamarra informuje o szkodach: piasta połamanego koła jest wykoślawiona, przez co drewno rozleciało się w drzazgi, jak się tego obawiali, a poza tym uszkodzona została tylna oś. Jeśli nie uda się jej zreperować, powóz i jego woźnica będą musieli zostać w tym miejscu, natomiast reszta podróżnych pojedzie dalej berliną do Arandy de Duero, skąd będzie można przysłać narzędzia i część zamienną. O ile don Pedro i don Hermógenes nie mają nic przeciwko temu.

– Moja matka i ja nie chcielibyśmy ani panom przeszkadzać, ani opóźniać dalekiej podróży – przeprosza młody oficer.

– Na Boga, poruczniku, skądże znowu?!

Wdowa Quiroga wyszła z powozu, przechadza się skrajem drogi, gdzie rosną maki i jaskry. Jej czarna suknia, jeszcze głęboko żałobna, stanowi

posepny akcent w krajobrazie, kłócąc się z uśmiechem, jakim kobieta wita podróżnych.

– To bardzo przykre zdarzenie – zauważa admirał uprzejmie, zdejmując z głowy kapelusz, podobnie jak zrobił to bibliotekarz.

Wdowa uspokaja ich. Cierpliwie przyjmuje niedogodności podróży, do których zdążyła się przyzwyczaić za życia zmarłego męża.

– Woźnica panów mówi, że może będziemy musieli pojechać razem aż do Arandy...

– To dla nas przyjemność móc zaoferować pani pomoc.

– Może będzie trochę ciasno, ale w ten sposób razem z synem będziemy mogli cieszyć się rozmową z panami.

Mówiąc to, patrzy na obu akademików, ale zwraca się do admirała. Spod runda filcowego kapelusza, koronek i wstążek wyglądają oczy pułkownikowej, wielkie, bardzo ciemne i żywe. Ma pewnie dobre czterdzieści pięć lat i nie jest kobietą ani piękną, ani brzydką, jej kształty jednak są zgrabne, a ona sama zachowała młodzieńczy wigor. Don Hermógenes zauważa to wszystko chłodno, podobnie jak jest świadomy dość sztywnego zachowania swojego towarzysza, sposobu, w jaki poprawił krawatę, kiedy podchodzili do damy, i wyprostowanej, grzecznej pozy z kapeluszem w jednej ręce, podczas kiedy drugą trzyma niedbale na pasie fraka, starannie wykrojonego przez jego siostry według wzorów z angielskich magazynów mody. Ów strój, nienaganny, nowoczesny, który na starym marynarzu leży jak ulał i podkreśla jego młodzieńczą sylwetkę, jaką zachował mimo wieku, to w dobrotliwej opinii bibliotekarza lekka i wybaczalna kokieteria – don Pedro Zárate nigdy o tym nie mówi, ale dawno już przekroczył sześćdziesiątkę.

– Moglibyśmy się przejść wszyscy wąwozem – proponuje wdowa. – Rzeka płynie nieopodal, a obawiam się, że czasu mamy aż nadto.

– Znakomity pomysł – podchwytuje tę propozycję don Hermógenes, lecz jego uśmiech szybko znika, kiedy dostrzega wymianę zatroskanych spojrzeń pomiędzy admirałem a młodym Quirogą.

– To nie jest dobra myśl, mamó – odzywa się ten ostatni.

– Dlaczego? Przecież jesteśmy...

Przerywa w pół słowa, zauważając wyraz twarzy syna. Ten zaś obserwuje ze zmarszczonym czołem pobliską dąbrowę, na skraju której pojawiło się w szeregu jakieś niespełna dziesięć postaci, jeszcze dość daleko.

– Czy panowie potrafią dobrze strzelać? – pyta młody Quiroga.

Don Hermógenes przełyka ślinę, wyraźnie zakłopotany.

– Żeby strzelać, tak naprawdę...

– Będzie lepiej – stwierdza spokojnie admirał – jeśli pani wróci do powozu, a ja pójdę po moje pistolety.

Oparty plecami o jeszcze trzymający się kawałek muru zrujnowanego zamku, siedząc w cieniu rozsypującej się pustej wieży, na której szczycie widać gniazdo bocianów, Pascual Raposo opędza się od much, żuje kawałek sera, wypluwa skórkę i na koniec pociąga dobry łyk wina z bukłaka trzymanego między nogami obok pozostałych bagaży. Potem kroi trochę tytoniu, nożem rozdrabnia go i zawija starannie w kawałek papieru, zamyka go na końcach, skręcając brzegi. Następnie wyjmuje hubkę z krzesiwem i skałką, zapala papierosa i pali powoli, obserwując chłodnym okiem to, co się dzieje dwieście łokci poniżej. Z tej wysokości może wygodnie patrzeć, samemu nie będąc widzianym, na drogę, gdzie stoją dwa powozy, pobliską dąbrowę i nieco dalszy brzeg rzeki. Dostrzega też pół tuzina mężczyzn zbliżających się szerokim półkolem od strony lasu, powoli, między skałami, do drogi. Są zbyt daleko, by widzieć ich

dokładnie, ale doświadczone oko Raposa zauważa, że w rękach trzymają strzelby i sztucery. Podróżni natomiast wycofali się w kierunku powozów, a kobieta weszła do berliny. Woźnice uzbroili się w strzelby i chronią drugi dyliżans. Młodzieniec w jednej ręce trzyma szablę, a w drugiej pistolet. Samych akademików Raposo w tej chwili nie widzi, bo przysłania ich powóz, choć pewnie też są uzbrojeni.

Rozbójnicy są teraz bliżej pojazdów i jeden z nich macha ręką w ich stronę, jakby nakłaniał podróżnych do zachowania spokoju. Z flegmatycznym zainteresowaniem Raposo wyjmuje z sakwy składaną lunetę, skręca ją i zbliża do prawego oka, odsuwając kapelusz na tył głowy. Przez soczewkę widzi dokładniej unoszącego rękę mężczyznę, który wygląda jak żywcem wyjęty z książki o bandytach: kapelusz w szpic, skórzane spodnie i kurtka, do tego krótka strzelba przewieszona przez ramię. Jego towarzysze, stwierdza Raposo, przesuwając okularem w bok, też stanowią żywą ilustrację wyobrażenia o rozbójniczym fachu: chustki, berety i filcowe czapki ponad ogorzałymi, zarośniętymi twarzami, krótkie strzelby, noże i pistolety zatknięte za pasy. Najwyraźniej nie mają nic wspólnego z wieśniakami i pastuchami, którzy w czasach nędzy wychodzą na drogę, prosząc o jałmużnę albo rabując nieszczęsnych przejezdnych. Ci, którzy wyszli z dąbrowy, są bardziej niebezpieczni. Najprawdziwszy materiał na szubieniczników.

Zbliżający się mężczyźni są jeszcze oddaleni o jakieś trzydzieści łokci od pojazdów i podróżnych. Raposo, zaciekawiony, nastawia ostrość na woźniców, którzy kryją się za popsutym powozem. W odległości około piętnastu kroków, obok drugiego pojazdu, chowają się razem obaj akademicy i młodzieniec, który stanął przy drzwiczkach berliny, aby chronić kobietę znajdującą się w środku, i po pewności, z jaką trzyma szablę i pistolet, widać, że potrafi się nimi posługiwać. Co do akademików,

Raposo może dostrzec tego niższego i korpulentnego, robiącego wrażenie nienawykłego do takich okoliczności – zdjął żakiet i jest teraz w koszuli i kamizelce, jedną ręką opiera się o koło powozu, jakby dzięki temu trzymał się pewniej na nogach, i ściska pistolet z taką zręcznością i zdecydowaniem, jakby to była marchewka. Drugi z akademików w końcu poruszył się nieco i teraz szkło lunety pozwala Raposowi dokładnie go obejrzeć: nieruchomy, posępny, poważny, z pistoletem chroni drugie drzwiczki berliny, trzyma go obojętnie w opuszczonej ręce, z lufą skierowaną ku ziemi. W tym czasie wolną dłonią zapina z wytworną dokładnością guziki fraka, którego długie poły opadają na ciemne spodnie i szare skarpety, wydłużając jeszcze jego szczupłą, wysoką postać.

– Coś takiego – mruży Raposo pod nosem, zadziwiony. – Wygląda na to, że nasze ptaszki nie dadzą się spokojnie oskubać.

Odsuwa lunetę od oka, żeby się zaciągnąć papierosem, i w tej chwili słyszy odgłos wystrzału w dole. Pospiesznie podnosi okular do twarzy i zaraz widzi, że rozbójnik, który przedtem machał ręką, teraz leży na ziemi. Słychać kolejne wystrzały, ich echo powtarza się w dolinie, a obłoki dymu unoszą się nad kamieniskiem i drogą. Raposo szybko porusza lunetą, chwytając prędko zmieniające się sceny – rozbójnicy strzelają ze sztucerów, woźnice bronią drugiego powozu, młody człowiek wystrzeliwuje i spokojnie znów ładuje puste pistolety. I wysoki akademik, którego dzięki soczewkom widzi dokładnie, postępuje trzy kroki w przód, sztywno wyprostowany, z godną podziwu zimną krwią wyciąga rękę, jakby to była salonowa zabawa, i strzela, pozornie zachowując ten sam spokój, po czym cofa się do drugiego akademika, bierze pistolet, który ten trzyma w dłoni, ciągle nie wystrzeliwszy, znów podchodzi kilka kroków w stronę napastników i ponownie wypala, obojętny na przelatujące obok ze świstem kule.

Raposo odkłada lunetę i z dymiącym papierosem w palcach patrzy rozbawiony na finał sceny: rozbójnik, który leżał na ziemi, podnosi się i teraz ucieka, kuśtykając za swoimi kamratami, zmykającymi w stronę dąbrowy. Woźnice pokrzykują radośnie, a młodzieniec i okrągły akademik zagląдают do wnętrza berlina, zatroskani o kobietę. Kilka kroków dalej, stojąc przy drodze z pustym pistoletem w ręce, wysoki akademik odprowadza wzrokiem uciekających rozbójników.

Powóz toczy się po wiejskiej, wąskiej drodze pośród winnic, zostawiając za sobą skarpy i urwiste brzegi rzeki Riaza, którą przekroczyli niedawno. Woźnica Zamorra siedzi na koźle, a w środku jedzie czwórka pasażerów. Admirał i don Hermógenes z uprzejmości sadowią się tyłem do kierunku jazdy; wdowa Quiroga i jej syn siedzą na głównych miejscach. Nadal rozmawiają o szczegółach przygody: pani na przemian otwiera i składa wachlarz, gwarząc swobodnie, w wyraźnie dobrym nastroju pomimo całego zdarzenia, a młody porucznik dodaje do tego dobry humor, właściwy jego wiekowi i rzemiosłu. Z kolei don Hermógenes mówi, że jest zadziwiony i jeszcze nie całkiem odprężony po silnych przeżyciach.

– Takie są skutki złej polityki – mówi bibliotekarz. – Nieprzestrzeganie prawa, brak poczucia bezpieczeństwa, co zawstydzia nas przed całym cywilizowanym światem, niesprawiedliwe podatki, nieistnienie prawa rolnego, które położyłoby kres Hiszpanii latyfundiów należących do paru czy co najwyżej dwudziestu arystokratów... To wszystko sprawia, że w górach gromadzą się niezliczeni desperaci, przemytnicy i złoczyńcy, narażający nas na niebezpieczeństwa takie jak to dzisiejsze.

– Hiszpańska szlachta uczciwie zasłużyła na swoje przywileje – sprzeciwia się młody Quiroga. – Osiem wieków walk z Maurami, wojny w Europie i podbój Ameryki są tego dowodem więcej niż wystarczającym... Szlachetnie urodzeni mają dość zasług, moim zdaniem.

– Zasług? – protestuje grzecznie don Hermógenes. – Kiedyś szlachcic potrafił na własny koszt wystawić cały regiment na służbę króla, a teraz ma na swój użytek wojsko lokajów, fryzjerów i krawców... Pan sam jest wyjątkiem od reguły. Pański ojciec był godnym żołnierzem, podobnie jak i jego syn, czego dowiódł pan przed chwilą, i to z nawiązką. Co zawdzięczamy wyczynom, jakich dokonał w jedenastym wieku przodek tego czy innego granda Hiszpanii? Co jesteśmy winni prawnukowi księcia Iks czy Igrek, właściciela ogromnych majątków, który ani nie potrafi nimi zarządzać czy ich uprawiać, ani nawet go to nie interesuje, chyba tylko o tyle, żeby opłacić swoje czterokonne karety czy łożę w teatrze, by móc odwiedzać królewskie rezydencje albo przechadzać się po Paseo del Prado po sjeście.

– W tej sprawie ma pan trochę racji – stwierdza wdowa.

Don Hermógenes uśmiecha się zgodnie i nieco melancholijnie.

– Owszem, mam, niestety, choć wolałbym jej nie mieć. Bo to wszystko, szanowna pani, dzieje się w Hiszpanii, gdzie nadal orze się pola starymi pługami, brak tu lemiesza i odkładnicy, przez co tarcie jest większe, a praca wołu trudniejsza... Albo gdzie często plon zależy od wiatru, który przewiewa zboże, bo nie znają tu dmuchawy, wymyślonej przez Reiseliusa, a używanej przez inne narody jak najzwyklejszej rzeczy pod słońcem.

– I której używania zakazują na piśmie niektórzy nasi duchowni – dodaje don Pedro Zárate.

Wszyscy patrzą na niego. Do tej pory milczał niemal cały czas, rzadko włączając się do rozmowy.

– Nie zaczynajmy znów, drogi przyjacielu – prosi usilnie bibliotekarz. – Nie sądzę, żeby w towarzystwie pani...

– Przeciwnie – odzywa się wdowa, zwracając się do drugiego z akademików. – Bardzo interesuje mnie opinia pana admirała.

– Niewiele mam do powiedzenia – odpowiada marynarz – poza tym, że ten nowoczesny wynalazek, o którym wspomniał don Hermógenes, jest krytykowany przez Kościół.

– Z jakiego powodu? – Młody Quiroga okazuje zaskoczenie.

– Ponieważ nie zależy od tego, czy Boska opatrzność ześle pomyślny wiatr.

Młodzieniec wybucha wesołym śmiechem.

– Rozumiem. Chodzi o interes pośredników, jak sądzę. Żeby zachować monopol.

– Luisie, proszę – upomina go matka.

– Ma rację pani syn, szanowna pani – mówi admirał. – Proszę nie targać go za uszy z naszego powodu. To przytomny młodzieniec i trafił w sedno. Niestety, ta kwestia jest stara jak świat.

Don Pedro przygląda się wnikliwie młodemu oficerowi, zwracając uwagę na wysokie buty z dobrej hiszpańskiej skóry, jedwabną ciemnoczerwoną chustkę wyłożoną na kołnierzyk koszuli, zamszowe spodnie i kamizelkę z tego samego materiału, przylegającą do torsu pod żakietem zapinanym na tuzin srebrnych guzików. Nie ma nic wspólnego, stwierdza, z nadskakującymi swoim damom fircykami z przylepionym pieprzykiem na twarzy, włosami wypomadowanymi i ułożonymi w loki, od jakich roi się podczas towarzyskich spotkań i na teatralnych balkonach, ani z tymi młodzieńcami, którzy udają bratanie się z pospólstwem, pokrzykują: „słuchaj no, bracie”, i oddają się fanfaronadom z noszeniem siatki na włosach niczym bywalcy tawern torreadorów, cygańskich spelunek i sal z tańcami przy pochodniach.

– Czy pan czyta, młodzieńcze?

– Trochę. Nie tyle, ile powinienem.

– Proszę dbać o lektury. W pańskim wieku czytanie to przyszłość.

– Nie jestem pewna, czy nadmiar książek jest dobry – wypowiada swój sąd matka.

– Proszę porzucić podobne obawy, szanowna pani – odpowiada don Hermógenes. – Bogactwo dzisiejszych lektur, choć niektórzy w Hiszpanii uznają je za grzeszne, pozwala nawet kobietom i prostemu ludowi na oświecenie, jakie wcześniej dostępne było tylko, i to w niewielkim stopniu, wykształconym mężom. – Zwraca się teraz do don Pedra, szukając jego aprobaty: – Nie uważa pan, admirale?

– I to jest nasza nadzieja – potwierdza admirał po chwili zastanowienia. – Młodzież wykształcona i odważna, jak towarzyszący nam pan porucznik. Czytająca odpowiednie lektury. To dzięki takim ludziom zasłona kościelna rozedrze się wpoły.

Przy ostatnich słowach matka żegna się i uśmiecha do syna. Don Hermógenes, widząc z kąta swojego siedzenia nadciągające chmury, włącza się do rozmowy.

– Istnieją różne kościoły, admirale...

Jego towarzysz puszcza do niego oko z szelmowskim uśmiechem.

– Dobrze pan wie, co mam na myśli.

– Skaranie boskie! Znowu zaczynamy.

– Nie powinna się pani oburzać, kiedy mówię o kościołach, szanowna pani – prosi admirał, nachylając się do wdowy, która przestaje się wachlować i patrzy mu w oczy. – Nie miałem zamiaru wchodzić na tę drogę. Kiedy rozmawiam z pani synem, mam na myśli konieczność pojawienia się rodaków nowego rodzaju, którzy nie będą już niewolnikami starego świata... Wojskowych odważnych jak on, ale przy tym wykształconych w akademiach naukowych, czytających książki, znających geometrię i historię.

– Albo marynarzy – dodaje ze szlachetną uprzejmością młody Quiroga.

– Naturalnie. Także świątłych marynarzy, którzy rozwijać będą handel, poznawać granice świata i nauki. To oni otworzą drzwi rozumowi i przyszłości.

– Ludzi wielkich duchem, patriotów – uzupełnia don Hermógenes.

– Tak, właśnie... Młodych ludzi zdolnych przydać blasku swoim czasom, gotowych przedsięwziąć tylko takie dzieła, które będą niosły ze sobą pożytek fizyczny lub duchowy dla rodaków.

– Jestem głęboko wzruszony pańskimi słowami – wyznaje młody Quiroga.

– Podobnie i ja – mówi jego matka.

Don Pedro przybiera życzliwy wyraz twarzy. Jest zadowolony.

– Moim zdaniem – ciągnie – takiego patriotyzmu potrzeba u młodego wojskowego... A nie takiego, jaki prezentują salonowi błażni, którzy uważają, że miłość do ojczyzny polega na przemilczaniu jej wad i tolerowaniu podłości, ognia nie widzieli większego niż żar własnego cygara, ciągną szablę po kawiarniach, wykrzykują, tańcząc menueta, jakby to oni sami odbili port Maó, za to mają w pogardzie tych, którzy zakasują rękawy, żeby określić za pomocą zegarka długość geograficzną albo napisać traktat o inżynierii...

– Bo może państwo nie wiedzą – dorzuca don Hermógenes – że właśnie admirałowi zawdzięczamy podziwu godny i niezwykle użyteczny słownik morski. Oraz jego liczne prace w Hiszpańskiej Akademii Królewskiej.

– Coś takiego – zdumiewa się wdowa, spoglądając to na jednego, to na drugiego akademika. – Wygląda, jakby tam odbywały się niezwykle narady mędrców, prawda? Panowie są kimś w rodzaju policjantów języka kastylijskiego, że tak porównam.

– Bardziej notariuszy niż policjantów – zauważa bibliotekarz. – To, co tam robimy, to raczej rejestrowanie w miarę możliwości, w jaki sposób

ludzie posługujący się naszym językiem go używają. Ukierunkowujemy ich przy tym za pomocą słownika, ortografii i gramatyki, by unikali błędów, które szpecą kastylijski... Jednak ostatecznie panem każdego języka jest społeczność jego użytkowników. Słowa, które dziś źle brzmią, są obce czy wulgarne, mogą stać się z czasem częścią powszechniej mowy.

– A kiedy tak się dzieje, co robią panowie i reszta Akademii?

– Zwracamy uwagę na to, co według naszych najlepszych autorów jest poprawne. Odwołujemy się do ich wzorcowego używania języka hiszpańskiego i wyznaczamy kryteria poprawności. Jednak jeśli nieprawidłowy użytek szerzy się nieodwołalnie, nie zostaje nam nic innego, jak się z tym pogodzić... Koniec końców język to żywe narzędzie porozumiewania się, stale się rozwija.

Młody Quiroga wtrąca się do rozmowy, bardzo zainteresowany:

– Czyli gdyby nie królewska Akademia, mówilibyśmy niczym w kiepskim teatrze, który naśladuje mowę Lopego de Vegi i Calderona?

– Pańska uwaga wskazuje na dobry gust – ocenia z przyjemnością don Hermógenes. – I ma pan rację. Choć byłaby to raczej mieszanka archaicznych głupstw i wulgarnej gwary.

– Język zdegenerowany i pozbawiony reguł – precyzuje admirał.

– Dlatego – ciągnie bibliotekarz – staramy się poprzez naszą pracę oczyszczać i unowocześniać język hiszpański. Ustalamy eleganckie normy, aby stawał się piękniejszy, bardziej klarowny i sprawniejszy.

– Czy podróż panów do Francji wiąże się z tą misją? – interesuje się wdowa.

– W pewnym sensie owszem. Jedziemy zaznajomić się z paroma książkami... Materią użyteczną dla naszego słownika.

Don Hermógenes, który już zamierzał powiedzieć wszystko, przerywa; zastanawia się, czy na tym nie poprzestać, w końcu zwraca się do admirała,

szukając pomocy.

Ten pomaga mu skończyć:

– Chodzi o francuską etymologię.

– Właśnie. Etymologię.

Wdowa wachluje się, zafascynowana rozmową. A może także don Pedrem Zárate, który ciągle stanowi obiekt jej zainteresowania.

– To nadzwyczajne – stwierdza kobieta. – Praca panów dowodzi głębokiej miłości do naszego języka... Rozumiem, że cieszą się panowie wsparciem ze strony Jego Królewskiej Mości.

Akademicy spoglądają po sobie – don Hermógenes z zakłopotaniem, admirał z ironią.

– Cieszymy się sympatią króla – stwierdza ten drugi z półuśmiechem. – Królewskie pieniądze to inna sprawa.

Młody Quiroga śmieje się, kiwając głową z podziwem.

– Służą panowie ojczyźnie w bardzo szlachetny sposób, jak mi się zdaje.

– Cieszymy się, że wojskowy tak to widzi.

Młodzieniec uderza się lekko w czoło, jakby właśnie coś sobie przypomniał.

– No jasne – mówi. – Do diabła.

– Luisie, proszę – strofuje go wdowa.

– Proszę, wybacz, matko... Ale właśnie uświadomiłem sobie, że znam słownik morski pana admirała. Miałem okazję korzystać z niego w akademii wojskowej; do teraz jednak nie skojarzyłem nazwiska autora.

Don Pedro robi wymijający gest, wyraz eleganckiego dystansu.

– Książki, drogi panie poruczniku – podkreśla – obojętnie, czy moje, czy innych autorów... Wystarczy przyjemność rozmowy z panem, żeby

zauważyć, iż nie są one panu obce. A wracając do poprzedniego tematu, nikt nie może być mędrcom, jeśli nie czyta przynajmniej przez godzinę dziennie, nie posiada choćby skromnej biblioteki, nie szanuje swoich mistrzów, nie jest dość skromny, by zadawać pytania i wysłuchiwać z pożytkiem odpowiedzi na nie... I nie stara się, żeby nigdy nie powiedziano o nim tego, co Sokrates mówił o Eutydemie, a co dotyczy naszych licznych rodaków: „Nigdy mi nie zależało, by mieć mądrego nauczyciela, wręcz spędziłem życie, starając się nie tylko niczego od nikogo nie nauczyć, ale też głośno się tym chwalić”.

– Zgadzam się. Taki obyczaj wpoił mi mój zmarły ojciec.

– A ja to potwierdzam – oświadcza, ucinając temat, wdowa po pułkowniku Quirodze.

– Bardzo się cieszę, bo to rzeczywiście znaczy być oświeconym. Są tacy, którzy uważają, że wykształcenie polega na mówieniu źle o Hiszpanii, ale nie o jej prawdziwych przywarach; na unoszeniu brwi, kpieniu z naszych przodków, udawaniu, że się zapomniało ojczystego języka, i szpikowaniu rozmowy żargonem angielsko-włoskim, *tualetta*, *petivú*, *pitoyable* i *troppo sdegno*, zapożyczonymi od fryzjerów, nauczycieli tańca, librecistów oper i kucharzy, których teraz moda każe sadzać przy stole... A do tego trzeba dodać prześladowanie nauki i pogardę dla tych, którzy ją uprawiają, oraz patrzenie na filozofa, matematyka czy poważnego poetę jak na błazna albo cyrkową małpę, w którą każdy dzieciak może rzucić kamieniem.

– Wydaje mi się, że dojechaliśmy do Arandy de Duero – ogłasza don Hermógenes, który otworzył okienko i wygląda przez nie.

Wszyscy idą jego śladem. Furkot kół berliny słychać głośniejszy, teraz kiedy toczy się po bruku ulicy wyglądającej na główną, a zachodnie niebo, które z czerwonego staje się już ciemne, zdaje się wieńczyć gęstymi

chmurami dachy sąsiednich przecznic. Miejscowość jest średniej wielkości, liczy jakieś dwa albo trzy tysiące mieszkańców, parę klasztorów i kościelnych dzwonnicy. Na placu, gdzie zatrzymuje się powóz, stoją przyzwoicie wyglądające karczma i zajazd, podróżni wysiadają tam i rozprostowują kości, podczas gdy woźnica rozładowuje bagaże. Don Hermógenes odprowadza wdowę, a jej syn i admirał kierują się w stronę ratusza, by powiadomić władze o próbie napadu, jaka spotkała ich przy dębowym lesie. Kiedy stamtąd wychodzą, panuje już ciemna noc. Idąc podcieniami przy rynku w stronę latarni oświetlającej drzwi zajazdu, jedyne palące się światła w okolicy, młody oficer i akademik mijają samotnego jeźdźca, który pod osłoną nocy powoli przemierza plac, trzymając luźno wodze.

1. P.H. d'Holbach, *System przyrody*, tłum. J. Jabłońska, H. Suwała, oprac. K. Szaniawski, Warszawa: PWN, 1957.

2. M. de Cervantes, *Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy*, tłum. A.L. Czerny i Z. Czerny, Warszawa: PIW, 1972.

3. M. de Cervantes, *Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy*, tłum. A.L. Czerny i Z. Czerny, Warszawa: PIW, 1972.

4. O STATKACH, KSIĄŻKACH I KOBIETACH

Niedawno okazało się, że słowo „przypadek” wyraża jedynie naszą nieznajomość związku przyczyn i skutków i że przypadek ten maleje, w miarę jak rośnie wiedza człowieka.

A. Deparcieux, *Zarys prawdopodobieństwa ludzkiego życia*

Było jeszcze jasno, kiedy o zachodzie słońca usiadłem przy stoliku w ogródku kawiarni przy rynku w Arandzie de Duero. Zamówiłem kawę, otworzyłem mapę i parę książek, które przywiozłem w torbie podróżnej, i stwierdziłem, że wszystko dotąd zgadza się z osiemnastowiecznymi przewodnikami: postój i zajazdy w Milagros i Fuentespina, stary most nad rzeką Duero, pola porośnięte plantacjami winnej latorośli. Nawet droga, która odchodziła od autostrady A1 i prowadziła do miasta, biegła dokładnie trasą dawnego gościńca. Siedziałem tam przez chwilę, robiąc notatki, aż trafiłem na krótką wzmiankę, jaką markiz Ureña umieścił w dzienniku podróży po Europie na temat tego miejsca w 1787 roku:

W Arandzie są dwie parafie, dwa klasztory dla zakonników i dwa dla siostr. Domy nieco mniej zniszczone niż w Segovii, jeden zgrzebny zajazd i jeszcze bardziej mizerna oberża.

Rynek w Arandzie bardzo się zmienił przez przeszło dwa wieki, jakie minęły od podróży akademików, ale zachował swój pierwotny kształt, kilka budynków z tamtej epoki i sporo podcieni, którymi tamtej nocy, wracając z ratusza, szli don Pedro Zárate i młody Quiroga, kiedy minęli się z nie

znanym sobie Pascuałem Raposo. Teraz miałem przed sobą zadanie odtworzenia atmosfery odpowiedniej dla sceny we wnętrzu, przyjacielskiej kolacji i miłej rozmowy pomiędzy admirałem, don Hermogenesem, wdową i jej synem. Mogły znajdować się w tym miejscu jakiś bar czy restauracja, tu, gdzie kiedyś był „zgrzebny” zajazd lub „mizerna” oberża, słowa, które w tamtych czasach stanowiły synonimy określeń takich jak zapuszczony, biedny, nędzny. Zajazd postanowiłem umieścić w jednym z najstarszych budynków z podcieniami. Poszedłem mu się przyjrzeć i oceniłem, że się nada – miał szerokie wejście, które w dawnych czasach mogło prowadzić na wewnętrzny dziedziniec z wozownią i stajnią. Patrząc stamtąd na drugą stronę rynku, zobaczyłem bar, gdzie równie dobrze mogła się kiedyś mieścić oberża wspomniana przez Ureñę.

Opowieść markiza nie obfitowała w szczegóły opisujące wnętrze zajazdu, który mógł bez wątpienia należeć do miejsc pozbawionych szczególnych wygód. Literatura poświęcona podróżom po Hiszpanii opływała w stosowne relacje, łatwo więc było wyobrazić sobie na parterze długi stół z dębowego drewna, nie malowany, ustawiony obok wielkiego osmalonego kominka, wiklinowe krzesła z niewygodnymi oparciami, świecznik z kapiącymi ogarkami pod sufitem, kuchnię, do której lepiej było się nie zbliżać, a przy drzwiach do niej wiodących powieszoną na ścianie gitarę właściciela i skrzypiące drewniane schody prowadzące na piętro do pokoi sypialnych, pobielonych, ale marnie wyposażonych – jedynie w koce i słomiane sienniki. Pchły i pluskwy postanowiłem zostawić na inną okazję, bo częściej się je spotykało w zajazdach przydrożnych, odwiedzanych przez mulników i zdrożonych jeźdźców. Przyjąłem, że jakaś skrzętna Marysia, na szczęście dla moich podróżnych, przypadkiem wywietrzyła i wyszorowała akurat tego samego dnia wodą z dodatkiem popiołu podłogi pokoiów w zajazdzie w Arandzie, nadając przez to nieco przyzwoitszego wyglądu

sypialni. A w kuchni – po trzy reale funt baraniny, real i ćwierć bochenek chleba, osiem kwaterka wina – wrzał na ogniu kociołek z mięsem, cieciorką i boczkiem dla nowo przybyłych.

– Pachnie jak boska chwała – mówi don Hermógenes, wiążąc pod szyją serwetkę.

Karczmarka niesie pełen po brzegi garnek, z którego wszyscy sobie nalewają, parują pełne talerze. Przed przystąpieniem do dzieła rozlega się krótkie błogosławieństwo posiłku, odmawiane przez wdowę po pułkowniku Quirodze, po czym znakiem krzyża zegnają się wszyscy poza admirałem – on ogranicza się do pochylenia głowy z szacunkiem. Tylko oni są w jadalni, bo woźnica Zamarra posila się w kuchni, a dwaj kupcy z Estremadury, którzy siedzieli przy stole, gdy przyjechało towarzystwo, oddalili się przed chwilą. Emocje całego dnia wzmogły apetyt i kolacja upływa miło pośród żartobliwych wspomnień porannej strzelaniny, powtarzanych przez akademików komplementów i uprzejmości pod adresem damy, która przyjmuje je z przyjemnością. Syn nalewa jej wina rozcieńczonego wodą, a don Hermógenes nakłada najlepsze kawałki mięsa i odkrawa kromki chleba. Admirał zaś niemal cały czas je w milczeniu, zamyślony, uprzejmie słuchając, a zapytany odpowiada krótkimi, błyskotliwymi zdaniem. Świadomy, swoją drogą, zainteresowanych spojrzeń, jakie wdowa, siedząca naprzeciwko niego, rzuca mu pomiędzy kolejnymi kęsami i kwestiami rozmowy.

Kolacja kończy się, przestawiają krzesła w stronę żaru w kominku i na deser raczą się konwersacją. Są nadal podnieceni poranną przygodą, podejrzewają, że senność nie nadejdzie szybko. Młody Quiroga prosi matkę o pozwolenie, żeby zapalić, idzie po fajkę i nabija ją tytoniem, trzymając wysokie buty oparte o cokół paleniska. I pośród kłębow dymu z wojskową

celnością chwali zimną krew okazaną przez don Pedra Zárate podczas potyczki z rozbójnikami.

– Od razu widać, panie admirale, że bitewny tumult nie jest panu obcy.

Pochwalony uśmiecha się, patrząc na płonące bierwiona w kominku.

– To pan wykazał się nadzwyczajną dzielnością i zdecydowaniem – mówi, odwzajemniając komplement. – Można by pomyśleć, że poznał pan już, co to pole bitwy.

– Jeszcze nie miałem tego szczęścia. Choć jeśli ma pan na myśli znajomość broni i umiejętność strzelania, z racji pełnionej służby są dla mnie naturalne, stale pozostają do dyspozycji króla, gotów na jego rozkazy.

– Oby służba u Jego Królewskiej Mości przyniosła ci inne obowiązki – protestuje matka. – To okropne wychowywać syna, który potem idzie na wojnę... Dość w życiu zaznałam trosk i cierpień u boku twojego biednego ojca.

Młodzieniec uśmiecha się łagodnie, pykając z fajki.

– Mamo, proszę, opanuj się... Nie wiem, co sobie pomyślą panowie.

– Proszę się nie przejmować, poruczniku – uspokaja go don Hermógenes. – Jesteśmy wśród swoich. Jest pan młodzieńcem o dobrym smaku, pięknym duchu, rozmowa z panem to przyjemność. Ale matka zawsze będzie matką.

Zapada milczenie, jakby słowa bibliotekarza skłoniły wszystkich do chwili refleksji. Z jednej na wpół spalonej szczapy bucha dym, który wydostaje się spod okapu. Z tego powodu wdowa zaczyna łzawić i wachluje się, żeby duszności minęły szybciej. Admirał pochyła się w stronę kominka i popycha pogrzebaczem drewno głębiej. Podnosząc wzrok, znów napotyka spojrzenie wdowy Quirogi.

– Czy walczył pan na morzu, panie admirale? – pyta ona.

Zapytany chwilę zwleka z odpowiedzią.

– Trochę tak.

– Czy to było dawno temu?

Blask bijący od płomieni barwi czerwienią twarze, oświetlając policzki admirała, na których wyraźnie widać drobniutkie purpurowe żyłki.

– Bardzo dawno... Od trzydziestu lat nie postawiłem stopy na pokładzie statku. Przez większość życia byłem raczej marynarzem teoretykiem... I to słodkowodnym.

– Nie była wcale taka słodka ta woda – wtrąca don Hermógenes. – Moim zdaniem, admirał jest zbyt skromny i ujmuje sobie zasług. Zanim poświęcił się studiom i tworzeniu słownika morskiego, pełnił wiele ważnych funkcji w marynarce.

– Na przykład? – Wdowa jest zaciekawiona, przestała się wachlować.

– O ile dobrze wiem, między innymi należał do dowództwa bitwy pod Tulonem – wyjaśnia jej bibliotekarz. – A w tym starciu Anglicy oberwali za swoje. Czyż nie tak było, drogi przyjacielu?

Admirał, nadal pochylony nad żarem, zamiast odpowiedzieć, jedynie się uśmiecha, równocześnie poruszając pogrzebaczem palące się szczapy. Młody Quiroga, którego fajka właśnie się wypaliła, zdejmuje nogi z cokołu kominka i prostuje się podekscytowany.

– Czy pan był w Tulonie, admirale? W roku czterdziestym czwartym? Mój Boże. Tam było naprawdę ciężko, słyszałem. Dzień chwały.

– Pan jeszcze się wtedy nie narodził.

– Nic nie szkodzi. Kto w Hiszpanii nie zna szczegółów tego dnia? Musiał pan być wtedy bardzo młody.

Admirał, nieporuszony, nie zwraca uwagi na aluzję do swojego wieku. A po chwili ogranicza się do wzruszenia ramionami.

– Byłem wtedy podporucznikiem na okręcie Real Felipe, wyposażonym w sto czternaście dział.

Młodzieniec cicho pogwizduje z podziwem.

– To okręt, który wziął na siebie największe trudy bitwy, jak sądzę.

– Był jednym pośród wielu innych... Walczyliśmy pod banderą don Juana José Navarro, zatem Anglicy oczywiście nas zaatakowali.

– Admirale, niech pan opowie. Proszę – domaga się matka.

– Niewiele jest do opowiadania. – Admirał kręci głową skromnie. – Przynajmniej z mojej perspektywy. Dowodziłem drugą baterią, zszedłem na stanowisko, kiedy bitwa się zaczęła, około pierwszej po południu, a wyszedłem na pokład dopiero w nocy, gdy starcie się skończyło.

– To musiało być potworne – włącza się młody Quiroga. – Tyle godzin tam w dole pośród dymu, hałasu, wybuchów, latających drzazg... Proszę wybaczyć niedyskrecję, ale czy ta szrama, którą ma pan na skroni, to pamiątka właśnie stamtąd?

Wodniste oczy admirała wydają jeszcze bardziej przejrzyste, kiedy teraz patrzą na młodego oficera.

– Cieszyłby się pan, gdyby tak było?

– No cóż. – Quiroga waha się, zakłopotany. – Nie wiem, co odpowiedzieć, panie admirale... W takim przypadku byłaby to honorowa blizna.

Cisza. Krótka chwila milczenia.

– Honorowa, mówi pan?

– Tak, właśnie.

– To oczywiste – dodaje matka, nieco oburzona sceptycznym tonem pytania admirała. – Też tak twierdzą jako żona i matka wojskowych.

Na wąskich, suchych ustach don Pedra Zárate – zauważa don Hermógenes, który przygląda mu się uważnie – pojawia się słaby uśmiech.

A może to tylko efekt odbijającego się na jego twarzy blasku żaru z kominka.

– Nasza sytuacja nie była wygodna, jeśli to pan miał na myśli – stwierdza. – Raczej tego dnia nie nudziliśmy się, trzy angielskie statki równocześnie atakowały nas tuż przy burtach.

Powiedziawszy te słowa, milknie na chwilę, patrząc na płonące bierwiona.

– Chyba tak – dodaje na koniec, niemal z westchnieniem. – Jeśli idzie o honor, okazaliśmy go wówczas z nawiązką.

Młody Quiroga kiwa głową z młodzieńczym entuzjazmem, wyobrażając sobie tę scenę.

– Zawsze podziwiałem marynarzy – wyznaje. – Nauczyłem się, jak się prowadzi wojnę na stałym lądzie, zatem zadziwia mnie, jak ludzie morza znoszą taki mozół, chłody i niepewność, poszukując gwiazd czy słońca pośród chmur, żeby ustalić swoje położenie. A do sztormów, naturalnego okrucieństwa oceanu, trzeba dodać jeszcze trudy wojny... Nigdy nie widziałem walki na własne oczy, tylko na rycinach, ale myślę, że bitwy morskie są przerażającym spektaklem.

– Każda wojna jest taka, czy to na morzu, czy na lądzie. I może pan być pewien, poruczniku, że rycina, nawet spod ręki najsprawniejszego artysty, nie oddaje rzeczywistości.

– No tak... Rozumiem, co pan ma na myśli. Jednak chwała...

– Zapewniam pana, że na drugą baterię Real Felipe nie spłynęła ani kropla chwały.

Do don Manuela Higuierueli w jego domu w Madrycie:

Wypełniając polecenie systematycznego informowania Pana, piszę ten list w Arandzie de Duero. Dotarłem tu dziś wieczorem, jadąc w ślad za

dwoma kawalerami, których Pan zna. Przez cały czas staram się pozostawać za nimi w pewnej odległości. Na razie pogoda jest niezła, nie ma deszczu ani błota. Podróż toczy się normalnym biegiem, z pewnymi incydentami, które na razie jej nie opóźniają ani nie wpływają na stan zdrowia pasażerów. Trzeba wspomnieć o spotkaniu z rozbójnikami (zaszłym całkowicie bez mojej ingerencji) nad rzeką Riazą. Zostali oni odparci przez pańskich dwóch przyjaciół i pasażerów drugiego powozu. Złoczyńców przepędzono (po wymianie strzałów, kiedy ten wyższy z podróżnych zdawał się zachowywać spokój, jakiego się nie spodziewałem). Towarzyszą im kobieta, o której mówi się, że jest wdową, i jej syn wojskowy. Jechali oni do Pampeluny własnym powozem, lecz złamało im się koło, z tego to powodu do Arandy przyjechali jedną karetą w towarzystwie naszych dwóch podróżnych. W tej chwili wszyscy zatrzymali się w zajeździe, teraz jedzą kolację. Dla ostrożności ja stanąłem w oberży naprzeciwko (gdzie posiłki są niestrawne, a legowisko jeszcze gorsze). Jak się dowiedziałem od posługacza w tamtym zajeździe, kobieta z synem pozostaną w Arandzie, czekając na naprawę powozu. Nasi podróżni jutro znów ruszają w drogę. Wyjazd zaplanowali na ósmą. Sądzę, że nadal będą podążać wyznaczoną marszrutą aż do Bajonny, a stamtąd do Paryża, tak jak mi Pan mówił w Madrycie.

Będę nadal Pana informował o wszystkim przez cały czas, tak jak uzgodniliśmy, a zwłaszcza kiedy będzie się działo coś ważniejszego. Gdyby chciał mi Pan wysłać jakieś polecenie lub pilną wiadomość w jakiegokolwiek sprawie, zanim opuścę Hiszpanię, może Pan to zrobić (jeśli uzna Pan za stosowne ponieść taki koszt) przez konnego kuriera, który dogoni mnie na jednym z przystanków wymiany koni, jakie będą mijał po drodze. Według mojej wiedzy najpewniejszymi miejscami są zajazd Kulawego w Burgos (gdzie dobrze mnie znają) i oberża Brivieski albo oberża Łotra w Oyarzun

(gdzie też jestem znany). Ta ostatnia jest prawie na granicy z Francją. Jeśli do tego momentu nie dostanę nowych poleceń, będę się trzymał dotychczasowych ustaleń.

Przesyłam Panu moje pozdrowienia, również dla Pana przyjaciela.

Z szacunkiem,

Pascual Raposo

Raposo składa list, pisze adres i unosząc laseczkę laku do płomienia świecy, pieczętuje nią starannie kartę. Ma zamiar rano zostawić oberżyscie półtora reala, żeby wysłał list do Madrytu pierwszym dyliżansem. Potem zbiera przybory piśmienne i wypija ostatnie dwa łyki marnego wina, jakie mu jeszcze zostały w karafce stojącej w zasięgu ręki na stole. Kolacja, jak wspominał Higuierueli w swoim liście, zjedzona w pokoju przeszło godzinę wcześniej – dziewczka z gospody, która mu strawę przyniosła, niezbyt czysta, ale kształtna, o niebrzydkiej buzi i w rozsądnym wieku, pozwoliła się obmacać, zanim sobie poszła – była licha i niezbyt smaczna: pół suchej kury, która kurczakiem była pewnie w czasach króla Ćwieczka, oraz dwa jaja, zniesione zapewne przez tę właśnie kurę w jej odległej młodości. Zostało jeszcze na talerzyku kilka skórek chleba i trochę sera, więc Raposo zjada te resztki do wina. Życie w drodze, które wiódł zawsze, najpierw jako żołnierz, a potem jako człowiek do wszelkich poruczeń, dawno temu zniszczyło mu żołądek i kiedy dłuższy czas nic do niego nie wrzuca, dręczy go bolesna zgaga. Drapiąc się po brzuchu pod koszulą, którą wyciągnął ze spodni – ma na nogach wełniane skarpety, zdjął wysokie buty, ale podłoga jest zimna i nie kryje jej żaden chodnik – Raposo spogląda na srebrny otwierany zegarek z dewizką leżący na stole – francuski *remontoir* bardzo dobrej jakości, zdobyty podczas dawnej, niemal zapomnianej przygody, kiedy to jego właściciel przestał go na zawsze potrzebować. Raposo wstaje

i podchodzi do okna o otwartych okiennicach. Stąd przez grube szkło rzuca spojrzenie na drugą stronę pustego placu pogrążonego w mroku. Zajazd, gdzie zatrzymali się podróżni, jest zupełnie ciemny, tylko maleńka latarnia jaśniej przy drzwiach; jej płomień wygląda, jakby miał zaraz zgasnąć. Wspominając wydarzenia, jakich był świadkiem tego ranka, Raposo uśmiecha się zamyślony i gładząc się po bokobrodach, myśli o wysokim mężczyźnie, admirale, który tak spokojnie strzelał z pistoletów. Kto by pomyślał, stwierdza, że potrafi to członek akademii języka kastylijskiego. Życie umie zaskoczyć, to jasne. Nigdy nie możesz być pewien, czy ksiądz proboszcz nie jest twoim ojcem.

Dyskretne pukanie do drzwi, niemal szelest, powoduje, że uśmiech Raposa się zmienia. Teraz jest miły, uprzedzający rozkosz. Nie troszcząc się o swój wygląd, podchodzi do drzwi i otwiera. W progu stoi dziewczyna z oberży w samej koszuli, z odkrytą głową i wełnianą chustką na ramionach, trzyma w ręce kaganek; w ten sposób wypełnia obietnicę złożoną półtorej godziny wcześniej, punktualna jak dwanaście uderzeń dzwonów, jakie w tej chwili wybija zegar na wieży ratusza. Mężczyzna odsuwa się na bok i dziewczyna wślizguje się do pokoju cichutko, zdmuchując płomyk lampki. Bez żadnych wstępów Raposo wyciąga rękę i gładzi jej pierś, ciężką i gorącą pod szorstką tkaniną koszuli. Potem wskazuje na stół, gdzie leżą dwie srebrne monety, jedna na drugiej. Kobieta potakuje ruchem głowy, śmieje się i poddaje mężczyźnie.

– Tylko nie całuj mnie w usta – prosi, kiedy ten zbliża się jeszcze bardziej.

Ma zapach długiego dnia pracy, potu, zmęczonej, brudnej samicy. Raposo, podniecony, popycha ją na łóżko. Leżąc już, dziewczyna unosi koszulę do pół biodra, powolna, a on ociera się o jej nagie uda, torując sobie drogę, kiedy rozpina spodnie.

– Tylko nie spuszczaaj się we mnie – mówi kobieta.

Lisi, okrutny uśmiech Raposo staje się jeszcze szerszy.

– Nic się martw – mówi. – Nie zamierzam tam wchodzić, nawet pijany jak bela.

Wieczór przeciągnął się nadspodziewanie, było to bowiem już pożegnanie – rozmawiano przy kominku późno w noc, młody Quiroga poprosił oberżystę o pożyczenie gitary i ku zaskoczeniu akademików dość sprawnymi palcami przez dobrą chwilę cieszył ich muzyką. Don Hermógenes i don Pedro są zmęczeni, kiedy idą do swojego pokoju i symbolicznie odseparowani wiklinowym parawanem, obitym kiepsko pomalowanym płótnem, rozbierają się do snu.

– To bardzo miłe osoby, pani Ascensión i jej syn – stwierdza don Hermógenes. – A chłopiec wspaniale gra, nieprawdaż? Będę za nimi tęsknił.

Admirał nie komentuje. Zdejmuje żakiet i wieszka go uważnie na oparciu krzesła. Potem rozpina guziki kamizelki i nakręca zegarek. Słabe światło dwóch świec ustawionych w mosiężnym lichtarzu oświetla mu połowę twarzy, wydłużając cienie na czerwonych teraz policzkach.

– Podejrzewam, drogi admirale – mówi don Hermógenes – że ta dama też będzie tęskniła za panem.

– Proszę nie mówić byle czego.

– Mówię serio. Mamy już swoje lata i potrafimy interpretować spojrzenia. Uważam, że udał się panu podbój.

Cienie na twarzy admirała przeobrażają się w nieokreślony grymas.

– Niech się pan kładzie, don Hermesie. Robi się późno.

Bibliotekarz kiwa głową, idzie za parawan z koszulą nocną w ręce i zaczyna się rozbierać.

– W sumie nie ma się czemu dziwić – ciągnie. – Wdowa pomimo wieku jest jeszcze ponętna, a i pan jest przystojny, zważając na pańskie...

Milknie na chwilę i wystawia głowę zza parawanu, oczekując, że jego towarzysz dokończy zdanie. Na darmo. Tak jak zawsze, gdy rozmowa schodzi na kwestię wieku, admirał milczy jak głaz. Siedzi na łóżku w spodniach i samej koszuli, rozwiązując taftową wstążkę, która przytrzymuje siwe włosy.

– Poza tym – mówi dalej don Hermógenes, chowając znów głowę za parawan – pański sposób bycia imponuje.

Słyszysz śmiech admirała dobiegający zza przepierzenia.

– Mój sposób bycia?

– No tak. Zawsze jest pan taki poważny. Taki rozsądny.

– Nie wiem, jak mam traktować te słowa, mości bibliotekarzu.

Don Hermógenes wychodzi w koszuli do kostek, z ubraniem w ręce i w szlafmocy na głowie.

– Proszę potraktować je najlepiej, jak to możliwe. Niech pan spojrzy na mnie: mały, okrągły, z twarzą, którą trzeba golić dwa razy dziennie. To cud, że moja nieboszczka żona mnie zechciała na męża. Zresztą nie od razu udało mi się ją przekonać. A teraz na dodatek jestem stary, dręczą mnie podagra i inne dolegliwości. Pan natomiast...

Admirał spogląda na niego ironicznie, z pełnym rozbawieniem zainteresowaniem. Bez słowa wyjmując z walizki koszulę nocną i wchodzi za parawan.

– Pozwoli pan na jedno pytanie, drogi przyjacielu? – odzywa się bibliotekarz. – Jest to impertynencja spowodowana intymnością, w jakiej się znaleźliśmy.

Don Pedro zatrzymuje się w pół drogi i spogląda na niego z ciekawością.

– Oczywiście. Słucham.

– Nigdy nie chciał pan się ożenić?

Cisza. Admirał zdaje się zastanawiać, jakby rzeczywiście starał się odszukać coś w pamięci.

– Może kiedyś – mówi w końcu. – Gdy byłem młody.

Bibliotekarz czeka na dalsze słowa towarzysza. Ten jednak milczy. Wzrusza jedynie ramionami i znika za parawanem.

– Pewnie to przez morze – ryzykuje don Hermógenes, przyglądając się swoim stopom w pantoflach. – Wyobrażam sobie, że małżeństwo trudno pogodzić z podróżami i tymi wszystkimi obowiązkami pańskiego zawodu...

Zza pomalowanego płótna dobiega głos admirała:

– Dość szybko porzuciłem morze i całe życie mieszkałem w Kadyksie i Madrycie. Nie w tym rzecz.

Znów zapada cisza. Po chwili admirał pojawia się także w nocnej koszuli. Wygląda w niej, myśli don Hermógenes, na jeszcze chudsze i wyższego.

– Chyba nigdy małżeństwo nie było mi potrzebne – dodaje admirał. – Jego egoistyczną część, życie domowe, zawsze organizowały mi siostry. Z różnych przyczyn nie mogły wyjść za mąż, a może tego nie chciały. W końcu postanowiły poświęcić się dla mnie.

– A pan dla nich?

– Coś w tym rodzaju.

– Czyli to sprawa lojalności. Wzajemnej.

Admirał znów wzrusza ramionami.

– Może to zbyt wielkie słowo.

– No cóż. W każdym razie człowiek nie potrzebuje małżeństwa do...

Bibliotekarz przerywa, zmieszany upartym spojrzeniem, jakie wbił w niego don Pedro.

– Przepraszam – mówi po chwili. – Posuwam się w tych zwierzeniach chyba zbyt daleko.

– Niechże się pan nie martwi. To długa podróż. Poznawanie się jest rzeczą normalną.

Szczerzy uśmiech admirała zdaje się odsuwać groźbę nieporozumienia. To dodaje animuszu don Hermogenesowi, pobudzając do pewnej zuchwałości.

– Zapewne w młodości, kiedy zawijał pan do różnych portów, nie brakowało panu okazji.

Admirał śmieje się cicho, nie odpowiadając. To raczej, ocenia bibliotekarz, śmiech przez zęby. Jakby miał niewiele wspólnego z rozmową, którą prowadzą.

– Musiał pan być przystojnym młodym oficerem – kontynuuje don Hermógenes. – Jeśli pan pozwoli, powiedziałbym, że nadal cieszy się pan dobrym wyglądem, mimo, hm, lat... Wracam do tego, w jaki sposób patrzyła na pana wdowa, kiedy jej syn, wspaniały chłopak, grał na gitarze. Od porannej strzelaniny ta dama nie odrywała od pana wzroku. Jestem pewien, że...

Nagle milknie, sam zaskoczony, i mruga chwilę, jakby właśnie dostrzegł we własnych słowach coś niezwykłego czy nieprzewidzianego.

– Ciekawe, admirale – mówi po chwili zastanowienia. – Nigdy wcześniej nie rozmawiałem o kobietach. Z nikim. Myślę, że to z powodu podróży i naszej przygody stałem się tak wielosłowny. Proszę o wybaczenie. To prawda, że taka rozmowa nie przystoi członkom królewskiej Akademii.

Teraz jego towarzysz uśmiecha się zachęcająco i z wyraźnym zainteresowaniem.

– Dlaczego nie?

– Przedmiot, jakim się zajmujemy...

Admirał unosi rękę, znów zażegnując wszelkie możliwe nieporozumienia.

– Proszę się tym nie przejmować. To byłoby straszne, gdybyśmy przez dwieście mil cały czas rozmawiali o wyrazach, znaczeniach i derywatach, i to w porządku alfabetycznym.

Obaj śmieją się szczerze. Kiedy admirał kładzie się do łóżka – twardy siennik chrzęści pod jego ciężarem – bibliotekarz przeprasza, bierze nocnik stojący w kącie pokoju i wraca z nim za parawan. Przez chwilę słychać tylko odgłos strumienia wlewającego się do porcelanowego naczynia.

– U kobiet istnieją pewne rzeczy, don Hermesie – nagle mówi admirał – które stanowią część ich natury.

Bibliotekarz z nocnikiem w ręce wychyla się zza parawanu. Jest zaintrygowany.

– Rzeczy? Jakiego rodzaju?

– Pan był żonaty przez wiele lat. Powinien pan wiedzieć lepiej niż ja.

Bibliotekarz odstawia urnał na podłogę i przechodząc obok otwartej walizki admirała, zauważa jeden z trzech tomów Eulera.

– Pozwoli pan, że rzucę okiem?

– Naturalnie.

Don Hermógenes bierze książkę, wkłada okulary i wchodzi do łóżka: *Lettres à une princesse d'Allemagne...*, wydane w Sankt Petersburgu w 1768 roku.

– Zaręczam panu, że nigdy nie myślałem o kobietach w ten sposób – mówi, przerzucając kartki z roztargnieniem. – Moja żona była święta.

– Nie o tym mówię. Bez wątpienia była święta.

– Tak.

– To coś innego. To...

Przerywa, zamyślony. Wydaje się, że szuka właściwego słowa i odnalezienie go wcale nie jest proste.

– To coś jakby choroba, którą ma wiele kobiet – mówi w końcu. – Złożona z przenikliwości, wewnętrznego smutku, przeczuć... Sam nie wiem, trudno to określić.

– Coś takiego. U mojej nieboszczki małżonki nie zauważyłem niczego takiego. Tylko kilka dni w miesiącu, sam pan rozumie. I to wszystko.

– Być może nie zwrócił pan uwagi. Za dużo łaciny, don Hermesie. Za dużo książek.

– Może i tak, choć przecież *aliquando dormitat Homerus*¹... Wnosi pan, że wszystkie na to cierpią?

– Przynajmniej wszystkie inteligentne. A nawet te, które inteligentne nie są, choć one nie wiedzą, co się z nimi dzieje. To pewien rodzaj cichej choroby.

Bibliotekarz obmacuje prześcieradła i kołdrę, komicznie zaniepokojony.

– Choroba? Coś takiego. Mam nadzieję, że nie zaraźliwa.

– Na tym polega problem. Jeśli ktoś zbliży się nadto, zaraża się.

– Nie sądziłem, że jest pan mizoginem, drogi przyjacielu. Mimo starokawalerstwa.

– Bo nim nie jestem. Mówimy o czymś innym... Dlatego trzeba być ostrożnym. Niewiele małżeństw żyje według mądrego planu wymyślonego zawczasu. I tak potem to się kończy.

Następuje długa chwila ciszy. Admirał robi gest, jakby zamierzał zgasić świecę, ale widzi, że don Hermógenes trzyma otwartą książkę na podołku. Jednak nie czyta, tylko patrzy na niego uważnie.

– Czy właśnie dlatego zachowuje pan dystans, admirale?

– Dystans? Mam w domu dwie kobiety, ni mniej, ni więcej.

– Dobrze pan wie, o czym mówię.

Nie pada replika. Admirał z głową na poduszce przygląda się ceniom na suficie.

– Tęsknię za moją żoną – ciągnie bibliotekarz. – To była dobra kobieta i bardzo mi jej brakuje. Ale kiedy tak teraz myślę, być może czasami zbyt długo milczała. Jakby nawet blisko przy mnie była sama.

– Tak jak wszystkie, jak mi się zdaje... Co do ich milczenia, to podejrzewam, że cały czas nas oceniają, dlatego milczą.

– Milczenie sędziów? – Don Hermógenes unosi się lekko, zaciekawiony. – Coś takiego... To godne zastanowienia.

– Choć większość ich wyroków, obawiam się, waha się między współczuciem a pogardą.

– Do diaska. Nigdy w ten sposób o tym nie myślałem... Nigdy.

Bibliotekarz przesuwając nieuważnym wzrokiem po otwartych stronach książki: „Bez wątpienia łatwo mógłby Bóg uśmiercić tyrana, zanim ten skaże niewinnych ludzi na cierpienie...” – tłumaczy w myślach. Potem podnosi wzrok, trzymając palce na przeczytanych liniach.

– To stulecie jest inne – kończy zamyślony. – Nadchodzą nowe czasy... Oświecenie, które zmieni bardzo wiele. Nawet kobiety.

Admirał, już przykryty i odwrócony plecami, wygląda, jakby spał. Jednak za chwilę słyhać jego głos:

– Bez wątpienia. Nie wiem tylko, czy przez to ich choroba zniknie, czy się pogłębi.

Na wysokości Brivieski zjechałem z głównej trasy; porównując stare przewodniki ze współczesną mapą samochodową, stwierdziłem, że droga N1 biegnie tak samo jak dawny trakt królewski pomiędzy Burgos a Vitorią. Niebo zasnuły niskie, ciężkie chmury, z których niebawem spadł gęsty deszcz, zasłaniając horyzont i pokrywając błotem pola. Zatrzymałem samochód przed jedną z przydrożnych gospód, żeby przy kawie poczekać, aż się przejaśni, i siedząc w podcieniach, porównywałem mapę z notatkami w zeszycie. Pomyślałem wtedy, że zwiedzanie miejsc, o których czytało się w książkach, i wyobrażanie sobie wzbogaconych pamięcią czytelnika postaci autentycznych albo fikcyjnych, jakie zaludniały ziemię w innych czasach, to fascynujące doznanie z pogranicza literatury i życia. Miasta, hotele, krajobrazy nabierają szczególnego charakteru, kiedy ktoś przygotował się do ich odbioru uprzednimi lekturami. Bardzo wiele zmienia w tym sensie przejechanie La Manchy z egzemplarzem *Don Kichota* w ręku, zwiedzanie Palermo po lekturze *Lamparta*, spacerowanie po Buenos Aires z Borgesem czy Bioyem Casaresem w pamięci albo przechadzanie się po Hisarliku, kiedy wie się, że w tym miejscu było kiedyś miasto zwane Troją i że na butach podróżnika osiada pył tej samej ziemi, po której Achilles ciągnął przywiązane do wozu zwłoki Hektora.

Tak dzieje się nie tylko z książkami już napisanymi, ale także z tymi, które mają dopiero powstać, kiedy sam podróżny zapełnia oglądaną przestrzeń wyobraźnią. Często mi się to zdarza, bo należę do tych pisarzy, którzy umieszczają akcję swoich powieści w miejscach rzeczywistych. Niewiele znam przeżyć równie przyjemnych jak to, kiedy ruszam krokiem myśliwego na polowaniu, szukając elementów, z których tworzy się opowieść – wchodzę do budynku, idę ulicą i decyduję, czy to miejsce jest

dobrze, czy wykorzystam je w mojej historii. Wyobrażam sobie, jak postaci poruszają się w tym właśnie otoczeniu, czy siedzą dokładnie tam, gdzie ja, i patrzą na to samo, na co i ja patrzę. W porównaniu z samym pisaniem ta wcześniejsza faza jest znacznie bardziej podniecająca i urodzajna, do tego stopnia, że pewne momenty spisywania historii, materializowanie się słów z atramentu, na papierze czy na ekranie komputera, mogą wydawać się czynnością biurokratyczną, wręcz niewdzięczną. Niczego nie da się porównać z tą pierwotną niewinnością, początkiem, chwilą stworzenia powieści, gdy pisarz podchodzi do historii, którą chce opowiedzieć, jak do kogoś, w kim właśnie się zakochał.

Czasami, albo nawet często, takie inspiracje przychodzą do nas pośrednio. Albo przypadkowo. Tak zdarzyło się właśnie owego ranka w gospodzie nieopodal Brivieski, kiedy patrzyłem na padający deszcz. List napisany przez Pascuala Raposo do akademików Higuierueli i Sancheza Terrona doprowadził do kolejnego spotkania adresatów w Madrycie, a ja zachodziłem w głowę, gdzie mogłoby do niego dojść. Już wcześniej wykorzystałem scenerię kawiarni i pretekst nocnego spaceru przez miasto, by tam usytuować dialog między bohaterami. Kolejną rozmowę planowałem umiejscowić w budynku Hiszpańskiej Akademii Królewskiej, w Skarbcu, przed kolejnym czwartkowym posiedzeniem plenarnym lub po jego zakończeniu, albo może na Paseo del Prado. Jednak kiedy siedziałem w podcieniach tamtej gospody, wpadłem na inny pomysł. Przeszedłem się trochę po deszczu i ubłociłem buty. Było to obuwie polowe z dobrej skóry, z Valverde del Camino – od wielu lat kupuję ten sam model w pewnym sklepie jeździeckim na madryckim targu Rastro. Patrzyłem na buty, przewidując, że wieczorem, kiedy dotrę do jakiegoś hotelu, będę musiał je wyczyścić, i naszła mnie myśl o zakupie nowej pary, o sklepie, gdzie je kupuję, i o samym Rastro. W osiemnastym wieku, przypomniało

mi się, ta popularna targowa dzielnica z licznymi punktami skupu i sprzedaży używanych przedmiotów była już miejscem charakterystycznym, bardzo często odwiedzanym przez mieszkańców Madrytu. Dysponowałem bogatą literaturą obyczajową; szczegółowe opisy tamtych czasów pojawiały się w gazetach i na kartach książek autorów ówczesnych albo niewiele późniejszych, takich jak komediopisarz Ramón de la Cruz albo dziewiętnastowieczny felietonista Mesonero Romanos, którego relacje o placyku Rastro – dziś zwanym Cascorro – i Skarpie Garbarzy nadawały się znakomicie do przedstawienia wyglądu tego miejsca w latach osiemdziesiątych poprzedniego wieku. Opisano tam „główny targ, gdzie znajdują się wszystkie narzędzia, meble, ubrania i graty sfatygowane przez czas, zniszczone przez los albo przemyślnie podprowadzone prawowitym właścicielom”. Zdecydowałem więc, że Higuieruela i Sánchez Terrón, dwaj konspiratorzy przeciwni zakupowi *Encyklopedii* przez Hiszpańską Akademię Królewską, na swoje następne spotkanie przyjdą na Rastro. I oczywiście zdarzy się to w deszczowy dzień.

Leje jak z cebra. Płócienne plandeki nad straganami napełniają się wodą, która przelewa się albo cieknie przez szwy, łąty i dziury. Krople rozpryskują się na bruku, stukając ciągle, monotennie. Mimo to mieszkańcy okolic nie dają się odstraszyć – choć mniej tłocznie niż w te niedziele, gdy niebo jest pogodne, tłum wszelkiego autoramentu, od czcigodnych klientów po służące, lokai i rzezimieszków, pod osłoną parasoli, chust, kapeluszy, peleryn i gumowych płaszczy przeciska się pomiędzy straganami albo rozgląda za okazjami w sklepikach na parterze budynków okalających targ.

Przed ciemnym antykwariatem z używanymi książkami, depcząc po trocinach rozsypanych przed wejściem, spotykają się Manuel Higuieruela i Justo Sánchez Terrón. Ten drugi targuje się o zniszczony pierwszy tom *Wyroczni nowych filozofów...*, za który proponuje cztery reale zamiast

dziesięciu, jakich domaga się sprzedawca, kulawy kaleka z bokobrodami, drapieżnym wzrokiem i brudnymi paluchami.

– Nie dam więcej niż dwie pesety – energicznie obstaje przy swoim Sánchez Terrón.

– A ja niżej dychy nie spuszczę – upiera się sklepikarz.

– Oto i dycha – wtrąca się nagle Higuieruela, kładąc mu na dłoni srebrną monetę.

Sprzedawca obojętnie odwraca się od Sancheza Terrona i oddaje książkę nowemu klientowi. To egzemplarz w zniszczonej okładce, w środku mocno wyświechtany. Sánchez Terrón, wyraźnie zły, patrzy na Higuieruelę z cierpką naganą.

– Nie widziałem, że jest pan za mną.

– Zauważyłem, że pan tu stoi, ale nie chciałem przeszkadzać. Ubawiły mnie pańskie targi.

Teraz Sánchez Terrón patrzy z urazą na książkę w rękach kolegi akademika.

– Widzę, że dobrze się pan bawił... To był cios poniżej pasa.

Higuieruela ze śmiechem oddaje mu tom.

– A to prezent dla pana.

Drugi akademik przygląda mu się zaskoczony, z niedowierzaniem.

– Nie jest wart tego dziesiątaka, którego pan zapłacił.

– Wszystko jedno... Proszę uczynić mi tę łaskę i przyjąć podarek.

Sánchez Terrón waha się wyniośle i z teatralną pogardą.

– To był zwykły kaprys, proszę sobie nie myśleć. Zgniły konserwatyzm jej autora...

– No pewnie. Niechże już pan ją weźmie.

Wreszcie się zgadza, jakby rzeczywiście robił towarzyszowi łaskę, i wsuwa książkę do kieszeni płaszcza. Idą ramię w ramię pod dachami straganów, kryjąc się przed ściekającą wodą. Higuera okrył się czarną woskowaną peleryną, na głowie ma okrągły gumowy kapelusz, a Sánchez Terrón, z gołą głową, używa parasola, by ochronić przed deszczem swój dopasowany w talii elegancki płaszcz francuskiego kroju, o długich połach.

– Jak się posuwa nasza sprawa?

– Ma pan na myśli tę paryską? – odpowiada Higuera nie bez złośliwości.

Sánchez Terrón zaciska usta z niesmakiem.

– Nie przychodzi mi do głowy żadna inna, w której nasze interesy byłyby zbieżne.

Dziennikarz nie odpowiada od razu. Robi kilka kroków, śmiejąc się cicho, rozbawiony tonem swojego towarzysza.

– Dotarły do mnie wieści od naszego trzeciego podróżnego.

– I co?

– We czwartek nie miałem okazji porozmawiać z panem w Akademii. Zbyt wiele uszu w pobliżu. Potem musiałem szybko wyjść.

– Droga mija im zgodnie z planem?

– Nic ich nie zatrzymuje. Nawet spotkanie z rozbójnikami.

– Do licha... Coś poważnego?

– Nie wydaje się. Podobno admirał zachował się jak żołnierz, stanął na wysokości zadania. Strzelał i tak dalej.

– Nasz admirał? Niewiarygodne.

– A jednak. Czym skorupka za młodu nasiąknie...

Akademicy idą pośród handlarzy szmat i galanterii, wymijając z trudem ludzi, którzy starają się schronić pod plandekami i równocześnie

przeglądają zdezelowane meble, świecidełka wątpliwego pochodzenia, zardzewiałe szpady oraz wyszczerbione i zdekompletowane zastawy.

– Mam znajomego w Radzie Kastylii – odzywa się Sánchez Terrón. – Jego nazwisko nie ma tu znaczenia.

Higueruela patrzy na niego z zainteresowaniem.

– I co mówi pański znajomy?

Sánchez Terrón opowiada w krótkich słowach. Podróż do Paryża po *Encyklopedię* wywołuje na dworze królewskim komentarze, nie zawsze pochlebne. Są tacy, którzy uważają, że to zły przykład. I że Akademia, właśnie z powodu królewskiej ochrony, z jakiej korzysta, nie powinna błędzić po filozoficznych opłotkach. Dwa dni temu arcybiskup Toledo uczynił parę uwag na ten temat. A to, jak się wydaje, stało się tematem krótkiej rozmowy pomiędzy Jego Królewską Mością, arcybiskupem i markizem de Casa Prado, który był przy tym obecny.

– I ci dwaj – kończy Sánchez Terrón – którzy są tej samej co i pan, don Manuelu, skostniałej umysłowości, dość bezczelnie podpuścili króla, sugerując mu, by cofnął swoje pozwolenie na tę podróż...

– A co król na to? – zaciekawiał się rozmówca.

– Nic nie powiedział. Wysłuchał ich z uwagą i po chwili zaczął mówić o innych sprawach.

– Ma złych doradców.

– Może i tak. Ale jest, jak jest.

– A inkwizycja?

– Słyszał pan na posiedzeniu plenarnym don Josepha Ontiverosa, stałego sekretarza Rady. Z jego strony *nihil obstat*. A nawet on sam załatwił pozwolenie na przywiezienie tego dzieła z Francji.

Higueruela cmoka i kręci głową.

– Kiepskie czasy. Już nawet Świętemu Oficjum nie można ufać.

– Nie zripostuję tak, jak pan na to zasługuje.

Dziennikarz uśmiecha się perfidnie. Z bezczelnością.

– To mi się podoba, don Justo – ironizuje. – Że oszczędza mi pan tego, na co zasługuje... Że jest pan grzecznym chłopcem i dotrzymuje układu, jaki zawarliśmy.

Sánchez Terrón zagląda roztargniony do sklepiku ze starymi ubraniami, gdzie leżą sterty wypłowiałych szamerowanych kurtek, pożółkłych koronek, kapeluszy zjedzonych przez mole albo już niemodnych. Wszystko ma zapach starości, a odór stęchlizny podkreślany jest wilgocią w powietrzu.

– I nie mógłby pan w tym swoim „Cenzorze Literackim”...

Jadowite spojrzenie Higuierueli sprawia, że przerywa w pół zdania.

– W tym moim szmatławcu – pyta dziennikarz sarkastycznie – który pańscy współwyznawcy nazywają głosem archaicznego obskurantyzmu? Który pan osobiście, co wiem z dobrego źródła, nazwał kiedyś podczas spotkania literatów w kawiarni gospody Świętego Sebastiana nikczemnym piśmidłem?

– Tak – przyznaje Sánchez Terrón wyniośle. – Właśnie w nim. Nie mógłby pan, pytam, zająć się tym tematem i pogрузić go, przytaczając głosy autorytetów?

Higuieruela, zawsze praktyczny, zapomina o urazie, jakby nic się nie stało. Przychodzi mu to całkiem naturalnie.

– Na przykład?

– Sam nie wiem. Mógłby pan powołać się na opinię paru biskupów, księcia Oranu albo samego markiza de Casa Prado... Niech pan zacytuje osoby liczące się na dworze, mające opinie panu bliskie.

Dziennikarz unosi protestacyjnie palec z brudnym paznokciem.

– Ja nie mogę się do tego mieszać – oponuje. – Czym innym jest moja pozycja wydawcy, a czymś zupełnie innym akademika... Protest na plenarnych posiedzeniach Akademii przeciwko absurdalnej wyprawie po *Encyklopedię* to nie to samo, co publiczne atakowanie tej czcigodnej instytucji, do której i pan, i ja należymy. To oddawanie broni do rąk tym, którzy atakują Akademię.

Sánchez Terrón się nadyma.

– To kwestia pańskiego sumienia...

Higueruela przerywa mu złośliwym śmiechem.

– Jeśli mówimy o sumieniu, mogę panu powiedzieć to samo, panie filozofie. Niech sam pan to zrobi, dając tej sprawie swoją twarz w prasie albo w jakimś miejscu publicznym. Niech się pan otwarcie zaangażuje. Niech pan powie, że nowoczesne oświecenie może dać się szeroko poznać jedynie za pośrednictwem takich mędrców jak pan. I że nie dla psa kiełbasa.

– Niechże pan nie gada bzdur.

– Jasne. Tyle że obaj dobrze wiemy, o czym mowa.

Przerywa im człowiek o cygańskich rysach i podejrzanym wyglądzie, zakutany w mokrą burą pelerynę, spod której wyciąga cztery srebrne sztucce owinięte w szary papier, i proponuje ich sprzedaż za sto dwadzieścia reali. Zaklina się, że jego żona jest chora, potrzebuje pieniędzy na jej leczenie, więc zmuszony jest wyprzedawać majątek.

– Bardzo chora? – pyta Higueruela z kpiną w głosie.

Rzezimieszek z wielkim tupetem robi znak krzyża.

– Przysięgam na pamięć mojej matki.

– Rzeczywiście... Znikajże, zanim wezwiemy strażników.

Człowiek chowa srebra, patrząc na niego z ukosa.

– Jeszcze się spotkamy, mój panie – cedzi przez zęby.

– Mówię, żebyś zszedł mi z drogi.

Akademicy idą dalej, zostawiają za sobą skrzyżowanie, omijając kałużę. Sánchez Terrón, trzymając w górze parasol, zwraca się do swojego towarzysza.

– Myśli pan, że jest jakiś sposób, by przeszkodzić im w Paryżu?

– Z pomocą Pascuala Raposo? Jestem pewien, że tak. Zna miasto i jego klimaty. To człowiek o wielkich możliwościach. Mam na myśli jego brudne interesy.

Zatrzymali się w podcieniu, skąd biegnie w dół Skarpa Garbarzy. Tuż przy sklepiku z pustymi ramami i spłowiałymi albo porozdzieranymi obrazami znajduje się następny sklep ze starymi książkami. Higuieruela strząsa wodę z kapelusza i peleryny, a jego towarzysz zamyka ociekający parasol.

– W ostatni czwartek – mówi – dyrektor, opowiadając w Akademii o tej podróży, powiedział coś, o czym nie wiedziałem: admirał i bibliotekarz wiozą ze sobą listy polecające do naszego ambasadora, hrabiego Arandy.

Wiadomość ta nie sprawia Higuierueli przyjemności.

– Niedobrze – stwierdza. – Aranda to wolterianin i bezbożnik, sprzyjający nowym filozofiom.

– Tak samo jak ja, chciał pan powiedzieć?

Dziennikarz patrzy na niego krzywo.

– Niech pan nie miesza ziarna z plewami, don Justo... Mówimy o różnych rzeczach.

– Niczego nie mieszam – unosi się Sánchez Terrón, nieco urażony porównaniem. – Tylko zwracam pańską uwagę. Musi pan wiedzieć, że hrabia Aranda i ja zgadzamy się w wielu...

Higueruela unosi dłoń, zniecierpliwiony, i wraca do sprawy.

– No cóż, wszystko jedno... Jednak na to wygląda, że ambasador bez wątpienia udzieli im wsparcia. Ułatwi wiele spraw. A nasz człowiek, Raposo, tak daleko nie sięga... To zbyt wysokie progi dla takiego nikczemnika jak on.

Dotykają tomów, spoglądając na wypłowiałe grzbiety i zniszczone oprawy. W większości są to książki religijne. Pomędzy bezwartościowymi pojedynczymi tomami albo zdekompletowanymi wydaniem stoi też sfatygowany *Marek Aureliusz Guevary*, na wpół zjedzony przez myszy i zniszczony wilgocią.

– Jest jednak pewien drobiazg działający na naszą korzyść – stwierdza Sánchez Terrón. – Jestem dość zaprzyjaźniony z Ignaciem Heredią, osobistym sekretarzem Arandy. Przysyła mi książki i korespondujemy ze sobą.

Higueruela znów spogląda na niego z zaciekawieniem.

– Czy mógłby nam pomóc i utrudnić zadanie podróżnym w Paryżu?

Filozof przestaje kartkować tom, w którym brakuje niemal jednej trzeciej stron, i odkłada go z powrotem na stertę niemal z niesmakiem.

– Nie wiem, czy posunie się tak daleko. Ja sam nie mogę się angażować do tego stopnia ani za bardzo go wtajemniczać. Nie wiadomo, w czyje ręce trafią listy, które pisze.

– Ale może jakaś odpowiednia sugestia...

Sánchez Terrón zdaje się poważnie zastanawiać na tą możliwośćią. Widząc jego wahanie, Higueruela naciska.

– Wystarczy kilka pańskich słów, zwykły list. Niby przypadkowy komentarz, który wzbudziłby niechęć... Żeby niczego im nie ułatwiać, kiedy tam dotrą, bez względu na to, jak świetne rekomendacje będą mieli.

W końcu Sánchez Terrón kiwa głową, przekonany.

– Tak, to raczej możliwe, jak sędzę.

– Wspaniale. Bo w ten sposób, z sekretarzem ambasadora i naszym nieocenionym Pascuałem Raposo, łączymy jedwab z perkalem, czyli inaczej mówiąc: palimy Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek.

Rozmowy, chwile milczenia, krótkie drzemki. Tak mało światła, że z trudem można czytać. Berlina jedzie w deszczu, woźnica okrył się ceratową peleryną, koła żłobią głębokie bruzdy w błocie na drodze. W lesie zieleń wydaje się jeszcze ciemniejsza i bardziej soczysta za zasłonami mgły. Na otwartej przestrzeni błotnisty pejzaż, ze strumykami i wielkimi kałużami odbijającymi ołowiane, ciemne niebo, chwilami przysłonięty jest kurtyną deszczu, krople, padając na dach karety, dźwięczą jak wystrzały.

Admirał wygląda przez okno, od czasu do czasu dłonią ściera z niego parę. Dobrą chwilę siedzi tak, zaprzątnięty myślami, z zamkniętą książką Eulera leżącą na podróźnej derce, którą okrył nogi. Siedzący naprzeciwko don Hermógenes przysypia z dłońmi spokojnie splecionymi na podołku, na chroniącym go przed zimnem kocu. Naraz bibliotekarz podrywa się, budzi, podnosi głowę i spogląda na towarzysza podróży.

– Jaki mamy czas? – pyta, mrugając półprzymkniętymi oczami.

– Deszcz i błoto opóźniają podróż. Droga jest bardzo trudna dla naszych biednych zwierząt.

– Myśli pan, że dotrzemy do Vitorii przed nocą?

– Mam nadzieję. Zostały nam jakieś dwie mile, a pogoda nie zachęca do noclegu w byle karczmie dla mulników.

– Okropny był ten zajazd w Briviesce, prawda?

– Straszny.

Don Hermógenes wygląda przez okno. Nieopodal widać wzgórze porośnięte drzewami, a w zagajniku stoi, słabo widoczne we mgle, odległe

domostwo pobielone wapnem.

– Ponury widok, nie sądzi pan? Choć przy dobrej pogodzie musi być pięknie tu, pośród lasów.

– Bez wątpienia. To dostatnie okolice. Urodzajne.

– Ciekawe – odzywa się bibliotekarz po chwili zastanowienia. – Nie tylko pejzaż i deszcze napawają smutkiem. Przy pięknej pogodzie jest tak samo. Nie zauważył pan tego we wsiach, przez które przejeżdżaliśmy? Ponieważ przywykliśmy do zgiełku w Madrycie, zapominamy, że nie cała Hiszpania tak wygląda... Choć wielu cudzoziemców sądzi inaczej, my, Hiszpanie, jesteśmy smutnym narodem. Nie sądzi pan?

– Być może – zgadza się admirał.

– Dwa dni temu na przykład, Briviesca, miejsce zamożne, obfitujące w ogrody, bydło i gaje oraz porządne budowle, choć zajazd pozostawiał wiele do życzenia... Pamięta pan?

– Naturalnie. Piękna miejscowość: dwa klasztory, kolegiata, parafia. Jednak brakowało w niej radości, jak pan zauważył.

– To była niedziela – wspomina don Hermógenes – dzień niosący uczciwy odpoczynek tym, którzy przez cały tydzień pracują. Jeszcze nie padało, a ulice były puste, ciche, z kolei tych kilka osób, jakie widzieliśmy na ulicy, wyglądało, jakby siłą zostały wypędzone z domów, wbrew swej woli... Mieszkańcy przypominali cmentarne rzeźby na placu czy przed kościołem, mężczyźni owinięci pelerynami, kobiety w chustach, rozsiedli się leniwie albo włóczyli się bez celu. Ani cienia radości czy zainteresowania czymkolwiek.

– A po nabożeństwie, jak pan widział, wszyscy wrócili do domów.

– Właśnie. I to, co tam widzieliśmy, ma miejsce na całej prowincji. Dlatego myślę, że my, Hiszpanie, jesteśmy smutnym narodem.

I zastanawiam się dlaczego. Mamy słońce, smaczne wino, piękne kobiety, dobry lud...

Admirał spogląda sarkastycznie na swojego towarzysza.

– Dlaczego nazywa go pan dobrym?

– Sam nie wiem – zastanawia się rozmówca. – Zły, dobry... Chciałbym wierzyć, że...

– Ludzie nie są ani dobrzy, ani źli. Są tacy, jak ich się wychowa.

– I co sprawia, że na przykład mieszkańcy Brivieski są smutni?

– Złe prawa, don Hermesie. – Admirał uśmiecha się niechętnie, niemal ze smutkiem. – Nieufność rządzących i źle pojęta gorliwość sędziów przekonanych, że wszystko polega na zniewoleniu narodu: niechaj ludzie drżą przed głosem sprawiedliwości, a wszelką wesołość uzna się za zaburzenie porządku, dające pretekst do śledztw, kar więzienia i mandatów w kraju, gdzie sprzedajność urzędników i chciwość sędziów są nieposkromione... Mówię jasno?

– Jaśniej nie sposób.

– Nie muszę więc tłumaczyć panu, jak smutnymi i załężnionymi stają się zwykle ludzie. I w sumie jedyną rozrywką, jaką się toleruje, jest niedzielna msza, pielgrzymka do kapliczki świętego patrona i ta odrobina wesołości, jaka towarzyszy ślubom i chrzcinom.

Bibliotekarz, zakłopotany, odwraca wzrok, żeby popatrzeć na krople wody spływające po zaparowanym okienku.

– No naprawdę... Już dawno nie zrzucił pan całej winy na Kościół.

Admirał uśmiecha się pogodnie, ujmując całej sytuacji nadmiernego ciężaru. Nie tylko o Kościół chodzi, dodaje po chwili. On tylko dostarcza kolejne narzędzie zepsutemu systemowi rządów, jakiemu podlegają niektóre narody. I nie chodzi o to, że sama monarchia jest okropna – nie, bo

mamy przykład Anglii, gdzie wszystko daje się pogodzić – ale o to, jak w Hiszpanii rozumie się pokój społeczny.

– Nasze regulaminy policyjne – mówi dalej – nie tylko są przeciwne radości, ale i pomyślności. W wielu miejscach zakazuje się muzyki, spotkań towarzyskich i tańców, w innych zaś każe się mieszkańcom zostawać w domu po wieczornej modlitwie, nie wychodzić za próg po zmierzchu, nie zbierać się w grupy... A chłopu, który swoim potem zlewa przez cały tydzień pole, nie pozwala się w sobotni wieczór wyszaleć swobodnie na rynku, zatańczyć z żoną czy sąsiadką, jeśli woli, ani zaśpiewać serenady przy okiennej kracie swojej ukochanej.

– Chodzi o uczciwość, sam pan wie. O obyczaje...

– Jaka uczciwość, co też pan opowiada?! Dobrze pan wie, że nie na tym problem polega. Pozwólcie czytać i pozwólcie tańczyć, domagał się Wolter. I w tym tkwi sedno: mniej mszy i więcej muzyki.

Bibliotekarz wznosi ręce do nieba, lekko oburzony.

– Przesadza pan, drogi admirale.

– Mówi pan, że przesadzam... O pielgrzymkach mówiłem już wcześniej. A co tam się dzieje? Trzeba je przerywać na czas modlitwy; i nie tylko zabrania się tańczyć z kobietami, ale Kościół doprowadził do tego, że zakazano nawet tańców mężczyzn.

– Lud jednak jest cierpliwy – protestuje don Hermógenes. – I wszystko znosi.

– I to jest jeszcze gorsze. Znosi, ale niechętnie. I tę niechęć zwalcza się siłami policji, zapominając, że ten, kto cierpi ucisk, ma skłonność do szybkich zmian i wybuchów, i że bez wolności nie ma pomyślności... Co do tego, mam nadzieję, że pan się ze mną zgadza.

– Jasne, że tak. Już Grecy tak uważali. Naród wolny i radosny będzie w sposób naturalny pracowity.

– Właśnie. A dobre rządy mają nie narzucać szczęścia, ale gwarantować prawo do niego.

– W tej kwestii ma pan rację, oczywiście. Proszę wskazać gdzie, a zaraz się pod tym podpiszę. Uczciwy naród nie potrzebuje, by władza dostarczała mu rozrywek, ale żeby pozwalała mu się bawić.

– Naturalnie. A rozrywka i wychowanie sprawiają, że obywatele stają się pracowici i odpowiedzialni. Pomagają temu publiczne spotkania, kawiarnie i salony dyskusji, sale gry w piłkę, teatry...

– I corrida – dodaje bibliotekarz, który jest jej zagorzałym zwolennikiem.

Na to admirał wykrzywia usta z dezaprobatą.

– Z tym się nie zgadzam – odpowiada z krytycznym chłodem. – Dobrze, że tego rodzaju barbarzyństwa zakazano.

– Zakaz ten nie zawsze jest pilnie przestrzegany, całe szczęście. Bo mnie się podobają walki byków. Odwaga torreadorów, dzikość zwierząt...

– Jest pan wolny, don Hermesie, może pan tak uważać – przerywa mu dość szorstko admirał. – Jednak widok hord analfabetów oklaskujących męczeństwo zwierzęcia przynosi nam wstyd przed kulturalnymi narodami. Jeśli zaś chodzi o publiczne uciechy, moim zdaniem idealną rozrywką w Hiszpanii jest teatr.

– Może i ma pan rację, owszem... W tej sprawie jesteśmy zgodni.

Berlina, spod której kół pryska błoto, nagle kołysze się gwałtownie, po czym staje w miejscu. Zapewne napotkała jakiś wybój na drodze ukryty pod kałużą. Don Hermógenes już zamierza opuścić okno, żeby się przekonać, co też się stało, ale silny deszcz bijący w szybę odwodzi go od tego pomysłu. Przez chwilę pośród dzwonienia kropli o dach słychać trzaski z bicia i pełen złości głos woźnicy poganiającego konie. W końcu powóz chybcze się, ale znów rusza w drogę.

– Teatr – ciągnie admirał – to znakomite narzędzie oświecenia. Jednak w Hiszpanii wymaga on reformy, która oczyści go z nieuczciwości, ucieczek pokojówek, wyzwania, zbrodni, bezczelnych błaznów i służących udających przebiegłych stręczycieli... Proszę jeszcze do tego dodać, jeśli wola, jednoaktówki i farsy, niestosowne i wulgarne, które za bohaterów mają cwaniaków, łotrów i przekupki, i już będzie pan miał kompletną panoramę naszej aktualnej sceny.

Don Hermógenes żywo się zgadza.

– Ma pan rację. Zwłaszcza mówiąc o grubiaństwie i ordynarności, które ze scen zarażają ludzi... Wszędzie gmin ma prostackie gusta, jasne. Niestety jednak polega na tym, że w Hiszpanii takie upodobania zagościły wyżej, rozprzestrzeniły się pośród szlachty i ludzi wykształconych, zamiast pozostać, jak to się dzieje w Anglii czy Francji, tam, gdzie ich miejsce. Nie uważa pan? Plebs jest wszędzie, to naturalne. Jednak nasz naród opanowała plebejskość.

– Nie moglibyśmy być bardziej zgodni, don Hermesie... Ta jałowa ordynarność, która prowadzi donikąd, ośmiesza nas za granicą, gdzie uważa się ją za naszą narodową cechę.

Na kolejnym wyboju akademicy niemal wpadają na siebie i powóz znów staje. Don Hermógenes w końcu decyduje się i wygląda przez okienko, po czym zamyka je z twarzą mokrą od kropel deszczu dokładnie w chwili, kiedy rozbrzmiewa uderzenie bicia i berlina znowu rusza z gwałtownym szarpnięciem. Bibliotekarz ze zrezygnowaną miną rozciera sobie zbolące nerki.

– Jasna sprawa – wraca do rozmowy – że religijność i dobra polityka jednym głosem wołają o radykalną zmianę tego powszechnego prostactwa.

Don Pedro uśmiecha się, słysząc te słowa.

– Raczej wolałbym – oponuje – by głosy religii i polityki nie łączyły się w jedno... Wprowadzanie reform z lekkim swędem zakrystii nie byłoby najlepszym rozwiązaniem.

– Nie zaczynamy znowu, bardzo proszę.

– Nie zaczynam ani nie kończę, don Hermesie. Moim zdaniem, reforma obyczajów powinna opierać się na rozumie i dobrym smaku.

Bibliotekarz znów protestuje ze swoją zwykłą naiwnością.

– Ależ, mój drogi admirale, pobożny naród...

– Nie chodzi o to, by narody stały się pobożne – przerywa mu don Pedro – ale uczciwe, pracowite, wykształcone, takie, którym się dobrze powodzi... Dlatego mówię o teatrze – ta najważniejsza narodowa rozrywka poprzez przykłady, w których wolność wygrywa, a niewinność jest nagradzana, będzie propagowała dobrze rozumiany patriotyzm, pożytek z nauki, uczciwość w pracy, kulturę i szlachetność... Teatrowi zostanie przywrócona świetność i zdrowy rozsądek, jakich wymaga wspólne dobro.

– Ach, drogi admirale. Obawiam się, że to jakby wypatrywać gruszek na wierzbie.

– Tak, wiem... A jednak, być może, jeśli dobrze wstrząsnąć wierzbą, spadnie jakaś gruszka... I w pewnym sensie my także dokładamy swój skromny gest, nasza podróż po zakazane książki jest godną formą trzęsienia wierzbą.

Koń porusza się powoli, topiąc kopyta w glinie na drodze. Deszcz, cały czas gęsty, zalewa podwójny ślad kół berliny jadącej pół mili z przodu. Sprawia też, że Pascual Raposo, pochylony nad szyją swojego wierzchowca, przymyka oczy, chroniąc je przed ostrymi ukłuciami kropli wody uderzających go w twarz, częściowo tylko zasłoniętą bezkształtnym i mokrym rondem kapelusza. Okryty płaszczem mającym chronić go przed

ulewą samotny jeździec odczuwa zimno, wilgoć, niewygodę. Wiele by oddał za ogień, przy którym mógłby się ogrzać, jego ubranie zaś zdążyłoby wyschnąć, a przynajmniej chciałby znaleźć jakieś zadaszone miejsce, gdzie zdołałby odpocząć, osłonięty przed deszczem. Nie ma jednak w okolicy żadnego schronienia. Jako doświadczony żołnierz i kawalerzysta Raposo przywykł do takich warunków, jednak z upływem czasu, z nieodwołalnym biegiem lat, znosi je z coraz większym trudem. Pewnego dnia, myśli ponuro, nie będzie w stanie zarabiać na życie w ten sposób. I oby wtedy, myśli na koniec, miał coś, co by mu pozwoliło się utrzymać. Zapewniło dach nad głową, kobietę, ciepły garnek. Takie potrójne marzenie. Jego wspomnienie w deszczu wystarcza, żeby poczuł nagłą i pewną rozpacz, wręcz głęboką melancholię.

Koń utyka, idąc po kamiennym moście, pod którym spieniona woda płynie gwałtownym strumieniem. Przeklinając pod nosem, Raposo ściąga wodze, zsiada z konia i sprawdza mu nogi, ich ciepła skóra kontrastuje z ciekącą po niej lodowatą wodą. Kolejne przekleństwo nabiera jeszcze mocy, kiedy Raposo stwierdza, że zniknęła jedna z podków. Osłaniając się płaszczem najlepiej, jak potrafi, chwilami oślepiiony deszczem, otwiera jedną z toreb, wyjmując zapasową podkowę, nóż, gwoździe i młotek. Potem, z końską nogą pomiędzy udami, ocierając od czasu do czasu wierzchem dłoni wodę z czoła, oczyszcza kopyto, umieszcza na nim podkowę i przybija ją najlepiej, jak może, czując równocześnie, że deszcz, który pada – tak zimny, że Raposo zaczyna się trząść – przecieka przez szwy woskowanej tkaniny, a potem spływa mu po karku, ramionach i plecach. Kiedy po dobrej chwili kończy robotę, nogi ma zamoczone aż po uda, z rękawów kurtki cieknie deszczówka, a w cholewach wysokich skórzanych butów chlupocze woda. Bez pośpiechu chowa narzędzia, wyciąga z torby bukłak z winem i odchylając głowę do tyłu, pociąga bardzo

długi łyk, podczas gdy deszcz bije go po twarzy. Potem wsiada na konia, który kiedy tylko czuje luźne wodze i człowieka na swym grzbiecie, rusza z miejsca, pozostawiając za sobą echo stukotu kopyt na kamiennym moście.

Równoległe ślady kół berliny toną wśród błota na drodze, czasem zanikając, a w wypełniającej koleiny wodzie odbija się ponure niebo i mglista zasłona horyzontu. Raposo wyobraża sobie obu akademików, suchych i bezpiecznych wewnątrz powozu, jak z niezadowoleniem spoglądają na zegarki, żeby sprawdzić, ile mil zostało im jeszcze do Vitorii. I ta myśl budzi w nim dotkliwy żal. Jeszcze nadejdzie czas, rozmyśla, żeby wyrównać rachunki. Jeszcze będą musieli zapłacić mu za każdy krok jego konia, każdy odcinek drogi w deszczu. Za zmęczenie i chłód. I kiedy błyskawica nad odległym lasem przecina niebo, a potem spomiędzy czarnych, niskich chmur z siłą wystrzału armatniego dociera grzmot, błysk oświetla twarz samotnego jeźdźca z ustami wykrzywionymi w okrutnym grymasie, zapowiadającym odkładaną na później zemstę.

Jest czwartek, punktualnie wpół do dziewiątej wieczorem, i królewska Akademia kończy sesję w budynku Skarbca w Madrycie. Tłuste światło woskowych świec i lamp oliwnych ustawionych na giemzowej narzucie leżącej na stole obrad słabo oświetla półki pełne książek i pożółkłych teczek, ciemnych drewnianych katalogów z wypisanymi w porządku alfabetycznym literami na szufladkach. Wszyscy stoją, a dyrektor Vega de Sella odczytuje zwyczajową modlitwę, potem słychać szuranie odsuwanych krzeseł, kaszel mający oczyścić oddech, chrząknięcia, rozmowy. Półgłosem jeszcze dyskutują sekretarz Palafox i akademicy, panowie Echegarate – znamienity interpretator *Pieśni o Cydzie* – i Domínguez de León – autor *Rozprawy o reformie praw kryminalnych* i innych świetnych tekstów – na temat hasła „kratkowany”, jakie właśnie zostało zaakceptowane jako przymiotnik do następnego wydania słownika Akademii. Wszyscy

opuszczają swoje miejsca, niektórzy starają się zostać chwilę dla ogrzania rąk przy piecykach, ledwo ocieplających salę.

– Istnieje pewna ciekawa możliwość – mówi cicho Manuel Higuera do Justa Sancheza Terrona. – Może coś zmienić w naszej sprawie.

Odciąga go na bok, nieopodal piecyka, skąd właśnie inni akademicy odeszli. Czuć tam zapach spopielałego miazgu. Nad ich głowami na ścianie, ledwo widoczne w półcieniu, wiszą portrety króla oraz twórcy Akademii, markiza, którzy z mroków jakby przewodniczyli obradom.

– Jutro arcybiskup Toledo i nuncjusz Jego Świątobliwości będą towarzyszyli królowi podczas obiadu.

Sánchez Terrón unosi pogardliwie brew, jak to ma w zwyczaju.

– I co nam z tego?

– Więcej, niżby pan sądził. Będzie tam również markiz de Casa Prado, jeden z naszych.

– Raczej z pańskich, chciał pan powiedzieć.

Higuera cmoka zniecierpliwiony.

– Niechże się pan nie wygłupia, don Justo, przecież obaj jesteśmy starymi wygami... W sprawie podróży do Paryża nie ma co się spierać, lepiej łączyć siły. Jedziemy na jednym wózku.

Patrzają na siebie porozumiewawczo. Dziennikarz ścisza głos.

– Cała trójka będzie się starała przekonać króla, żeby cofnął zgodę na tę wyprawę.

Sánchez Terrón pochyla głowę, zaciekawiony mimo woli.

– A nie jest za późno?

– W żadnym razie. – Uśmiech rozmówcy staje się bardziej przebiegły. – Konny kurier dotrze do naszej ambasady w ciągu tygodnia.

– Obawiam się, że pan zapomina, iż ambasadorem jest hrabia Aranda, jeden z wybitnych ludzi oświecenia.

– Nie sprzeciwi się królewskiemu rozkazowi, gdyby go dostał. A dostanie.

Sánchez Terrón rozgląda się wokół ostrożnie. Wszyscy akademicy stoją już przy wieszakach w korytarzu, zabierają kapelusze, peleryny i płaszcze.

– W każdym razie – zauważa – arcybiskup i markiz już próbowali przekonać króla, jak panu mówiłem. Bez skutku. Król puścił ich słowa mimo uszu.

– Nie powiedział, czy jest za, czy przeciw, o ile nam wiadomo. Poza tym nie było wtedy z nimi nuncjusza, a sam pan wie, że monsignore Ottaviani ma silny charakter i potrafi używać mocnych argumentów... Z drugiej strony król jest człowiekiem pobożnym. Wiem z dobrego źródła, że nad tą sprawą pracuje także królewski spowiednik.

– Ojciec Quílez?

– Ten sam, *ora et labora*.

– Coś takiego. – Sánchez Terrón przybiera zgorzkniałą minę. – Ileż energii wykazujecie, panowie, jeśli tylko jesteście czymś zainteresowani.

– Ta sprawa obu nas interesuje. Niech pan nie udaje.

– A idźże pan do diabła!

Sánchez Terrón strzepuje pył z fraka w angielskim stylu, noszonego z dodatkiem napuszonego, szerokiego krawata, który nadaje mu wygląd niezłomnego modnia, choć nieco podstarzałego. Wychodzą na korytarz, gdzie już się żegnają dyrektor, sekretarz i paru akademików. Vega de Sella, któremu pomaga woźny, na elegancki żakiet narzuca pelerynę z wyhaftowanym krzyżem świętego Jakuba. Tego samego popołudnia podczas posiedzenia plenarnego odczytał list od admirała i bibliotekarza

wysłany z Vitorii, w którym informowali o najnowszych wieściach z podróży.

– Ach, don Justo – mówi do Sancheza Terrona. – Zapomniałbym pogratulować panu ubiegłotygodniowego artykułu w „Merkurium Literackim”... To bardzo inteligentnie przeprowadzony wywód. Pańskie spojrzenie budzi podziw, jest bardzo głębokie, odkrywa przed nami prawdziwe intencje Velazqueza, gdy malował swoje *Przędki*... „Dynamiczny” i „wywrotowy”, takich chyba oryginalnych przymiotników pan użył. Nigdy bym nie pomyślał, wie pan, o takich słowach w odniesieniu do Velazqueza. Nic panu nie umknie.

Sánchez Terrón nadyma się, pochlebstwo jest miłe, jednak czuje zmieszanie, zbyt podniosły ton jakoś mu nie pasuje. Wyczuwa ziarno delikatnej kpiny.

– Dziękuję, panie dyrektorze. – Stara się go wybadać. – Ja, prawdę mówiąc...

Zdystansowany uśmiech Vegi de Sella rozwiewa jego świeże wątpliwości.

– Nie wiem, co stałoby się z kulturą i filozofią, gdyby nie pan. Nie mam pojęcia, co byśmy zrobili.

To powiedziawszy, dyrektor żegna się uprzejmie, pochylając wypomadowaną głowę.

– Dobranoc, panowie.

Higueruela i Sánchez Terrón patrzą za nim.

– Czy on jest kretynem? – mruczy pod nosem ten drugi. – Pewnie coś wie.

– O czym? – pyta Higueruela, jeszcze skrycie rozbawiony całą sceną.

– O naszych rozmowach... O...

– Skąd miałby wiedzieć? Po prostu pana nie lubi, to wszystko.

– A jednak głosował na mnie, żebym wszedł w poczet Akademii.

Higuera kiwa głową, rozbawiony.

– Wtedy jeszcze nie odsłonił pan przed światem malarskiego geniuszu Velazqueza, don Justo. Ani nie objawił Hiszpanom naturalnych cnót szlachetnego dzikusa z puszczy i stepów... Pewnie to dlatego.

Sánchez Terrón patrzy na niego krzywo, starając się ocenić stopień sarkazmu komentarza. Wszelkie próby jednak spełzają na niczym, odbite od tarczy nieprzeniknionego uśmiechu dziennikarza.

– Czy Vega de Sella nie planuje kontrataku? – niepokoje się filozof, zmieniając temat.

– Z powodu nuncjusza i pozostałych osób z otoczenia króla?

– Jasne.

Higuera wydyma wargi z powątpiewaniem.

– Jeśli Ottaviani przekona Jego Królewską Mość, nasz dyrektor nic nie wskóra. *Monarchia locuta, causa finita...* I nasi dwaj nieustraszeni koledzy nie będą mieli innego wyjścia, jak tylko zrobić w tył zwrot.

– Ma pan jakieś nowe wieści od swojego znajomego? – Głos Sancheza Terrona przechodzi w szept. – Od trzeciego z podróżników.

– Nie. Ale w tych dniach powinni wszyscy przekraczać granicę. I z nuncjuszem czy bez niego, czeka ich jeszcze daleka i niebezpieczna droga.

Konspiratorzy biorą płaszcze i wychodzą na ulicę, oświetloną tylko przez latarnię przy wejściu do Pałacu Królewskiego. I kiedy tam docierają, każdy idzie w swoją stronę, bez pożegnania. Jakby po kryjomu.

Jego Królewska Mość Karol III spożywa uroczysty posiłek w rogu obszernego salonu pałacu, pomiędzy dwojgiem wysokich drzwi, obok których wiszą wykonane w królewskiej fabryce dywanów arrasy,

przedstawiające sceny mitologiczne. Król ma duży nos, cerę opaloną słońcem podczas polowań, których jest wielkim zwolennikiem, a jego skóra wydaje się jeszcze ciemniejsza w zestawieniu z białą peruką i lokami na skroniach. Odziany jest w żakiet z zielonego aksamitu, na szyi lśni mu Order Złotego Runa, a na piersi krzyż zakonu jego imienia, którego członkowie mocą papieskiej bulli zobowiązują się do obrony prawdy o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny. Nad głową króla, dwadzieścia łokci nad ziemią, znajduje się sufit z wymalowanymi alegoriami wspaniałości rodu Burbonów i zamorskimi posiadłościami w Ameryce. Władca zasiada sam przy stole, plecami do ściany, powoli przeżuwając, ze wzrokiem utkwionym w talerzu, zamyślony, od czasu do czasu sięga, otarłszy usta serwetką, po kieliszek z kryształu z La Granjy, pełny wina i stojący w zasięgu ręki. Lokaje w doskonałej liberii, ściśle nadzorowani przez głównego majordoma w pałacu, hrabiego de los Anzules, podają każde danie ze skinieniem głowy. Opodal stołu leżą charty, drzemią na dywanie albo podnoszą pyski, uważnie przyglądając się temu, co ich pan, z tą samą zamyśloną miną, z jaką je, rzuca im czasem coś ze stołu.

Protokół jest ścisły i rutynowy: dwadzieścia osób obecnych przy obiedzie monarchy – w jadalni są wyłącznie mężczyźni – zachowuje pełen poszanowania dystans. Dziś asystują mu ambasadorowie Neapolu i Rosji, nuncjusz papieski, arcybiskup Toledo, kilku dworzan, tych samych, co zwykle, i paru gości wyjątkowych; tworzą w sumie różnorodny zestaw barwnych żakietów, sutann, mundurów, koronkowych żabotów, eleganckich spodni i peruk ozdobionych lokami na skroniach. Czasem król podnosi wzrok i patrzy na kogoś z nich, zapraszając, by się zbliżył, a wezwany podchodzi z szacunkiem, składa ukłon, słucha, co ma mu do powiedzenia Karol III, gawędzą chwilę, po czym mężczyzna oddala się, kiedy monarcha

ponownie kieruje wzrok na talerz, dając do zrozumienia, że audyencja dobiegła końca. W tym czasie reszta towarzystwa rozmawia w grupach ściszym głosem, czeka lub nasłuchuje i stara się uchwycić sens królewskiej rozmowy.

– Markizie, zauważył pan? Peñafloridzie udało się zająć uwagę króla tylko przez półtorej minuty.

– Dość, by załatwić swemu zięciowi awans na stopień pułkownika, jak sądzę.

– Do licha, jaki pan bystry!

Lokaje wnoszą ostatnie danie i nalewają królowi kawy do porcelanowej filiżanki z kompletu podarowanego przez chińskiego cesarza. Karol III upija łyk i znad porcelany patrzy na kardynała Ottavianiego, rzymskiego nuncjusza. Ten zbliża się z dyplomatycznym uśmiechem, na palcach lśnią mu pierścienie odpowiadające jego godności, ręce zaś splótł na szkarłatnej szacie obrębjonej koronką. Wymieniają uprzejmości, kardynał przekazuje królowi posłanie od papieża, przechodzą do innych spraw. Nuncjusz prosi swoją bogatą hiszpańszczyznę z lekkim tokańskim akcentem o pozwolenie, by do rozmowy dołączyli arcybiskup Toledo i markiz de Casa Prado; król wyraża zgodę i wymienieni podchodzą.

– Niepokoi nas pewna kwestia, Wasza Królewska Mość – stwierdza nuncjusz po przedstawieniu sytuacji.

Arcybiskup i markiz delikatnie włączają się do rozmowy, przytaczając kolejne argumenty. Monarcha słucha z roztargnieniem, spoglądając od czasu do czasu na psy. Jeden z nich wstał z dywanu i liże mu rękę z głośnym mlaskaniem. Dobrotliwy król obu światów pozwala mu na to.

– Hiszpańska Akademia Królewska właśnie przez wzgląd na swój prestiż nie może zniżyć się do pewnych rozwiązań, jakie podsuwają nasze

burzliwe czasy – stwierdza arcybiskup Toledo. – Bardzo szeroko jest komentowana podróż akademików po *Encyklopedię* do Paryża.

– Bardzo szeroko – powtarza markiz de Casa Prado, wsparty aprobującym mrugnięciem nuncjusza.

– Przez kogo? – pyta król łagodnie.

Wymieniają spojrzenia. Nuncjusz zabiera głos.

– Przecież, Wasza Królewska Mość... To jest niestrawna kompilacja pełna paradoksów i błędów, pękająca od bałamutnych teorii o prawie naturalnym. Dzieło dyskusyjne i dyskutowane, które znalazło się na kościelnym indeksie.

Monarcha niemal prostodusznie wytrzymuje jego spojrzenie.

– Posiadam je w swojej bibliotece królewskiej.

Cisza. Markiz de Casa Prado jako przedstawiciel społeczności laickiej odczytuje sygnał i zaczyna zbierać się do odejścia. To oznacza, że się uśmiecha, zamyka usta i zachowuje milczenie. Sektor kościelny okazuje więcej zdecydowania.

– Biblioteka Waszej Królewskiej Mości – zaczyna arcybiskup Toledo – jest poza wszelką...

Tu przerywa, szukając właściwego słowa lub unikając go. Karol III cierpliwie patrzy na swoją rękę, którą liże mu chart.

– Wątpliwością – dopowiada nuncjusz z kardynalską ostrożnością.

Król bierze filiżankę kawy, podsuwa psu pod pysk, pozwala, by ją ostrożnie obwąchał, a następnie zamerdał ogonem i wylizał porcelanę.

– Hiszpańska Akademia Królewska także jest poza wszelką wątpliwością – mówi po chwili, odstawiając filiżankę na stół – jak Wasza Eminencja doskonale wie.

Teraz arcybiskup Toledo także odczytuje znaki i milknie, dołączając do niemego już markiza de Casa Prado. Na linii frontu pozostaje sam nuncjusz.

– *Encyklopedia* jest naszpikowana prowokacjami, ironią i fałszywymi pozorami ortodoksji – nalega. – Niszczy wszystko, a w spokoju zostawia jedynie Locke’a i Newtona... Moim zdaniem, które podziela Ojciec Święty, to dzieło podkopuje chrześcijańskie fundamenty państwa.

– Jednak artykuł o chrześcijaństwie jest bez zarzutu – oponuje król. – Przynajmniej, o ile dobrze pamiętam.

– Wasza Królewska Mość czytał to?

– Po części tak. My, królowie, nie tylko polowaniem się paramy.

Cisza, która zapada, trwa dobrą chwilę. Tej chwili potrzeba nuncjuszowi, by odzyskać siły.

– W takim razie jestem pewien – odzywa się wreszcie – że Wasza Królewska Mość nie dał się oszukać. Żeby zakpić z cenzury, wydawcy byli na tyle sprytni, by nie skąpić dwuznaczności i ukrywać herezje... Hasło pozornie niewinne, *siako*, wykpiwa Ojca Świętego, przebierając go w japońskie szaty; a pod hasłem *ypaini* opisuje się Najświętszą Eucharystię pod płaszczykiem ekstrawaganckiego, pogańskiego rytuału... Nie wspominając nawet o *autorité politique*, gdzie królewską władzę podporządkowuje się woli ludu.

– Tego artykułu jeszcze nie czytałem – przyznaje król z zainteresowaniem. – Jaki nosi tytuł?

– *Autorité politique*, Wasza Królewska Mość... W każdym razie...

Karol III unosi lekko palce, zaledwie dwa cale nad obrus. To wystarczy, żeby nuncjusz zamilkł.

– Ponieważ są panowie osobami kochającymi lektury, pozwólcie, że zarekomenduję wam dzieło, które nie ma sobie równych w całej Europie.

Mam na myśli *Słownik języka hiszpańskiego*... Czy Wasza Eminencja je zna?

– Naturalnie, Wasza Królewska Mość.

– Zatem wie pan, ile szlachetnej erudycji w nim zawarto i jak wspaniałą pracę wykonują akademicy, nie mając innych ambicji niż dbałość o czystość i chwałę naszego języka, których przysparzają mu w słownikach, księgach ortografii i gramatyki... To wszystko ma wielki wpływ na dobro narodu i tronu. W związku z tym, podobnie jak to było za moich przodków, ich praca zasługuje na moje pełne wsparcie.

Nuncjusz przełyka ślinę.

– Podsumowując, Wasza Królewska Mość...

Karol III odwraca wzrok i głaszcze swoje charty.

– Podsumowując, wielce szanowny kardynale Ottaviani, sprowadzenie *Encyklopedii* do biblioteki hiszpańskiej Akademii jest zgodne z moimi królewskimi powinnościami.

I spoglądając na królewskiego majordoma, który odsuwa krzesło, żeby mógł wstać, monarcha obu światów uznaje rozmowę za skończoną.

Tolosa, Oyarzun, Irún... Od czasu do czasu znów pada deszcz, kiedy dwunastego dnia podróży, po uprzednim sprawdzeniu paszportów podróżnych i przejściu obowiązkowych formalności celnych, berlina akademików przekracza granicę na rzece Bidasoi i jedzie pośród pól kukurydzianych, winnic i lasów, gdzie w szarej wilgoci poranka jaśniejają domy rozsiane pośród zieleni. Pomimo deszczu widać ruch w wioskach – krowy pasą się na łąkach, wieśniaczki, topiąc chodaki w glinie, prowadzą muły i konie, mężczyźni, osłonięci płóciennymi burkami, zgięci wpół, z narzędziami w rękach pracują na polach uprawnych i na skraju lasów. Kiedy podróżni wjeżdżają na wzgórze drogą obsadzoną dębami, przecinka

pozwała im dostrzec po prawej ręce ostre linie szczytów Pirenejów, a po lewej – srebrzystą taflę morza, którą słoneczny promień wydobywający się spoza chmur oświecła nagłą, przepiękną jasnością, radując serca pasażerów.

– Oto i Francja, drogi przyjacielu – zauważa don Hermógenes. – Wreszcie tu dotarliśmy. Ojczyzna Corneille’a, Moliera, Montaigne’a i Kartezjusza... Ziemia wina i filozofii.

– Ale i francuskiej choroby – prowokacyjnie dodaje admirał. – Inaczej zwanej syfilisem.

– Na Boga, mój panie... Na Boga!

Jakby to był dobry znak, od tej chwili pogoda ulega zmianie i niebo się przejaśnia. Nastąpią teraz słoneczne dni spokojnej podróży bez poważniejszych incydentów czy niedogodności, poza tymi, które są naturalne podczas długiej jazdy. Będą to: awaria karety niedaleko Bordeaux, brak koni na zmianę na stacji w Montlieu-la-Garde i bolesny atak kamicy u don Hermogenesa, zmuszający podróżników do poszukania wygodnego zajazdu i spędzenia w Angoulême dwóch dni na odpoczynku zgodnie z zaleceniem lekarza, którego usługi zamówił admirał. Don Pedro przez cały czas jest nadzwyczajnie troskliwy, opiekując się swoim towarzyszem podróży, przy którego łóżku spędza dzień i noc.

– Niechże pan idzie się położyć – prosi rekonwalescent za każdym razem, kiedy otwiera oczy i widzi obok admirała, siedzącego okrakiem na obróconym tyłem krześle i drzemiącego z głową wspartą na ramionach złożonych na oparciu.

– Niby dlaczego? – odpowiada. – Tak jest mi bosko.

Wszystko to stanowi okazję do kolejnych rozmów i rosnącej poufałości, gruntujących jeszcze mocniej sympatię między podróżnymi. I kiedy znów ruszają w drogę w stronę Tours i Loary, są już, można powiedzieć, najlepszymi na świecie przyjaciółmi, choć różnią się subtelnymi

szczegółami: don Hermógenes oddaje się tej zażyłości bez zastrzeżeń, wiedziony wrodzoną dobrocią i szacunkiem, jaki budzi u niego admirał. Ten zaś uprzejmie odwzajemnia afekt bibliotekarza, choć zachowuje pewien trudny do skrócenia dystans. Nie uchybia w żadnej mierze najbardziej wyszukanej delikatności, jednak zachowuje znacznie większą rezerwę w okazywaniu uczuć. Umiarkowany z natury, uprzejmy przez wychowanie, ukrywając się za murem ciętego humoru, czasem szorstki, don Pedro Zárate nader oszczędnie wyraża entuzjazm czy oddaje się zwierzeniom, w czym dla kontrastu jego towarzysz jest wręcz rozrzutny.

Właściwie wszystko to stało się widoczne w Poitiers. Kiedy już ulokowali się w porządnym zajeździe niedaleko rzymskiego amfiteatru, wychodzą na spacer przed kolacją...

Przerwałem pisanie tu, na wielokropku, kiedy dwaj akademicy przechadzają się po Poitiers o zmroku, ponieważ zauważyłem – czy raczej przeczuwałem – że znalazłem się na niebezpiecznym gruncie struktury opowieści. Za pomocą paru książek podróżniczych i szkła mocno powiększającego starałem się umiejscowić na planie miasta ulicę, przy której stał zajazd Artois – oberża z porządnymi referencjami, odpowiednia dla naszych dwóch podróżnych – kiedy zdałem sobie sprawę, że stanąłem przed pewnym problemem technicznym. Z jednej strony dla rozwoju opowieści powinienem przemieszczać moich bohaterów po mapie Francji, poświęcając temu procesowi na tyle dużo miejsca w narracji, by czytelnik zdał sobie sprawę, jak długa i męcząca była to przygoda. Z drugiej strony niemal geograficzny opis, ożywiany zaledwie drobnymi zdarzeniami, jakie niosła ze sobą podróż lądowa w ostatnich dziesięcioleciach osiemnastego wieku, ciągnąłby się zbyt długo, zajmując wiele stron, które normalnego czytelnika mogłyby znudzić, a nawet autorowi wydały się nużące, bo nie wносиły niczego specjalnego ani nie pozwalały wyobrazić sobie wydarzeń,

które mogłyby uprzyjemnić to, co rzeczywiście się działo. Tylko nowe rozmowy pomiędzy bibliotekarzem i admirałem mogłyby ożywić, być może, takie ustępy tekstu, jednak na tym etapie rozwoju opowieści to, co najważniejsze na ten temat, zostało już powiedziane, a na resztę, związaną z wydarzeniami mającymi nastąpić później, jeszcze nie nadszedł czas. Wydało mi się, że włożyłem już w usta obu bohaterów dość słów, aby nawet mniej zorientowany czytelnik mógł odtworzyć obraz niezbyt szczęśliwej Hiszpanii, o jakiej mówili moi podróżni, oraz wyobrazić sobie, jakie były w owych decydujących latach rzeczywiste perspektywy na zmianę sytuacji. Przedstawiłem też szlachetne zaangażowanie bohaterów, które pchnęło ich w podróż do Paryża po *Encyklopedię*, stanowiącą najwyższe osiągnięcie intelektualne w dziele oświecenia i postępu. Tego wszystkiego ci wykształceni, szlachetni ludzie i ich towarzysze, którzy wspierali ich w Hiszpańskiej Akademii Królewskiej, pragnęli dla swojej ojczyzny. Wskutek tego zrozumiałem, że opowieść wymaga, bym szybko doprowadził obu podróżnych w okolice Paryża, albo nawet już do samego miasta, gdzie, owszem, wydarzy się na tyle dużo, żeby utrzymać zainteresowanie rozwojem akcji.

Postanowiłem więc posłużyć się elipsą – i tu właśnie jestem – która pozwoliłaby zdjąć z tekstu ciężar tych około osiemdziesięciu pięciu mil, tygodnia drogi berliny akademików, jaki dzielił Poitiers od stolicy Francji. Właściwie to sam przejechałem ten dystans za nich – samochodem; najpierw autostradą do Tours, a stamtąd trasą N-152, biegnącą prawym brzegiem Loary, na pewnych odcinkach zamieniając ją na drogę położoną po drugiej stronie rzeki, i tak w ciągu kilku godzin przyjemnej podróży – don Hermógenes i admirał nawet o tym nie śnili – podążałem w górę Loary. Wśród winnic zrobiłem postój na obiad, podczas którego zajrzałem do dziennika podróży Ureñi z 1787 roku i porównałem drogę w atlasie

Michelina z traktem na osiemnastowiecznej mapie, jaką dostałem w księgarni Polak, ustalając na obu kolejne stacje zmiany koni, przez które jechali hiszpańscy akademicy: Amboise, most w Choisy, Blois, Cléry... We wszystkich tych miejscach – żyznych, zagospodarowanych i bogatych zarówno dziś, jak i w przeszłości – podczas podróży akademików do Paryża już zaczynały się budzić ruchy społeczne, które doprowadziły do rewolucji francuskiej. Jednak musiało jeszcze upłynąć trochę czasu, zanim Ludwik XVI straci głowę na szafocie. Oznaki niezadowolenia ludu, głód i nierówności społeczne pozostawały na drugim planie dla niewyrobitego oka podróżnych, którzy – podobnie jak i nasi – przejeżdżali przez Francję i patrzyli na nią przez okulary podziwu, jaki odczuwał każdy wykształcony człowiek tamtej epoki dla ziemi wielkich myślicieli i nowoczesnych filozofów. *Podróż europejska* markiza Ureńi obfituje w takie szczegóły, które wyobraziłem sobie bez trudu jako refleksję odpowiednią dla obu naszych podróżnych:

Na pewnym rogu natknąłem się na afisz ogłaszający pobór rekrutów, tekst wydał mi się wzorowany na Tacycie czy Tytusie Liwiuszu. Każdy najmniejszy drobiazg zdaje się wyraźną kreską na portrecie genialnego charakteru tej nacji.

Dojeżdżając do Cléry, bardzo blisko Orleanu, odprawiłem drobny osobisty rytuał. Przejechałem mostem na drugi brzeg i zatrzymałem się na chwilę w Meung-sur-Loire, gdzie rozpoczyna się pierwszy rozdział *Trzech muszkieterów*: kiedy d'Artagnan pierwszy raz spotyka przed oberżą Pod Wolnym Młynarzem swoich śmiertelnych wrogów: Milady i hrabiego de Rochefort. Rytuał był podwójny, bo w Meung właśnie, śledząc dokładnie plan powieści Aleksandra Dumasa, spędziłem kilka dni przed dwudziestu laty, aby umiejscowić tam jeden z epizodów mojej powieści *Cień Richelieu*,

ten, który zaczyna się od słów „Noc była ponura. Loara toczyła swoje mętne wody”²... i tak dalej. W jednym z barów w centrum miasta wypilem kieliszek wina z Andegawenii za czasy, kiedy sam byłem czytelnikiem naiwnym – a nawet pisarzem naiwnym – sprawdziłem kilka notatek i wyruszyłem w kierunku Paryża, którego widok wywarł na admirała i bibliotekarzu wrażenie zapewne nie bardzo różne od tego, jakie dwie dekady później opisał Nicolás de la Cruz w swojej relacji z podróży po Francji, Hiszpanii i Włoszech:

Wjeżdża się na niewielkie wzgórze, z którego jasno widać Paryż: widok jest prawdziwie okazały, a duch pragnie jak najszybciej dotrzeć do tego wspaniałego miasta, wysławianego przez wszystkie narody.

Postanowiłem jednak, że w przypadku naszych akademików rozsądne byłoby złagodzenie entuzjazmu de la Cruza przez zestawienie jego wrażeń z mniej urzekającymi doznaniem, jakie niespełna dziesięć lat wcześniej miasto to wzbudziło u Ureñi:

Paryż odkrywa się dopiero z bardzo bliska, ponieważ jest położony na nizinie, zajmując ją niemal całą. Przez większą część roku zasnuty jest mgłą i zasłonięty murami ogrodzeń, które nie zapowiadałyby niczego specjalnego, gdyby nie wznosiły się nad nimi kopyły, wieże, a także dachy z czarnych łupków i dymiące kominy, przydając posępności widokowi, co niepokoi i budzi smutek w sercu.

I w ten sposób dwaj akademicy, don Hermógenes, wiedziony podziwem dla wspaniałego miasta wysławianego przez wszystkie narody, i admirał, którego przecucie skłaniało raczej, by oglądać je z pewnym niepokojem, nieco go zasmucającym, dojechali wreszcie, zmęczeni długą podróżą, do stolicy oświeconego świata.

1. Rzymskie przysłowie: „niekiedy i wielki Homer drzemie”, czyli: nawet u Homera zdarzają się słabsze miejsca.

2. A. Pérez-Reverte, *Klub Dumas*, tłum. F. Łobodziński, Warszawa: Muza, 1998.

5. MIASTO FILOZOFÓW

Całe miasto zachowuje się jak książka i mieszkańcy czytają je, chodząc po nim, na każdym kroku nasiąkają obywatelskimi lekcjami.

R. Darnton, *Zakazane bestsellery w przedrewolucyjnej Francji*

– Jego Ekscelencja przyjmie panów za chwilę... Proszę łaskawie tutaj zaczekać.

Sekretarz ubrany w mysią szarość właśnie przedstawia się pokrótce jako Heredia, sekretarz ambasady. Nieuprzejmym gestem wskazuje krzesła w pokoju ozdobionym dywanami, lustrami i gipsowymi ramami pomalowanymi na niebiesko i biało, a następnie odchodzi korytarzem, nie czekając nawet, aż don Hermógenes i don Pedro usiądą. A ci zajmują miejsca, rozglądając się wokół z rozczarowaniem, bo spodziewali się większego przepychu tam, gdzie mieści się przedstawicielstwo dyplomatyczne Hiszpanii. A Hôtel de Montmartel pałacem nie jest: bez wątpienia zbyt mały, by odpowiadać funkcji, jaką pełni przy królu jego główny mieszkaniec, hrabia Aranda. Obaj akademicy – bibliotekarz w żakiecie z ciemnego sukna, admirał w granatowym fraku z guzikami z polerowanej stali – są zaskoczeni mizериą wszystkiego, co zobaczyli, przechodząc przez siedzibę wyraźnie nie wystarczającą dla całego roju lokajów, skrybów, paziów i gości kręcących się po biurach i korytarzach. Natomiast widok ambasady z zewnątrz robi zwodniczo dobre wrażenie – budynek ma piękną fasadę, postawnego szwajcarskiego strażnika

w czerwonej kurtce i białych spodniach, który stoi przy drzwiach, oraz świetną lokalizację przy rue Neuve des Petits-Champs, w samym sercu eleganckiego Paryża, dwa kroki od Luwru i ogrodów Tuileries.

– Fasada to jedno, a rzeczywistość to co innego – zauważył admirał z kpina, przekraczając próg. – Takie to hiszpańskie, że aż strach.

Bibliotekarz niespokojnie wierci się na krześle; nie co dzień człowiek jest w Paryżu i czeka na przyjęcie przez hrabiego Arandę. Admirał z kolei siedzi niewzruszony, wszystkiemu przygląda się w zamyśleniu, od czasu do czasu jednak jego wzrok napotyka ciekawe spojrzenie trzeciego znajdującego się w pokoju mężczyzny, który bezczelnie im się przygląda. To osobnik w średnim wieku, niedogolony, w rozczochranej i zatłuszczonej peruce na głowie, ubrany w żakiet koloru niegdyś czarnego, choć teraz można się tego jedynie domyślać. Zaniedbany człowiek nie ma kapelusza, a o kolana opiera toporną laskę z rogową rączką. Na nogach, chudych i długich, ma pocerowane pończochy z szarej wełny i buty, którym nawet warsztat szewski by nie pomógł.

– Rodacy, jak sądzę – mówi po chwili milczącej obserwacji.

Don Hermógenes potakuje ruchem głowy, jak zwykle uprzejmy, a nieznajomy przybiera minę pełną satysfakcji. W jego twarzy, kościstej i prostackiej, uwagę przykuwają jedynie oczy – ciemne, żywe, błyszczące niczym polerowany obsydian. Wzrok ma pełen wiary lub przekonania, a może wymownie sygnalizuje nim gotowość przełamania lodów. Niektórzy kaznodzieje, konstataje akademik, wchodzą na ambonę z takim właśnie spojrzeniem.

– Od dawna panowie w Paryżu?

– Zaledwie od dwóch dni – odpowiada grzecznie don Hermógenes.

– A jak tam panów lokum?

– Przyzwoite. Zatrzymaliśmy się w hotelu Cour de France.

– No tak, znam. To niedaleko. Miejsce jeszcze ujdzie, ale tamtejsza kuchnia zostawia wiele do życzenia... Zwiedzili już panowie miasto?

Trwa krótka rozmowa o mieszkaniach w Paryżu, możliwych obyczajnych rozrywkach i ciasnocie budynku, gdzie się właśnie znajdują. Niezbyt odpowiedniego, zgadza się niechlujny jegomość, na poselstwo Hiszpanii, która mimo gorszych czasów nadal bezdyskusyjnie stanowi światową potęgę, a przecież sam tylko czynsz za lokal wynosi, bagatela, sto tysięcy reali. A to nie jest bagatela.

– Wiem to z pewnego źródła – kończy jegomość tonem niespodziewanie surowym. – Wyobrażają sobie panowie, jak w sposób pożyteczny dla ludzkości można byłoby wykorzystać tę haniebnie ogromną sumę? Ile głodujących można by nakarmić? Ile sierot zaopatrzyć?

Nie wiedząc, czy mają do czynienia z człowiekiem nieostrożnym, czy też z prowokatorem, może specjalnie tam podstawionym, by ich wybadać, don Hermógenes postanawia zachować milczenie, interesując się wzorem na dywanie pod nogami. Za to admirał, który do tej pory nie otworzył ust, przygląda się dziwnemu osobnikowi, po czym odwraca wzrok na jedno z lusterek, to, w którym odbija się kasetonowy sufit. Widząc, że nikt nie reaguje, osobnik cedzi przez zęby jakieś niezrozumiałe słowa, obojętnie wzrusza ramionami i wyciąga z kieszeni wymięty druk, który zaczyna czytać.

– A to kanalie – mamrocze od czasu do czasu, niewątpliwie w związku z tym, co odczytuje. – Co za dranie...

Z nieprzyjemnej sytuacji wybawia ich ten sam co wcześniej sekretarz, prosząc, by mu towarzyszyli. Jego Ekscelencja, obwieszcza, ma wolną chwilę i przyjmie ich teraz. Akademicy wstają i z ulgą ruszają w ślad za sekretarzem, podczas gdy zaniedbany osobnik, ciągle czytający broszurę, nawet nie podnosi głowy. Idą długim korytarzem do przedpokoju i biura,

gdzie obok rozpalonego kominka, plecami do okna wychodzącego na niewielki angielski ogród, stoi mężczyzna w wypomadowanej peruce z trzema rzędami loków na każdej skroni, trzymając ręce założone na plecach. Jego żakiet z błękitnego aksamitu haftowanego złotem znakomicie leży – co mówi wiele dobrego o krawcu – na pełnych ramionach i niezbyt harmonijnej sylwetce właściciela o pożółkłej cerze, kiepskich zębach i lekkim zezie. I lekko przygłuchego, wnioskuje akademicy, kiedy widzą, jak pochyła się do sekretarza, żeby lepiej słyszeć, co ten do niego mówi.

– Don Hermógenes Molina i emerytowany brygadier Floty Królewskiej don Pedro Zárate, Wasza Ekscelencjo... Z Hiszpańskiej Akademii Królewskiej.

Skłaniają się obaj, aby uścisnąć dłoń – raczej wątlą, ozdobioną wielkim topazem – którą ambasador do nich wyciąga, nie zapraszając, by usiedli. Witam panów, zaczyna z beznamiętnym chłodem i zaraz zaczyna mówić o pogodzie, zazwyczaj deszczowej. Mają panowie szczęście, że nie pada, oświadczają, patrząc na słońce w ogrodzie, jakby dopuściło się niesłychanego nietaktu, usiłując przeczyć jego słowom.

– Czy wiedzą panowie, że tutaj pada przez większą część roku? Ulice są wtedy w strasznym stanie. – Zwraca się w tym momencie do sekretarza, zbliżając ucho w jego stronę. – He? Zgadza się, Heredia?

– Całkowicie, Wasza Ekscelencjo.

– I korzystając ze sposobności, wszyscy dorożkarze każą sobie płacić dwanaście reali za pół godziny, niech sobie panowie wyobrażą... Musicie być ostrożni. Ekhm. Nie świadczyłoby dobrze o naszej ojczyźnie, gdyby nas brali za naiwniaków.

Obaj podróżni przechodzą od zakłopotania do rozczarowania. Don Pedro Pablo Abarca de Bolea, hrabia Aranda, przedstawiciel Jego Królewskiej Katolickiej Mości na francuskim dworze, nie odpowiada

fizycznie własnej legendzie hiszpańskiego granda, dawnego ambasadora w Lizbonie i Warszawie, który zanim popadł w niełaskę – jeśli można w ten sposób określić dwanaście tysięcy dublonów, jakie teraz rocznie zarabia – skupił w swoim ręku pełnię władzy w Hiszpanii, był najważniejszym ministrem Karola III, oświeconym politykiem, przyjacielem encyklopedystów. To człowiek, który przewodniczył Radzie Kastylii po buncie markiza Esquilache, zlikwidował w Hiszpanii jezuitów, a teraz z ambasady w Paryżu sprawnie prowadzi wojnę o Minorę i Gibraltar, a także wspiera amerykańskie kolonie w wojnie przeciwko Wielkiej Brytanii. I tak wielka władza, zbiór wpływów, środków i pieniędzy przybrały kształt zgarbionego sześćdziesięciolatka, zezowatego, z lichym uzębieniem, który ofiarowuje akademikom uprzejmą mieszaninę nudy i tolerancji, rzucając zniecierpliwione spojrzenia na zegar tykający na gzymsie nad kominkiem. Ciepło paleniska rozgrzewa zimną krew ambasadora, ale równocześnie zalewa potem jego gości i sekretarza, który dyskretnie wyjmując chusteczkę i udając z dużą wprawą kichnięcie, ociera czoło.

– *Encyklopedia*, tak, słyszałem – nawiązuje wreszcie do sprawy Aranda.

Mówiąc to, wskazuje na list polecający, który leży otwarty na zielonym safianie blatu biurka. I nie dając okazji, by padła odpowiedź, zatapia brodę w koronkach, gdzie błyszczy Złote Runo, i kieruje do swoich gości krótką przemowę, raczej mechaniczną, na temat pożytku z tego wielkiego dzieła, jego bogactwa myśli i decydującego wpływu na nowoczesną filozofię, sztukę i naukę. I tak dalej, i tak dalej.

– Znam kilku spośród autorów, jasne. Ekhm. Pierwszych twórców i redaktorów. Jakże mogłoby być inaczej, skoro mieszkam w Paryżu? Przez jakiś czas wymienialiśmy listy z Wolterem.

Uważa, że to dobry pomysł, przyznaje na koniec, by Akademia dysponowała egzemplarzem *Encyklopedii* w bibliotece, bez względu na zdanie innych. A zdanie jest złe, i to zawsze tych samych. Ekhm. Oświecenie, światło. Tego potrzebuje Hiszpania. Oświecenie dostępne dla każdego, choć w zgodzie z ustalonym porządkiem. Czyli niech szczeni wsteczniczy. I głupcy. Ekhm. To podróż w szlachetnym celu. Mają panowie moją pełną przychylność, to oczywiste. Don Ignacio Heredia udzieli panom wszelkich potrzebnych wskazówek. Ekhm, ekhm. To była prawdziwa przyjemność, panowie. Nacieszcie się Paryżem.

To powiedziawszy, dając im czas jedynie na wymianę kilku uprzejmości, niemal wypycha ich za drzwi. Chwilę później admirał i bibliotekarz stoją w korytarzu i ciągle jeszcze się pocąc, patrzą skonfundowani na sekretarza.

– Ma zły dzień – mówi tenże z roztargnioną miną. – Czeka go bardzo obfita korespondencja do wysłania, a dziś wieczorem musi odwiedzić ministra finansów. Nie wyobrażają sobie panowie, jakie życie ambasador prowadzi. Czy raczej: prowadzimy.

Don Hermógenes kiwa głową, wyrozumiały i dobrotliwy jak zawsze. Admirał przeciwnie, obrzuca gniewnym spojrzeniem na przemian to sekretarza, to drzwi, które właśnie się za nimi zamknęły.

– Nieważne, czy to hrabia, czy ambasador – zaczyna – to nie są maniery...

Sekretarz unosi gwałtownie dłoń, domagając się cierpliwości. Ma przy sobie teczkę pełną papierów, które przegląda z uważną miną, a akademicy nie mogą stwierdzić, czy dokumenty mają coś wspólnego z nimi, czy nie, choć podejrzewają, że nic a nic. Po chwili podnosi wzrok i tak na nich spogląda, jakby zapomniał, że w ogóle tam stoją.

– *Encyklopedia*, oczywiście – odzywa się w końcu. – Proszę za mną.

Prowadzi ich do biura, gdzie urzędowy pisarz pracuje przy pulpicie, obok stoi kilka drewnianych katalogów i ogromne biurko zavalone papierzyskami. Na ziemi pod ścianą leżą sterty dokumentów w grubych tekach przewiązanych sznurkiem.

– W skrócie wszystko panom powiem – mówi, wskazując im krzesła, a samemu siadając naprzeciwko.

I rzeczywiście opowiada. Pomimo listu polecającego od markiza Oxinagi ambasada Hiszpanii nie może bezpośrednio angażować się w tę sprawę. *Encyklopedia* znajduje się na indeksie Świętego Oficjum, a ambasada reprezentuje króla, który nie bez powodu nosi tytuł Króla Katolickiego. Jest prawdą, że Hiszpańska Akademia Królewska otrzymała pozwolenie, by w swej bibliotece posiadać księgi zakazane, jednak pozwolenie to obejmuje posiadanie i lekturę, a nie transport. To szczególnie – w tym momencie sekretarz uśmiecha się ze skutecznym taktycznym chłodem – z którego konsekwencji muszą sobie zdawać sprawę. Problem polega na tym, że przedstawicielstwo hiszpańskiej ambasady, choć przychylnie zapatruje się na całą sprawę, nie może angażować się w kupno i przewóz książek. Musi trzymać się na uboczu.

– A co to znaczy? – pyta don Hermógenes, zdezorientowany.

– Że mają panowie naszą przychylność, ale w sposób oficjalny nie możemy w niczym pomóc. Wszystkie formalności z wydawcami czy księgarzami muszą panowie załatwiać osobiście.

Bibliotekarz niepokoi się, poruszony.

– A transport? Chcieliśmy uprościć podróż do Madrytu, więc przewidywaliśmy, że paczki można będzie objąć ochroną dyplomatyczną. Jechalibyśmy z listem żelaznym ambasady.

– Z naszym kurierem dyplomatycznym? – Rzuca szybkie spojrzenie na skrybę, nadal pracującego przy pulpicie, a następnie unosi brwi,

oburzony. – To wykluczone. Takie zaangażowanie z naszej strony nie byłoby na miejscu.

Niepokój don Hermogenesa przeradza się w wyraźną trwogę. Siedzący obok niego admirał słucha, nie otwierając ust. Poważny i niewzruszony jak zwykle.

– Mógłby pan przynajmniej zorientować nas nieco. Wskazać, gdzie...

– Obawiam się, że tylko powierzchownie. I muszę panów ostrzec w paru kwestiach. Po pierwsze, także we Francji zakazano *Encyklopedii*. Przynajmniej oficjalnie.

– Jednak jest wydawana i sprzedawana. Przynajmniej była jeszcze do niedawna.

Teraz sekretarz uśmiecha się słabo, zadowolony z siebie.

– Wszystko zależy jak i gdzie. To nie jest takie proste, jak się wydaje. Historia tych ksiąg to cały łańcuch zezwoleń i zakazów, począwszy od ukazania się pierwszego tomu. Już wtedy papież pod groźbą ekskomuniki nakazał spalenie wszystkich egzemplarzy. I we Francji parlament uznał, że dzieło to jest konspiracją, mającą na celu zniszczenie religii i państwa, cofnął więc pozwolenie na druk. Bez wstawiennictwa ważnych osobistości, sympatyzujących z ideami jej redaktorów, *Encyklopedia* przestałaby się ukazywać zaraz po publikacji pierwszych tomów. W kolejnych woluminach umieszczono nawet fałszywą stopkę drukarską, żeby zachować formę, w jakiej wydawano ją za granicą.

– W Szwajcarii, jak słyszeliśmy – wtrąca don Hermógenes.

– Tak, w Neuchâtel. I przez to wszystko *Encyklopedia* trafiła do czegoś w rodzaju...

– Wydawniczego przedpiekła?

– Właśnie: nie istnieje, choć istnieje. Nie jest wydawana, choć się ją wydaje.

– A jest na rynku?

Sekretarz rzuca kolejne szybkie spojrzenie na pisarza, który z głową pochyloną nad piórem, kałamarzem i papierem nadal robi swoje.

– Oficjalnie nie – odpowiada. – A raczej sytuacja jest niejasna. W rzeczywistości nie drukuje się już całego oryginalnego dzieła, nakład się wyczerpał. Dwa ostatnie tomy opublikowano osiem czy dziewięć lat temu i bardzo rzadko księgarze dysponują całością.

– Z tego, co wiemy, funkcjonuje jednak w obiegu pewna liczba egzemplarzy. Dlatego przyjechaliśmy.

Sekretarz czyni wieloznaczny, niemal francuski gest ręką, równocześnie sznurując usta.

– Można znaleźć egzemplarze pokątnie drukowane w Anglii, Włoszech i Szwajcarii, wykorzystujące sukces wydawniczy oryginału, jednak znacznie mniej wiarygodne, bo zdarzają się w nich poprawki lub zmiany. We Francji sprzedaje się przedruki albo nowe wydania, wiarygodne tylko do pewnego stopnia. Wydaje mi się, że jest jedna sztuka *in quarto*...

Don Hermógenes przeczy ruchem głowy.

– Nas interesuje oryginał *in folio*.

– Ten bardzo trudno jest dostać. Przedruk można znaleźć łatwiej, jak sądzę. I oczywiście jest tańszy.

– Tak. Ale chodzi o Hiszpańską Akademię Królewską. – Admirał z powagą pochylił się na krześle. – Musimy dbać o jej godność... Rozumie pan?

Sekretarz mruga pod twardym spojrzeniem niebieskich oczu.

– Oczywiście.

– Czy sądzi pan, że możemy znaleźć wszystkie dwadzieścia osiem tomów pierwszego wydania?

– Wydaje mi się, że to możliwe... Jeśli są panowie gotowi wydać tyle, ile będzie potrzeba, oczywiście.

– To znaczy?

– Muszą panowie liczyć minimum sześćdziesiąt ludwików.

Don Hermógenes liczy na palcach.

– To daje...

– Od tysiąca czterystu liwrów w górę – stwierdza admirał. – W hiszpańskich realach to jakieś sześć tysięcy.

– Pięć tysięcy sześćset – potwierdza sekretarz.

Don Hermógenes spogląda na swojego towarzysza z ulgą. Przewidywany wydatek na zakup dwudziestu ośmiu tomów *Encyklopedii* szacowali na osiem tysięcy reali, czyli niemal dwa tysiące liwrów. Zatem o ile obędzie się bez komplikacji i dodatkowych kosztów, mają dość pieniędzy.

– Mieści się w naszych możliwościach – stwierdza.

– Dobrze. – Sekretarz powstaje. – To wiele upraszcza.

Kiedy wychodzą z pokoju, pisarz nawet nie podnosi głowy znad pulpitu. Sekretarz prowadzi ich korytarzem, wyraźnie zadowolony, że może się ich pozbyć.

– Czy może nam pan przynajmniej podać adres jakiegoś godnego zaufania księgarza? – pyta admirał.

Pytany zatrzymuje się, marszczy brwi, rozdrażniony, i patrzy na nich z niezdecydowaniem.

– Tak jak już wcześniej mówiłem, to nie wchodzi w zakres kompetencji naszej ambasady. – Naraz wydaje się, jakby wpadł na jakiś pomysł. – Ale w drodze wyjątku mogę skontaktować panów z właściwą osobą.

Prosząc, by mu towarzyszyli, robi kilka kroków w stronę drzwi do pokoju, który służył im za poczekalnię, zanim spotkali się z ambasadorem. Kiedy wchodzi, sekretarz wskazuje od progu niechlujnego jegomościa w czerni, który nadal czyta swoją broszurę.

– Jak sądzę, panowie widzieli się tutaj już wcześniej. To kleryk Bringasa.

Pojawienie się w tej historii Salasa Bringasa Ponzana zaskoczyło mnie. Jego nazwisko padało, stwierdziłem zdziwiony, w dwóch listach, jakie admirał i bibliotekarz wysłali z Paryża i których oryginały znajdują się w materiałach zachowanych w archiwum Akademii. Jak każdy zaznajomiony z literaturą przedmiotu o końcówce osiemnastego wieku, emigracji hiszpańskich intelektualistów i rewolucji francuskiej, wiedziałem o istnieniu kleryka Bringasa. I kiedy się okazało, że jego nazwisko wiąże się z podróżą akademików, spróbowałem poszerzyć swoją wiedzę. Znalazłem wzmianki o nim w kilku książkach z mojej biblioteki, a dokładniej: w korespondencji Moratina – „Ten nierozważny Bringasa, zawsze fanatyczny i błyskotliwy”, w pracy Miguela Olivera *Hiszpanie w rewolucji francuskiej*, obszernej biografii hrabiego Arandy napisanej przez Oleachę i Ferrera Benimelego, *Historii rewolucji francuskiej* Micheleta i nie mniej monumentalnej *Historii hiszpańskich odstępców* Menendezza y Pelayo. Poza tym Francisco Rico poświęcił mi obszerny rozdział w *Awanturkach oświecenia*. Było tego dość, żebym przyjrzał się z bliska tej postaci, udało mi się pogłębić wiedzę o niej dzięki *Hiszpańskiemu słownikowi biograficznemu*, lekturze rozmaitych dzieł historycznych zachowanych w bibliotece Hiszpańskiej Akademii Królewskiej i kilku ciekawym wskazówkom, jakie podał mi nieco później profesor Rico. I w ten sposób w końcu byłem w stanie określić rolę, jaką ta dziwna postać odegrała w pełnym przygód zakupie *Encyklopedii*.

Życie dyskusyjnego kleryka Bringasa – niższe święcenia otrzymał w Saragossie, gdzie studiował teologię i prawo – zasługuje z pewnością na powieść, choć dotąd nikt jej o nim jeszcze nie napisał. Urodził się w Siétamo w prowincji Huesca około 1740 roku, co wskazuje, że w chwili spotkania w Paryżu z don Pedrem Zárate i don Hermogenesem Moliną był tuż przed czterdziatką. W tym czasie Salas Bringas miał na koncie już całkiem bogaty życiorys: zbiegł z kraju po zakazaniu przez inkwizycję jego wiersza *Tyrania*, następnie związał się z hiszpańską emigracją w Bajonnie, po raz pierwszy poznał francuskie więzienie, oficjalnie – tak przynajmniej utrzymywał – z powodu opublikowania w Paryżu pod pseudonimem pamfletu *O naturze królów, papieży i innych tyranów*. Po latach pojawił się znów, powracając z Włoch, skąd przywiózł kilka niepublikowanych wierszy Safony z Lesbos przełożonych na łacinę – *Furor vagina ministrat* i tak dalej – które wydał, wywołując ogromny skandal, a które w końcu okazały się apokryfami jego własnego pióra. Z więzienia tym razem wyciągnął go hrabia Aranda, urodzony podobnie jak on w Siétamo, wówczas już ambasador Hiszpanii w Paryżu, którego ubawił zręczny memoriał napisany wierszem, jaki Bringas, odwołując się do wspólnego pochodzenia z Hueski, napisał do niego z więzienia. Tolerancja Arandy pozwoliła barwnemu klerykowi przeżyć w Paryżu, gdzie w latach poprzedzających rewolucję nawiązał kontakty z radykałami i emigrantami oraz tłumaczył Diderota i Rousseau na hiszpański, zarabiał na życie, wymieniając walutę, służąc za pośrednika, stręczyciela lub przewodnika, sprzedając pamiątki, tandetę, pornografię i specyfiki poronne, co wcale nie zamykało mu drzwi do niektórych domów i salonów, gdzie bawił śmietankę towarzyską swoją niegodziwością, pomysłowością i bezczelnością. Wyjazd Arandy i publikacja nowego pamfletu, zatytułowanego *Nietolerancja religijna i wrogowie ludu*, znów zaprowadziły go do więzienia, gdzie

pozostał do chwili, kiedy los sprawił, że uwolniono go z Bastylia 14 lipca 1789 roku. Od tego momentu łatwo można śledzić koleje jego losu poprzez książki, które opisują dzieje tamtej epoki. Naturalizowany Francuz, przyjaciel Hiszpanów Guzmána i Marcheny – których zdradzi, kiedy w niełaskę popadną zwolennicy Dantona i żyrondyści – sądzony i z honorami uniewinniony przez Trybunał Rewolucyjny, współpracownik „Przyjaciela Ludu” Marata, zapalczywy Bringas zdołał zająć jego miejsce w Konwencie Narodowym, walczył w najbardziej radykalnych siłach, wyróżniając się jako krwawy orator w okresie wielkiego terroru, a skończył na gilotynie razem z Robespierre’em i jego przyjaciółmi, zajmując dokładnie trzecie miejsce – poprzedzał go Saint-Just – pod jej ostrzem; jego ostatnie słowa brzmiały: „Niech was wszystkich szlag trafi”. Żeby wyrobić sobie zdanie na temat stylu oratorsko-ideologicznego Bringasa, wystarczy rzucić okiem na początek jego wiersza *Tyrania*:

*Kto stworzył królów, papieży, regentów,
arbitrów prawa, sędziów świata?
Kto namaścił to rządzące plemię
bluźnierczym olejem plugastwa?*

Taki właśnie był w duchu i esencji kleryk Bringas: pamflecista, poeta, rewolucjonista. Osobnik w owych czasach jeszcze nie znany admirałowi i bibliotekarzowi, którego sekretarz ambasady Ignacio Heredia – jego wymiana listów z Justem Sanchezem Terronem być może miała z tym coś wspólnego – polecił akademikom, by pomógł im zdobyć egzemplarz *Encyklopedii*. Przyszły jakobin, nienasycony dostarczyciel mięsa pod gilotynę, a następnie ofiara gilotynowego ostrza, przez Micheleta nazywany *scélérat déterminé*, przez Lamartine’a *jacobin fou*, a Menéndez y Pelayo, który czytał ich obu, pisał o nim: „genialny i bezbożny szaleniec”. Decyzją

sekretarza ambasady oddano przygodę akademików w bardzo niebezpieczne ręce.

– Panowie – mówi Bringas, drapiąc się za uchem pod wytłuszczoną peruką – oto ulica, która za fasadami kryje *Le Tout-Paris*... Babilon świata.

Przeszli przez ulicę, a potem minęli publiczny ogród przy Palais-Royal, gdzie trwały prace budowlane, i weszli w rue Saint-Honoré. A tam rzeczywiście rozgrywa się fascynujący spektakl. Przyzwyczajeni do spokojnego, niemal prowincjonalnego czaru Madrytu, admirał i bibliotekarz rozglądają się wokół, są pod wrażeniem nieustającego święta, w którym uczestniczą tysiące osób, wchodzących i wychodzących ze sklepów przy tej eleganckiej alei otoczonej luksusowymi rezydencjami. To jest, informuje ich osobliwy przewodnik, najznamienitsze miejsce Paryża, prawdziwa mekka eleganckiego handlu, tu każdy może spotkać to, co odpowiada jego gustom i upodobaniom: rozliczne księgarnie, restauracje, kawiarnie, gdzie można się rozsiąść i przyglądać przechodniom albo czytać gazety, niezliczone sklepy z całym mnóstwem wyrafinowanych artykułów, od przyrządów naukowych po wymyślną garderobę, sklepy z gotowymi ubraniami, kapeluszami, rękawiczkami, pachnącymi wodami, laskami i dodatkami różnego gatunku. Przede wszystkim kobiety czują się tu jak w raju – każdy ojciec rodziny wylewa siódme poty, żeby zaspokoić kaprysy żony lub córek, które pilnie obserwują, w czym pokazała się księżna Taka czy hrabina Owaka, posłuszne tyranii madame Baulard, mademoiselle Alexandre czy innych słynnych krawcowych. Zwykły spacer damy tą ulicą może zrujnować jej małżonka.

– Mówi się, że to miejsce będzie miało silną konkurencję tu blisko, w Palais-Royal, gdzie, jak panowie widzieli, tłoczno od murarzy i rusztowań. Posesja należy do księcia Chartres, kuzyna króla, który otacza ogród przestronnymi, zadaszonymi galeriami, gdzie znajdują się lokale do

wynajęcia dla przedsiębiorców i handlowców. To przedsięwzięcie nieruchomościowe jest dyskusyjne, jednak bez wątpienia przyniesie księciu łądakowi fortunę... Mają panowie ochotę coś przegryźć?

Nie czekając na odpowiedź, kleryk zajmuje jedno z wiklinowych krzesel stojących w słońcu wokół marmurowego lichtarza w ogródku jednej z kawiarni. Akademicy także siadają, podchodzi kelner, Bringas zamawia czekoladę do picia i to samo dla swych towarzyszy. Ach, i kilka biszkoptów, by mógł zamoczyć je w czekoladzie.

– Przez to bieganie za interesami wyszedłem z domu bez śniadania.

Kiedy czekają, kleryk opowiada o rue Saint-Honoré, o tym, jak ulica ta stała się nieodzowną scenerią mody i elegancji, gdzie przychodzi się oglądać innych i być oglądanym. Wskazuje laską, wymieniając nazwiska, kilka pań w eleganckich kapeluszach i panów w wypomadowanych perukach i z dwoma zegarkami, o licznych brelokach i dewizkach wiszących u kamizelek i z pieprzykami na policzku – „skretyniali modnisie”, opisuje ich z miną, jakby spluwał przez zęby – którzy towarzyszą swoim damom, usłużnie nosząc na rękach pieski maskotki.

– Tutaj rozrywką pań jest kokieteria. Wszystko bardzo lekkie, bardzo francuskie. Otaczają je nauczyciele tańca, fryzjerzy, modystki i kucharze... Niech się panowie nie oszukują, Paryż to miasto, do którego nie przyjeżdżają wyłącznie geometry.

Po czym Bringas z rozkoszą i okrutnym uśmiechem szczegółowo opisuje dzień tych dam: dwanaście godzin w łóżku, cztery przed toaletką, pięć w odwiedzinach i trzy na spacerze albo w teatrze. Na tej ulicy i w okolicy, gdzie królują wielki świat i jego kapłanki, wymyślenie nowej fryzury, sorbetu, perfum uchodzi za matematyczny dowód postępu ludzkiego rozumu. A tymczasem w biednych dzielnicach ludzie umierają z powodu chorób i głodu, krążą po targowiskach, poszukując zgniłej

zieleniny, albo się prostytuują, żeby przynieść do domu choć kawałek chleba. W Paryżu jest trzydzieści tysięcy kobiet publicznych, precyzuje. Ni mniej, ni więcej. Nie licząc utrzymanek i cichodajek.

– Pewnego dnia to wszystko stanie w płomieniach historii – stwierdza z perwersyjną błogością. – Ale na razie tak to wygląda... Zatem żyjmy tak, jak się da!

Akademicy spoglądają po sobie, pytając się w duchu, czy aby na pewno – nawet pomijając błędy wymowy przewodnika – znaleźli się w odpowiednim towarzystwie. W tym momencie stają przed nimi filizanki z czekoladą, Bringas podejrzliwie próbuje łyk, moczy biszkopt, w końcu, dyskutując z kelnerem, zamawia jeszcze kawę.

– Ach, i bawarkę – dodaje.

Admirał zauważa, że osobnik, który siedział na pobliskim krześle, podchodzi do nich po tym, jak przez chwilę ich obserwował. Z daleka wyglądał porządnie, z bliska widać, że żakiet i kapelusz ma powycierane i brudne. Zbliżając się, wypowiada kilka słów w potocznej francuszczyźnie i admirał ledwo go rozumie – mówi, że pilnie potrzebuje sprzedać wartościowy przedmiot, klejnot czy coś, co wskazuje, klepiąc się po kieszeni.

– Nie – ucina sucho admirał, odgadując jego intencje.

Osobnik patrzy na niego bezwstydnie, wytrzymuje spojrzenie, po czym odwraca się i ginie w tłumie.

– Dobrze pan zrobił – mówi mu Bringas. – W tym mieście aż się roi od naciągaczy takich jak ten, lepiej się ich wystrzegać... Niech pan jednak przyjmie moją użyteczną radę: w Paryżu nigdy nie mówi się „nie”, to niemal obraza. Mniej więcej tak, jakby w Hiszpanii powiedzieć komuś wprost, że kłamie.

– To ciekawe – stwierdza admirał. – Co więc mam odpowiedzieć na impertynencje?

– *Pardon* załatwia sprawę w sposób przyzwoity. I nie naraża pana na odniesienie rany od szpady tu w pobliżu, na Polach Elizejskich. Bo musi pan wiedzieć, że w Paryżu pojedynki są bardzo częste. Rzadko się zdarza, żeby kogoś nie wysłano na tamten świat.

– Sądziłem, że pojedynki są tu zakazane, podobnie jak w naszej ojczyźnie.

Bringas posyła mu krzywy, złośliwy uśmiech.

– To, czy ona jest nasza, możemy przedyskutować innego dnia, w spokoju – mówi, wydmuchując nos. – Co do pojedynków, to prawda, że ich zakazano. Jednak Francuzi, zwłaszcza pewna godna pożałowania klasa społeczna, są przewrażliwieni na punkcie zniewag... Pojedynki pozostają tu modne, tak samo jak z mody nie wychodzą peruki w gołębie skrzydło, koronkowe siatki na włosy albo trójgraniaste kapelusze w szwajcarskim stylu.

Admirał się uśmiecha.

– Biorę to sobie do serca i dziękuję panu za radę... Czy pojedynkował się pan kiedyś?

Kleryk wybucha teatralnym śmiechem i prawą ręką wykonuje szeroki gest, jakby brał całą rue Saint-Honoré na świadka. Potem kładzie dłoń na piersi, dokładnie na zacerowanej dziurze żakietu.

– Ja? Niech diabli bronią. Nigdy nie ryzykowałbym wspaniałego daru życia w tak głupich farsach. Honoru bronię rozumem, kulturą i słowem. Świat wyglądałby inaczej, gdybyśmy częściej sięgali po tę broń.

– Wielce to godne pochwały – zgadza się zawsze pokojowo nastawiony don Hermógenes.

Dostają rachunek, Bringas klepie się efektownie po kieszeniach i robiąc teatralne miny, przeprasza, że zapomniał wziąć z domu sakiewki. Płaci admirał – czego się spodziewał od chwili, kiedy usiedli – po czym podnoszą się z krzeseł i ruszają przed siebie, podczas gdy kleryk macha laską i dalej objaśnia im wszystko, co widzą, przerywając od czasu do czasu, żeby obrzucić spojrzeniem młode gryzетки pracujące w sklepach.

– Niech panowie popatrzą na tę Wenus, stoi w drzwiach, beczelnie ukazując cały wdzięk kuszącej rozwiązłości... Albo ta tutaj... Ech, te dziewczęta. Zazwyczaj zadają się z facetami, których nie stać na luksusowe utrzymani czy baletnice z opery. Czasem nawet się zakochują, bidulki. Wystawione w sklepach, są mięsem armatnim o krótkim lub bardzo krótkim terminie przydatności, rozumieją panowie... Tyle cnoty wystawionej na łaskę tego sprzedajnego świata budzi sprzeciw. Ach, ten nasz zepsuty wiek. Choć, oczywiście, jeśli panowie...

Patrzy na nich przenikliwie, znacząco i milknie, nie słysząc odpowiedzi, po czym swobodnie zmienia temat. Admirał i bibliotekarz zdążyli już poznać się na barwnym przewodniku. Mimo wszystko – zgadzają się co do tego bez słów – Bringas jest jedyną pomocną osobą w mieście, którego nie znają. A nie ma wątpliwości, że on zna je doskonale.

– Znam jednego księgarza przy rue Jacob, po drugiej stronie rzeki – ciągnie kleryk. – Ma pojedyncze tomy *Encyklopedii*, a przynajmniej je miał. Możemy zacząć od niego... Zgadzą się panowie?

– Jak najchętniej – odpowiada don Hermógenes.

Schodzą na bok, żeby ustąpić miejsca powozowi.

– Ech, niech panowie uważają na te dorożki, ich woźnice są bezduszni i pozbawieni sumienia, zdolni rozjechać człowieka, jeśli się zgrzeszy choćby chwilą nieuwagi. Albo lepiej weźmy dorożkę, nie sądzą panowie? O tej porze nie chce się chodzić.

W ciągu niecałych dwudziestu minut fiakier zawozi ich na Pont Royal – pełen powozów i zasłany końskimi odchodami – mijając Luwr, nabrzeżem Sekwany, którym akademicy przejeżdżają, zadziwieni zarówno szerokością rzeki, jak i miejskim pejzażem na obu brzegach.

– To posąg Henryka IV na Pont Neuf – informuje Bringas z brodą opartą na rękojeści laski. – A z tyłu, ponad dachami wyspy dzielącej rzekę na dwa nurty, widać dwie ścięte wieże Notre Dame, najtrafniejszego symbolu tego, jak ludzie potrafią marnotrawić talent i bogactwo na rytuały i przesady, które nie karmią nikogo poza tymi, co wcale tego nie potrzebują. Gdyby te nikczemne pieniądze spożytkowano lepiej...

– Podejrzewam, panie kleryku – przerywa mu admirał – że pomimo tytułu nie jest pan raczej osobą pobożną.

Bringas patrzy na niego, wzięty pod włos.

– Rzeczywiście nie, skoro pan pyta. To długa i bardzo odległa historia... W każdym razie mam nadzieję, że nie uraziłem pana moimi komentarzami.

Akademik uśmiecha się pogodnie.

– Nie, absolutnie. To nie są dla mnie drażliwe tematy. Obawiam się natomiast, że dla mojego towarzysza owszem... Don Hermógenes jest człowiekiem cierpliwym, wręcz dobrodusznym. Jednak pewne idee mogą ranić jego przekonania i uczucia.

– No tak. – Bringas przeprosza, przesadnie skruszony: – Zapewniam pana, że nie było moim zamiarem...

– Proszę się nie przejmować słowami admirała – przerywa mu bibliotekarz ugodowo. – Pańskie słowa bynajmniej mi nie wadzą. Może pan się wyrażać, jak tylko pragnie, tym bardziej że przecież jesteśmy w mieście filozofów.

– Cieszę mnie pańskie słowa. Mówię to, co myślę. Za nic nie zamierzałem być nieuprzejmym.

Pomimo uśmiechu i łagodnego tonu Bringas patrzy ze złością na admirala, zdradzając ukryty zamysł, by mu się odgryźć jakąś uszczypliwością. Don Pedro Zárate zauważa to i ma wrażenie, że w ciemnych oczach kleryka o hardym spojrzeniu przez moment widział niebezpieczny, nikczemny błysk skrywanej groźby albo żądy zemsty. Nie ma jednak czasu, by o tym myśleć, ponieważ dorożka zatrzymuje się na bardzo ruchliwym skrzyżowaniu. Tutaj atmosfera jest zupełnie inna niż na drugim brzegu rzeki: widać mnóstwo lokajów, skromnych mieszczan, rzemieślników, tragarzy i prostych ludzi, nikt jednak nie odpoczywa. Wszyscy wyglądają na zajętych i zapracowanych.

– Rue Jacob – oświadcza kleryk niemal triumfalnie.

Wysiadają z fiakra, a Bringas powtarza gest daremnego klepania się po kieszeniach, po czym admirał płaci dwadzieścia solidów woźnicy, który bezczelnie protestuje, aż wreszcie kleryk rzuca mu kilka krótkich i ostrych zdań w podmiejskim narzeczu, na co tamten, mamrocząc pod nosem, trzaska z bicia i odjeżdża.

– Oto on. – Bringas wskazuje osobnika. – Lesueur, wydawca i księgarz, dostawca króla... Jeśli założyć, że Jego Królewska Mość Ludwik XVI, ten kawał mięsa z oczami, potrafi cokolwiek przeczytać.

Następnie poprawia perukę, s pluwa na ziemię, jakby król leżał u jego stóp, i wszyscy trzej przechodzą przez ulicę.

Księgarz Lesueur jest chudy, niezgrabny i siwowłosy, nosi niezwykle bokobrody w niemieckim stylu, które przechodzą w wąsy, co niezbyt zgadza się z panującą w Paryżu modą na całkiem gładkie policzki. Poza tym jego wygląd – ubrany jest w szary, świeżo wyprasowany fartuch

i domową wełnianą czapkę – pozostaje równie schludny jak jego sklep. Wielkie okno wpuszcza z ulicy przez otwarte okiennice światło, które rozświetla złocenia i ozdoby na grzbietach książek, stojących równo na półkach w oczekiwaniu na kupujących. Wszystko tu pachnie woskowaną skórą i świeżym papierem, czystością i metodą. Na ladzie piętrzy się stos pojedynczych egzemplarzy „Journal des Sçavants” i liczne tomy w miękkich okładkach, świeżo wyjęte z paczki leżącej na ziemi, na wpół rozpakowanej. Jednemu tytułowi akademicy przypatrują się z zaciekawieniem: *Mémoire sur la découverte du magnétisme animal, par M. Mesmer*.

– Nie mam pierwszego wydania *Encyklopedii* – skarży się Lesueur. – Nie posiadam nawet kompletnego przedruku. Dysponuję tylko pierwszymi jedenastoma tomami edycji z Genewy – Neuchâtel; jest to jednak wydanie *in quarto*, treść ułożono według dziedzin, a całość składa się z trzydziestu dziewięciu tomów... Nie tego panowie szukają.

To mówiąc, odwraca się do jednej z półek i wyjmuje egzemplarz spośród rzędu książek oprawionych w szary karton z papierowymi naklejkami na grzbiecie.

– To wydanie można zdobyć dość łatwo – dodaje, pokazując im otwarty tom. – Jeśli dadzą mi panowie dwa tygodnie, zobowiązuję się, że będę miał je całe... Oczywiście będzie tańsze niż pierwsze wydanie, niezwykle unikatowe; jeśli w ogóle je panowie znajdą, nie będzie kosztowało mniej niż jakieś dwa tysiące liwrów.

– W ambasadzie zapewniano nas o cenie około tysiąca czterystu – protestuje don Hermógenes.

– Nie znają się na rzeczy. W tej edycji wydrukowano nieco ponad cztery tysiące egzemplarzy, każdy kosztował dwieście osiemdziesiąt liwrów, a potem, dzięki sukcesowi dzieła, cena ciągle rosła. Cztery lata

temu sprzedałem kompletne wydanie za tysiąc trzysta liwrow, co w walucie używanej przez panów wynosi, jak mi się wydaje, około...

– Pięciu tysięcy dwustu reali – stwierdza admirał, zawsze szybki w obliczeniach, przyglądając się egzemplarzowi podanemu przez księgarza. To ładne wydanie, mimo formatu znacznie mniejszego niż oryginalne *in folio*.

Mis en ordre et publié par M. Diderot.

Et quant à la partie mathématique, par M. D'Alembert.

Troisième édition.

À Genève, chez Jean-Léonard Pellet.

À Neuchâtel, chez la Société Typographique.

– Proszę dodać jedną trzecią, o ile panowie znajdą jakiś egzemplarz.

Admirał przegląda kartki, a don Hermógenes i kleryk Bringas patrzą mu przez ramię.

– Obawiam się, że to przekracza nasze możliwości.

Księgarz stuka palcami o ladę.

– Cóż, życzę panom szczęścia, bo będzie wam potrzebne. Proszę pamiętać, że tych pierwszych wydrukowanych *Encyklopedii* do subskrybentów musiało dotrzeć mniej, bo zawsze trzeba odrzucić arkusze z defektem i egzemplarze zniszczone. I sporą ich część sprzedano poza Francję... To sprawia, że wydanie jest bardzo rzadkie, rzecz jasna. I przez to droższe.

Admirał unosi egzemplarz, który trzyma w ręku.

– A to?

Lesueur zamyślony patrzy na książkę, a po chwili wzrusza ramionami.

– Nie będę panów oszukiwał: to wznowienie jest opisane jako wierne tekstowi oryginału, jednak w rzeczywistości zawiera poważne zmiany... Z pewnością nie tego panowie szukają.

– Jestem wdzięczny za pańską szczerą.

– Nie ma za co. Moja firma jest poważna.

Księgarz odbiera tom z rąk admirała i odkłada go na miejsce na półce.

– W każdym razie gdyby panowie zmienili zdanie – ciągnie, starając się ustawić egzemplarz równo z pozostałymi tomami – za to wydanie mogę zaproponować specjalną cenę dwustu trzydziestu liwrów... I zapewniam, że to jest okazja; mimo wszystko nie sądzę, by we Francji było więcej niż pięćdziesiąt kompletnych kolekcji.

– Trochę się pogubiliśmy – odzywa się don Hermógenes. – Ile właściwie jest wydań *Encyklopedii*?

– Oprócz pierwszego, którego panowie szukają, i pomijając wszystkie nielegalne z ostatnich lat, takie jak włoskie, wydrukowane w Lukce, było znacznie więcej edycji, niż się podejrzewa: przedruk *in folio* w przeszło dwóch tysiącach egzemplarzy, który opublikowano w Genewie pomiędzy rokiem tysiąc siedemset siedemdziesiątym pierwszym a siedemdziesiątym szóstym, wydanie z Livorno, też *in folio*, jego druk ukończono jakieś dwa lata temu, i to, które panom proponuję, wydrukowane *in quarto*...

– Słyszałem, że jest jeszcze jedno wydanie w małym formacie – zauważa kleryk Bringas.

– Tak, *in octavo*. Nowa edycja, w trzydziestu sześciu tomach tekstu i trzech ilustracji, która właśnie wychodzi w Lozannie i Bernie. I to jest kolejna możliwość... Jeśli musicie panowie oszczędzać i nie spieszy się wam z zebraniem kompletu, proponowałbym subskrypcję za dwieście pięćdziesiąt liwrów...

– Dlaczego pyta pan, czy nam się nie spieszy?

– Bo z tego wydania ukazały się dopiero pierwsze tomy, a na resztę trzeba będzie poczekać przynajmniej jakieś dwa lata. Drukowanie to powolny proces. Obszerne dzieła najpierw zapowiada się broszurą, szuka się subskrybentów i dopóki nie wpłyną pierwsze pieniądze, nie puszcza się prasy w ruch.

– Ale czy treść tych wydań jest godna zaufania?

– Nie wiem, co odpowiedzieć. Już wspomniałem o wydaniu z Genewy i Neuchâtel. Zawsze zdarzały się problemy z cenzurą, interwencje po jednej i po drugiej stronie sporu...

– Wtrąciło się nawet Zgromadzenie Francuskiego Kleru – zauważyła Bringas z urazą.

Taka jest prawda, potwierdza księgarz. I przez tę denuncjację policja zarekwirowała sześć tysięcy tomów przedruku wykonanego przez wydawnictwo Panckouckego i dopiero książę de Choiseul po rozlicznych przepychankach, ciągnących się sześć lat, zdołał doprowadzić do oddania ich wydawcy. A na dodatek Diderot, dusza pierwszego wydania, stwierdził, że nie czuje się zadowolony z rezultatu i widzi potrzebę wprowadzenia pewnych zmian, a może nawet kompletnej przeróbki. Także inni autorzy, tacy jak d’Alembert i Condorcet, którzy pisali hasła do wersji oryginalnej, przeredagowali je w późniejszych edycjach, uzupełniając i poprawiając. To wszystko zmieniło brzmienie oryginalnych tekstów – czasem są to zmiany na lepsze, rzecz jasna. A przynajmniej tak się wydaje Lesueuowi. Nie wie jednak, czy można to samo powiedzieć o całości wydźwięku dzieła.

– Czyli właściwie – zaczyna podsumowanie księgarz – to jedynym precyzyjnym i wiernym pierwotnemu duchowi dzieła publikowanego w latach tysiąc siedemset pięćdziesiąt jeden – tysiąc siedemset siedemdziesiąt dwa, w pierwszych dziesięciu tomach wydanych w Paryżu i następnych opatrzonych fałszywą stopką prasy drukarskiej z Neuchâtel,

jest... tylko pierwsze wydanie... Dlatego jest tak rzadkie, oczywiście. I tak cenne.

– Czy myśli pan, że któryś z pana kolegów może nim dysponować? – pyta don Hermógenes.

– Tego nie umiem panu powiedzieć. Mogę natomiast zająć się jego poszukiwaniem, naturalnie obciążając panów odpowiednią prowizją, jeśli je znajdę.

– Prowizją jakiego rzędu? – zaciekawia się Bringas z błyskiem w oku.

– Zazwyczaj jest to pięć procent wartości.

Kleryk marszczy brew i zatapia się w rachunkach. Brakuje tylko, stwierdza admirał, żeby wyjął papier i ołówek. Około stu liwrów to nie błahostka w Paryżu, a tym bardziej dla kogoś bez stałych dochodów jak Bringas.

– A wśród antykwariuszy? – dopytuje bibliotekarz.

– To jeszcze trudniejsze. Być może znajdą panowie jakieś pojedyncze tomy. To nie jest dzieło, które można kupić okazji. Istnieje też możliwość, że odnajdziecie panowie jakiegoś posiadacza *Encyklopedii* gotowego ją sprzedać, jednak w takim przypadku ceny nie da się przewidzieć. Jeśli mogę dostać adres, pod którym panowie się zatrzymali...

– Nie ma potrzeby – odzywa się Bringas podejrzenie szybko. – Ja się tym zajmę. Będziemy w kontakcie.

– Jak sobie panowie życzą. – Lesueur zauważa spojrzenie, jakie admirał skierował ku książkom na wystawie. – Widzę, że zainteresowało pana dzieło Mesmera.

Admirał przytakuje, kiwając głową, bierze do ręki egzemplarz i kartkuje go z wyraźną przyjemnością, pod palcami czuje dobry papier i doskonały druk. Już od dawna słucha o tym austriackim profesorze i jego eksperymentach z hipnozą, opartych na najnowszych teoriach prądów

fizycznych, elektrycznych i kosmologicznych, popieranych przez takich naukowców, jak Franklin czy bracia Montgolfier.

– W Hiszpanii pisują o nim niektóre gazety – mówi.

– Tak – potwierdza don Hermógenes. – Tam jednak łączą jego nazwisko raczej z jansenizmem i masonerią, dlatego jego prace są zakazane.

Księgarz uśmiecha się z samozadowoleniem i odrobiną pogardy, słysząc słowo „Hiszpania”.

– Tutaj natomiast możecie panowie kupować je z pełną swobodą, choć powinniście się spieszyć. Właśnie przysłał mi je wydawca Didot i czytelnicy niemal wyrywają je sobie z rąk... Mogę zaproponować panom ten egzemplarz za trzy liwry albo za pięć, jeśli wolą panowie książkę w oprawie z delikatnej skóry ze złoceniami na grzbiecie... Kupują panowie?

Admirał waha się, jednak uśmieszek wyższości utrzymujący się na ustach księgarza sprawia, że rezygnuje. Bo trzeba mieć swój honor. Może i bycie Hiszpanem to czasami nieszczęście, jednak wszędzie bywa różnie, o ile w Madrycie działa inkwizycja, to w Paryżu stoi Bastylia. I taki Lesueur i jego książki niech się szczerzą do własnej babki. Albo i do samego diabła.

– Nie, dziękuję – odpowiada oschle. – Może innym razem.

I wkładając kapelusz, szybko i bez grzecznościowych formułek pożegnalnych don Pedro Zárate wychodzi z księgarni.

Do Jaśnie Pana don Manuela Higuierueli w jego domu w Madrycie

Zgodnie z poleceniem, by Pana informować na bieżąco, chcę Panu oznajmić, że obaj podróżni zatrzymali się w hotelu przy ulicy Vivienne (niedaleko hiszpańskiej ambasady). Według moich informacji odwiedzili hrabiego Arandę, który nie poświęcił im zbyt wiele uwagi, powierzając ich

pewnemu Hiszpanowi, który tam mieszka. Osobnik ten nazywa się Salas Bringas. Jest kiepskim literatem, bez pracy ni grosza. Ledwo żyje, wypisując paszkwile i pełniąc niskie posługi dla różnych ludzi. Jak udało mi się ustalić, uchodzi za wicherzyciela, człowieka o nieumiarkowanych pomysłach. Miał do czynienia ze Świętym Oficjum i hiszpańskim wymiarem sprawiedliwości (policja posiada spis wszelkich jego dotychczasowych wyczynów). Jest to figura znana w kręgach hiszpańskich emigrantów w Bajonnie i Paryżu. Tutaj przynajmniej dwukrotnie siedział w więzieniu. Jako krajan hrabiego Arandy (urodzili się w tej samej miejscowości, jak mi się zdaje), korzysta z pozwolenia na bywanie w ambasadzie Hiszpanii. Mówi się, że służy tam za konfidenta i drobnego posłańca. Ma także dojsście do niektórych salonów paryskiego towarzystwa, gdzie toleruje się na bankietach jego barwną postać. Bywa w kawiarniach filozofów i tam, gdzie buzuje polityka.

Co do dwójki podróżnych, to podjęli kroki w celu nabycia tego, po co tu przyjechali, na razie bez sukcesu. Udało mi się ustalić, że poszukiwane przez nich wydanie księgi nie jest łatwe do znalezienia. Poza tym wiodą niewystawne życie. Cały czas, którego nie zużywają na odwiedzanie księgarzy, poświęcają chodzeniu po śródmiejskich ulicach albo przesiadywaniu w kawiarniach, gdzie czytają francuskie, hiszpańskie i angielskie gazety. Ów Bringas nie odstępował ich ani na krok (chodzi na obiady, kolacje i do kawiarni na ich koszt). Całą trójkę mam ciągle na oku, pilnie śledzę ich ruchy i Pana o nich informuję, tak jak się umówiliśmy.

Osobiście szukam jak najskuteczniejszej metody, żeby załatwić sprawę. Co do kosztów, obawiam się, że przekroczą przewidywania. W Paryżu wszystkie ceny wzięte są z księżycy, a kroki, jakie muszę przedsięwziąć, nie są tanie – nikt tu nie otworzy ust za mniej niż ludwika. To wszystko będziemy musieli rozliczyć zaraz po moim powrocie. Lub, jeśli ta sytuacja

miałaby się przeciągać, trzeba będzie zaopatrzyć mnie w środki poprzez weksel.

Z poważaniem,

Pascual Raposo

Pascual Raposo posypuje piaskiem stronicę i potrząsa, żeby sprawdzić, czy atrament już wysechł, po czym zawija papier w drugi arkusz, składa i lakuje, później wypisuje adres na wierzchu. Następnie wstaje, rozprostowuje kości i podchodzi do okna, a zniszczona drewniana podłoga skrzypi pod jego ciężarem. Jest w spodniach, kamizelce nałożonej na koszulę, a jego niewielki bagaż leży rozrzucony po pokoju, gdzie się zatrzymał, na drugim piętrze skromnego hotelu Roi Henri, położonego przy rue de la Ferronnerie, gdzie o każdej porze słychać krzyki woźniców i straganiarek kłócących się na dole, w labiryncie ulic, kiosków i hal pobliskiego targu, tuż obok płotu sąsiadującego z hotelem starego cmentarza Niewiniątek. Nie pierwszy raz się tu zatrzymuje. Zawsze, kiedy jego zajęcia – za najniewinniejsze z nich spokojnie można by go powiesić – prowadzą go do Paryża, dawny kawalerzysta gości w tym samym lokalu, odpowiada mu to, bo zazwyczaj mieszkają tu podróżni i handlowcy, łatwo więc pozostać nie zauważonym; a w cenie trzech ludwików, jakie płaci tygodniowo, zawiera się też dobre, pożywne śniadanie. Jedyna niedogodność tym razem polega na tym, że niedawno zmienili się gospodarze. Poprzedni właściciel, milczący i posępny Bretończyk, wziął oszczędności i wyjechał na wieś, do Morbihan, a nowi hotelarze, małżeństwo w średnim wieku, prowadzą interes z pomocą córki i służącej.

Raposo zerka za okno, idzie do drzwi, otwiera je i woła. Wchodzi córka właścicieli, dziewczyna około dwudziestki, o ładnych kształtach i wyłupiastych oczach wyglądających spod czepka, którym zbiera włosy.

Raposo oddaje jej list i pięć liwrow, prosząc, by zaniósła korespondencję na pocztę. Dziewczyna przez dobrą chwilę przygląda się wiszącej na ścianie szabli gościa i nie obrusza się zbyt, kiedy ten, wypróbując planowaną strategię, klepie ją po krągłym zadku, gdy dziewczyna odchodzi ku drzwiom. Ciało jest jędrne i młode, jak czuje pod palcami. I uśmiech dziewczyny – ma na imię Henriette – zapowiada spore możliwości, a przynajmniej ich nie przekreśla. To jest to, co dobrego ma Paryż, stwierdza Raposo, tu obyczaj są lekkie, a kobieta nie wydziwia, jeśli mężczyzna posiada potencjał, a przynajmniej na takiego wygląda. Notując to wszystko w pamięci, spogląda na zegarek, który trzyma w szufladzie sosnowej komody obok rulonu monet i krótkiego pistoletu z podwójnymi lufą i spustem. Następnie chowa czasomierz do kieszeni kamizelki, wkłada kurtkę z burego sukna, bierze kapelusz i sprawdziwszy spłonkę i proch, wsuwa broń do prawej kieszeni wierzchniego odzienia, do lewej zaś rulon monet, po czym zamyka drzwi na klucz, schodzi po schodach i wychodzi na ulicę, pozdrawiając skinieniem hotelarza, który pali fajkę, siedząc przy drzwiach.

Ogrodzenie cmentarza – zamknięto go kilka miesięcy temu i nie przyjmowano nowych pochówków, ale dawne zwłoki jeszcze tam leżały – cuchnie zgniłymi warzywami, a środkiem rynsztoka płynie strumień podejrzanej, mętnej wody. Raposo idzie w stronę Sekwany przez Saint-Denis, przechodzi pod ponurymi, średniowiecznymi murami Petit Châtelet i skręca w lewo, żeby nabrzeżem dojść do placu de Grève. Niedaleko ratusza, obok wąskiego budynku stojącego na rogu tuż nad rzeką, mieści się stary kabaret l'Image Notre-Dame, w którym o tej porze nic się nie dzieje, tylko kilku próżniaków siedzi przed wejściem w słońcu zalewającym plac. Raposo siada na drewnianej ławce, opiera plecy o mur, prosi o dzbanek zimnej wody i przygląda się sąsiedniej Wyspie Świętego Ludwika, przęsłom Pont-Rouge i białym wieżom katedry wznoszącym się ponad

łupkowymi dachami, ciesząc się z dobrej pogody, która tym razem panuje w Paryżu. Najczęściej, kiedy tu bywał, cierpiał z powodu uporczywego deszczu, jaki zazwyczaj pada w tym mieście niemal przez cały rok, zatapiając ulice w błocie do tego stopnia, że pomimo bruku stają się nieprzejezdne. Bo Paryż, jak zapewniają ci, co się znają, choć uchodzi za stolicę oświecenia rozjaśniającego Europę, z pewnością jednak nie jest stolicą czystości.

– Czy mnie oczy mylą, Pascual? Jaka przygnała cię tu zawierucha?

Raposo widział kątem oka, jak zbliża się do niego mężczyzna, który właśnie pozdrawiał go fatalną hiszpańszczyzną, teraz wzrusza ramionami i nogą przysuwa taboret, żeby przybysz dosiadł się do niego.

– Cieszę się, że cię widzę, Milot – odpowiada po francusku. – Widzę, że dotarła do ciebie moja wiadomość.

– I zaraz przyszedłem z chęcią powitać przyjaciela. Ile to czasu od ostatniego razu? Już rok?

– Prawie dwa.

Milot, gość gruby i łysy, ale nie używający peruki, ma na sobie trójgraniasty kapelusz i ciemny płaszcz, sięgający mu aż do brudnych cholew, uśmiecha się i klepie po kolanach.

– O cholera... Jak ten czas leci.

Swoim wprawnym okiem Raposo zauważa, że mężczyzna trzyma między nogami sękaty kij z rękojeścią z brązu, charakterystyczny dla stale przemierzających ulice Paryża inspektorów policji, a świetnie nadający się, by roztrzaskać człowiekowi czaszkę jednym uderzeniem. Swoją drogą, Milot potrafi się nim posługiwać – sam Raposo był tego świadkiem kilka razy, kiedy załatwiali w tym mieście wspólne interesy.

– Jak leci? – pyta.

Policjant drapie się między nogami pod połami płaszcza.

– Nie narzekam.

– Nadal rządzisz w tej dzielnicy?

– Tu niedaleko, w Marais, mam dom, ale teraz pracuję w Tuileries, poluję na dziwki i alfonsów... To dość zabawne, poza tym zawsze znajdzie się ktoś, kto wybuli parę franków, żeby go puścić wolno, a nie wsadzać do paki. A dziewczyny dobrze się sprawują, sam wiesz... Potrafią okazać wdzięczność.

– Muszę któregoś dnia wybrać się z tobą na obchód zobaczyć to na własne oczy.

– Znakomicie. Obiecuję ci dobrą zabawę i kilka dzbanków wina w tawernie Rente, mają tam świetnie zaopatrzoną piwniczkę.

– Taaak. Ale tym razem to będą drogie trunki.

Słyszając te słowa, Milot spogląda na niego badawczo. Raposo wie, co ma na myśli.

– Jest jakaś sprawa? – interesuje się policjant.

– Może.

– Coś mam do ugrania?

– Może i tak.

Milot w zamyśleniu obgryza paznokiec u kciuka.

– O jakiej sumie mówimy?

– To się zobaczy. Zależy... Jeszcze nie ma pośpiechu.

Zjawia się karczmarz i Milot zamawia wino. Z oczami przymkniętymi z przyjemności, ciesząc się słonecznym ciepłem niczym kot zwinięty w kłębek, Raposo przygląda się placowi oblanemu światłem, przechodniom, niezliczonym różnymi pojazdom przejeżdżającym przez pobliski most i barkom z węglem, drewnem i paszą dla zwierząt

przycumowanym do nabrzeża. Cieszy się, że znów jest w Paryżu. Podoba mu się to skomplikowane, ogromne miasto, kiedy nie pada.

– Czy na tym placu nadal wykonuje się egzekucje?

– Jasne – mówi Milot i wydaje z siebie krótki, stłumiony chichot, daleki od wesołości. – Kat Paryża częściej gości na placu niż pijaczkowie w tym kabarecie... Ostatni raz – dwa tygodnie temu – była tu egzekucja pokojówki, która otruła swoich pracodawców trucizną na szczury. Podobno pan najpierw zrobił jej dziecko, potem kazał poronić i chciał wyrzucić ją na bruk. Dziewczyna była jasnowłosa, młoda, nawet ładna. Gdybyś widział te wszystkie straganiarki od ryb i jarzyn, wzruszone, litujące się nad nią, kiedy prowadzili ją na szafot... Na koniec obrzuciły kata kamieniami i trzeba było interweniować z bronią w ręku.

– Atmosfera zrobiła się gęsta?

Rozmówca marszczy brwi.

– Normalna, powiedziałbym. Ale ludzie są bardziej bezczelni i często się buntują. Mniej znoszą. Niedawno obrzucili kamieniami karetę pewnego szlachcica... W gorszych dzielnicach zorganizowano parę wieców, raz z powodu niedostatku chleba, to znów brakowało wody; przy okazji potłuczono szyby i obito paru kramarzy... Piekarza, który dosypywał gipsu do chleba, wrzucono do Sekwany, gdzie się utopił.

– A kawiarnie?

– Jak zwykle. Ludzie konspirują, gadają, dyskutują, machają gazetami, czytają pamflety, odgrają się... O królu raczej rzadko wspominają, lud nadal go kocha. Buntują się bardziej przeciwko królowej, mówią o niej *per* austriacka suka i tym podobne. Co dwa tygodnie przypisuje się jej nowego kochanka... Ale na tym się kończy. Od czasu do czasu minister daje do podpisu królowi kilka *lettres de cachet*, po czym zamyka w Bastylii jakieś pół tuzina kretynów i panuje porządek, aż do następnego razu.

Milknie, kiedy zbliża się do nich właściciel z winem. Niesie dzbanek i dwie szklanki. Raposo nalewa – dwa palce sobie, pełną szklankę dla gościa.

– No to opowiadaj – ponagla go Milot.

Raposo zastanawia się chwilę. Zwalnia. Myśli, jak zabrać się do rzeczy.

– Przyjechałem do Paryża w ślad za dwoma moimi rodakami, którzy niedawno tu się zjawili – decyduje się w końcu powiedzieć.

– Uchodźcy?

– Nie. Paszporty mają w porządku.

– Są niebezpieczni?

Raposo kręci głową przecząco, choć ma pewne wątpliwości na wspomnienie wysokiego, chudego akademika strzelającego do rozbójników, którzy próbowali napaść na powozy w pobliżu Arandy de Duero.

– To szanowane osoby – stwierdza. – Nie da się im zarzucić byle czego.

– Pieniądze, od których trzeba ich uwolnić?

Raposo unosi dłoń, odrzucając taką ewentualność.

– To nie to, nie o to chodzi.

– Rozumiem... Dobrze. Skoro znamy już klientów, przejdźmy do interesów.

– Są dwie kwestie. – Raposo kiwa głową. – Pierwsza to kontrolowanie, gdzie się poruszają.

– A w jakich środowiskach bywają?

– Księgarze, drukarze, ludzie tego pokroju...

W oczach Milota, szarych i twardych, pojawia się błysk dodatkowego zaciekawienia.

– Nielegalne sprawy?

- Tego nie wiem. Myślę, że różnego rodzaju.
- Dobrze. To można łatwo sprawdzić... A druga sprawa to...?
- Przejście do działania, w razie potrzeby.
- Jakiego działania? Zdecydowanego? Miażdżącego? – Milot wykrzywia usta z rozkoszą. – Śmiertelnego, jeśli trzeba?

Raposo nie odpowiada od razu, tylko wykonuje niewyraźny gest. Potem wkłada lewą rękę do innej kieszeni niż ta, gdzie nosi pistolet.

– Do cholery... Przecież mówię ci, że to szanowane osoby. Delikatna sprawa, rozumiesz? W każdym razie będziemy reagować w miarę rozwoju sytuacji.

To mówiąc, wyjmuje rulon monet i dyskretnie podaje go rozmówcy.

– Tu masz zaliczkę: dziesięć podwójnych ludwików, żeby przygotować rozruch.

– Coś takiego. – Milot z przyjemnością waży rulon w dłoni. – Miły drobiazg... Witaj w Paryżu, kolego.

I unosząc szklanę, pije za zdrowie Raposa.

Rozczarowanie. Przygnębiony don Hermógenes używa tego słowa trzykrotnie, pożywiając się *fricassé* z kurczaka i butelką wina z Andegawenii po sześć franków od osoby po całym poranku bezowocnych wysiłków. Są u Landelle'a w hotelu Buci, gdzie przyprowadził ich Bringas, a że dzień jest słoneczny, to przez otwarte wielkie okno mogą przyglądać się strumieniowi powozów i przechodniów, którzy kupują biżuterię, ozdoby i modne stroje w Petit Dunkerque na nabrzeżu Conti i na placu Dauphine. Bibliotekarz z zaciekawieniem przygląda się kobietom, myśląc o swojej zmarłej żonie, jakże różnej od tych swobodnych paryżanek, przyzwyczajonych do chodzenia po sklepach pełnych najnowszych dóbr. Obok niego niewzruszony admirał porusza w milczeniu widelcem,

obserwując pokaz udrapowań w stylu polskim lub czerkieskim, różnorodność wysokich fryzur, wstążek i kapeluszy na wypomadowanych włosach, sztucznych albo naturalnych. Za to Bringas przeżuwa pospiesznie, pomagając sobie często haustami wina. Pochłania w równym stopniu to, co ma na talerzu, jak to, co widzi na ulicy.

– Daję słowo, panowie – mówi i niemal lubieżnie oblizuje wargi, żeby usunąć z nich resztki *fricassé* – żadne kobiety nie mogą się równać z paryżankami.

Don Hermógenes i don Pedro pozwalają tym słowom zawisnąć w próżni, żaden z nich nie ma skłonności do tego typu rozmów. Po kilku nieudanych próbach rozwinięcia tematu ekscentryczny kleryk zmienia wątek, choć wcześniej posyła znad szklaneczki wina swoim towarzyszom kalkulujące spojrzenie, jak ktoś, kto próbuje trafić w słaby punkt, ale chybia. Na razie.

– A co do rozczarowania – mówi, zmieniając ton – to nie powinni panowie tracić ducha. Takie sprawy idą powoli. Nie zawsze wszystko da się załatwić od razu.

– Nasze zasoby są ograniczone, jak pan wie – mówi don Hermógenes.

– Niechaj panowie jednak nie tracą wiary, teologicznej cnoty. Tę kwestię załatwi się szybko, zamówmy więc drugą butelkę. Dopóki wino na stole, w sercu nadzieja. – Patrzy na nich uśmiechnięty. – Podoba się panom taka sentencja?

– Może być.

– Jest moja. Pochodzi z dzieła, nad którym pracuję, zatytułowanego *Traktat higieniczny i filozoficzny o onanizmie jako uzdrowieniu ludzkości*.

– Coś takiego – komentuje don Hermógenes, mrugając z zakłopotaniem.

– Brzmi obiecująco – prognozuje z drwiną admirał.

Bringas macza kawałki chleba w resztkę sosu, omiata nimi talerz. Pod peruką o tłustych i skołtunionych kosmykach w jasności padającej przez okno jego twarz, koścista i niedogolona, wydaje się jeszcze chudsza.

– Główna myśl – wyjaśnia – to wykazanie, że narody mogłyby pozbyć się wielu tyranów, gdyby...

Admirał przerywa mu z widocznym zdecydowaniem.

– Proszę się nie trudzić. Doskonale rozumiemy temat.

Kleryk patrzy przez okno, przeżuując kęs i obserwując ludzi na ulicy. Jego wąskie wargi nagle wykrzywia okrutny grymas.

– Choć najczęściej – mówi z nagłą pogardą – każdy tyran ma takich niewolników, jacy sobie na niego zasłużyli... Niech panowie popatrzą na te ufryzowane piramidy, zagipsowane pomadą, gorącym grzebieniem i próżnością... Proszę pomyśleć, że w Paryżu fryzjer zarabia więcej niż rzemieślnik, a są w tej grupie zawodowej tacy, którzy chwają się znajomością stu pięćdziesięciu technik nawijania loków damom i kawalerom... A co powiecie o strojach? O tych ubraniach z żydowskimi połami, które nazywają surdutami, a które teraz wchodzi w modę? O tej prawdziwej manii, żeby wszystko, kamizelki, żakiety czy spodnie, miało prążki, bo zebra z królewskiego buduaru stała się inspiracją dla eleganckich krawców? A niech to diabli wezmą! Mało kto zadłuzza się, żeby kupować książki, ale nikt sobie nie odmówi prezentowania co niedziela nowego żakietu; na dodatek bardzo liczni z tych fanfaronów zalegają ze spłatą u swoich krawców... Bardzo bylibyśmy zdziwieni, gdyby naraz policja zmusiła ich wszystkich do noszenia na wierzchu pokwitowań od krawców.

– W Madrycie absurdalna moda też sieje zniszczenie – stwierdza don Hermógenes.

– Ale tutaj moda usprawiedliwia i wyjaśnia wszystko. To moda na zaćmienie, na balon na ogrzane powietrze, na fryzurę królowej *à la fanfan*,

na kupkę pieska pani Polignac... I na głupotę, której się schlebia, jakby stanowiła ostateczny nakaz! I dlatego szasta się pieniędzmi, podczas gdy robotnik zarabia dwa smutne solidy, a lud cierpi głód.

– Mimo wszystko – zauważa admirał – głodu widać tu mniej niż w Hiszpanii.

Bringas posyła mu sardoniczny, wręcz bezczelny uśmiech.

– Zaprowadzę panów, jeśli wola, w miejsca, gdzie na własne oczy zobaczycie prawdziwy głód – mówi. – Twarz wygłodniałego Paryża zupełnie inną niż ta. – Z pogardą wskazuje wzrokiem elegancików idących ulicą. – Prawdziwa Francja jest kilka przecznic stąd.

Uśmiech znika w jednej chwili, starty przez mroczny cień. Potem kleryk z zupełnie inną miną, która nagle pojawia się na jego twarzy niczym maska, patrzy melancholijnie na swój pusty talerz. Następnie pije spory łyk wina i ociera usta wierzchem dłoni o palcach ze stanowczo zbyt długimi paznokciami. Zarówno pod rękawem żakietu, jak i pod chustką zawiązaną na szyi strzępi się czysta, choć już mocno sfatygowana koszula.

– Głód nie zna granic, panowie. Zawsze jest taki sam... I mówię to ja, a jestem ekspertem w tej dziedzinie... Jakich to niedoli musi doznać mędrzec, który nie potrafi schlebiać ani motłochowi, ani możnym tego świata! Tutaj doświadczyłem takiego samego głodu, jak w Hiszpanii czy we Włoszech. Większego nawet niż ślimak na pokładzie statku na pełnym morzu... Używam tu, oczywiście, figury retorycznej.

– Dlaczego opuścił pan ojczyznę? – interesuje się admirał.

Kleryk opiera łokieć na stole i gładzi się po brodzie z tragicznym wyrazem twarzy.

– To słowo nie jest jednoznaczne – stwierdza. – Moja ojczyzna jest tam, gdzie zdobywam kawałek chleba. I jeszcze papier, pióro i kałamarz, jeśli to możliwe.

Don Pedro nie pozwala zwieść się ani pozą, ani pustosłowiem.

– A poza tym? – nalega.

– Potrzebowałem powietrza, żeby oddychać. Wolności, jednym słowem, choć nigdy nawet nie przypuszczałem, że właśnie tutaj doznam zniewagi i spotka mnie więzienie.

– Coś takiego. – Admirał wkłada do ust kolejny kęs, powoli go przeżuwa, dokładnie ociera usta serwetką i pije łyk wina. – Był pan w więzieniu? We Francji?

Bringas podnosi butnie głowę.

– Nie wstydzę się do tego przyznać: poznałem Bastylię, gdzie mój duch poczuł solidarność z cierpiącymi. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Tam nauczyłem się cierpliwości i oczekiwania na tę godzinę.

– Jaką godzinę? – pyta roztargniony don Hermógenes.

– Tę straszliwą godzinę, która wstrząśnie tronami całej ziemi.

– O Chryste!

Zapadła nieprzyjemna cisza, bibliotekarz i admirał wyobrażają sobie Bringasa ostrzającego siekierę i porządkującego katalog uraz według alfabetu. Taki obraz nie jest bynajmniej ekstrawagancki, stwierdza don Pedro. Ani niemożliwy.

– Co do pańskich słów o Francji, nie mogę się z nimi zgodzić – protestuje w końcu bibliotekarz. – Widzę ogromną różnicę w porównaniu z naszą ojczyzną... Droga z Bajonny do tego miejsca ukazała nam kraj żyzny, o zasobnych rzekach i zielonych polach. Bardzo różny od naszych kamienisk, krajobrazów wyschniętych i surowych, od trudnej hiszpańskiej geografii, która skazuje nas na nędzę.

Kleryk uderza w stół otwartą dłońią.

– Niech się pan nie daje zwieść pozorom – mówi z pogardą. – To bogaty kraj, oczywiście, hojnie obdarowany przez naturę. Ale wszystko

z niego wysysa się próżnością, chciwością i niesprawiedliwością. Choć to prawda, że tutaj przynajmniej znamy swobody, jakie nie istnieją za Pirenejami...

Admirał kładzie sztucce na skraju swojego pustego talerza dokładnie w pozycji na godzinę piątą i po raz ostatni używa serwetki.

– Są tu książki – stwierdza zwięźle, jakby te słowa streszczały wszystko.

– Właśnie tak. – Oczy Bringasa rozbłyskują mściwie. – Błogosławione słowo drukowane, które w końcu pewnego dnia obali fałszywych bożków. To ono obudzi otumaniony lud.

– Ja też podziwiam tę obfitość lektur – łagodzi ton don Hermógenes – i jej zazdrozczę. Choć budzenie ludu to...

– We Francji – przerywa mu kleryk – państwo rujnuje życie wielu z nas, ludzi kultywujących humanistykę i idee, w tym drukarzy i księgarzy, jednak nie zdołało wyrwać swobody z korzeniami. A zawdzięczamy to właśnie książkom.

– Tu jesteśmy zgodni. Mówiłem jednak, że budzenie ludu nieco mnie odrzuca...

– Wiedzą panowie, jaka jest różnica? – Bringas nadal koncentruje się na własnej przemowie. – Taka, że w Hiszpanii uważa się książki za coś wywrotowego i niebezpiecznego. Zbyteczny luksus albo przywilej zarezerwowany dla nielicznych.

– A tutaj nakręcają interes – ucina admirał.

– I to dochodowy. Dostępny wszystkim. Dają zatrudnienie autorowi, drukarzowi, pakowaczowi i dystrybutorowi, a każdy z nich płaci przecież podatki. To działalność, która przynosi pieniądze i buduje bogactwo.

– Jednak edykty... – protestuje bibliotekarz. – Zakazy...

Bringas śmieje się teatralnie i dolewa sobie wina.

– Wszystko jest względne. Zakaz absolutny szkodzi finansom, zatem państwo, choć stanowi prawo i zakazy, pozwala też, żeby interes rozwijał się swoim naturalnym biegiem i nie przenosił się do Szwajcarii, Anglii, Holandii czy Prus... Oto prawdziwe źródło urodzajności Francji! Jej pragmatyzm. Władza wie, że książka jej zagraża, ale także przynosi bogactwo. Dlatego szuka sposobu, jak sprawę korzystnie załatwić.

– Tak. Ale co do naszej *Encyklopedii*...

– O co chodzi?

– Ciągle jej nie mamy.

Kleryk wyniosłym gestem wskazuje ulicę.

– Po obiedzie złożymy wizytę mojemu przyjacielowi, sprzedawcy książek filozoficznych.

– Ciekawe określenie – stwierdza bibliotekarz. – Nie wiedziałem, że istnieją sprzedawcy wyspecjalizowani w filozofii. Rozumiem, że ma pan na myśli Woltera, Rousseau i podobnych autorów. A wydawało mi się, że zakazano tutaj sprzedaży takich książek.

Bringas znów się śmieje, tym razem pogardliwie.

– Tak jest, ale niech pan się nie da oszukać słowom. „Książki filozoficzne” to określenie używane przez księgarzy na takie publikacje, w których filozofia olśniewa swoją nieobecnością. Termin odnosi się do wydań zakazanych... Najczęściej pornograficznych.

Don Hermogenesa ogarnia strach.

– Jak to: pornograficznych?

– Romanse sypialniane i tym podobne – wyjaśnia kleryk z dwuznaczną miną. – Utworki, które według Diderota czyta się, trzymając je jedną ręką.

Don Hermógenes staje w pąsach.

– Dobry Boże... A co my mamy z tym wspólnego?

– Rozumiem, że nic – uspokaja go admirał. – Pan wcale nie powiedział, że wszystkie książki są tego rodzaju.

Długim łykiem Bringas wypija całą resztę wina.

– Terminu „książki filozoficzne” – wyjaśnia – używa się w czytelnich, jest szeroki i obejmuje wszystko – od *Le christianisme dévoilé...* po *La fille de joie*. – Przy ostatnim tytule porozumiewawczo puszcza do nich oko. – Znają panowie?

– Wcale – odpowiada admirał. – Jeśli tutaj ich zakazano, to niech pan sobie wyobrazi, jak jest z nimi w Hiszpanii.

– Takie świństwa tam nie docierają – kończy z godnością bibliotekarz.

Bringas uśmiecha się z wyższością.

– Ach, o *La fille de joie* nie mówię, ale ta druga książka, owszem, jest naprawdę filozoficzna.

– Z takim tytułem – don Hermógenes obstaje przy swoim – wydaje się jeszcze gorszym świństwem. Chrześcijaństwo należy praktykować, a nie odsłaniać albo wchodzić na bezdroża, które nigdzie nie prowadzą.

Kleryk przygląda mu się lekko zdezorientowany.

– Myślałem, że obaj panowie...

– I dobrze pan myśli – przerywa mu admirał, który wygląda, jakby się dobrze bawił. – Ale, jak już panu wspominałem, mój towarzysz jest człowiekiem oświeconym, który chodzi na msze – to wariant częściej występujący w Hiszpanii, niżby się mogło myśleć.

– Ależ, kochany admirale – protestuje bibliotekarz – nie o to chodzi. Ja...

Towarzysz przerywa mu serdecznym gestem, kładąc rękę na jego ramieniu.

– Nasz don Hermógenes uważa – mówi dalej do Bringasa – że da się połączyć jedwab z perkalem... Szanujmy jego punkt widzenia.

Kleryk patrzy to na jednego, to na drugiego, jakby starał się wcisnąć ich, nie bez trudu, w którąś ze znanych mu kategorii. W końcu przybiera wielkoduszną minę.

– Jak panowie chcecie.

– Książki filozoficzne – przypomina mu admirał, wracając do tematu rozmowy.

– No właśnie... W ten sposób, krótko mówiąc, nazywa się dzieła różnego rodzaju krążące potajemnie, na które jest przyzwolenie zależne od tolerancji kolejnych ministrów... Rzecz polega na tym, że niektórzy księgarze sprzedają je spod lady, wypatrują okazji i potrafią ustrzec się przed zasadzkami i skazaniem na galery. Mój przyjaciel, o którym mówię, zna się na rzeczy. Może potrafi nam pomóc.

Don Hermógenes przypatruje mu się raczej z niepokojem. Wyjął tabakierę i chusteczkę, bierze odrobinę tytoniu, kicha i częstuje Bringasa.

– Czy ten księgarz jest osobą godną zaufania?

– Jak ja sam.

Akademicy wymieniają szybkie spojrzenia, kleryk dostrzega to. Admirał też zauważa, że Bringas je odnotował.

– Mam nadzieję, że nie narobimy sobie przez to kłopotów – mówi.

I patrzy na Bringasa uważnie. Spokojnie, bez ceregieli, Bringas wkłada dwa palce do tabakiery bibliotekarza, bierze dobrą szczyptę mielonego tytoniu, kładzie ją na wierzchu dłoni i zbliża do nosa.

– Kłopotów? Psik. Życie człowieka oświeconego już samo w sobie to kłopot, panowie.

To powiedziawszy, puszcza oko z przyjemnością, chwilę łapie powietrze i dość hałaśliwie kicha.

– A teraz – mówi, wyciągając z kieszeni bardzo pomiętą chustkę – jeśli panowie zechcą uprzejmie mi towarzyszyć, pokażę wam zupełnie inny Paryż... Taki, jakiego nie ma w *Zwierciadle dam*.

Początkowo poruszanie się po Paryżu czasów ancien régime'u, jaki w przededniu rewolucji francuskiej poznali don Pedro Zárate i don Hermógenes Molina, było dla mnie dość trudne. Nawet Paryż okresu rewolucji, kiedy wielkie zmiany uległo oblicze miasta, swoimi ulicami i ich nazwami – les Cordeliers, les Petits Augustins – związany z historią tamtych pełnych zamętu lat, zginął w dużej części za sprawą reformy urbanistycznej, jaką, począwszy od 1852 roku, przeprowadził baron Haussmann. Les Halles, dawne hale targowe, zostały przemienione w ostatnim trzydziestoleciu dwudziestego wieku w kompleks kulturalny z Centrum Pompidou na czele, zaś jego okolice, sklepy, bary i restauracje, stały się miejscem modnym, przyciągającym turystów. Jedynym sposobem, by dokładnie odtworzyć tamto oblicze miasta, było zestawienie dawnych tekstów i planów miejskich z aktualnymi danymi, nałożenie współczesnej siatki ulic na dawny Paryż, tak by ustalić możliwie najdokładniejszą topografię miejsc, gdzie toczyła się przygoda akademików.

Poza kilkoma planami i paroma książkami o historii miasta moja biblioteka nie zawierała zbyt wielu informacji o paryskiej urbanistyce, a użyteczna, choć wydana w niewielkim nakładzie publikacja *Connaissance du vieux Paris* Hillaireta, z którą w dawnych czasach często się włóczyłem, tym razem przydała się jedynie do określenia dawnych nazw zaledwie paru ulic. Bardziej pomocne okazało się monumentalne dzieło *Paris à travers les âges* Hoffbauera. Za to w Internecie znalazłem kilka przydatnych wiadomości dotyczących prawdziwego wyglądu miasta w latach osiemdziesiątych osiemnastego wieku, zwłaszcza w *Atlas historique de Paris* pochodzącym z 1790 roku i w praktycznym spisie ulic istniejących

w latach 1760–1771, zawierającym także ich aktualne nazwy. Dotarłem też do około trzydziestu rycin z epoki ukazujących paryskie ulice, place i ogrody tak, jak wyglądały w latach poprzedzających rewolucję. Najważniejszych jednak danych dostarczyły mi dwa plany, które kilka dni później, znów w Paryżu, dzięki pomyślnym zabiegom księgarki Michèle Polak, udało mi się dość łatwo zdobyć. Jeden z nich został sporządzony w 1775 roku przez Jaillota. Do moich rąk dotarł w bardzo dobrym stanie przejrzysty, wspaniały egzemplarz. Drugi zaś, który okazał się fundamentalny dla ustalenia miejskiego pejzażu tych rozdziałów, to znakomity *Nouveau plan routier de la ville et faubourgs de Paris...*, opublikowany w 1780 roku przez Aliberta, Esnaulta i Rapilly'ego. Oprócz szczegółowego wizerunku miasta zawierał ryciny z bardzo dokładnymi planami ulic i ich położeniem według współrzędnych. Natomiast szczegółowe lokalizacje, jakie należało umieścić na tych planach, opracowałem już wcześniej w notatkach, gdzie zawarłem ulice, kawiarnie, hotele, sklepy i inne interesujące miejsca. Część z nich określiłem na podstawie listów bibliotekarza zachowanych w archiwum Hiszpańskiej Akademii Królewskiej, inne korzystając z osiemnastowiecznych książek podróżniczych i opisów miasta zamieszczonych w znakomitej publikacji *Guide des amateurs et des étrangers voyageurs...* (1787) Thiéry'ego, w gazetach z tamtych czasów, korespondencji rozmaitych autorów, a także w dziennikach Leandra Fernandez de Moratín – którego duch, pośród innych, przez cały czas unosił się nad tą opowieścią – i *Pamiętnikach* Giacoma Casanovy, obfitujących w szczegóły jego wizyt w stolicy Francji, jakie odbył na krótko przed wydarzeniami, którymi się tutaj zajmujemy. Z tak przygotowanym materiałem mogłem się zabrać do pracy.

I pewnego ranka, siedząc przy śniadaniu w Les Deux Magots nad notatnikiem otwartym na stronie z poplamioną kawą fotokopią pełną

zapisków z *Nouveau plan routier...*, próbowałem ustalić lokalizację miejsc, jakie don Pedro Zárata i don Hermógenes Molina, prowadzeni przez dziwnego kleryka Bringasa, odwiedzili w paryskiej dzielnicy nędzy zgodnie z tym, co opisano w sposób dziwnie przewidujący w liście – który miałem okazję wcześniej przeczytać w Akademii Królewskiej – skierowanym przez bibliotekarza do dyrektora Vegi de Sella, gdzie nadawca pisał:

...wczorajsza wizyta, zaskakująca i nieoczekiwana, na ulicach nędzy tego miasta, którego wystawność traci blask wobec ubóstwa, w jakim żyją najbiedniejsi, gdzie każdy niedostatek ma swój przykład i każda ułomność smutny przejaw. To dowodzi, że nawet w narodach wykształconych i w metropoliach, gdzie wspaniałość i oświecenie są najbardziej widoczne, nieszczęsne istoty cierpią krzywdę i gromadzą niebezpieczną urazę, co powinni dostrzec dla własnego dobra ci, których praca na rzecz ludzkiej szczęśliwości jest obowiązkiem powierzonym im przez Boga.

Niestety, nazwa tej dzielnicy nie pojawia się w liście podpisanym przez don Hermogenesa Molinę, musiałem więc użyć wyobraźni. Być może, jak założyłem, chodzi o ulice położone nad Sekwaną w dawnym śródmieściu – dziś niemal całkowicie przebudowanym – wówczas pełnym nędznych klatek i marnych zaułków, które jeszcze pod koniec osiemnastego wieku nosiły nazwy takie, jak rue des Rats, Pied de Boeuf czy Pet-au-Diable¹. Choć mogło to być także przedmieście Saint-Marcel, leżące na południu miasta, albo inne, położone na północy. W każdym razie kleryk Bringas musiał zaprowadzić akademików do jednego z tych miejsc, nie występujących w książkach podróżniczych ani w eleganckich czasopismach z epoki, gdzie kilka lat później miała zapłonąć za sprawą wściekłości ludu

rewolucyjna iskra, która rozpała Francję, obalała tron i wstrząsnęła całym światem.

– Prosty lud Paryża, podobnie jak w Hiszpanii – mówi Bringas – z punktu widzenia polityki nie istnieje. Nie ma ani zwyczaju, ani środków, by wyraził nienawiść czy niezadowolenie... Anglicy są świadomi swoich interesów, natomiast Hiszpanom i Francuzom pod rządami tych beznadziejnych Burbonów brak obywatelskiego instynktu, który by im podpowiedział, co może być dla nich korzystniejsze.

– To wszystko kwestia wykształcenia, naturalnie – stwierdza don Hermógenes, który słysząc nazywanie Burbonów „beznadziejnymi”, rozejrzał się wokół z obawą.

– Jasne. Ani tutaj, ani w Hiszpanii ludzie nie potrafią czytać.

– Ale we Francji...

Bringas unosi rękę pogardliwie.

– Zrobiliście z Francji mit, jak mi się wydaje. Tutaj tylko nieliczni mają świadomość tego, co nadchodzi.

Wysiadają z dorożki przy zbiegu trzech wąskich ulic, obok zarośniętego chwastami terenu ze zrujnowanymi budynkami. Są tam domy wyglądające niemal na średniowieczne, które się rozpadają, wielkie skrzyżowane drewniane belki podpierają ich ściany. Ponad łupkowymi dachami unoszą się szare kłęby wydostające się z brudnych kominów i pieców plujących sadzą.

– Ten Paryż nie przypomina tamtego, prawda?

Bringas odwraca się do nich i patrzy z sarkazmem, ciekaw wyrazu ich twarzy. To nie jest pytanie. Jedno domostwo na rue Saint-Honoré ma do dyspozycji więcej pieniędzy niż tu cała dzielnica. Don Hermógenes i don Pedro patrzą na obdarte i bose dzieciaki, które przestały się bawić

w rynsztoku i otoczyły ich, przypatrując się im nieufnie. Jest ich jakieś pół tuzina, w końcu proszą o drobne. Wśród nich są też dwie dziewczynki.

– Rozwiążność i nędza – stwierdza Bringas, odpędzając dzieciaki jednym gestem. – Tu słyszy się tylko stukot nędznych drewniaków, o ile w ogóle ktoś ma szczęście nosić obuwie, a do takich nie należą te małe, nagie stworzenia, które śpią razem z rodzicami w lichych, brudnych barłogach... To jasne. Bez wolnej prasy i bez oświaty lud długo jeszcze będzie ciemny, a płomień rozumu nie oświetli ani jego prawdziwych potrzeb, ani patriotyzmu... Głos uciśnionych, który jest głosem prawdy, nie dociera do uszu władcy. Przeciwnie, każde wypowiedziane głośno słowo, każdy przejaw zniecierpliwienia interpretuje się jako wyraz buntu, sprzeczną z prawem rebelię.

– We Francji jednak istnieją swobody – protestuje bibliotekarz.

– Tylko formalnie, bo prasa jest bardziej radykalna i wydaje takie książki, które w Hiszpanii nawet trudno sobie wyobrazić. Publikacje te jednak docierają jedynie do elit, i to często jako zwykła salonowa rozrywka... Lud nie ma prawa mówić ani być wysłuchanym, jest tylko widzem i ofiarą ministerialnych operacji... Ignorancja polityczna władz przegrywa tylko z naszą, hiszpańską.

Akademicy idą za klerykiem, który porusza się zdecydowanie, wymachując laską. W bramach, gdzie susząca się na żerdziach bielizna wisi pod oknami niczym smutne sztandary, widać proste kobiety o ponurych twarzach, gołych ramionach i zaczerwienionych rękach; tłuką pranie w baliach albo dają pierś zasmarkanym dzieciakom.

– Niech panowie popatrzą – mówi Bringas z goryczą. – Nie mówcie mi, że to nie wstyd dla rodzaju ludzkiego, co zmierzył odległość między Ziemią a Słońcem, zważył wszelkie pobliskie planety, a równocześnie nie odkrył praw urodzajności, które przyniosłyby ludziom dostatek i szczęście.

Przed drzwiami siedzi na kamieniu bezzębny, bosy staruszek, ubrany w starą kurtkę wojskową, całkiem podartą, wyciąga fajkę z ust i unosi palce do czoła na ich widok. W całej okolicy czuć nieprzyjemny zapach gnijącego mięsa. Po nie wybrukowanej ziemi płynie strumyk burej, zakrwawionej wody.

– Potajemny ubój – informuje ich Bringas po paru krokach. – W pobliżu jest nielegalna rzeźnia. Policja ją toleruje, bo czerpie z niej korzyści, podobnie jak z wielu innych szwindli.

Docierają przed dom, który w dawnych czasach musiał być zamożny, na co wskazuje choćby brama wjazdowa. Podwórze zmieniono w giełdę z maleńkimi straganami mięsnymi, gdzie sprzedaje się podroby, wnętrzności, głowy i kopyta świń i krów. W głębi widać stoisko z winami, z dwiema dużymi beczkami zamiast stołów. Bringas idzie pewnie pomiędzy straganami, za nim dwaj akademicy, na których sprzedawcy ani kupujący nawet nie zwracają uwagi. Mimo to pulchna kobieta w szarym czepku i w fartuchu ubrudzonym krwią, trzymając w ręku nóż, pokazuje z szyderczym śmiechem admirałowi blady barani łeb.

– Tak mówił Diderot, jak mi się zdaje – odzywa się kleryk, puszcając oko do akademików. – Każde stulecie ma specyficznego ducha, a duch tego wieku to wolność.

Po czym wybucha śmiechem złowieszczym jak zapowiedź nieszczęścia. Jego śmiech jeszcze wybrzmiewa, gdy docierają przed lokal przylegający do składu win. Bringas okazuje złość, widząc, że magazyn jest zamknięty, i pyta szynkarza, który – jego broda przykrywa mu dolną połowę twarzy, zdaje się, jakby przesłaniała też jego słowa – odpowiada coś niezrozumiale w paryskim żargonie.

– Trzeba trochę poczekać – tłumaczy kleryk.

Zamawia wino, które szynkarz podaje w dzbanku, stawiając obok gliniane kubki powleczone szkliwem, i wszyscy trzej stają wokół jednej z beczek.

– W każdy poniedziałek puste beczki po tanim winie liczy się tutaj na tuziny – mówi Bringas, wycierając usta grzbietem dłoni. – Ci ludzie mają tylko tyle radości, za ile zdołają zapłacić. Rozmnażają się jak króliki i w jeden dzień przepijają zarobek z całego tygodnia, miesiąca albo życia. A jeszcze policja pilnuje, czy nie są pijani, bo często błyskają tu noże... Droga z tawerny czy kabaretu do więzienia jest bardzo krótka. Nawet zabawa biedaków pozostaje pod kontrolą.

Don Hermógenes ledwie moczy usta, bardziej z uprzejmości niż z pragnienia. Zaś don Pedro Zárate pije ostrożnie łyk, stwierdza, że wino jest kwaśne, i odstawia kubek, niemal nie tknięty, na wieko beczki. W tym czasie Bringas już się rozprawia z dwiema szklanicami, nie mrugnawszy okiem. Admirał patrzy i w myśli kreśli portret ich niezwyklego przewodnika – to mężczyzna gwałtowny, lekko nikczemny, wykształcony i niebezpieczny. Nic dziwnego, że Salas Bringas trzyma się z dala od Hiszpanii. Tam natychmiast wylądowałby w lochu albo na szafocie.

– Ach, jakaż zawierucha – mruczy tajemniczo kleryk pomiędzy kolejnymi łykami. – Zawierucha nadchodzi.

– Na co tu czekamy? – pyta admirał.

Wydaje się, że Bringas go nie słyszy. Dolewa sobie wina i uważnie mu się przygląda, jakby potrafił wróżyć z czerwonego, wodnistej płynu.

– Rządy we Francji są despotyczne – mówi, podnosząc wreszcie wzrok, żeby rozejrzeć się wokół. – Lud wykrwawia się na podatki, które trafiają do kieszeni nielicznych, a państwo tonie w długach... Potrzebny jest potężny wstrząs. Coś, co zmieniłoby wszystko. Krwawa rewolucja.

– Nie ma powodu posuwać się do takich ekstremów – protestuje don Hermógenes. – Wystarczy rewolucja moralna i patriotyczna.

Bringas, który w tej chwili podnosi kubek do ust, odrywa od niego palec ze zbyt długim paznokciem i celuje nim w bibliotekarza.

– Jest pan naiwny, mój panie. Ani szlachta, ani kler, nie wspominając nawet o królu i jego rodzinie, nie są na tyle wspaniałomyślni, by zdobyć się na tę odrobinę poświęcenia, która uczyniłaby z Francji uczciwy kraj.

– Ale król Ludwik uchodzi za władcę dobrego...

– Dobrego? Proszę mnie nie rozśmieszać, bo zaraz pęknę ze śmiechu. Ten młody walek sadła, którego talentami są jedynie polowania, noszenie rogów i naprawa zepsutych zegarków? To jego podpis znalazł się na *lettre de cachet*, który posłał mnie do Bastylii z oskarżeniem o publikowanie pamfletów.

Bringas z uniesioną zawzięcie brwią omiata podwórze spojrzeniem znad szklanki.

– Niech się panowie przyjrzą tym ludziom – dodaje. – Tym kretnom. Ciągłe wierzą, w większości, że król jest dobrym człowiekiem, kochanym ojczulkiem, jedynie oszukiwanym przez swoją austriacką Jezabel i własnych ministrów.

Kleryk odstawia pusty kubek na beczkę z głuchym trzaskiem, który brzmi niczym uderzenie topora o pień katowski.

– Ale pewnego dnia się przebudzą. Albo zostaną obudzeni. A wtedy...

– Wtedy co? – interesuje się don Hermógenes.

– Nadejdzie chwila krwawej rzezi rewolucyjnej.

– Co za barbarzyństwo!

Niewzruszony Bringas przygląda mu się przenikliwie.

– Myli się pan. Każda rewolucja, mimo że pełna nadużyć, podobnie jak wojna domowa, daje okazję do odkrycia najbardziej ukrytych talentów. Sprawia, że pojawiają się nadzwyczajni ludzie, którzy dowodzą innymi... Zapewniam pana, że tak jest. To są środki potworne, ale niezbędne.

Przerywa im – bardzo w czas, zdaniem don Hermogenesa – przybycie osobnika w rudej peruce, w ubraniu z burego sukna, który otwiera drzwi sklepiku i patrzy na nich przenikliwie, w końcu rozpoznając Bringasa, a ten, pozwoliwszy admirałowi sięgnąć do kieszeni i zostawić kilka monet na beczce, podchodzi do mężczyzny, ściska mu dłoń i wymienia z nim parę słów, wskazując na towarzyszące mu osoby. Mężczyzna kiwa głową, zaprasza ich do środka i akademicy znajdują się w zupełnie niespodziewanym miejscu: jest to magazyn papieru, pełen paczek z drukami i starych gazet, gdzie stoi maszyna typograficzna z niedomkniętymi szufladkami, pękającymi od nieuporządkowanych czcionek, i stara prasa drukarska, która wygląda na będącą jeszcze w użytku. Światło dociera do tego pomieszczenia jedynie przez świetlik umieszczony niemal na suficie i pada na skrzynie z książkami spiętrzone w głębi.

– Ten pan – przedstawia go Bringas – jest moim przyjacielem, osobą godną zaufania. Poza tym nazywa się Vidal, a jego fach zwie się tutaj *colporteur*. W Hiszpanii nazwalibyśmy go obwoźnym sprzedawcą książek i innych druków. A w tym przypadku to specjalista – podkreśla celowo to słowo – od książek wszelkiego rodzaju.

Człowiek o nazwisku Vidal, mówiący znośnym hiszpańskim, uśmiecha się ze zrozumieniem, ukazując uzębienie, które bez wątpienia przeżuwało już lepsze czasy. Jego twarz jest jak z pergaminu, pomarszczona, upstrzona piegami, a on sam robi bardziej wrażenie Anglika niż Francuza.

– Interesują panów książki filozoficzne?

– To zależy – szybko odpowiada don Hermógenes.

– Od czego?

Bibliotekarz waha się z zakłopotaniem, bo pamięta rozmowę z klerykiem na ten temat. Admirał, który to dostrzega, spieszy mu z pomocą.

– Od rodzaju filozofii, jaki zawierają – precyzuje.

– Te z pewnością nie mają nic z Arystotelesa – śmieje się Bringas.

Księgarz obojętnie wskazuje na skrzynie z książkami.

– Właśnie dostałem dwadzieścia egzemplarzy *La fille naturelle*. I zostało mi jeszcze kilka *L'Académie des dames*... Mam też *Vénus dans le cloître* i londyńskie wydanie *Anecdotes sur Madame la comtesse Du Barry*, które cały czas świetnie się sprzedaje.

– Vidal, posłuchaj – przerywa mu ze śmiechem Bringas. – Ci panowie nie po to tu przyszli.

Księgarz patrzy na niego zaskoczony.

– Chcą prawdziwej filozofii?

– Właśnie.

– Też coś się znajdzie... *L'An 2440 Merciera*, która to książka została w Hiszpanii spalona, więc wrywają mi z rąk każdy egzemplarz. Mam też kilka rzeczy Helwecjusza, Raynała, Diderota i *Dictionnaire philosophique* Woltera... Ten ostatni doczekał się wysokiej ceny, w przeciwieństwie do *Emila* Rousseau, który ma tak wiele wznowień, że można go wszędzie znaleźć, i dlatego nikogo nie interesuje.

– Poważnie? – dziwi się don Hermógenes.

– Jak najbardziej. Woltera zaś najczęściej konfiskuje policja. Przez to jest bardzo drogi.

– Ci panowie szukają *Encyklopedii*.

– Nie sądzę, żeby z tym był problem. Nie mam jej w tej chwili, ale łatwo można ją zdobyć. Pozwólcie, że wykonam kilka ruchów.

– Mają na myśli pierwsze wydanie.

Vidal się krzywi.

– Ach, z tym jest najtrudniej. Przestali je publikować i ludzie wolą nowsze wydania. Nie wystarczy któraś z tych wersji wydanych za granicą? W wielu z nich oryginalny tekst poprawiano, jak się mówi, a inne znów są identyczne z pierwszą edycją. Myślę, że mógłbym dla panów zdobyć na przykład dobry przedruk z Livorno, przeznaczony dla arcyksięcia Leopolda, złożony z siedemnastu tomów haseł i jedenastu tomów ilustracji... Mógłbym też spróbować znaleźć wydanie Cramera z Genewy.

– Obawiam się, że panowie przyjechali z jasno określonym celem – oponuje Bringas.

– To musi być wydanie oryginalne – potwierdza don Hermógenes. – Dwadzieścia osiem tomów wydanych pomiędzy rokiem tysiąc siedemset pięćdziesiątym pierwszym a siedemdziesiątym drugim... Nie ma sposobu, żeby je dostać?

– Można spróbować, ale będę potrzebował kilku dni. I niczego nie mogę gwarantować.

Admirał podchodzi do skrzyń z książkami. W większości mają miękkie niebieskie lub szare okładki. W porównaniu ze smrodem dobiegającym z ulicy zapach nowego papieru i świeżej farby drukarskiej wydaje się przyjemnymi perfumami, które na chwilę pozwalają zapomnieć o całej reszcie.

– Pozwoli pan, że rzucę okiem?

– Naturalnie – odpowiada Vidal. – Proszę oglądać wszystko poza tymi tytułami na wierzchu. Nie sądzę, żeby pana zainteresowała *Liturgie pour les protestants de France* czy też książeczki madame Riccoboni.

Don Pedro zdejmuje książki leżące na wierzchu jednej ze skrzyń i patrzy na te, które znajdują się pod spodem: *La chandelle d'Arras*, *Le Parnasse libertin*, *La putain errante*, *L'Académie des dames*... Ta ostatnia, oprawiona w hiszpańską skórę, to ładne, duże wydanie *in octavo*.

– To coś dobrego?

– Nie wiem. – Vidal drapie się po nosie. – W moim fachu dobra książka to taka, która się sprzedaje.

Admirał kartkuje ją powoli, zatrzymując się na bardzo wymownych ilustracjach. Na jednej z nich zmysłowa dama z odsłoniętą piersią i spódnicą uniesioną powyżej atrakcyjnych ud, rozchylnych pod kątem około stu czterdziestu stopni, przygląda się z najwyższym zaciekawieniem uniesionemu członkowi młodzieńca, który stojąc przed nią, zabiera się do rzeczy. Przez chwilę rozbawiony admirał czuje pokusę, żeby pokazać to don Hermogenesowi, ciekawy jego reakcji. Ale jako że jest litościwy, porzuca ten zamiar.

– Rozumiem, że to drogie książki – zwraca się do księgarza.

– Nie mają stałej ceny – odpowiada Vidal. – Tanieją i drożeją w zależności od tego, ile ich jest na rynku albo ile z nich uda się władzom upolować i skonfiskować. *L'Académie des dames* na przykład to książka bardzo poszukiwana. Często o nią pytają, ale ma zbyt wiele wydań. To jest jedno z nowszych, wykonane w Holandii, zawiera trzydzieści siedem ilustracji. Sprzedają je po dwadzieścia cztery liwry.

Zaciekawiony don Hermógenes w końcu podchodzi do admirała i pokazuje, że chciałby spojrzeć na książkę, którą don Pedro trzyma otwartą na stronie z ilustracją; ten pokazuje mu ją zaskakująco szybko, a bibliotekarz, zgorzony, cofa się gwałtownie, jakby zobaczył diabła.

– To zabawne – mówi admirał. – Kiedy myśli się o nielegalnych publikacjach, raczej człowiekowi przychodzi do głowy Wolter, Rousseau,

d'Alembert...

Vidal wzrusza ramionami. To tylko pozory, odpowiada. Tak się tylko wydaje. Książki prawdziwie filozoficzne stanowią jedynie wąski fragment sprzedaży. Jest na nie popyt, i to spory. Jednak największa część rynku zakazanych książek to publikacje zupełnie innego rodzaju. W każdym razie wszystkie zjawiają się tu w ten sam sposób – wydaje się je w Szwajcarii albo Holandii, do Francji przywozi bez okładek, w arkuszach ukrytych pośród innych, niewinnie wyglądających druków, a tutaj wykańcza się je i dystrybuuje.

– Inne znów przywożą przemytnicy bezpośrednio z zagranicy – dodaje Bringas. – Kiedyś nawet chciałem się tym zająć, woziłem książki ze Szwajcarii do Hiszpanii, ale skończyłem z tym. To było zbyt niebezpieczne.

– To prawda – poświadcza księgarz. – Dlatego te edycje są drogie, bo nie zawsze udaje się tanio przekupić celników i strażę... A gdyby coś źle poszło, ci, którzy transportują książki, ryzykują, że wypalą im znamię na ramieniu, a potem ześlą na galery.

– A dlaczego działa pan w tej dzielnicy? – interesuje się admirał.

– Wcześniej miałem spółkę z krewniakiem, niejakim Dulukiem, który posiadał niewielką czytelnię na nabrzeżu des Augustins...

– Znałem Duluca – mówi Bringas.

– To nie był zły człowiek, pamiętasz? – Vidal zwraca się teraz do akademików: – Ja byłem w rozjazdach, a on zajmował się sprzedażą. Aż jakiś policjant zarobił mniej, niż się spodziewał, zarekwirowali nam pięć tysięcy liwrów w dziełach filozoficznych zbyt dobrze ilustrowanych, rozumiecie panowie, i Duluca posłano prosto do Bastylji... A ja trafiłem tutaj.

– To nie jest złe miejsce – stwierdza Bringas.

– Jasne, że nie... Nikt nie zwraca na mnie uwagi, wszyscy sąsiedzi są ślepi i niemi, żyją i pozwalają żyć. Ludzie zjawiają się i znikają w głębi jatek i ten ciągły ruch zapewnia mi niezłą ochronę. Przychodzi ten, kto ma przyjść, płacę dzielnicowemu i nikomu nie przeszkadzam.

– I co cztery tygodnie zamykasz sklep, ładujesz wóz pełen ukrytych książek i jedziesz na prowincję, oferując nowości.

– Mniej więcej tak jest.

Admirał odkłada *L'Académie des dames* na miejsce.

– To ciekawe – mówi.

– Na pewno jej pan nie chce? – dopytuje księgarz. – Wątpię, czy w Hiszpanii uda się panom dostać coś podobnego.

1. Ulice Szczurza, Wołowej Nogi, Pierdnięcia Diabła.

6. URAZY KLERYKA BRINGASA

Iluz tam się spotykało naszych rodaków, zbuntowanych
przeciw jarzmu despotyzmu i nietolerancji!

M.S. Oliver, *Hiszpanie w rewolucji francuskiej*

Henriette, córki właścicieli usługującej w hotelu Roi Henri, nie trzeba długo namawiać do grzechu i Pascual Raposo dość szybko dowodzi tego czynem. Za każdym razem kiedy dziewczyna przychodzi do pokoju pod byle pretekstem – pościelić łóżko, przynieść świece albo olej do lampy – były kawalerzysta bada ją dogłębnie, wdziera się na niedostępne tereny, nie napotykając specjalnego oporu. W tej chwili – jest druga po południu – dziewczyna stoi przyparta do muru, spojrzenie jej wylupiastych oczu przyzwala, podczas gdy usta odmawiają i śmieją się równocześnie, a ręce Raposa wspinają się dzielnie pod bluzką z grubego płótna, macając zachłannie białą, gładką skórę piersi kołyszących się między jego palcami, co powoduje gwałtowną erekcję członka przyciskanego do ud Henriette, która opiera się i wyswobadza dokładnie w chwili, kiedy on rozlewa się we własne spodnie ze zwierzęcym pomrukiem. Dziewczyna, słysząc go, wybucha bezczelnym śmiechem, po czym wygładza bluzkę, znika za drzwiami i szybko niczym wiewiórka zbiega po schodach.

Oparty o ścianę, Raposo odzyskuje dech w piersiach. Potem zamyka drzwi, dotyka ze wstrętem mokrej plamy na spodniach i podchodzi do okna wychodzącego na rue de la Ferronnerie. Roi się tam od ciżby. Przed jednym ze sklepików mieszczących się w budynkach przyległych do starego cmentarza Niewiniątek, pod popiersiem i marmurową tablicą głoszącą, że

w tym miejscu w 1610 roku fanatyk o nazwisku Ravailac zamordował Henryka IV, ślusarz piłuje metalowy element oparty o ławkę stojącą przy otwartych drzwiach, gdzie wywieszono niezwykłą mnogość kłódek i zasuwek. Kiedy Raposo spogląda na ślusarza, promień słońca rozświetla jego twarz, dzięki czemu jego odbicie w szybie staje się wyraźniejsze: włosy w nieładzie, dwudniowy zarost, oczy podkrążone ze zmęczenia. Niemal całą noc spędził bezsennie, nie mogąc zmrudzić oka aż do rana, przewracał się w wymiętej pościeli, wyczyścił buty, szablę, pistolet, nakręcił zegarek, usiadł przy oknie, żeby patrzeć na cienie i gwiazdy. Tak się dzieje zawsze, kiedy boli go żołądek, a teraz zdarza się to coraz częściej, gdy w przeklętym pólśnie zatapia się w czymś przypominającym gęsty, szary jak rtęć ocean, po którym pływają niemiłe wspomnienia i upiory stworzone przez jego wyobraźnię. Ostatnio nocami wszystko zmienia się w niepokój, bo sama myśl, by zasnąć i zapomnieć o bólu, a równocześnie ulec zjawom, wydaje mu się przerażająca.

W oddali, na pełnej ludzi ulicy, widzi zbliżającego się Milota. Policjant idzie w trójgraniastym kapeluszu zsuniętym na tył głowy, rozpięty prochowiec powiewa mu po bokach niczym skrzydła złowieszczonego ptaka, w ręku trzyma sękatą laskę z brązową rękojeścią. Raposo podchodzi do miednicy stojącej pod kolorowanym portretem starego króla Ludwika XV w płaszczu z gronostajów, przylepionym do muru okruszynami chleba, nalewa wody i myje twarz. Potem wkłada kurtkę i schodzi na parter, zapinając guziki dokładnie w tej samej chwili, kiedy przybysz przekracza próg.

– Witaj, kolego – mówi Milot.

Hotelarz – nazywa się Barbou – siedzi przy drzwiach jak zazwyczaj, jego żona i córka kręcą się w pobliżu. Raposo i policjant wychodzą na

spacer. Milot ma nowe wieści, bo na jego polecenie dwóch zbirów pilnuje w ostatnich dniach hiszpańskich akademików.

– Nadal szukają – mówi krótko, przeglądając zapisany ołówkiem zatłuszczony notes, który wyjmuje z płaszcza. – I cały czas jest z nimi ten facet, Bringas... Wczoraj byli u handlarza zakazanymi książkami o nazwisku Vidal, ale, jak się wydaje, bez większych sukcesów.

– Czy w tej kwestii możemy przysporzyć im problemów?

– Z tego, co wiem, to nie. Najwyraźniej ograniczyli się do rozmowy. Księgarz sprzedaje dzieła filozoficzne i wyuzdane, ale twoi kumple nie kupili niczego, co mogłoby ich skompromitować.

– A co robili potem?

Policjant zagląda do notatek.

– Nic, co by cię szczególnie zaciekało... Rozglądali się po księgarniach i straganach bukinistów na prawym brzegu, po czym przeszli się po Saint-Honoré, oglądając sklepy, a potem poszli na bulwary i tam odwiedzili muzeum figur woskowych... Kolację zjedli w hotelu Bourbon, miejscu eleganckim. Mam nawet ich menu – szynka, ostrygi, pasztet i dwie butelki burgunda, z których półtorej wypił ów Bringas.

Minęli znajdujący się obok cmentarza targ, gdzie o tej porze kramy z owocami i warzywami są zamknięte, teraz przechodzą obok stoisk z używaną odzieżą na sąsiednim placu. Nie ma wiatru, panuje wilgotny upał. Milot poci się w płaszczu, językiem zwilża wargi.

– Dziś rano osobiście ich śledziłem – dodaje. – Najpierw odwiedzili dwie księgarnie, wypili coś dla ochłody w kawiarni de la Grille i przeszli się po Polach Elizejskich.

– Cały czas jest z nimi kleryk?

– Nie odstępuje ich na krok. Nigdy wcześniej nie trafiła mu się taka gratka, je i pije do woli, i to za darmo, i prowadzi ich do coraz droższych

miejsc.

Schodzą powoli w stronę Sekwany rue des Lavandières, pełną ludzi. Milot lekkim uderzeniem laski odpycha czyścibuta, który tarasuje przejście skrzynką ze szczotkami i pastami.

– Natomiast na Polach Elizejskich, niedaleko rogatek na placu Ludwika XV, doszło do ciekawego spotkania, które może cię zainteresować... Obserwowałem ich z daleka, kiedy podszedł do mnie szef tamtejszych strażników, Szwajcar o nazwisku Federici, mój dobry znajomy. I kiedy tak rozmawialiśmy, a on skarżył się na fircyków ze szlachty, którzy wbrew oficjalnym zakazom jeżdżą tamtędy konno, zauważyłem, że kleryk zbliżył się, by pozdrowić grupkę spacerowiczów – dwie bardzo eleganckie panie, jedną ubraną na zielono, drugą na niebiesko, z parasolkami i w kapeluszach ze wstążkami, którym na spacerze w alejach towarzyszyło dwóch panów... Jeden nosił Order Świętego Ludwika. To wzbudziło moją ciekawość i spytałem Federiciego, kto to taki.

Raposo spogląda na niego z zaciekawieniem. Milot zatrzymuje się, zdejmuje kapelusz i przesuwa ręką po łysej czaszce pokrytej kroplami potu.

– Ten z orderem to niejaki Coëtlegon, były wojskowy, a ten drugi to fryzjer o nazwisku Des Veuves, osoba bardzo teraz popularna w Paryżu, dzięki damom z dobrego towarzystwa zarabia krocie.

– Dlaczego?

– Wyobraź sobie, że fryzjerzy i krawcy są panami tego miasta, dzięki tym wszystkim perukom, strojom i uczesaniom według najnowszej mody. Dziś w Paryżu wszyscy się noszą *à la Des Veuves*, bo podobno kiedyś ten gość czesał księżną de Lamballe, najbliższą przyjaciółkę królowej. No i co ty na to?

– W Madrycie jest tak samo... Tyle tylko że tam wszystko dzieje się sześć miesięcy później, kiedy docierają te wasze cholerne ilustrowane

gazety.

Milot śmieje się, wycierając okropnie pomiętą chustką otok kapelusza.

– Jedną z tych pań, tą w zielonej sukni, była malarka Adélaïde Labille-Guiard. A ta ubrana na niebiesko to madame Dancenis... Mówi ci to coś?

– Nic. A powinno?

– No pewnie, człowieku. – Milot wkłada kapelusz i rusza przed siebie. – To wasza rodaczka.

– Hiszpanka? O takim nazwisku?

– To po mężu: Pierre-Joseph Dancenis był królewskim komisarzem zaopatrzenia i zarobił fortunę na handlu nieruchomościami. Poprzednio kierował francuską misją handlową w San Sebastián, gdzie poznał swoją żonę, ożenił się z nią i tu ją przywiózł. Mają wspaniały dom przy rue Saint-Honoré i letnią posiadłość niedaleko Wersalu.

– Wiesz może, jak owa dama nazywała się w Hiszpanii?

– Echarri, to jej nazwisko rodowe. Teraz Margarita Echarri de Dancenis. Jest córką finansisty z San Sebastián.

Raposo wyteża pamięć.

– Był pewien Echarri, mam wrażenie, w banku San Rafael, zatrudniony tam aż do bankructwa instytucji.

– To pewnie ten. Ale to bardzo zamożni ludzie... Ona przywykła do luksusu – elegancka, bogata, kobieta modna – organizuje u siebie słynne wieczory: dyskusje filozoficzne i literackie w salonie, gdzie we środy przyjmuje gości.

– W jakim jest wieku?

– Dobrze po trzydziestce. Może i starsza. Złośliwi mówią, że świetnie wygląda jak na czterdziestkę... Jasna skóra i ciemne, wielkie oczy. To jedna

z tych pięknych kobiet doskonale świadomych swojej urody. I umiejących ją wykorzystać.

– A co ona ma wspólnego z klerykiem Bringasem? Jakoś do siebie nie pasują.

– Zaraz zaczniesz pasować, tylko ci opowiem.

– No to mów.

I Milot, który jest niezłym narratorem, zaczyna. Federici – Szwajcar, o którym opowiadał Raposowi przed chwilą – jest szefem strażników na Polach Elizejskich; to człowiek drażliwy i poważny, pozbawiony wyobraźni, jak to każdy dobry Szwajcar, ale właśnie dlatego nie zapomina żadnego nazwiska, żadnej twarzy ani żadnego szczegółu, jakie spotka na swoim terytorium. I według niego ów kleryk Bringas, choć nie jest typem godnym polecenia – utrzymuje, że siedział w więzieniu za publikowanie pamfletów politycznych, a tymczasem powodem była sprzedaż pornografii – jest jednak osobą wykształconą i kulturalną. A przynajmniej za taką uchodzi. Knuje po kawiarniach literackich i filozoficznych, ale podoba się też w niektórych kręgach śmietanki towarzyskiej Paryża, gdzie jest uznawany za zabawnego z powodu egzaltowanego charakteru, i bywa przyjmowany w kilku dobrych domach, w tym u pana Dancenisa, gdzie przed jego małżonką gra rolę mniej więcej utalentowanego błazna.

– Wszystko jasne, kolego?

– Doskonale.

Dotarli na nabrzeże de l'École przy Starym Luwrze. Milot opiera się łokciami o kamienną balustradę, a Raposo staje obok. Widok stąd jest wspaniały: Pont Neuf pełen powozów jeżdżących pomiędzy brzegami, obok ostroga wyspy z katedrą Notre Dame wbijająca się w nurt Sekwany. A na rzece widać mnóstwo szkut i barek, pływających albo zacumowanych u brzegu, tworzących jakby grona.

– Nie dziw się specjalnie – mówi Milot – jeśli twoje dwa ptaszki wylądują któreś środy u państwa Dancenis. Dziś rano Bringas przedstawił ich tej pani na Polach Elizejskich, a potem żywo rozmawiając, poszli razem do jej powozu czekającego na placu Ludwika XV.

– Wszyscy razem?

– Tak jak ci mówię. Na moich oczach i przed Federicim, który stał wiernie obok mnie niczym bernardyn i interpretował każdy gest.

Raposo odwraca się i stojąc tyłem do rzeki, opiera łokcie na balustradzie. Przed nim wznosi się dzwonnica Saint-Germain-l’Auxerrois. Jak słyszał, przed tym kościołem doszło do niezłej jatki w noc świętego Bartłomieja, kiedy paryski lud urządził polowanie na protestantów. Żeby potem opowiadali, mówi w myśli, o barbarzyństwach Hiszpanów i tamtejszych zakonników. Inni plują, a tobie dają po mordzie.

– Będę musiał zebrać informacje o państwie Dancenis. Na wszelki wypadek.

– Chętnie podzielę się wiedzą, żebyś potem nie mówił, że nie zarobiłem na ludwiki, które mi już dałeś. I na te, które jeszcze mi skapną.

– Mają dużo pieniędzy?

– Mnóstwo. Mogliby kupić ciebie i mnie za to, co wydają na jedną kolację.

– A ona?

Milot spogląda na niego przebiegle.

– Co ona?

– Sam wiesz. – Raposo z palca wskazującego i kciuka robi kółko i wkłada do środka palec drugiej ręki. – Ma kochanków?

Policjant śmieje się wulgarnie, odsłaniając zniszczone zęby i dziąsła.

– Jesteśmy w Paryżu, pępku dwornego świata i tego całego gówna... Sama królowa daje najlepszy przykład: mężowie, poczuwszy od samego króla, noszą rogi równie swobodnie jak wypomadowane peruki... Pani Dancenis też przypisuje się różne historie, jasna sprawa. A przynajmniej jest adorowana, bo pozwala się adorować. Jej prawowity małżonek jest człowiekiem spokojnym, wycofał się już z interesów i korzysta ze spokojnego żywota. Ma dużą bibliotekę, w której spędza większość czasu. I z tego, co wiem, posiada *Encyklopedię*... Może stąd jakiś związek z twoimi podróznymi.

– Udałoby się to sprawdzić?

– Jasne. Wszędzie tam, gdzie są lokaje i służący – a państwo Dancenis mają ich sporo – można zebrać informacje.

– Czyli to zostawiam tobie.

– Możesz być spokojny. Zaufaj staremu Milotowi... Dowiesz się wszystkiego, jakbyś sam tam był.

Policjant poklepuje Raposa przyjacielsko po ramieniu i wskazuje tawernę stojącą po drugiej stronie wjazdu na most.

– Jestem głodny – stwierdza, głaszcząc się po brzuchu. – A ty jadłeś coś?

– Jeszcze nie.

– Co byś powiedział na smażone świńskie ucho z kilkoma szklanicami czerwonego winka, żeby się lepiej myślało?

– Zgoda...

– Ty zapraszasz, rzecz jasna. W podziękę za mój wkład.

– Nawet o tym nie marz!

– No to zagramy w kości. Zgoda?

Po drodze mijają ładne kobiety, za którymi Raposo wodzi wzrokiem. Podobają mu się Francuzki, stwierdza kolejny raz. Nie udają skromniś jak Hiszpanki, zawsze ściskające w dłoniach różaniec i książeczkę do nabożeństwa. Nawet kiedy się uśmiechają do mężczyzny, to tak, jakby robiły mu łaskę.

– Masz tu jakieś rozrywki? – interesuje się Milot bezczelnie.

– Daję sobie radę.

– Jak będziesz chciał, pójdziemy razem w miasto, mogę ci polecić parę zaufanych panienek. – Policjant śmieje się obleśnie. – Podczas twojej ostatniej wizyty w Paryżu całkiem dobrze się bawiłeś, jeśli się nie mylę.

– Będę pamiętał.

– To dobrze. Bo nie radzę ci polować na ślepo. Cały czas wysyłamy dziwki do szpitala Świętego Marcina, większość z nich jest zarażona... Chwila nieuwagi i za niewielkie pieniądze zostajesz pułkownikiem kawalerii: resztę życia spędzasz na drapaniu się między nogami.

O tej samej porze obydwa akademicy i kleryk Bringas znajdują się na przeciwnym biegunie – mówiąc w terminach moralnych – dialogu prowadzonego przez Raposa i jego kompana Milota. W Hiszpanii jest dziś święto; don Hermógenes właśnie uczestniczył w nabożeństwie w Notre Dame i po słowach *Ite, missa est* wychodzi z katedry, by spotkać się z admirałem i klerykiem, czekającymi w podcieniach pełnych świętych i królów. Przed mszą admirał towarzyszył przez chwilę bibliotekarzowi, oglądając z chłodną ciekawością ogromną nawę najważniejszego paryskiego kościoła; kiedy jednak rozpoczęto obrzędy religijne, wyszedł na ulicę, żeby zaczekać w towarzystwie Bringasa, który z dezaprobatą i posępną miną pozostał na zewnątrz.

– I jak msza? – grzecznie okazuje zainteresowanie admirał.

– Wzruszająca w tej scenerii. Choć nie ma tu niczego, czego nie byłoby w katedrach w León czy Burgos... Budowla jest wspaniała, ale rozczarowały mnie witraże. Czytałem, że przydają katedrze tajemniczego, niemal magicznego światła.

– I tak było – potwierdza Bringas. – Ale dawno temu wymieniono je na białe szkło.

– W każdym razie to niezwykle kościół... Nie uważa pan?

Bringas marszczy brew.

– Wydaje mi się zbyt cenny, skoro pan pyta. Jak wszystkie kościoły, czy to okazałe, czy skromne. Pełne symboli negatywnych dla ludzkości.

– Jednak proszę przyznać: to arcydzieło architektury.

Jakby go ukąsił wąż, Bringas obraca się gwałtownie, wskazując na pozostawioną w tyle katedrę, przypominającą ogromny statek tkwiący na mieliźnie przy brzegu rzeki.

– Wie pan, ilu robotników spadło z rusztowań podczas budowy tego pomnika zaborcy i pychy? Setki! Może nawet tysiące. Wyobraża pan sobie, ile głodnych ust można byłoby nakarmić za to, ile kosztował ten kamienny nonsens?

– W każdym razie to niezastąpiony nonsens – protestuje don Hermógenes.

– Ja raczej kazałbym go zburzyć, niż zastąpić. W Paryżu, tak jak i w reszcie Europy, żeby nie wspominać Hiszpanii, jest za dużo kościołów. Wiecie panowie, ile mszy się odprawia w tym mieście każdego dnia? Cztery tysiące. Każda po piętnaście soli, co znaczy, że na religię płaci się każdego dnia... No... Właśnie...

Zaczyna niepewnie liczyć na palcach. Z pomocą spieszy mu admirał.

– Trzy tysiące liwrów – stwierdza oschle. – Co daje cztery miliony w ciągu roku.

Bringas triumfalnie uderza ręką w drugą dłoń, ściśniętą w pięść.

– No właśnie! Piękny dochód, słowo daję... I to nie licząc tacy ani ofiary na świętych i Matki Boskiej.

– Ale to dobrowolne ofiary – dowodzi don Hermógenes. – W Paryżu panuje godna zazdrości swoboda wyznania, niech pan przyzna.

– Przyznaję, oczywiście. Jeśli ktoś nie chce, ksiądz w najmniejszym stopniu nie zawraca człowiekowi głowy. A jak ktoś choruje, klecha nie przychodzi cię męczyć, chyba że go wezwiesz... Albo jesteś tak znany, że Kościół chce na tym skorzystać. Największym marzeniem każdego proboszcza jest opatrzyć ostatnim namaszczeniem filozofa i rozgłosić to na niedzielnym kazaniu.

Nagle Bringas zatrzymuje się i unosi palec, jakby właśnie wpadł na myśl godną specjalnej uwagi.

– Mają panowie ochotę na spacer? Chciałbym wam pokazać inny rodzaj świątyni, jeszcze bardziej złowieszczy.

Idąc za nim, przechodzą przez most łączący wyspę z prawym brzegiem. Właściwie jest to pasaż z wielopiętrowymi budynkami po obu stronach, które przesłaniają widok na Sekwanę, na parterze zaś mieszczą się sklepy ze starymi książkami i dewocjonaliami.

– W każdym razie – stwierdza Bringas, patrząc ze złością na stragan pełen różańców, krucyfiksów i świętych obrazków – warto zapamiętać, że księża niedawno odmówili chrześcijańskiego pochówku Wolterowi...

Rzucił to nazwisko z taką swobodą, że don Hermógenes spogląda na niego, naiwnie zaciekawiony.

– Czy spotkał pan Woltera? Poznał go?

Kleryk robi kilka kroków ze spuszczoną głową. Przeżuwa widocznie stary uraz, najwyraźniej palący mu trzewia. W końcu prostuje się energicznie i otwiera ramiona, jakby chciał objąć cały świat.

– Ach, Wolter! – wykrzykuje. – Wielki zdrajca ludzkości!

– Zdziwiał mnie pan. – Bibliotekarz jest zaskoczony.

Kleryk niemal przebija go płomiennym wzrokiem.

– Tak pan mówi? A jakże ja byłem zdziwiony, kiedy człowiek, który odmienił sposób myślenia naszych czasów, sprzedał swoje pierworództwo za miskę soczewicy u możnych tego świata.

– Co też pan opowiada?

– To, co pan słyszy. Samotnikowi z Ferney tak naprawdę nie bardzo podobała się samotność, za to pochlebstwa, władza, pieniądze, poklepywanie po plecach przez tych samych kretynów, których podobno zwalczał swoimi pismami, owszem... Nikt nie potrafił tak jak on wyśliznąć się niczym węgorz z meandrów niebezpiecznych polemik, które prowadziły jego wyznawców do więzienia albo na szafot... Nikt tak sprawnie jak on nie potrafił ominąć przeszkód... Racja, zawsze z niezwykłym talentem grożąc, jednak nigdy nie zadając ostatecznego ciosu. Dlatego jego nieprzeciętna inteligencja nie zasługuje na ludzkie wybaczenie.

– Do licha. Kogo więc pan by ocalił?

– Kogo? Kogo, pyta pan? Wielkiego, szlachetnego, najuczciwszego... Jedyne czyste spośród nich wszystkich. Wielkiego Jana Jakuba.

Bringas idzie kilka kroków dalej i zatrzymuje się, unosząc ręce do twarzy w dramatycznym geście. Potem znów rusza.

– Do tej pory płaczę rzewnie, kiedy wspominam nasze spotkanie...

– Coś takiego – interesuje się admirał. – Znał pan Rousseau?

– Tylko przelotnie – wyjaśnia kleryk. – Rozpoznałem go, jak wychodził z domu przy Plâtrière, swojego Getsemani: ulicy najuboższej, najbardziej niewygodnej i najnędniejszej w całym mieście, gdzie wskutek prześladowań i poniewierki zamieszkał potajemnie, biedny i nieufny, szkalowany przez Woltera, Hume'a, Mirabeau i wszystkich

najważniejszych ze swego plemienia... To było czwartego maja roku siedemdziesiątego ósmego, zostały mu już tylko dwa miesiące życia... Ten bohaterski dzień zaznaczyłem kredą w kalendarzu mojego żywota. Zdjąłem kapelusz, pamiętam, że peruka upadła mi na ziemię, zatrzymałem się, żeby w głos wiwatować na jego cześć. Spojrzał na mnie, przechodząc obok: dwa spojrzenia, dwa umysły i jedna jedyna dusza... To było wszystko.

Don Hermógenes wydaje się rozczarowany.

– To wszystko?

– Tak, wszystko. – Bringas przygląda mu się z ukosa. – Uważa pan, że to mało?

– Nie rozmawiał pan z nim?

– A po co? Całymi latami prowadziłem z nim dialog poprzez jego pisma. I tak od razu wiedziałem, że ten wielki filozof za sprawą nadzwyczajnej intuicji rozpoznał brata bliźniaka, lojalnego przyjaciela. I uśmiechnął się do mnie tymi swoimi ustami, jakże wymownymi, jakże szlachetnymi, jakże...

– Wygłodzonymi? – ryzykuje admirał, nie mogąc oprzeć się pokusie.

Dziki spojrzenie Bringasa nie wpływa ani trochę na niezmałcony, zawsze grzeczny uśmiech akademika.

– Chyba nie drwi pan sobie ze mnie? – pyta kleryk.

– Absolutnie.

– A tak wygląda, po prawdzie.

– Nie, wcale nie...

– Tak, Rousseau, ni mniej, ni więcej! – Bringas wraca do tematu po paru sekundach gorzkiej zadumy. – Nadal go prześladują i oczerniają różni pozbawieni sumienia duchowni... Sami panowie wiedzą: miłosierdzia tylko tyle, ile niezbędne. Tak to jest. Kler, ci księża najbardziej wsteczni, nigdy nie wybaczą płomienia rozumu... Nędzne psy!

– Ależ, mój panie – protestuje don Hermógenes. – Żeby od razu psy...

– Żadne: „mój panie”, żadne gadanie... Jest tak, jak mówię. Psy od pyska po ogon.

Pozostawili za sobą most i plac de Grève, teraz idą nad brzegiem rzeki rozległym bulwarem, mijając liczne zacumowane barkasy i szopy, gdzie magazynuje się siano dla koni w tysiącach zaprzęgów blokujących ulice Paryża.

– Ale nie tylko oni się spsili – dodaje Bringas parę kroków dalej. – Rousseau był jedynym nieskazitelny. Inni... Ach, ci inni. Salonowi filozofowie, tylko zabawiający towarzystwo ze swojej fałszywej pozycji autorytetu, schlebiający wypomadowanym i leniwym arystokratom...

Słońce bardziej jeszcze wydłuża groteskowy cień kleryka, jego wąski, wytarty żakiet, pocerowane wełniane pończochy, zatłuszczoną perukę pełną kołtunów, które podkreślają jego obszarpaną i nędzną aparycję. Od czasu do czasu Bringas podejrzliwie chowa brodę w pogniecionej chustce, którą nosi na szyi, i za każdym razem zarost na brodzie, wołający o brzytwę golarza, głośno trze o poźółkły jedwab.

– Teraz bardziej niż kiedykolwiek – odzywa się wreszcie – ludzkość potrzebuje nas, zuchwałych i odważnych, nieprzekupnych artylerzystów, którzy ostrzelamy bombami Dom Boży.

Don Hermógenes chrząka, skrępowany obsesjami kleryka.

– Szanowny panie, szanuję pańskie przekonania, tak samo jak szanuję zdanie każdego człowieka, ja jednak wierzę w bliskość Boga poprzez jego dzieło... W sumie... Religia...

Tu przerywa, bo Bringas, który stanął naprzeciwko niego, przesywa go morderczym wzrokiem.

– Religia? Proszę mnie nie rozśmieszać, bo jestem jeszcze bez obiadu i zaraz padnę.

– Wystarczyło powiedzieć – zauważył admirał, dotykając kieszeni w kamizelce.

Z filozoficzną wzdumą, choć nie bez widocznej walki wewnętrznej Bringas odrzuca na razie propozycję posiłku.

– To może zaczekać... Proszę mi pozwolić najpierw powiedzieć pańskiemu towarzyszowi, że dzikus błąkający się po amerykańskiej puszczy, przyglądający się niebu i naturze i rozumiejący w ten sposób swojego jedyne go pana, jakiego zna, czyli prawo naturalne, jest bliżej idei Boga niż mnich zamknięty w celi czy mniszka pieszcząca powstałe w jej żarliwej wyobraźni widma... I przy okazji sama się nimi pieszcząca.

– Na Boga, mój panie – oburza się don Hermógenes. – Proszę zostawić mniszki...

Bringas wybucha sardonycznym, wręcz apokaliptycznym śmiechem.

– Wszystkie mniszki powinny zostać matkami... Dobrowolnie albo siłą.

– Chryste Panie! – Bibliotekarz odwraca się do admirała w poszukiwaniu pomocy i zdrowego rozsądku. – Nic pan nie powie na podobne barbarzyństwo?

– Nie mieszam się w sprawy mniszek – odpowiada akademik, wyglądający na wielce rozbawionego.

Czerpiąc siły z własnego oburzenia, don Hermógenes znów stawia czoła Bringasowi.

– W tych sprawach admirał jest, obawiam się, taki sam jak pan... Uznaje, że Bóg i rozum nie dają się pogodzić.

Teraz Bringas zwraca się do admirała, przyglądając mu się życzliwie.

– Czy to prawda? Jakie jest pańskie zdanie?

Tym razem don Pedro zwleka z odpowiedzią. W końcu udziela jej z elegancką obojętnością.

– Polemika między don Hermogenesem i mną trwa od dawna i nie umiem dać odpowiedzi... Krótko mówiąc, myślę, że jeśli Bóg jest pomyłką, nie może być pożyteczny dla rodzaju ludzkiego. A jeśli jest prawdą, powinien ukazać wyraźniejsze dowody materialne swojego istnienia.

– Idea Boga może być pożyteczna tak czy inaczej – upiera się bibliotekarz. – Niechże pan to przyzna.

– Nawet gdyby tak było, drogi przyjacielu, użyteczność opinii wcale nie stanowi o jej prawdziwości.

Jednak bibliotekarz nie składa broni.

– Jeśli chodzi o bogów – oponuje – od wieków ludzie zgadzali się co do ich istnienia. I sam pan wie: ponieważ stworzono nas dla prawdy, nie może nie być prawdą to, co do czego jesteśmy wszyscy zgodni.

Admirał uśmiecha się do niego sceptycznie.

– Opinia, jakobyśmy byli stworzeni dla prawdy, wydaje mi się dyskusyjna... Z drugiej strony ogólna zgoda ludzi na coś, czego nikt nie może wiedzieć, niczego nie dowodzi.

Minęli rzekę i poszli rue Saint-Antoine, pomiędzy sklepami z meblami, artystyczną stolarką i lustrami, których wystawy ciągną się aż do kościoła Sainte-Marie. Tam mieści się wąska i ciemna kawiarnia, do której Bringas wchodzi bez wahania, przypominając akademikom, że jeszcze nic nie jadł. Po wyjściu z lokalu, gdzie admirał zapłacił za dwie kawy z mlekiem i bułkę ze smalcem i suszonym mięsem dla kleryka, dalej się przechadzają. W oddali wznoszą się groźnie ciemne mury Bastylii.

– Byłem tam – niemal wypluwa z siebie Bringas, wskazując na nie. – Zabastyliowany po szyję w tej laickiej świątyni nierozsądku i tyranii.

– Składna definicja – zauważa admirał. – Godna słownika.

Bringas, z nieobecny spojrzeniem, poprawiając przekrzywioną perukę, wygłasza długą perorę. „Jest tylko jedna rzecz, której ludzie na wysokich stanowiskach publicznych od króla po ministra – mówi – obawiają się bardziej niż oświaty dla podwładnych, mianowicie pióra dobrych pisarzy”. Ludzi możnych skręca zawsze, kiedy któryś z bohaterów ludu, takich jak choćby sam Bringas, żeby nie szukać dalej, wyciąga na światło dzienne niegodziwości, jakich się bezwstydnie dopuszczają uprzywilejowani. Dlatego oskarżają ten głos ludu o nakłanianie do zbrodni, jeśli tylko są atakowani, poddają teksty publicznej cenzurze, wskutek czego są one masakrowane i pozbawiane najlepszych fragmentów, a pióro geniusza ginie pod okrutnymi nożycami wszystkiemu winnej miernoty.

– Czy panowie śledzą mój tok rozumowania?

– Co do joty – odpowiada admirał.

– I w tym dziele Kościół jest współwinowajcą, jeśli nie podżegaczem... Choć przynajmniej, jak mówiłem wcześniej, francuski kler otwiera się na nowe idee, a jego władza jest bardziej rozproszona i kontestowana niż w Hiszpanii, gdzie niesprawiedliwość zadomowiła się na ambonach i w konfesjonałach... Od mrocznych lat Trydentu odwracamy się plecami do przyszłości i zawsze się mylimy, i w kwestiach religijnych, i wskazując nieprzyjaciół...

– Zwłaszcza wskazując nieprzyjaciół – zgadza się admirał. – Wybieramy właśnie te narody, gdzie bardziej rozwinęła się prasa i wydaje się książki, w których odmalowują nas jak najgorzej.

– Ma pan rację – wyraża jednomyślność don Hermógenes. – Nawet w tym nie mamy szczęścia.

– Szczęście nie ma tu nic do rzeczy – protestuje admirał. – W przeciwieństwie do niechęci i braku zainteresowania sztuką, nauką i edukacją, dziedzinami, które czynią człowieka wolnym.

– Czysta prawda – podsumowuje Bringas. – Jest takie typowe hiszpańskie powiedzenie, które burzy we mnie krew, a którego często się używa w szkołach: to dziecko jest pokorne, mówi się. I uznaje się to za pochwałę, naturalnie... Po przetłumaczeniu oznacza to: już został zarażony, Bogu dzięki, tą bardzo hiszpańską chorobą uległości, hipokryzji i milczenia.

– Jednak w naszej ojczyźnie są także wykształceni duchowni – protestuje don Hermógenes. – Podobnie jak spotyka się tam arystokratów, mieszczan, a nawet ministrów zainteresowanych nowoczesną filozofią. Z czasem da nam to coraz więcej wolności i kultury. Będziemy mieć roztropnych władców, którzy – przynajmniej w tym, co ziemskie – zaprzestaną zgłaszania roszczeń do tego, co boskie.

– Niech się pan nie oszukuje – upiera się Bringas. – Jeśli pewnego dnia nadejdzie rewolucja...

– Nie mówię o rewolucji. To słowo...

Kleryk patrzy na ponure wieże Bastylli, jakby ich obserwacja albo jego osobiste wspomnienia zza tych murów dodawały mu energii. Dialektycznej urazy.

– A ja, owszem, mówię, i to z przyjemnością. Mówię o sprowadzeniu do poziomu zwykłego obywatela tych wszystkich władców, którzy powołują się na boskie prawo jako prerogatywę wobec narodu... O obniżeniu ich pozycji poprzez perswazję filozoficzną albo przez katowski topór.

Don Hermógenes podskakuje w miejscu i rozgląda się wokół zaniepokojony.

– Co za nieumiarkowanie... Niechże pan coś powie, admirale. Znaczy, coś sensownego.

– Nie ma mowy. – Wezwany się uśmiecha. – Moim zdaniem to bardzo miła rozmowa.

– O mój Boże!

Pochłonięty własnym wywodem Bringas nie zwraca na nich uwagi. Gdy docierają z powrotem nad Sekwanę, schodzą z rue Saint-Antoine i zapuszczają się w dzielnicę ubogo wyglądających uliczek. Pijana szmaciarka, siedząca obok taczki wypełnionej łachmanami, kłóci się z woźnicą, któremu tarasuje przejazd i który zsiadłszy z kozła dorożki, bije kobiecinę po twarzy ku uciechu sąsiadów przyglądających się tej scenie.

– Proszę na nich popatrzeć – mówi kleryk, wskazując w ich stronę. – Zdziczełi, wiodąc swoje małe, nędzne żywoty, nie rozglądając się po świecie. Nie wiedzą nawet o jutrzence idei, które ich wyzwolą... Nie zwracają uwagi na nic poza jedzeniem, piciem, swarami, spaniem i płodzeniem.

Ruszają przed siebie. Nieco dalej dwaj robotnicy kłócą się zawzięcie, ale milkną i zdejmują czapki, kiedy przejeżdża obok nich kabriolet powożony przez człowieka o wyglądzie bogatego handlarza.

– Popatrzcie na nich, panowie. – Bringas śmieje się z goryczą. – Pogodzeni z biedą, w której żyją, klękają, modlą się i całują po rękach księży i książęta dlatego, że ich rodzice, równie zidiociali jak oni sami, tego ich nauczyli... To nie tyrani stwarzają niewolników. To niewolnicy tworzą tyranów.

– Ale czasem lud wybucha – stwierdza don Hermógenes. – Tutaj już się to zdarzyło, jakieś pięć czy sześć lat temu. Rozruchy w Paryżu i Lyonie zwane wojną mączną, drożyzna chleba i tak dalej.

– Widzę, że jest pan dobrze poinformowany.

– Wystarczy czytać gazety, a w Madrycie sporo ich wychodzi. To nie Afryka.

– No tak... Ale sprawa chleba spęła na niczym. Płomień zapalił się i szybko zgasł. Wywrotowcy przyszli z zewnątrz, a lud Paryża pozostał bierny i tylko się przyglądał. Po czym wróciła beznadzieja. Albo nigdy nie zniknęła.

– Ale teraz zdarzają się różne incydenty... Czyż nie?

– Pojedyncze, bez znaczenia. Łatwe do opanowania. Sporadyczne awantury i publikacje wierszy przeciw królowej, coraz liczniejszych i coraz lepszych. Tu wystarczają dwa tysiące francuskich gwardzistów i szwajcarski regiment z Wersalu plus policjanci i kapusie, żeby utrzymać spokój. Nie ma jeszcze wśród ludu prawdziwej atmosfery... Jęczą, ale kiedy król przejeżdża karocą, jak ten sklepikarz przed chwilą, wszyscy biją brawo, bo władca ma buzię grzecznego chłopca. Albo dlatego, że królowa jest ciężarna. Jakby z tego można było wyżyć... Ale swoją drogą, przypomniał mi się pewien mój wiersz, właśnie o tym.

*Niewolnictwo dziwne dokoła,
tu, gdzie teraz jestem,
piechotą chodzi cnota,
a konno jedzie występpek.*

– Królowej raczej nie biją brawa – zauważa don Hermógenes.

– A za co mieliby bić? Za rozrzutność? Kochanków? Ciekawe, czyj jest ten delfinek, którego się teraz spodziewa Austriaczka. To będzie główny powód ruiny, uważam. Albo mam nadzieję. Nawet ważniejszy niż despotyczne państwo, bogactwo nielicznych i zrujnowane finanse. Te wszelkie kobiety, te Jezabele, Salome, żony Putyfara, panie Pompadour i panie du Barry swoimi gierkami doprowadzały do upadku mężczyzn i królestw... Tym sposobem historia niszczy występnych władców. Przez najpospolitsze grzechy.

Robi jeszcze kilka kroków, oczami ciskając gromy.

– Uśpieni nad krawędzią przepaści, którą dworzanie i oportuniści zdobią kwiatami – kończy niemal poetycko.

Don Hermógenes uważa, że nadszedł właściwy moment, by do rozmowy wprowadzić nieco zdrowego rozsądku.

– Ja jednak – dowodzi – uważam, że ten król, podobnie jak nasz, w Hiszpanii, to władca znany z dobroci serca, równowagi ducha i prostoty obyczajów... Gdyby udało mu się zaprowadzić spokojne rządy, poważną i sprawiedliwą dobroć, lud okaże mu wdzięczność...

– Niechże się pan nie oszukuje. – Bringas znów się wścieka. – Zarówno lud Francji, jak i Hiszpanii to narody rozpasane bez wolności, rozrzutne bez majątku, aroganckie bez odwagi, zakute w haniebne kajdany niewolnictwa i nędzy. Narody, które roznamiętniają się w kawiarniach i tawernach wolnością trzynastu kolonii amerykańskich leżących o tysiąc dwieście mil od nich, ale nie potrafią obronić własnej swobody. Leniwe bydło, któremu trzeba przetrzepać batem zady, żeby się ruszyło.

– Mój Boże!

Przy ogrodzeniu cmentarza Saint-Jean mijają kilka kwiaciarek. Admirał zauważa, że Bringas, mimo iż wygłasza pełną oburzenia przemowę, równocześnie sporo uwagi poświęca jednej z kobiet, młodej i krzepkiej, w dobrze wypełnionej bluzce i chuście na głowie; kwiaciarka bezczelnie im się przygląda.

– A kobiety? – pyta kleryk po kilku krokach. – Wiele z nich ma takie poglądy jak mężczyzna, przy którym rano się budzi... Wszystkie przestają być sobą około piętnastego, szesnastego roku życia i od tego momentu parzą się z niewolnikami, gotowe rodzić małych niewolników.

– Jednak szczęśliwość ludu... – zaczyna don Hermógenes.

– Ja wcale dla ludu nie chcę szczęśliwości – przerywa mu brutalnie Bringas. – Chcę wolności. Kiedy ludzie będą mogli z niej korzystać, czy znajdą szczęście, czy nie, to już będzie zależało od nich.

– Nowa filozofia do tego doprowadzi. Na pewno.

– Owszem, ale tłukąc po mordach. Lud jest zbyt nieokrzesany, żeby to pojąć. Dlatego musi przestać szanować tę władzę, która go gnębi... Musi ożyć duch prostego człowieka, żeby zawstydził się własnym niewolnictwem. Te roje dzieci pożerających wzrokiem jedzenie na wystawach luksusowych sklepów, mąż, ciężko haruje, żeby przynieść do domu kilka franków, i upijający się, by zapomnieć o nędzy oraz chlebie, opale i świecach, za które nie ma jak zapłacić, matka, odmawiająca sobie jedzenia, aby dzieci miały co włożyć do ust, i nakłaniająca do prostytucji własne córki, jak tylko osiągną odpowiedni wiek, żeby przynosiły do domu trochę grosza... To jest prawdziwy Paryż, nie ten z rue Saint-Honoré i bulwarów, wychwalany przez przewodniki dla podróżnych.

Wrócili na nabrzeże Sekwany. Stare miasto widać na drugim brzegu rzeki za murami wzniesionymi nad brzegiem: jest pstrokate, brudne, przykryte chmurą dymu i sadzy, która zdaje się wisieć ponad dachami i kominami.

– Jeśli wybuchnie rewolucja we Francji i Hiszpanii, w tym zgniłym świecie, w jakim żyjemy – ciągnie Bringas, przeżuając każde słowo, jakby w ustach smakowało goryczą – to nie rozpoczną jej ani wykształcone wyższe klasy z salonów, ani uległy, niepiśmienny lud, ani sklepikarze czy rzemieślnicy, którzy *Encyklopedii* nie czytają i nigdy czytać nie będą... Zaczną ją drukarze, dziennikarze, my, pisarze zdolni przekuć filozoficzne teorie w porywającą prozę. W fale nieubłaganego naporu, które zmiotą ołtarze i trony...

Kleryk opiera dłonie na kamiennej balustradzie z głośnym płasnięciem. Potem spogląda to w jedną, to w drugą stronę, na admirała i don Hermogenesa, po czym pochłania go kontemplacja rzeki.

– Nie ma lepszego sprzymierzeńca tyranów – mówi po długiej chwili milczenia – niż uległy lud, wierzący, że istnieje jakaś nadzieja, czy to na materialną poprawę, czy to na życie wieczne... Misją nas, władających piórem, naszą powinnością filozoficzną jest wykazanie, że takiej nadziei nie ma. Postawienie człowieka twarzą w twarz z rozpaczą. Dopiero wtedy ludzie powstaną, żądając sprawiedliwości albo zemsty...

W tym miejscu przerywa na chwilę, żeby splunąć głośno i obficie do zielonoszarej wody niosącej gałęzie, śmieci i truchła szczurów.

– Zbliży się godzina, w której nasze stulecie postawi szafoty i naostrzy gilotynę – dodaje na koniec. – A nic lepiej nie ostrzy gilotyny niż słowo drukowane.

– Kleryk Bringas jest najlepszym przykładem przedrewolucyjnego wzburzenia – stwierdził profesor Rico, zapalając entego już papierosa. – Ilustracją tego, jak porażka i intelektualna frustracja płodzą własne potwory.

Dla mnie było to bardzo udane spotkanie. Kiedy zadzwoniłem do Francisca Rico, żeby spytać o kilka szczegółów dotyczących tej postaci, powiedział mi, że też jest w Paryżu, w związku z jakimiś wykładami na temat Erazma, de Nebriji czy kogoś takiego. Umówiliśmy się na śniadanie w kawiarni Lipp, gdzie opowiedział mi o jednym ze swoich szalonych pomysłów – o poszukiwaniu odcisków palców Queveda, Lopego de Vegi i Calderona na oryginalnych rękopisach, jakie mamy w Akademii – ta idea bardzo go bawiła, jako coś zupełnie bezużytecznego. Teraz spacerowaliśmy po rue Bonaparte, a ja uważnie słuchałem jego słów – był szczupły, elegancki i pogardliwy jak zwykle, ze swoją schludną łysiną, okularami

bibliotecznego Mefistofelesa i szerokimi, mięsistymi ustami, równie lekceważącymi cały świat jak jego krawat w kolorze ultramaryny z grubym węzłem i poszetka w stylu dandysa w intensywnie żółtym kolorze, która rozlewała się z górnej kieszonki włoskiej marynarki o nienagannym kroju. Myślę, że już wcześniej wspominałem, że profesor Rico jest autorem *Awanturników oświecenia*, bardzo interesującej pracy na temat roli hiszpańskich intelektualistów w rewolucji francuskiej, przy tym uczony, będąc zagorzałym przeciwnikiem wszelkiej fałszywej skromności, sam uznaje ją za lekturę obowiązkową.

– Czytałeś moje bagatelne dziełko? – chciał wiedzieć.

– Pewnie.

– A książki Roberta Darntona i Bloma? Te o encyklopedystach, utworach zakazanych i całej schedzie tamtych czasów?

– To podstawa, drogi Paco. Ale brakuje mi mistrzowskiego sztychu. Dlatego, skoro jesteś pod ręką, zwracam się do ciebie.

Mistrzowski sztych spodobał mu się. Okazał to, puszczając kółko dymu pomarszczonymi ustami – kółko bardzo dla niego charakterystyczne, okrągłe, niemal doskonałe – i strzepując popiół z wysoka celnym trafieniem wprost do plastikowego kubka rumuńskiego żebraka.

– Ja i oni powiedzieliśmy na ten temat już wszystko, mój drogi. Albo prawie wszystko. Darnton, który wziął pomysł od Gerbiera, i ja sam, który nie podkradam nikomu pomysłów, bo przeczytałem więcej książek niż oni obaj razem wzięci, tłumaczą, a raczej tłumaczymy bardzo dokładnie takich ludzi jak nasz superradykalny kleryk... Nadążasz?

– Za tobą na koniec świata, profesorze.

– I tak powinno być. Właśnie. Bo mówimy o pariasach intelektu. I popatrz. – Wskazał papierosem na ulicę, jakby oni wszyscy tam się przechadzali. – Z jednej strony był *le grand monde*, ci, którym udało się

dotrzeć na szczyt, wielkie nazwiska, jak Wolter, Diderot, d'Alembert, i którzy na dodatek zarabiali pieniądze... Osoby przyjmowane w salonach i szanowane przez czytelników. Triumfatorzy modnych prądów ideologicznych... Z drugiej byli ci, co choć chcieli, to nie mogli triumfować, mierni albo pozbawieni fartu, którzy marząc o chwale na tym świecie, zostali gdzieś w tyle. Wyobrażasz sobie? Ten żal przepełniający niejednego młodzieńca, który wierząc we własny talent, przybywał do Paryża z nadzieją, że będzie za pan brat z Rousseau, a tymczasem starzał się, ledwo wiążąc koniec z końcem, gdzieś na poddaszu, pisząc tanie pamflety i pornografię, żeby móc zjeść przynajmniej raz dziennie... Nie wystarczało mu nawet na opłacenie *fille de joie*.

Zatrzymaliśmy się przed wystawą księgarni z rękopisami przy rue Bonaparte. Praktycznie to tu właśnie powstała jedna z moich powieści, *Cień Richelieu*, a zmarły już dziś właściciel tego sklepu dał tytuł jednemu z rozdziałów. Profesor Rico wyraził wątpliwość co do autentyczności listu Victora Hugo wystawionego w witrynie i zacytował po włosku fragment, moim zdaniem apokryf z *Legendy wieków*; „po francusku wiele traci”, wyjaśnił. Potem upuścił niedopałek na dywanik leżący w wejściu i popatrzył z chłodną, naukową ciekawością, jak żar się dopalał. „Ta mata nie jest ognioodporna”, oświadczył po zakończeniu obserwacji, po czym zapalił następnego papierosa i poszliśmy dalej.

– Ani w osiemnastym wieku, ani teraz – podjął wątek po chwili – nikt nie mógł i nadal nie może się pogodzić z tym, że własna klęska jest skutkiem braku talentu, ale każdy wypatruje tylko niesprawiedliwości, spisku i pogardy... Bringas był jednym z tych sfrustrowanych, radykalnych pseudofilozofów, którzy w swoich paszkwilach i pamfletach okazywali więcej nienawiści tym, co odmawiali należnego im, ich zdaniem, uznania, niż arystokratom i królom, których podobno nienawidzili... Odczuwali

straszliwą urazę do tych, co opanowali republikę słowa i nie zostawiali im nawet okruchów chwały. To właśnie nieco później uczyniło z wielu takich jak Bringas najzacieklejszych rewolucjonistów. Ale tak się zdarzało nie tylko w tamtych czasach, tak jest zawsze, przy okazji każdego historycznego trzęsienia ziemi... Pamiętasz zarzuty stawiane sobie wzajemnie przez artystów i intelektualistów podczas hiszpańskiej wojny domowej i w czasach frankizmu?

– Oczywiście... Na porządku dziennym były oskarżenia, uwięzienia i egzekucje, i to po obu stronach. García Lorca, Muñoz Seca... Albo zarzuty wobec filozofa Juliána Mariasa, ojca Javiera, w jedenaście dni po zakończeniu wojny, których skutkiem o mały włos nie stanął przed plutonem egzekucyjnym.

– Nawet nie wspominając o tym, co teraz spotyka mnie – zakończył profesor Rico, ukradkiem przyglądając się krytycznie własnemu profilowi w szybie wystawowej. – Nie jest łatwo zawsze być na szczycie, wierz mi. Nie sądzę, żeby Bringas to sobie choćby wyobrażał. I właściwie – dodał po chwili – ludzie tacy jak on przyspieszyli wybuch rewolucji francuskiej. Oświecenie mogło pozostać w salonach i na arystokratycznych przyjęciach, w eleganckich kawiarniach odwiedzanych przez teoretyków nowej filozofii. Ale właśnie desperacja zgorzkniałych biedaków, jaka wybuchła w najniższych klasach społecznych, rozpałała prosty lud. W praktyce to pełni żalu fanatycy, tacy jak nasz kleryk, szalony z nienawiści i frustracji, wyprowadzili na ulicę więcej ludzi niż wszyscy encyklopedyści razem wzięci.

– Rewolucja, kiedy wybuchła, postawiła na czele, jak to zazwyczaj bywa, tych, którzy nie mieli nic do stracenia. I ich wywyższyła, a oni tylko zacierali ręce, gotowi wyrównać porachunki... Nieudani aktorzy i dramaturdzy w rodzaju Collota i Fabre'a posłali na gilotynę tak wielu

swoich dawnych kolegów, jak tylko zdołali... W swojej epoce jakobińskiej Bringas nie oszczędził głowy żadnego z filozofów, którzy odnieśli sukces, aż w końcu padł on sam razem z Robespierre'em i pobratymcami... Najwyraźniejszy był przypadek encyklopedysty Bertenvala; twój kleryk publicznie wynosił go pod niebiosa, choć tak naprawdę z całej duszy go nienawidził, a w czasach terroru oskarżył go i doprowadził na szafot... Mnie, oczywiście, gdybym tam był, zarezerwowaliby miejsce na pierwszym wozie. Już wtedy zdarzali się mierni cervantyści, nie miej złudzeń... A raczej wszyscy byli kiepscy. Ale w sumie – wydawał się tym zmartwiony – mnie tam nie było.

Skręciliśmy w lewo na skrzyżowaniu z rue Jacob i znów stanęliśmy przed księgarnią, tym razem wyspecjalizowaną w pracach naukowych. Na wystawie leżało wspaniałe wydanie *La Méthode des fluxions...* Newtona w przekładzie Buffona. Wszedłem zapytać o tę książkę, zastanawiając się nad podarowaniem jej José Manuelowi Sanchezowi Ronowi po powrocie do Madrytu, bo Newton jest jego idolem. Była jednak przeraźliwie droga. Kiedy wyszedłem, profesor Rico, który został na zewnątrz, puszczając nowe kółka z dymu, wyglądał tak, jakby coś sobie przypominał.

– Są pewne bardzo ciekawe pamiątki – powiedział. – Lenoira. Prawie tak dobre, jakbym sam je napisał.

Spojrzałem na wystawę, zanim zdałem sobie sprawę, że uczony mówił już o czymś innym.

– Tego, który był szefem policji przed rewolucją?

Profesor puścił kolejne kółko, wyrzucił papierosa i zdjął okulary, żeby przetrzeć je swoją spektakularną chustką z żółtego jedwabiu.

– Tego samego.

– Mam to. Znalazłem tę książkę w kolekcji Bouquins, choć jeszcze się do niej nie zabrałem.

– Zrób to. Jest tam cudowny fragment, gdzie Lenoir wymienia facetów, którzy zostali radykalnymi deputowanymi, głosowali za śmiercią króla i zajęli ważne stanowiska w czasach terroru... W policyjnych raportach parę lat wcześniej wszystkich określano mianem marnej hołoty, nieudaczników, miernot... To bardzo zabawna lista, są na niej Fabre d'Églantine, twój kumpel Bringas i także Marat, przyjaciel ludu... Komentarz na temat tego ostatniego jest wspaniały, idzie jakoś tak: bezwstydnym szarlatan uprawiający medycynę, nie będąc lekarzem, zadenuncjowany dlatego, że wielu chorych umarło na jego rękach.

Popatrzył na okulary, znów je włożył, a chustkę eleganckim gestem nadgarstka umieścił z powrotem w górnej kieszonce marynarki, pozostawiając na zewnątrz omdlewająco zwieszony rogi.

– Mam nadzieję – burknął niechętnie – że nie pójdiesz w ślady tego łajdaka Javiera Mariasa i nie wpadnie ci do głowy, żeby zrobić ze mnie jakąś postać w twojej następnej powieści.

– Nie ma o czym mówić – odpowiedziałem. – Możesz być spokojny.

Na zewnątrz wieje wiatr, co admirał przewidział już o zmroku, kiedy chmury i kłęby sadzy zaczęły się zbierać nad miastem w kształt końskich ogonów. Teraz słychać wycie podmuchów w zagłębieniach budynku, na gzymsach i w rynnach, a w sąsiednich domach rozlega się trzaskanie nie zamkniętych okiennic. Zmiana pogody wydaje się powodem złego samopoczucia don Hermogenesa, który ma gorączkę i przyspieszony puls, choć on sam uważa, że jest to skutek dyskusji z klerykiem Bringasem na temat religii. Siedząc w swoim łóżku przy świetle oliwnej lampki, w koszulinie i szlafmocy, rozmawia z admirałem, który, w samej koszuli i kamizelce, dorzuca do pieca szufelkę węgla.

– I jeszcze oczy tego człowieka, owego Bringasa! – mówi bibliotekarz.

– Co w nich szczególnego?

– Nie zatrzymują się wcale. Zauważył pan? Ciągłe biegają z miejsca na miejsce, jakby wszystko notowały w jakimś osobistym, złowrogim archiwum. Oko ma siedem mięśni, jak pan wie...

– Słyszałem, że osiem.

– Może, wszystko jedno. Rzecz polega na tym, że mięśnie oczu naszego kleryka, czy kim on tam teraz jest, pracują z zaskakującą prędkością.

Don Pedro uśmiecha się, zamyka drzwiczki pieca, odwraca się do przyjaciela i siada na krześle przy jego łóżku.

– A pan powinien swoje oczy zamknąć i odpocząć. Obawiam się, że to nadmiar spacerów. Za dużo przeciągów.

Don Hermógenes kiwa głową, na chwilę się zamyśla, po czym marszczy brew z naganą.

– Swoją drogą, mój drogi admirale, wcale nie czułem pańskiego wsparcia, kiedy pojawił się temat religii... Ileż złości w tym człowieku! Ile wojowniczości i urazy! Wiem, że pan dzieli niektóre z jego poglądów, choć, Bogu dzięki, nie te najbardziej radykalne.

Uśmiech don Pedra staje się jeszcze wyraźniejszy. Bierze do ręki dłoń bibliotekarza, żeby zbadać mu puls.

– Błąd leży w formie, w jakiej je przedstawia, ale nie w treści. Poglądy Bringasa, choć zuchwałe w głębi, wydają mi się poprawne.

– Na Boga, coś takiego!

Admirał puszcza jego rękę i odchyła się na oparcie krzesła.

– Przykro mi, don Hermesie... Jednak w sprawie religii Bringas ma rację. Gdybyśmy przeszli dziewięć tysięcy mil obwodu świata, nie znajdziemy ani jednego miejsca, gdzie hipotetyczne przykazania jakiegoś boga nie uświęciły potwornych zbrodni.

– Bo tworzymy sobie niewydarzonych bogów, odpowiednich dla nieoświeconych bydła. Właśnie dlatego po świecie jeżdżą misjonarze oświeceni, zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym. Po to, by namawiać do prawdziwej i koniecznej wiary, zgodnej z prawdziwą i konieczną wiedzą.

Admirał patrzy na swojego towarzysza ironicznie. Wyjął z kieszeni zegarek, sprawdził godzinę i podnosi go do ucha, żeby sprawdzić, czy chodzi.

– Misjonarze, don Hermesie, o tej porze? Pan o misjonarzach, a ja jestem głodny.

– Nie zaczynamy znowu, drogi przyjacielu.

Bibliotekarz bierze do ręki Horacego leżącego na nocnej szafce i udaje, że kartkuje książkę, choć robi to nieuważnie i w końcu odkłada ją na kołdrę.

– Zwłaszcza w naszym wieku postępu i rozwoju – odzywa się naraz – te wszystkie ludy niedawno odkryte w Afryce i na Pacyfiku... Najpierw muszą poznać pojęcie sprawiedliwego Boga, potem cywilizacji, a później połączyć te idee. Nic bardziej naturalnego. Nic bardziej pozytywnego.

Admirał, kręcąc głową, przeczy uprzejmie, ale stanowczo.

– Do tych ludów niedawno odkrytych – mówi spokojnie, nakręcając zegarek – powinno się przed misjonarzami wysłać geometrę. Kogoś, kto na początek nawróci ludzi na podstawy nauki... Żeby najpierw potrafili dodawać jednostki, a łączenie idei przyjdzie później. Wolny człowiek powinien czcić fizykę i doświadczenie, próby i błędy.

Wiatr uderza w okno nie domkniętą okiennicą. Admirał siedzi z pochylonym czołem, jakby nieobecny, zatopiony we wspomnieniach czy obrazach. Potem potrząsa głową, jak gdyby starał się wrócić do teraźniejszości.

– Jeśli połączę opiłki żelaza z siarką i wodą, powstanie ogień – mówi po chwili. – Jeżeli jakiś przedmiot spada, uderza w ciała znajdujące się na jego drodze i przekazuje im ruch w zależności od ich gęstości... Jeśli statek płynie z punktu A do punktu B, jest unoszony przez czynnik C, złożony z siły i kierunku wiatru oraz prądu... To jest prawdziwy katechizm. Jedyne, jaki do czegoś służy.

– Jednak idea Boga...

Wiatr wyje i okiennica nadal się tłucze. Don Pedro podrywa się gwałtownie i w trzech susach dobiega do okna.

– Służy wyłącznie kamuflowaniu tej części katechizmu naturalnego, której człowiek jeszcze nie poznał... Najgorszą rzeczą jest błąd ubóstwienia.

Mówiąc to, otwiera okno i z trzaskiem zamyka okiennicę. Bibliotekarz przygląda mu się z łóżka, zadziwiony.

– Do licha, admirale, można by pomyśleć, że jest pan wściekły. I nie rozumiem...

– Rzeczywiście, przepraszam. To nie ma nic wspólnego z panem.

Powoli wraca na swoje miejsce, jednak nie siada, tylko z ponurą miną staje, chwytając dłońmi oparcie krzesła.

– Człowiek jest nieszczęśliwy, ponieważ nie zna natury. Nie umiając zbadać jej w sposób naukowy, nie rozumie, że jest ona pozbawiona wewnętrznego zła czy dobroci, ogranicza się jedynie do postępowania zgodnego ze stałymi i niezmiennymi zasadami... Czyli inaczej mówiąc, działa tak, jak działa, bo nie może inaczej. Dlatego ludzie w swojej ignorancji podporządkowują się innym, takim samym jak oni – królom, czarownikom czy kapłanom – których przez głupotę uznają za bogów na ziemi. A możni to wykorzystują, żeby ludzi zniewolić, zepsuć, zmienić w złych i nędznych.

– Mógłbym się z tym zgodzić – odpowiada don Hermógenes bardzo ostrożnie – choć tylko w części i z pewnymi zastrzeżeniami. Dziś Bringas powiedział zdanie, które potwierdzam: to nie tyrani stwarzają niewolników, ale niewolnicy tworzą tyranów.

– A nawet istnieją dodatkowe okoliczności obciążające, drogi przyjacielu... W czasach mroku ludzką ignorancję dało się usprawiedliwić. W naszej epoce, w czasach oświecenia, jest ona niewybaczalna.

Po tych słowach admirał milknie i przez chwilę pozostaje bez ruchu. Światło lampy oliwnej pogłębia cień na jego chudej twarzy, postarzając ją głębokimi zmarszczkami i wzmacniając wrażenie, że jego oczy są wilgotne.

– Za mną są już czasy, gdy ludzkie zło mnie rozwścieczało – dodaje w końcu. – Teraz rozwściecza mnie głupota.

– Nie wiem, jak mam to rozumieć.

– To nie pana dotyczy.

Słychać nadal przeciągłe wycie wiatru za zamkniętymi okiennicami. Naraz bibliotekarz rozumie, co się dzieje z jego przyjacielem. Przypomina sobie morze. Dzięką furię żywiołu, postępującego zgodnie ze swoimi zasadami, obojętnego wobec zasług i przewin ludzi, których ciężko doświadcza albo zabija.

– Naprawdę sądzi pan, don Hermesie, że kilka słów zamienionych szeptem z innym człowiekiem może oczyścić sumienie i zapewnić, że w innym świecie nie trzeba będzie płacić za zło, które popełniło się tu, na ziemi?

Admirał nadal stoi nieruchomo z rękami na oparciu krzesła i patrzy na swojego towarzysza. A ten czuje potrzebę, by jakoś roztopić ten jego dziwny spokój. Tę lodowatą rezygnację człowieka, którego podziwiał.

– Na Boga – mówi z odruchową szczerością. – Czy nie chciałby pan móc rozpocząć nowe życie? Zacząć od zera, z czystym sumieniem? To jest

wspaniałe w chrześcijańskiej skrusze. Wystarczy ukorzyć się przed Bogiem, żeby zdobyć nieśmiertelność duszy. Wystarczy przejść przez czyściec i już.

– A pan, drogi przyjacielu, ile lat czyścica by mi zaaplikował?

– Jest pan niemożliwy.

Wreszcie admirał się uśmiecha. Poruszył się i cienie przestają torturować mu twarz.

– Gdybym dostał całkowitą nieśmiertelność w zamian za jeden dzień czyścica, odmówiłbym. Co za nuda, siedzieć potem całą wieczność na chmurce i grać na harfie, ubrany w śmieszoną białą koszulę... Wolałbym przestać istnieć.

– Obawiam się, i to mnie przeraża, że mówi pan serio.

– Oczywiście, że mówię serio. Kiedy żyło się w odpowiedni sposób, nie ma nic lepszego niż długi, uczciwie zasłużony odpoczynek.

– No cóż, pan przynajmniej może być pewien, że nań zasłużył, kiedy nadejdzie pański czas. Bo nie ma pan sobie nic do zarzucenia: wojskowy, który bił się za króla i ojczyznę; naukowiec, który pozostawia potomnym liczne dokonania, przede wszystkim ten wspaniały słownik morski; akademik, człowiek prawy, szanowany przez przyjaciół, do których, mam nadzieję, się zaliczam... Może pan być dumny.

Admirał przygląda mu się bardzo uważnie, nie odpowiadając od razu. W końcu zdejmuje ręce z oparcia krzesła i prostuje się z pewnego rodzaju samotniczą godnością, pełną melancholii. Pewnie w ten sam sposób, myśli przelotnie bibliotekarz, prostował się w młodości, stojąc na pokładzie statku, kiedy słyhać było wystrzały z nieprzyjacielskich okrętów.

– Sam nie wiem, don Hermesie... Właściwie mniej dumny jestem z tego, kim jestem, niż z tego, kim udało mi się nie być.

Choć podróżnicy nie mogą o tym wiedzieć, ale w tej samej chwili w odległości dwustu siedemdziesięciu pięciu mil od nich, w świetle olejowej lampy Arganda, podarowanej trzy dni wcześniej przez monarchę Hiszpańskiej Akademii Królewskiej – to jedyna oznaka nowoczesnego komfortu w zakurzonej sali obrad – walne zgromadzenie kolegów akademików prowadzi dyskusję dość podobną do tej, którą oni wiodą. Wszystko się zaczęło, kiedy po sprawach bieżących przystąpiono do omawiania hasła „byt”, które zgodnie z propozycją kilku obecnych powinno zostać zmienione w następnym wydaniu słownika w ten sposób, by definicja, zamieszczona w odpowiednim tomie, opublikowanym w 1732 roku, i pozostawiona bez zmian przez prawie pół wieku, została skrócona. Albo racjonalnie zmodernizowana, jak postuluje z prośbą o wpisanie do sprawozdania Justo Sánchez Terrón, jeden z akademików najbardziej nalegających na zmianę. Definicję początkową – „W ten sposób określa się to wszystko, co rzeczywiście istnieje. Bytem najwyższym jest Bóg, istota nie stworzona i niezależna, która ze swej natury trwa i stanowi część wszystkiego, co stworzone” – powinno się skrócić do pierwszego zdania: „Wszystko, co rzeczywiście istnieje”, pozostawiając na boku wszelkie rozważania na temat istoty Boga i stworzenia. Dało to asumpt do zagorzałej dyskusji, która jeszcze trwa i przebiega w znacznie ostrzejszym tonie niż ta, jaką prowadzą podróżni w Paryżu: nie wszyscy akademicy wierzący lub twierdzący, że są wierzący, okazują tyle delikatności, co don Hermógenes, ani nie wszyscy wyznawcy rozumu są tak uprzejmi i umiarkowani jak admirał.

– Kiedy za granicą rozwijają się fizyka, anatomia, botanika, geografia, historia naturalna – mówi Sánchez Terrón z licznymi pauzami, lubując się we własnych słowach, jak zazwyczaj – my tutaj dyskutujemy nad tym, czy byt jest jednoznaczny, czy też analogiczny, czy różnice są transcendentne

i czy związek różni się od jego podstawy... Tak wyglądają hiszpańskie uniwersytety, panowie. Takie jest kształcenie w naszym kraju.

Wokół wytartej giemzy pokrywającej stół rozlegają się protesty, unoszą się ręce, pojawiają się gesty i aprobaty, i niezgody. Rzucając szybkie spojrzenia to w lewo, to w prawo, sekretarz Palafox wszystko notuje, a Vega de Sella, dyrektor, udziela dyskutantom głosu.

– To niedopuszczalne – dowodzi don Nicolás Carvajal, matematyk i autor *Traktatu o architekturze cywilnej*, popierając wcześniej zabierającego głos akademika – żeby szkolnictwo i uniwersytet pozostawały nadal w rękach obrońców doktryny arystoteliczno-tomistycznej i nie zostały przekazane zwolennikom nowoczesnej wiedzy, choć żyjemy w stuleciu edukacji, nauki i dyplomacji.

Teraz z kolei głos zabiera don Antonio Murguía, archiwista Jego Królewskiej Mości i członek Królewskiej Akademii Historycznej: mężczyzna drobny, brzydki i energiczny, w szarej peruce, autor znanej biografii Filipa V i licznych traktatów dotyczących upadku dynastii austriackiej i wojen o sukcesję.

– Przekazy „nowatorów” z ubiegłego wieku – twierdzi – mimo że były jeszcze nieśmiałe, teolodzy i moralisci, utrzymujący się na pozycjach scholastycznych i arystotelicznych, już uznawali za zagrożenie... Ich naciski zmuszały licznych naukowców wielkiej mądrości do przezornego milczenia. A koszty tego ponosimy do dzisiaj. I obowiązkiem naszej szanownej instytucji jest przerwanie tej ciszy.

Zmartwiony kierunkiem, w jakim zmierza debata, dyrektor spogląda na zegar wiszący na ścianie, porównuje godzinę – jest piętnaście po ósmej – ze wskazaniem zegarka, który dyskretnie wyjmuje z kieszeni żakietu, i przypomina zgromadzonym, że dyskusja dotyczy hasła w słowniku i nie ma na celu zdiagnozowania przyczyn intelektualnych niedostatków narodu.

– Chodzi o przeanalizowanie definicji, panowie akademicy. W języku kastylijskim, czyli hiszpańskim. Wyrażenie treści w odpowiednich słowach... Czyli nie jesteśmy w kawiarni i nie dyskutujemy nad treścią artykułu w gazecie.

Jedni potakują ruchem głowy, inni wzruszają ramionami, a wokół stołu rozlegają się równocześnie pomruki protestu i aprobaty. Manuel Higuera zabiera głos ze skrzywioną miną. W ostrych słowach, jak zazwyczaj, rzuca spod peruki pełne złości spojrzenia ku akademikom, z którymi się nie zgadza; dziennikarz deklaruje, że jest przeciwnikiem newtonizmu i racjonalizmu, ponieważ naukowiec, podkreśla, powinien koncentrować się na poznawaniu i zbliżaniu się do Bożej mądrości, a nie na odkrywaniu tak zwanych praw natury, nad którymi kontrola nie do niego należy, bo jest to czynność głupia i przewrotna. Próby racjonalizacji świata poprzez obserwację i doświadczenie oznaczają likwidację potrzeby boskiego wyjaśnienia i uznanie za zbędną szlachetnej funkcji Kościoła.

Najbardziej klerykalna grupa akademików potakuje gorliwie i milcząco jego słowom, a najgorliwiej dwaj spośród pięciu duchownych, będący rzeczywistymi członkami Akademii, wysoki urzędnik Ministerstwa Skarbu i książę del Nuevo Extremo. Za to stały sekretarz Najwyższej Rady Inkwizycji, don Joseph Ontiveros, zachowuje milczenie z pełnym dystansu uśmiechem na ustach. W końcu podnosi siwą głowę i prosi o głos.

– Przede wszystkim chciałbym powiedzieć, że moim zdaniem nie należy zmieniać definicji słowa „byt”, ale zostawić ją tak, jak jest, przynajmniej w następnym wydaniu słownika. To jednak jasne, że na dłuższą metę nie możemy odwracać się plecami od wrzenia, jakie wyczuwa się wszędzie wokół... Wszystko jest teraz analizowane, dyskutowane, przemieszane, czy nam się to podoba, czy nie, od fundamentów nauki aż po bazę wiary i religii, od metafizyki po dobry smak, od teologii po ekonomię

i handel... Próby zamykania oczu na to, co się dzieje, bardziej niż rozumowi szkodzą religii, ponieważ ją ustawiają na pozycji wroga.

Znów głos zabiera Higuieruela, który podnosi pulchną rękę z błyskającymi na niej złotymi pierścieniami i celuje oskarżycielsko palcem w radykała Sancheza Terrona, który uśmiecha się pogardliwie z drugiego końca stołu. Łączący ich obicie z giemzy i taktyczny alians, dzielą ich przestrzenie i wieki.

– Wielebnemu ojcu Ontiverosowi nie brak autorytetu – mówi Higuieruela, patrząc jednak na swego oponenta. – Ale ten umiar i chrześcijańska wyrozumiałość są jedynie zachętą dla bezbożnych. To filozoficzny sanhedryn, który podobnie jak część kolegów z naszego gremium próbuje nas przekonać, by zamiast codziennego *Ojcie nasz* ludzie odmawiali *iks do potęgi pi plus jeden równa się zero*. Żebyśmy opuścili miasta i powrócili do naszego naturalnego stanu, osiadając na łąkach i w puszczech razem z Hotentotami, Patagończykami i Irokezami... Żebyśmy się modlili do świętego Eulera i świętego Woltera. Albo żebyśmy w ogóle przestali się modlić i szanować królów, sutanny i togi... A to już jest aberracja i pycha.

Przemowa Higuierueli – tydzień później zostanie przedrukowana świeżą farbą słowo po słowie w publikowanym przezeń „Cenzorze Literackim” – nie podoba się zgromadzonym wokół stołu, a dyrektor Vega de Sella, który rzuca częste i zdesperowane spojrzenia ku zegarowi na ścianie, widzi, że musi wezwać do spokoju, lecz nie udaje mu się zapobiec temu, by Sánchez Terrón ze względu na przytyki – niebezpośrednie, ale jednak – zabrał głos i skrytykował w ostrych słowach, jak opisze to w sprawozdaniu staranny sekretarz Palafox, „absurdalną, arystoteliczno-ptolemeuszowską kosmologię niektórych panów akademików, ich scholastycyzm na śmierć i życie i obronę Pisma Świętego jako najwyższego autorytetu”. Hiszpania,

konkluduje, musi zaprzestać opierania się nauce i rozumowi. Musi nauczyć się myśleć i czytać. Bo już najwyższy czas i bardzo jest jej to potrzebne.

– Żebyśmy się nauczyli czytać? – wyskakuje rozzłoszczony Higuera, nie czekając na udzielenie mu głosu. – Czy nazywa pan analfabetami tych brodatych mędrców, panie akademiku?

– W żadnym razie – mówi Sánchez Terrón z pogardą i cynicznym uśmiechem wyższości, które zaprzeczają jego słowom.

Higuera zdaje się ziać trucizną ponad giemzą na stole.

– Takie refleksje poczyniono już w całej Europie, i to z fatalnymi skutkami: nie ma innego królestwa poza naszą Hiszpanią, które na swoje nieszczęście nie popierałoby teorii newtonowskich, zatem i kopernikańskich, czyli obrażających święte pisma, jakim mamy obowiązek oddawać cześć... I w ogóle twierdzenia te urągają zdrowemu rozsądkowi. Niedawno czytałem artykuł pana Sancheza Terrona i od tego czasu nie mogę zasnąć. Okazuje się, że kiedy zjadam talerz truskawek, pożeram wrażliwe stworzenia, kiedy wącham różę, mógłbym z nią porozmawiać, jak to jedna istota z drugą, a kiedy ścinam kwiat, właściwie ryzykuję oskarżenie o zabójstwo... Dokąd nas zaprowadzą te wszystkie głupstwa?

– Radzę tylko – upiera się chłodno Sánchez Terrón z taką samą niechęcią jak poprzednio – by się uczyć i postępować za jasnością oświecenia.

– Raczej za błędnymi ognikami, chce pan powiedzieć... Albo nam obcymi – precyzuje Higuera, kipiąc złością. – Mam na myśli lekkomyślny upór, by używać emfazy, znacznych niejasności i widocznej swobody przy głoszeniu zagranicznych idei, zaledwie prześlizgując się po ich powierzchni, niezależnie, czy zawierają coś z prawdy, czy nie...

Rozumu nie rozwija się przez naśladowanie, ale przez prawdę. Zwłaszcza w Hiszpanii.

– Nie pozwalam panu...

– Mam w poważaniu, czy pan pozwala, czy nie.

Zegar wreszcie wybija godzinę i dyrektor Vega de Sella odrywa od niego wzrok z widoczną ulgą.

– Sesja została zakończona, panowie akademicy. *Agimus tibi gratias...*

Spotykają się przy wyjściu, zasłonięty swoją hiszpańską peleryną Higuera i ubrany w płaszcz z wełnianego sukna według ostatniej mody Sánchez Terrón. Wychodzą z Akademii dumnie, nie patrząc na siebie nawzajem, i idą każdy po swojej stronie ulicy del Tesoro. Krok jednego staje się wolniejszy, dając okazję drugiemu, by się zrównali.

– Jest pan impertynentem – cedzi przez zęby Sánchez Terrón.

Higuera wzrusza ramionami i idzie obok w tym samym tempie. Pod pachą niesie trójgraniasty kapelusz, a peruka na jego okrągłej głowie osadzonej na krótkiej szyi, jakby na stałe przykręconej do tułowia, nadaje mu dość groteskowy wygląd.

– Proszę się nie skarżyć, bo antyfilozoficzna diatryba w moim następnym „Cenzorze...” nie będzie pana dotykała. Jestem człowiekiem, który potrafi uszanować rozejm.

– Z panem nie mam żadnego rozejmu!

– Może pan to nazywać, jak pan zechce: porozumienie taktyczne, wspólnota interesów, chęć dokuczenia... Rzecz jednak polega na tym, że łączy nas pewien drobiazg. Bez względu na to, czy pan tego chce, czy nie, połączyły nas pewne więzy. Ma to swój urok.

Jego rozmówca waha się przez chwilę, niezadowolony.

– Musi pan wiedzieć, że ja ani razu...

- Jasne, jasne. Oczywiście. Proszę się nie martwić. Biorę to na siebie.
- Obawiam się, że nic pan nie rozumie.
- Może pan być pewien, że rozumiem doskonale. Lubi pan, kiedy inni wykonują za pana brudną robotę, ale pan woli umyć od tego ręce.
- Dobranoc panu.

Naraz usztywniony Sánchez Terrón, wkładając ręce do kieszeni płaszcza, robi półobrót i odchodzi długimi krokami w stronę placu przed Pałacem Królewskim. Niczym się nie przejmując, Higuera w milczeniu idzie za nim cierpliwie spory kawałek drogi. W końcu zrównuje się z nim i ciągnie go za rękaw.

– Niech mi pan spojrzy w twarz... Nie wysiądzie pan w biegu, zapewniam pana.

– Sprawy zaszły zbyt daleko.

Higuera śmieje się przebiegle.

– To dla mnie fascynujące, z jaką łatwością wy, zbawiciele ludu, odwracacie głowy, kiedy sprawy zaczynają ocierać się o rzeczywistość, gdy przychodzi zapłacić moralną cenę za życzenia spełnione przez innych.

Zatrzymali się w świetle latarni na placu. Po drugiej stronie, wśród mroków, pod niebem nakrapianym gwiazdami, jaśnieje biały kamień na sylwecie Pałacu Królewskiego. Higuera unosi upierścienioną dłoń, wskazuje pierś Sancheza Terrona, a następnie stuka się we własną.

- Tkwi pan w tym po uszy, tak samo jak ja – zauważa.
- To był pański pomysł.
- A pan był nim zachwycony.
- Ale już nie jestem.
- Za późno. Nasz człowiek w Paryżu pracuje dalej i trzeba będzie ponieść konsekwencje... Właśnie dziś rano dostałem od niego list.

Błysk zaciekawienia mimowolnie kruszy nadętą powagę Sancheza Terrona.

– I co pisze?

– Że podróżnicy mają trudności ze znalezieniem tego, czego szukają, a on przygotowuje się, by jeszcze bardziej im to skomplikować. Poza tym są w rękach człowieka niezbyt godnego zaufania, a ambasada nie chce mieć z nimi nic wspólnego... Jak pan widzi, wszystko w porządku. W zgodzie z naszymi planami.

Sánchez Terrón, znów oburzony, wręcz arogancki, niemal podskakuje.

– Powtarzam panu, że ja...

– Proszę się nie trudzić powtarzaniem. Ów Raposo prosi też o dodatkowe pieniądze. Wydatki rosną, jak się wydaje. A przynajmniej tak twierdzi.

– Już panu dałem trzy tysiące reali.

– Tak. Oczywiście, ja nie wierzę we wszystko, co opowiada Raposo. Jednak uważam, że dla własnego spokoju powinniśmy mu coś wysłać.

– O jakiej kwocie pan mówi?

– Tysiąc pięćset reali.

– Łącznie?

– Od każdego. Pozwoliłem sobie wyłożyć całość z własnej kieszeni i wysłać mu sumę wraz z listem płatniczym do banku Sartoriusa w Paryżu... Dlatego byłbym wdzięczny, gdyby zwrócił mi pan swoją część najszybciej, jak to możliwe.

Znów ruszają, teraz wzdłuż fasady pałacu. Kiedy przechodzą obok posterunku gwardii, oświetleni przez stojącą tam latarnię, strażnik spogląda na nich obojętnie ze swojej budki.

– Wiem, co pan myśli – odzywa się Higuera. – Mogę wziąć na siebie tę płatność, naturalnie... Ale czułem pokusę, żeby skalać trochę pańskie czyste i oświecone sumienie.

– Jest pan złośliwym gadem.

– Są takie dni, kiedy owszem, trochę... Dlatego mój „Cenzor Literacki” sprzedaje się jak świeże bułeczki.

Sánchez Terrón wybuchają nieprzyjemnym śmiechem, ostrym, dalekim od dobrego humoru.

– Jasne... Zuchwalstwo i narodowa fanfaronada, corrida, piosenki, zawsze można tam znaleźć obelżywe satyry, oszczercze pamflety przeciw osobom najbardziej godnym szacunku z panteonu naszej literatury współczesnej. Natomiast pochwał dla mędrców, wzmianek o ich dziełach, refleksji nad postępami nauki i próżno by szukać w pańskim szmatławcu... A na dodatek urzędnicy cenzury są z pańskiej bandy. To pańscy kumple.

– Mój panie, wolność prasy, a mówi to panu ktoś, kto od dwudziestu lat wydaje pismo, ma swoje granice. Kiedy wzmiankuje się niektóre poglądy i tematy, może to prowadzić do ich wyjaśnienia, to prawda. Jednak jeśli idzie o materie takie jak religia czy monarchia, to ich poruszanie może prowadzić do pożarów, których przez ostrożność lepiej unikać... Niech mi pan powie: w systemie politycznym, który wprowadziliby pańscy stronnicy, istniałaby wolność prasy?

– Bez najmniejszych wątpliwości.

– I pozwolono by mi swobodnie wydawać moją gazetę?

Sánchez Terrón waha się chwilę.

– Tak myślę.

– Dobrze pan wie, że nie. – Teraz śmieje się Higuera. – Bo pomimo tego wszystkiego, czego pełne są wasze usta, pierwsze, co zrobiliby pańscy ludzie, to zakazaliby wydawania takich pism jak moje.

– To nieprawda.

– Jakoś małymi literami pan to mówi. Czym innym jest strojenie świętych, a czymś zupełnie innym ich rozbieranie. Szafowanie ideami to co innego niż stawianie czoła faktom... Zatem skoro mam szczęście, że mogę trochę w tym tyglu zamieszać, dbam o zdrowie i robię, co mogę, żeby ten moment strachu nigdy nie nadszedł.

– Do diaska... Jak u licha dostał się pan do Akademii?

– Nie licząc mojej miłości do literatury, dzięki stosunkom i ambicji... Tak samo jak pan, mniej więcej. Mnie tam trzymają trochę ze strachu, a pan jest ważną figurą nowoczesności, kimś, kto tworzy pozory oświecenia.

– Nadejdzie jeszcze czas, kiedy bać się będą ludzi takich jak ja, a nie typów pańskiego pokroju.

Higueruela pogwizduje cichutko, ironicznie.

– W tym kontekście – mówi po chwili zastanowienia – słowo „typ”, kiedy wcześniej padło już „złośliwy gadzie”, brzmi pomiędzy akademikami mocno... Proszę mi przypomnieć w następny czwartek, żebyśmy znaleźli w słowniku jego definicję.

– Mogę panu sam powiedzieć: typologia. W tym przypadku, typologia tego, co najgorsze. A „gad” to przypadek antonomazji i oznacza ludzi zepsutych i podłych.

– Do licha. Nie są to terminy, jakich używa się wśród dżentelmenów.

– Pan nie jest dżentelmenem.

– No tak... A pan owszem, jak rozumiem. Taki czysty... Zawsze szlachetny, ze swoim aroganckim, oświeconym rozumem.

Idą dalej, oddalając się od budki strażnika, a przed nimi kładą się ich długie cienie, wydobywane przez światło latarni z tyłu. Zamyśleni i zbratani we wzajemnej nienawiści. Po kilku krokach Higueruela wzrusza ramionami pojednawczo.

– Tak czy inaczej, tym razem dajmy już spokój. Mam na myśli akademickie definicje. Co do przyszłości, no cóż... Będę się starać, żeby czasy, kiedy wszyscy będą bać się pana i panu podobnych, jeszcze długo nie nadeszły. Bo wtedy nasz drobny sojusz taktyczny od dawna już nie będzie istniał.

– Mam nadzieję.

– Proszę nie mieć złudzeń: pojawią się następne. Niech pan popatrzy: mimo niezgodności poglądów między nami istnieje zbieżność interesów, która, choć nas nieco różni, nigdy nie zniknie... Pomimo usiłowań, jakże hiszpańskich, nie, żeby zwyciężyć albo przekonać, ale by zniszczyć przeciwnika, w rzeczywistości potrzebuje pan mnie w takim samym stopniu jak ja pana.

– Niech pan nie gada bzdur.

– Uważa pan, że to bzdury? Niechże użyje pan rozumu, skoro ciągle pan do tego namawia. Jak organizmy pasożytnicze żyjemy jeden dzięki drugiemu. Z dwóch biegunów usprawiedliwiamy naszą rolę wśród ludu niezdarnego i gwałtownego, o niskich instynktach, choć szansa zbawienia go jest minimalna... Nawet gdybyśmy się wzajemnie pozabijali, pojawi się jednak potrzeba wzajemnego wskrzeszenia. Lud, a zwłaszcza hiszpański, żyje marzeniami, apetytem, nienawiścią i strachem, a tym osoby takie jak pan czy ja potrafią zarządzać doskonale, jak mało kto. Nie sądzi pan? Bo w sumie proszę pamiętać o starym powiedzeniu: wcześniej czy później przeciwieństwa się przyciągają.

– Co to za zamieszanie? – pyta don Hermógenes.

– Dziwki – odpowiada kleryk Bringas. – Wiozą je do Salpêtrière.

Zatrzymali się na rogu rue Saint-Martin, gdzie stłoczyło się mnóstwo ciekawskich, przechodniów i tych, którzy by popatrzeć, wychodzą ze swoich sklepików. Sąsiedzi wystają w oknach domów. Ponad głowami

i kapeluszami gapiów widać jadący wóz pełen kobiet w różnym wieku; jest ich przeszło tuzin, są rozczochrane, obdarte, zebrane na odkrytej platformie, pilnowane przez dwunastu strażników w niebieskich mundurach, uzbrojonych w strzelby z bagnetami.

– Co za dziwne widowisko – zauważa admirał.

– Nie ma w nim niczego dziwnego – stwierdza Bringas. – W Paryżu jest trzydzieści tysięcy prostytutek, oficjalnych i cichodajek, i każdego tygodnia policja z nadmierną gorliwością przeprowadza nocne zatrzymania... Wiozą je do więzienia Saint-Martin, gdzie raz w miesiącu kobiety stają przed sędziami, wysłuchują wyroków na kolanach i dla nauczki są publicznie prowadzone za kratki.

Wszyscy trzej zatrzymują się i obserwują przejazd wozu. Pośród zebranego tłumu, stwierdzają akademicy, są tacy, którzy przyglądają się całej scenie ze zwykłej ciekawości, są jednak i tacy, co się śmieją z zatrzymanych albo obrzucają je wyzwiskami. Kobiety są w różnym wieku, od łykowatej weteranki po dziewczę o wyglądzie niewiniątka. Niektóre, przede wszystkim te młodsze, jadą ze spuszczoną głową, zawstydzone i płaczliwe. Inne bezczelnie wytrzymują rzucane im spojrzenia, a niektóre z tupetem oddają obelgi i besztają strażników, urągając im na różne sposoby.

– To bardzo przykre – stwierdza don Hermógenes. – Rani wszelkie uczucia. Przecież te nieszczęsne kobiety nie zasługują na takie traktowanie.

Bringas gestem wyraża swoją bezsilność.

– Ale tak się tu dzieje. Takie właśnie jest to pełne hipokryzji miasto, stolica filozofów, których panowie tak bardzo podziwiacie. Te nieszczęsnice nie mają ani adwokatów, ani prokuratorów... Zamyka się je po prostu, bez gadania. Całkiem bezprawnie.

– Mówi pan, że dokąd je wiozą?

– Do Salpêtrière, gdzie mieści się więzienie dla uliczników. Tam bada się więźniarki, oddziela te zarazone bez szans na wyleczenie i odsyła o milę od Paryża do Bicêtre – to okropne miejsce, gdzie nie ma mowy o choćby najmniejszym objawie współczucia czy cieniu nadziei... Piekło, w którym gnieździ się cztery, pięć tysięcy istot i z którego biedaczki, zniszczone przez choroby i nałogi, bardzo rzadko wychodzą... Nazwę tego zbiorowiska najgorszych wyrzutków społecznych, gdzie mieszkają się przestępcy, żebracy, szaleńcy, biedacy i chorzy na wszelkie schorzenia, wszyscy wymawiają z przerażeniem. A jest to hańba dla tego miasta i wstyd dla całej ludzkości.

– Co za okropność. – Don Hermógenes zwraca uwagę na jedną z aresztowanych, młodą kobietę trzymającą na rękach kilkumiesięczne dziecko owinięte chustą. – Niektóre budzą litość.

Bringas jest podobnego zdania. Najgorsza, twierdzi, jest samowola, z jaką to wszystko się robi. Niejedna libertyńska markiza czy księżniczka, których w Paryżu jest mnóstwo, ma na sumieniu więcej grzechów i występków niż te biedne kobiety. Na wozie hańby jadą te nieszczęśnice, które nie mają protektorów, nie stoi za nimi żaden policjant, żaden przedstawiciel władzy, nikt, kto ochroniłby je swoimi pieniędzmi. Są pozostawione samym sobie.

– Kiedy człowiek pomyśli – dodaje kleryk – o tych wszystkich nierządnicach okrytych płaszczykiem szacunku, od których roi się w tym mieście, o tancerkach z opery, utrzymankach, konfidentkach policji, o tych mogących liczyć na czyjeś wsparcie, i porówna je z tymi biedaczkami, rozumie, jak bardzo to wszystko jest niesprawiedliwe... Nawet między tymi zatrzymanymi nie ma równości. Te, które mają środki, przyjaciół, pieniądze, załatwiają sobie pozwolenie na przejazd zakrytym wozem o innej porze, żeby uniknąć publicznego wstydu.

Grupa gapiów, która najwyraźniej zna jedną z aresztowanych, wykrzykuje pod jej adresem grubiańskie dowcipy, a kobieta ze swobodą i pewnością siebie odpowiada im stekiem sprośności, aż jeden ze strażników grozi jej bagnetem i każe zamilknąć.

– Popatrzcie panowie na tych nędzników – mówi Bringas. – Na tych niegodziwców. Ci sami, którzy teraz szydzą z pojmanych, być może jeszcze wczoraj korzystali z ich usług... Liczy się, że rocznie kobiety publiczne w Paryżu zarabiają jakieś pięćdziesiąt milionów, które lądują w kieszeniach krawców, jubilerów, restauratorów, właścicieli domów schadzek i wypożyczalni powozów. To ogromny interes, niech panowie sobie to wyobrażą. I to samo miasto, które korzysta z siódmych potów, że tak to delikatnie ujmę, spacerowiczek, karze je i poniża w ten sposób. *Ibi virtus laudatur et auget dum vitia coronantur...* Zbiera się człowiekowi na wymioty.

Kiedy wóz przejeżdża przed klerykiem i akademikami, dziecko na rękach matki zaczyna płakać. Jego krzyk jest tak przeraźliwy, że zagłusza rozgwar zbiegowiska.

– To straszne – mówi don Hermógenes, poruszony.

I nie on jeden się wzruszył. Różne kobiety, przekupki z pobliskiego targu, które współczują niemowlęciu tak jak on, podnoszą głosy, żeby pomóc młodej matce i jej dziecku, i z oburzeniem wymyślają strażnikom. Ich krzyki jakby zmieniają nastrój tłumu, który nagle przestaje kpić i wykrzykiwać wyzwiska, a przez gawieź przebiega pomruk oburzenia całą sceną i litości dla kobiet. Bringas z zadowoloną miną rozgląda się wokół i uśmiecha złośliwie.

– Ach, posłuchajcie panowie tej zmienności tłumu – mówi z satysfakcją. – Jeszcze nie wszystko stracone. Pozostało nieco uczuć, przyzwoitości... Są jeszcze tacy, których porusza niesprawiedliwość

i nieszczęście ludzkie. Tacy, co wygrażają pięścią niebu, gdzie nie ma żadnych bogów... Dziś ta pięść jeszcze jest naga, ale pewnego dnia pochwyty zbawczy miecz i oczyszczającą pochodnię.

Rośnie wrzawa. Krzyki potępienia niczym wybuchający proch wzmagają się wśród tłumu, który teraz burzy się i znieważa strażników. Uradowany Bringas przyłącza się do gawiedzi.

– Precz z niesprawiedliwością! – krzyczy z energicznym entuzjazmem. – Precz ze złymi rządami i haniebnymi postępami!

– Na Boga, panie kleryku – hamuje go przerażony don Hermógenes, pociągając Bringasa za żakiet. – Niechże się pan uspokoi.

Ten patrzy na akademika niewidzącym wzrokiem.

– Mówi pan, żebym się uspokoił? Żeby spokojnie patrzył na ten uwłaczający, ohydny spektakl? Do diabła ze spokojem! Precz z nadużyciami i bagnetami!

To właśnie bagnety zaczynają reagować na zamieszanie. Kilka straganiarek domaga się, żeby strażnicy pomogli matce, a ci odpychają je brutalnie, zdejmując z ramion broń. W związku z tym wśród tłumu falującego wzburzeniem niczym łan zboża poruszony wiatrem podnoszą się krzyki. Teraz wszyscy miotają przekleństwa pod adresem strażników, rzucają w nich różnymi przedmiotami. Dowodzący oficer wyciąga szablę.

– Lepiej odejźmy stąd – proponuje admirał.

– Nigdy! – wrzeszczy rozjuszony Bringas. – Łaski dla matki i dziecka! Łaski dla tych nieszczęsnych kobiet!

Krzyczy po francusku, rozwścieczony, zwracając się do tłumu i wskazując laską na wóz. Jacyś obdarci chłopcy i kilku niebezpiecznie wyglądających typów dołącza do straganiarek i popychając strażników, próbuje przedostać się do wozu i oswobodzić kobiety. Padają pierwsze ciosy i pchnięcia kolbami.

– Kanalie! – krzyczy Bringas, rozpychając się wśród coraz bardziej rozochoczonego tłumu. – Bandyci bez sumienia! Niewolnicy tyranów! Filistyni!

Reagując z dużą trzeźwością, admirał chwytając go za ramię i wlecze do tyłu pomiędzy wzburzonymi ludźmi, drugą ręką ciągnąc zdeorientowanego don Hermogenesa. Teraz już wszędzie panuje zamęt i wrzawa. Przeciwno tłumowi błyskają bagnety i nagle rozlega się strzał. Huk sprawia, że ludzie rozpierzchają się w nieładzie. Wszyscy zaczynają biec, niknąc w pobliskich uliczkach. Bringas i akademicy wraz z innymi uciekają z całych sił rue des Lombards – przerażony bibliotekarz, spieszący się don Pedro, odwrócony Bringas, ciskający gromy w stronę tego, co zostało za nimi, aż admirał musi mocno go pociągnąć, żeby się nie zgubił. Biegną tak dobry kawałek, rozchełstani i zdyszani od wysiłku, wreszcie zatrzymują się, wszyscy trzej bez tchu, za zakrętem ulicy, pod osłoną bramy.

– Pan zwariował! – wykrzykuje don Hermógenes do Bringasa, kiedy tylko na tyle odzyskuje oddech, by móc się odezwać.

– On kompletnie oszalał – przyznaje don Pedro, opierając się o ścianę, zmęczony biegiem.

Ocierając twarz chustką, bibliotekarz z trudnością łapie oddech pośród astmatycznych świstów.

– Wyobraża pan sobie, co by było gdyby nas tak zobaczył ktoś z Madrytu? Jak pan myśli, co by powiedzieli nasi znajomi i przyjaciele, widząc to całe zamieszanie? Pan, admirał, i ja, dwóch szanowanych uczonych Hiszpańskiej Akademii Królewskiej, biegamy jak pospolicci buntownicy... I to w naszym wieku, święty Boże... Niech pan tylko na nas popatrzy... W naszych latach.

Zamiast odpowiedzi admirał wydaje ciche, dziwne dźwięki. Don Hermógenes przygląda mu się uważnie i dostrzega, że admirał się śmieje. To jeszcze bardziej denerwuje bibliotekarza, który patrzy na niego z potępieniem.

– Nie rozumiem, z czego pan się śmieje. Mój Boże... To było... To straszne.

– Prawdziwe życie stuka do drzwi – odzywa się Bringas apokaliptycznym tonem. – Witamy w życiu.

Don Hermógenes odwraca się do kleryka z mieszaniną osłupienia i nagany. Bringasowi podczas biegu przekrzywiła się peruka. Poprawia ją, kiwając głową, spocony i szczęśliwy jak dziecko, które właśnie wspaniale napsociło.

– To też jest Paryż, panowie – dodaje z powagą. – Przebłąski nieodległego już dnia, kiedy proch wybuchnie.

I sam wybuchu diabolicznym, głośnym śmiechem.

7. WIECZÓR PRZY RUE SAINT-HONORÉ

Przyjmowała przy rue Saint-Honoré. Nikt nie mógł nawet marzyć o zrobieniu kariery literackiej bez jej aprobaty, a zaproszenie do przeczytania u niej rękopisu było nie tylko oznaką uznania, ale także gwarancją sukcesu.

P. Blom, *Böse Philosophen*

– Margarita Dancenis była jedną z kobiet nadających ton w salonach przed rewolucją, w ostatnich latach ancien régime’u – powiedziała Chantal Keraudren. – Ona i jeszcze jedna Hiszpanka, Teresa Cabarrús, każda na swój sposób, odniosły sukces towarzyski i stały się wyroczniami w sprawach mody i życia społecznego... Jednak w odróżnieniu od Cabarrús, która karierę zawdzięczała serii szczęśliwych przypadków, dla pani Dancenis od początku wszystko było proste.

– Była ładna, jak rozumiem.

Chantal pochyliła rudowłosą głowę i przyglądała się swoim dłoniom pokrytym piegami, po czym podniosła uśmiechniętą twarz. Siedzieliśmy na dwóch składanych krzeselkach obok jej kiosku z książkami, stojącego przy murku na nabrzeżu Conti na lewym brzegu Sekwany. Zwarty strumień samochodów przejeżdżał przed nami, ale świecące słońce – był to jeden z tych dziwnych dni, kiedy w Paryżu nie pada deszcz – tworzyło tu przyjemną atmosferę.

– Miała wiele zalet: ładna, inteligentna, z bardzo zamożnej rodziny z północy Hiszpanii... I zamieniła towarzystwo najlepszej burżuazji San

Sebastián na życie w samym sercu eleganckiej i intelektualnej śmietanki ówczesnego Paryża. Zyskała dzięki temu sporą swobodę obyczajową, wynikającą z libertyńskiej atmosfery tamtych czasów.

Słuchałem uważnie, trzymając na kolanach otwarty notes, którego prawie nie używałem – dawno temu już zauważyłem, że notowanie zakłóca płynność i naturalność wywodu rozmówcy, kiedy mu się zadaje pytania. Chantal Keraudren, nauczycielka historii w szkole przy rue Saint-Benoît, córka i wnuczka bukinistów znad Sekwany, została mi polecona przez dwóch moich francuskich przyjaciół, pisarzy Philippe’a Nourry’ego i Étienne’a de Montety’ego, jako specjalistka od spraw kobiet osiemnastego i dziewiętnastego wieku – jej doktorat dotyczył madame de Staël. Na stoisku z książkami, którym jeszcze się zajmowała przez dwa dni w tygodniu, można było zobaczyć stare egzemplarze, starannie opakowane w celofanowe okładki z cenami wypisanymi na wierzchu pisakiem – bardzo ciekawy wybór tytułów dotyczących interesującej ją tematyki: *Desirée i Julia Clary*, *Paulina Bonaparte*, *Życie cesarzowej Józefiny*, *Zima na Majorce*, *Dziesięć lat wygnania*, *Niewola i śmierć Marii Antoniny* – między innymi, a także autorki współczesne, takie jak Virginia Woolf, Patricia Highsmith czy Carson McCullers. Przypomniałem sobie, że dawno temu, zanim poznałem Chantal, kupiłem tutaj trzy tomy korespondencji markizy de Sévigné w wydaniu La Pléiade.

– Miała kochanków?

Bukinistka się roześmiała. Wokół jej powiek pojawiły się niezliczone zmarszczki, co ją, paradoksalnie, odmłodziło. Policzyłem, że musiała mieć jakieś pięćdziesiąt pięć lat. Pamiętałem ją z dawnych czasów, jak siedziała przed swoim stoiskiem w słoneczne dni. Była atrakcyjna, wspominałem. Rudowłosa, młoda i interesująca, z tymi wszystkimi książkami za sobą

i rowerem zawsze opartym o kamienną balustradę na nabrzeżu. Do tego dnia nigdy nie zamieniliśmy więcej niż kilka zdań.

– A kto ich nie miał w ówczesnym Paryżu? A ona była, używając dzisiejszego języka, kobietą wyzwoloną. Przesady zostały starte na proch przez szydlerczy talent Woltera, wymowną logikę Rousseau, miażdżącą erudycję *Encyklopedii*... I tak dalej. Ale podczas gdy te idee, swobodnie dyskutowane w modnych salonach, zmieniały Francję, dawny porządek społeczny trzymał się mocno. Tron powoli tracił ogólny szacunek, ale jeszcze dbano o maniery, a filozofowie bywający w wielkim świecie spotykali się z arystokratami i finansistami. I przy rue Saint-Honoré, która stanowiła centrum tego świata, mieścił się salon madame Dancenis...

– Jaki był jej mąż?

– Starszy od niej – powiedziała, jakby to wyjaśniało wszystko.

– Dużo?

– Dość, żeby nie przeszkadzać. Miał nosa do interesów i poczucie humoru, jak się zdaje... Niektórzy jemu współcześni wspominają go z sympatią jako człowieka przyzwoitego i wykształconego, wtedy już zatopionego w swoich lekturach. Inteligentny, bibliofil, spokojny...

– Bogaty?

– Przebogaty! Pierre-Joseph Dancenis był królewskim komisarzem zaopatrzenia, ni mniej, ni więcej. Był też współnikiem księcia Orleanu w handlu nieruchomościami, na czym zarobił mnóstwo pieniędzy, zwłaszcza na operacjach handlowych w Palais-Royal.

Spojrzałem na drugi brzeg rzeki w stronę Luwru i zasłoniętych przezeń budynków przy rue de Rivoli.

– W tamtych czasach – dopytałem – jeszcze przebudowywano go na wielkie centrum handlowe, prawda?

– Tak. Było tam wtedy pełno rusztowań i murarzy. Eleganckie sklepy nadal mieściły się przy rue Saint-Honoré i pobliskich ulicach. W Palais-Royal działała już kawiarnia przy pasażu Richelieu, która wkrótce została powiększona, ale niewiele więcej... Powinieneś poczytać, co napisał Mercier o Paryżu tamtych czasów.

Nadal patrzyłem na Sekwanę. Pobliskie mosty, pomyślałem, są te same, co w osiemnastym wieku, poza Pont des Arts, zbudowanym później – w swoim czasie było to moje ulubione miejsce w tym mieście, gdzie dwadzieścia lat wcześniej umieściłem jedną ze scen *Łowcy księzek*. Teraz, pomyślałem z goryczą, trudno było w to uwierzyć, kiedy jego balustrady obwieszono głupimi, sentymentalnymi kłódkami *à la* Moccia, które handlarze sprzedają na samym moście. Poprzedniego popołudnia z perwersyjną przyjemnością kupiłem od jakiegoś Pakistańczyka taką kłódkę i wyrzuciłem ją prosto do rzeki, z kluczykiem w środku.

Wskazałem na stoisko z książkami, wracając do rozmowy.

– Masz tutaj Merciera?

– Nie – zaprzeczyła Chantal, znów się uśmiechając. – To zbyt wyszukana książka jak na mój stragan.

– Wczoraj dostałem wersję skróconą, w wydaniu kieszonkowym.

– To ci nie wystarczy... Pełne wydanie Merciera to niemal encyklopedia, jest podstawą, by poznać ten Paryż, który cię interesuje. Problem polega na tym, jak mówię, że autor jest zbyt drogi. O ile w ogóle można go dostać... Widziałam kompletną kolekcję w księgarni Clavreuil-Teissèdre przy Saint-André des Arts.

– Znam to miejsce.

– Możesz tam spróbować. Albo u Michèle Polak, która też go miała... W każdym razie wydaje mi się, że jest jeszcze tania edycja Bouquins, gdzie

Merciera i La Bretonne'a wydano w jednym tomie. Ale tego nie jestem pewna.

Tym razem wszystko zanotowałem. Potem poprosiłem, żebyśmy wrócili do madame Dancenis.

– Swojego męża poznała, kiedy kierował francuską misją handlową w Hiszpanii – odpowiedziała Chantal. – Pobrali się i przywiózł ją do Paryża. W czasach, które cię interesują, praktycznie już się wycofał z interesów. Musiał być dobrze po pięćdziesiątce, a ona miała trzydzieści parę, może czterdzieści lat. Pozwalał jej panować na niewielkim dworze ich salonu, towarzyszył jej, ale stał nieco z boku, wszystkiemu przyglądając się z pobłażliwym, a może nieobecny uśmiechem...

– Mieli dzieci?

– Nie, z tego co wiem.

– Czy istnieją jakieś ich portrety?

Chantal zastanowiła się, w końcu zrobiła nieokreślony gest. Znała tylko obraz namalowany przez Adélaïde Labille-Guiard. Doradziła mi, żebym go poszukał w Internecie, bo artystka dobrze na nim scharakteryzowała małżonków Dancenis: ona siedzi w stroju wiejskim w angielskim stylu, w kurtce do konnej jazdy i kapeluszu, pewna siebie, ma ciemne włosy bez pomady i wielkie czarne oczy, a na spódnicy trzyma, co nie było przypadkiem, ale niewątpliwą kokieterią, *Wyznania* Rousseau. Małżonek stoi obok niej, w kurtce z haftowanego jedwabiu i siwej peruce, z łagodnym wyrazem twarzy, kot liże mu buty. W rękach nie ma niczego, ale za jego plecami widać otwarte drzwi do biblioteki, gdzie stały zapewne setki tomów.

– Gości przyjmowali w środy w swoim salonie przy rue Saint-Honoré, w kamienicy dziś już nie istniejącej, którą Dancenis kupił od markiza de Thibouville i zbytkownie urządził dla żony.

– W jaki sposób można było dostać zaproszenie na takie spotkanie? – zaciekawilem się.

– Trzeba było mieć talent, elegancję, znać anegdoty z dworu, potrafić z równą biegłością rozmawiać o filozofii, fizyce i tysiącu drobiazgów, o sprawach lekkich i pikantnych, które w owych czasach składały się na kulturalną rozmowę... Sztuka takiej konwersacji przyprawionej dowcipem była podstawą, cechą charakterystyczną dla czasów panowania ducha swobody, jakim oddychano w owej epoce, gdy o demokracji rozmawiano na balach, o filozofii w teatrach, a o literaturze w garderobach... Kiedy wyżej ceniono pochwałę Buffona czy Diderota niż książęce fawory.

– Czy był to wówczas znany salon?

– Dosyć. Salon Margarity Dancenis, nazywanej Margot, i jej męża miał krąg bywalców i konkurował w pewnym momencie z salonami madame de Montesson, hrabiny de Beauharnais czy Émilie de Sainte-Amaranthe... Bywali w nim między innymi Buffon, d'Alembert, Bertenval, Mirabeau, Holbach, hrabia de Ségur, Benjamin Franklin...

– A z drugiej strony – zauważyłem z rozbawieniem – kleryk Bringas.

Spojrzała na mnie z lekkim zakłopotaniem.

– Kto? Ach, tak. – W końcu przypomniała sobie. – Ten radykalny i krwawy Hiszpan, który znalazł się w ferajnie Robespierre'a, dostarczał setki głów katom i skończył razem z dyktatorem na gilotynie...

– Ten sam. Jestem zaskoczony, że przyjmowano go w takim salonie.

– Nic w tym dziwnego. Niewiele o nim wiem, ale opisywano go jako osobnika dość szalonego, lecz dowcipnego i utalentowanego, który potrafił rozbawić towarzystwo. Z tego, co pisze Ségur w swoich *Wspomnieniach*, o ile dobrze pamiętam, madame Dancenis traktowała owego Bringasa z pobłażliwością, która wiele ją później kosztowała, bo to on ją zadenuncjował przed Trybunałem Rewolucyjnym... Ale Bringas nie był

tam jedyną malowniczą figurą. Prócz pierwszorzędnych postaci bywał tam też niewielki dwór sław późniejszego rodzaju: fryzjer Des Veuves, który także cesał księżną de Lamballe, autor i muzyk La Touche, libertyn Coëtlegon, literat Restif de La Bretonne... Odwiedzał go także de Laclos, który wówczas był prostym żołnierzem z literackimi aspiracjami...

– Ten od *Niebezpiecznych związków*?

– Ten sam.

– Czy to prawda, że później należał do rządu rewolucyjnego? Wydaje mi się, że tak czytałem u Thiersa.

– Tak. Został komisarzem władzy wykonawczej, o ile pamiętam. Był człowiekiem Dantona, który bardzo go bronił. De Laclos niemal przypłacił to głową, kiedy Dantona zgilotynowano... I zgadniesz, przez kogo trafił za kratki, kto wielokrotnie go denuncjował?

– Myślę, że to może być proste pytanie. Czy aby nie mój dobry kleryk Bringas?

– Twój dobry kleryk, owszem. Jak widzisz, osobnik ten miał długą listę rachunków do wyrównania.

Spojrzałem znów na rzekę, nad której wodami przechadzali się dwieście trzydzieści trzy lata wcześniej bohaterowie tej historii. Sporo osób kręciło się wokół stoisk z książkami i drukami. Od lat niczego już nie kupowałem w tym miejscu – ostatnim nabytkiem była książka markizy de Sévigné – ale nadal, kiedy bywałem w Paryżu, zawsze poświęcałem chwilę na spacer po okolicy i czasami miałem wrażenie, że rozpoznaję siebie z odległych czasów w jakimś chłopcu z plecakiem na ramieniu, początkującym myśliwym węszącym wśród kiosków oferujących cuda tym, którzy jeszcze szukają, czytają i marzą. Niestety, większość bukinistów znad Sekwany przystosowuje się do nowych czasów i stare tomy, gazety i ryciny ustępują

przed coraz bardziej tandetnymi reprodukcjami, pocztówkami i pamiątkami dla turystów.

– Właśnie – podsumowywała Chantal. – Takie było towarzystwo odwiedzające salon twojej rodaczki w czasach poprzedzających katastrofę: różnorodne, w większości ciekawe. I trwało to jeszcze dekadę, aż do chwili, kiedy cały ten świat się zawalił.

Pomyślałem o mężu.

– Co się stało z Pierre’em-Josephem Dancenisem?

– Został zabity podczas wrześniowych rzezi w Saint-Germain.

– A ona?

– Ledwie uszła z życiem. Skazana na śmierć przez sąd rewolucyjny, uchroniła się przed gilotyną dzięki upadkowi Robespierre’a.

– No to miała szczęście.

Księgarka zrobiła powątpiewającą minę i znów popatrzyła na swoje pokryte piegami dłonie.

– Zależy, jak na to spojrzeć – powiedziała po chwili. – Margarita Dancenis, chora, w nędzy, trzy lata później popełniła samobójstwo w marnym przytułku na placu Maubert, łykając pięćdziesiąt ziarenek opium... Jej świat się rozpadł, podobnie jak to znakomite towarzystwo, w którym zajmowała wysoką pozycję, a które nagle znalazło się na emigracji, rozproszyło się lub zginęło pośród londyńskich mgieł, na brzegach Renu czy też pod ostrzem gilotyny. Sądzę, że musiała tęsknić za czasami, gdy w jej domu przy rue Saint-Honoré filozofowie i literaci dyskutowali o odrodzeniu świata z fryzjerami i libertyńskimi amantami, z kieliszkiem w ręce, plecami opierając się o kominek... Za tym miejscem, gdzie – jak mówisz – odwiedzili ją ci dwaj akademicy, twoi rodacy.

Jest wpół do ósmej wieczorem – właśnie bił wspaniały zegar wahadłowy stojący na konsoli – i trzech służący, poruszając się bezgłośnie niczym koty, zapalają świece w kandelabrach oświetlające obrazy i lustra, które zdobią ściany i zwielokrotniają płomyki złotego światła w głównym salonie domu. Pomiędzy uczestnikami spotkania trwa dyskusja na temat powietrza pozbawionego flogistonu – to termin naukowy będący w modzie. Otrzymuje się je, ktoś twierdzi, ogrzewając chlorek rtęci, bo w ten sposób powstałe powietrze nie tylko jest bogatsze i żywsze, ale także zwiększa jasność świec, a nawet sprawia, że lżej i łatwiej się oddycha.

– To byłby świetny interes – stwierdza monsieur Mouchy, znany fizyk, profesor uniwersytetu i członek Akademii Nauk – gdyby można je było butelkować i sprzedawać jako produkt luksusowy... Któż dziś nie chciałby lżej pooddychać od czasu do czasu?

Rozlegają się uprzejmy śmiech i dowcipne komentarze. Ktoś przywołuje nazwisko Lavoisiera, wspomina o powietrzu witalnym i powietrzu azotowym i rozmowa dalej toczy się na ten temat. Siedząc na jednym z wielu krzeseł i foteli rozstawionych na wspaniałym tureckim dywanie, bardzo starannie ubrany w ciemne kolory, don Hermógenes Molina, którego francuski nie jest doskonały, potakuje, kiwając głową z dobrotliwym uśmiechem, zawsze kiedy czegoś nie rozumie. Siedzący obok bibliotekarza don Pedro Zárate, w niebieskim fraku ze stalowymi guzikami i wąskich spodniach z białego nankinu, zachowuje rezerwę, jest nieco usztywniony, występuje bardziej jako obserwator atmosfery i osób niż uczestnik rozmowy. Właściwie nie jest to jedna rozmowa, bo w obszernym salonie państwa Dancenis utworzyły się trzy grupy złożone z kobiet uczesanych i ubranych do kolacji i mężczyzn odzianych głównie w obcisłe żakiety i kamizelki lub kaftany w tonach ciemnych i spokojnych;

jest tylko parę rzadkich wyjątków: kilka osób we frakach, nie ma nikogo w mundurze.

Najbardziej odległą grupę stanowią gracze. Znajdują się w przyległym saloniku za dwiema wielkimi rozsuniętymi kotarami, gdzie otwiera się kolejna przestrzeń. Pan domu i trzech gości, sami mężczyźni, grają w faraona, a jeden, stojąc przy nich, przygląda się rozgrywce – to kleryk Bringas, który wyszczotkował dziś swój stary żakiet i nieco przyczesał perukę, a teraz przechodzi od jednej grupy do drugiej, rzucając to tu, to tam jakiś komentarz, zawsze przyjmowany ze śmiechem lub ironiczną wyrozumiałością. Admirał poznał nazwisko jednego z graczy już kilka dni wcześniej na Polach Elizejskich, kiedy kleryk przedstawił ich wraz z don Hermogenesem pani Dancenis, której towarzyszył ten dżentelmen. Nazywa się Coëtlegon, nosi czerwoną szarfę Orderu Świętego Ludwika i można by go opisać, nie do końca precyzyjnie, jako galanta – przystojny, około czterdziestki, ubrany bardzo wytwornie, włosy zebrane ma w kucyk i pofalowane na skroniach, starannie wypomadowane. Według Bringasa jest to szlachcic pochodzący z prowincji, który służył w elitarnym pułku, a teraz traci na grę i kobiety całe pieniądze, jakie posiada – albo sprawia wrażenie, że posiada – przez co ma sławę libertyna i zuchwalca. Przed chwilą widział, jak obstawia, i zaraz rozpoznał typ człowieka: to jeden z tych, którzy ryzykują ogromne sumy, nie mrugnawszy nawet okiem, przegrywają, nie skarżąc się, i rzucają karty na stół z chłodną pogardą, kiedy wygrywają. W podobny sposób, zdaniem Bringasa, uwodzi panią domu, która pozwala się adorować, niespecjalnie się z tym kryjąc. Wszystko w bardzo światowym stylu, jak skomentował szeptem kleryk przed chwilą, doprawiając uwagę sardonycznym uśmiechem.

– A męża widzą panowie. Przekłada karty, jak gdyby nigdy nic... Trzeba przyznać, że nikt nie potrafi nosić rogów tak jak Francuzi.

Druga grupka jest nieco bliżej, zajmuje sofę i krzeselka przy piecu i tworzą ją Des Veuves, słynny fryzjer, który poza tym, że fryzuje księżnę de Lamballe, czesze także panią domu, akwarelistka Emma Tancredi, bliska przyjaciółka państwa Dancenis – bardzo chuda, eteryczna, o długich rzęsach i tragicznej aurze, i pani de Chavannes, cała w jedwabiach, koronkach, zmarszczkach, o niezwykłym poczuciu humoru, siedemdziesięcioletnia wdowa, elegancka, wymowna i dowcipna, stały gość w każdą środę – miała liczne romanse w młodości i zna na pamięć wszelkie pikantne anegdoty z czasów Ludwika XV. W tej chwili rozmawiają w trójkę o najmodniejszych fryzurach i Des Veuves – nerwowy, zmanierowany, w żakiecie o zbyt wielu kolorowych paskach i koronkowych wykończeniach, w wysoko założonym tupeciku z dwoma wypomadowanymi lokami opadającymi po obu stronach ozdobionej pieprzykiem twarzy – opowiada ze złośliwą techniczną precyzją o fryzurze *pouf au sentiment*, z burzą loków na dwa palce, jaką księżna de Chartres pokazała trzy dni wcześniej w operze. Cudownie nieodpowiednią, krótko mówiąc.

– Poza tym wypudrowała się irysowym talkiem, przez który wydawała się jeszcze bardziej blada i bardziej jasnowłosa... Prawdziwe mistrzostwo, drogie panie... Prawdziwa kartonowa lala, z kochankiem przy jednym boku i z mężem przy drugim.

– Pewnego razu w Wersalu madame du Barry... – zaczyna opowiadać madame de Chavannes i potem szepce coś do pochylonych ku niej głów fryzjera i malarki.

Rozlega się śmiech. Don Pedro przenosi wzrok na grupkę, do której sam należy, zgromadzoną wokół fotela zajmowanego przez panią domu. W kominku, którego gzyms ozdabia porcelana hiszpańska i portugalska, pali się dyskretny płomień ogrzewający tę część salonu. Nieopodal siedzi

Mouchy, członek Akademii Nauk, który jest miłym rozmówcą i w tej chwili opowiada towarzystwu o dobroczynnym działaniu pigułek z cykuty na choroby zatorowe takie jak zablokowanie gruczołów czy guzy. Do grupki należy również, prócz admirała i don Hermogenesa, kawaler Saint-Gilbert, dojrzały sybaryta, sympatyczny i niekonkretny, usiłujący wykorzystać cały arsenał historyjek i plotek, które stara się jak może wplatać do rozmowy, a kiedy odchodzi, zostaje mu jeszcze w zapasie kilka przygotowanych tekstów. Jest tam także Simon La Motte, wyniosły pięćdziesięcioletni, nauczyciel tańca w operze, i jego kochanka mademoiselle Terray, młoda, jasnowłosa aktorka teatralna, wyspecjalizowana w rolach naiwnych dziewcząt, które budzą śmiech wśród osób znających jej bogatą biografię.

– Wodę zawsze brano za ciało proste, a starożytni uznawali ją za żywioł – mówi madame Dancenis w odpowiedzi na coś, co jej powiedział Mouchy. – Jednak nawet ona nie może się ustrzec przed nieuchronną analizą nowoczesnej chemii.

Margarita Dancenis znajduje się w geograficznym środku salonu – albo w jego punkcie stałym, myśli zaciekawiony admirał – nawet w stosunku do innych grup, jakby ukryta sieć magnetycznej mocy wszystkich ściśle wiązała z jej osobą. Od razu widać, że to ona, niczym olimpijska bogini, obdziela gości darem rozmowy i uśmiechami – zachęcając jednych, chwalać innych, dostrzegając każdy szczegół – i reguluje towarzyski rytm, gesty i rozmowy, które toczą się wokół niej.

– Kiedy uda im się dokonać także analizy naszego kobiecego umysłu, świat, zadziwiony, wreszcie odkryje swoją naturę. I swoją niebezpieczną prostotę.

Madame Dancenis, stwierdza admirał, jest kobietą wykształconą o lotnym umyśle; być może jej wysoka pozycja towarzyska bierze się po części z tego, że wyglądem doskonale potwierdza wizerunek Hiszpanek

z wyższej klasy, jaki Francuzi sobie stworzyli na własny użytek – biała cera, doskonałe zęby, oczy wielkie i czarne, które inteligentnie patrzą spod włosów, dziś skręconych i nie wypomadowanych, nakrytych jedynie jedwabnym czepkiem z zabawnymi wstążkami w tym samym tonie malwy co suknia, dopasowana modnym gorsecikiem w typie *pierrot*. Dojrzałość, w którą się powoli zanurza, jeszcze nie zniszczyła jej skóry, ta nadal jest gładka i jędrna na szyi i policzkach, delikatna na zadbanych dłoniach, które potrafią otwierać i zamykać wachlarz w taki sposób, jakby był przedłużeniem ręki służącym do wskazywania, napominania lub nagradzania gości.

– A pan, admirale, co sądzi na ten temat? Zapewne jako Hiszpan ma pan swój osąd.

– Jeśli idzie o damy, pani Margarito, moje sądy jako gościa w Paryżu opierają się najściślej na ostrożności.

– Proszę mi mówić „Margot”, jak wszyscy.

– Dziękuję bardzo.

Don Pedro otrzymuje w odpowiedzi uśmiech zainteresowania. Wyprostowany na brzegu krzesła, z rękami na kolanach, czuje, że spojrzenie madame Dancenis przenika go na wskroś.

– Pana oczy nie są hiszpańskie.

– Zapewne morze je odbarwiło. – Uśmiecha się uprzejmie. – Pomógł mu wpływ wielu lat.

– Niechże pan nie kokietuje, mój admirale... Pański wiek, jakikolwiek jest, nosi pan znakomicie.

– Oby tak było. – Don Pedro wzdycha melancholijnie. – Pani zaś jest przepięknie hiszpańska. Jako pani rodak mogę tylko być dumny.

– No coś takiego. – Usłyszawszy komplement, madame Dancenis zwraca się do don Hermogenesa: – Czy wszyscy członkowie królewskiej

Akademii są równie eleganccy?

– Tak, proszę pani, wszyscy. – Zapytany czerwieni się, szukając rozpaczliwie odpowiednich francuskich słów. – Choć nie wszyscy jesteśmy dość lotni, by wyrażać się tak jak admirał.

Zamkniętym wachlarzem madame Dancenis wskazuje na stół do gry.

– Ten niesamowity kleryk powiedział mi, że przyjechali panowie do Paryża, by kupić *Encyklopedię*.

– To prawda.

– Być może mój mąż potrafiłby panom coś doradzić, kiedy tylko przegra jeszcze kilka ludwików. Książki są jego żywiołem, a biblioteka to jego twierdza. – Zwraca się do profesora fizyki, przerywając cichą rozmowę, jaką prowadzi on z La Motte'em: – Czyż nie jest tak właśnie, mój drogi Mouchy?

– W zupełności – odpowiada zagadnięty życzliwie. – Ja także jestem do panów dyspozycji.

Przerywa im nadejście kolejnych gości. Jednym z nich jest staruszek w białej peruce i haftowanym żakiecie, bardzo elegancki, noszący się z pewnym staroświeckim sznytem. Drugi ma na sobie proste mieszczańskie wełniane ubranie, jest dobrze po pięćdziesiątce, jego siwe włosy są wypomadowane. Obaj wchodzą, trzymając się pod ramię, ze swobodą częstych bywalców tego domu. Don Hermógenes i admirał wstają, a madame Dancenis czyni honory domu.

– Ci oto panowie niedawno przybyli do Paryża, są członkami Hiszpańskiej Akademii Królewskiej, to don Hermógenes Molina i admirał don Pedro Zárate... Hrabia de Buffon, członek obu Akademii, znakomity przyrodnik i duma francuskiej nauki. Pan Bertenval, profesor literatury w Szkole Królewskiej, akademik, filozof, człowiek sukcesu i wielki

przyjaciel tego domu... Napisał jakieś pół tuzina haseł do *Encyklopedii*, której panowie szukają.

Admirał pozdrawia nowo przybyłych pełnym szacunku pochyleniem głowy i grzecznościowymi zwrotami, oszczędzając dodatkowych komentarzy; natomiast don Hermógenes, słysząc nazwiska, zakrztusił się z entuzjazmu, nie dowierzając.

– Na Boga, panowie – jąka się, zwracając się do starszego. – Czyżbym stał przed panem Georges'em Leclerkiem de Buffon? Znacomitym autorem *Histoire naturelle*?

Staruszek uśmiecha się z pewną wyższością i wyrozumiałością osoby przyzwyczajonej do pochlebstw.

– Tak, oczywiście. To ja.

– Wielki to zaszczyt, mój Boże. – Don Hermógenes zwraca się teraz do drugiego z gości: – A pan to Guy Bertenval, który był przyjacielem Woltera? Wyśmienity filozof i literat, autor *Essai sur l'Intolérance* oraz bohaterski polemista ze słynnej na całą Europę dyskusji prowadzonej z najbardziej reakcyjnym sektorem Sorbony?

Uśmiechając się, Bertenval potwierdza i jako akademik również oddaje się do dyspozycji Hiszpanów; formuła ta w Paryżu nie jest, co prawda, żadnym zobowiązaniem, ale bibliotekarz i tak mocno ściska mu rękę.

– O mój Boże – powtarza jakby do siebie, cały szczęśliwy. – Mój Boże... Tylko dla tego spotkania warto było odbyć podróż do Paryża.

Nowo przybyli zajmują miejsca przy kominku i zaraz rozmowa zaczyna się toczyć wokół prac w Madrycie i Paryżu. Buffon najpierw chwali wysiłki hiszpańskiej Akademii – powstanie wspaniałych słowników i ciągłą dyskusję nad językiem, wpływami na niego nauki i religii – po czym przypomina, że mimo iż zawsze oddawał należny im szacunek, to starał się z racji wieku i ostrożności dystansować od najbardziej radykalnych

encyklopedystów i filozofów, a jednak został zadenuncjowany przez pewnego doktora teologii Uniwersytetu Paryskiego.

– Co dowodzi – wnioskuje, bardzo uprzejmie zwracając się do don Pedra i don Hermogenesa – że nie tylko w Hiszpanii czarne kruki szybują ponad ideami, nowymi i starymi.

– Chętnie zamieniłbym nasze kruki na te tutejsze – stwierdza admirał.

Dowcip zostaje doceniony. Wiedząc, że don Pedro jest człowiekiem morza, Bertenval zadaje mu kilka pytań na temat budowli portowych w Hawanie i nauk stosowanych w żegludze. Zaczynają rozmawiać o Locke’u i Newtonie, których dzieła ku zaskoczeniu encyklopedysty – a także don Hermogenesa, który zafascynowany przysłuchuje się spokojnej i rzeczowej rozmowie prowadzonej przez jego towarzysza – admirał podziwia i na pytanie madame Dancenis oświadcza, że w dziedzinie nauki jest zdecydowanym anglofilem. Don Pedro w słowach pełnych umiaru gratuluje Buffonowi poparcia, jakiego udzielił Newtonowi w polemice prowadzonej z Niemcem Leibnizem na temat rachunku różniczkowego, a na koniec wspomina, bardzo trafnie i z odcieniem patriotycznej dumy, nazwisko hiszpańskiego naukowca i żeglarza Jorge Juana. Z wielką satysfakcją obaj akademicy stwierdzają, że zarówno Bertenval, jak i Buffon chwalą postać Hiszpana, którego prace zdają się dobrze znać.

– To wielka szkoda, że tego znakomitego człowieka nie spotkały odpowiednie honory w ojczyźnie ani uznanie w Europie, jak na to zasługuje – uważa Buffon. – Czy zna go pan osobiście?

– Miałem ten zaszczyt.

– Miał pan? Czy coś mu się stało?

– Zmarł. Choć nie okazano powszechnego zainteresowania tym faktem.

– To bardzo smutne... Ci, co słuchają takich osób jak on, stają się szlachetniejsi, ci zaś, którzy nie dbają o nie, okrywają się hańbą. Bo

rzeczywiście jego *Obserwacje astronomiczne i fizyczne...*

– A teraz obserwujmy, jak podają kolację – przerywa im madame Dancenis, zauważywszy bezgłośny znak jednego ze służących.

Pojawia się jeszcze jedna zaproszona – malarka Adélaïde Labille-Guiard, bliska przyjaciółka domu. To piękna kobieta o wspaniałych kształtach, twarzy okrągłej i miłej. Kiedy wchodzi, wszyscy goście wstają, kierując się ku jadalni. Po drodze spotykają się w salonie z gospodarzem i towarzystwem, które grało w karty. Pierre-Joseph Dancenis jest mężczyzną zbliżającym się do sześćdziesiątki, o pogodnej twarzy i siwych włosach, których nie pomaduje. Ma na sobie frak koloru orzechowego, czarne spodnie i buty bez sprzączek; ubrał się z niedbałością osoby przebywającej we własnym domu pośród zaufanych przyjaciół. Jego domowy i spokojny wygląd dopełnia miły uśmiech, lekko nieobecny, którym obdarowuje gości swojej żony.

Z tą grupą pojawia się też kleryk Bringas, który na widok Bertenvala w salonie podchodzi, by się z nim przywitać, admirał jednak, stojący blisko, dostrzega na twarzy filozofa grymas niezadowolenia.

– Tylko chciałem złożyć uszanowanie – mówi Bringas z zawodem w głosie.

– Wolałbym, żeby mi je pan składał pisemnie, zamiast obsmarowywać mnie i atakować w tych swoich anonimowych felietonach.

– Zapewniam pana...

– Niech pan nie gada bzdur. W tym mieście wszyscy dobrze się znamy.

Admirał niechętny był świadkiem tej wymiany zdań, którą zakończył Bertenval, odwracając się plecami do kleryka i nachylając do madame Dancenis, żeby szepnąć, wchodząc do jadalni: „Widzę, że pani nadal zaprasza tego nędznika”.

– Bawi mnie – odpowiada mu z dezynwolturą.

– No cóż. To pani dom, moja droga... Każdy z nas potrzebuje odrobiny ekstrawagancji od czasu do czasu. I każda królowa ma na swoim dworze grubiańskiego łotra.

Zasiadają przy wspaniałym stole nakrytym zastawą z porcelany z Sèvres dla osiemnastu osób, odpowiednią dla domu, który, jak mówił Bringas akademikom podczas spaceru tutaj, kosztował osiemset tysięcy liwrów i którego służba składa się z siedmiu lokajów i pokojówek, nie licząc kucharzy, stangreta, pazia i szwajcara przy drzwiach.

– Wczoraj w Petit Dunkerque widziałem madame Luynes – opowiada kawaler Saint-Gilbert. – I wiedzą państwo, co się o niej mówi... Jest tak gruba, że kochankowie mogą całować ją całą noc, nie trafiając dwa razy w to samo miejsce...

Kolacja upływa miło przy zabawnej rozmowie, pełnej dowcipu i błyskotliwej, całkiem naturalnie pojawiają się różne tematy, od zabawnych anegdot madame de Chavannes i kawalera Saint-Gilberta po dywagacje dotyczące polityki, moralności czy historii. Czas mija, ku rozkoszy bibliotekarza i admirała, w atmosferze łagodności osądów, wzajemnej tolerancji i dobrego humoru, czym są oczarowani. Biesiadnicy lekko szermują najróżniejszymi opiniami – admirał jest zaskoczony, choć tego nie okazuje, że staruszek Buffon nie głosi tak nowatorskich idei, o jakie go podejrzewał – jednak ani razu rozziew pomiędzy starymi a nowymi tendencjami nie prowadzi do ostrej konfrontacji, ale każda z diskutowanych tez jest prezentowana z najwyższą grzecznością jako otwarta teoria. Jedynie Bringas, z widocznym żalem powstrzymując złość, rzuca dzikie spojrzenia w stronę Bertenvala ze swojego krańca stołu, gdzie siedzi obok fryzjera Des Veuves'a i od czasu do czasu wzdycha z sarkazmem lub gwałtownie zabiera głos, jak wtedy, kiedy pisarz i filozof zręcznie i z talentem opowiada o swoich czterech pobytach w Bastylii

i nakazach aresztowania – *lettres de cachet* – które dowcipnie nazywa „swoją korespondencją z królem”, a Bringas w jednej ręce trzymając kieliszek bordeaux, a drugą unosząc widelec z nabitym kawałkiem bażanta ociekającego sosem, orzeka ze swojego miejsca:

– Bastylia Bastylii nierówna... Jedni wchodzą tam swawolnie, wiedząc, że i tak zaraz wyjdą, ponieważ mają znajomych na dworze, a inni bez cienia nadziei są tam pogrzebani na zawsze.

– Pana, niestety, ciągle spotykam poza nią – mówi Bertenval z pogardliwym uśmiechem.

Bringas wkłada jedzenie do ust, pije wino i wskazuje widelcem na filozofa.

– Nadejdzie czas, kiedy wszystko trafi grom.

– Boski grom? – zaciekawia się kawaler Saint-Gilbert, jak zwykle z uśmiechem.

– Czyj? Mógłby pan powtórzyć nazwisko? Bo już mnie ogłusza zgiełk czasu, trzask tronów i ołtarzy, które wkrótce upadną.

– Zostawmy na razie w spokoju trony, szanowny kleryku – uspokaja go madame Dancenis, siedząca między Bertenwalem a Buffonem. – A jeśli to możliwe, Boga także – dodaje, kierując surowe spojrzenie w stronę Saint-Gilberta.

Bringas nabija następny kęs na widelec.

– Jestem pani posłuszny. Urodzie i inteligencji, jedynym cnotom, jakie można ocalić w tym pełnym hipokryzji Babilonie, ulegam i poddaję się.

– To mi się podoba.

Od czasu do czasu admirał napotyka spojrzenie pani domu, siedzącej naprzeciwko niego, i wytrzymuje je z pełną uprzejmości swobodą; wzrokowi Margot Dancenis zawsze towarzyszy lekki uśmiech, rysujący sympatyczne dołeczki na jej policzkach. Wcześniej, kiedy szli do jadalni,

don Pedro zauważył, że kobieta porusza się z elegancką pewnością siebie, idąc na obcasach satynowych bucików, wysokich na trzy cale, które przydawały ruchowi jej ciała atrakcyjnego falowania. Natomiast jej suknia, drapowana we francuskim stylu, odsłania wspaniały dekolt ledwo zakryty muślinem, delikatną, białą skórę jej piersi. Wzrok admirała mimowolnie przez chwilę spoczywa w tym miejscu, to jednak wystarcza, by podnosząc oczy, natknąć się na spojrzenie kobiety, która teraz obserwuje go z wyrazem rozbawienia albo zaskoczenia. Don Pedro ostrożnie odwraca wzrok i pije niewielki łyk wina. Odstawiwszy kieliszek na haftowany obrus, znów rozgląda się wokół i napotyka zimne, wrogie spojrzenie niejakiego Coëtlegona, osobnika, który według Bringasa zabiega o względy Margot Dancenis i ma to szczęście, że jego zaloty są odwzajemnione. Nie zwracając na niego uwagi, admirał przysłuchuje się słowom siedzącej obok madame de Chavannes, która opowiada o pewnym epizodzie na dworze zmarłego króla Ludwika XV, kiedy marszałek de Brissac próbował spoufalić się z nią za bardzo podczas królewskiego polowania na dzika, w jakim brali udział w Vincennes.

– ...i wtedy, kładąc rękę pomiędzy moimi wdziękami a jego pragnieniem, powiedziałam mu: „Panie, niechże pan sobie wyobrazi, że nas zaskoczy pańska żona albo dzik”... Na co marszałek odparł z dużą przytomnością umysłu: „Z pewnością, droga pani, wolałbym, żeby zaskoczył nas dzik”.

Wszyscy się śmieją i rozmowa toczy się wokół obyczajów francuskich i hiszpańskich, schodząc na libertynizm i rozpustę.

– Często, kiedy się rozglądam po tym wspaniałym mieście – wyznaje madame Dancenis – nie mogę rozpoznać w sobie samej tamtej dziewczyny wychowanej na świętoszkowatej pensji w Fuenterrabii.

– Święty Jerzy ocalił panią ze szponów smoka – stwierdza La Motte, maestro opery.

Wszyscy spoglądają na jej męża, który z całkowitym spokojem kroi bażanta na talerzu, siedząc po lewej stronie don Hermogenesa.

– Dokonałem czynów jeszcze trudniejszych – mówi, uśmiechając się. – Dwa lata temu pan hrabia de Buffon obdarował moją bibliotekę swoją pracą *Les Époques de la nature*, z dedykacją, za darmo, nie żądając w zamian ani ludwika; to był prawdziwy wyczyn.

Znów wszyscy się śmieją, łącznie ze starym przyrodnikiem, który ma opinię skąpca. Potem rozmowa przy stole wraca do libertynizmu. Temat ten porusza jeden z mężczyzn, którzy grali w faraona z Dancenitem i Coëtlegonem, ubrany po cywilnemu, z wypomadowanym kucykiem, we fraku koloru orzechowego z podwójnym rzędem guzików. Został przedstawiony akademikom jako monsieur de Laclos, kapitan artylerii. Jest to mężczyzna jeszcze młody, sympatyczny, o inteligentnej twarzy.

– Właśnie – mówi lekkim tonem – tych spraw dotyczy nowela, którą już napisałem w połowie. Kuszenie, uczciwość i postać libertyna, pozbawionego skrupułów łowcy...

– Pańska książka zostanie opublikowana? – interesuje się pani domu.

– Mam nadzieję.

– Są tam źli bohaterowie?

– Raczej złe bohaterki. Rodzaju żeńskiego.

– Brawo! Jakżeby inaczej? A jakieś pikantne sceny?

– Kilka, owszem. Ale nie tyle, co w tych powieściach, jakie pani czyta na ból głowy.

Rozbawione śmiechy. Ktoś wcześniej komentował pół żartem, pół serio, że madame Dancenis cierpi na wapory po środowych przyjęciach. Z nadmiaru transcendencji. I że leczy się, czytając książki filozoficzne.

– Tylko bez złościwości, Laclos.

Ten robi wymijający gest.

– Właściwie moja książka to opowieść o edukowaniu niewinności. Mówiąc w wielkim skrócie.

– Czy ma już tytuł?

– Jeszcze nie.

– Bardzo chciałabym ją przeczytać... Czy występuje w niej pan Coëtlegon?

Słychać głośne śmiechy, a wzmiankowany pochyla głowę w ironicznym ukłonie.

– Bo on – dodaje Margot Dancenis z udawaną naganą – nie miałby nic przeciwko edukowaniu niewiniątek, gdyby tylko trafiła mu się okazja.

Zadziwiony taką swobodą rozmowy, którą uważa za niestosowną w towarzystwie kulturalnych osób, do tego w obecności kobiet, na dodatek zabierających głos – tylko madame Tancredi, akwarelistka, zachowuje apatyczne milczenie – don Hermógenes często odwraca się do admirała, nie wierząc własnym uszom. Obserwuje także, zaintrygowany, opanowanie monsieur Dancenisa, który flegmatycznie je kolację, jakby to wszystko nie miało z nim nic wspólnego, odgrywając bez specjalnego wysiłku rolę tolerancyjnego małżonka, który porusza się wśród gości, nie uczestnicząc zbytnio w wydarzeniach, jakby zawsze otwarte drzwi do jego biblioteki gwarantowały mu wygodne i bliskie schronienie, niczym twierdza, do której w razie potrzeby można się wycofać tak, by nikt nie zauważył jego nieobecności.

Goście nadal rozmawiają o libertynizmie, jego powodach i skutkach. W tym miejscu filozof Bertenval, który trzymał się nieco z boku podczas całej rozmowy, znów odzyskuje pozycję.

– To, co szkodzi pięknu moralnemu, potęguje piękno poetyckie – stwierdza z powagą.

– Raczej widziałbym w tym kombinację słodyczy z goryczą – dodaje Buffon, który pomimo swoich lat nie zamierza pozostawać w tyle.

Bertenval marszczy brew, szukając riposty godnej przeciwnika.

– Połączenie – stwierdza tonem klasyka – surowości z rozkoszą.

– Mają panowie rację – odpowiada madame Dancenis, ignorując tak jak wszyscy sarkastyczne oklaski Bringasa, już dobrze wstawionego, jakimi ten reaguje na słowa Bertenvala i Buffona ze swojego krańca stołu. – Sławiąc cnotę, można stworzyć jedynie obrazy zimne i spokojne... Bo tak naprawdę to właśnie namiętność i występki poruszają w dziełach malarzy, poetów i muzyków.

– Całkowicie się z panią zgadzam – dodaje mistrz La Motte, ściskając po kryjomu dłoń mademoiselle Terray.

– Libertynów – oświadcza fizyk Mouchy, domagając się nieco uwagi także dla siebie – przyjmuje się do towarzystwa, bo są niezależni, weseli, rozrzutni, to miłośnicy wszelkich przyjemności.

– I często są przystojni – dodaje mademoiselle Terray.

– Znają się też lepiej na ludzkim sercu – twierdzi Adélaïde Labille-Guiard.

Laclos, w dobrym humorze, żartuje:

– Dziś każda szanująca się dama w Paryżu musi mieć w swoim otoczeniu przynajmniej jednego libertyna i jednego geometrę, tak jak wcześniej miewało się paziów.

Ta uwaga zostaje bardzo dobrze przyjęta. Mouchy i Des Veuves usilnie domagają się od Coëtlegona opinii na ten temat. Ów zaś, właśnie wypiwszy nieco wina, ociera usta serwetką i spogląda przelotnie na madame Dancenis, uśmiechając się z dystansem.

– Na temat geometrii nie będę się wypowiadał... Co do reszty, to niektórzy z nas wolą, jak sądzę, grzechy, które nas bawią, od cnoty, która nas nudzi.

– Niech pan poda jakiś przykład – prosi ktoś z towarzystwa.

Wezwany do odpowiedzi rozgląda się wokół z lodowatym uśmiechem. Jest atrakcyjny, przyznaje admirał, ma delikatny i równocześnie męski profil, eleganckie, nieco pogardliwe ruchy i spokojny wyraz twarzy, na której widać samozadowolenie i dystans. Słyszał, że osobnik ten był oficerem pułku królewskich grenadierów, czym można wyjaśniać po części jego pewność siebie oraz niezwykłą, wyrefinowaną próżność.

– Lepiej zostawmy to na inną kolację – mówi Coëtlegon. – Dziś wieczorem wydaje się, że zepsucia próżno by tu szukać.

– Może pan liczyć na moje wsparcie – śmieje się Laclos.

Pora na deser. To wspaniała kolacja, myśli don Hermógenes, który choć ledwo spróbował wina, czuje, że tych kilka wypitych łyków uderza mu do głowy, powodując miły błogostan. Siedzący u drugiego boku madame de Chavannes admirał przyjmuje wszystko ze swoim zwykłym opanowaniem, rozmawiając uprzejmie i powściągliwie, a bibliotekarz czuje się dumny ze swobody, z jaką zachowuje się jego przyjaciel i towarzysz – człowiek, który wiele podróżował i odebrał staranne wykształcenie jako oficer Floty Królewskiej, inaczej niż on, co stracił wzrok, ślęcząc nad Plutarchem przy płomieniu świecy: „u Greków przemawiają mędracy, a osądzają nieuki”... I tak dalej.

– Czy w Hiszpanii są libertyni? – pyta akademików Adélaïde Labille-Guiard.

– Tak samo jak wszędzie – słychać głos Bringasa, nikt jednak nie zwraca na niego uwagi. Wszyscy patrzą na don Hermogenesa i admirała. Ten pierwszy, skrępowany, odchyła się na oparcie krzesła, odkłada sztucce

na talerz i patrzy na towarzysza, przekazując mu zadanie sformułowania opinii.

– Są, ale innego rodzaju – odpowiada admirał spokojnie. – Ten, kogo tu się nazywa libertynem, tam jest kimś źle widzianym lub nawet nie istniejącym.

– To wszystko przez brzemień religii – zauważa Margot Dancenis.

Don Pedro patrzy na nią, nie mrugnawszy okiem, z uznaniem.

– Właśnie. Tam kobieciarz to inny typ mężczyzny. Raczej kojarzy się go z fanfaronadą, przedmieściami, ludowymi obyczajami. Z zajazdem, gospodą, gitarą, klaskaniem i cygańskimi tradycjami. Z kobietami z niższych klas najczęściej. Żadna dama...

Przerywa, pozostawiając zdanie nie dokończone. Dołeczki w policzkach Margot Dancenis się pogłębiają.

– Admirał chce powiedzieć, że w odróżnieniu od Francuzek żadna Hiszpanka nie kokietuje innych mężczyzn w obecności swojego męża.

– Przepraszam – protestuje don Pedro. – Nigdy bym nawet nie pomyślał...

Pani domu pochyla się, oparta na łokciach, bacznie mu się przyglądając.

– Co, pana zdaniem, pociąga kobiety w libertynach, takich, jak rozumiemy to we Francji?

– To, co zakazane – odpowiada admirał bez wahania.

Kobieta mruga, zaskoczona.

– Słucham?

– To, co mroczne.

– Coś takiego. – Znów pojawiają się dołeczki. – Podziwu godna jasność poglądów, szanowny panie. Można by pomyśleć, że dobrze pan wie, o czym mówi.

– Nie, w żadnym wypadku.

Przychodząc admirałowi z odsieczą, Bringas, któremu wino zaczyna plątać język, przerywa im.

– Kobiety lubią ten rodzaj mężczyzn, bo wszystkie z natury są libertynkami – wyrokuje.

– Dobrze powiedziane, kleryku – odpowiada Margot Dancenis z całkowitym spokojem. – *In vino veritas...* Czy zgadza się pan z tą opinią, admirale?

– Na temat wina?

Pani domu uśmiecha się do niego powoli, z rozmysłem. Niemal z wdzięcznością.

– Niechże pan nie żartuje. Na temat kobiet.

Kątem oka don Pedro dostrzega wbity w siebie zimny wzrok Coëtlegona. Co za absurdalny sposób, stwierdza, szukania sobie wrogów. Zupełnie niepotrzebnie.

– Nie jestem pewien – mówi w końcu – czy panie czasem nie lubią, żeby im wywoływać na twarz rumieniec, cytując Diderota.

Margot Dancenis wybucha czystym, pewnym siebie śmiechem. Piekielnie atrakcyjna, myśli melancholijnie admirał. Nic jednak nie mówi i po chwili wytrzymywania jej spojrzenia musi spuścić wzrok. Bringas ze swojego miejsca odzywa się pierwszy:

– Dobrze powiedziane, mój panie. Libertyn zajmuje taką pozycję towarzyską, jakiej wielu nie ma odwagi albo możliwości zdobyć... Nie mają, czy raczej my nie mamy... Tego, co trzeba mieć.

Przerywa, pije i mało co się nie dławi. Perukę ma przekrzywioną jeszcze bardziej niż zazwyczaj, a w jego wzroku zauważa się niewyraźny refleks, jakby przestał widzieć, co się dzieje dookoła niego, albo jakby przestało go to interesować.

– Czasy, które nadchodzą – mamrocze – zmieniają także i to.

– Jakie czasy? – zaczepia go fryzjer Des Veuves, puszczając oko do pozostałych gości.

– Straszne czasy noża i wielkiej dziwki Apokalipsy.

– Kobieta, coś takiego... – zauważa Mouchy. – Będzie piątym jeźdźcem.

– To już jest pozostałych czterech?

Ożywiona dyskusja o mężczyznach, kobietach, libertynach i niekwestionowanej niewinności trwa jeszcze jakiś czas. I madame Dancenis, zanim wstanie od stołu, szczerze podsumowuje swój pogląd na te sprawy.

– Tak naprawdę – mówi – światowa kobieta lubi wiedzieć, że istnieją mężczyźni wspanialszy od innych, bardziej śmiali i eleganccy, którzy nie zawiodą jej próżności, nie zatrzymają się przed jej rzekomą cnotą i podejmą inicjatywę, nawet wążąc się na gwałtowny podbój, jaki będzie mógł służyć kobiecie za usprawiedliwienie... Czy jasno się wyrażam?

– Niczym Ciceron, droga pani – mówi Bertenval.

– Wróćmy więc do salonu na kawę.

O północy, kiedy rozbrzmiewają dzwony w kościele Saint-Roch, obaj akademicy znajdują się obok kościoła, szukając dorożki, żeby odwieźć Bringasa do domu. Kleryk chwieje się, nieco bardziej niż trochę wstawiony, i mamrocze długą litanie gróźb pod adresem całego świata w ogóle i gości madame Dancenis w szczególności. Laska upada mu na ziemię trzykrotnie.

– Nadejdzie ten czas, oczywiście – powtarza raz za razem, a język mu się płacze. – Ten czas, jak pragnę... – Odwraca się, jakby chciał zapamiętać to miejsce na zawsze. – Gniew ludu już będzie wiedział, hip, jak was odnaleźć...

Zatrzymują fiakra niedaleko placu Vendôme, udaje im się od Bringasa wyciągnąć adres – na lewym brzegu, potwierdza woźnica – usadawiają się na wytartym siedzeniu po obu bokach kleryka. Muszą go niemal podtrzymywać. Don Hermógenes dzierży w ręce perukę upuszczoną przez Bringasa, który opiera nierównomiernie ogoloną głowę na ramieniu admirała.

– Gniew... – powtarza Bringas monotonie. – Gniew ludu.

Przejeżdżają przed fasadą opery, gdzie już zamknięto drzwi i zgaszono światła. Na pobliskich ulicach widać jeszcze powozy i spóźnionych widzów. Także dalej, pomimo późnej pory, miasto wcale nie jest opustoszałe. Ustał wiatr, noc jest pogodna i niezbyt zimna, chodnikami przemykają przechodnie w płaszczach i pelerynach, niektórym towarzyszą Sabaudzycy z pochodniami, których wynajmuje się na krótkie trasy. Pewne lokale są jeszcze otwarte, jak elegancki kabaret na rogu rue de l'Arbre Sec, gdzie przed wejściem pali się światło, panuje ruch, stoją powozy. Paryż, stwierdzają akademicy, przynajmniej w centralnych dzielnicach, to miasto równie bezpieczne w nocy, co w dzień. Na pewno bezpieczniejsze niż Madryt z tamtejszymi zarośniętymi oprychami o zasłoniętych twarzach, ciemnymi ulicami i fatalnymi spotkaniami z nożami w tawernach. Tu co kawałek stoją latarnie, policjanci i tajniacy przemierzają ulice i w wielu miejscach krążą patrole francuskiej gwardii. Akademicy rozmawiają o tym, patrząc na przesuwające się za szybą okienka światła i cienie, a Bringas, który wcale nie śpi tak głęboko, jak się wydaje, mruczy niewyraźnie:

– Duch... Właśnie... Wolny duch woli nieporządek, panowie... To smutne, że bezpieczeństwo poddanych... hip... zależy od tyranii ich władcy.

– Dobrze powiedziane. – Admirał uśmiecha się, uderzając kleryka zachęcająco po ramieniu.

– Hip.

Przejeżdżają przez Pont Royal. W słabej poświacie księżyca w nowiu rzeka przypomina szeroką ciemną wstęgę z mrocznymi wysokimi cieniami na obu brzegach; czasem odbijają się w niej rozświetlone okna i blaski odległych latarni. Most, który w ciągu dnia jest pełen powozów, o tej porze całkiem opustoszał. Na posterunku gwardii zatrzymuje ich patrol. Sierżant, niedogolony i w przekrzywionym trójgraniastym kapeluszu, podchodzi do okienka. Za jego plecami w świetle lampy widać zmęczone twarze strażników, niebieskie mundury i błyszczące bagnety. Nie cały Paryż, myśli admirał, jest tak spokojny, jak się wydaje. Kiedy się lepiej przyjrzeć, spod złocień wychodzi gips.

– Mają panowie przy sobie broń palną, szpady albo noże?

– W żadnym wypadku.

Żołnierz spogląda na laskę, którą don Pedro trzyma między nogami.

– Czy to laska ze sztyletem?

– Tak. Do samoobrony.

Człowiek zauważa obcy akcent.

– Cudzoziemcy?

– Tak, proszę pana. Hiszpanie.

– Aha, no dobrze. Proszę jechać.

Na drugim brzegu Sekwany powóz zostawia za sobą nabrzeża i wjeżdża w wąskie, bezładne uliczki, jakby znalazł się naraz w innym świecie. Domy stoją bardzo blisko siebie, nie przepuszczając słabego światła księżyca. Latarnie są znacznie rzadsze, a w tej okolicy, słabo zaopatrzone w olej, ledwo się palą, rzucając pomarańczowy poblask, który oświetla jedynie kilka kroków wokoło. Patrząc na ponury pejzaż, don Hermógenes

zastanawia się nad kontrastem ze światem na drugim brzegu. Dom państwa Dancenis ze stopniowaną iluminacją, dyskretną przy wejściu, mocniejszą w korytarzach i pełną blasku w salonie i jadalni. Albo wspaniały żyrandol z weneckiego szkła, który odbijał woskowe płomienie, oświetlając gości przy rozmowach prowadzonych z tą uprzejmą swobodą, jaką francuska śmietanka towarzyska potrafi jak nikt inny pogodzić z konwenansem, nawet jeśli rozmawia o sprawach bynajmniej nie konwencjonalnych.

Wieczór u państwa Dancenis był miły także po kolacji. Kiedy goście wrócili do salonu, ciągle pogrążeni byli we wspólnej rozmowie. Buffon, Mouchy, Laclos i Des Veuves pożegnali się zaraz po kawie. Bertenval poinformował madame Dancenis o nowych kandydatach do Akademii Francuskiej – filozof pozostawał w kontakcie z d’Alembertem, stałym sekretarzem tej instytucji; gospodyni też uzyskała od niego obietnicę, że przedstawi sekretarzowi hiszpańskich akademików. Kawaler Saint-Gilbert wyczerpał swój zapas plotek; kleryk Bringas nadal na zmianę to pił, to snuł apokaliptyczne przepowiednie, które przyjmowano z humorem, a potem wybuchła dyskusja, wywołana przez La Motte’a i Adélaïde Labille-Guiard, na temat wielkiego talentu Beaumarchais’go i kontrastu tegoż z pospolitością jego sztuki, złym smakiem, nadużywaniem włoskich *concetti* i komunałami na temat Hiszpanii, zawartymi w jego *Cyruliku sewilskim*.

– Być może nie wiedzą państwo – poinformował don Hermógenes, słysząc te słowa – że siostry pana Beaumarchais’go mieszkały w Madrycie przy ulicy Montera, nieopodal mojego domu, a ich brat wielokrotnie je tam odwiedzał... Stąd znajomość mojej ojczyzny, może i powierzchowna, którą jednak ten pan posiada.

– Czym się tam zajmowały? – chciała się dowiedzieć madame Dancenis.

– Były modystkami, z tego, co wiem.

– Modystki? Rozkoszne.

Wszyscy docenili anegdotę, ku przyjemności dobrego don Hermogenesa, który nieznacznie się zarumienił. Później ciągle eteryczna akwarelistka Tancredi zagrała na klawesynie utwór Scarlattiego, za co zebrała nadmierne oklaski, a na koniec wszyscy – poza Bringasem, który nadal się upijał, określając zabawę jako żalosną – oddali się modnej wówczas rozrywce, jaką było obserwowanie cieni rzucanych na ścianę przy użyciu płomienia świecy. Najlepszą sylwetką okazała się postać zrobiona przez madame Dancenis i przedstawiająca admirała, bardzo chwalona przez wszystkich z powodu niezwykłego podobieństwa. Potem, podczas kiedy mademoiselle Terray zachwycała gości deklamacją fragmentu *Rosaidy* Dorata, don Pedro natknął się na utkwione w nim miłe spojrzenie madame Dancenis, któremu towarzyszył delikatny uśmiech; nie musiał nawet spoglądać w stronę Coëtlegona, by zauważyć, że ten przy każdej okazji przyglądał mu się z coraz mniejszą sympatią.

I wtedy pan domu, który dotąd uczestniczył we wszystkim, ze swoją zwyczajową zdystansowaną, niemal nieobecną uprzejmością poprosił o wybaczenie, że musi ich opuścić, ale chce jeszcze dokończyć pewne prace w bibliotece, i wstając, zaprosił hiszpańskich akademików, by obejrzel jego kolekcję książek. A ci towarzyszyli mu z przyjemnością; przeszli korytarzem ozdobionym znakomitymi obrazami.

– To Greuze, to Watteau, to Fragonard... A tu Labille-Guiard... Widzą panowie... To sprawy mojej żony – informował ich Dancenis po drodze.

Weszli do obszernego pokoju o czterech ścianach pokrytych książkami, pośrodku znajdował się stół z tomami wielkiego formatu, pełnymi rycin i grawiur.

– Wstrząsające – stwierdził don Hermógenes, podziwiając widok zachłannym wzrokiem.

Zatrzymali się, by kilka tytułów o pięknych pozłacanych grzbietach obejrzeć w świetle kandelabru, jaki Dancenis zapalił za pomocą czegoś, co nazwał nowym wynalazkiem – były to praktyczne, pokryte siarką zapalki, które po włożeniu do buteleczki fosforu rozbłyskiwały niczym płonące źdźbła zboża.

– To moja forteca – powiedział gospodarz, wskazując gestem całe pomieszczenie. – Spokój i odpoczynek w mojej pustelni, jak opisywał to słowami bardzo dobrze oddającymi to miejsce poeta z waszego kraju, Quevedo, który tak bardzo podoba się mojej żonie.

Akademicy rozglądali się wokół bliscy ekstazy. Biblioteka zorganizowana była dziedzinami: filozofia starożytna i współczesna, historia, botanika, nauka, podróże i żegluga... Dancenis zdejmował tomy z półek i podawał je gościom.

– Proszę spojrzeć, to dzieło rodaka panów, ojca Feijóo. Jego *Krytyczny teatr uniwersalny* w ośmiu tomach. Dobre wydanie, prawda? Z królewskiej drukarni w Madrycie... Mam też wspaniałego *Don Kichota* w wydaniu Ibarry, *in folio*, które panowie, czyli Hiszpańska Akademia Królewska, opublikowali w ubiegłym roku... Znakomita publikacja, jeśli mogę tak powiedzieć, doskonały druk. Nadzwyczajne.

– To nasza duma – przyznał zadowolony don Hermógenes.

– Również moja, szczęśliwego posiadacza. To klejnot, który przynosi zaszczyt tej bibliotece.

– Czyta pan po hiszpańsku?

– Nie bez problemów. Ale piękna książka zawsze będzie świetna, wszystko jedno, w jakim języku ją wydrukowano. Ten państwa *Don Kichot* jest wspaniały, choć mam też inne wydania, proszę spojrzeć... Tu mam

edycję Verdussena wydrukowaną w Antwerpii, a ta, równie wspaniała, to wersja francuska Armanda z tysiąc siedemset czterdziestego pierwszego roku... A pana, admirale, zapewne szczególnie zainteresują te książki tutaj.

Don Pedro podszedł do półki, żeby popatrzeć i podziwiać tytuły na grzbietach: *Voyage de George Anson*, *Voyage de La Condamine*... Miło zaskoczyło go francuskie tłumaczenie i wydanie w dwóch tomach *Voyage historique de l'Amérique Méridionale* autorstwa Ulloi i Jorge Juana.

– Interesy szczęśliwie pozwoliły mi na przywilej ukrycia się tu – powiedział Dancenis. – Sami panowie widzą. Mam czym wypełnić swoje życie, czy raczej tę jego resztę, która mi jeszcze pozostała.

– Z pewnością przed panem jeszcze bardzo długie lata.

– Nigdy nie wiadomo... W każdym razie z tego miejsca przyglądam się Margot, uczestniczę w jej świecie i tu spokojnie wracam do mojego świata, kiedy gasną światła.

Don Pedro, który przeglądał jeden z tomów, uśmiechnął się ciepło.

– Jest pan godnym podziwu bibliofilem.

– To przesadne określenie – zaproponował Dancenis. – Po prostu należę do tych ludzi, którzy meblują świat książkami.

Admirał odstawił książkę na miejsce i dalej się rozglądał. *Lettres sur l'origine des sciences*, *Tableau méthodique des minéraux*... To niemożliwe, żeby przed tym zbiorem nie odczuwać słusznej zazdrości.

– Biblioteka zapewnia nie tylko lekturę, ale też towarzystwo – powiedział, robiąc kolejnych kilka kroków. – A także stanowi lekarstwo i pocieszenie.

Dancenis uśmiechnął się niemal z wdzięcznością.

– Pan wie, o czym mówi. Biblioteka to miejsce, gdzie zawsze znajdzie się to, czego w danej chwili się szuka.

– Moim zdaniem nawet coś więcej... Kiedy czasem człowiek czuje pokusę, by zbyt pogardzać bliźnimi, to żeby odzyskać szacunek dla nich, wystarczy spojrzeć na taką bibliotekę jak ta, pełną pomników wzniesionych na pamiątkę ludzkiej wielkości.

– To szczerza prawda.

Na podręcznym stoliku leżał z tuzin świeżych publikacji: „Journal des Sçavants”, „Le Courier de l’Europe”, „Journal Politique et Littéraire”... Don Pedro przekartkował je z wielką ciekawością. Żadne z tych pism nie docierało do Madrytu. Co najwyżej „Gazeta” publikowała wybrane wiadomości, przefiltrowane przez oficjalną cenzurę.

– Zna pan ostatnie wieści. Jest pan ze wszystkim na bieżąco?

– Jedynie względnie. – Dancenis się uśmiechnął. – Nie wszystkie książki i nie wszyscy mogą przekroczyć ten próg.

Nadal się uśmiechał, wskazując korytarz i to, co jest za nim, jakby odnosił się do obcego, dziwnego świata. Miejsca, do którego chce się zachować dystans. W innych czasach, na morzu, admirał spotykał ludzi, którzy w ten sposób pokazywali brzeg po zawietrznej.

– Bo to byłoby tak, jakby Europa pozwoliła się skolonizować dzikusom z lasów i prerii Ameryki, rozumie pan?

– Doskonale.

Podeszli do don Hermogenesa, który nieco oddalony buszował wśród półek z filozofią i literaturą. Problem polega na tym, stwierdził Dancenis, że we Francji publikuje się zbyt wiele książek. Czytanie jest w modzie. Każdy wygłodniały kleryk, każdy wojskowy na połowie żołdu, każda znudzona stara panna zabierają się do pisania, a księgarze kupują rezultat ich pisaniny bez względu na to, jaki jest zły, bo wszystko znajduje odbiorców, a wydane dzieła z powodu mody albo szczerego zamiłowania czytelników można kupić wszędzie. W związku z tym pojawiło się całe

mnóstwo historyków, kompilatorów, poetów, pamiętnikarzy, powieściopisarzy i innych dwunogów mniej lub bardziej opierzonych, którzy usiłują być równocześnie Wolterem i madame Riccoboni. Czyli inaczej mówiąc, filozofować i zarabiać pieniądze. Na nieszczęście, naturalnie, maltretowanej filozofii.

Gospodarz zatrzymał się z książką w ręce – był to wspaniały Ksenofont w grece i łacinie – pochylił głowę, jakby się zastanawiał nad własnymi słowami.

– Tak – stwierdził po chwili. – Rozumieją panowie, co mam na myśli... Jesteście literatami.

Stanęli przed dwudziestoma ósmioma tomami wielkiego formatu, oprawnymi w brązową skórę, z pięknymi złoceniami zdobiącymi grzbiety. Żaden z akademików nie był w stanie opanować dreszczy.

– Czy to...? – zapytał don Hermógenes.

– Tak. – Dancenis się uśmiechnął.

– Mogę jej dotknąć?

– Proszę bardzo.

Rzeczywiście stała tam. Widzieli ją pierwszy raz: *Encyclopédie, ou Dictionnaire raisonné des sciences, des arts et des métiers*. Widziana z bliska, wydrukowana na pięknym papierze, z szerokimi marginesami i piękną typografią, robiła jeszcze większe wrażenie niż w opowieściach.

– To wielkie dzieło. Czy znają panowie wstęp? Napisał go d’Alembert i jest nadzwyczajny.

Don Hermógenes wziął pierwszy z ciężkich tomów i zaniósł go na stół pośrodku biblioteki. A tam, z niezwykle troską, założywszy okulary, otworzył go na ósmej stronie i przeczytał na głos, wzruszony:

Nie możemy tedy się spodziewać, że poznamy naturę dzięki hipotezom ogólnikowym i arbitralnym; zdołamy ją poznać tylko poprzez badanie zjawisk, przepojone namysłem, przez porównanie jednych z drugimi, przez sztukę redukcji, w miarę możliwości, wielkiej liczby zjawisk do jednego, które by mogło być uznane za zasadę tychże...

Nie mógł czytać dalej. Załamał mu się głos, a on sam spojrzął na don Pedra, który dostrzegł, że oczy bibliotekarza były zaczerwienione, wilgotne ze szczęścia.

– Oto ona, panie admirale.

– Tak – odparł, uśmiechając się, z ręką na ramieniu przyjaciela. – Tutaj jest, wreszcie.

Dancenis przyglądał im się z zaciekawieniem.

– Nawet we Francji – stwierdził – są tacy, którzy widzą w tym dziele niestrawną kompilację, pełną paradoksów i błędów, inni jednak widzą, czy raczej my widzimy, największy skarb.

Admirał pokiwał głową.

– Taka również jest opinia hiszpańskiej Akademii. Dlatego jesteśmy w Paryżu.

– Tak, oczywiście. Słyszałem od tego Bringasa, że starają się panowie kupić *Encyklopedię*.

– Tak. Pierwsze wydanie, takie jak to.

– Na pierwsze bardzo trudno trafić. Zbyt wiele było wznowień i kopii, obawiam się... – Dancenis zastanowił się chwilę, rozejrzał wokół i wzruszył uprzejmie ramionami. – Niestety, nie mogę rozstać się z moją. Być może monsieur Bertenval, posiadając kontakty, mógłby zdobyć dla panów egzemplarz. Chętnie też podam panom adresy kilku moich zaufanych księgarzy, ale pierwsze kompletne wydanie...

Zamilkł, żeby pozwolić akademikom przekartkować kilka tomów dzieła, w którym specjalny podziw wzbudziły ryciny w suplementach.

– Chciałbym poznać waszą Akademię w Madrycie – powiedział potem melancholijnie.

– Kiedykolwiek pan zechce, z radością tam pana przyjmimy – zaofiarował się don Hermógenes. – Ale obawiam się, czy nie będzie pan rozczarowany. Mamy skromną siedzibę, dysponujemy niewielkimi środkami.

Dancenis na chwilę zasznurował usta i zrobił bardzo francuską minę.

– Nie sądzę, żebym jeszcze kiedykolwiek miał ku temu okazję. Mam na myśli podróżowanie... Straciłem już ochotę. Podróżuję poprzez książki i to mi wystarcza.

Pomógł im odstawić tomy *Encyklopedii* na miejsce.

– Bez względu na to, jak skromna jest wasza Akademia – dodał – uważam, że to instytucja poważna, publikująca proste w użyciu słowniki, opracowująca ortografię i gramatykę... Zupełnie inaczej niż tutejsza Akademia. Od czasów jej założenia przez Richelieu okazała się tygłem mieszających się ambicji, uprzejmości i próżności... Francuscy akademicy nazywają siebie samych nieśmiertelnymi i to mówi wszystko.

– Ale panowie Bertenval i Buffon są bardzo mili – stwierdził don Hermógenes.

– Tak. Wraz z d'Alembertem i jeszcze kilkoma należą do tych nielicznych, z którymi da się rozmawiać. Swoją drogą, Margot potrafi ich dość mocno zmiękczyć... Nie ma nikogo lepszego niż ona, żeby pogodzić kwas ze słodyczą, frywolność z powagą.

– To podziwu godna kobieta – zauważył admirał.

– Tak. – Dancenis zamyślił się na chwilę. – Taka właśnie jest.

Już mieli wyjść, kiedy don Hermógenes odkrył książkę Bertenvala – *De l'état de la philosophie en Europe* – i zatrzymał się, żeby ją przejrzeć. Być może z powodu niedoskonałej znajomości francuskiego jej początek wydał mu się pretensjonalny.

– Wśród francuskich akademików panuje swego rodzaju despotyzm kultury, który otwiera lub zamyka drzwi do ich przychylności – powiedział Dancenis, jakby odgadł jego myśli. – Zwyczajni ludzie niewiele mają pożytku z ich pracy.

Wziął książkę z rąk don Hermogenesa i słabo się uśmiechnął, odstawiając ją na półkę.

– U was, akademików hiszpańskich, tymczasem – dodał – liczą się nie tyle autorzy, ile całość dzieła... Wykonują panowie bardzo ważną patriotyczną pracę oświatową, docierającą też do zamorskich posiadłości w Ameryce.

Podszedł do kandelabru i zdmuchnął świece, a jedyne światło w bibliotece pochodziło teraz z korytarza.

– To całkiem dobry sposób – powiedział admirał – na wspólne życie z tak wspaniałą małżonką jak madame Dancenis.

Pan domu zatrzymał się gwałtownie, w sposób dla siebie niespotykany. W tym słabym świetle wydawał się jeszcze bardziej rozkojarzony i nieobecny. Don Pedro nie widział jego twarzy, a mimo to wiedział, że na niego skierował swój wzrok.

– Najlepszy, jaki znam. Wszystko inne pozostaje za tymi drzwiami. Rozumieją panowie?

– Doskonale.

Wydawało się, że Dancenis waha się chwilę.

– Ona ma swoją bibliotekę – dodał w końcu. – W innym stylu.

– Rue des Poitevins – krzyczy woźnica z kozła.

Dorożka zatrzymała się pod jedyną latarnią w okolicy, palącą się na rogu krótkiej, krętej i nędznej uliczki, gdzie wylewane przez okna pomyje zamieniły ziemię w błoto. Czuć solą azotową i siarką, stwierdza admirał, wciągając z odrazą powietrze. Słabe światło latarni nie rozprasza mroków, ale sprawia, że wydają się jeszcze głębsze. W dali ledwo widać rozpadającą się średniowieczną wieżę, zwieńczoną stożkowym cieniem.

– Gdzie jest pański dom, drogi przyjacielu?

– Tam.

Opierając się jedną ręką o ścianę, kleryk głośno opróżnia pęcherz.

– Tutaj mieszkają – mówi, kreśląc strumieniem zygzaki w ciemności – ludzie sprawiedliwi i zrujnowani... Genialni mizantropi... Alchemicy idei i pióra...

– Bywają jeszcze gorsze miejsca – stwierdza don Hermógenes niezdarnie, choć z dobrymi chęciami.

– Jest pan w błędzie... Ale jeszcze nadejdzie dzień gniewu...

Poprosili woźnicę, żeby zaczekał, i prowadzą kleryka, podtrzymując go po bokach. Brama jest tak naprawdę wjazdem, na wpół zastawionym cegłami i deskami, obok warsztatu introligatorskiego, zamkniętego o tej porze, nad którym widać w słabym świetle latarni namalowane litery napisu: *Antoine et fils, relieurs*.

– Niech się panowie nie trudzą... Słowo daję, że sam dam radę.

– To żaden trud.

Don Pedro i don Hermógenes pomagają Bringasowi wejść po drewnianych schodach, które skrzypią i sprawiają wrażenie, jakby zaraz miały się zawalić pod ich stopami, i kiedy docierają na poddasze, pomagają mu otworzyć drzwi do mieszkania. Poruszając się po omacku, tuż za progiem don Pedro natrafia na krzesiwo i hubkę do zapalania świecy, po

czym w świetle widać, jak po podłodze rozbiega się, bez specjalnego lęku, jakieś pół tuzina czerwonych karaluchów. Jest zimno. W domu – dwóch nędznie wyglądających pokojach – widać miednicę, stół z kilkoma skórkami chleba nakrytymi serwetką, tapczan, zgaszony piecyk, szafę na ubrania i biurko, na którym leży jakieś pół setki książek i broszur. Drugie tyle leży na podłodze, w większości są bardzo zniszczone i pożółkłe. Wszystko czuć wilgocią i stęchlizną, spleśniałym chlebem, głodem, samotnością i biedą. Natomiast książki są uporządkowane, a w koszu na bieliznę stojącym przy łóżku dwie koszule i para skarpet, choć pocerowane i połatane, są nieskazitelnie czyste.

– Niech panowie zostawią... Mówię, że mogę sam.

Kładą Bringasa, który zdążył już zamknąć oczy, na łóżku, a to skrzypi pod jego ciężarem. Podczas kiedy don Hermógenes wiesza perukę kleryka na mosiężnej kuli stojącej u wezglowia łóżka, zdejmuje mu buty i przykrywa go kocem, admirał rozgląda się po pokoju i odczytuje tytuły kilku książek: *Le gazetier cuirassé*, *La chandelle d'Arras*, *Histoire philosophique et politique des établissements des européens dans les deux Indes...* Widać liczne akapity podkreślone atramentem. Wszystko jest wymieszane, bez widocznego systemu, od literatury libertyńskiej po dzieła filozoficzne i teologiczne, od Raynala przez Aretina i Monteskiusza po Helwecjusza, Diderota i Rousseau. A na ścianie ponad tą dość pstrą biblioteką wiszą trzy kolorowane ryciny, tworząc dość niesamowitą galerię postaci: Wolter, rosyjska Katarzyna II i pruski Fryderyk I. Im wszystkim Bringas dorysował wąsy, rogi i groteskowe rysy.

– Już śpi – szepcze don Hermógenes.

Nie trzeba tego mówić, stwierdza admirał. Od chrapania kleryka trzęsą się ściany.

– No to chodźmy.

Zanim zgaszą światło, don Pedro zauważa leżący na stole tekst, wyraźnie napisany przez Bringasa. Skrupuły nie pozwalają mu go ruszyć, ale ciekawość zwycięża, pochyla się więc ze świecą w ręku i czyta kilka linijek zapisanych drobnym i kanciastym pismem, z czubkami liter przypominającymi sztylety:

Zmyślny autor, który panuje nad piórem, może przysłużyć się wielce wolności ludów poprzez oddziaływanie na publiczność przychodzącą do teatru, jeśli przemawia z solidną i elegancką elokwencją; podając przykłady i postaci przemyślnie wzięte z historii, może powiedzieć to, czego najgorliwszy patriota nie może lub nie ośmieli się powiedzieć swojemu władcy, księciu lub faworytowi. Dlatego teatr będący najważniejszym źródłem publicznej szczęśliwości i szkołą powszechnej edukacji, może się przemienić w ostrą broń w rękach odważnych ludzi, pozbawionych innych ograniczeń niż własna odwaga i talent...

– To jego? – interesuje się don Hermógenes.

– Na to wygląda.

Dwaj akademicy zamierzają już wyjść.

– I jak pisze?

– Całkiem nieźle, trzeba powiedzieć. I odnoszę wrażenie, że nasz kleryk wcale nie jest tak szalony, jak się wydaje.

Zanim admirał zgasi świecę i odłoży ją na miejsce, w drzwiach rzuca ostatnie spojrzenie na nieruchomy kształt postaci leżącej w ciemności na łóżku. Chrapanie Bringasa grzmi w powietrzu. Nie swoje wino i własna nędza. Krótki odpoczynek wojownika.

Godzinę później na rue Vivienne, podnosząc wzrok spod opuszczonego ronda kapelusza, Pascual Raposo widzi, jak gaśnie światło w pokojach

akademików w hotelu Cour de France. Następnie upuszcza niedopałek cygara, rozgniata go obcasem wysokiego buta i powoli odchodzi, zawinięty w pelerynę. Właściwie osobiste śledzenie akademików nie było dziś konieczne, zresztą rzadko bywa niezbędne – policjant Milot i jego sieć konfidentów informują Raposa o wszystkim, co admirał i bibliotekarz robią w tym mieście. Ale rzecz polega na tym, że dawny kawalerzysta, podobnie jak i w parę poprzednich nocy, długo jeszcze nie zaśnie; przez wiele bezsennych godzin będzie czuł pieczenie w żołądku, krążąc po pokoju albo paląc przy oknie. Dlatego stara się opóźnić moment wejścia do pościeli, dopóki senność go nie zmorzy, żeby nie przewracać się w łóżku w męczącym półśnie, bo potem jego myśli są jeszcze bardziej splątane, w ustach czuje cierpki smak i ma przekrwione oczy.

Nawet Henriette Barbou, córka właścicieli hotelu, nie jest wystarczającym środkiem uśmierającym. O tej porze, kalkuluje Raposo, dziewczyna mogła już przyjść do jego pokoju, bosą, żeby nie narobić hałasu, w koszuli, z zapaloną świecą, gotowa wskoczyć z nim do łóżka – ta myśl powoduje gwałtowną erekcję, zupełnie nie w porę. Już po południu doszło do poważnej zapowiedzi, kiedy spotkał ją, jak klęcząc na podeście schodów z wiadrem i szczotką, szorowała podłogę, a ona zgodziła się na szybkie harce, które zakończyły się obietnicą ich porządnego zwieńczenia przy pierwszej okazji. Jednak nawet to nie wystarcza, by przyciągnąć Raposa do hotelu. Jest zbyt wcześnie, jeśli nie dla niego – jakkolwiek szkody spowodowane kiepskim trybem życia zaczynają już wystawiać rachunki, a zmęczenie, choć nie sen, pojawia się coraz szybciej – to dla jego żołądka, niespokojnej głowy i upiorów, które pamięta lub które tworzy. Czyli nie ma pośpiechu. Raposo idzie tam, gdzie wie, że jego znajomy Milot zazwyczaj kończy dzień pracy – do jednego z kabaretów, jakich jest mnóstwo wokół Les Halles, najważniejszego targowiska w Paryżu.

Jest już po pierwszej w nocy. Na słabo oświetlonych ulicach rośnie ruch, w miarę jak Raposo zbliża się do celu. O tej porze cztery czy pięć tysięcy wieśniaków dociera co noc do centrum miasta różnymi drogami, przywożąc na wozach zaprzężonych w muły z odległości mili lub bardzo wielu mil warzywa, owoce, ryby, jaja, to wszystko, co rano znajdzie się na wszelakich rynkach karmiących ogromny brzuch tego miasta. Dlatego to miejsce na prawym brzegu częściej odwiedza się w nocy niż za dnia. Wozy i zwierzęta blokują niektóre ulice. Na rue de Grenelle, lepiej od innych oświetlonej, jest sporo otwartych tawern, a na wąskich, równoległych do niej uliczkach, pogrążonych w mroku, można domyślić się obecności kobiet, które zaczepiają przechodniów, nawołując ich cmokaniem.

– O kurwa, Pascual. Miło cię tu spotkać!

Tak naprawdę Milot nie powiedział „kurwa”, ale *parbleu*, co jest francuskim odpowiednikiem słowa „kurna”. Raposo jednak zawsze uważał, że przekleństwa brzmią w języku Moliера zbyt delikatnie i wcale nie przynoszą ulgi. Są oczywiście bardzo odległe od kwiecistych przekleństw, którymi Hiszpanie o łatwej wymowie potrafią się wyluzować, rzucając mięsem i posyłając resztę ludzkości w diabły. Tak więc Raposo adaptuje w wolnym przekładzie język żabojadów do własnych przyzwyczajień.

– Chciało mi się pić – odpowiada były kawalerzysta.

– No to jesteś we właściwym miejscu, kolego. – Policjant wskazuje sękatym kijem wejście do jednego z lokali. – Czerwone czy białe?

– Daj spokój z tym pedalstwem – kpi Raposo. – O tej porze tylko okowita.

Dobrze wie, że to tylko wzmoże pieczenie w żołądku, ale jest mu wszystko jedno. W swym koszarowym francuskim użył słowa *emproseuries*, które w porównaniu z ostrym językiem kastylijskim jest niemal bezbarwne. *Laisse tomber avec tes emproseuries*, powiedział. Milot

wybuchu śmiechem i prowadzi go do kabaretu, gdzie przedzierają się poprzez obłoki tytoniowego dymu i zapach tłumu. Widząc, że wchodzi policjant, właściciel tawerny porządkuje w kącie stół z dwoma taboretami, gdzie się sadowią.

– *Eau-de-vie?* – pyta właściciel, proponując okowitę.

– Jaka, do cholery, woda życia?! – dalej kpi sobie Raposo, zdejmując pelerynę i kapelusz. – Gorzałki, człowieku! *Eau-qui-brûle*, ognistej wody, jak to się mówi w Hiszpanii. Z kilkoma ziarenkami pieprzu, jeśli można.

– Myślałem, że śpisz albo pieprzysz.

– Wszystko w swoim czasie.

– Chodziłeś za swoimi ptaszkami? Mówię ci, że nie ma potrzeby. Moi ludzie się tym zajmują.

– Wszystko jedno. Lubię czasem sam rzucić okiem.

– Honor profesjonalisty, ja to nazywam.

– Możesz to nazwać po prostu przezornością. Od ostrożności jeszcze nikt nie umarł.

Pojawiają się flaszka gorzałki i szklanka. Raposo wacha wódeczkę ostrożnie, a potem smakuje ją z przyjemnością. Jest mocna, a pieprz powoduje, że uderza w nozdrza. Pierwszym łykiem przepłukuje usta, po czym go połyka. Bezboleśnie, na razie.

– Według moich informacji – mówi Milot – jak dotąd jeszcze nie zdołali znaleźć *Encyklopedii*. Pewien księgarz z Luwru, niejaki Cugnet, obiecał im, że poszuka dla nich egzemplarza, ale już sam się zajmę tym, żeby mu się nie udało...

– Tak czy inaczej – zauważa Raposo – jakkolwiek będziemy się starać, by im przeszkodzić, nie można wykluczyć, że w końcu ją zdobędą. I na taką ewentualność też mam pewne pomysły.

– Na przykład?

– Będą potrzebowali pieniędzy, żeby zapłacić, a pieniądze można im ukraść. To miasto jest pełne łotrów.

Milot przeciąga dłonią po łysinie i puszcza oko do Raposa.

– Tak mówią.

– Będą też musieli zawieźć ją z powrotem do Madrytu, a to jest całe mnóstwo tomów. To oznacza duży bagaż, do tego bardzo ciężki... Może ich spotkać tysiąc wypadków po drodze.

– Owszem.

– Albo pojawić się wiele nieprzewidzianych problemów.

– Oczywiście. I jeśli pozwolisz, dam ci pewną policyjną radę: sugeruję złożenie doniesienia.

– Jakiego rodzaju? O posiadaniu zakazanych książek?

– Nie. W tej chwili *Encyklopedia* wszystkim zwisa. Nawet szef policji ma swój egzemplarz. Potrzebujesz czegoś bardziej spektakularnego.

Pewien handlarz rybami, cuchnący swoim zawodem, wpada na Raposa, przechodząc obok. Ten odpycha go energicznie, kupczyk obrusza się, jest wściekły. Milot zamierza interweniować i wyciąga rękę po sękaty kij, jednak wystarczy wymiana spojrzeń. Po krótkim otaksowaniu obu kumpli, handlarz chowa głowę w ramionach i rusza swoją drogą. Milot profesjonalnym okiem dostrzega balast w kieszeni kurtki swojego towarzysza.

– Zawsze nosisz ten twój pistolet o podwójnej lufie?

Raposo wzrusza ramionami.

– Czasami.

– Wiesz, że to jest w tym mieście zabronione?

– Tak – potwierdza Raposo obojętnie. – Tak słyszałem.

Piją w milczeniu, patrząc na ludzi wokół, którzy palą, rozmawiają albo przysypiają nad winem.

– Istnieje możliwość – odzywa się Raposo po chwili – żeby moi podróżni wpadli w tarapaty z powodu tego kleryka, który wszędzie im towarzyszy? Jak myślisz?

– To też jest opcja – przyznaje Milot.

– Potrzeba czegoś, co zajęłoby ich na jakiś czas. Co pozwoliłoby też skonfiskować im książki, papiery i bagaże.

– Na przykład?

Raposo marszczy brew, zastanawiając się. Pomaga sobie łykiem gorzałki i znów się zamyśla.

– Oskarżenie o szpiegostwo – stwierdza. – Dla jakiegoś obcego mocarstwa.

Milot zastanawia się nad taką ewentualnością.

– A wiesz – uśmiecha się w końcu – że to dobra myśl!

– Może. Ale jest pewien problem. Francja i Hiszpania są aliantami.

– I co z tego? Można ich zadenuncjować jako szpiegów angielskich i sprawa załatwiona.

Raposo zastanawia się głębiej.

– Mógłbyś mi w tym pomóc?

– No jasne. To moja specjalność. Fałszywi świadkowie, których się wcześniej opląci.

Stukają się szklaneczkami, a Raposo kalkuluje w głowie chwile, okazje. Zyski i możliwe straty. Myśl, że czcigodni akademicy zostaną oskarżeni o szpiegostwo, wywołuje jego złośliwy uśmiech.

– Ile czasu dałoby mi coś takiego? – pyta w końcu.

Milot przybiera wieloznaczną minę.

– Zależy od ich ruchów. I od zainteresowania waszej ambasady.

– No cóż, to są członkowie hiszpańskiej Akademii, szacowne osoby...
Mają ze sobą listy polecające do hrabiego Arandy.

– No to lepiej byłoby to rozegrać gdzieś daleko stąd... Dwóch angielskich szpiegów w jakiejś wiosce po drodze. Wyobraź sobie wrażenie, jakie robi taka historia. Komisarz, który zawiadamia burmistrza, albo na odwrót, burmistrz proszący o instrukcje z Paryża, a potem przesłuchania... Tymczasem ich багаż porzucony, bezbronny...

– Istnieje ryzyko, że wpadnie w ręce jakiegoś bezdusznego złoczyńcy, który może go zabrać albo zniszczyć – stwierdza Raposo, idąc dalej za tym pomysłem.

– Trafiłeś w sedno, kolego.

– To wydaje się rozsądne, prawda?

– Tak, dosyć. Wojna z Anglią ułatwia takie rzeczy... Zamówić więcej gorzałki?

Zamawiają. Pojawia się druga butelka i znów piją. Żołądek Raposa nadal nie daje znaków sprzeciwu. Hiszpan wyjmując zegarek z kamizelki i sprawdza godzinę. Jeszcze za wcześnie, stwierdza, żeby zasnąć tak szybko, jak by chciał. Poza tym kabaret jest nawet w porządku. Milot okazuje się dobrym kolegą, a napitki są całkiem niezłe. I na razie bezbolesne.

– Jak dawno temu porzuciłeś wojsko? – pyta policjant, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

– Minęło już osiemnaście lat.

– A jaką odbyłeś ostatnią kampanię?

– Przeciwno Anglikom, w Portugalii.

Milot wykrzywia usta.

– I dlaczego to rzuciłeś? Życie kawalerzysty nie było wystarczająco dobre?

– Nie było złe.

Raposo spochmurniał i jego kompan to dostrzega.

– No, przepraszam. Może nie chcesz o tym mówić?

– Nie przeszkadza mi.

Raposo odchyła się i opiera o ścianę. Spogląda na szklaneczkę gorzałki i pije kolejny łyk. Teraz czuje, jak alkohol pali go w środku. Trochę.

– Słyszałeś kiedyś o przełęczy La Guardia?

– W życiu.

– Tam to się zdarzyło, na drodze do Lizbony... Anglicy i Portugalczycy bronili się zawzięcie. Byliśmy zmęczeni, ponieśliśmy duże straty. Trzymali nas tam dobrą chwilę, czekaliśmy w ordynku, nieruchomi i odsłonięci, a nieprzyjacielska artyleria waliła w nas jak w bęben...

– Dużo było zabitych? – interesuje się Milot.

– Wystarczająco, żeby przekląć samego Pana Boga i jego Matkę.

– Rozumiem.

Raposo teraz powoli wypowiada każde słowo. Jego głos brzmi matowo, a może obojętnie.

– Dopiero po kilku godzinach – ciągnie po krótkiej chwili milczenia – nadszedł rozkaz ataku... Granat wykończył dowódcę naszego szwadronu, komendę przejął więc porucznik, starszy gość... Jak wy tutaj na takich mówicie?

– *Ancien? Vétéran?* Wiarus?

– No właśnie, wiarus. Człowiek o siwych wąsach i zmęczonej twarzy, którego przy awansach omijał fart... Na swoim koniu razem z nami

obrywał tym samym gównem, ale stanął na czele szyku. Słyszał, jak protestujemy i przeklinamy... Wiedział, co zrobimy.

Raposo przerywa i masuje sobie żołądek. Przez chwilę patrzy w pustkę, jakby widział przed sobą każdy szczegół wspomnień, o których opowiada. A teraz zwraca się do Milota niemal zaskoczony, z wątpliwością wymalowaną na twarzy. Można by pomyśleć, że naraz zaskoczyła go obecność towarzystwa wśród dymu i rozgwaru w tawernie.

– W końcu – po chwili wraca do opowieści – przybył zwiadowca z rozkazem. Porucznik wyciągnął szablę, powiedział: „Gotowi do ataku”, i oddział ruszył. Jechaliśmy za nim niechętnie, puściwszy luźno wodze. Nadal leciały granaty. Kiedy krzyknął: „Kłusem!”, zaczęliśmy stawać, a gdy wydał rozkaz „Do ataku”, nie poruszył się nikt z całego szyku. Staliśmy w miejscu, ściągając wodze, podczas kiedy porucznik galopem rzucił się przed siebie z szablą skierowaną ku przełęczy... Wiedział, że za nim nie ruszymy, ale jechał, aż straciliśmy go z oczu. Nawet się nie odwrócił, by na nas spojrzeć... Pojechał za nim tylko młodziutki, może piętnastoletni trębacz, dmący w instrument, i ostatnie, co do nas dotarło, to obłok kurzu ciągnący się za obydwojma końmi i ten absurdalny dźwięk oddalającej się trąbki, który nagle ucichł.

– I to wszystko? – pyta policjant po chwili ciszy.

Potakując powoli głową, Raposo nie od razu odpowiada. Ból żołądka zaczyna mu poważnie dolegać.

– To już wszystko – mówi w końcu. – Nigdy więcej ich nie zobaczyliśmy. Szwadron został rozwiązany, rozstrzelano sierżantów, a nas, całą resztę, wysłano na cztery lata do więzienia w Ceucie.

– Cholera. – Milot otwiera usta ze zdziwienia. – O tym nawet nie wiedziałem.

Raposo wstaje.

– No to teraz już wiesz.

Nieco później Pascual Raposo idzie rue de la Chaussetterie. Olej w miejskich latarniach wypalił się dobrą chwilę temu i sztuczne światło ogranicza się tylko do pomarańczowej poświaty wokół knotów dymiących jeszcze za szkłem lamp wiszących na haczykach. Krokiem nieco chwiejnym, zawinięty w pelerynę, z kapeluszem nasuniętym na oczy, były żołnierz kawalerii przemyka w cieniu domów niczym przestępca. Nad nim rozpościera się noc, która mrokom dodaje jeszcze dziwnych cieni. Gorzałka i rozmowa sprzed chwili przywołały dawne obrazy, wspomnienia, które ciągle go dręczą. Spomiędzy nich wyłania się jeden obraz szczególnie niemiły: zmęczona twarz i siwe wąsy owego porucznika, którego nazwiska zapomniał, a który osiemnaście lat wcześniej na przełęczy La Guardia rzucił się do ataku jedynie w towarzystwie trębacza.

Ale, uczciwie mówiąc, to nie wyrzuty sumienia dręczą teraz Raposa. Taka hipoteza byłaby zbyt piękna w jego przypadku. Podobnie jak większość przedstawicieli ludzkiego rodzaju osoby jego pokroju łatwo znajdują usprawiedliwienie dla każdego postępuku w swoim życiu, bez względu na to, jak bardzo był okrutny czy nędzny, niezwykle rzadko człowieka dręczy więcej upiorów, niż zdoła znieść. Dziś w nocy pojawiło się to melancholijne wspomnienie – niemiła świadomość upływu czasu i nieubłaganego oddalenia. Może też zmarnowanych okazji. Obraz twarzy wiarusa, który wy dobył szablę z pochwy i wykrzykiwał rozkazy, choć wiedział, że nikt ich nie wykona, a potem spiął konia ostrogami i odjechał, nie oglądając się za siebie, zasmuca Raposa bardziej tym, co dawno temu mogło się zdarzyć, ale się nie zdarzyło. Właściwie refleksją nad sobą samym. Człowiekiem, jaki wówczas przestał istnieć, być może wtedy, kiedy tak jak wszyscy inni ściągnął wodze i zatrzymał konia przed pełną kurzu portugalską przełęczą. W sumie jest to melancholijna tęsknota za

własną młodością, za minionym czasem. Za tymi, których minął, nie dostrzegając w nich czegokolwiek, co pomogłoby mu lepiej spać o takiej porze jak teraz.

Jakaś postać wyłania się z ciemności. Cmoknięcie zatrzymuje dłoń, która już sięgała pod pelerynę do kieszeni kurtki po pistolet. Dziwka wychynęła z mroku, stając w słabym świetle niemal wygasłej latarni, która jest za nią. Ma na sobie gorset w czerwono-białe paski i choć ledwo widać jej twarz, kształty wydają się niezłe.

– Może trochę przyjemności? – mówi z zawodową bezczelnością.

– Gdzie? – pyta Raposo.

– Mam tu niedaleko jedno takie miejsce, pięć franków dla mnie, sześć za łóżko z pościelą... Pasuje?

– Spieszę się.

Kobieta wskazuje ciemny zaułek. Wygląda na zmęczoną.

– Może być tutaj.

Raposo waha się, masując obolały żołądek. Zabranie z Paryża syfilisu na pamiątkę nie jest celem jego życia.

– Masz zabezpieczenie?

– Jakie?

– Kapturki ochronne... Prezerwatywy... Baranie flaki, cokolwiek.

– Skończyły mi się.

– Jasne.

Dziwka podchodzi jeszcze bliżej. Nie ma kapelusza i teraz Raposo może nieco lepiej jej się przyjrzeć. Wydaje się młoda. Czuć od niej zapach potu i wina zmieszany z ostrymi, tanimi perfumami. I z wonią mężczyzn, którzy tej nocy tutaj się przewinęli.

– Można mnie wziąć od tyłu, jeśli pan woli.

– Bez ochrony nie ma mowy, ani od tyłu, ani od przodu.

– A w usta?

Raposo zastanawia się chwilę z pewnym zainteresowaniem. Biorąc pod uwagę, że tego raczej nie praktykują hiszpańskie dziwki – bardziej przejęte mszą i różańcem, a ich spowiednicy tego zabraniają – propozycja wydaje się kusząca. Jednak w końcu kręci przecząco głową.

– Nie, daj spokój.

– Za trzy franki.

– Mówię: nie.

Odchodząc, słyszy, jak kobieta po cichu mu złorzeczy. *Salud de merde*, mówi, czy coś podobnego. Ton jest taki sam w każdym języku. A trochę dalej, rozchyliwszy pelerynę, Raposo opróżnia pęcherz na górę potłuczonych cegieł w wąskiej, krótkiej uliczce, gdzie mrok jest na tyle rozjaśniony odrobiną światła księżycy w nowiu, które w tej chwili dociera tu pomiędzy dwoma dachami, że Raposo dostrzega kupy śmieci, a także, zapinając spodnie, patrzące na niego czerwone i złośliwe oczy szczura. Gryzoń jest wielki niemal jak kot, nieruchomy, wpatruje się w niego uparcie, kurcząc się, jakby liczył, że pozostanie nie zauważony. Raposo przygląda mu się przez chwilę, a potem schyla się powoli, żeby wziąć kawałek cegły. Szczur zdaje się odczytywać jego zamiary, wydaje pisk strachu i groźby, który wywołuje okrutny uśmiech obserwującego go człowieka z cegłówką w ręce. Szczur osaczony w zaułku pośród śmieci. Dokładny obraz świata, myśli Raposo, rzucając w zwierzę.

1. J. Le Rond d’Alembert, *Wstęp do Encyklopedii*, tłum. J. Hartwig, Warszawa: PIW, 1954.

8. PANOWIE Z CAFÉ PROCOPE

Minęły czasy, kiedy głupota mnie złościła.

D. Diderot, z listów do Sophie Volland

Nie mają szczęścia z *Encyklopedią*. Pomimo najlepszych chęci kleryka Bringasa, wskazówek przyjaciół i znajomych, a nawet rekomendacji od pana Dancenisa u jego zwyczajowych dostawców pierwsze wydanie ciągle umyka wszelkim poszukiwaniom. Wygląda na to, że nie ma ani jednego pełnego kompletu w całym Paryżu – filozof Bertenval potwierdził, że z czterech tysięcy dwustu dwudziestu pięciu egzemplarzy pierwszej edycji trzy czwarte zostało sprzedane za granicę – a wizyty składane przez don Pedra i don Hermogenesa wszystkim księgarzom – Rapenotowi naprzeciwko Les Carmes, Quillau przy Hôtel Dieu, Samsonowi i Cugnetowi w arkadach Luwru, wdowie Ballard przy rue des Mathurins – okazały się bezowocne. Ani ci najbardziej luksusowi, ani najskromniejsi, ani nawet bukiniści i *colporteurs* znad Sekwany i z Pól Elizejskich, nikt nie dysponował wszystkimi dwudziestoma ośmioma tomami *in folio*. Udało się jedynie zlokalizować kilka pojedynczych ksiąg, a madame Ballard, królewska drukarka, może sprzedać wznowienie czternastu ostatnich tomów wydanych w Genewie. Poszukiwanie doprowadziło do znalezienia dwóch *Encyklopedii*, obu w wydaniach mało godnych zaufania – jedno pochodziło z Lukki, *in folio*, a drugie z Yverdon – z tekstami bardzo zmienionymi, które księgarz o nazwisku Bellin może sprzedać za zaledwie trzysta liwrów w swoim sklepiku przy rue Saint-Jacques, a które Bringas całkowicie odrzuca.

– Sama cena podważa wszelką wiarygodność – stwierdza lekceważąco. – A na dodatek to wydanie chwalił Wolter.

Kiedy kleryk to mówi, don Hermógenes, ofiara obrzęku w piersiach, musi pozostać w łóżku. Bibliotekarz jest w koszuli i szlafmocy, przykryty po samą brodę, pociemniałą przez dwudniowy zarost zdający się wyszczuplać jego twarz, na której widać łzawiące, poczerwieniałe i rozgorączkowane oczy. Okno wychodzące na ulicę jest zamknięte, urynał pełen mętnego moczu. W dusznym pokoju czuć zapach choroby, bólu i zmęczenia. Kleryk i don Pedro właśnie wrócili z miasta, z enteje bezskutecznej wyprawy poszukiwawczej i informują chorego o jej przebiegu. Siedzą przy łóżku, a admirał każe swojemu towarzyszowi wypić szklankę letniej lemoniady, żeby nie dopuścić do odwodnienia.

– To nic takiego, drogi przyjacielu. Tylko katar i wcale nie najgroźniejszy... Wiele razy widziałem ludzi w podobnym stanie.

– Czuję okropny ciężar w piersiach – skarży się słabo don Hermógenes.

– Ale pański kaszel, choć ostry, jest jednak mokry. Płynny... Odkasłuje pan flegmę, a to dobry znak... W każdym razie pan kleryk zawiadomił lekarza, swojego znajomego.

– Tak, to prawda – potwierdza Bringas. – To zaufany medyk. Powinien zaraz tu dotrzeć.

– Trzeba rzeczywiście mieć pecha – stwierdza zboląły bibliotekarz – żeby rozchorować się w Paryżu. I przez to zaniedbywać powinności.

– Niewiele jest do zaniedbania – pociesza go admirał. – Nasze możliwości bardzo się skurczyły. To pierwsze wydanie jakby zniknęło... Nie spotkaliśmy nawet pełnego geneńskiego wznowienia *in folio*. Z tej edycji na rynek trafiło blisko dwa tysiące egzemplarzy, które najwyraźniej już zostały sprzedane.

– A inne? Jak się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”, admirale. Co z tym wydaniem toskańskim, o którym mówiono nam kilka dni temu?

– Całkowicie niewiarygodne. Jak słyszeliśmy, wiele haseł napisano do niego od nowa.

– Mój Boże... Będziemy musieli wracać z pustymi rękami.

– Nie wiem. Dziś rano wysłałem do Akademii pilny list.

Don Hermógenes zaniepokoił się.

– Przecież to bardzo drogie – protestuje. – A inne wydatki... Zaczynają nam się kończyć pieniądze.

– Wiem, ale nie było innego wyjścia. Potrzebujemy instrukcji od kolegów z Madrytu... W tej chwili możemy tylko czekać, licząc na łut szczęścia. A pan musi się wyleczyć.

– Proszę podać mi urynał, jeśli łaska.

– Naturalnie.

Ktoś stuka do drzwi i pojawia się lekarz, przyjaciel Bringasa. To człowiek o pospolitych rysach i intensywnym spojrzeniu. Długie, tłuste włosy bez pomady zwisają na głowie, która wydaje się zbyt duża w stosunku do chudego, niezgrabnego ciała. Usta szerokie i lekko krzywe nadają mu osobliwy wygląd dwunożnego płaza.

– Jaki jest mocz? – pyta prosto z mostu.

– Mętny, o kwaśnym zapachu i nie ma go wiele – informuje don Hermógenes.

– Piersi są zajęte przez różę – stawia diagnozę lekarz po zmierzeniu pulsu i obejrzeniu gardła, do którego włożył trzonek łyżki tak gwałtownie, że niemal wywołał wymioty. – Trzeba przywrócić skórze dobry humor poprzez udrożnienie wszelkich naturalnych kanałów ujścia potów, moczu, kału, wymiotów; a także otwarcie sztucznego kanału, na ramieniu, i zastosowanie pryszczycydeł... Oczywiście żadnych przeciągów, drzwi

i okna zamknięte na cztery spusty, dobrze nagrзany piec... A teraz upuszczę panu krew.

– Mimo że jest taki słaby? – dziwi się admirał.

– Właśnie dlatego. Umożliwiając wyjście złośliwemu humorowi, osuszemy płuca i wyleczymy chorobę.

– Przepraszam, panie doktorze. Nie zapamiętałem pańskiego nazwiska.

– Bo go nie podałem. Nazywam się Marat.

– Otóż, panie Marat...

– Doktorze Marat, jeśli pan pozwoli.

Admirał kiwa spokojnie głową.

– Oczywiście. Doktorze, jeśli pan woli... Z całym szacunkiem dla nauki, którą pan uprawia, ale nie zgodzę się na przecięcie żyły mojemu przyjacielowi.

Medyk zrywa się z miejsca, jakby doznał obrazy.

– Dlaczego?

– Bo mimo że nie jestem lekarzem, żyję dość długo na świecie, żeby rozpoznać zwykłe przeziębienie. A także nie wierzę wcale w lancety i upuszczania krwi, których nadużywa się w naszych czasach bardziej niż kiedykolwiek. To powinno zniknąć raz na zawsze z praktyki medycznej.

Lekarz zbladł. Zaciska wargi tak mocno, że stają się niemal niewidoczne.

– Sam pan nie wie, co mówi – cedzi przez zęby. – Moje doświadczenie...

Don Pedro unosi dłoń, okazując tę samą flegmę co poprzednio.

– Natomiast doświadczenie moje, znacznie skromniejsze, a przez to być może prostsze i bardziej praktyczne, mówi mi, że don Hermogenesowi, zamiast upuszczania krwi, kataplazmów i uwalniania humorów wrzodnych,

potrzebne jest otwarcie okien i dokładne przewietrzenie pokoju, powinien też wypić dużo soku z cytryny z letnią wodą. I z cukrem, jeśli to możliwe.

– Czy chce mi pan powiedzieć...?

– Chcę panu powiedzieć, że jeśli ta metoda jest skuteczna na statku, który jest bardzo niezdrowym środowiskiem, nie wspominając nawet słowem o szalejącym tam szkorbutcie, to zadziała także w takim wygodnym miejscu jak to. Ile jestem panu winien za wizytę?

– To niesłychane, mój panie... – jąka się medyk. – Dziesięć franków.

– Coś drogo, jak mi się zdaje. – Admirał wkłada dwa palce do kieszonki w kamizelce i wyciąga kilka monet. – Ale nie będziemy się kłócić o jeden kataplazm mniej lub więcej... Życzę miłego dnia.

Lekarz gwałtownym ruchem bierze pieniądze i nie patrząc na nikogo, nawet na pacjenta, wychodzi, trzaskając za sobą drzwiami. Kiedy admirał podchodzi do okna i otwiera je na oścież, wpuszczając świeże powietrze i słońce, Bringas przygląda mu się z ponurą naganą.

– Bardzo źle pan zrobił – protestuje. – Doktor Marat...

– Pan doktor, choćby był pana najlepszym przyjacielem, od razu, na pierwszy rzut oka wygląda na konowała... Naprawdę ma dyplom uprawniający go do praktyki lekarskiej?

– Mówi, że ma – wycofuje się Bringas. – Choć to prawda, że inni koledzy lekarze czasem podważają jego kwalifikacje... Powstał wokół tego jakiś szum... Właściwie jest specjalistą od problemów ze wzrokiem. Nawet coś napisał na ten temat... No i popełnił traktat o rzeźączce.

– To rozumiem, panie kleryku. To ostatnie najbardziej pasuje mi do tej postaci. – Don Pedro wrócił do bibliotekarza i znów podaje mu szklanę z lemoniadą. – Przepraszam za moją ciekawość, ale skąd się panowie znają?

– Mieszka blisko mnie i spotykamy się w tej samej kawiarni. Moim zdaniem problem bierze się stąd, że jest człowiekiem bardzo postępowych idei...

– Niespecjalnie na to wyglądał.

– Mam na myśli idee polityczne. Przed nim wielka przyszłość. Dlatego nie znoszą go w Akademii Nauk.

– Ach, no cóż. – Admirał wzrusza ramionami. – Do przyszłości politycznej pana Marata się nie wtrącam. Natomiast jako lekarz stanowi zagrożenie publiczne... Zaobserwowałem u niego niemiłą skłonność do wyprawiania pacjentów na tamten świat.

Zachodzące słońce tego popołudnia w Madrycie jest ciepłe. Od ulicy Alcalá aż do Puerta de Atocha aleja Prado jest pełna powozów, lektyk i spacerowiczów, rozmawiających na stojąco lub siedząc na ławkach czy wypożyczanych fotelach, przy kioskach z napojami i pod drzewami, których gałęzie Zielenią się młodymi listkami. Naprzeciwko stajni w Buen Retiro przypadkiem spotykają się Manuel Higuera i Justo Sánchez Terrón. Ten drugi idzie pod rękę ze swoją żoną, a z kolei pierwszy z akademików wychodzi właśnie z mszy w kościele San Fermín de los Navarros z całą rodziną – małżonką i dwiema córkami na wydaniu – żona jest w kapeluszu wykończonym koronką, dziewczynki z siatkami na włosach. Mijają się pośród tłumu akurat w chwili, kiedy Higuera ze swoim kobiecym zastępem schodzi na bok, żeby przepuścić ciągnięty przez cztery muły powóz z herbem szlacheckim wymalowanym na drzwiczkach i z lokajami w liberii na koźle. Dostrzegając Sáncheza Terróna, Higuera robi porozumiewawczą minę, tak tajemniczą, że niemal masońską. Po wymianie spojrzeń i lekkim wahaniu filozofa podchodzą do siebie, dokonują konwencjonalnych prezentacji i spowalniają krok, podczas kiedy

wszystkie cztery kobiety idą razem przed nimi, podziwiając powozy i stroje spacerowiczów.

– Ma pan bardzo ładną żonę – mówi Higuera, żeby przełamać lody.

– Pańskie córki też są śliczne.

– Być może, ta młodsza owszem – stwierdza zgodnie Higuera. – Ale starszą trudniej będzie wydać za męża.

Kilka kroków idą w milczeniu, przyglądając się przechodniom. Sánchez Terrón, który stara się zachować jak największą odległość od dziennikarza, żeby nikt nie podejrzewał ich o zażyłość, spaceruje z odkrytą głową i bez pomady, jak zwykle, a kiedy widzi jakichś znajomych, pozdrawia ich krótko, zatapiając brodę w grubej krawatce, którą wielokrotnie owinął wokół szyi. Higuera z kolei, żeby nie ruszać peruki, dotyka róna swojego trójkątnego kapelusza.

– W ostatni czwartek brakowało nam pana w Akademii – odzywa się.

– Miałem inne sprawy do załatwienia.

Higuera śledzi wzrokiem powóz typu bawarskiego z tyłoma szklanymi okienkami, że wygląda niczym latarnia sunąca wśród tłumu.

– Tak, wiem – przyznaje. – Pańska interesująca dysertacja *Stan literatury w Europie...* Taki nosi tytuł, prawda? Zajęła panu czas. Słyszałem, że był to...

Rozmyślnie przerywa, jakby szukał pochwalnych słów.

– Sukces, istotnie – kończy Sánchez Terrón. – Zebrałem owacje.

Higuera uśmiecha się złośliwie.

– Nie wątpię... Mój znajomy, który mi o tym opowiadał, wspomniał, że było tam siedemnaście osób, łącznie z nim.

– Parę więcej.

– Możliwe. W każdym razie opublikuję recenzję w przyszłotygodniowym „Cenzorze Literackim”. Pochlebna, oczywiście. Przynajmniej do pewnego stopnia... Żeby ją zmieścić, przytnę trochę artykuł, jaki przygotowałem na temat operacji przeciwko Gibraltarowi i wojnie w angielskich koloniach w Ameryce.

Ciągle zniesmaczony, Sánchez Terrón przybiera minę pełną wyniosłego zniecierpliwienia.

– Nie potrzebuję pańskich pochwał.

Grymas na twarzy dziennikarza staje się wyraźniejszy.

– Jasne – stwierdza. – To znaczy, one raczej panu szkodzą. – Zatrzymuje się, jakby nad tym medytował, po czym krzywo się uśmiecha. – Psują pański wizerunek człowieka nie rozumianego i niepokornego, który jest dla pana nadzwyczajnie korzystny.

– Pan nie wie, co mówi.

– Dobrze wiem, co mówię i czego nie mówię. A także co robię i czego nie robię... Może pan zauważył, że w ostatnim numerze mojego czasopisma w poważnej diatrybie przeciw nowoczesnym pisarzom nie wspominałem o panu.

– Nie czytam pańskich tekstów.

– No rzeczywiście! Dobrze wiem, że pan czyta. Połyka pan wszystko, co się wydaje, udając pogardę, ale wszędzie sprawdzając, czy nie pojawi się pańskie nazwisko... Dlatego zauważył pan, że w miażdżącym artykule, jaki poświęciłem tej sekcji wolnomyślicieli i tandetnych filozofów, pan pozostał nietknięty niby dziewica z Delfos czy gdzieś stamtąd. Jak pan widzi, respektuję nasz rozejm.

– Respektuje pan? Do licha, pan nie wie, co znaczy słowo „respektować”. Nikogo pan nie szanuje.

– Rozejmy owszem, mówię panu. Jak pan widzi, jestem człowiekiem honoru.

– Brednie.

Sánchez Terrón pozdrawia ostrożnie człowieka jeszcze młodego, bez kapelusza i bez pomady na włosach, w binoklach, ubranego w surdut tak dopasowany, że niemal śmieszny, z kołnierzykiem koszuli tak ściśniętym krawatem, jakby zapierał mu dech.

– Co, to jeden z waszych, prawda? – odzywa się Higuera z śmiechem. – Podpisuje się jako Erudio Trapiello, jeśli się nie mylę.

– Tak, to on.

– No coś takiego. – Higuera gwizdże z przesadnym podziwem. – Nikt inny jak autor *Symbolicznej podróży do republiki literackiej i odrodzenia poezji hiszpańskiej, zawierającej porady moralne, opisaney przez cervantesowskiego twórcę na obecnym dworze, profesora filozofii, retoryki oraz pism boskich i ludzkich...* To on, jeśli dobrze pamiętam, rozpoczyna swój wstęp tymi słowami: „Nie wiem, jakie zalety mają Grek Homer czy Anglik Shakespeare, poza wyjątkową inwencją”, a następnie wzmiankuje, że Wergiliusz, jakże przeceniany, był leniuchem, a „Co do Horacego, choć jego heksametr nie jest najlepszy”... Pominąłem coś w tytule? Może w treści? Może myślę postać?

Sánchez Terrón rzuca mu z ukosa surowe spojrzenie.

– Chciał pan ze mną rozmawiać, żeby opowiadać androny?

– Niech Bóg broni... Chciałem panu przekazać ostatnie wieści, skoro we czwartek nie mogłem. Nasi dwaj koledzy mają problemy w Paryżu, a ich sprawa posuwa się wolno. Podobno zakup *Encyklopedii* okazał się bardzo trudny. Nie wiem, jaką w tym zasługę ma nasz przyjaciel Raposo, ale on twierdzi, że wielką... Sprawy tak się mają.

– I?

- Czas się kończy i sprawa może stać się bardzo delikatna.
- Jak delikatna?
- Bardzo, bardzo. Tak, jakby była z kryształu.
- Zapewniam pana, że nie wiem, do czego pan zmierza.
- Do tego, co i pan. *Nemine discrepante*, mam nadzieję. Pamięta pan, że kiedy zakontraktowaliśmy usługi naszego człowieka, ten zapytał nas, jak daleko może się posunąć w swoich działaniach przeszkadzających.

Sánchez Terrón zamrugnął z niesmakiem, niepewnie.

- Jakich, pan mówi?

Higueruela robi ruch, jakby pisał w powietrzu.

- Przeszkadzających, imiesłów od czasownika „przeszkadzać”... Polecam porównać z terminem „eufemizm”.

- Nie mam nastroju do żartów.

- Przepraszam. Nie zamierzałem...

- Nadal nie wiem, do czego pan zmierza – przerywa dziennikarzowi. – Co chce mi pan powiedzieć?

Minęli fontannę i dalej idą pod więzami w stronę ulicy San Jerónimo. Teraz Higueruela pozdrawia skwapliwie kobiety idące pieszo – małżonki dwóch wysokich urzędników Rady Łaski i Sprawiedliwości – ubrane w czarne mantylki i habity świętej Rity, których posępność tylko trochę rozjaśniają złote krucyfiksy i srebrne szkaplerze na szyi, kamee z portretem Niepokalanej i szmaragdowe bransoletki z przywieszonymi religijnymi medalikami. Ostatnio święta Rita jest w modzie, zajmuje powoli miejsce świętego Franciszka z Paoli w panteonie katolickiej nabożności lokalnej śmietanki towarzyskiej. Sam Higueruela pisał o tym w niedawnym artykule opublikowanym w swojej gazecie, gdzie chwalił tę zbożną tendencję, bo Paryż ma swoje mody, a Madryt bogobojne tradycje. Każdy po swojemu. W tej dziedzinie zagranica niczego nie musi nas uczyć.

– Szkoda – odzywa się dziennikarz po kilku krokach – zazwyczaj wyrażam się dość jasno. No cóż... Używając odpowiednich peryfraz – zresztą podziwu godnych, powiedzmy przy okazji, u prostego człowieka, jakim jest Raposo – pyta nas znowu w liście, jak daleko chcemy się posunąć, by udaremnić francuską wyprawę naszych kolegów... Jeśli w końcu uda im się zdobyć książki i wyruszą w drogę powrotną, jak ciężkie szkody, mówiąc bez ogródek, można spowodować u przedmiotów i osób.

– Osób? – Sánchez Terrón jest zaskoczony.

– Tak powiedziałem. Czy raczej on tak insynuuje.

– I co mu pan odpisał?

– O nie, mój panie. Jeszcze nic nie odpisałem, bo każda odpowiedź będzie nasza wspólna, pół na pół. Dzielimy się odpowiedzialnością moralną, materią, która jakże często pana zajmuje.

– W kwestii przedmiotów wszystko jasne. Natomiast co do osób...

Higueruela wyciąga z rękawa kurtki chustkę i głośno siąka.

– Wie pan co? – mówi po chwili. – Wychowanie dwóch córek w tych czasach wcale nie jest proste.

– Mnie pan to mówi?

– Komedie? Bale? – ciągnie dziennikarz, jakby go nie słyszał. – Tamborek do haftów i kołki do koronek były dla naszych matek i babek taką samą przyjemnością jak dziś spacer po Prado i na Floridę. A dziś już nikogo nie wychowuje się po chrześcijańsku, w umiłowaniu skromności i powściągliwości, i tak to wygląda... Każdego dnia, wśród grzebieni i obłoków pudru, i tysiąca podobnych głupstw psujących te nasze panny w stylu Polek czy Czerkiesek, pojawiają się w moim domu problemy nie do rozwiązania i ciągle muszę liczyć, ile za muślin, wstążki, jedwabie i kapelusiki świeżo przysłane z Paryża, i zwracać uwagę, gdy jakiś kuzyn, sąsiad czy inny fircyk robi wodę z mózgu moim dziewczynkom, zwłaszcza

tej młodszej, ucząc ją kontredansa czy angielskich tańców albo przy akompaniamencie gitary trzeciej arii księżniczki z ostatniej opery... Do tego coś dziwnego dzieje się z moją żoną, wie pan? Kiedy dziewczynki są w dobrym nastroju i wszystko idzie jak z płatka, to są „nasze” córki. Ale kiedy pojawia się jakiś problem, zawsze to są „moje” córki.

Robi pauzę, kiwa głową na potwierdzenie swych słów, a po chwili wskazuje na cztery kobiety idące przodem.

– Pana Bóg nie pobłogosławił potomstwem, nieprawdaż?

– Ja w to nie wierzę – odpowiada filozof szorstko, niemal pompatycznie.

– W Boga?

– W potomstwo.

– Przepraszam... Mówi pan, że w co jeszcze nie wierzy?

– W potomstwo, mówię. Sprowadzanie dzieci na ten świat pełen krzywd i niewolnictwa to powodowanie kolejnej niesprawiedliwości.

Higueruela drapie się w głowę pod peruką.

– To ciekawe – stwierdza. – Zatem dlatego nie ma pan dzieci... Żeby nie płodzić kolejnych niewolników... Taka pańska filantropia biologiczna. Godna podziwu.

Sánchez Terrón zauważa kpinę w jego głosie.

– Idź pan do diabła.

– Pójdę albo i nie. Wszystko w swoim czasie, a w poście karasie. – Higueruela zatrzymuje się i wbija w rozmówcę spojrzenie swoich małych i złośliwych oczu. – Teraz trzeba, żeby pan mi szybko powiedział, jak daleko może się posunąć nasz Raposo... W kwestii osób.

Sánchez Terrón oddycha głośno, rozgląda się w jedną i drugą stronę. W końcu patrzy prosto w twarz dziennikarza.

– W kwestii osób nic a nic.

Higueruela bierze się pod boki. Teraz jego drwiący uśmiech jest niemal obraźliwy.

– A jeśli nie będzie innego wyjścia? Chyba nie zamierzamy na tym etapie rozgrywki chodzić od Kajfasza do Piłata.

Sánchez Terrón, wściekły, chowa brodę w obfitej krawatce.

– Powiedziałem to, co miałem do powiedzenia. Nie ruszać osób. Rozumie pan? To zaszło zbyt daleko.

To powiedziawszy, w trzech susach zrównuje się z żoną, bierze ją pod ramię, żegna się krótkim skinieniem głowy z małżonką i córkami Higuerueli i pospiesznie odchodzi. Stojący bez ruchu dziennikarz patrzy, jak filozof, sztywny i poważny jak zwykle, oddala się, i do jego znikających pleców kieruje przebiegły i równocześnie okrutny uśmiech. Katon z Oviedo, podsumowuje w myślach z sarkazmem. On i cała ta banda hipokrytów jego pokroju. Pewnego dnia, myśli złośliwie, wszyscy ci tani filozofowie, próżni kawiarniani pedanci, będą musieli rozliczyć się przed tym Bogiem, w którego nie wierzą, i przed ludźmi, których, jak twierdzą, kochają, choć naprawdę nimi gardzą. I sam Sánchez Terrón będzie się rozliczał swoimi ślicznie czystymi rękami, jakimi unika uścisków innych dłoni, żeby się niczym nie zarazić. A konieczne decyzje dotyczące tej brudniejszej części życia pozostawia zawsze komuś innemu.

O tej samej porze w Paryżu, podczas gdy kleryk Bringas przed chwilą poszedł do domu, don Hermógenes odpoczywa, nakryty kołdrą, a chwost szlafmicy opadł mu na nos. Obok niego, czytając, czuwa don Pedro, odziany w koszulę i kamizelkę. Przez otwarte okno dociera odgłos wozów jadących po bruku rue Vivienne.

Jeśli nieznajomość przyrody zrodziła bogów, to znajomość przyrody musi ich obalić ¹.

Książka nosi tytuł *Système de la nature* i została zakupiona przez admirała podczas jednej z ostatnich wizyt u księgarzy. Wydano ją w Londynie przed dziesięcioma laty pod nazwiskiem M. Mirabaud, ale od dawna wszyscy wiedzą, że jej prawdziwym autorem jest encyklopedysta Holbach.

*Czyż nie jest lepiej rzucić się w objęcia ślepej, pozbawionej mądrości i celu przyrody, niż drzeć przez całe życie przed wszechmocną Inteligencją, która po to tylko obmyśla swe wspaniałe plany, aby słabi śmiertelnicy mogli sprzeciwić się im, niweczyć je i być z tego powodu stałymi ofiarami jej nieubłaganego gniewu?*²

Na zewnątrz zapada wieczór, w pokoju jest coraz mniej światła. Admirał odkłada na chwilę książkę i zapala lichtarz, który stoi na nocnej szafce. Robi to za pomocą nowoczesnego urządzenia, które w ostatnich dniach kupił w Paryżu: to maleńki krzemień i stalowe kółeczko zamocowane w mosiężnej rurce z knotem umieszczonym weń w taki sposób, że do jego zapalenia wystarczy mocno zakręcić kółeczkiem. Właściwie jest to pomniejszona wersja zapalników, jakie przy mundurach noszą grenadierzy, po to by podpalać granaty. We Francji nazywają to *briquet*, co odpowiada słowu „krzesiwo”. Wynalazek, ocenia admirał, tak czy inaczej jest praktyczny, z pewnością odniesie sukces w domu, w podróży i pośród osób palących tytoń. Przed powrotem do lektury don Pedro myśli, że warto zasugerować w któryś czwartek włączenie słowa „zapalniczka”, tego nowego rzeczownika, do kolejnej edycji słownika, jako terminu niezależnego lub jako rozszerzenia istniejącego wyrazu „zapalnik”,

który do tej pory oznaczał tylko urządzenie powodujące detonację materiału wybuchowego.

Pod władzą groźnego Boga spokojny i miłujący pokój dewot jest człowiekiem, który nigdy nie rozumował...³

– Jest mi trochę zimno – mruczy don Hermógenes, wierząc się w łożku.

Admirał znów odkłada książkę, prostuje z pewną trudnością swoją długą sylwetkę – po pewnym czasie spędzonym bez ruchu stawy dają o sobie znać – podchodzi do okna i zamyka je. Siada z powrotem na krześle i widzi, że jego przyjaciel już całkiem otworzył oczy i patrzy na niego ze słabym uśmiechem.

– Lepiej się czuję – mówi do admirała, uprzedzając pytanie.

Don Pedro siada obok niego i mierzy mu puls. Jest jeszcze nieco przyspieszony, ale bije już prawie normalnie. Mocno i regularnie.

– Jeszcze trochę lemoniady?

– Tak, proszę.

Admirał pomaga don Hermogenesowi podnieść się na łożku i napić.

– Chyba uratował mi pan życie – mówi bibliotekarz i znów się kładzie – odprawiając tego medyka... Nie sądzi pan, że dziesięć franków to bardzo drogo?

– Zapłaciłem, żeby sobie poszedł, drogi przyjacielu. Uważam, że mimo wszystko opłaciło się.

– Wcale bym się nie zdziwił, gdyby Bringas brał od niego procent. Obaj siebie warci, moim zdaniem.

Don Pedro śmieje się szczerze.

– Zbyt dobrze znamy ten rodzaj lekarzy, don Hermesie, także za Pirenejami, nie powstrzymują ich granice. Łatwo chwytają za lancet, a jeśli

chory umiera, to nie ich wina... Przecież tylko zapisali środki wymiotne i pryszczydła, nic więcej.

– Tylko środków wymiotnych było mi trzeba – wzdycha don Hermógenes.

Przez chwilę siedzą w ciszy. Za szybami okien niebo czerwienieje ponad dachami.

– Co pan czyta?

– Drugi tom książki, którą wczoraj kupiłem... Holbacha, pamięta pan?

– To dzieło zakazane?

– Całkowicie zakazane. Nawet w oświeconej Francji. Proszę sobie wyobrazić, na wszelki wypadek napisano w nim, że zostało opublikowane w Londynie.

– I wydaje się panu ciekawe?

– Uważam, że jest nadzwyczajne. Powinno być obowiązkową lekturą, przede wszystkim dla młodych, właśnie zdobywających wykształcenie... Choć zapewne przy jego czytaniu oburzyłby się pan nieraz.

– Sam panu powiem, kiedy przeczytam. Uważa pan, że można je przetłumaczyć na hiszpański?

– Nie ma mowy. To niemożliwe w tym naszym smutnym stuleciu. Czarne kruki Świętego Oficjum rzuciłyby się natychmiast na śmiałka, który by się na to powążył. – W tym momencie admirał otwiera znów *Systeme de la nature*. – „Jeśli odczuwacie potrzebę chimer, pozwólcie bliźnim tworzyć własne urojenia i nie mordujcie swoich braci za to, że nie umieją majaczyć jak wy...”⁴. Co pan sądzi?

– Niejeden mógłby pomyśleć, że to o nim, obawiam się.

– Słusznie się pan obawia.

Admirał odkłada książkę na stolik i patrzy, jak za oknem słabnie światło. Po chwili jakby się otrząsnął.

– Francja nie jest rajem, to jasne – mówi dość ostro. – A Paryż to nie cała Francja, oczywiście. Jednak wystarczy nasze kraje porównać, by dostrzec, ile czasu zmarnowano w Hiszpanii! Ileż energii zużywa się na głupstwa i jakże mało na to, co konieczne... Zgodzi się pan ze mną, że kiedy ktoś pozna teologię, logikę i metafizykę, szybko dojdzie do wniosku, że nie wie nic... Cała dyskusja filozoficzna na temat ruchu, z powoływaniem się na Achilleśa, żółwia i inne głupstwa, wcale nie służy ustaleniu kwestii naprawdę ważnych, takich jak wyprowadzenie reguł określających ruch powrotny piłki, którą uderzyliśmy w ścianę, lub szybkość, z jaką spada ciężar po pochyłej. Na przykład.

– Znow się pojawia pański ulubiony Newton... – Don Hermógenes uśmiecha się z czułością.

– Oczywiście. I pański.

– Bez wątpienia – przyznaje bibliotekarz. – To nie podlega dyskusji.

Admirał kręci głową.

– Mimo wyznawania szczerego katolicyzmu jest pan człowiekiem oświeconym. Ale nie wszyscy są szczerzy ani nie wszyscy są oświeceni... Proszę pomyśleć o tym konowale, który chciał panu przed chwilą otwierać żyły. Co mogą zrobić zapóźnienie i ciemnota maskowane pod pozorem nauki, którą wcale nie są.

– Wyobrażam sobie, niech pan nie myśli. I drzę.

– I co pomyślą ludzie w przyszłości, kiedy się dowiedzą, że jeszcze dziś dyskutuje się, i wcale nie tylko w Hiszpanii, nad tym, co przed wiekiem wyłożył Newton w swoim dziele pod tytułem *Philosophiae naturalis principia mathematica*, szczytowym osiągnięciu ludzkiej myśli i nowoczesnej nauki? Co powiedzą o tych, którzy jeszcze dziś

powstrzymują się przed przekazaniem pojęcia prawdy z dziedziny religii do obszaru nauki, z rąk teologów w ręce naukowców i filozofów?

Przerywa, znów bierze do ręki książkę i otwiera ją na stronie z zagiętym rogiem.

– Niech pan posłucha, co pisze Holbach: „Jak daleko zaszedłby geniusz ludzki, gdyby korzystał z przywilejów przyznawanych od tylu wieków tym, którzy stawali zawsze na przeszkodzie jego rozwojowi! Jak wysoki poziom doskonałości osiągnęłyby pożyteczne nauki, sztuki, moralność, polityka i prawda, gdyby cieszyły się taką samą opieką jak kłamstwo, szaleństwo, fanatyzm i bezużyteczność!”⁵... Co pan o tym sądzi?

Odłożył książkę na kolana i wyczekująco patrzy na don Hermogenesa.

– Słowo Boże – ten przyznaje. – I niech Bóg mi wybaczy.

– Nikt w Hiszpanii nie powiedział tego tak wyraźnie jak Jorge Juan.

– Długo powstrzymywał się pan przed wymienieniem nazwiska – komentuje dobrotliwie don Hermógenes – swojego ulubionego naukowca i kolegi.

– Najulubieńszego, jak pan wie. To był fizyk, teoretyk i eksperymentator, inżynier, astronom, żeglarz... Prowadził stały twórczy dialog z Newtonem, a nie ze swoim nabożnym sumieniem, dlatego nikt nie zapalił świecy na jego pogrzebie...

– Nie zaczynajmy znów, drogi admirale – protestuje don Hermógenes. – I niechże się pan tak nie zapala, bo tutaj to ja mam gorączkę. Sumienie jest osobistą sprawą każdego człowieka.

– Przepraszam, don Hermesie. Nie chciałem pana dotknąć. Jednakże nie sposób mówić o hiszpańskiej nauce, nie wpadając stale na rafy religijnych skrupułów.

– Ma pan rację – przyznaje bibliotekarz. – To muszę przyznać.

Admirał odkłada książkę na szafkę. Światło na zewnątrz jest już bardzo słabe, a kiedy don Pedro się odwraca, płonące świece oświetlają mu jedynie połowę twarzy.

– Mój ulubiony Jorge Juan, jak ku mojemu wielkiemu ukontentowaniu pan go nazywa, był tego najlepszym przykładem, bo w sposób oczywisty łączył nas z Newtonem, którego doskonale rozumiał... Doświadczenia Jorge Juana z pływającymi przedmiotami i modelami statków były rewolucyjne, a jego *Kompendium nawigacji* i *Morski sprawdzian* są dziełami genialnymi. Miałem zaszczyt towarzyszyć mu podczas obserwacji tranzytu Wenus w roku sześćdziesiątym dziewiątym.

– Czy panowie razem pływali?

– Bardzo krótko. On poświęcał się swoim sprawom i od pewnego momentu rzadko wyruszał w morze; ja natomiast zająłem się słownikiem morskim. Jednak nasza przyjaźń i mój szacunek dla niego trwały do jego śmierci.

– Kolejny zapomniany wielki człowiek – ubolewa don Hermógenes. – A co najgorsze, odszedł, nie pozostawiając uczniów, którzy mogliby kontynuować jego dzieło.

Admirał sarkastycznie marszczy usta.

– Jakżeby śmiał... Jeszcze za jego życia wrogowie atakowali go i ograniczali, jak tylko mogli.

– Taka endemiczna hiszpańska choroba. Nasza narodowa zazdrość.

– To prawda – stwierdza don Pedro. – Wrogość wobec niego i tego wszystkiego, co reprezentował... Czy pamięta pan, kiedy rząd chciał wprowadzić fizykę newtonowską na hiszpańskie uniwersytety, a te się na to nie zgodziły? Albo parę lat temu, kiedy Rada Kastylii zleciła kapucynowi Villalpandowi, by wprowadził naukowe nowości na uniwersytet,

a profesorowie zdecydowali, że nic z tego... Rozumie pan to? Sprzeciwili się i już. Tak po prostu.

– Mimo wszystko coś jednak osiągnęliśmy – protestuje don Hermógenes. – Jest pan niesprawiedliwy. Myślę o ogrodzie botanicznym i tamtejszym laboratorium chemicznym, o madryckiej pracowni historii naturalnej, o wyprawie botanicznej, która wyjechała niedawno do Chile i do Wicekrólestwa Peru... Nie wspomnę nawet o znakomitym obserwatorium w akademii straży morskiej w Kadyksie. Przynajmniej wojsko jest ostoją nauki. Tam mniej się wtrącają te czarne kruki, o których wcześniej pan mówił. Ale inżynierowie, artylerzyści, żeglarze... Można by powiedzieć, że w Hiszpanii, na szczęście, nauka jest zmilitaryzowana.

– No przecież! Tam na nic zda się retoryka. Budowa fortyfikacji, które oprą się bombom, i statków, które będą pływały i walczyły, nie może pozostać w rękach Arystotelesa czy świętego Tomasza. Dlatego Armada jest najważniejszym naukowym laboratorium... Jednak poza tym nie ma nic więcej. Nawet żadnej akademii czy towarzystwa naukowego, jak we Francji czy w Anglii. Bo na to nie pozwala Kościół, używając swej siły perswazji... Nawet wśród wojskowych, a wiem, co mówię, hierarchia i dyscyplina mają wpływ na myślenie. Wszystko toczy się w ramach ustalonego porządku.

– Jednak utworzono towarzystwa ekonomiczne przyjaciół kraju, które robią, co mogą.

To nie wystarcza, dowodzi admirał. Jego zdaniem nie chodzi tylko o to, by nagradzać chłopą, który wyhodował najtłustszą krowę, albo człowieka, który ulepszył maszynę tkacką. Potrzebna jest państwowa polityka zachęcająca mieszczaństwo – widzące w tym dobry interes – do ponoszenia wysiłku finansowego służącego rozwojowi nauk eksperymentalnych.

W Hiszpanii nauka, edukacja, kultura rozbijają się o to samo. Dlatego ostrożni milczą, a odważni cierpią.

– Dlatego – podsumowuje – nie ma u nas Eulera, Woltera, Newtona... A kiedy się pojawiają, zamyka się ich w więzieniu albo stawia przed inkwizycją. Na takie niebezpieczeństwa narażają się ci, którzy stosują metody naukowe... Ulloa i Jorge Juan po powrocie z Ameryki mieli trudności z opublikowaniem swoich prac. Mogli to zrobić, dopiero kiedy część wniosków zataili, a inne zamaskowali lub zmienili.

– Z pewnością ma pan rację – godzi się bibliotekarz. – Trzeba byłoby dekretem wprowadzić prawa niebiańskiej fizyki newtonowskiej w całym imperium hiszpańskim... Dokonać tego, co robią Anglicy pomimo problemów, jakie mają z amerykańskimi koloniami. Podobnie jak i Francuzi. A ci nawet nie mają imperium.

– Właśnie. Wszystko jednak zaczyna się od edukacji. Od książek i ludzi, którzy je napiszą lub przetłumaczą... Trzeba koniecznie dyskutować o systemach nauki, a nie od razu je odrzucać. To nieprzyzwoite, że zawsze gdy jakiś Hiszpan publikuje dzieło naukowe, o ile mu się to w ogóle uda, musi dodawać po każdym wniosku: „Proszę w to jednak nie wierzyć, jako że zdanie to stoi w sprzeczności z Pismem Świętym”... Dlatego postęp nie jest możliwy, a my stajemy się pośmiewiskiem Europy.

– No cóż... Właśnie dlatego jesteśmy teraz w Paryżu, admirałe – stwierdza z otuchą don Hermógenes. – Nie uważa pan, że to zawsze coś?

Admirał uśmiecha się ze smutkiem. Światło świec zdaje się jeszcze bardziej rozjaśniać i przydawać wilgotnego wyglądu jego niemal przezroczystym oczom. Pozbawionym nadziei.

– Tak, mój drogi przyjacielu – przyznaje powoli. – Dlatego jesteśmy w Paryżu.

Potrzebowałem kawiarni. Nie po to, żeby napić się kawy – której wypilem mnóstwo podczas pisania tej powieści – ale by umieścić w niej akcję pewnej sceny. Z listów i dokumentów, jakie znalazłem w Akademii, można było wnioskować, że don Pedro Zárata i don Hermógenes Molina odwiedzali w Paryżu liczne kawiarnie i że w jednej z nich poznali kilku wybitnych encyklopedystów. Na początku myślałem, że tym miejscem była Café de Foy, w owych czasach mieszcząca się w pasażu Richelieu w Palais-Royal, który po modernizacji dokonanej przez księcia Orleanu, zakończonej nieco później, miał się stać centrum życia towarzyskiego i eleganckiego handlu przedrewolucyjnego Paryża. Data ukończenia prac budowlanych przysporzyła mi kłopotów chronologicznych podczas konstruowania fabuły powieści, tak że musiałem przenieść na rue Saint-Honoré scenę w piątym rozdziale, która miała się rozegrać w Palais-Royal. Jednak w końcu, kiedy znalazłem w jednym z listów bibliotekarza wzmiankę o ulicy Saint-André, położonej niedaleko dawnej siedziby Comédie-Française, zrozumiałem, że jedyną kawiarnią, jaką niewątpliwie w tych dniach mogli odwiedzić akademicy, była Café Procope – najstarszy lokal tego typu ze wszystkich istniejących do dziś w Paryżu, przed której fasadą znalazłem się z notesem i planem z 1780 roku w ręce, żeby zaaranżować tę część opowieści.

Znałem Procope'a i famę głoszącą, jakoby gościł w swoich salach najwybitniejszych intelektualistów osiemnastego wieku. Jadłem tam nawet raz, choć nic szczególnie godnego pochwały, w towarzystwie mojej agentki literackiej Raquel de la Conchy i mojej francuskiej wydawczynie Annie Morvan. Wiedziałem, że lokal ten stał się modną kawiarnią literacką w towarzystwie, które odwiedzało pobliski budynek Comédie-Française, encyklopedyści często gościli w jej salach, a nieco później, w najcięższych latach rewolucji, zbierali się tam kordelierzy. Jednak nigdy wcześniej nie

patrzyłem na to miejsce oczami pisarza, pod kątem praktycznym. Na szczęście pasaż, gdzie znajduje się wewnętrzna fasada kawiarni, obecny pasaż Commerce Saint-André, uniknął drastycznej reformy urbanistycznej, kiedy Haussmann przeciął miasto linią prostą niczym lancetem i wyznaczył drogę, którą dziś znamy jako bulwar Saint-Germain. Pozostał z boku, zaledwie kilka metrów dalej, i – obecnie zagospodarowany przez małe sklepiki i restauracje – zachował swój dawny kształt, podobnie jak budynki i kawiarnia. Zatem obejrzenie lokalu i wyobrażenie sobie, jak wyglądał dawniej, to nic trudnego. Jedna z elewacji Procope’a nadal wychodzi na pasaż, a inna, pomalowana na czerwono i niebiesko, znajduje się po przeciwnej stronie budynku, przy rue de l’Ancienne-Comédie, która w osiemnastym wieku na tym odcinku nazywała się, według planu Aliberta, Esnaulta i Rapilly’ego, rue des Fossés-Saint-Germain-des-Prés. Żeby odtworzyć panującą wewnątrz atmosferę, odgłosy, dźwięki, ustawienie stołów, zapachy kawy i czekolady, miałem do dyspozycji dość materiałów. Kilka ilustracji z epoki zamieszczonych w *Le Paris des Lumières* – wspaniałym studium miasta, opracowanym na podstawie planu Turgota – dało mi możliwość poznania dekoracji wnętrza, wyłożonej kafelkami podłogi, szklanych butelek i luster, które ozdabiały ściany, eleganckich kryształowych żyrandoli zwisających z sufitu i okrągłych świeczników z drewna, metalu i marmuru.

Kilka kroków dalej, przy rue des Fossés-Saint-Germain-des-Prés, której nazwę zmieniono na Comédie po tym, jak w 1688 roku francuscy komicy ustanowili tutaj swoją siedzibę, café Procope bardzo szybko zyskała europejską sławę. Jej klientami byli najsłynniejsi pisarze: Destouches, d’Alembert, Bertenval, Holbach, Jean-Jacques Rousseau, Diderot i całe mnóstwo literatów, dzięki którym kawiarnia ta zmieniła się w filię Akademii.

To przeczytałem między innymi w *Les cafés artistiques et littéraires de Paris* Lepage'a, z której to książki kilka stron, sfotokopiowanych i z podkreślonymi fragmentami, miałem przy sobie, kiedy starałem się określić, jaka była wówczas Café Procope, na podstawie pożytecznych książek, które przeszukując paryskie księgarnie, znalazłem w tych dniach. A były to: antologia *Le XVIIIe siècle* Maurepasa i Bayarda, *La vie quotidienne sous Louis XVI* Kunstlera, a przede wszystkim wspaniały egzemplarz *Tableau de Paris* Merciera we współczesnym wydaniu, który dzięki księgarni Chantal Keraudren kupiłem z drugiej ręki – stał niemal niewidoczny na jednej z niższych półek w księgarni Gibert Jeune przy Saint-Michel.

W ten sposób wyposażony w notatki i wyobraźnię, umiejscawiając to wszystko na planie Paryża z 1780 roku, zapomniałem o nowoczesnych szyldach, zatłoczonych restauracjach i sklepach, turystach wypełniających cour du Commerce Saint-André, po czym wszedłem, czy raczej spowodowałem, że do café Procope weszli admirał i bibliotekarz w towarzystwie kleryka Bringasa, tak jak to zrobili – albo mogli zrobić – tamtego poranka.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteśmy – mówi don Hermógenes, rozglądając się wokół z zachwytem. – W słynnej Café Procope.

W lokalu panuje ogromny ruch. Wszystkie stoliki są zajęte przez grupki osób dyskutujących lub rozmawiających, stale panuje rozgwar. W powietrzu czuje się zapach tytoniu i gorącej kawy.

– Tu jest jak w ulu – zauważa admirał.

– Pełnym trutni – kończy Bringas ze swoją zwykłą złością. – Rozrywka, nie praca ich tu sprowadza.

– Myślałem, że bywa pan w takich miejscach.

– Lokale różnią się między sobą. To znaczy, są kawiarnie różnej kategorii. Ale ci, którzy tu przychodzą, stracili kontakt z prawdziwym życiem. To retoryczne pasożyty żywiące się same sobą, wymieniające przysługi i próżności. Niewielu wymyka się tej definicji... Na przykład ten tam człowiek, niech panowie popatrzą – dodaje, wskazując jeden ze stolików – to jeden z rzadkich tu uczciwych klientów.

Don Hermógenes przygląda się osobnikowi, którego pokazuje Bringas. Jest to mężczyzna już w pewnym wieku, ubrany w stary żakiet i pomarszczone pończochy, siedzi samotnie i nieruchomo nad filiżanką kawy, patrząc w pustkę.

– Kto to jest?

Kleryk unosi brwi, jakby pytanie było niestosowne.

– Wielki szachista François-André Philidor... Czy coś mówi panom to nazwisko?

– Oczywiście – potwierdza admirał. – Choć wyobrażałem sobie, że jest starszy.

– W kawiarniach prawie zawsze siada sam... Często nawet nie potrzebuje iść na górne piętro po szachownicę czy przeciwnika, bo gra w swojej głowie. – Bringas z podziwem mlaska językiem. – I tutaj widzą go panowie... Sam przeciw światu.

– Chciałbym się z nim przywitać – stwierdza don Hermógenes. – Trochę gram w szachy.

– Niech pan nie próbuje, bo nawet się do pana nie odezwie. Nigdy z nikim nie rozmawia.

– Szkoda.

Chodzą po kawiarni, szukając miejsca, gdzie mogliby usiąść. Ludzie wchodzą i schodzą po schodach prowadzących do sal gry w szachy,

warcaby i domino na piętrze, kelnerzy przebiegają z butelkami wody, lodami, dzbankami kawy i parującej gorącej czekolady.

– Można znaleźć tutaj cztery klasy publiczności – wyjaśnia Bringas. – Ci, którzy przychodzą napić się kawy i porozmawiać; gracze, idący prosto na piętro; ci, którzy czytają gazety; i wreszcie ci, co czekają całymi dniami, by ktoś im postawił kawę albo małą butelkę cydru, żeby napełnić sobie żołądek.

– Często pan tu przychodzi? – jest ciekawy Don Hermógenes.

– Tutaj? Nigdy. Dziś robię to dla panów. Wolę lokale przy rue Basse-du-Rempart, gdzie pali się tytoń i pije gorzałkę, albo skromne miejsca przy bulwarach, gdzie kawa jest zła i przypalona, ale Idee i Prawda, pisane wielką literą, oddychają bez trudu... Co najwyżej chodzę do Café de l'Opéra przy rue Saint-Nicaise, gdzie za monetę sześciosolową mogę spędzić cały dzień, od dziesiątej rano do jedenastej wieczorem, w cieple przy piecu, nad kawą z mlekiem, gardząc tymi, którzy nie wiedzą, co to zimno, i grzeją się trudem biedaków... Jest tam czytelnia z zagraniczną prasą i książkami filozoficznymi.

– Z prawdziwą filozofią czy tą umowną? – pyta podejrzliwie bibliotekarz.

– Z obiema.

Na krzesłach obok półki i dużego stołu zasłanego broszurami i gazetami w wielkiej obfitości siedzą czytelnicy pogrążeni w lekturze „L'Almanach des Muses”, „Courier de l'Europe”, „Le Journal de Paris” i innych publikacji. Przyzwyczajeni do skromnej oferty prasy w Hiszpanii, gdzie zazwyczaj tylko oficjalną „Gazetę” można znaleźć bezpłatnie w kawiarniach, akademicy patrzą zaciekawieni na ten bogaty wybór.

– Najpopularniejszy jest „Le Journal” – wyjaśnia Bringas. – Bo wydają go codziennie i zamieszczają w nim nekrologi.

– Nie widzę tu „Gazette de France” – zauważa don Hermógenes.

– To dziennik oficjalny, tutaj nie byłby dobrze widziany. Zakłada się, że jeśli ktoś go czyta, w ogóle nie myśli... Za to gazeta „Mercure de France”, wydawana tak źle, że niemal nieczytelna, jest przeznaczona dla wielbicieli zagadek i logogryfów ze stron z łamigłówkami albo dla staruchów z Marais, którym pewnie jeszcze się wydaje, że żyją w czasach Ludwika XV.

– A tutaj ktoś czyta „The London Evening Post” – dziwi się admirał.

– Tak. Pomimo wojny angielskie dzienniki docierają niemal normalnie. Jesteśmy w Paryżu, panowie. To ma zarówno złe, jak i dobre strony.

Bringas staje na chwilę i rozgląda się ponuro.

– Ach, w dawnych czasach Procope gościł osoby szlachetne, wolne, bohaterskie, którym nie pozwalano zbierać się w innych miejscach publicznych – mówi, jakby splotał. – Rousseau, Marivaux, Diderot rozmawiali tu o literaturze i filozofii... Dziś natomiast można tu spotkać tylko głupców, niebieskie ptaki, policyjnych szpicli i nadęte pawie, jak ci przy stoliku obok okna w tamtym osobnym saloniku naprzeciwko... Jak ten Bertenval, który właśnie nas zauważył. Na mnie oczywiście spojrzął bardzo złym okiem, ale już wstaje, żeby się z panami przywitać... Ja tymczasem pójdę do stołu z prasą, może uda mi się przejąć od kogoś „Le Journal de Paris”, by odkryć z przyjemnością, kto wczoraj uwolnił świat od swej obecności... Przepraszam.

Rzeczywiście. Najwyraźniej zadowolony, że Bringas odchodzi, Bertenval, który siedział w grupie rozmówców przy oknie, teraz podchodzi do akademików z otwartymi ramionami i miną pełną serdeczności i wita ich. Cieszy się, że przyjęli propozycję, jaką im złożył ostatniej środy u pani Dancenis.

– Proszę pozwolić, że panów przedstawię i przysunę krzesła... Ci tutaj panowie są członkami hiszpańskiej Akademii i zaszczycają nas swoimi odwiedzinami... Emerytowany brygadier don Pedro Zárate... oraz bibliotekarz Akademii, literat i tłumacz, don Hermenegildo Molina.

– Hermógenes – poprawia przedstawiany.

– Właśnie, don Hermógenes... Proszę usiąść. Napiją się panowie kawy, prawda?... A tutaj siedzą panowie Condorcet, d’Alembert i Franklin.

Bibliotekarz jąka się z wrażenia, siadając i wypowiadając słowa pełne uznania i podziwu. I są po temu powody: ma naprzeciwko siebie Jeana d’Alemberta, który wspólnie z Diderotem był pomysłodawcą *Encyklopedii*, a do tego autorem słynnego prologu do tego dzieła. Wygląda na mniej więcej siedemdziesiąt lat, nosi wypomadowaną perukę i jest bardzo starannie ubrany. Stały sekretarz Akademii Francuskiej, znakomity matematyk, uważany za jednego z najznamienitszych myślicieli oświeceniowych, d’Alembert jest na absolutnym szczycie sławy. Swoją drogą dobrze zna prace Hiszpańskiej Akademii Królewskiej – do której wysyłał także dzieła jej francuskiej odpowiedniczki – łącznie z czwartą edycją słownika. Temu wszystkiemu dodaje jeszcze wartości uprzejmy uśmiech, z jakim encyklopedysta weteran przyjmuje entuzjazm don Hermogenesa.

– Proszę mi wierzyć – mówi bibliotekarz. – Bez ujmy dla pana Bertenvala, którego miałem zaszczyt poznać przed kilkoma dniami, ani dla pozostałych panów, to jedna z najważniejszych chwil w moim życiu.

D’Alembert przyjmuje komplement z naturalnością osoby, która jest w takim wieku i ma taką pozycję, że słyszała już wiele. Admirał zaś w krótkich i grzecznych słowach chwali dzieła encyklopedysty – *Traité de l’équilibre et du mouvement des fluides* i *Réflexions sur la cause générale*

des vents – które, jak mówi, poznał i czytał z przyjemnością i korzyścią, bo oba były bardzo ciekawe dla człowieka morza.

– To dla nas zaszczyt, szanowni koledzy – mówi filozof – że możemy przyjąć w Paryżu dwóch znakomitych akademików hiszpańskich.

Admirał pochyła się teraz ze swoją naturalną uprzejmością do innego z przedstawionych mężczyzn – człowieka starszego, wysokiego, grubego, łysego na czubku głowy i z resztą włosów do ramion, którego cera jest czerwona z powodu łuszczycy.

– Czyżbym miał przyjemność z profesorem Franklinem? – pyta w całkiem znośnym angielskim.

– Tak, właśnie – potwierdza z zadowoleniem zapytany.

– To prawdziwy honor i zaszczyt – mówi admirał, przechodząc na francuski. – Miałem szczęście przeczytać kilka pańskich prac. Bardzo zainteresowały mnie studia nad szkłem i dwuogniskowymi soczewkami oraz nad zastosowaniem piorunochronów na statkach... Proszę mi pozwolić, bym złożył wyrazy poparcia dla walki o niepodległość, jaką prowadzą pańscy rodacy w Ameryce Północnej... Moja ojczyzna, jak pan wie, popiera to bez zastrzeżeń.

– Tak, wiem i jestem bardzo wdzięczny – odpowiada Franklin w tym samym uprzejmym tonie. – Od czasu kiedy jestem w Paryżu, często rozmawiam z waszym ambasadorem, hrabią Arandą, i zawsze spotkania te są wielce satysfakcjonujące.

Trwa ożywiona rozmowa, podczas której Bertenval opowiada jej uczestnikom o powodach przyjazdu don Hermogenesa i don Pedra do Paryża. Przybysze z kolei relacjonują swoje trudności, a d'Alembert potwierdza dyskusyjną wiarygodność niektórych wznowień *Encyklopedii*. Jedynie genewski przedruk, zapewnia, wykonany w latach 1776–1777, jest całkowicie zgodny z pierwszym wydaniem. Z tego powodu nawet ów

przedruk jest teraz bardzo rzadki na rynku. Ostatnią pełną edycję, o jakiej słyszał, na nieszczęście Hiszpanów kilka miesięcy temu wysłał do Filadelfii obecny tutaj pan Franklin.

– Kiedy panowie do nas dołączyli, właśnie rozmawialiśmy o rewolucji amerykańskiej – oznajmia.

– Sztandar wolności został podniesiony – mówi Franklin, jakby streszczał w ten sposób wcześniejszy dialog. – A teraz trzeba go utrzymać w górze.

– I tym właśnie między innymi zajmuje się ten pan w Paryżu – wyjaśnia d’Alembert obu akademikom. – Szuka pieniędzy i wsparcia.

– Życzę panu pomyślności w tym szlachetnym dziele – deklaruje oficjalnie don Hermógenes.

– Dziękuję, to bardzo uprzejme.

– Pan Bertenval – mówi d’Alembert – twierdził, że Angloamerykanie nie zdołają utrwalić swojej zbuntowanej republiki. Doktor Franklin naturalnie nie zgadzał się z nim. A pan Condorcet skłaniał się raczej ku opinii tego drugiego. – Zwraca się do don Pedra: – Co sądzą panowie jako Hiszpanie o narodzie angielskim i jego postawie w tej wojnie?

Admirał zwleka z odpowiedzią.

– Jestem zbyt stronniczy, by wyrażać opinie powszechne wśród Hiszpanów – mówi po chwili zastanowienia. – Podziwiam Wielką Brytanię za dzielność wojska i cnoty obywatelskie, jednak dla mnie jako hiszpańskiego marynarza, którym jestem, lub raczej byłem, Anglicy zawsze byli naturalnymi wrogami. Zatem, jeśli panowie pozwolą, zachowam moje zdanie dla siebie.

– Anglicy są cyniczni, brutalni i skuteczni – stwierdza Franklin bez ogródek. – Ich sposobem na utrzymanie imperium są ciosy i armaty. Poza tym, proszę pana, słynna brytyjska uprzejmość ogranicza się do wąskiej

elity... Zapewniam, że każdy hiszpański wieśniak ma więcej godności niż angielscy wojskowi.

– A co sądzą panowie o wojnie w trzynastu koloniach? – pyta Bertenval akademików.

Tym razem admirał nie musi się zastanawiać.

– Moim zdaniem – odpowiada – Ameryka Północna stanie się republiką obywateli; atmosfera, podobnie jak we wszystkich nowych państwach, do tego skłania. A nawet tamtejszy pejzaż.

– To ciekawe, co pan mówi o związku z pejzażem. I bardzo trafne. – Franklin jest zadziwiony. – Czy zna pan tamtejsze ziemie?

– Owszem, co nieco. W młodości pływałem wzdłuż ich wybrzeży, również od strony Pacyfiku... I uważam, że indywidualistyczny charakter, jaki owe bezgraniczne pustkowia nadają ludziom, niezbyt pasuje do starych monarchistycznych systemów, które zachowujemy tu, w Europie.

– Ma pan dużo racji. – Franklin następnie zwraca się do don Hermogenesa: – A jakie jest pańskie zdanie?

– Ja mało wyjeżdżałem z Madrytu – odpowiada bibliotekarz. – I widzę to nieco inaczej. Uważam, że jeśli ktoś chce zachować dobra materialne czy duchowe i osiągnął już dojrzałość, porzuciwszy młodzieńczy ferwor – tu mam na myśli także młode narody, takie jak ten w angielskich koloniach – ma tendencję do osadzania królów na tronach... Dlatego wydaje mi się, że podobnie stanie się i tam: pojawi się reprezentujący nowy naród amerykański monarcha odpowiedniej rangi, który równocześnie czuwał będzie po ojcowski nad życiem swoich poddanych.

– Niech Bóg nas broni! – Franklin szczerze się śmieje. – Niewiele ma pan zaufania do moich rodaków, jak widzę.

– Oczywiście, że mam. Ale bardziej ufam sprawiedliwym i mądrym królom.

– To stawia pana w opozycji do panów Franklina i Condorceta – mówi d’Alembert.

– Nigdy bym nie śmiał... Wyobrażam sobie, że przy moich poglądach moglibyśmy jednak dyskutować, używając argumentów i najlepszej woli.

– Tu, szanowny panie, zawsze możemy się spotkać – zgadza się Franklin uprzejmie.

– A pan, brygadierze? – jest ciekawy D’Alembert. – Wierzy pan w obywateli czy w królów?

– Nie wierzę ani w jednych, ani w drugich.

– Mimo że jest pan Hiszpanem?

Ostrożna pauza don Pedra. Chwila zamyślenia. Potem smutny uśmiech na ustach.

– Właśnie dlatego – mówi łagodnie.

– Po części zgadzam się ze słowami pana brygadiera – stwierdza d’Alembert. – Ja też nie mam zaufania do istoty ludzkiej, kierowanej własnymi namiętnościami, zdanej na własne siły i osobiste ograniczenia.

– Zatem monarchia oświecona! – sugeruje Bertenval.

– I katolicka, jeśli to możliwe – dodaje nieśmiało don Hermógenes, który potraktował poważnie ostatni komentarz.

Pozostali rozmówcy patrzą po sobie zaskoczeni, a bibliotekarz mruga naiwnie, nie rozumiejąc.

– Wszystko zasługuje na szacunek – stwierdza d’Alembert po krótkiej chwili ciszy.

Kelner kolejny raz napełnia filiżanki na prośbę Bertenvala i przez chwilę wszyscy rozmawiają o sprawach trywialnych. Jednak don Hermógenes, który cały czas się zastanawia nad sprawą, uważa, że powinien wyjaśnić swoje poglądy.

– To, co panowie tutaj mają – mówi w końcu – mimo pewnych wad i choć niewątpliwie dałoby się udoskonalić, jednak wydaje się dość rozsądne.

– Co ma pan na myśli? – pyta Condorcet.

– Tutejszą monarchię. Moim zdaniem monarchia oświecona to wielka rodzina z kochającymi rodzicami i dziećmi zadowolonymi lub dążącymi do satysfakcji drogą pokojową... Dlatego podoba mi się Francja, gdzie oświecona władza przybiera postawę ojcowską, przyznaje niezbędne swobody i zachowuje szeroki margines tolerancji, dzięki czemu nie musi się obawiać rewolucji.

– Tak pan sądzi?

– Moim skromnym zdaniem tak właśnie jest. Pozbawiona tyranii i despotów Francja może być spokojna, nie lękając się straszliwych wstrząsów, jakich doświadczają ciemiężone narody.

Jego rozmówca dyskretnym gestem okazuje sceptycyzm. Nicolas de Condorcet jest mężczyzną o sympatycznym wyglądzie, ubranym w angielskim stylu, ma nieco ponad czterdziestkę. Zgodnie z tym, co wcześniej mówił Bertenval, mimo dość młodego wieku jest cenionym matematykiem, prawdziwym autorytetem w dziedzinie rachunku całkowego, skrajnym republikaninem, a także redaktorem niektórych haseł technicznych w *Encyklopedii*.

– Zbyt pan idealizuje Francję, szanowny panie – mówi Condorcet. – Nasz rząd jest równie absolutystyczny i despotyczny jak wasz w Hiszpanii. Różnica polega na tym, że tutaj bardziej dba się o formy.

– Czy podziela pan zdanie pańskiego przyjaciela? – pyta d’Alembert admirała.

Don Pedro kręci głową i spogląda pojednawczo na don Hermogenesa, prosząc go z góry o wybaczenie.

– Nie... Ja uważam, że wstrząsy należą do reguł gry. Do samej natury świata i rzeczy.

Wiekowy filozof pochyla się nieco ku niemu, zaciekawiony.

– Czyli są nieuniknione?

– Bez wątpienia.

– Przemoc i inne potworności też?

– Wszelkie horrory świata.

– I uważa pan, tak jak pan Condorcet, że podobne wstrząsy są we Francji konieczne lub nieuniknione?

– Oczywiście. Tak jak i we francuskiej części Ameryki Północnej.

– A w Hiszpanii i w hiszpańskiej Ameryce?

– Również. Wcześniej czy później grom uderzy.

D'Alembert słucha z wielką uwagą.

– Wydaje mi się, że nie ubolewa pan z tego powodu – stwierdza.

Admirał wzrusza ramionami.

– To tak samo jak w szachach albo w nawigacji. – Podnosi filiżankę kawy i przygląda się jej chwilę przed wypiciem łyku. – Regułami i podstawowymi zasadami nie można się martwić albo cieszyć. One po prostu są. Wszystko polega na ich rozpoznaniu. I akceptacji.

D'Alembert, teraz zamyślony, uśmiecha się do niego z pewnym zadziwieniem.

– Ma pan interesującą wizję przyszłości... Dość niesamowitą u wojskowego z pana kraju.

– Marynarza.

– Oczywiście, proszę wybaczyć... I mógłby nam pan powiedzieć, jakie to grzechy pana zdaniem spowodują uderzenie gromu w Hiszpanię?

– Być może mógłbym. – Admirał odstawia filiżankę na stół, wyjmując chustkę z rękawa żakietu i ostrożnie ociera usta. – Jednak wybaczą mi panowie, że tego nie zrobię. Jestem tutaj cudzoziemcem. Znam defekty mojego kraju i często dyskutuję o nich z moimi rodakami... Jednak byłoby niegodziwością opowiadać o nich za granicą. Osobom obcym, jeśli wybaczą mi panowie to określenie. – Odwraca się do bibliotekarza. – Jestem przekonany, że don Hermógenes zgadza się ze mną.

D'Alembert patrzy z uśmiechem na bibliotekarza.

– Czy to prawda? Czy pan też zachowuje lojalne milczenie?

– W pełni – odpowiada zapytany, wytrzymując ze spokojem spojrzenia wszystkich.

– To obu panom tylko przynosi honor – podsumowuje filozof na zakończenie.

Następnie rozmawiają o ideach, historii i rewolucjach. Bertenval przywołuje kilka klasycznych przykładów, a Condorcet z entuzjazmem przypomina powstanie gladiatorów i niewolników pod przywództwem Spartakusa w starożytnym Rzymie.

– Moim zdaniem, wbrew opinii pana Condorceta – odzywa się d'Alembert – wykształcona, oświecona Europa nie będzie przeżywała dramatycznych rewolucji. Nie po to pisaliśmy *Encyklopedię*, zapewniam pana... Rozpowszechnienie nowych idei i oświecenie w końcu zmienią to, co w sposób nieunikniony trzeba zmienić... My działamy na naszym skromnym poletku nie po to, by świat zadrżał w posadach, ale żeby zmieniał się łagodnie, zgodnie ze zdrowym rozsądkiem. My, którzy mamy w zwyczaju cieszyć się poszerzaniem wiedzy, nigdy nie będziemy niebezpiecznymi obywatelami.

– Tak pan sądzi? – pyta admirał spokojnie.

– Jestem przekonany.

– Każdy człowiek, bez względu na to, czy kocha naukę, czy nie, jest niebezpieczny, kiedy się go do tego skłania. Tak mi się wydaje... Albo kiedy się go do tego zmusza.

Encyklopedysta uśmiecha się z zainteresowaniem.

– Mówi pan tak, jakby dobrze się pan na tym znał.

– Może pan być tego pewny.

Franklin i Condorcet wyrażają poparcie dla don Pedra.

– Nadal zgadzam się z panem brygadierem – mówi pierwszy z nich.

– Ja także, to jasne – wtóruje mu drugi.

D’Alembert pojednawczo wznosi ręce.

– Mieszymy ze sobą dwa światy – mówi łagodnie. – Europę i Amerykę, dojrzałość i młodość, olej i wodę... Jestem przekonany, że nieważne, jakie byłyby nasze idee i teorie, nasze pragnienia, nigdy nie spowodują nagłych ani gwałtownych rewolucji.

– Nie jestem tego pewien – obstaje przy swoim Condorcet.

– A ja tak. Ponieważ umysły całych narodów są zdolne rozpaść się dla spraw dobrych i szlachetnych, kiedy nadarza się ku temu okazja. A coś takiego jest w nowoczesnej filozofii. To nie do pomyślenia, by z naszych idei miało się zrodzić jakieś szaleństwo czy brutalne wzburzenie. Wszelkie rewolucje w Europie będą zachodzić nie poprzez przemoc, ale na drodze długich procesów rozumowania i refleksji.

Pauza. Wszyscy słuchają go z szacunkiem, choć admirał dostrzega u Condorceta słaby sceptyczny uśmiech. Za to don Hermógenes potakuje, kiwając głową, pełen fascynacji i naiwności. Jak dzieciak słuchający nauczyciela, którego szanuje i podziwia.

– Jeśli jest prawdą, że rodacy pana Franklina potrzebują muszkietów i prochu dla swojej sprawy – dodaje d’Alembert – nasza Europa, starsza i bardziej dojrzała intelektualnie, musi tylko poznać i uszanować zasady,

których natura i rozum zalecają przestrzegać... Do naszej rewolucji, panowie, nie będzie potrzebna inna broń niż książki i słowa.

Odwracając wzrok od towarzystwa, admirał patrzy na Bringasa, który czyta i posepnie spogląda na nich z oddali. Nie biorą panowie pod uwagę tego groteskowego kleryka, ma ochotę powiedzieć, i wszystkich takich jak on. Nigdy nie byliście na przykład na pokładzie okrętu, gdzie latają naboje i drzazgi, i nie widzieliście, co kryje się w ludzkim sercu. To pozorne bezpieczeństwo kawiarni, te kulturalne zachowania, mądra rozmowa, piękne filantropijne idee powodują, że zapominacie o nieszczęśnikach i ofiarach, o czarnej armii, która przeżuwa swoją złość i rozpacz w zakamarkach kawiarni i na przedmieściach słabo tylko oświetlonych rozumem i filozofią. Zapominacie o sile tego prądu morskiego i morza, w ogóle natury, która ślepo niszczy wszystko, co spotyka na swojej drodze. Zapominacie o regułach życia. I myśląc o tym, don Pedro przez chwilę czuje chęć, by walnąć w stół i palcem wskazać człowieka, którego wszyscy ignorują, niby ktoś, kto wskazuje napis na ścianie podczas wiecznej frywolnej i tragicznej uczyty Baltazara. Czuje potrzebę, by zwrócić ich uwagę na ciemną postać, która nieruchomo siedzi w głębi, pozerając wzrokiem gazety, a umysłem wszechświat. By uderzyć w stół i powiedzieć im to wszystko. Bo on wie, kto podpali świat. W końcu jednak wzrusza ramionami, wraca do swojej filiżanki kawy i nic nie robi.

Po południu, wracając z daremnej wizyty u pewnego księgarza przy rue d'Anjou, obaj akademicy i kleryk Bringas idą przez zachodni taras ogrodu Tuileries, pośród rzeźb skrzydlatych koni. Ponieważ nie zezwala się tutaj na wjazd powozów, miejsce to roi się od spacerowiczów. Na niebie pojawiło się nieco chmur, jednak słońce stoi wysoko i temperatura jest przyjemna. Po drugiej stronie mostu można podziwiać wspaniały widok na plac Ludwika

XV z konnym posągiem monarchy z brązu w głębi, na drzewa przy Polach Elizejskich i Sekwanę płynącą w oddali.

– To jest oczywiście – potwierdza Bringas – jeden z najpiękniejszych pejzaży miejskich w Europie... Zachody słońca są tu nadzwyczajne.

– To miłe, że można tu spacerować. Sądziłem, że jest to prywatny teren króla, otwarty dla wszystkich tylko w dniu świętego Ludwika – dziwi się admirał.

– To dotyczy tylko pospólstwa – ironizuje kleryk. – Tłuszczy. Niech panowie zauważą, jakich tu mamy spacerowiczów: ludzi zamożnych w drogich strojach, panie trzymające na ręku pieski, które chętnie bym widział upieczone, utrzymanki z opery, fircyków i pasożytów... Popatrzcie na tych śmiesznych modnisiów w wysokich perukach, z doklejanymi pieprzykami, w tych głupich, obcisłych żakietach wyglądają jak spaghetti. Wysłałbym ich do wiosł na galery! A tymczasem szwajcarzy w bramach zastępują drogę uczciwym ludziom, którzy nie wyglądają na zamożnych, bo nie noszą koronek przy rękawach czy galonów na kapeluszu. Nawet na mnie patrzyli złym okiem, pamiętają panowie? Jakby to habit czynił mnicha!

– Jakież urocze te dzieciaki – zauważa don Hermógenes, patrząc na dwóch chłopców idących bardzo poważnie ze swoimi rodzicami, ubranych, jakby byli dorośli, z wypomadowanymi włosami i dworskimi szpadami.

– Te tutaj? – oburza się Bringas. – Nic nie denerwuje mnie bardziej, proszę pana, niż oglądanie dzieci przedwcześnie upodlonych za sprawą głupoty rodzicieli... Proszę popatrzeć na to ich przebranie, na włosy białe od pomady, pukle jak u kobiet, żalosalne małe szpady i trójgraniaste kapelusiki pod pachą; są równie pyszni i próżni jak rodzice albo jak ci dorośli, którymi staną się pewnego dnia... Warto byłoby ich zlikwidować teraz, kiedy jeszcze są mali i bezbronni. Za kilka lat będzie to trudniejsze.

– Co za okropności pan wygaduje, panie kleryku!

– Okropności?! Przyjdzie na to czas. Jeszcze zobaczymy... W każdym razie ta żalosna moda jedynie psuje prawdziwą naturę. Gdybym był ustawodawcą, odbierałbym skretyniałym rodzicom tak przebrane dzieci, by je reedukować w szkołach państwowych.

– Niczym Likurg. – Admirał się śmieje.

Kleryk patrzy na niego z ukosa.

– A tak, proszę pana. Tak jak ów sławny Lacedemończyk, w rzeczy samej... Naprawdę nie wiem, z czego pan się śmieje. Nie widzę w tym nic zabawnego.

Promień słońca przebija się przez cienką warstwę chmur i roślinność ogrodu zdaje się nabierać zupełnie nowych kolorów. Szeroka szara wstęga Sekwany lśni w oddali stalowymi pobłyskami.

– To rzeczywiście piękne – stwierdza admirał, zmieniając temat.

– Ach, kiedyś jeszcze nadejdzie dzień... – obstaje przy swoim Bringas mimo zmiany tematu.

Don Hermógenes, który opiera ręce na poręczy, zdaje się nie słuchać. Ma spuszczoną głowę i wygląda na zmartwionego, niemal zbolełego.

– Czy ma pan jakiś problem, don Hermesie? – pyta admirał.

– Owszem, natury fizycznej – wyznaje bibliotekarz. – Potrzebę naturalną i raczej kategoryczną... Obawiam się, że ostatnie gorączki mnie rozregulowały...

Don Pedro rozgląda się wokół niepewnie.

– No nie wiem, czy tutaj...

– To żaden problem – oświadcza Bringas. – Na końcu tych schodów, pod tarasem, mamy płatne gabinety.

– Nowoczesność użyteczna – cieszy się zadziwiony don Hermógenes. – Czy mógłby pan zaprowadzić mnie tam bez zbędnej zwłoki?

– Natychmiast. Czy mają panowie drobne monety? Proszę tu na nas zaczekać, jeśli wola, panie admirale.

Kiedy Bringas i bibliotekarz odchodzą, don Pedro opiera się o balustradę i rozkoszuje widokiem. Po drugiej stronie mostu, na placu, stoi kilka powozów, jednak po ogrodzie wszyscy poruszają się pieszo pomiędzy drzewami i kwadratami trawnika. Widać wiele jedwabnych sukien i szalów wykończonych koronką, damskich kapeluszy ze wstążkami i piórami, surdutów i bardzo obcisłych żakietów oraz trójgraniastych kapeluszy w szwajcarskim stylu. Pośród tego zamętu wyróżnia się umiar stroju admirała, ubranego w prosty frak z granatowego sukna ze stalowymi guzikami, zamszowe spodnie i angielskie wysokie buty. Pod pachą trzyma laseczkę, a na siwych włosach bez pomady, zebranych na karku w kucyk, ma czarny trójgraniasty kapelusz, lekko przekrzywiony w prawą stronę.

– Co za niespodzianka – odzywa się głos za jego plecami. – Poważny hiszpański dżentelmen sam w Tuileries.

Kiedy admirał się odwraca, widzi przed sobą uśmiech madame Dancenis zdejmującej rękawiczkę i wyciągającej dłoń, którą don Pedro, już z odkrytą głową, ujmuje i muska wargami, pochylając się.

– Oczekuję moich przyjaciół.

– Kleryka i tego miłego don Hermogenesa? Powinna była się domyślić.

Margot Dancenis uśmiecha się czarująco. Wydaje się miło zaskoczona spotkaniem. Ma na sobie strój spacerowy: drapowaną suknię w kolorze orzechowym ze szkarłatną szeroką szarfą w pasie; nie potrzebuje gorsetu, żeby wyglądać smukło. Jest w szalu medycejskiej mody, bez kapelusza, lecz trzyma parasolkę przeciwsłoneczną, ma wysoką fryzurę ozdobioną

wstążką i strusim piórem. Nosi się prosto i z dystynkcją. Panowie Laclos i Coëtlegon, idący u jej boków, także pozdrawiają admirała. Pierwszy z nich miło, drugi – oschle i z rezerwą, pobrzękując dewizkami od zegarków widocznymi na jego pasiastej kamizelce.

– Nie możemy zostawić pana samego. Dotrzymamy panu towarzystwa do powrotu przyjaciół.

Uśmiech odsłania jej białe, równe zęby i rozpala iskierki w czarnych oczach. W świetle dziennym drobne niedoskonałości cery i leciutkie zmarszczki są bardziej widoczne, mimo to, stwierdza admirał, niczego nie ujmują jej urodzie. Przeciwnie, madame Dancenis robi wrażenie dojrzałej, pewnej siebie piękności. Jest znacznie atrakcyjniejsza, niż gdyby miała jędrną, jeszcze nieskazitelną, pozbawioną jakiegokolwiek historii skórę banalnej młódki.

– Jak się panu podoba okolica, panie admirale?

Wskazuje na pejzaż wokół, jednak patrzy wprost na niego.

– Wspaniała – odpowiada don Pedro bez emocji, wytrzymując jej wzrok.

– Pana Coëtlegona też zachwyca to miejsce... Pana Laclosa, naturalnie, także.

– Wcale mnie to nie dziwi.

Przez kilka minut prowadzą lekką, światową konwersację. O poszukiwaniu *Encyklopedii*, o paryskich restauracjach i kawiarniach, przechodząc do uniwersalnej skuteczności magnetyzmu i niezawodności hipnozy, które są bardzo modnymi tematami. Przez cały czas admirał czuje na sobie nieruchome spojrzenie Coëtlegona. A ten, podobnie jak jego przyjaciel Laclos, ubrany jest w strój popołudniowy: długi żakiet o wąskich rękawach, kusą kamizelkę, nosi krótką szpadę u boku. Ma także Order Świętego Ludwika, a na kapeluszu błyszczy mu odznaka wskazująca na

dawną przynależność do stanu wojskowego. Don Pedro kilka razy odwraca się w jego stronę i spotyka spojrzenie bez wyrazu.

– Zamierzaliśmy usiąść przy stoliku przed Feuillants, żeby się napić czegoś chłodnego – mówi madame Dancenis. – Czy zechciałby pan nam towarzyszyć?

W tym momencie wracają don Hermógenes i Bringas i po ceremonialnym powitaniu oraz kilku żartach z kleryka, które ten znosi ze stoickim spokojem, wszyscy ruszają aleją ocienioną lipami w kierunku wylotu placu Vendôme, gdzie pomiędzy otaczającymi go eleganckimi hotelami widoczny jest stojący pośrodku pomnik Ludwika XIV.

– Mam ochotę na lody – mówi pani Dancenis.

Feuillants to niewielka kawiarnia na świeżym powietrzu, tuż przy ogrodzeniu parku Tuileries, chętnie odwiedzana. Należy do jednego ze Szwajcarów zatrudnionych jako strażnicy u wejścia. Wszyscy siadają wokół jednego z wolnych stolików, kobieta zajmuje miejsce pomiędzy Coëtlegonem i admirałem. Zamawiają lody, lemoniadę i kawę – Bringas prosi też o brioszkę z cukrem – i rozmawiają o ostatnich plotkach z Wersalu, locie balonem z ciepłym powietrzem, jaki przygotowuje niejaki monsieur Charles, ciekawych wizytach, które dwaj akademicy złożyli w królewskim gabinecie historii naturalnej i w laboratorium fizycznym pana Brissona z Akademii Nauk.

– Rozumiem, że teraz już panowie znają wszystkie księgarnie w Paryżu – mówi madame Dancenis. – Czy poza *Encyklopedią*, która stała się panów obsesją, udało się panom kupić jakieś książki?

– Kilka tak. Choć nie możemy zabierać ze sobą zbyt dużego bagażu.

– O to proszę się nie martwić. Zawsze można je stąd wysłać prosto do Madrytu. Mój mąż bardzo chętnie się tym zajmie.

– Zapewne z radością skorzystamy z pani uprzejmej propozycji – dziękuję jej don Hermógenes. – Publikuje się tu niesłychane mnóstwo książek!

– Proszę się nie wahać. Możemy nawet tak zrobić, żeby wysłać nieco wydawnictw zabronionych za Pirenejami, jeśli panowie sobie życzą.

– Książek filozoficznych? – pyta z zainteresowaniem don Hermógenes.

– W obu znaczeniach – mówi z przewrotną miną. – To już od panów zależy.

Bibliotekarz zaraz się czerwieni, pojawiwszy, co kobieta ma na myśli.

– Och, przepraszam najmocniej – jąka się zakłopotany. – Nie zamierzałem... Chciałem powiedzieć, że nigdy... Ja...

– Proszę się nie przejmować. – Laclos się śmieje. – Pani nie jest zgorszona, wręcz przeciwnie. Sama jest czytelniczką książek filozoficznych, prawda, Margot? W obu znaczeniach.

Don Hermógenes mruga szybko, jeszcze bardziej speszony.

– Chce pan powiedzieć... no cóż... że...

– Właśnie tak – potwierdza madame Dancenis. – Dokładnie to chciał powiedzieć zawsze niepoprawny Laclos.

– To strata czasu – mówi szorstko Bringas, niezbyt zadowolony z kierunku, w jakim idzie rozmowa. – To nadzwyczajna lekkomyślność, kiedy powstaje tak wiele książek naprawdę filozoficznych, oczyszczających i oczy, i ducha.

Pani Dancenis, która patrzyła na admirała, unosi szczupłą dłoń o wypiełgnowanych paznokciach, ozdobioną pobłyskującymi kamieniami szlachetnymi. Jej skóra jest biała, zauważa don Pedro. Lekko naznaczona delikatnymi błękitnymi żyłkami.

– Błądzi pan, kleryku – odzywa się dama. – Na wszystko jest właściwy czas. Odpowiedni moment.

Coëtlegon śmieje się, a jego śmiech wcale nie podoba się admirałowi – jest arogancki i butny. Nawet nieco ordynarny. To śmiech kogoś, kto się cieszy przywilejami, do których inni nie mają dostępu, lub przynajmniej tak uważa.

– A moment Margot nadchodzi o poranku przy śniadaniu – mówi Coëtlegon, patrząc w oczy admirałowi.

Nieświadom wymiany spojrzeń i ukrytych znaczeń, don Hermógenes uśmiecha się łagodnie do madame Dancenis.

– Proszę pani, czy to prawda? Czy ci panowie tylko żartują? Czy rzeczywiście czytuje pani książki, ekhm, filozoficzne, takie, które wcale nimi nie są?

– No pewnie! – mówi Bringas w coraz gorszym humorze.

– Jak najbardziej – potwierdza kobieta. – Nie ma sympatyczniejszych lektur. Mam na myśli takie książki, jak *Félicia*, *Mémoires de Suzon* czy *Thérèse philosophe* – tę ostatnią teraz właśnie czytam. I tak jak powiedział Coëtlegon ze zwykłą dla siebie bezczelnością, zazwyczaj poświęcam im chwilę jeszcze w łóżku, zaraz po śniadaniu... Niektóre z tych dziełek są znakomicie napisane, wszystkie bardzo zabawne, a części pomimo pozorów libertynizmu rzeczywiście nie brakuje filozoficznej głębi.

Laclos, skory do kpin, kładzie rękę na sercu i deklamuje:

– „Oboje zmartwychwstaliśmy na chwilę, żeby znów skonać... O Boże! Co za męczyzna! Co za namiętność!”

– Dość, Laclos – napomina go madame Dancenis.

– Dlaczego? Ten fragment *Felicji* należy do łagodniejszych. Nie sądzę, żeby panowie się zgorszyli.

– Ale ja się mogę zgorszyć.

Męczyzna śmieje się, po czym pije łyk lemoniady.

– Pani, droga przyjaciółko? Minerwa zgorszona przez Safonę? Nie sądzę.

– Ci panowie gotowi są wziąć mnie za jedną z dziewczyn z opery.

– Nie ma mowy. Są na to zbyt inteligentni. Wiedzą panowie – Laclos zwraca się do admirała i bibliotekarza – czasami, kiedy Margot czyni nam zaszczyt, zapraszając na śniadanie nas, szczęśliwych śmiertelników, którzy cieszymy się jej przychylnością, sama pozostaje w łóżku w jedwabnym dezabilu, rozparta na poduszkach niczym królowa, i każe nam czytać kilka stron... A to, daję panom słowo, jest znacznie przyjemniejsze niż środowe kolacje.

Madame Dancenis uderza go lekko w ramię z naganą.

– Jest pan stanowczo zbyt niedyskretny. Dziwię się, że są jeszcze tacy, którzy biorą pana za dżentelmena, bo wcale pan nim nie jest.

– Rycerskość niewystarczająco oddaje hołd pięknu, droga przyjaciółko. Bez ziarenka pieprzu sos wydaje się mdły... Prawda, panie Coëtlegon?

Odwrócił się, żeby spojrzeć na swojego przyjaciela, który słucha, uśmiechając się pogardliwie.

– Smak sosu zależy od kucharza – mówi bezczelnie.

– Dość, panowie – rozkazuje pani Dancenis. – To moje polecenie.

– Rozkaz. – Laclos się śmieje.

– Za karę dziś płaci pan za napoje.

– Uznaję pani władzę. Sprawa zamknięta.

Następuje krótka chwila milczenia. Admirał czuje na sobie zainteresowany wzrok kobiety i wrogie spojrzenie jej kochanka. Dlaczego, u diabła, pyta się w duchu. Dlaczego ja?

– A pan? – nagle zapytuje go Coëtlegon. – Czy w swojej odległej młodości czytywał pan książki filozoficzne?

Na ustach ma ten sam uśmiech. Oschły, pogardliwy. Może prowokacyjny.

– Obawiam się, że nie – odpowiada zwyczajnie don Pedro. – W mojej młodości, jak pan mówi, odległej, czytałem raczej książki poświęcone astronomii i nauce.

– Autorów francuskich i angielskich, jak rozumiem.

Admirał zauważył celową złośliwość. Mimo to potakuje z całkowitym spokojem.

– Naturalnie. Choć także moich rodaków. Czyżby nigdy pan nie słyszał o Jorge Juanie, Ulloi czy Gaztañecie? Spora część najważniejszych w tym wieku traktatów dotyczących nauk morskich pochodzi z Hiszpanii, jak pan może wie.

Pogarda na wargach Coëtlegona staje się jeszcze bardziej widoczna.

– Nie, nie wiedziałem.

– No to już pan wie.

Cisza. Wszyscy milczą, uważnie ich słuchając. Don Pedro przez moment jakby dostrzegł pełną troski przestrożę w spojrzeniu, jakie madame Dancenis rzuciła Coëtlegonowi. Tak jakby mówiła: przeciągasz strunę. Zupełnie niepotrzebnie.

– Długo był pan na statku?

Ta sama pogarda. To samo wrogie spojrzenie. Admirał odpowiada z wykalkulowanym opanowaniem.

– Niezbyt długo: siedemnaście lat... Potem współpracowałem już na lądzie z admirałem Navarro. A następnie poświęciłem się studiom teoretycznym i pracy nad moim słownikiem morskim.

– Navarro? – Coëtlegon wygląda, jakby się zainteresował. – Ten z bitwy pod Tulonem?

– Ten sam. Markiz de la Victoria, który to tytuł zdobył właśnie w tej bitwie.

Teraz pogarda zamienia się w uśmiech. Drwiący, niemal bezczelny. Nawet na pewno bezczelny.

– No cóż, ta „wiktorja” w tytule wydaje się dyskusyjna... Czytałem o tym, a nawet jeden z braci mojej matki uczestniczył w tym morskim widowisku.

Nikt się nie odzywa, wszyscy wyczekująco słuchają tych dwóch. Laclos patrzy na swojego przyjaciela z zatroskaną miną, a don Hermógenes, dość zdezorientowany, rzuca spojrzenie to na jednego, to na drugiego. Admirał czuje na sobie wzrok madame Dancenis wyrażający jakby prośbę albo ostrzeżenie. Niech pan tego nie ciągnie, wydaje się mówić. Porzućmy tę sprawę i zmieńmy temat. Znam człowieka, z którym pan rozmawia.

– A cóż takiego wydaje się panu dyskusyjne?

Coëtlegon wzrusza ramionami.

– Żeby uznawać za hiszpański triumf to, co w rzeczywistości było potyczką połączonej francusko-hiszpańskiej floty z angielską... To nic wielkiego.

– Mówi pan „nic wielkiego” o walce trwającej przeszło siedem godzin, podczas której zginęło sto czterdzieści jeden osób, na dodatek trzech dowódców, sześciu oficerów, a blisko pięciuset marynarzy zostało rannych?! Podobne straty ponieśli też Anglicy.

– Coś takiego. – Zaskoczenie Coëtlegona wydaje się szczere. – Ma pan w głowie te wszystkie liczby?! Minęło prawie czterdzieści lat.

– Zachowałem wspomnienia. Byłem tam wtedy.

Lekkie mrugnięcie – jedyna oznaka, że Coëtlegon zarejestrował informację.

– Nie wiedziałem.

– No to już pan wie. Byłem podporucznikiem na pokładzie okrętu Real Felipe... I wie pan, dlaczego się tam biliśmy, mimo czterokrotnej przewagi przeciwnika? Bo nasi francuscy alianci, dowodzeni przez admirała Court de La Bruyère, wśród których na jednym z statków zapewne znajdował się ów pański krewny, popłynęli przed siebie, nie wkraczając do bitwy i pozostawiając hiszpańską dywizję samą.

– Otóż brat mojej matki...

Do diabła, myśli admirał. Mam dość tego bezczelnego uśmiešku i tych zadowolonych z siebie spojrzeń. Mam dosyć tego salonowego zabijaki z jego czerwoną szarfą i tupetem, z pozorowaną uprzejmością, która nikogo nie może zmylić. Jeśli szuka zwady, to ją znalazł.

– Jeśli brat pańskiej szanownej matki twierdzi coś innego, to znaczy, że kłamie jak najęty... A jeśli pan nadal będzie się upierał, jest pan impertynentem.

Śmiertelna cisza. Don Hermógenes patrzy na swojego towarzysza podróży z rozdziawionymi ustami. Zaś Coëtlegon blednie, jakby w jednej chwili cała krew odpłynęła mu z twarzy.

– Nie będę tego tolerował.

– Niech pan będzie uprzejmy zrewidować granice swojej tolerancji.

– Dość, panowie. Nalegam – prosi madame Dancenis. – To zaszło zbyt daleko.

Don Pedro powoli się podnosi.

– Ma pani rację. Bardzo mnie to smuci. Proszę o przyjęcie moich najszczęśliwszych przeprosin.

Wsuwa dwa palce do kieszeni kamizelki, kładzie złotego ludwika na stole i lekko skinąwszy głową, odchodzi, a za nim oddalają się Bringas i bibliotekarz. Admirał kątem oka dostrzega, że Coëtlegon nachyla się do Laclosa, który odmownie kręci głową, na co Coëtlegon znów nalega.

Madame Dancenis odwraca się do nich, żywo dyskutując, po czym poddaje się i zakrywa twarz rękami. Wtedy Laclos wstaje i idzie w ślad za akademikami, przyspieszając kroku, by ich dogonić.

– Jest mi przykro, panowie – mówi poważnym tonem, zdejmując kapelusz. – Panie admirale... Mam przed sobą nieprzyjemne zadanie.

Don Pedro zatrzymał się i słucha go uprzejmie. On także zdejmuje kapelusz.

– Rozumiem. I słucham.

– Pan Coëtlegon poczuł się dotknięty pana słowami – mówi Laclos po chwili wahania. – I domaga się stosownej satysfakcji.

Admirał spogląda na krótką szpadę, jaką nosi mężczyzna, a potem na własną laskę z ostrzem.

– Teraz?

– Nie, na Boga – protestuje Laclos. – Załatwmy to w sposób odpowiedni... Pojutrze o świcie na łące na Polach Elizejskich. Jeśli to panu odpowiada.

– Jak pan uzna.

– Proszę, by pan wybrał broń.

– Nie mam doświadczenia w tej materii, ale wydaje mi się, że to należy do niego.

– Panu zostawia wybór ze względu na pański wiek... Pistolety?

Don Hermógenes, który dotąd słuchał z oczami bardzo szeroko otwartymi, teraz w końcu reaguje.

– Chyba nie mówią panowie poważnie.

– Jasne, że mówią poważnie – odzywa się Bringas, który robi wrażenie, jakby znakomicie się tym wszystkim bawił.

Admirał wskazuje na swoje oczy i uśmiecha się do Laclosa ze smutkiem.

– Mój wzrok jest już zbyt kiepski na pistolet o tak wczesnej porze i przy słabym świetle.

– Pan Coëtlegon to zrozumie. Zatem szpada?

– Jeśli taka wola.

– Do pierwszej krwi?

– To będzie zależeć od pana Coëtlegona.

– Dobrze. Postaram się, by tak się to odbyło. Pańscy sekundanci?

Admirał wskazuje beznamiętnie na don Hermogenesa.

– Ten pan.

– Ja? Sekundantem? – protestuje bibliotekarz. – Czy wyście poszaleli?

Nikt nie zwraca na niego uwagi. Bringas przygląda się temu wszystkiemu z grymasem równocześnie rozbawionym i drapieżnym, admirał pozostaje niewzruszony, a Laclos kiwa głową z zadowoleniem.

– Zajmę się pozostałymi sprawami – dodaje ten ostatni. – Sprowadzę także zaufanego medyka. – Odwraca się do don Hermogenesa, który nadal stoi z rozdziawionymi ustami. – Spotkajmy się jutro, żeby wszystko ustalić... Czy wie pan, jak dotrzeć na łąkę, o której mówiłem?

– Znam to miejsce – mówi Bringas.

– Doskonale. – Laclos odwraca się do don Pedra i ściska mu dłoń. – Jest mi bardzo przykro z powodu tego, co się stało, admirale... Coëtlegon od kilku dni zachowuje się jak nie on. Może jeszcze uda się go przekonać.

Teraz admirał uśmiecha się wreszcie. Wyraz jego twarzy jest niewyraźny, zdystansowany, ale równocześnie ciepły, inny niż zazwyczaj. Ale wydaje się, jakby mężczyzna odmłodził. Można by powiedzieć, że

podporucznik, który trzydzieści siedem lat wcześniej walczył na pokładzie okrętu Real Felipe, dziś pojawił się, żeby przywrócić mu swój uśmiech.

– W każdym razie jestem do panów dyspozycji. Dobranoc.

Pascual Raposo jest zdziwiony tyloma ruchami, rozmowami i niezwykłymi zachowaniami. Wyczuwa, że dzieje się coś dziwnego, jednak nie potrafi odgadnąć co. Stoi oparty o metalowe ogrodzenie w odległości pięćdziesięciu kroków od grupy, obserwując ją z ciekawością. Dziś on zajmuje się pilnowaniem – agenci Milota mają inne sprawy – zatem cały dzień śledzi akademików i Bringasa, kiedy idą do Procope’a, do księgarń i na niedawny spacer po ogrodzie Tuileries, gdzie wszedł bez trudu, przekupiwszy strażnika. Słońce już stoi nisko, barwiąc na kolor bursztynu niebo widoczne pomiędzy koronami lip, co bardzo cieszy Raposa. Ten dzień jest stanowczo zbyt długi. Henriette, córka właścicieli hotelu Roi Henri, od wczoraj grzeje mu łóżko bez najmniejszych zahamowań, przy czym okazało się, że jest dziewczyną zuchwałą i ognistą. Bardziej, niżby się można spodziewać. To znaczy bardzo. Zatem Raposo pragnie już wrócić do swojego pokoju, żeby znów nawiązać dialog cichy, choć wyrazisty, który wczoraj nie pozwolił im spać aż do jasnego świtu, każąc zapomnieć o bezsenności i kłopotach gastrycznych.

Jednak, zastanawia się, patrząc z daleka na dwóch akademików i Bringasa, czy wydarzyło się coś, o czym nie wie? Madame Dancenis i dwaj towarzyszący jej panowie wstali od kawiarnianego stolika i idą przez taras w stronę rue Saint-Honoré. Ci dwaj rozmawiają między sobą bardzo żywo, jakby się kłócili, a ona wydaje się obrażona, idzie nieco z przodu i kiedy jeden z panów próbuje podać kobiecie ramię, żeby pomóc jej wejść po schodach, ta odsuwa rękę z niesmakiem.

Raposo pozwala im odejść. Będzie jeszcze okazja, żeby poprzez Milota ustalić, co się dzieje, jeśli będą rozmawiać w jej domu przy służbie. Skupia się teraz na pozostałej trójce, która idzie w przeciwnym kierunku, przechodząc przez ogród pomiędzy klombami i kwadratami trawnika aż do schodów wiodących na nabrzeże przy Tuileries. Zachowanie tej trójki, uznaje, też nie jest normalne. Bringas i bibliotekarz dyskutują z ożywieniem, zwracając się od czasu do czasu do admirała, który ledwo im odpowiada i niemal przez cały czas milczy, machając laską z zamyśloną miną. Schodzą po schodach na nabrzeże i idą pomiędzy Sekwaną a fasadą Luwru, podczas kiedy zachodzące słońce barwi czerwienią pejzaż za ich plecami.

1. P.H. d'Holbach, *System przyrody*, tłum. J. Jabłońska, H. Suwała, oprac. K. Szaniawski, Warszawa: PWN, 1957.

2. *Ibidem.*

3. *Ibidem.*

4. *Ibidem.*

5. *Ibidem.*

9. SPRAWA HONOROWA

Twarz każdego człowieka honoru jest jednaka.

D. Diderot, *Kubuś Fatalista i jego pan*, tłum. T. Żeleński-
Boy

– Pojedyńki urągają rozsądkowi – mówi don Hermógenes. – To nonsens, nie ma w nich niczego dobrego, na Boga. Czasy oświecenia stoją w jawnej sprzeczności z takim sposobem rozwiązywania sporów. Nie wydaje się panom? Jest czystym szaleństwem sądzić, że może wyniknąć coś dobrego z zabijania bliźniego albo pójścia w zaświaty przez kaprys jakiegoś fircyka czy wypomadowanego mordercy... To absurd, by komuś, kto popełnił drobne głupstwo, dawać okazję do monstrualnej głupoty.

Bibliotekarz jest oburzony, a pozorna obojętność don Pedra porusza go jeszcze bardziej. We trójkę idą brzegiem Sekwany przy świetle rozplamionego zachodniego nieba, które barwi na czerwono fasadę Luwru po lewej stronie. Przy kamiennych barierach nad rzeką sprzedawcy i bukiniści zbierają swój towar i zamykają stragany.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że pan, drogi admirale...

– To nie jego wina – wtrąca się Bringas pojednawczo. – Nie miał wyboru.

– Ale przecież o pojedynkach rozmawiałem z nim wiele razy. I zawsze był im przeciwny, używał wielu rozsądnych argumentów. To zacofanie i barbarzyństwo, mówił. A teraz nagle zgadza się tak spokojnie, żeby się bić, bez słowa sprzeciwu... Co go ugryzło?

– Nie mogłem odmówić – wyjaśnia admirał po długim milczeniu.

– Taka jest prawda – stwierdza Bringas.

Jednak don Hermógenes nie daje się przekonać.

– Oczywiście, że mógł... Trzeba było powiedzieć, że to głupota, i pokazać plecy tym ludziom. Kropka. Uznać to za żart i odrzucić wszelki przymus. Bo pojedynek tym właśnie jest: przymuszaniem człowieka do porzucenia rozsądku.

Don Pedro słabo się uśmiecha, z dystansem, jakby zatopiony w myślach o czymś innym.

– Nie wszystko w życiu jest racjonalne, don Hermesie.

Bibliotekarz patrzy na niego w osłupieniu.

– Zdumiewa mnie pan. Na Boga, wcale pana nie poznaję... Coś takiego. Nigdy bym nie pomyślał, że pan, zawsze zachowujący zimną krew...

Przerywa i pozostaje z otwartymi ustami, kręcąc głową, w poszukiwaniu odpowiednich argumentów. W końcu unosi ramiona, po czym opuszcza je bezsilnie.

– Absurd, absurd – powtarza. – To jest absurdalne i niezrozumiałe u człowieka o pańskich zaletach.

– A ja tymczasem rozumiem, że pan admirał ma swoje powody – wtrąca się Bringas. – Byłoby trudno odmówić w tej sytuacji, kiedy dama była świadkiem... To wykorzystał ten łotr Coëtlegon. – W tym momencie zwraca się do don Pedra uroczyście: – Bo pańskie powody...

– Moje powody to moja sprawa – przerywa mu admirał, nagle oschły.

– No cóż, skoro tak – wycofuje się kleryk – to przepraszam.

Dotarli na wysokość Pont Neuf pełnego pojazdów i przechodniów. Pomiędzy nabrzeżami des Orfèvres i Morfondus widać plac Dauphine, na którym mrowią się tłumy załatwiający ostatnie sprawunki. Pod filarami

mostu gasnące światło zachodu barwi na krwistoczerwony kolor wody Sekwany.

– Ci, którzy prowokują do pojedynku – oznajmia don Hermógenes – to mordercy gorsi od rozbójników na drogach i tak samo należałoby ich karać... W Hiszpanii, mimo jej wielu wad, tego się nie toleruje. Kary za pojedynkowanie się są bardzo srogie, łącznie z karą śmierci.

– A we Francji wszyscy przymykają na to oko – stwierdza Bringas. – Pojedynek to towarzyski obyczaj. Tutaj ludzie biją się o byle co.

– Przynajmniej pod tym względem my, Hiszpanie, aż takimi barbarzyńcami nie jesteśmy.

Pozostawiwszy w tyle rzekę i zachód słońca, skręcają w lewo i przechodzą w obszar mroku, gdzie w podcieniach, sklepach i domach zaczynają się pojawiać pierwsze światła. Bringas mówi z sarkazmem:

– Paradoks polega na tym, że tutaj podchodzi się do tej sprawy inaczej. Uważa się pojedynek może za haniebną, jednak wytworny produkt cywilizacji: walczy się bowiem z godnością, a nie jak pospolity plebs... Cały ceremoniał pokazuje, że jest on właściwy tylko elitom. To tyrański obyczaj do tego stopnia zakorzeniony wśród najwyższych klas, że nawet sędzia, który skazuje pojedykowicza, o ile ten wywodzi się z dobrej rodziny, właściwie popiera jego zachowanie i znajduje wszelkie możliwe okoliczności łagodzące, by kara była jak najłżejsza.

– Ma pan rację – zgadza się don Hermógenes. – Jednak w przypadku admirała...

– Obawiam się, że tym razem pan admirał okazuje, iż należy do systemu. Przyjmuje go, więc staje się współwinny. Choć jest wykształcony i oddaje cześć rozumowi, staje się więźniem sprzeczności. Nie może zaprzeczać własnej kondycji marynarza i dżentelmena. W rzeczywistości jest jednym z nich.

Bibliotekarz odwraca się do don Pedra z twarzą pełną obaw.

– Na Boga, admirale. Niechże pan coś powie... Niech się pan broni.

Ten zaś, idąc w milczeniu i machając z roztargnieniem laską, robi wymijającą, posępną minę.

– Co miałbym powiedzieć, pana zdaniem?

Bibliotekarz staje, biorąc się pod boki.

– Jak to? Tak pan to zostawi, bez słowa?

Admirał wzrusza ramionami także się zatrzymując.

– Nieco racji ma pan kleryk – przyznaje.

Bringas rozpromienia się na te słowa.

– No jasne, że mam rację – podnieca się zwycięsko. – Pojedynek służy systemowi społecznemu, wzmacnia określone przywileje... Przeciwnicy w gruncie rzeczy uważają się za współbrońców swojej wyższej klasy w świecie filistrów. Pojedynek stawia ich ponad resztą ludzi, rozumie pan?

– Nigdy na to nie patrzyłem w ten sposób – przyznaje skromnie don Hermógenes i cała trójka rusza znów przed siebie.

– To niech pan popatrzy... Szczyt elegancji polega na tym, że dwaj dżentelmeni mogą się spokojnie nawzajem pozabijać zgodnie z protokołem przyjętym przez im równych. I choć wydają się przeciwnikami, w rzeczywistości są współnikami... Styl życia arystokracji i tych, którzy ją naśladowają, skrywa pod feudalnymi manierami pogardę dla nas, nie należących do ich klasy i nie dzielających ich idiotycznych kodeksów.

Bringas wydaje się zachwycony sobą. Unosi palec w apokaliptycznym geście, wskazując na pociemniałe już niebo, jakby wzywał je na świadka albo uważał za winne wszystkiego.

– Przystarzała klasa, pasożytnicza i niezdolna do niczego, uczyniła z pojedynku symbol – ciągnie w tym samym tonie. – Imitatorzy

i parweniusze wzmacniają ten mit i tak będzie, dopóki opinia publiczna nie uzna pojedynku za coś złego, szkodliwego albo żalospnego... Lub też dopóty, i to nastąpi szybciej – tu wtrąca złowrogi chichot – fale Morza Czerwonego nie zamkną się nad hufcami faraona.

– Jeśli społeczeństwo byłoby rozsądne – stwierdza don Hermógenes – pojedynkowie zniknąłby razem z tym stuleciem, bo to jedna z tych spraw, co do których zgadzają się oświecenie i religia... Pojedynkowie stawia siebie ponad prawem i udowadnia, że duma jest dla niego ważniejsza niż jakakolwiek władza, czy to boska, czy ludzka...

Na rogu rue de la Chaussetterie pracownik służb miejskich zdejmuje latarnię ze słupa i rozpala w niej płomień. Potem znów ją unosi, przy czym świeży płomień tańczy w lampie olejowej, pobłyskując. Cała trójka mija porządkowego, admirał idzie nieco z przodu, posepnie, a Bringas i bibliotekarz kroczą za nim, zajęci dyskusją.

– Problem powinien być rozwiązany poprzez rozmowę – stwierdza bibliotekarz. – Albo w jakiś inny sposób. I tu zazdroszczę prostemu ludowi, który w swojej elementarnej brutalności załatwia sprawy przy użyciu pięści.

– Albo noży – sarkastycznie precyzuje admirał, nie odwracając się.

– Pięści i noże pozostawia się niższym klasom – zauważa Bringas z goryczą. – Są nieeleganckie, rozumieją panowie? Do pojedynku trzeba wymienić się kartami wizytowymi, mianować sekundantów i być przygotowanym, by skrzyżować szpady albo strzelać do siebie, zachowując cały ten śmieszny rytuał uprzejmości.

– Czy to ja jestem tym sekundantem? – niepokoje się don Hermógenes, jakby dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

– Jasne, że jest nim pan – kpi sobie Bringas. – Chyba nie zamierza się pan z tego wykręcić?

Bibliotekarz zastanawia się przez chwilę, zakłopotany, po czym przeczy ruchem głowy.

– Nie ma mowy. – Znow się zastanawia i jeszcze raz przeczy: – Nie zamierzam grać podobnej roli w tym barbarzyństwie.

– Pan nie może zrezygnować, prawda, admirale? – Bringas wydaje się dobrze tym wszystkim bawić. – Choć pana to brzydzi, nie może się pan wycofać. To pułapka saduceuszy.

– Obawiam się, że pan kleryk ma rację – mówi don Pedro.

– Pewnie, że mam! – potwierdza Bringas. – Pana obowiązkiem będzie dbałość o to, by gra była czysta, a szanse równe. I tu mamy kolejną pułapkę: pana własne poczucie przyjaźni zmusza pana do udziału w całej sprawie. Jako sekundant będzie pan musiał wspólnie z Laclosem ustalić godzinę, miejsce, broń... A na miejscu pan właśnie będzie zmuszony upewnić się, czy żaden z pojedyńkowiczów nie ma bezprawnej przewagi – czy szpady są równej długości, słońce nikogo nie razi, ziemia jest w równym stopniu wilgotna lub sucha... Widzi pan, jak pana potrzebuje don Pedro? Sekundanci sprawdzają strój walczących, czy nie ukryli pod nim ochraniaczy, pomagają im we wszystkim i zajmują się nimi, kiedy zostają ranni lub zabici... – akcentuje z rozkoszą zwłaszcza ostatni wyraz. – A także próbują pogodzić przeciwników na chwilę przed walką, choć to zazwyczaj czysta formalność.

– A czasem sekundanci walczą między sobą – dodaje admirał w tonie ponurego żartu.

Don Hermógenes podskakuje w miejscu i robi znak krzyża.

– Chryste Panie!

W tej dzielnicy po zmroku miasto już ucichło. Teraz tylko światła zapalone w niektórych sklepach i latarnie płonące co kawałek wzdłuż drogi rozpraszają ciemność. Trzeba by zjeść kolację, proponuje Bringas. Dla

uspokojenia żołądka i myśli. Akurat, dodaje, tu niedaleko jest dobry lokal, przy rue des Deux-Écus, gdzie pieką soczyste plastry mięsa szwajcarskich wołów.

– Wszystko wygląda lepiej – mówi niemal filozoficznie – kiedy człowiek ma pełny żołądek.

Idą w stronę Les Halles, o tej porze niezwykle spokojnych. Bringas głodny, admirał obojętny i don Hermógenes rozmyślający nad pojedynkiem.

– Rodziny w ruinie – ubolewa bibliotekarz – osierocone dzieci, owdowiałe kobiety... Wszystko przez to przeklęte słowo „honor”, które właściwie nikogo nie obchodzi. A rozsądek nazywa się tchórzostwem.

– Nie o to chodzi – mruczy pod nosem don Pedro, jakby mówił do siebie.

– Nie?

– Może nie całkiem.

Don Hermógenes przygląda mu się ze smutkiem. Rysy twarzy idących stają się niemal niewidoczne, kiedy są daleko od światła. Przez to wysoka i szczupła postać admirała wydaje się szczególnie samotna.

– Gdybym to ja rządził – mówi bibliotekarz – jeśli ktokolwiek zaproponowałby pojedynek, w jednej chwili zostałby skazany na banicję. Zabity w pojedynku skończyłby wystawiony pod pręgierzem, a ten, kto by zabił, szedłby do więzienia bez zbędnych formalności.

– Gdzie pańska zwykła dobroć, don Hermesie? – niepokoje się z kpina admirał.

– Niech pan zostawi na boku sofizmaty, drogi przyjacielu. Trzeba umieć rozróżniać sprawy. I tak jak mówię, kto by się pojedynkował, kończyłby w więzieniu.

– Albo z powrozem na szyi – sugeruje Bringas.

– Jestem przeciwny karze śmierci, mój panie.

– A moim zdaniem to bardzo higieniczny społeczny instrument, jeszcze czas to pokaże. Zarówno dla tych, którzy się biją, jak i dla tych, którzy tego nie robią.

Zatrzymali się przed jadłodajnią – ciemnym lokalikiem z lampą słabo oświetlającą głowę wołu namalowaną na drzwiach dla zachęty.

– W każdym razie – mówi admirał z rozmysłem – pod jednym względem trzeba być wdzięcznym Francuzom za to, że lubią się bić. Dzięki pojedyńkom, albo nawet samej świadomości, że człowiek może do nich doprowadzić, we Francji panuje prawdziwa grzeczność... Być może hiszpańskie grubiaństwo bierze się z bezkarności.

– Czy pan żartuje? – pyta bibliotekarz.

– Ani trochę... Albo nie całkiem.

– Mój Boże, drogi przyjacielu. – Don Hermógenes kładzie dłoń na ramieniu swojego towarzysza. – A jeśli pana zabiją?

– Będzie pan musiał samodzielnie szukać *Encyklopedii*.

Bringas prostuje się melodramatycznie i uroczyście.

– W takim przypadku będzie pan mógł liczyć na mnie. Do usług.

– Widzi pan? – Don Pedro wskazuje kłeryka bibliotekarzowi ironicznym ruchem głowy. – Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Będzie pan miał jego.

– Nie widzę w tym nic zabawnego. Ciągle nie rozumiem...

– Czego pan nie rozumie?

– Zmiany pańskiego zachowania, jak mówię. Pańskiej niesłychanej gotowości.

Światło nad drzwiami oświetla słaby, smutny uśmiech admirała. Nagle wydaje się, że między nim a don Hermogenesem wyrósł mur.

– A nie pomyślał pan, że może mam ochotę się bić?

Pojedynek w Paryżu nieco mnie zaskoczył, bo nie było o nim ani słowa w dokumentach zredagowanych przez sekretarza Palafoxa, które przeglądałem na samym początku. Ani Víctor García de la Concha, ani don Gregorio Salvador, ani żaden z akademików, których o to pytałem, nikt nie potrafił tego potwierdzić. Jednak list znaleziony pośród uzupełniającej dokumentacji, jaką przekazał mi José Manuel Sánchez Ron, nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Karteczka skreślona ręką don Hermogenesa Moliny, dzięki której dowiedziałem się o tej sprawie – przedostatnia wiadomość, jaką bibliotekarz napisał z Paryża – była oszczędna w szczegółach. Być może istniał inny, bardziej precyzyjny list, ale w takim przypadku został zniszczony, założyłem, żeby uniknąć kwestii odpowiedzialności i kompromitacji. Co do zachowanego dokumentu, na początku wydawało mi się, że źle go interpretuję z powodu niewyraźnego charakteru pisma don Hermogenesa, jednak ponowna lektura upewniła mnie w zasadniczej sprawie: doszło do pojedynku. W wiadomości, napisanej już po walce admirała z Coëtlegonem, odnoszono się do tego faktu poprzez odpowiednie omówienia; to logiczne, że została zachowana dyskrecja, ponieważ zarówno we Francji, jak i w Hiszpanii Karola III taki czyn stanowił ciężkie przestępstwo:

Kłopotliwe zdarzenie zaszło z powodów honorowych, mające poważne konsekwencje, które poza narażeniem na niebezpieczeństwo życia mojego towarzysza, stawia nas w trudnej sytuacji...

To wszystko. Albo prawie. Rekonstrukcja scenerii i pozostałych wydarzeń, jakie rozegrały się tamtego dramatycznego dnia w Paryżu, przebieg wstępu i rozwiązania, to wszystko należało do mnie. Żeby podejść

do sprawy z niezbędną dokładnością, odwołałem się do kilku tekstów, a także odświeżyłem starą znajomość szermierki, którą wykorzystałem już dwadzieścia kilka lat wcześniej, kiedy pisałem swoją powieść *Pchnięcie szpadą*. Kilka dawnych traktatów, takich jak ten autorstwa mistrza Guzmána Rolando – w moim egzemplarzu były jeszcze podkreślenia ołówkiem od poprzedniego razu, kiedy z nim pracowałem – pozwoliło mi przypomnieć sobie podstawową wiedzę. W kwestii protokołu dotyczącego pojedynków opierałem się na licznych dziewiętnastowiecznych podręcznikach z mojej biblioteki, łącznie z *Włoskim kodeksem honorowym* Gellego; choć pochodziły one z czasów późniejszych niż epoka, w której toczy się akcja powieści, to zwyczaje obowiązujące podczas rozwiązywania spraw honorowych niewiele się zmieniły w ciągu stulecia. Wróciłem też do powierzchniowych lektur Casanovy, Restifa de La Bretonne, Choderlosa de Laclos – zabawne było umieszczenie autora *Niebezpiecznych związków* w roli sekundanta tego pojedynku. To wszystko pozwoliło mi osadzić całą rzecz w atmosferze tamtej epoki. W ten sposób rozwiązałem stronę techniczną: od zwyczajów i protokołu po przebieg i lokalizację walki, której opis znalazłem w dzienniku Szwajcara Ferdinanda Federiciego – *Flagrants délits sur les Champs-Élysées* – szefa strażników w tej często wykorzystywanej do takich celów, z powodu oddalenia, okolicy wybranej przez pojedynkowiczów.

Dialogi postaci, punkty widzenia, sprzeczność pomiędzy potępieniem honorowych potyczek przez ludzi oświecenia a rzeczywistością we Francji i Hiszpanii dostarczyły mi dodatkowej pracy. Spojrzenie na tę sprawę oczami admirała, bibliotekarza i kleryka Bringasa wymagało takiego rozeznania problemu, jakiego nie można zdobyć, używając dzisiejszej perspektywy. Świadomość ryzyka oceny przeszłości według współczesnych zasad etycznych skłoniła mnie do zagłębienia się – zanim zacząłem tworzyć

dialogi i opisy sytuacji – w rzeczywistą psychologię pojedyńkowniczą i w świat tamtej epoki. I znów bardzo mi w tym pomogły książki. Jedną z nich była praca *Pojedynek w historii Europy* autorstwa Kiernana, która pomimo mętnej struktury i nadmiernego anglocentryzmu dostarczyła mi użytecznych myśli, w jakie wyposażylem don Hermogenesa i kłeryka Bringasa. Również bardzo pomocny był esej *Pojedynek w dziełach oświeceniowych akademików* napisany przez moją koleżkę z Hiszpańskiej Akademii Królewskiej Santiago Muñoz Machado, gdzie mile zaskoczyło mnie odnalezienie nazwiska don Hermogenesa Moliny w związku z broszurą, jaką bibliotekarz napisał na ten temat – *O przebrzmiałych ideałach honoru i inne refleksje moralne* – niedługo po swoim powrocie z Paryża. Co do refleksji moralnych i wewnętrznych rozterek don Pedra Zárate, normalnych u kogoś, kto tak jak admirał przeżył intelektualną fascynację oświeceniem, nie wyzbywając się jednak pewnych tradycji i odruchów zakorzenionych w staroświeckim pojęciu honoru, postanowiłem oprzeć się na przemyśleniach innego człowieka z czasów hiszpańskiego oświecenia, Gaspara Melchora de Jovellanos – to trzecia postać, której cień jest stale obecny w tej opowieści, obok Cadalsa i Moratina – jakie zawarł w całej swojej twórczości, a zwłaszcza w sztuce teatralnej *Honorowy przestępca*, gdzie właśnie opisuje rozterki i wyrzuty sumienia człowieka o liberalnym sposobie myślenia zmagającego się z pojęciami honoru i winy.

Pozostawało mi jeszcze przed przystąpieniem do opisu okoliczności pojedynku don Pedra z Coëtlegonem ustalenie istotnego szczegółu: do jakiego stopnia mężczyzna o dobrym zdrowiu i pełen wigoru, w wieku około sześćdziesięciu dwóch, trzech lat – nie dziś, ale pod koniec osiemnastego wieku – był w stanie walczyć na szpady z kimś od siebie młodszym. Rozumiejąc motywy, jakie skłoniły admirała do odrzucenia

pistoletów – to fakt, że w słabym świetle poranka wzrok sześćdziesięciolatka mógł splatać śmiertelnego figła – należało sprawdzić, jak czułby się ktoś w tym wieku ze szpadą czy floretem w dłoni. Poprosiłem więc mojego przyjaciela, pisarza, dziennikarza i szermierza, Jacinta Antona, by mi pomógł odświeżyć zakurzone florety – od dwudziestu dwóch lat nie było mnie na planszy w sali ćwiczeń – i spróbować własnych sił, czyli w tym przypadku sił admirała. Zamierzałem podzielić się z nim własnymi możliwościami.

Jacinto zmiażdżył mnie. Osiem trafień w pierwszych starciach, które miały miejsce w sali Jesusa Esperanzy, znajdującej się zaraz za królewską Akademią. Po takim wstępie, rozumiejąc, że nie ma co starać się atakować, bo różnica wieku każdego z nas sytuowała na innej pozycji, postanowiłem przyjąć postawę obronną klasycznej szermierki, czekając na atak, zamiast samemu go stosować. Walka taką metodą poszła mi lepiej, już bardziej udawało mi się wyrównać szanse, niewiele ryzykując i znacznie mniej się męcząc; na koniec Jacinto, agresywny i zdenerwowany dobry szermierz w formie, zebrał kilka trafień, które mogłyby dopiec Coëtlegonowi podczas walki o honor. Zdjąłem więc maskę mniej więcej zadowolony. Było możliwe, przynajmniej w pewnym stopniu, by admirał przeżył walkę z młodszym przeciwnikiem.

Jacinto jest wspaniałym człowiekiem – lojalnym, oczytanym, wykształconym; wiele podróżował. Jego wrodzona dobroć, na dodatek zabarwiona pewną odważną naiwnością – w końcu Jacinto jest specjalistą od awanturników i obieżyświatów wszelkiej maści, od Lawrence’a z Arabii przez Ruperta de Hentzau po znakomitych fikcyjnych zabijaków – mogłaby doskonale charakteryzować don Hermogenesa w tej powieści. Z maską szermierczą pod pachą, z twarzą pokrytą kropelkami potu, zapytał mnie, czy jestem zadowolony.

– Bardzo – odpowiedziałem ze śmiechem. – Nadal żyję.

– To jasne, że jeśli twój bohater chce ująć z życiem, musi walczyć defensywnie – stwierdził. – W pewnym wieku próby ataku osłabiają i bardzo męczą szermierza.

Trudno byłoby mi się nie zgodzić. Sam właśnie aż nadto dobrze to rozumiałem.

– Masz rację. Po kilku pierwszych minutach ramię ciążyło mi, jakby floret był z ołowiu. – Dotknąłem piersi pod plastronem. – A twoje trafienia zmasakrowały mnie.

– Mimo wszystko jesteś w formie... Czy ten admirał też był sprawny?

– Mniej więcej. Biorąc pod uwagę, jak w tamtych czasach ludzie się starzeli, możemy uznać, że jak na swój wiek dobrze się trzymał.

– Ja wybrałbym pistolet, gdybym był dobrym strzelcem.

– Myślę, że dobrze strzelał, ale martwił go wzrok. Sam wiesz, jak to bywa w świetle poranka.

Jacinto zgodził się ze mną.

– No tak, pewnie. To normalne... Wiedziałeś, że Blasco Ibáñez, ten powieściopisarz, pojedykował się na pistolety?

– Nie wiedziałem.

– Tak było. W latach dwudziestych. Z odległości dwudziestu pięciu kroków i *à outrance*, jak to wtedy mawiano... Wiesz, że Blasco był republikaninem; został wyzwany na pojedynek przez pewnego wojskowego. Chybił dwukrotnie, a jego przeciwnik postrzelił go w brzuch, ale tak szczęśliwie, że kula trafiła w pasek od spodni pisarza. I na tym to się skończyło.

Zdjęliśmy plastrony, poszliśmy przemyć twarze. Jacinto, zawsze dokładny, był bardzo zainteresowany szczegółami technicznymi.

– Twój akademik walczył szablą, szpadą czy floretem?

– Myślę, że szpadą. Taką lekką i cienką, jakich wtedy używano.

– Ach, masz na myśli szpadę spacerową. Szpada pojedynkowa, o trójkątnym przekroju i z francuską rękojeścią, zyskała popularność trochę później. Czyli to był jakby floret, miał około osiemdziesięciu centymetrów klingi. Myślę, że to lepiej dla twojego admirała... Jak się skończył ten pojedynek?

Uśmiechnąłem się, ocierając twarz ręcznikiem.

– Jeszcze nie wiem.

– Daj spokój. Mam nadzieję, że wygra.

Wyobraziłem sobie admirała, chudego i wysokiego, jak stoi wyprostowany ze szpadą w ręce o świcie na łące. I don Hermogenesa, jak z przerażeniem patrzy na niego.

– Też mam taką nadzieję.

Choć wybiła dwunasta w południe i jest to obiad, don Pedro Zárate – który płaci z własnej kieszeni, jak niemal zawsze – nazywa go z dozą czarnego humoru „ostatnią wieczerzą”. Razem z don Hermogenesem i klerykiem Bringasem zajmują stolik w jednym z salonów restauracji hotelu d’Aligre, znajdującego się w samym środku rue Saint-Honoré, w lokalu o podwójnej funkcji, gdzie z jednej strony oferuje się sprzedaż na wynos wyboru najlepszej francuskiej kuchni – są tam lady z serami i wędlinami, słoiczki musztardy, wiszące szynki tworzące medaliony o niemal artystycznych pretensjach – a z drugiej strony mieści się tu ekskluzywna restauracja odwiedzana przez klientelę, która może sobie pozwolić, żeby zapłacić dwanaście franków za nakrycie. Ale to dzień szczególny i trójka gości nie wie, czy admirał będzie nazajutrz żył. Menu, które zostało zaszczytnie wybrane – i podlane jedną butelką wina z Chambertin i drugą z Laffitte – spełnia wymagania odpowiednie dla tych

szczególnych okoliczności. Podano: pasztet z pulardy z truflami Le Sage, pstrąga z Jeziora Genewskiego, czerwoną kuropatkę z Quercy i kiełbasy ze Strasburga, gorąco polecane przez kleryka Bringasa, ponieważ – jak utrzymuje – zapobiegają skorbutowi, oczyszczają krew i zdrowo niwelują humory.

– Rzecz odbędzie się o siódmej za placem Gwiazdy, dwieście kroków za kawiarnią znajdującą się na końcu Pól Elizejskich – opowiada don Hermógenes. – Coëtlegon przyjedzie wynajętym fiakrem ze swoim sekundantem, a my pojedziemy naszym powozem.

– Każdy z walczących będzie miał dwóch sekundantów – dodaje admirał.

– Tak, kleryk i ja będziemy z panem. Laclos i ich drugi przyjaciel staną po jego stronie... Woleliśmy, żeby wszystko odbyło się w sposób dyskretny, tak by całej sprawie towarzyszyło jak najmniej hałasu.

Admirał uśmiecha się kpiąco.

– Widzę, że jest pan, don Hermesie, bardzo skuteczny... Można powiedzieć, że stara się pan ułatwić mi *exitus* zgodnie ze wszystkimi przepisami.

Bibliotekarz jest oburzony, odkłada na talerz widelec z kawałkiem kiełbasy, który już miał podnieść do ust.

– Na Boga! Jakże panu mogło przyjść do głowy coś takiego? Ja...

– Przecież żartowałem. Niech się pan nie złości, proszę jeść.

– Jakże mam się nie złościć? I jak mam cokolwiek przełknąć, słysząc podobne rzeczy? A jeśli to był żart, to wcale nie zabawny, admirale. W najmniejszym stopniu.

– Przepraszam, zgoda. – Nie przestając się uśmiechać, admirał pije kolejny niewielki łyk wina. – Czy wie o tym ambasada?

– Jezu Chryste, mam nadzieję, że nie... Choć chciałbym, żeby się o tym dowiedzieli i by zapobiegli temu barbarzyństwu.

Admirał spoważniał. Patrzy teraz na niego surowo.

– Proszę dopilnować, by tak się nie stało.

– Może pan być spokojny. – Don Hermógenes przełyka ślinę. – Dałem panu słowo. O sprawie wiedzą tylko bezpośrednio zaangażowani.

Don Pedro odwraca się do Bringasa.

– A pan, kleryku?

– Trzymam język za zębami, proszę być spokojnym – mówi z pełnymi ustami, przeżuając. – Za nic w świecie bym tego nie przepuścił.

Bibliotekarz patrzy na niego z naganą.

– Wydaje się, jakby cieszył się pan na myśl, że admirał i Coëtlegon pozabijają się wzajemnie... Choć wczoraj słyszałem, jak zawzięcie krytykował pan pojedynki.

– To nic osobistego – odpowiada Bringas, nie zmieniając wyrazu twarzy. – Szanuję pana admirała, to oczywiste, natomiast Coëtlegon wydaje mi się fircykiem i idiotą. Moja satysfakcja bierze się z czegoś bardziej złożonego.

– Rozumiem – zgadza się admirał.

Don Hermógenes, zdumiony, patrzy to na jednego, to na drugiego.

– A ja niczego nie rozumiem – stwierdza.

– Pan kleryk odnosi się do konceptualnego aspektu sprawy – wyjaśnia admirał. – Z tego punktu widzenia nie czuje żalu, że my, głupcy, padamy ofiarą naszej głupoty. I ma rację.

Bringas protestuje, kładąc rękę na łacie kamizelki, znajdującej się na wysokości jego serca.

– Nigdy bym nie śmiał...

– Niech pan o tym nie myśli. – Admirał zwraca się do don Hermogenesa: – Kto jeszcze będzie obecny?

– W trzecim powozie pojedą lekarz i kierownik pojedynku. Do tej roli Laclos zaproponował monsieur Bertenvala, encyklopedystę i osobę zaufaną. Uznałem, że to dobrze.

– Też tak uważam. To bardzo uprzejme z jego strony, że zgodził się uczestniczyć.

– Nie mógł odmówić koledze akademikowi, powiedział.

– Pewnie – mówi Bringas złośliwie. – A sobie przyjemności patrzenia, jak wzajemnie wypruwacie sobie flaki.

Don Hermógenes przygląda mu się posępnie. Potem patrzy na swój opróżniony w połowie talerz i odstawia go z miną, jakby stracił apetyt.

– Trzeba zwrócić uwagę na obuwie – mówi nieśmiało. – O tej porze trawa na łące będzie mokra. Możliwe, że śliska.

– Wezmę to pod uwagę – odpowiada admirał bez mrugnięcia okiem. – Jaką bronią walczymy?

– Dwie identyczne krótkie szpady. Należą do Coëtlegona, który wie, że nie mamy ze sobą broni, więc oddaje nam ją do dyspozycji. Znalazłem taką – albo bardzo podobną – szpadę, żeby dziś po południu mógł pan nieco poćwiczyć... W każdym razie powinien pan mnie posłuchać i pójść do sali ćwiczeń, żeby rozgrzać ramię. I przypomnieć sobie sposoby atakowania, zatrzymywania pchnięć i inne stare sztuczki.

– Nie ma potrzeby. Od czasu do czasu ćwiczę w Madrycie w Klubie Wojskowym. A starych sztuczek jeszcze nie zapomniałem. Zwłaszcza tej najważniejszej w moim wieku: osłaniać się i cierpliwie czekać, aż przeciwnik popełni błąd.

– Mam nadzieję, że zabije pan tego osobnika – mówi Bringas, nie przestając przeżuwać. – Jego oraz perwersję, arogancję i zło, jakie uosabia.

– Jeśli tak panu na tym zależy – zarzuca mu don Hermógenes – sam pan mógł go wyzwąć na pojedynek.

Bringas z widelcem w górze odchyła się na oparcie krzesła i patrzy z pogardą na bibliotekarza.

– Moją specjalnością, proszę pana, nie są szermierka ani pistolet. Są nią proroctwa, na razie metaforyczne, szafotu dla tyranów i ich lokajów, straszliwego gromu historii. A moją broń stanowi jedynie siła mego pióra: *Longa manus calami* i tak dalej. Sami panowie wiedzą... Swoją drogą, te kiełbaski są znakomite.

Don Hermógenes przestaje go słuchać. Odwraca się do admirała ze szczerym lękiem wymalowanym na twarzy.

– Myśli pan, że uda nam się wyjść z tego cało?

Don Pedro znów uśmiecha się serdecznie.

– Jestem panu wdzięczny za tę liczbę mnogą, don Hermesie. Ale prawda jest taka, że sam nie wiem. W tych sprawach liczy się nie tylko zręczność. Także szczęście gra tu pewną rolę.

– Do licha. Chciałbym tak jak pan zachowywać zimną krew. Wygląda tak, jakby wcale panu nie zależało.

– Ale zależy mi. Nie mam żadnego interesu, żeby umrzeć jutro rano. Myślę przede wszystkim o moich siostrach... Jednak są sprawy, których nie da się przewidzieć. Istnieją pewne reguły.

– Reguły absurdalne, admirale. Honor...

– Nie mam na myśli reguł tego rodzaju. Mówię o sprawach bardziej intymnych. Prywatnych.

Zapada cisza, przerywana tylko mlaskaniem kleryka. W restauracji przyjemnie pachnie przyprawami, wędlinami i peklowanymi potrawami, co wyostrza zmysły. Jednak admirał ledwo spróbował jedzenia, a don Hermógenes już więcej nie ruszył niczego na talerzu. Tylko Bringas jest

w swoim żywiole, je za wszystkich. Bo ta restauracja nie ma nic wspólnego, powiedział, kiedy zamawiali dania, z nędzną gospodą przy rue des Mauvais-Garçons, gdzie jada byle co, w otoczeniu robotników i handlarek rybami, za sześć cholernych solidów, kiedy może sobie na to pozwolić.

– Jest jeszcze jedna sprawa – mówi bibliotekarz ostrożnie, jakby długo się zastanawiał, zanim poruszy ten temat. – Potrzebne są dwa listy, jeden podpisany przez Coëtlegona, a drugi przez pana, które zostaną użyte w razie konieczności w celu oczyszczenia z win tego drugiego... Napiszecie w nich panowie, że sami sobie wyrządziliście ewentualną krzywdę i nikt nie powinien być o to oskarżony.

Admirał potakuje obojętnie.

– Napiszę ów list dziś wieczorem.

Don Hermógenes kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli to pan będzie tym, ekhm, nieszczęśnikiem, to ten, kto przeczyta pański list, pomyśli, że popełnił pan samobójstwo?

– I co z tego?

– To nie jest chrześcijański koniec, drogi przyjacielu.

– Nigdy nie miałem zamiaru skończyć po chrześcijańsku.

Bringas przerywa na chwilę jedzenie, spogląda na admirała i z aprobatą pochyla głowę.

– Przynosi to panu zaszczyt. Nie spodziewałem się niczego innego.

Don Hermógenes nie podziela satysfakcji kleryka.

– Przykro mi słyszeć te słowa. Być może w ostatniej godzinie...

Admirał patrzy na niego z niezwykłą oschłością.

– Jest panu przykro, ale liczę, że uszanuje pan moją wolę. Jeśli jutro rano okaże się, że mam w piersi kilka cali stalowego ostrza, nie chciałbym mojego ostatniego tchnienia marnować na posyłanie do diabła spowiednika, którego mógłby mi pan sprowadzić... Czy to jasne?

– Jak najbardziej.

Rozmowę przerywa Pontaillé, właściciel restauracji, który przynosi im zalakowaną kopertę. Właśnie przyszedł, mówi, lokaj w liberii z bilecikiem dla panów, a właściwie konkretnie dla admirała don Pedra Zárate. Posłaniec przybył z hotelu Cour de France przy rue Vivienne, ponieważ wskazano mu, gdzie adresat je obiad.

– Proszę mi to podać – mówi admirał.

Bringas i bibliotekarz patrzą na niego z ciekawością, kiedy łamie pieczęć i czyta, choć jego twarz pozostaje bez wyrazu i niczego nie zdradza. W końcu don Pedro składa papier i chowa go do rękawa żakietu. Potem wyjmuje z kieszeni kamizelki zegarek, otwiera wieczko i sprawdza godzinę.

– Proszę o wybaczenie dziś wieczorem. Po obiedzie będę musiał załatwić pewną sprawę.

– Coś poważnego? – niepokoii się don Hermógenes.

– Tego nie wiem.

– Coś osobistego?

Admirał, nie mrugnawszy nawet okiem, wytrzymuje jego spojrzenie.

– Tak sędzę.

Rue Saint-Honoré nie jest Wersalem, ale go przypomina, myśli don Pedro, idąc tą ulicą. Posiada ona własny dwór z powozami wszelkiego rodzaju, dobrze wyglądającymi spacerowiczami i paniami, które wchodzą do sklepów i z nich wychodzą. Można by powiedzieć, że ta tłumnie

uczęszczana arteria Paryża wraz z przyległymi ulicami składa się wyłącznie ze sklepów, a w labiryncie butików, perfumerii, kawiarni i luksusowych lokali zgubiło się pół miasta. Faubourg Saint-Germain, Chaussée d'Antin, Montmartre i Marais, jak opowiada kleryk Bringas, pustoszeją w ciągu dnia, bo znakomita część ich mieszkańców dociera tu pieszo, dorożkami, berlinami i kabrioletami, żeby pospacerować, zjeść, napić się kawy, zrobić zakupy albo popatrzeć.

Zwracając uwagę na numery budynków i wystawy sklepowe, admirał dociera do domu, którego szuka, mieszczącego się pomiędzy sklepem z tapetami a pracownią rękawicznika. Znajdujący się tam napis wywołuje uśmiech na jego twarzy: *Mlle Boléro, chapeaux à la mode*. Przy drzwiach znajduje się gablota ze wstążkami, pomponami, piórami, czepkami i wszelkiego rodzaju kapelusami. Don Pedro popycha drzwi, co uruchamia wiszący nad nimi dzwoneczek; zdejmuje nakrycie głowy i wchodzi do środka. Dźwięk dzwonka sprawia, że podnoszą na niego wzrok dwie dziewczyny, raczej ładne, ubrane według ostatniej mody w eleganckie kapelusze od mademoiselle Boléro. Szyją przy ladzie stroje dla lalek, które – jak sądzi admirał – wkrótce trafią do wszystkich europejskich stolic, od Madrytu po Konstantynopol i Sankt Petersburg.

– Dzień dobry.

Na spotkanie wychodzi mu kobieta w średnim wieku, o miłej twarzy. Jest ubrana w czarny jedwab, z dyskrecją, włosy ma zebrane na karku zgodnie z hiszpańskim zwyczajem.

– Moje nazwisko Zárate... Sądzę, że jestem oczekiwany.

Margot Dancenis siedzi przy ogrodowym stoliku w otoczeniu roślin na niewielkim patio zakrytym szklanym dachem. Na blacie stoi serwis do herbaty z delikatnej porcelany.

– Dziękuję, że pan przyszedł.

Don Pedro zajmuje jedno z krzeseł. Kiedy odwraca się do drzwi, zauważa, że kobieta, która go wprowadziła, już zniknęła.

– Moja dobra przyjaciółka – wyjaśnia madame Dancenis. – Hiszpanka, tak jak my. Od wielu lat robi dla mnie kapelusze. To zaufana osoba.

Admirał przygląda się swojej rozmówczyni. Jest ubrana w dopasowaną suknię o szerokiej spódnicy, z szarego jedwabiu haftowanego w maleńkie kwiatki, do tego założyła muślinową chustę, która na wpół zakrywa jej dekolt. Włosy ma zebrane pod czepkiem, który zachwycająco pasuje do słomkowego kapelusza o szerokim rondzie, bez wątpienia dzieła pochodzącego z pracowni mademoiselle Boléro. Wielkie ciemne oczy patrzą z troską na admirała.

– Chciałam pana zobaczyć przed tym, co ma się zdarzyć jutro.

Admirał uśmiecha się łagodnie.

– Jestem do pani dyspozycji.

– Coëtlegon nie jest zażartym pojedyńkowiczem ciągle szukającym zwady... To nie jest zły człowiek.

– Nigdy tak nie sądziłem.

Kobieta otwiera i zamyka wachlarz z masy perłowej z wymalowanymi kwiatkami i ptakami.

– Jest tylko zazdrosny.

Z twarzy don Pedra znika uśmiech.

– Nie ma powodu – mówi oschle.

– Nie, nie ma.

Krótką chwilą ciszy. W końcu madame Dancenis robi gest zniecierpliwienia.

– Ta jutrzejsza historia to jakiś absurd. Chcę temu zapobiec.

Znów cisza. Admirał nie znajduje właściwych słów, żeby odpowiedzieć, patrzy więc na dłonie kobiety: piękne, zadbane, z delikatnymi błękitnymi żyłkami damy z wyższych sfer.

– Coëtlegon jest zbyt dumny – mówi nagle kobieta. – I twierdzi, że został obrażony. Powiedział pan, że jest kłamcą.

– To logiczne – odpowiada spokojnie admirał. – Kłamał.

– Był zdenerwowany.

– Są różne sposoby przeżywania irytacji. Ten był niedopuszczalny.

Kobieta patrzy na niego na wpół błagalnie, na wpół kapryśnie.

– Czyżby nie było innego rozwiązania?

– Sądzę, pani Dancenis, że nie rozumiem.

– Proszę mi mówić Margot.

– Sądzę, Margot, że nie rozumiem.

Madame Dancenis podnosi dzbanek i nalewa parującej herbaty do dwóch filiżanek. Kiedy się pochyla, admirał czuje zapach jej perfum. Delikatny, płatków kwiatów. Róży.

– Czy nie mógłby pan dać mu jakiegoś rodzaju satysfakcji prywatnie i odwołać pojedyńku? Albo przeprosić go czy coś w tym stylu?

Admirał znów się uśmiecha, teraz melancholijnie.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Męska duma jest naprawdę żalosna...

– Przykro mi, pani Dancenis, że nie mogę spełnić pani życzenia.

– Margot, proszę pana.

– Margot.

Upija łyk ze swojej filiżanki i odstawia ją na spodek, jest zamyślona, otwiera i zamyka wachlarz, jakby sprawdzała stan całej konstrukcji.

– To ja jestem powodem – mówi cicho.

– Nie dla mnie.

– Dla was obu. To prawda, że pan tego nie chciał. Że jest pan niewinny.

Ale to ja jestem powodem. Coëtlegon bywa zazdrosny.

– Nie dała mu pani najmniejszego powodu.

Kobieta dotyka zamkniętym wachlarzem kącika ust.

– Tego nie jestem pewna.

Podniosła głowę. Patrzy mu w oczy.

– Poprosiłam, żeby pan tu przyszedł, bo czuję się odpowiedzialna.

Admirał, który wyciągał rękę po filiżankę z herbatą, cofa dłoń.

– Niechże pani wybije to sobie z głowy – mówi po chwili. – To jakieś głupstwo.

– Wcale nie. I chciałam panu powiedzieć, że doceniam pańską delikatność. Pana niezwykłą powściągliwość.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

Margot Dancenis znów przygląda się wachlarzowi.

– Czyli nic nie mogę zrobić, żeby zapobiec temu szaleństwu?

– Nie.

– On jest... Nie chciałabym pana urazić, admirale... Pana przeciwnik jest...

– Młody?

Don Pedro wziął wreszcie filiżankę i unosi ją do ust, widząc, jak kobieta kręci głową jakby ze smutkiem.

– Wszystko będzie tak, jak ma być – mówi admirał, odstawiwszy filiżankę.

– Obawiam się, że źle mnie pan zrozumiał. Pan nie jest... Słowo „stary” do pana nie pasuje.

Powiedziała to w uroczy sposób, z uśmiechem, który mógłby rozpuścić całą czekoladę przy rue Saint-Honoré. Don Pedro kręci się na krześle z zakłopotaniem. To nie jest normalne. Nie takie rzeczy zazwyczaj słyszy. Już od dawna nie.

– Czyli to prawda, że brał pan udział w bitwie pod Tulonem? – pyta kobieta naraz, dla kaprysu lub z innych pobudek.

– Tak.

– Czy ta walka była straszliwa?

– Raczej trudna, to bardziej odpowiednie słowo.

– Ten spektakl musiał wspaniale wyglądać.

– Raczej nie oglądałem spektaklu. – Admirał mruży oczy, jakby oślepił go odległy blask. – Byłem pod pokładem, dowodząc baterią dział na jednym ze statków. Przez to i przez dym niewiele mogłem zobaczyć. Krzyki, hałas, gorąco... To wszystko.

Kobieta wskazuje jego twarz wachlarzem.

– Czy ten ślad na pańskim czole pochodzi z tamtego dnia?

Admirał odruchowo i bez zastanowienia dotyka blizny.

– Tak.

– Odłamek?

– Drzazga.

– Mój Boże. – Wydaje się przerażona. – Mogła pana oślepić.

– Przesadza pani.

– Wcale nie. To byłaby wielka szkoda. Pan ma bardzo interesujące oczy. Zawsze takie były? Takie jasne, wilgotne i zimne?

– Nie pamiętam.

Długa przerwa. Oboje piją herbatę w milczeniu.

– Byłabym zapomniała – mówi kobieta powoli, jakby trudno jej było oderwać się od tego, o czym przedtem rozmawiali. – Mój mąż, który wyjechał do domu w Wersalu, żeby zająć się pewnymi sprawami niecierpiącymi zwłoki, poprosił, bym przekazała panu wiadomość.

Patrzy na nią zaskoczony.

– Czy on wie o jutrzejszej sprawie?

– Och, oczywiście, że nie. Staraliśmy się to przed nim ukryć. Byłby bardzo zmartwiony.

– Rozumiem... Jaka to wiadomość?

– Umarł pewien jego znajomy, prokurator Hénault, który podobnie jak mój mąż był zagorzałym bibliofilem. Posiadał on egzemplarz *Encyklopedii* w swojej bibliotece. Mój małżonek zna wdowę, kobietę, która nie potrafiła nigdy pojąć słabości zmarłego prokuratora. I jak mówi mój mąż, kiedy umiera bibliofil, po kilku dniach za zwłokami wynoszony jest księgozbiór... Przygotował dla panów list polecający na wypadek, gdybyście chcieli skontaktować się z wdową.

– Jestem bardzo wdzięczny. Proszę przekazać moje uszanowanie panu Dancenisowi.

– Rozumiem, że w tych dniach nie ma pan głowy do *Encyklopedii* ani niczego podobnego. Ale to jest jakaś możliwość. Jeśli jutro wszystko dobrze się ułoży...

– Dla kogo? – drwi don Pedro. – Dla pana Coëtlegona czy dla mnie?

Pani Dancenis wachluje się z rozmysłem figlarnie.

– Mam na myśli obu panów. Oczywiście. Nie chciałabym, żeby ktokolwiek został ranny. Powiedziano mi, że to walka do pierwszej krwi, mam nadzieję, że wszystko skończy się drobnym zadrażnieniem.

– Ja również mam taką nadzieję. Gdyby jednak stało się inaczej, proszę uwierzyć, że poznanie pani było dla mnie zaszczytem. I wielką

przyjemnością.

Madame Dancenis nagle poważnieje. Zamyka wachlarz i odkłada go na podółek.

– Czuję, że przez coś, co wydarzyło się w mojej obecności...

– Wszystko, co pani dotyczy, jest ważne.

Przygląda mu się z dwuznaczną niewinnością.

– Czy jest pan żonaty?

– Nie. Nigdy nie byłem.

– Nikt się panem nie zajmuje?

– Dwie niezamężne siostry.

W oczach kobiety błyskają iskierki rozbawienia. Spogląda niemal z czułością.

– To cudowne.

Patrzą na siebie. Margot Dancenis ma lekko rozchylone wargi, jakby oddychanie sprawiało jej pewną trudność. Wysmukła linia jej białej szyi gubi się pod muślinem na dekolcie, przywołując na myśl pięknego łabędzia. Na chwilę dotyka dzbanka z herbatą, po czym cofa rękę, jakby ze zdziwieniem zauważyła, że porcelana jest dla niej zbyt chłodna.

– Kiedy zdobędą panowie *Encyklopedię*, wyjadą z Paryża, jak sądzę. Pan i pański przyjaciel.

– Tak, jeśli stan zdrowia mi na to pozwoli.

– Niech pan nie żartuje w ten sposób. – W ciemnych oczach migocze inny już blask. – Proszę tak nie mówić. Jestem pewna, że...

– Byłoby mi przykro, gdybym miał już więcej pani nie zobaczyć.

– Mówi pan poważnie? Byłoby panu przykro?

Wygląda na zakłopotaną. Don Pedro nie odpowiada, tylko wytrzymuje jej wzrok.

– Coś takiego – mówi Margot Dancenis niemal szeptem.

Znów podnosi wachlarz. Rozkłada go i szybciej zaczyna się wachlować.

– Umówmy się tak, panie admirale. Kiedy ta kłopotliwa sprawa zakończy się w sposób satysfakcjonujący dla wszystkich, mam nadzieję, proszę przyjść do mnie na śniadanie.

– Nie rozumiem. – Teraz on wydaje się zaskoczony. – Obawiam się...

– Proszę niczego się nie obawiać. Zapraszam pana na śniadanie, co jest rzeczą najnormalniejszą w świecie. Wie pan, że mam zwyczaj zapraszania moich przyjaciół. Czytamy książki filozoficzne i śmiejemy się trochę. Chciałabym pana tak spotkać.

– To dla mnie zaszczyt. – Jeszcze się waha. – Jednak taka intymność...

– Och, admirale. Niech mnie pan nie rozczaruje. Wiem, że w Hiszpanii nie ma takich zwyczajów, ale myślałam, iż pan jest ponad to... Już brałam pana za okropnego pojedyńkowicza, a teraz wychodzi z pana świętoszek.

Admirał śmieje się serdecznie. Szczerze.

– Ma pani rację. Co mogę zrobić, żeby się zrehabilitować?

– Przyjąć zaproszenie.

– W takim razie zgoda.

– No to jesteśmy umówieni... Jeśli wszystko dobrze pójdzie, czekam na pana któregoś dnia. Ze śniadaniem.

Przy świetle kaganka w swoim pokoju w hotelu Roi Henri Pascual Raposo podpisuje list i sypie nań piasek, żeby wysuszyć atrament. Potem czyta, co napisał, zwracając szczególną uwagę na jeden z akapitów:

Mam informację (od moich miejscowych agentów), że pomiędzy jednym z podróżnych a francuskim dżentelmenem pojawiła się sprawa honorowa. I że ma zostać rozstrzygnięta w najbliższych godzinach w sposób

praktykowany w takich sytuacjach. Gdyby nastąpiło rozwiązanie tragiczne, znacznie by to pomogło...

W obawie, że nie wyraził się dość jednoznacznie – nie ma powodu, by używać nazwisk i zbędnych szczegółów w listach, które nie wiadomo, w czyje ręce trafią – Raposo moczy znów ptasie pióro w kałamarzu i podkreśla słowo „rozwiązanie”. Następnie składa kartę, pisze adres, znów sypie piasek i topi nad płomieniem łaskę laku. Potem, odkładając list na stół, zapala od płomienia cygaro, wstaje i otwiera okno. Piecyk zbyt mocno grzeje i w pokoju jest bardzo ciepło. Stojąc w samej koszuli, z założonymi rękami, pali i przygląda się domom i chałupom stojącym przy ogrodzeniu cmentarza Niewiniątek, których kształty odcinają się w mroku ulicy. Nad nimi, lekko przykryte przez niskie chmury na niebie, które jeszcze nie jest całkiem czarne, błyskają pierwsze gwiazdy.

Stukanie do drzwi. Raposo sprawdza godzinę i jest zaskoczony, bo spodziewa się Henriette znacznie później. Wspomnienie młodego, chętnego ciała w koszuli, ciepła ud i bezwstydnej ociężałości młodych piersi dziewczyny pobudza jego wyobraźnię. Jednak uśmiech rysujący się na okrutnych ustach znika, kiedy podchodzi do drzwi, otwiera je i widzi przed sobą nie Henriette, ale jej ojca. Właściciel hotelu włożył żakiet i zawiązał krawatę – rzecz niezwykła u kogoś, kto całe życie spędza w koszuli i kaftanie, siedząc i paląc fajkę – i jego wygląd stał się oficjalny, co jeszcze bardziej podkreśla poważna mina, kiedy patrzy na Raposa i po chwili pyta go, czy mogą porozmawiać. Ten odsuwa się na bok, wpuszczając gościa do środka, i z cygarem w zębach obserwuje, jak pan Barbou rozgląda się wokół, zwracając uwagę na wszelkie szczegóły w pokoju: zalakowany list na stole, otwarte okno, szablę wiszącą na gwoździu na ścianie, starą rycinę z podobizną Ludwika XV przyklepioną do ściany okruchami chleba. Na koniec patrzy na łóżko ze smutną miną. Niemal z bólem.

– Jest pewna poważna sprawa – mówi. – Bardzo poważna.

Raposo proponuje krzesło, na którym hotelarz się rozpiera, podczas kiedy on sam siada na zmiętej kołdrze na łóżku.

– Przyszedłem z panem rozmówić się jako ojciec, nie jako właściciel hotelu.

Ton głosu jest zgodny z wyrazem twarzy. Poważny jak u uczciwego mieszczanina. Może nawet odświętny.

– Chodzi o Henriette.

Raposo przymyka oczy i zaciąga się dymem.

– Słucham – mówi.

Mężczyzna waha się przez chwilę. Gdyby Raposo nie spędził paru tygodni w hotelu Roi Henri, pomyślałby, że jest zawstydzony.

– To nasze jedyne dziecko – zaczyna.

Liczba mnoga, myśli Raposo, zawiera w sobie wszystko. Mnóstwo szczegółów. Ludzie, myśli, znów się zaciągając, nie zwracają uwagi na szczegóły. A potem jest, jak jest.

– No i?

– Rozmawiała ze mną jej matka. Powiedziała mi o swoich podejrzaniach... A potem, no cóż... Zapytaliśmy Henriette. Potwierdziła wszystko.

Siedząc na łóżku, Raposo nadal obojętnie pali.

– A co potwierdziła?

– No właśnie to... Sam pan rozumie.

– Jest pan w błędzie. Absolutnie nic nie rozumiem.

Milczenie. Barbou znów rozgląda się po pokoju. Tym razem jego wzrok zatrzymuje się na portrecie zmarłego króla, jakby znalazł w nim dość godności, by nadal wyłuszczać sprawę, z którą przyszedł.

– Cnota... – zaczyna i milknie.

– Jaka cnota?

– Jej cnotę mam na myśli, proszę pana. Mówię o mojej córce. Cnota Henriette...

Hotelarz przerywa, zakłopotany. Jego wzrok jest niemal błagalny, jakby prosił Raposa o pomoc, by poprzez zrozumienie ułatwił mu przebrnięcie przez czekającą go kwestię. Trudną chwilę. Ale Raposo nadal patrzy na niego w milczeniu, z lekko przymkniętymi oczyma, jak przedtem z dymiącym cygarem w ustach.

– Pan odebrał cześć naszej córce – mówi wreszcie Barbou.

Znów liczba mnoga. Raposo, który z trudnością powstrzymuje śmiech – od dobrej chwili już się przygotowuje na jego wybuch – wyobraża sobie panią Barbou w chuście na ramionach w korytarzu, czekającą na wynik rozmowy z uchem przy drzwiach.

– I czego się po mnie spodziewacie? – pyta flegmatycznie.

Hotelarz patrzy na swoje dłonie, jakby się zastanawiał. Płomień kaganka słabo go oświetla, wyszczuplając mu pozornie twarz i nadając jej wyraz człowieka udręczonego.

– Naprawy szkody.

Teraz Raposo bezczelnie wybucha śmiechem. Wyjmuje cygaro z ust i śmieje się szczerze, z wesołością i dobrym humorem.

– A o jaką szkodę chodzi?

– Cnota Henriette...

– O cnocie już pan mówił... Co jeszcze?

– Według jej matki ma opóźnione krwawienie.

– I co ja mam do tego? Jestem w Paryżu dopiero dwa tygodnie.

Hotelarz znów się waha i odwraca wzrok.

– Ja tam się nie znam... To sprawy kobiet.

– Kobiet, mówi pan.

– Właśnie.

– Rozumiem. I na czym ma polegać owa naprawa szkód? Bo chyba nie chcecie, żebym się z nią żenił.

– No cóż, nie o to chodzi... Jej matka i ja mówiliśmy o tym. I z całą pewnością...

– A córka? – przerywa mu Raposo. – Co ona o tym myśli?

– To jeszcze niemal dziecko. Nie ma co myśleć. A pan jest podróżnikiem. Tylko przejazdem w Paryżu.

– Czyli macie na myśli odszkodowanie finansowe?

Ponura twarz hotelarza zdaje się nieco rozpogadzać.

– Moglibyśmy o tym porozmawiać, owszem... Jak mówiłem, moja żona uważa, że jest pan rozsądnym człowiekiem i dżentelmenem.

Raposo spogląda na cygaro, już niemal wypalone. Potem wstaje spokojnie, podchodzi do okna i wyrzuca niedopałek, patrząc, jak żar zakreśla w powietrzu łuk i ginie w ciemności. Przez chwilę jeszcze stoi odwrócony plecami do swojego rozmówcy, patrzy na ulicę, stary cmentarz w mroku, już czarne niebo, gdzie gwiazdy migoczą pośród ciemnych, poszarpanych chmur, które zdają się dotykać szczytów dachów. W końcu z całkowitym spokojem odwraca się do Barbou.

– Pańska córka jest bezwstydnym kurwiszkiem – mówi, nie zmieniając tonu.

Hotelarz patrzy na niego z otwartymi ustami, jakby mu do nich włożono coś bardzo zimnego albo bardzo gorącego.

– Przepraszam? – mamrocze w końcu.

Raposo robi trzy kroki w jego stronę, staje naprzeciwko tak blisko, że mężczyzna musi unieść twarz, żeby na niego patrzeć. I to, co widzi, wcale mu się nie podoba, bo mruga zaniepokojony.

– Dziewicze u pana córki są tylko bębenki w uszach, jak się mogłem zorientować – mówi Raposo ciągle tym samym tonem. – I tak było na długo, zanim pana żona i pan wepchnęliście mi ją do łóżka, żeby coś z tego wyciągnąć.

– Nie pozwalam panu...

Flegmatycznie, bez pośpiechu, nie używając więcej siły, niż to konieczne, Raposo policzkuje Barbou, który pod wpływem ciosu spada z krzesła na ziemię. Następnie Hiszpan pochyla się nad hotelarzem, klęka mu jednym kolaniem na piersi i chwyta go za krawatę, ciągnąc, jakby miał go udusić.

– W Paryżu są tysiące dziwek, nie licząc utrzymanek, dziewczyn z opery i hotelowych cichodajek, takich jak twoja córka... A ty masz czelność wyciągać ode mnie pieniądze za nią?

Szamocząc się pod kolanem Raposa, duszony ręką nadal ciągnącą za rozwiązany krawat, Barbou patrzy na niego przerażonym wzrokiem, oszołomiony napaścią, której się nie spodziewał.

– Ja sam ćwiczyłem tę zagrywkę z nieostrożnymi podróżnymi parę razy w Hiszpanii – mówi Raposo, śmiejąc się niczym zły wilk. – Tam nazywamy to naprawianiem panienki. I musiałem przyjechać do Paryża, żeby ktoś popróbowwał tego ze mną... To śmieszne!

Raposo uwalnia swoją ofiarę i podnosi się. Teraz śmieje się naprawdę rozbawiony. Kumple w Madrycie nie uwierzą, kiedy im to opowie. Żeby ktoś chciał wykręcić ten numer jemu, Pascualowi Raposo, specjaliście od takich sztuk, jakby był niewinnym gołąbkim...

– Policja... – jęczy poszkodowany, zbierając się z ziemi.

Raposo patrzy na niego niemal zaskoczony. Spogląda z nagłym zainteresowaniem, które tamtemu zamyka usta.

– Policja, kretynie, to moi kumple. Mówi ci coś nazwisko Milot? To idź do niego i poskarż się.

To powiedziawszy, podchodzi do hotelarza, który cofa się przed nim o krok.

– Widzisz tę szablę? – dodaje, wskazując wiszącą na ścianie broń. – Nie zapominaj o niej, Barbou... Bo jeśli sprawisz mi najmniejszy choćby kłopot, poderżnę ci nią gardło, a twojej żonie i córce wetknę ją w pizdy.

W hotelu Cour de France panuje zupełna cisza. Jest późno. Don Hermógenes w szlafmocy, koszuli nocnej i pantoflach wraca z ustępu z zapaloną świecą w ręce. Przechodząc obok pokoju admirała, waha się przez chwilę. Potem, podjąwszy decyzję, puka delikatnie. Słyszac „proszę”, otwiera drzwi, które nie są zamknięte na klucz. Przy świetle lichtarza, w którym płoną dwie świece, don Pedro siedzi w fotelu jeszcze ubrany, w zamszowych spodniach i koszuli, nakręcając zegarek. Nogi wyciągnął na taborecie, a w zasięgu ręki ma otwartą książkę, położoną na stoliku grzbietem do góry.

– Powinien pan spać – mówi bibliotekarz.

– Owszem, powinienem – odpowiada admirał.

Don Hermógenes odstawia świecznik na stół, gdzie leży niewielki związany sznurkiem i zalakowany pakiet papierów.

– Mogę z panem chwilę posiedzieć?

– Będę panu wdzięczny.

Spojrząwszy podejrzliwie na paczuszkę, bibliotekarz siada na krześle obok jeszcze nie rozścielonego łóżka. A na nim widzi szpadę, którą zdobył

rano, żeby admirał mógł poćwiczyć.

– Używał jej pan?

– Nie.

– A powinien pan, drogi przyjacielu. Po to ją przyniosłem.

– Nie mam nastroju na szermiercze pozy.

Następuje chwila milczenia. Don Hermógenes patrzy na swojego towarzysza z sympatią.

– Jak się pan czuje?

– Dziwnie.

Po tych słowach admirał na chwilę się zamyśla. Potem odkłada zegarek obok książki, pochyla nieco głowę i uśmiecha się słabo.

– I jestem trochę zmęczony – dodaje.

– Dlatego mówię, że powinien pan spać.

– To nie ten rodzaj zmęczenia.

Zalakowana paczuszka przykuwa uwagę don Hermogenesa, który w końcu daje się pokonać swojej ciekawości.

– Co tu jest, jeśli pan wybaczy moją impertynencję?

Admirał patrzy na pakiecik, jakby zapomniał, że tam leży.

– Dwa listy i moja ostatnia wola – odpowiada z prostotą. – Jeden z listów jest skierowany do moich sióstr, a drugi do dyrektora naszej królewskiej Akademii. W tym ostatnim zawarłem moje przeprosiny.

– Dobrze. Choć nie sądzę, żeby to było potrzebne...

– Przyjechałem do Paryża, tak jak i pan, z misją do wypełnienia. A ryzykuję, że jej nie dokończę. Muszę się przynajmniej usprawiedliwić.

– Nie potrzebuje pan żadnego usprawiedliwienia – protestuje wzruszony don Hermógenes.

– Myli się pan. Jutro popełnię głupstwo, które obraża zasady, jakie wyznawałem przez większą część mojego życia.

– Proszę więc tego nie robić. Niech pan odmówi udziału w tym barbarzyństwie.

Admirał spogląda na niego i nic nie mówi. Następnie odwraca się do okna, jakby odpowiedzi były za szybą, na zewnątrz.

– Wszystko w naturze polega na równowadze. Na prawach kompensacji.

– Mój Boże! Nie męczy pana czasami serce, zawsze tak zgrane z pańską głową jak wskazówka zegara i wahadło?

– Nie mam wyboru.

Bibliotekarz drapie się po brodzie, gdzie już pojawił się zarost.

– Nie rozumiem pana.

– Nieważne, drogi przyjacielu.

– Ależ oczywiście, że ważne. Jeśli ma pan sumienie i rozum, które odrzucają to szaleństwo, niech pan postępuje w zgodzie z nimi... Wiem, że jest pan człowiekiem na tyle dojrzałym, by nie musieć nikomu niczego udowadniać. A jeśli ktoś pana bierze za takiego, jakim pan nie jest, tym gorzej dla niego.

– Powiedzmy, że to luksus, na który sobie pozwalam.

– Że co? Bicie się o jakiś rzekomy honor uważa pan za luksus?

– Ja nie walczę o swój honor, don Hermesie. Mój honor nie ma z tym nic wspólnego. Przynajmniej w tym sensie, w jakim się to zwykle rozumie.

Bibliotekarz spogląda na grzbiet otwartej książki – *Morale universelle* jest na nim napisane – leżącej na stole obok zalakowanej paczuszki. Admirał kupił ten egzemplarz kilka dni wcześniej w jednym ze sklepów przy rue Saint-Jacques razem z *Système de la nature* barona Holbacha.

– Ten list do pańskich sióstr... – odzywa się don Hermógenes. – Czy nie obawia się pan o nie, kiedy zostaną same? Czy myślał pan o zgryzocie, jaką będą musiały cierpieć, jeśli...?

– Mają pewne oszczędności, z których mogą żyć, i nieco akcji Królewskiego Towarzystwa Baskijskiego w Caracas.

– Ale będą za panem tęskniły. Mówię o uczuciach.

– No tak. Bardzo. Wcześniej zostaliśmy sierotami i jednym z powodów, dla których porzuciłem morze, była chęć opieki nad nimi. A z kolei one obie pozostały pannami, żeby dbać o mnie. Razem żyliśmy przez te wszystkie lata i bez wątplenia będzie im mnie brakowało... Pewnie. One są jedynym prawdziwym powodem wyrzutów sumienia, jakie mam. Tym, co nie pozwala mi na pełny spokój.

– Co do Akademii...

– Jeśli o to chodzi, jestem spokojny. Nie ma wątpliwości, że pan przedstawi mnie w dobrym świetle. Wszystko odpowiednio pan ozdobi: admirał walczył o honor ojczyzny i reputację Floty Królewskiej... To doskonale uzasadnienie, które wszyscy chętnie uznają. Jedna z sesji zostanie poświęcona mojej pamięci, sekretarz Palafox odnotuje to w aktach i sprawa załatwiona... Jedna rzecz. Proszę nie pozwolić, by odprawiano za mnie msze. Inaczej będę wracał z zaświatów nocami i ciągnął pana za nogi.

– Jest pan niepoprawny.

– Jestem tylko zbyt stary na głupstwa.

Don Hermógenes się niecierpliwi. Wyciąga rękę, żeby dotknąć rękojeści szpady: ma złożone zdobienia, jest wąska i cienka, jej klingę zakrywa pochwa z czarnej skóry.

– Jakże absurdalna i pełna sprzeczności jest Francja – stwierdza. – Stanowi centrum oświecenia i rozumu z jednej strony i jest tak żałośnie

skora do pojedynków z drugiej. I jeszcze ta smutna skłonność do obrazy w każdym momencie i widzenia we wszystkim zniewagi...

Admirał spogląda na niego nie bez rozbawienia.

– Bądźmy sprawiedliwi, don Hermesie. Właściwie to ja znieważyłem Coëtlegona.

– Sam się o to prosił. I tak się pan powstrzymywał. Biorąc pod uwagę tutejszą skłonność do sięgania po szpadę czy pistolet przy tego typu idiotyzmach... Ktoś przegrywa w karty? Walczą. Ktoś zbyt uparcie się komuś przygląda? Walczą. Czyjaś żona lub kochanka zbyt kokietuje? Walczą, a na dodatek dają się zabić. Ktoś kogoś zhańbił, uwodząc mu żonę, przez co został nazwany kanalią? Walczą i zabijają się, o ile mogą... Tyle dobrze, że wiele pojedynków toczy się tylko do pierwszej krwi.

Don Pedro gestem wyraża obojętność.

– Myślę, że można znaleźć wytłumaczenie – odzywa się po chwili zastanowienia. – We Włoszech czy Hiszpanii ludzie tak się nie krygują. Jeśli dochodzi do pojedynku, świadomie i chętnie zarzynają się nawzajem. Być może dlatego tak niewiele tego typu zdarzeń mamy w Hiszpanii... A we Francji, gdzie wszystkie zachowania społeczne mają dość frywolny charakter, większość pojedynków trwa zaledwie do pierwszej krwi, tak jak to będzie w moim przypadku. Francuzi zatrzymują się przy pierwszej ranie i mogą zaczynać od nowa, choćby i dwadzieścia razy, jeśli tylko sobie tego zażyczą pojedyńkowicze. Brak im powagi w sprawach tego rodzaju.

– No tak, ale śmierć to sprawa poważna – oburza się don Hermógenes. – Pierwsza rana może być pchnięciem prosto w serce. Albo może wywołać zakażenie, które w dwa tygodnie zapędzi człowieka do grobu.

– Wtedy mamy pecha.

– No to po co kusić los? Dlaczego uczestniczy pan w tej maskaradzie?

Teraz milczenie trwa długo. Admirał zdjął nogi z taboretu i prostuje się na krześle. Przez chwilę siedzi nieruchomo, jakby czekał na dźwięk czy sygnał, który tylko on potrafi usłyszeć z oddali.

– Zanim wyruszyliśmy w morze, żeby przełamać blokadę Tulonu w lutym czterdziestego czwartego roku – mówi wreszcie powoli – odbyła się rozmowa między admirałami angielskim i francuskim, który powinien był osłaniać wraz ze swoją eskadrą nasze wyjście z portu... Układ polegał na tym, że Francuzi będą tylko płynęli i nie otworzą ognia, jeśli Anglicy zaczną strzelać do nas, a nie do nich... I tak właśnie się stało przed przylądkiem Sicié: trzydzieści dwa okręty angielskie przeciwko dwunastu hiszpańskim, podczas kiedy szesnaście okrętów francuskich spokojnie żeglowało przed siebie, nie włączając się do bitwy, ale odpływając w dal.

Zamilkł. Patrzy teraz w płomienie świec.

– Mimo to walczyliśmy przez siedem i pół godziny i nie ulegliśmy – dodaje po chwili.

– To było wspaniałe zwycięstwo, nie ma cienia wątpliwości. – Don Hermógenes się uśmiecha.

Admirał patrzy na niego niemal zaskoczony, jakby nie spodziewał się tych słów.

– To nie było zwycięstwo – odpowiada oschle. – To była tylko wspaniała próba przeżycia.

Podnosi się z krzesła, przeciągając swoją długą sylwetkę, jakby bolały go stawy. Światło świec powiększa jeszcze jego cień na ścianie. Don Hermógenes bierze książkę, która leży odwrócona na stole, patrzy na druk i z wysiłkiem czyta:

Ten, kto dobrze przemyślał swoje obowiązki i wypełnił je starannie, będzie się cieszył prawdziwym szczęściem za żywota i zakończy go bez lęku

i wyrzutów sumienia. Życie ozdobione cnotami jest zarazem szczęśliwe i pełne i wiedzie nas spokojnie ku końcowi, kiedy nikt nie będzie mógł żałować, że szedł swoją drogą, wskazaną mu przez naturę.

– Tamtego dnia wyruszyliśmy w morze, wiedząc, co się wydarzy – mówi admirał po tym, jak don Hermógenes odłożył książkę. – Że Francuzi zostawią nas samych sobie... A mimo to popłynęliśmy.

– Dla honoru i bandery, naturalnie.

– Nie. Dlatego, że takie były rozkazy. Rozumie pan? Wszyscy mogliśmy zostać w porcie, zadowoleni i szczęśliwi. Perspektywy kalectwa czy śmierci nikt nie lubi.

Don Pedro przez chwilę przygląda się szpadzie, po czym bierze ją z łóżka i chowa do szafy.

– To było tylko działanie zgodne z regułami – mówi, zamykając szafę. – Życie stawia człowieka w takiej sytuacji. Reguły trzeba przyjąć i wypełnić obowiązek, to wszystko... Bez wielkich gestów. Bez dramatyzowania.

– Czy pan nigdy... – zaczyna bibliotekarz.

Admirał jednak jakby go nie słyszał.

– Teraz wiem, że każdy, kto tam walczył, dając słowo, zrobił wszystko, co możliwe i niemożliwe dla honoru, ojczyzny i reputacji... Robiliśmy to dlatego, że tak należało. Trzeba było postąpić zgodnie z regułami.

– Jednak wola Boża...

– Proszę, don Hermesie. – Uśmiech admirała jest szeroki, szczery, niemal rozbawiony. – Niechże pan nie miesza do tego Boga. Proszę zostawić go na Synaju, niech tam spokojnie dyktuje tablice swoich praw.

– Wielki Boże. Przypomina mi pan owego zimnego geometrę, który znudzony opowieściami o Don Kichocie, postanawia wreszcie przeczytać tę

książkę. I po skończeniu pierwszego rozdziału mówi: „Ale właściwie, czegoż to dowodzi?”.

– W pewnym sensie wcale nie brakowało mu racji...

Bibliotekarz kręci głową ze zniechęceniem.

– Zatem o to będzie pan jutro walczył: o nic. Tylko dlatego, że trzeba walczyć.

Uśmiech nie zniknął jeszcze z ust admirała, kiedy powoli kiwa głową z niezwykłym spokojem.

– Tylko dlatego. Tak. I nie o nic, ale o wszystko... Dlatego, że trzeba i nie ma innego wyjścia. Bo nikt nie żyje wiecznie.

– To tutaj – mówi Milot, uderzając laską w dach fiakra.

Pascual Raposo i policjant wysiadają z pojazdu, ten pierwszy zawinięty w pelerynę, a drugi w prochowcu zapiętym pod samą szyję. Nie jest bardzo zimno, ale w lesie panuje wilgoć, która pokrywa trawę rosą. Słońce jeszcze nie weszło i lekka mgła zdaje się wisieć na koronach drzew, kiedy obaj mężczyźni idą w dół, pozostawiając za sobą Pola Elizejskie.

– To od ciebie zależy – mówi Milot. – Jeśli chcesz, przerywam pojedynek i zatrzymuję twojego człowieka, oddajemy go w ręce Federiciego, szefa strażników, żeby go zapuszkował. Nic prostszego. Ale przecież wiesz, że samą próbę pojedynku, jeśli nie doszło do rozlewu krwi, załatwia się upomnieniem i mandatem. Jutro albo pojutrze twój pojedynekowicz znów będzie chodził po ulicach... Zyskasz co najwyżej kilka dni.

– Zobaczymy, jak tam będzie. Jest szansa, że zostanie poważnie ranny albo zabity.

Milot śmieje się zadowolony.

– No jasne. To by ci naprawdę pasowało. Rozwiązałoby twój problem, a przynajmniej pół problemu... Nawet jeśli to on zabiłby przeciwnika, można by go było zamknąć z poważnymi zarzutami. Znacznie trudniej byłoby mu się wykaraskać.

– Dlatego mówię: popatrzmy. Na razie z daleka.

– Dobrze. To twoja sprawa, kolego.

Na dole zbocza znajduje się parów, który obaj mężczyźni przeskakują, dalej jest płaski teren z porośniętą trawą polaną. Z drugiej strony rośnie więcej drzew, ale mającą niewyraźnie z powodu wilgoci w powietrzu, która wszystkiemu nadaje szarą barwę. I pod tamtymi drzewami, obok drewnianego ogrodzenia, stoją dwa powozy.

– To dobre miejsce do obserwacji – mówi Milot.

Widać, że policjant zna okolicę, musiał tu być wcześniej wiele razy. Podchodzi prosto do grubego zwalonego pnia leżącego wśród krzaków, ściera ręką rosę, żeby tam usiąść, rozprostowując wcześniej poły prochowca. Ta łąka, powiedział Raposowi, kiedy jechali tu dorożką, to zwyczajowy punkt spotkań tego typu – dyskretny, oddalony niecałe pół godziny drogi od placu Ludwika XV, jednak poza obrębem Pól Elizejskich, gdzie znajdują się inne miejsca odpowiednie do tego celu, ale szwajcarscy strażnicy Federiciego stwarzają więcej problemów osobom, które chciałyby się tam pojedynkować.

– Usiądź sobie wygodnie – namawia Raposa.

Milot siada na pniu i zauważa, że krzaki osłaniają ich przed wzrokiem ludzi, pozwalając im jednocześnie widzieć niemal całą łąkę. Łoża pierwszej klasy, stwierdza zadowolony. I za darmo. Jeśli o niego chodzi, spektakl może się już zaczynać.

– Masz dla mnie jedną z tych twoich petard? – pyta policjant.

– Pewnie.

Raposo wyjmuje dwa cygara, krzesiwo i hubkę i po kilku próbach wykrzesania ognia wreszcie palą w milczeniu.

– Popatrz. – Milot spogląda na zegarek. – Jesteśmy w samą porę. Chyba już wszyscy przyjechali.

Raposo wyjmuje z kieszeni rozkładaną lunetę i też się przygląda. Trzeci powóz pojawia się na skraju polany i powoli podjeżdża. W tym samym czasie z pozostałych wozów wychodzi wiele osób. Trzech mężczyzn rusza przed siebie, tyłem do pojazdu wtaczającego się na łąkę. Dwaj z nich ubrani są na czarno, w kaftany, peleryny i trójgraniaste kapelusze, a trzeci jest w ciemnych spodniach z białymi pończochami i w koszuli ozdobionej na kołnierzu i mankietach koronką. Idzie z gołą głową, włosy ma pofalowane na skroniach i pokryte białą pomadą pomimo wczesnej pory, wydaje się, że jest w dobrej formie. Kroczy powoli, rozmawiając ze swoimi towarzyszami, w końcu zatrzymuje się i z daleka przygląda nadjeżdżającemu powozowi.

– To jest Coëtlegon – informuje Milot bez potrzeby, wskazując cygarem mężczyznę w koszuli.

Raposo przygląda się trzeciemu powozowi, który właśnie zatrzymał się przy pozostałych pojazdach, gdzie czekają jeszcze dwaj mężczyźni zawinięci w czarne peleryny. Wsiadają z niego trzy osoby. Jedna to kleryk Bringas, łatwo rozpoznawalny z powodu niezgrabnej sylwetki, marnej szarej kapoty i pogniecionego kapelusza. Drugi mężczyzna jest raczej niski, dość gruby – to don Hermógenes Molina. Don Pedro Zárata, wysoki i chudy, wsiada z powozu, rozgląda się wokół i spogląda na przeciwnika, który czeka na niego na łące, po czym zdejmuje żakiet, składa go i zostawia na siedzeniu. Potem, stojąc w samej koszuli, ściska ręce obu oczekującym mężczyznom w pelerynach.

– To sędzia pojedynku i medyk – informuje Milot, kiedy Raposo podaje mu lunetę. – Człowiek, który trzyma pod pachą futerał ze szpadami, to Bertenval z Akademii Francuskiej.

Wszyscy robią kilka uroczystych kroków w stronę mężczyzn, którzy już czekają. W połowie drogi admirał zatrzymuje się, a pozostała dwójka podchodzi do sekundantów Coëtlegona, którzy wyszli im naprzeciw. W ten sposób sześciu mężczyzn spotyka się na środku – sekundanci, sędzia i lekarz rozmawiają – podczas kiedy obaj pojedynkowicze stoją oddaleni od siebie o dwadzieścia kroków, każdy na swoim miejscu, oczekując, kiedy zostaną ustalone ostatnie szczegóły walki.

– Twój rodak wydaje się spokojny.

– Był marynarzem, wiesz, jacy oni są.

– To pewnie dlatego. – Milot oddaje mu lunetę. – Są tacy, którzy w podobnych przypadkach się denerwują.

Raposo z dużym zainteresowaniem obserwuje don Pedra. Akademik zebrał siwe włosy w kucyk wstążką z tafty, jest ubrany w prostą koszulę z czarną krawatką, czarne obcisłe spodnie i pończochy tego samego koloru. Robi wrażenie spokojnego, niemal obojętnego, ręce trzyma założone za plecami i przybrał zamyśloną minę, jakby przypatrywał się mgłę pomiędzy drzewami w lesie. W przeciwieństwie do Coëtlegona, który po chwili robi kilka kroków, zdradzających niecierpliwość albo chęć rozruszania mięśni, admirał niezmiennie stoi nieruchomo aż do chwili, kiedy grupa rozmawiających mężczyzn osiąga porozumienie. Wtedy każda para sekundantów podchodzi do swojego walczącego i prosi o podejście do oczekujących lekarza i sędziego pojedynku.

– Pojedynkowałeś się kiedyś?

– Nigdy. – Raposo śmieje się przez zęby. – Przecież to idiotyzm. Najlepszy jest taki pojedynek, który kończy się niespodziewanym ciosem

noża w pachwinę, tutaj, widzisz? Sam zresztą wiesz, nad udem.

– Nawet nie musisz mówić – zgadza się z nim Milot. – Tego nie da się niczym zatamować.

– W Hiszpanii nazywamy to pchnięciem torreadora.

– Poważnie? To zabawne.

Raposo patrzy na grupę stojącą na łące krytycznym okiem, z miną przywodzącą na myśl wilka.

– Ci wszyscy sekundanci i cały protokół to naprawdę żalosne – stwierdza.

Potem znów zaciąga się cygarem i spluwa żółtą śliną spod kła w stronę krzaków.

– Jeśli chodzi o załatwianie spraw – dodaje po chwili namysłu – im mniej świadków, tym lepiej.

– Pamiętajcie, panowie – mówi Bertenval, podając im broń – że nie możecie używać lewej ręki, żeby odsunąć albo zatrzymać szpadę przeciwnika.

Sytuacja tak bardzo przygnębia don Hermogenesa, że najchętniej poszedłby do lasu i zwymiotował kawę z mlekiem, którą wypił rano – tylko on był na śniadaniu, ponieważ admirał powiedział, że dla bezpieczeństwa woli walczyć na czczo. Zdziwiony bibliotekarz nie może wyjść z podziwu dla marynarza, że ten w podobnych okolicznościach zachowuje spokój i trzyma szpadę pewną ręką, podczas gdy jego dłoń w takiej sytuacji drżałaby jak osika.

– Na moje polecenie natychmiast przerywają panowie walkę.

Kiedy Bertenval ogłasza ostatnie warunki, jakie ma spełniać walka, Coëtlegon, który cały czas unosi brew i zachowuje pogardliwą minę, sprawdza giętkość stali i upewnia się, czy ostrze jest w dobrym stanie

i idealnie proste, robiąc kilka ruchów w powietrzu, dość teatralnych, które brzmią niczym trzaśnięcie bicia. Za to admirał stoi nieruchomo o trzy kroki od niego, szpadę trzyma w prawej ręce, która zwisa wzdłuż tułowia, czubek broni zaś dotyka mokrej trawy. Jest spokojny i zadumany, jakby myślami był gdzie indziej. Coëtlegon przestał się już poruszać, także opuszcza dłoń ze szpadą i po raz pierwszy patrzy w twarz swojego przeciwnika. W tym momencie don Pedro, jakby to poczuł, podnosi powoli głowę, a spojrzenie jego niebieskich, wodnistych oczu, które poranna mgła zdaje się jeszcze bardziej napełniać wilgocią, skupia się na szpadzie przeciwnika, a następnie wędruje w górę, by w końcu napotkać jego wzrok.

– *En garde!* – wydaje polecenie Bertenval i cofa się kilka kroków.

Jako sędzia pojedynku, trzyma w ręce długi kij przeznaczony do przerwania walki, jeśli któryś z pojedynkujących się wykonałby niedozwolony ruch lub został ranny. Na dźwięk jego głosu don Hermógenes, lekarz i pozostali sekundanci oddalają się od linii, gdzie stoją walczący, którzy właśnie unoszą szpady. Bibliotekarz zauważa, że Coëtlegon czyni to jakby w geście powitania, starannie przestrzegając etykiety, unosząc gardę na wysokość twarzy, natomiast admirał ogranicza się do lekkiego podniesienia broni, łokieć trzymając przy pasie.

– Przejdźcie więc do rzeczy, panowie – mówi Bertenval.

Serce bije don Hermogenesowi tak szybko, że czuje, jak mu się tłucze w piersi; nie byłoby gorzej, myśli sobie, gdyby on sam stał teraz ze stalą w dłoni. Z duszą na ramieniu widzi, jak Coëtlegon zwilża językiem usta, ugina nogi, opiera lewą rękę na biodrze i przyjmuje elegancką postawę szermierza, jak z ilustracji w podręczniku fechtunku. Zaś admirał unosi swoją wolną rękę pod kątem prostym, dłoń lekko mu opada, klinga szpady jest teraz wysoko i kosz znajduje się na wysokości twarzy, jakby mierzył w oblicze przeciwnika, zachowując całkowicie zimną krew. Jakby przez

całe życie nie robił nic innego. Zafascynowany pomimo odczuwanego strachu, dostrzegając kątem oka okrutny uśmiezek kleryka Bringasa, don Hermógenes widzi, że Coëtlegon niemal bez przerwy patrzy na szpadę adwersarza, natomiast admirał zdaje się nie zwracać uwagi na jego broń, wpatruje się w oczy przeciwnika, jak gdyby rzeczywiste niebezpieczeństwo kryło się w nich, a nie w stali poruszającej się zgodnie z ich wolą. I tak obaj stoją przez chwilę, która bibliotekarzowi wydaje się nieznośnie długa, bez ruchu i wzajemnie się obserwując, trzymając szpady w odległości kilku cali od siebie. Coëtlegon pierwszy porusza swoją, wysuwa ją nieco do przodu, jakby badał sytuację. Metaliczny dźwięk szpad, srebrzysty i wyraźny, rozlega się w końcu w wilgotnym powietrzu poranka.

Kompletna pustka w głowie, nieobecność niczego poza pełną fizyczną koncentracją, dziwny wewnętrzny spokój. Ciekawy dystans do wszystkiego i wszystkich. Tego właśnie doświadcza admirał, trzymając w dłoni szpadę i uważnie obserwując swojego przeciwnika. Sekundę po spotkaniu ich spojrzeń dochodzi do skrzyżowania szpad. Wzrok Coëtlegona nie jest już pogardliwy, ale skupiony i niespokojny, a don Pedro czuje w odległości trzech, czterech piędzi od swojego ciała ostry czubek broni. Rany, śmierć, życie. Nagle, kiedy stał przeciwnika błyskawicznie przelatuje obok, admirał pozoruje unik i naciera z drugiej strony, dostrzegłszy lukę w obronie, nie zastanawiając się, pod wpływem zwykłego instynktu samozachowawczego. Don Pedro czuje, że zagrożenie jest bardzo bliskie, przecucie, konkretna możliwość kontaktu metalu z jego ciałem, to wszystko przybiera postać lekkiego dreszczu w pachwinach. Ostrzegawczego i złowieszczego.

Cofa się dwa kroki, nie opuszczając szpady, i znów staje w pozycji wyjściowej. Znowu klingi ocierają się końcówkami, na odległość, badając się wzajemnie z powolną ostrożnością. Trawa jest zbyt śliska, myśli przez ułamek sekundy, ale myśl ta znika równie szybko, jak się pojawiła;

pocieszeniem jest, że przeciwnik ma ten sam problem. I znów umysł zupełnie pusty, cała uwaga skupiona na oczach rywala. Teraz czyta w nich, utrzymując postawę obronną, zapowiedź poważnego ataku, który przeciwnik zaraz podejmuje; dwa dokładnie wymierzone kroki naprzód, wymiana, która kończy się zasłoną w czwartej, następnie głębokie, zdecydowane pchnięcie, mające na celu nie draśnięcie do pierwszej krwi, ale przebicie piersi admirała na wylot, z czego Hiszpan wychodzi cało dzięki unikowi w prawo z linii ataku i równocześnie wystosowuje niskie uderzenie, bardzo mało eleganckie i niezbyt przepisowe, którym trafia w prawe kolano Coëtlegona, przez co ten odskakuje w tył z ustami zaciśniętymi z wściekłości.

– Panowie, bardzo proszę – padają słowa Bertenvala, którego głos słychać jakby o wiele mil od nich.

Don Pedro unosi dłoń, prosząc o krótką pauzę, jego przeciwnik się zatrzymuje.

– Przepraszam pana – mówi admirał. – To było niechcący.

W odpowiedzi przeciwnik niecierpliwie kiwa głową i znów obaj stają w postawie szermierczej. Złość Coëtlegona objawia się szybkim atakiem, który znów zmusza admirała, by się cofnął. Rywal naciera, następuje więc szybkie podzwanie stali, don Pedro przestaje widzieć szpadę wroga, co wywołuje u niego nieprzyjemną, bliską paniki dezorientację. Na koniec admirał wyprowadza dwa pchnięcia na ślepo i obraca się wokół własnej osi, żeby uniknąć ciosu; prawie traci równowagę na trawie, po czym znów staje w postawie w sam czas, żeby zatrzymać natarcie. Zaczyna się męczyć, a ramię, w którym trzyma szpadę, ciąży mu, jakby broń była z ołowiu. Jednak widok poczerwieniałej twarzy Coëtlegona, na której krople wilgoci wydają się kroplami potu albo na odwrót, nieco go pociesza. Podczas tych mocnych natarć jego rywal traci sporo siły. Najpewniejszy styl szermierki

po sześćdziesiątce, pamięta admirał słowa swoich starych mistrzów, polega na utrzymywaniu przeciwnika na dystans, aż ten z powodu wyczerpania albo podniecenia popełni jakiś błąd.

Jednak błąd popełnia don Pedro. Kiedy próbuje wyprostować się i dostawia stopę, ta odjeżdża nieco na trawie, a chwila niepewności pozwala przeciwnikowi na szybkie natarcie, które zatrzymuje się o cal od jego piersi, jednak gdy don Pedro porusza się, by odparować cios, metal rozdziera mu koszulę na ramieniu, a on sam czuje gwałtowne ukłucie czubkiem szpady wroga. Admirał cofa się dwa kroki, czując ból w ramieniu i równocześnie wymachując ręką, by ją rozruszać. Na znak sekundantów sędzia pojedynku robi krok przed siebie.

– Stop, panowie. Jest ranny... Proszę przerwać walkę, trzeba obejrzyć ranę.

Admirał patrzy na sędziego, jakby był zdziwiony, że jest tam jeszcze ktoś więcej; kosztuje go sporo wysiłku uświadomienie sobie, że Coëtlegon i on nie są sami. Prócz Bertenvala i lekarza zauważa przerażone spojrzenie don Hermogenesa, który załamuje ręce, blady jak kartka papieru, oraz przejęte miny pozostałych sekundantów, Laclosa i drugiego mężczyzny, a także uśmiech – ekstatyczny – Bringasa. Dotykając zranionego ramienia wolną ręką, don Pedro stwierdza, że krew moczy mu koszulę. Nie ma jej dużo, ale rozpływa się w wilgoci i pocie. To jest pierwsza krew. W zasadzie wystarcza, żeby przerwać pojedynek.

– Mogę kontynuować – słyszy własne słowa, patrząc równocześnie na przeciwnika.

Coëtlegon, który uśmiechał się z satysfakcją, przestaje to robić.

– Ma pan prawo – mówi, znów stając w postawie.

Słysząc podzwanianie końcówek szabli, jakby przeciwnicy się sondowali. Nieruchomo stojąc na drugiej w defensywnej postawie, admirał

oszczędza siły, starając się dojść do siebie. Czuje, jak po ramieniu od czasu do czasu płynie mu cienka strużka krwi, która gubi się w tkaninie koszuli pod pachą. Utrata krwi powoduje, przeciwnie do tego, czego można by się spodziewać, głęboki spokój i nadzwyczajną jasność umysłu. Choć może to być mylne odczucie, myśli szybko, fałszywa pewność siebie, która łatwo skończy się połówką piędzi stali w jego płucach. Postanawia więc zachować czujność, stoi nadal w pozycji wyczekującej, uważnie czytając w spojrzeniu rywala. W każdym razie – myśli, nacierając, uderzając o stal i cofając się o krok – jestem już na to za stary.

Metaliczny błysk, Coëtlegon ma wściekłe, zdecydowane spojrzenie człowieka, który atakuje, żeby zabić. Don Pedro niemal bez zastanowienia cofa się o krok, zatrzymuje i unosi końcówkę szpady, jakby kierując ją w twarz rywala, a kiedy ten odchyła głowę i napiera, admirał, zamiast się wycofać, opuszcza szpadę ukosem, zatrzymuje ją i mocno dzierży, czując wstrząs, od którego boli go nadgarstek – końcówka klingi musiała się oprzeć na kości biodra – to jego przeciwnik nieco poniżej prawych żeber sam się nabija na stalowe ostrze, które ma przed sobą. Admirał cofa się i gwałtownym ruchem łokcia wyswobadza szpadę. Rzucając pełne furii przekleństwo, Coëtlegon robi kilka kroków po półokręgu, wściekłe tnąc powietrze szpadą.

– Dość, panowie – rozkazuje Bertenval. – Pozwólcie, że obejrzę...

Coëtlegon przerywa mu kolejnym przekleństwem.

– Czuję się doskonale. Walczmy dalej!

Wolną ręką dotyka rany, z której tryska krew, plamiąc górę spodni. I nie jest prawdą, że – jak mówi – czuje się doskonale. Don Pedro widzi, że twarz jego rywala pożółkła, ma kolor starego wosku, a zaciśnięte wargi niemal zniknęły we wścieklej kresce nad brodą. Patrzy teraz z ukosa. Niepewnie.

– Walczmy dalej – powtarza Coëtlegon, stając w postawie.

– Panowie, to jest pojedynek do pierwszej krwi! – protestuje Bertenval. – Muszę zbadać rany.

– Nie chcę ostygnąć! Walczmy dalej!

Rzuca się do kolejnego ataku ze szpadą z przodu, uparcie próbując przebić pierś admirała. Ten jednak miał czas, by się przygotować, zasłania się w niskiej czwartej, odsuwa klingę wroga silnym sztychem i nabiera dystansu, robiąc trzy kroki w tył.

– Myślę, że już dosyć – mówi spokojnie.

Coëtlegon patrzy, jakby nie rozumiał jego słów, znów staje w postawie i naciera. Ale zanim udaje mu się dokończyć ruch, błędnie jeszcze mocniej, chwieje się i opuszcza szpadę. Czerwona plama na spodniach sięga mu już do pachwiny.

– Nie sędzę... – zaczyna mówić, ale płacze mu się język.

Upuszcza szpadę i powoli pada na kolana. Wszyscy biegną do niego, pierwszy admirał, który podtrzymuje go pod ramiona i stara się nie dopuścić, by upadł na ziemię. Coëtlegon patrzy na niego niewyraźnym wzrokiem.

– Już... dość, aż nadto – mruczy.

– Chciałbym pana przeprosić – mówi don Pedro, przytrzymując go. – Tamtego dnia brakło mi umiaru.

Coëtlegon patrzy na niego zamglonym wzrokiem i słabo kiwa potakująco głową. Admirał już zamierza oderwać rękaw własnej koszuli, by zatamować płynącą z rany przeciwnika krew, lecz dzięki nadejściu lekarza nie musi tego robić. Wszyscy razem kładą Coëtlegona na mokrej trawie na pelerynie, którą rozkłada Laclos.

– Nie jest to nic poważnego, o ile nie będzie zakażenia – mówi medyk uspokajająco po obejrzeniu rany. – Kość zatrzymała ostrze.

Podnosząc się, don Pedro dostrzega, że nadal trzyma w dłoni szpadę. Oddaje ją Bringasowi, który odbiera od niego broń z widoczną przyjemnością.

– No, panie admirale, dobra walka – mówi kleryk zadowolonym i zarazem sarkastycznym tonem. – Bardzo piękny pojedynek.

Stojący obok bibliotekarz patrzy na don Pedra z szacunkiem graniczącym z uwielbieniem. Tymczasem sam admirał całkiem spokojnie uciska ręką ramię, starając się zatamować tym razem własną krew.

– Rana jest głęboka? – pyta don Hermógenes z niepokojem.

– Nie.

Poranne słońce wschodzi w tej chwili ponad horyzont spomiędzy strzępów mgły, które wydają się zawieszane na drzewach. I pierwszy promień oświeśla, rozjaśniając niemal do przejrzystości, błękit oczu admirała.

10. ŚNIADANIA U MADAME DANCENIS

Proszę tylko wybaczyć moje zaskoczenie.

Pierwszy raz słyszę o czynach tak lubieżnych.

markiz de Sade, *Filozofia w buduarze*

Wdowa po panu Hénault mieszka w ładnym domu na Marais, blisko place Royale, niedaleko Bastylli. Choć dzielnica ta podupadła, według informacji kleryka Bringasa jeszcze zachowuje poblask dawnych czasów, wybudowana w stylu *Grand Siècle* Ludwika XIV, ozdobiona drzewami, dość szerokimi ulicami i fasadami starych pałaców. Na wizytę, która odbywa się nazajutrz po pojedynku, don Pedro Zárate i don Hermógenes Molina ubrali się stosownie, jak zazwyczaj powściągliwie i w ciemne barwy, podkreślając, na ile to możliwe, swój szacowny wygląd. Podziękowali za towarzystwo klerykowi Bringasowi pomimo jego nalegań, by pójść z nimi. Jest to delikatna misja i ani admirał, ani bibliotekarz nie życzą sobie jakiegokolwiek impertynencji, która mogłaby zniweczyć ich wysiłki.

Jedyną przeszkodą jest deszcz. Od poprzedniego wieczoru w Paryżu pada i miasto stało się nieprzejezdne. Najpierw pojawiły się ciężkie, pojedyncze krople, które po chwili waliły niczym śrut, a potem zmieniły się w gęste zasłony wody. Powozy blokują główne ulice i mosty, a z rynien pod dachami leją się potoki na przechodniów, którzy próbując schronić się przed deszczem i umknąć przed pojazdami, chodzą tuż przy fasadach budynków. Place wydają się jeziorami, od których odbijają się krople wody,

a ulice – strumieniami. Dlatego dorożce, która wiezie admirala i bibliotekarza, droga z rue Vivienne na rue Saint-Antoine zajmuje niemal godzinę, a na trasie muszą pokonać liczne zatory. Przez zaparowane okienka obaj akademicy patrzą na miasto, które różni się od tego, jakie znali do dziś: to brudny, zabłocony i szary miejski labirynt.

– Napiją się panowie kawy czy herbaty?

Przyjmuje ich wdowa w towarzystwie jednego z synów. Jest to starsza kobieta – zapewne około siedemdziesiątki – o surowym wyglądzie, wysuszonej twarzy, wąskiej szczęce i zielonych oczach, które swego czasu musiały być piękne. Jest w żałobie, włożyła czarny czepek, pod nim zebrała siwe włosy. Syn ma taką samą szczękę jak matka. Ubrany jest na ciemno, nosi perukę z dwoma lokami na skroniach i kurtkę o tradycyjnym kroju oraz koszulę z obfitym koronkowym żabotem przy kołnierzyku. Najwyraźniej jest adwokatem, prokuratorem albo kimś podobnym, urzędującym w biurze obok Pałacu Sprawiedliwości.

– Dla mojego męża – mówi wdowa – książki były całym życiem. Z ich powodu ponosił ogromne wydatki, a w ostatnich latach, kiedy już był chory, niemal nie opuszczał biblioteki. Stanowiła jego pociechę, jak mówił. Najlepsze lekarstwo.

– Ile książek udało mu się zgromadzić? – zaciekawia się don Hermógenes.

Siedzą w niewielkim saloniku, udekorowanym niebieską i różową porcelaną, o ścianach pokrytych papierowymi tapetami z rycinami ptaków w gustownych ramkach. Dawniej zapewne miejsce to było przytulne, teraz jednak czuć tu zaduch i lekki brak dbałości o czystość, a przymknięte okiennice wpuszczają brudne światło, które dodaje mroczności temu miejscu, gdzie skąpi się wosku czy oleju. Starsza, niezdarna służąca przynosi tacę z serwisem.

– Nie znamy dokładnej liczby – odzywa się syn. – Na oko księgozbiór liczy około czterech tysięcy... Przede wszystkim dotyczą botaniki, podróży i historii; dziedziny te były jego największą pasją.

– Pan jej nie podziela?

Mężczyzna uśmiecha się uprzejmie, nieco zakłopotany.

– W mojej pracy poświęcam się innym sprawom – mówi, głaszcząc z roztargnieniem rękę matki. – Zajmuję się prawem i całą literaturę, jaką miał mój ojciec z tej dziedziny, już zabrałem.

– Szkoda, by tak wspaniała biblioteka została podzielona lub rozproszona.

– To dla mnie ogromna przykrość – mówi madame Hénault.

– Tak, matko. Ale dobrze wiesz, że ani w moim domu, ani u mojej siostry nie ma dość miejsca. – Odwraca się do akademików. – Ponieważ jednak matka chce opuścić ten dom i zamieszkać z nami, biblioteka jest sporą komplikacją... Natomiast bardzo przyda jej się to, co może uzyskać ze sprzedaży.

– Czy byli już tutaj księgarze, by złożyć państwu oferty?

– Rozmawiamy z kilkoma – przyznaje syn. – Ale sami panowie wiedzą, jak to wygląda. Wszyscy handlarze książek są jak sępy, nie mają żadnych skrupułów, udają, że nie zwracają uwagi na cenne egzemplarze, mówiąc: „ten tom jest niewiele wart, trudno mi będzie go sprzedać”, chcą zabrać wszystko za jak najniższą cenę. Czy w Hiszpanii jest podobnie?

– Tak samo.

– W każdym razie moja matka miała zamiar odsprzedać bibliotekę w całości. Jedyne przyjaźń ojca z panem Dancenisem i list, jaki od niego dostaliśmy, spowodowały, że zrobiliśmy wyjątek dla panów... Jeśli dojdziemy do porozumienia, otrzymają panowie *Encyklopedię*.

– Czy chcą ją panowie zobaczyć? – pyta wdowa.

– Naturalnie.

Odstawiają filiżanki na stół, przechodzą korytarzem wypełnionym po obu stronach książkami i docierają do przyległego pokoju, który jest obszernym gabinetem o ścianach pokrytych półkami z książkami oraz z oknem wychodzącym na plac Royale, gdzie nadal pada deszcz.

– Dużo jest książek botanicznych, jak mówiłem. – Syn odsuwa zasłony, żeby dostało się do pokoju więcej światła. – I historycznych. Proszę popatrzeć na to wydanie *Histoire militaire du règne de Louis-le-Grand, roi de France* w siedmiu tomach, jest wspaniałe... Botanika znajduje się z tej strony. Tu mamy pracę Plumiera o roślinach z Ameryki, a tu pierwszy tom *Voyages dans les Alpes* Saussure'a, wysoko ceniony przez mojego ojca.

Don Hermógenes i don Pedro przyglądają im się dokładnie. Admirał ma na ramieniu opatrunek i zaciska z bólu usta, kiedy syn wdowy Hénault podaje mu do rąk ciężkie tomiszczce Linneusza.

– Czy pan się dobrze czuje?

– Tak, oczywiście. Proszę się nie przejmować... To tylko reumatyzm.

– Jasne. – Mężczyzna odstawia książkę na półkę. – To przez deszcz. Ta wilgoć...

Wskazuje mu miejsce w bibliotece, przed którym don Hermógenes już się zatrzymał w ekstazie. Tam, w ołowianym świetle wpadającym przez okno, widoczne są złożone grzbiety dwudziestu ośmiu tomów dużego formatu, oprawnych w jasnokasztanową skórę: *Encyclopédie*, można przeczytać na czerwono-zielonych naklejkach.

– Czy mogę otworzyć jakiś tom? – pyta don Hermógenes.

– Bardzo proszę.

Z pełnym poszanowaniem namaszczeniem, niczym kapłan podnoszący w ręce Najświętszy Sakrament, bibliotekarz wkłada okulary, zdejmuje z półki pierwszy tom, kładzie go na biurku i z troską otwiera. *Discours*

préliminaire des éditeurs – czyta niemal ze wzruszeniem. – *L’Encyclopédie que nous présentons au Public, est, comme son titre l’annonce, l’Ouvrage d’une société de Gens des Lettres*¹...

– Oprawa zachowała się w stanie nienagannym, jak panowie widzą – zauważa syn madame Hénault. – Jest także doskonale zakonserwowana.

– Mój zmarły mąż sam woskował książki – mówi wdowa. – Wiele godzin poświęcał temu zajęciu.

– Są tu nawet te ostatnie tomy z ilustracjami – dodaje syn. – Pełny komplet. Mój ojciec był subskrybentem od samego początku, kiedy zaczęły się ukazywać pierwsze tomy. I często je czytywał... Słyszeliśmy, że to wydanie bardzo trudno teraz zdobyć.

– Nie jest to proste, istotnie – przyznaje don Hermógenes dość ostrożnie.

Don Pedro dostrzega szybką wymianę spojrzeń pomiędzy matką a synem.

– Będziemy musieli porozmawiać o cenie – mówi młody człowiek.

– Naturalnie – przyznaje don Hermógenes. – Właśnie po to przyszliśmy. Choć mamy nadzieję, że cena będzie rozsądna.

– Co ma pan na myśli? – pyta adwokat podejrzliwie.

– To, że mamy do dyspozycji środki wystarczające – wyjaśnia admirał – które jednak nie są nieograniczone.

Młody Hénault uśmiecha się w zamyśleniu, odstawiając tom na swoje miejsce. Już pora, mówi jego zachowanie, żeby przejść do rzeczy.

– A zatem... Pierwotna subskrypcja, którą opłacił mój ojciec, kosztowała dwieście osiemdziesiąt liwrów, tu na stole leżą wszystkie papiery, choć ostateczna cena, łącznie z tomami ilustracji, wzrosła do dziewięciuset osiemdziesięciu... Ponieważ to pierwsze wydanie, jego cena

rynkowa jest znacznie wyższa. Teraz kalkulujemy ją na osiemdziesiąt ludwików.

Don Hermógenes mruga, zagubiony jak zwykle, kiedy mówi się o liczbach.

– Co w liwrach wynosi...?

– Niemal tysiąc dziewięćset – stwierdza błyskawicznie don Pedro. – A dokładnie tysiąc osiemset sześćdziesiąt cztery.

– Tak, właśnie – zgadza się syn, zaskoczony jego zdolnością szybkiego liczenia.

– Księgarze mówili nam – zaczyna don Hermógenes – że *Encyklopedia* może kosztować jakieś tysiąc czterysta.

Adwokat spogląda na matkę i wzrusza ramionami.

– Nie wiem... W każdym razie, jak mogą panowie zobaczyć, komplet dwudziestu ośmiu tomów jest w doskonałym stanie. Uważamy, że nasza cena jest odpowiednia.

– Oczywiście – odpowiada don Hermógenes. – Jednak biorąc pod uwagę...

– Możemy zapłacić tysiąc pięćset liwrów – przerywa mu admirał.

Bibliotekarz patrzy na don Pedra, ten na adwokata, a ten na swoją matkę.

– Mało – mówi wdowa.

– Być może – dodaje syn – moglibyśmy dojść do porozumienia i zgodzić się na sumę tysiąca siedmiuset?

– Przepraszam, ale może nie wyraziłem się precyzyjnie – mówi don Pedro z całkowitym spokojem. – Chciałem powiedzieć, że kwota, jaką rzeczywiście dysponujemy, to tysiąc pięćset liwrów i ani sola więcej. W złocie z pokwitowaniem banku Vanden-Yver. To cały nasz kapitał.

Kolejna wymiana spojrzeń pomiędzy matką a synem.

– Czy możemy panów przeprosić na chwilę?

Wychodzą z gabinetu, zostawiając akademików samych. Admirał i bibliotekarz z ciekawości szperają w książkach, jednych dotykają, inne przeglądają. Don Pedro interesuje się *Podróżami...* Cooka w osiemnastu tomach. W końcu, jakby przyciągnięci siłą magnetyczną, podchodzą do *Encyklopedii*.

– Myśli pan, że przyjmą nasze warunki? – szepce don Hermógenes.

– Nie mam pojęcia.

Bibliotekarz wyjmuje tabakierę, wciąga szczyptę tytoniu, głośno kicha i wyciera nos chustką. Jest niespokojny.

– Przecież to jedyne kompletne wydanie, jakie spotkaliśmy – stwierdza, ścisząc głos.

– Wiem – odpowiada admirał tym samym tonem. – Ale mamy ograniczenia.

– I nie byłoby możliwe, żeby się potargować...

Don Pedro patrzy na niego poważnie.

– To nie suk w Tetuanie, don Hermesie. Jesteśmy członkami Hiszpańskiej Akademii Królewskiej, do licha. Poza tym płacimy za mieszkanie i wyżywienie woźnicy oraz za przechowalnię powozu. To razem kosztuje fortunę.

– Ma pan rację. – Bibliotekarz czule pieści grzbiet pierwszego tomu *Encyklopedii*. – Jednak byłoby mi przykro, gdybym stracił te księgi...

– Zobaczymy.

Wraca syn Hénault, sam. Wyrozumiały uśmiech zapowiada jego słowa.

– Biorąc pod uwagę, że dzieło to trafi do tak szacownej hiszpańskiej instytucji, moja matka zgadza się na kwotę tysiąca pięciuset liwrów...

W jaki sposób możemy to sformalizować?

Don Hermogenesowi wyrywa się tchnienie ulgi, za co spotyka go surowe spojrzenie admirała.

– Kiedy tylko będzie to możliwe, dostarczymy państwu pieniądze i zabierzemy książki – mówi rozważnie.

– Będą panowie chcieli jakieś potwierdzenie, oczywiście.

– Naturalnie.

Adwokat wygląda na usatysfakcjonowanego. Jednak po chwili wahania unosi palec.

– Czy zostawią panowie jakąś zaliczkę?

Don Hermógenes otwiera usta, ale wcześniej odzywa się admirał.

– Oczywiście, że nie.

Młody Hénault wycofuje się niepewnie, zaskoczony obcesowością.

– Jasna sprawa... Choć zazwyczaj...

Spojrzenie don Pedra zmroziłoby deszcz, który ciągle pada za oknem.

– Nie wiem, jak jest zazwyczaj, bo kupno i sprzedaż książek to nie moja profesja. A tym bardziej nie jest nią targowanie się o ich cenę. Ma pan moje słowo.

Uśmiech adwokata jest prośbą o wybaczenie.

– Pewnie, pewnie... Moim zdaniem wszystko jest w porządku. Czekam, jeśli to panom odpowiada, w moim biurze za dwa dni, żeby dopełnić wszelkich formalności.

– Tam się spotkamy. Może pan być spokojny.

Trzy skinienia głowami i dwa uśmiechy – młodego Henaulta i don Hermogenesa. Don Pedro idzie w stronę drzwi z poważną miną.

– Panowie, to była dla mnie przyjemność – mówi adwokat uprzejmie.

– Mogę powiedzieć to samo – odpowiada admirał. – Proszę pożegnać od nas matkę.

Unikając strumieni deszczu spływających z dachów, Pascual Raposo zatrzymuje się, dochodząc na róg placu de Grève, a tam, jakby się przygotowywał do rajdu pod ogniem nieprzyjaciela, czeka chwilę, dodając sobie otuchy, naciąga kapelusz na głowę i podnosi kołnierz płaszcza, a następnie biegnie pomiędzy kałużami w stronę wejścia do kabaretu l'Image Notre-Dame.

– Kompletnie przemokłeś – mówi mu Milot zamiast powitania.

Raposo mruczy pod nosem i kiwa głową, otrząsając się z wody jak mokry pies. Następnie rzuca kapelusz i płaszczyk na krzesło i siada przy piecu, wyciągając nogi, a jego kumpel podaje mu grzane wino.

– Jakież wieści?

– Trochę.

Czuć zapach wina i człowieka, mokrych trocin na drewnianej podłodze, zamkniętych okien. Są tam beczki, butelki, wojskowe ryciny przyklejone do ścian i długi, zabrudzony szynkwaz, a nad tym wszystkim sufit osmalony sadzą z pieca oraz dymem lamp i świec. O tej porze jest tu niewielu ludzi. Pulchna dziewczyna obsługuje woźnych z ratusza, tragarzy i przewoźników z pobliskiego nabrzeża, podczas gdy właścicielka albo szefowa sumuje rachunki i czyści paznokcie, stojąc za szynkwasem. W kącie, leżąc na ławce, śpią po winie dwaj żołnierze w niebieskich mundurach gwardii miejskiej, a kot liże zwisającą do ziemi dłoń jednego z nich.

– Dziś rano – informuje Milot – twoi akademicy odwiedzili madame Hénault, która niedawno owdowiała. A w jej bibliotece jest kompletna *Encyklopedia*.

Raposo podnosi się napięty jak struna.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie. Moi ludzie, którzy poszli tam za nimi, dobrze się sprawili. Kiedy tylko tamci wyszli z domu, sprawdzili, czy jest tam służba... Okazało się, że tylko jedna służąca, ale to wystarczyło. Przycisnęli ją, kiedy wyszła po zakupy.

Raposo pomimo wypitego wina poczuł suchość w ustach.

– I co?

– Ma wrażenie, że wdowa sprzedaje *Encyklopedię*.

– Nie pieprz.

Milot wzrusza ramionami i powoli pije wino. Raposo jednym łykiem opróżnia swoją szklanę.

– Czy już zapłacili? – pyta posępnie.

– Jeszcze nie, choć moim zdaniem właśnie się tym zajmują... Z jej domu, który jest tu niedaleko, na rue Saint-Antoine, twoi dwaj podróżnicy poszli do hotelu przy rue Vivienne, a stamtąd do banku Vanden-Yver, który znajduje się trochę dalej, ale na tej samej ulicy, tam przedstawili listy płatnicze na sumę dwóch tysięcy liwrów. Ustalono, że gwarancje są ważne, i w tej chwili załatwiają formalności.

– Już podjęli pieniądze?

– Przecież mówię, że dopełniają formalności. Te sprawy wymagają biurokracji: trzeba czasu, podpisów, pieczęci i tak dalej. Z tego, co wiem, mają tam wrócić jutro.

Raposo znów wyciąga nogi w stronę pieca i podsuwa pustą szklanę, którą Milot znów napęlnia z jeszcze parującego dzbana.

– Odgaduję twoje plany – mówi policjant. – I zgadzam się. Masz dwie możliwości: albo dziś zająć się kwitami, albo jutro pieniędzmi.

Raposo ogrzewa ręce szklanką.

– A ty co byś zrobił?

– Człowieku, znacznie łatwiej jest ukraść papier. Myślę, że w tej chwili listy mają znów w swoim pokoju w hotelu. Trzeba by ich tylko poszukać.

Błysk zainteresowania techniką.

– A to możliwe?

Milot uśmiecha się krzywo.

– Tu wszystko jest możliwe, jeśli naciśnie się odpowiednie klawisze... Jedyny problem jest taki, że jeśli zabierzesz kwit, nikt na tym nie skorzysta, nawet ty, bo takie listy wymagają podpisów, weryfikacji i tak dalej.

Raposo przygląda się swojej szklance, upija łyk wina i znów się w nią wpatruje.

– Ale zwykły papier łatwo można zabrać i zniszczyć, jeśli zajdzie potrzeba – mówi po chwili zastanowienia.

– Oczywiście. – Milot zniża głos. – Kłopot polega na tym, że działać trzeba dziś wieczorem albo w nocy, kiedy nie będzie ich w pokoju... Rzecz jest skomplikowana i dość ryzykowna.

– A pieniądze, brzęczące i błyszczące?

– To co innego. Kiedy zmieniają właściciela, ciągle pozostają pieniędzmi, należą do tego, kto je ma. Byłaby to przyjemna gotówka dla ciebie i też dla mnie. – Puszczą oko do Raposa. – Bobyśmy się podzielili pół na pół, prawda?

– Jasne. Odliczając to, co już dostałeś.

– Myślę, że tak jest w porządku – zgadza się policjant. – I skłaniam się ku opcji, żeby napaść na nich, kiedy podejmą pieniądze i pójdą uiścić zapłatę.

– Proponujesz napad w biały dzień w środku Paryża?

– Właśnie.

– Tak po prostu?

Głos Milota przechodzi w szept.

– Z pewnością jutro nadal będzie padać, a to ułatwi sprawę. To są moje tereny, nie zapominaj... Kolejny plus jest taki, że dwa tysiące liwrów, czy ile tam mają zapłacić wdowie, zajmują niedużo miejsca. Zapewne u Vandena-Yvera dostaną całą kwotę w złotych ludwikach, czyli będzie tego osiem albo dziewięć zapieczetowanych rulonów po dziesięć monet, a to można zmieścić w kieszeni.

W tym miejscu Milot uważnie przygląda się wyrazowi twarzy Raposa. A ten pije drobnymi łykami w zamyśleniu, aż opróżnia szklanę.

– To się wydaje możliwe – przyznaje po chwili.

– No pewnie. Będziemy ich śledzić i zaatakujemy, jak tylko wyjdą z banku. Od rue Vivienne napotkamy wiele odpowiednich ku temu miejsc.

– A jeśli wezmą powóz?

– Na jedno wychodzi. Zatrzyma się ich na środku ulicy.

– Mielibyśmy to zrobić ty i ja?

– Czyś ty oszalał? – Policjant spogląda na śpiących żołnierzy, jakby go mogli usłyszeć. – Zapominasz, że masz do czynienia ze starym Milotem. Mam odpowiednich ludzi.

– Naprawdę zaufanych?

Milot wybuchają śmiechem.

– Takie pytanie to obraza. Ze mną masz do czynienia, powtarzam ci... Będziemy w pobliżu, uważnie się przyglądając. Gotowi zabrać ludwiki.

Zapada cisza. Raposo obraca w palcach pustą szklanę. Wyobraża sobie następny dzień, deszcz, jakiś zakątek w Paryżu. Zaskoczonych akademików. Ich możliwe reakcje. Ewentualne niebezpieczeństwa.

– Decyzja należy do ciebie – dodaje policjant.

Raposo po chwili kiwa głową. Jest przekonany.

– Zgoda. Zrobimy to jutro.

– Trzeba to opić. – Milot woła kelnerkę. – No bo koniec końców pieniądze głupców to majątek spryciarzy.

Przed chwilą zapadł wieczór i w świetle latarni wiszących na hakach widać żółte strumienie deszczu. Don Pedro, don Hermógenes i kleryk Bringas idą pospiesznie, dwaj pierwsi chroniąc się pod parasolem z woskowanej tafty, kleryk Bringas zaś ma zmoczony kapelusz i płaszcz. Na szczęście niewygodna droga z miejsca, gdzie byli na kolacji, do hotelu akademików przy rue Vivienne jest krótka. W tej chwili przechodzą przez rue Colbert obok Biblioteki Królewskiej, unikając strumieni wody spływających z dachów, a każdy przejeżdżający obok powóz rozbryzguje błoto na ulicach pozbawionych chodników i zmusza ich, by chronili się tuż przy fasadach, przez co nieodwołalnie wpadają pod potok deszczówki.

– Zamoczeni, ale po dobrej kolacji – żartuje kleryk Bringas, chlupocząc w kałużach.

Brnie przez nie jak dziecko, tak zmoknięty, że chyba jest mu wszystko jedno. Jest też trochę wstawiony, jak zawsze, kiedy wstaje od stołu. Tego wieczoru byli w hotelu Beauvilliers przy rue Richelieu – znaleźli tam wyrafinowany wystrój i potrawy *à la carte*. To drogi lokal, ale zgodnie z sugestią Bringasa akademicy postanowili uczcić znalezienie *Encyklopedii* świetną kolacją. Zatem w trójkę – z decydującym udziałem kleryka, choć i don Hermógenes nie pozostawał w tyle – spędzili parę miłych godzin, rozprawiając się z delikatesami z musztardą i octem, pasztetem z tuńczyka z Tuluzy, *foie gras* z Périgord i słonkami z Les Douves, wspomagając się dwiema butelkami dobrego andegaweńskiego wina.

– Paryż w deszczu jest nadzwyczajnym widowiskiem wodnym – stwierdza Bringas sarkastycznie. – Niech panowie tylko popatrzą, czy tak nie jest: dwadzieścia tysięcy strumieni spływa z wysokości pięćdziesięciu stóp, zmywając cały brud i nieczystości z dachów i domów, a wozy i konie wzbijają fontanny błota, które zamieniają ulice w śliskie potoki... Prawdziwa rozkosz, słowo daję.

– Ale przynajmniej przez to drogi są czyste.

– Choć bezbronny pieszy może się utopić? O nie, mój panie. Deszcz jest tym, co najgorzej znoszę na tej ziemi obiecanej, która jest mi schronieniem... Wolę już brud i muchy wyschniętego Madrytu. Tam przynajmniej człowiek cuchnie i gnije na sucho.

Przejeżdża kolejny pojazd, zmuszając ich, by znów przywarli do ściany domu i dostali się pod strumień bijący z rynny. Głosem donośnym i czystym, który wznosi się ponad szum deszczu, Bringas przeklina woźnicę, wyzywając go od szubrawców i podobnych. Następnie chronią się w otwartej bramie pod zapaloną latarnią, żeby chwilę odpocząć. Bringas otrzepuje płaszcz, a don Pedro otwiera i zamyka parasol. Pod każdym z nich tworzy się kałuża.

– O której pójdziemy jutro do banku Vanden-Yver? – pyta don Hermógenes.

– Zazwyczaj otwierają o dziewiątej – informuje ich Bringas.

– Zatem nie ma pośpiechu – stwierdza admirał. – Na spotkanie w biurze syna wdowy Hénault umówiliśmy się na dwunastą.

– Czy to nie jest zbyt wysoka suma, żeby ją nosić po ulicach? – niepokoi się bibliotekarz.

– Dlatego mówię, że nie będziemy spacerować po Paryżu, mając półtora tysiąca liwrów w kieszeni.

– Choć sami panowie zauważyli, że Paryż jest bezpieczny – stwierdza kleryk Bringas. – Musi być jakaś korzyść z tego, że miasta pilnuje pełno strażników, policjantów, szpicli i cała armia utrzymywana przez tyranię. Tu napadasz na obywatela, a okazuje się, że to gliniarz.

– Mimo to najlepiej będzie spokojnie zjeść śniadanie – utrzymuje admirał – a potem iść do banku Vanden-Yver. Około wpół do jedenastej. – Zwraca się do Bringasa: – Czy wie pan, w którym miejscu adwokat Hénault ma swoje biuro?

– Tak, naprzeciwko kawiarni Parnas, przy zjeździe z Pont Neuf koło Luwru. Jeśli przyjdziemy zbyt wcześnie, możemy coś przegryźć w tamtejszej kawiarni, to bezpieczne miejsce, odwiedzane przez prawników, adwokatów i prokuratorów z Pałacu Sprawiedliwości.

– Świetnie. Możemy się spotkać w naszym hotelu o wpół do dziewiątej. Czy to panom odpowiada?

– Doskonale.

Don Hermógenes się martwi.

– Czy to dla pana – mówi – nie za wcześnie, panie kleryku? Bo z pańskiego domu do nas, na rue Vivienne, jest spory kawałek. A jutro może nadal padać.

Bringas zdjął kapelusz i perukę i otrząsa je. Pod byle jak ogoloną czaszką świeci twarz pokryta kropelkami wody.

– Proszę się nie martwić. Sprawa jest tego warta, z przyjemnością wcześniej wstanę.

– Nie wiem, jak panu dziękować za wszystko, co pan dla nas zrobił – mówi don Pedro.

Słabe światło dobiegające z ulicy rozmywa zadowolony uśmiech kleryka.

– To dla mnie przyjemność. A podziękowaniami proszę sobie nie zawracać głowy. Dzięki panom jadam posiłki godne Pantagruela. Od lat już nie jadłem tak dużo, tak dobrze i tak często.

– Mimo wszystko – nalega admirał – zajęliśmy panu dużo czasu i sprawiliśmy sporo kłopotów. Nasz dług...

– Nie ma o czym mówić.

– Chcielibyśmy jednak...

Bringas patrzy na niego przenikliwie i w końcu robi niemal poirytowany gest.

– Czego by panowie chcieli?

– Niechże się pan nie obraża, drogi kleryku. Chcielibyśmy zrekompensować panu cały ten czas. I pana uprzejmość.

Mężczyzna patrzy na niego, jakby nie wierzył słowom, które słyszy.

– Mówi pan o pieniądzach?

– Istotnie – admirał starannie dobiera słowa – mówię o wynagrodzeniu za pańskie przysługi.

Zapada cisza, długa i nieprzyjemna, Bringas wykorzystuje ją na staranną obserwację własnej peruki, którą wreszcie majestatycznie wkłada z powrotem na głowę.

– Panie admirale... I pan, i obecny tu don Hermógenes z pewnością spostrzeżliście, że moja sytuacja finansowa jest nie do pozazdroszczenia, prawda?

– Przynajmniej tak się wydaje, skoro pan pyta.

Teraz kleryk ogląda swój kapelusz, kolejny raz nim potrząsa i ociera go rękawem, po czym uważnie nakłada go na perukę.

– Żyję, jak mogę. I bywa też czasami, niestety dość często, muszę to przyznać, że bywam głodny... Rozumieją panowie?

– Mniej więcej – odpowiada admirał, niepewny, do czego zmierza Bringas.

– Ale moim głodem rządę ja.

– Słucham?

– Tak właśnie, jak powiedziałem. Mój czas poświęcam temu, co mi się podoba, i w tych dniach postanowiłem poświęcić go panom.

– Ale...

– Żadnego ale, mowy nie ma. – Bringas robi pauzę i patrzy swoimi stalowymi oczami to na jednego, to na drugiego. – Panowie są godnymi osobami, a cel panów niezwykle szlachetny... Nigdy nie będę członkiem Hiszpańskiej Akademii Królewskiej ani tej tutejszej... Ale niech mi panowie pozwolą wierzyć albo mieć miłą pewność, że ta *Encyklopedia* przyczyni się do oświecenia jakiegoś zakątka mojej ciemnej ojczyzny, którą musiałem opuścić. Że ją zmieni i uczyni odrobinę lepszą, bardziej wykształconą, mądrą i godną... To będzie dla mnie najlepsza zapłata.

– Pańska szlachetność jest druzgocąca – przyznaje don Hermógenes po krótkiej, pełnej zadziwienia chwili ciszy, w której słychać jedynie padający na ulicy deszcz.

Bringas uśmiecha się z pobłażaniem. Majestatycznie.

– Wiem, choć nie zawsze jestem tak szlachetny. – Teraz zwraca się do admirała: – A tak z ciekawości spytam, ile zamierzał mi pan zapłacić?

Zapytany mruga, zaskoczony. Jest mniej ostrożny.

– Sam nie wiem – zaczyna mówić. – Prawdę mówiąc...

– Niechże da pan spokój – zachęca go Bringas. – Po takim czasie razem możemy sobie ufać.

Admirał spogląda na don Hermogenesa, jakby prosząc o ratunek, ale ten jest równie zaskoczony jak on sam.

– Proszę, panowie – nalega kleryk. – Nie zostawiajcie mnie w tej niepewności.

– No cóż... W sumie... – Admirał robi nieokreślony ruch. – Myśleliśmy o jakichś stu, stu pięćdziesięciu liwrach. Mniej więcej.

Zirytowany Bringas prostuje się w ołowianym mroku bramy.

– I nie wydaje się panu, że mnie obraża?

– Proszę wybaczyć, panie kleryku. Jest mi bardzo przykro. Nigdy w życiu...

– Admirał ma rację – włącza się don Hermógenes. – Nigdy nie śmiałyby...

– Nie przyjąłbym mniej niż dwieście. To kwestia zasad.

Akademicy patrzą na siebie, a potem spoglądają na Bringasa.

– Czy chce pan powiedzieć... – Admirał próbuje zrozumieć jego słowa.

Kleryk unosi władczo dłoń, dając znak, że rozmowę uważa za skończoną.

– Że mnie pan przekonał. Skoro panowie nalegają i tylko dlatego, że o panów chodzi, przyjmuję tę sumę, choć nie bez moralnej odrazy.

Do hotelu Cour de France, szacownego budynku z białego kamienia odcinającego się w mroku słabo oświetlonej ulicy, wchodzi się od rue Vivienne przez szeroką bramę łączącą ulicę z wewnętrznym podwórzem pokrytym kafelkami, w które głośno uderzają krople deszczu. Akademicy i ich towarzysze docierają przemoczeni do westybulu, gdzie admirał proponuje Bringasowi, żeby napił się czegoś na wzmocnienie, zanim kleryk ruszy w dalszą drogę do domu.

– Nie powinien pan w takim stanie iść dalej bez chwili odpoczynku. Można by pana wyzyskać jak gąbkę. Proszę wejść, usiąść na chwilę i napić się czegoś, może tymczasem przejdzie ta okropna ulewa.

– Jestem przygotowany na najgorszą nie pogodę – protestuje Bringas uroczyście. – Jak i na każde nieszczęście.

– Co do tego nie mam wątpliwości. Ale trochę odpoczynku, ciepła i wzmocnienia dobrze panu zrobią... Proszę wejść i zdjąć ten mokry płaszcz.

Kleryk w końcu ulega i wszyscy trzej siadają w saloniku ozdobionym myśliwskimi motywami. Ich ubrania parują w ciepłe kominka, kiedy kelner przynosi Bringasowi zamówiony napitek: szklankę gorzałki z żółtkiem. Na tacy z ponczem znajduje się także list, złożony i zalakowany, zaadresowany do don Pedra; ten bierze przesyłkę do ręki, choć jej nie otwiera, uprzejmie prowadząc rozmowę z klerykiem, który przy ogniu zdjął perukę i gestykuluje, trzymając ją w dłoni.

– Gdyby tylko klimat był tam inny – a jest jeszcze gorszy niż tutaj, mogę panów zapewnić – to zamieszkałbym w Londynie – stwierdza Bringas. – Przysięgam na Newtona i Shakespeare’a, że żyłbym nad Tamizą, oddychając zdrowym, sprzyjającym wolności powietrzem wśród narodu, który potrafił obciąć głowę swojemu królowi...

– I pana zdaniem to zdrowe? – oburza się don Hermógenes.

– Naturalnie, jak najbardziej. Moim zdaniem to nawet higieniczne. Dzięki temu pięknemu przykładowi kolejni królowie pamiętali o takiej możliwości, a wyspa dziś słynąca z wolności obywatelskich udowadnia, że można dobrze rządzić, z królami czy bez nich.

– A pan, admirale, jak sądzi? – interesuje się don Hermógenes. – Czy dobrze pamiętam, że Anglicy nie zachwycają pana tak jak naszego drogiego przyjaciela?

Don Pedro usadowił się w starym fotelu ze skóry, zniszczonej ciepłem pobliskiego kominka. Siedzi z założonymi nogami i spuszczoną głową, patrząc na nie otwartą kopertę, ma zamyślony, zdystansowany uśmiech.

– Oczywiście zazdroścę obywatelom, kupcom i marynarzom tego kraju... Uważam, że to naród waleczny, przedsiębiorczy i godny podziwu. Ale na moje szczęście, albo i nieszczęście, urodziłem się Hiszpanem i przez to nie mam innego wyjścia, jak ich nienawidzić, bo zawsze byli naturalnymi wrogami mojej ojczyzny.

– Jakże różne są narody – stwierdza Bringas, nadal stojąc plecami do ognia ze szklaneczką gorzałki w jednej ręce i peruką w drugiej. – Anglik, krzepki i dobrze odżywiony, zbiera owoce swojego trudu i swej odwagi. Francuz jest smutny: nie śmieje się na polu, gdzie pracuje jak wół, ani w mieście, gdzie krzywo patrzy na luksusy szlachty i rozmyśla nad wyrównywaniem rachunków w przyszłości... Włoch czasem się budzi ze swojego letargu, żeby odpowiedzieć na zew miłości, pasji czy muzyki. Niemiec pracuje, pije, chrapie i tyje. Rosjanin pozwala się zniewolić i orze pole jak bydłę...

– A nasz rodak? – dopytuje niecierpliwie don Hermógenes.

– Hiszpan? O nim proszę nawet nie wspominać. Owinięty peleryną, pochłonięty chimerami, gardzi tym, czego nie wie, czyli niemal wszystkim, przesypia sjęstę pod drzewem, czekając, by opatrność zesłała mu pożywienie i wyciągnęła go z tarapatów.

– To ładny obrazek. – Bibliotekarz się śmieje.

– Wydaje się oczywisty. Spośród wszystkich ludzi kultury, z jakimi się stykam, tylko ja jeden znam prosty lud, bo żyję pośród niego... Nie żebrzę o resztki z pańskich stołów jak Bertenval i pozostali tandetni filozofowie z café Procope.

Don Hermógenes przygląda się zamkniętej kopercie, którą don Pedro ciągle trzyma w rękach.

– Powinien pan przeczytać ten list, admirale. To mogą być ważne wiadomości.

– Pewnie – dodaje Bringas. – Proszę się nami nie krępować.

Don Pedro kiwa głową, przeprasza, łamie lak i rozkłada kartkę. Potem czyta i tylko dzięki najwyższej samokontroli powstrzymuje emocje, by nie odmalowały się na jego twarzy.

Szczerliwa, że skutki incydentu nie były poważne, chciałabym przekazać Panu osobiście wyrazy mojego zadowolenia. Przypominam o zaproszeniu na śniadanie, jakie Panu złożyłam przed kilkoma dniami. Czekam na Pana jutro w domu o dziewiątej.

Margot Dancenis

– Czy to jakaś zła wiadomość? – dopytuje don Hermógenes, zaniepokojony milczeniem swojego towarzysza.

– Nie, absolutnie – odpowiada admirał po chwili namysłu. – Jest jednak mała trudność... Jutro będą panowie musieli pójść beze mnie do banku Vanden-Yver, żeby podjąć pieniądze. Czekają mnie pewne nieprzewidziane obowiązki.

Bibliotekarz spogląda na niego z niepokojem.

– Czy to może jakaś poważna sprawa?

– Nic groźnego. Jeśli nie mają panowie nic przeciwko temu, spotkamy się później w kawiarni, o której mówił kleryk.

– W Parnasie – przypomina Bringas.

– Świetnie. – Don Pedro potakuje skinieniem głowy, jest niewzruszony, chowając liścik do rękawa żakietu. – Tam się spotkamy za piętnaście dwunasta i razem pójdziemy do biura adwokata.

Po kilku tygodniach zbierania materiałów wróciłem do Paryża z gotową konstrukcją powieści, brakowało mi tylko ostatnich rozdziałów. Pozostawała przede mną najtrudniejsza i najmniej zabawna część pracy:

ciągłe pisanie, skakanie po tekście do przodu i wstecz, nie kończące się korekty podlegające ciągłym przeglądom, co miało mi zająć jeszcze rok. Ale główna część fabuły – historia dwóch akademików, ich podróży i następujących po sobie wydarzeń – już była solidnie ukształtowana. Wiedziałem, jakie fakty można ustalić, a resztę białych plam i pustych miejsc – tych fragmentów – których nie da się ściśle odtworzyć na podstawie dokumentów, byłem gotów zrekonstruować albo wymyślić ze sporą dozą prawdopodobieństwa.

Prywatna wizyta, jaką złożył don Pedro madame Dancenis, trochę mnie martwiła. Wiedziałem, że mam do czynienia z sytuacją dość niewygodną dla admirała, który, naturalnie, jako prawdziwy dżentelmen, jakim był przez całe życie, nie pozostawił żadnego śladu tego epizodu ani w korespondencji, ani w sprawozdaniu z podróży przedstawionym później swoim kolegom z Hiszpańskiej Akademii Królewskiej. Nie miałem więc innego wyjścia, jak tylko użyć wyobraźni, by opisać to, co się wydarzyło podczas tego śniadania. Na szczęście szczegółowa książka Mary Summer, wydana w 1898 roku *Quelques salons de Paris au XVIIIe siècle*, oraz już pełna podkreśleń i notatek praca Merciera *Tableau de Paris* dostarczyły mi wielu bardzo wartościowych wskazówek na temat obyczajów towarzyskich madame Dancenis. Znajomość tematu mogłem pogłębić później dzięki długiemu artykułowi przysłanemu mi przez Chantal Keraudren, bukinistkę znad Sekwany i nauczycielkę historii, który, jak mi opowiadała, znalazła przypadkiem w jednym ze starych numerów „Revue des Deux Mondes”. Materiał ten, napisany w 1991 roku przez Gérarda de Cortanze, odnosił się do spisanych wspomnień miłosnych we Francji przedrewolucyjnej, a w nich wymieniano Margot Dancenis dwukrotnie.

Uzupełniłem ten dorobek kolejną, tym razem przeprowadzoną z lupą w rękę, szczegółową analizą portretu małżonków Dancenis namalowanego

przez ich przyjaciółkę Adélaïde Labille-Guiard, którego znalazłem bardzo dobrą kopię. Było dla mnie bardzo ważne, by nieco głębiej poznać charakter Margot Dancenis poprzez jej wygląd, bo chciałem odkryć – biorąc pod uwagę swobody i poglądy właściwe jej epoce – w jaki sposób ta niezwykła kobieta o nieskrępowanej obyczajowości przeżywała emocje. Portret był dla niej oczywiście korzystny, nie tylko pod względem przedstawienia fizyczności. Tworzący kontrast z domowym wyglądem małżonka strój wiejski w angielskim stylu, jeździecki żakiet i kapelusz amazonki przydawały jej spokojnej pewności siebie. Świeżej i zdecydowanej dezynwoltury. A książka Rousseau na jej podołku zmuszała, by spojrzenie widza skierowało się ku jej oczom, pięknym i bardzo ciemnym, otoczonym lokami czarnych włosów bez pomady, które wypływały spod niewielkiego ronda i bażanciego pióra jej kapelusza. W tym wzroku skupiało się wszystko – jej inteligencja, opanowanie i namiętność. Dzięki tym oczom, zrozumiałem, można było odtworzyć to wszystko, co zdarzyło się podczas śniadania.

I tak, dysponując już materiałami i siedząc w Madrycie nad klawiaturą, mogłem się w końcu zmierzyć z tym wyzwaniem. Także w tym przypadku pomógł mi plan Paryża autorstwa Aliberta, Esnaulta i Rاپilly’ego; dzięki niemu odtworzyłem wydarzenia tamtego poranka, kiedy don Pedro Zárate, minąwszy podcienie i rusztowania na budowie Palais-Royal, gdzie chronił się przed deszczem, przeszedł przez rue Saint-Honoré, minął czarno-złotą kratę przed eleganckim pałacem państwa Dancenis, pociągnął za dzwonek przy drzwiach i punktualnie o dziewiątej podał swoją wizytówkę lokajowi.

– Zastaje mnie pan przed poważnym dylematem: jakiego tonu karminu dziś użyć. Jego wybór to podstawowy problem. Aktorki używają rózu, żeby lepiej wyglądać w świetle płomieni świec, elegancka kurtyzana ledwo ubarwia nim policzki, starając się, by nie wyglądać zbyt wyzywająco,

a dziwka tak się smaruje, jakby była żoną rzeźnika... Na tonie czerwieni polega paryski szyk.

Piękne, świeżo uczesane włosy, delikatne rysy twarzy i odrobina makijażu, odpowiednie światło biorące się z połączenia szarości wpadającej przez otwarte okiennice i blasku zapalonych świec. Wnętrze jest urządzone z dbałością i dobrym smakiem, bo madame Dancenis ma zmysł sceniczny i wycucie chwili. Przyjęła admirała, siedząc w łóżku z kołdrą nasuniętą do podołka, plecy ma oparte o liczne poduchy, ubrana w lekki peniuar, który bardziej podkreśla, niż zasłania kształty rysujące się pod satynową koszulką. Na kołdrze leży taca ze śniadaniem dla dwóch osób podanym na serwisie z porcelany i srebra, obok książka otwarta drukiem do dołu, a w zasięgu ręki, na nocnej szafce, trzy flakoniki z karminem, od których z pełną swobodą kobieta rozpoczęła rozmowę.

– Ależ niech pan siada, admirale. – Margot Dancenis wskazuje stojące przy łóżku krzesło obite aksamitem. – Napije się pan kawy?

– Bardzo proszę.

– Z mlekiem?

– Czarną.

– Czyli po hiszpańsku.

– Tak, właśnie.

Sama nalewa parującą kawę do filiżanki i podaje gościowi. Pochylając się w jej stronę, don Pedro czuje zapach delikatnych perfum, który dziś przypomina woń jaśminu. Potem, podnosząc filiżankę do ust, admirał rozgląda się wokół. Sypialnię zdobią obrazki, figurki, miniatury i kosztowne drobiazgi modne w Paryżu: statuetka chińskiego maga, akt Klingstedta rysowany czarnym tuszem, ruchome lalki przedstawiające Oktawia, Lucindę i Scaramuccię oraz około tuzina pudełek z laki, różnych kształtów i rozmiarów. Arras zdobiący wezgłowie łóżka, przedstawiający

dworską scenę śniadania na trawie, musiał kosztować przynajmniej dziesięć tysięcy liwrów.

– Zawiodła nas madame Tancredi, którą też zaprosiłam na śniadanie. Wygląda na to, że została w łóżku z migreną. A Des Veuves, mój fryzjer, musiał chwilę temu wyjść, jak tylko mnie uczesał. Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza.

– W żadnym razie.

– Czasem Coëtlegon przychodzi na kawę. Ale dziś nie jest w stanie, oczywiście.

Rozmawia swobodnie, lekko, patrząc na don Pedra tylko ze słabym śladem uśmiechu w kącikach ust. Nic nie mówiąc, admirał wytrzymuje ze spokojem jej spojrzenie i popija kolejny łyk kawy. Światło w pokoju, zaaranżowane tak artystycznie do obrazu, sprzyja Margot Dancenis: zacierają słabe jeszcze oznaki upływu czasu, maskuje ślady ostatniej nocy, podkreśla wyraz uważnych czarnych oczu, urodę jej szyi, kształty, których można się domyślać pod peniuarem. To jakby, stwierdza admirał, atrakcyjna Diana wychodząca ze snu. Albo z kąpieli.

Wydaje się, że kobieta czyta w jego myślach. Albo po prostu je zna, bez cienia niepewności.

– W Paryżu każda światowa kobieta dwukrotnie zmienia rano toaletę – mówi z uśmiechem. – Pierwsza jest sekretna i nawet kochankowie jej nie widzą. Wchodzą dopiero o określonej porze, bo kobietę można zdradzić, ale nigdy nie wolno jej zaskoczyć... Dopiero potem pojawia się ta druga, stanowiąca rodzaj zabawy wymyślonej dla kokieterii. Peniuar, który opada, dezabil mniej lub bardziej wymowny... To wszystko pośród sypkich pudrów, delikatnych tiulów i gazy, nie doczytanych listów i otwartej na kołdrze książki, takiej jak ta, którą pan widzi... Mam nadzieję, że pozostaję w zgodzie z kanonem.

Teraz uśmiecha się admirał.

– Może być pani pewna. Dobry gust i uroda są dzięki temu bardziej widoczne niż w formalnym stroju... Pani wygląd wydaje się dziełem rozkosznego przypadku.

– Tu nie ma mowy o żadnym przypadku. – Wydyma usta w grymasie udającym obrazę. – To słowo jest synonimem ignorancji. Praca, rozwaga, cierpliwość, kalkulacja: to środki, jakich dostarcza nam natura, byśmy odkrywali jej najcenniejsze skarby.

– Nie jest pani dla siebie sprawiedliwa. Kalkulacja nie jest pani potrzebna. Jest pani taka, jaka jest.

Powiedział to zbyt szybko, niemal bez zastanowienia. Prawie odruchowo. Margot Dancenis, dziwnie zamyślona, patrzy na niego przez chwilę w milczeniu.

– Dziękuję panu – mówi w końcu. – Rano tylko mój piesek Wolter i bliscy przyjaciele mają prawo tu wchodzić. Okna są jeszcze nie całkiem otwarte, a dzień zaczyna się dopiero około południa. Wiele kobiet w Paryżu nie budzi się przed wieczorem, a idzie spać o poranku. I to osoby przyzwoite, a przynajmniej oficjalnie za takie uchodzące.

Madame Dancenis czasem milknie między zdaniami albo słowami, ciągle patrząc uważnie na admirała. Obserwuje starannie każdy jego gest oraz efekt, jaki wywierają na nim jej słowa. A don Pedro raz za razem podnosi do ust filiżankę, stoicko znosząc tę lustrację.

– Posiadając te zastępy mamek, guwernantek, nauczycieli, mnóstwo szkół i klasztorów – ciągnie madame Dancenis – niektóre kobiety nawet nie zauważają, że są matkami. Ich biust jest nietknięty... Kiedyś zwiędłe piersi uchodziły za piękne, wykarmiły dzieci i to dodawało im urody. Dziś... No cóż, ja nigdy nie miałam tego szczęścia. Nie doczekałam się potomstwa i nie sądzę, żebym jeszcze miała dzieci. Już wkrótce mój wygląd...

Tu przerywa, a wykalkulowana cisza wywołuje kolejny uśmiech admirała.

– Pani wygląd zawsze będzie znakomity. Czy będzie pani miała dzieci, czy nie.

– Przynajmniej oszczędzam sobie zwiędłych piersi.

Zapada kolejna chwila ciszy – krótka pauza, którą Margot Dancenis wykorzystuje, by wpleść palce w koronkę na kołdrze.

– Skoro nie jestem w ciąży, kiedy chcę wydawać się interesująca, zawsze udaję niedyspozycję... Choroba to w Paryżu normalna kondycja. My, kobiety, często uznajemy ją za najbardziej odpowiednią. Mamy nazwę na nasze dolegliwości: wapory.

– *La mollesse est douce, et sa suite est cruelle* – mówi admirał.

– Proszę! – Patrzy na niego zaskoczona. – Czytał pan Woltera?

– To normalne.

Unosząc delikatnie rękę do szyi, śmieje się z wdziękiem.

– Biorąc pod uwagę, że jest pan Hiszpanem, nie ma w tym niczego normalnego.

– Zdziwiłaby się pani, jak wiele osób go tam czyta.

– W Akademii?

– I poza nią.

– Mimo zakazów?

– Mimo wszystko.

– Jednak mój ojciec go nie czytał. Ani on, ani żaden z jego znajomych. W mojej szkole, prowadzonej przez zakonnice, „bezbożny filozof” też nie cieszył się zbyt dużą estymą. Nawet wypowiedzenie jego nazwiska było zakazane... Groziło chłostą.

– Została pani kiedyś wychłostana? – Don Pedro jest zaskoczony, pyta niemal odruchowo.

Kobieta uśmiecha się z pewnością siebie w tak dziwny sposób, że admirał się waha.

– Nigdy jako dziewczynka.

– No tak. – Admirał poprawia się na krześle, nie wiedząc, jak z tego wybrnąć. – Chciałem powiedzieć, że... No cóż, czasy się zmieniają.

– Bardzo muszą się zmienić tam, na dole mapy, obawiam się... Jeszcze kawy?

– Uprzejmie proszę.

Admirał przysuwa filiżankę, zadowolony ze zmiany tematu, a Margot Dancenis nalewa mu nieco czarnego, już letniego płynu z dzbanka.

– W każdym razie – mówi, wracając do poprzedniego wątku – zasada jest prosta: słabość sprzyja kobiecie, a my o tym wiemy. Chcemy się wydawać delikatne, sprawiać wrażenie, że potrzebujemy mężczyzn.

– To sprzyja miłości własnej tych, którzy są świadkami takiej słabości.

Gospodyni spogląda na niego znów z zaciekawieniem.

– Ale sprawia, że stajemy się śmiertelnie nudne. Kobieta cierpiąca na wapory nie robi nic poza wycieczkami z łazienki do toaletki, a stamtąd na swoją otomanę. W Paryżu jazdę w powolnym, nudnym rzędzie powozów i przechadzki po sklepach przy rue Saint-Honoré nazywamy spacerem. Niektóre kobiety uznają za kobiecość najgłupsze lenistwo.

Unosi rękę i pociąga za sznur znajdujący się u wezgłowia, którym wzywa pokojówkę. W odróżnieniu od zwykłego hiszpańskiego dzwonka, jak zauważył admirał, paryskie domy są pełne tych sznurów, nazywanych *sonnettes*. To bardzo modne.

– My, paryżanki, jesteśmy szczupłe – stwierdza madame Dancenis. – Beznadziejnie byłoby przytyć po trzydziestce i musieć polegać na gorsetach

i wielorybich kościach. Niektóre kobiety nawet piją ocet, żeby zachować szczupłą talię. Dlatego mają takie twarze.

Młoda i ładna służąca, ubrana z wdziękiem, wchodzi do sypialni, poprawia pani poduszki i zabiera serwis śniadaniowy.

– Ma pani uroczą pokojówkę – zauważa admirał, kiedy dziewczyna wychodzi.

– Pokojówki nie mają wad właściwych lokajom. Przejmują maniery kobiet, którym służą, w ten sposób się kształcą... Kiedy wychodzą za mąż za mieszczan, mają dystygowany wygląd, który robi wrażenie na ludziach z ich klasy, a mało wprawne oko mogłoby nawet wziąć je za kobiety z wielkiego świata, za *demoiselles* i *mesdames*.

– Zauważyłem, że w Paryżu nadużywa się tych form.

– Tu się zwraca *per demoiselle* do każdej dziewczyny, z którą nie jest się na ty. Również *madame* mówi się do każdej kobiety, od księżnej po praczkę i kwiaciarkę, a niedługo nawet do dziewcząt będziemy mówić wyłącznie *madame*, bo jest już tyle starych *demoiselles*, że łatwo się pomylić... Co pan sądzi o kobietach w Paryżu?

– Nie wiem, co odpowiedzieć... Są interesujące, naturalnie. Swobodne, odrobinę zuchwałe. Znacznie bardziej niż zazwyczaj w Hiszpanii.

– Tutaj kobiety przywykły, by pokazywać się w miejscach publicznych i obcować z mężczyznami, mają własną dumę, pewnego rodzaju bezczelność i nawet specyficzne spojrzenie... Mieszczki, poświęcające się swoim mężom, dzieciom i domowym sprawom, są oszczędne, przezorne i pracowite... Kobiety z wyższych sfer piszą dziesięć, dwanaście listów dziennie, wysyłają petycje, osaczają ministrów. Urządzają w życiu swoich kochanków, mężów, synów...

– Rousseau pisał bardzo cierpko o paryskich kobietach.

Margot Dancenis mruga, znów zaskoczona.

– Czytał pan więc także dobrego Jeana-Jacques’a?

– Trochę.

– Jest pan kopalnią niespodzianek... W każdym razie nie brakowało Rousseau racji. My, paryżanki, często jesteśmy rozrzutne, zalotne, frywolne. Dzień wykorzystujemy, by prosić, a noc – by pozwalać. To mąż powinien wpływać na małżonkę, jednak ponieważ trzem czwartym mężczyźn brak charakteru, siły i godności, często kobiety przejmują ster... Tu nie ma znaczenia skromne pochodzenie, gryzетка czy kwiaciarka może dzięki swej urodzie uwieść księcia, marszałka Francji, ministra, a nawet króla. I poprzez nich rządzić.

– W Hiszpanii to jest niemożliwe – stwierdza admirał.

– Mówi pan to tak, jakby się z tego cieszył.

– To prawda, cieszę się. Mimo wszystkich naszych defektów nasi królowie i wielcy ludzie posiadają godność, bo tego żąda od nich lud... Tam kochanki nie wpływają na politykę. To byłoby niestosowne. Niedopuszczalne.

Zapada cisza. Kobieta przygląda mu się uważnie.

– Pewnie pan myśli, że jestem kokietką.

– W żadnym razie.

– Nie jestem kokietką. – Teraz uśmiecha się łagodnie. – Wiem tylko, że mężczyźni zainteresowani kobietami stają się bardziej pomysłowi i zabawni. Nawet zuchwali. Zatem pozwalam się kochać. W moim wieku. Na ile szacuje pan mój wiek?

Admirał gwałtownie unosi się na krześle, niemal podskakuje.

– Nigdy bym nie śmiał... Choć pani wiek każdy mógłby ocenić, nie ryzykując nieuprzejmości.

Kobieta rozchyła usta, zadowolona.

– Jest pan prawdziwym dżentelmenem.

– Przesadza pani.

Don Pedro patrzy na jeden z obrazków, przedstawiający czarne sylwetki, wiszący na wytapetowanej ścianie. W postaci namalowanej chińskim atramentem łatwo można rozpoznać panią domu. Jej delikatny, elegancki i charakterystyczny profil, wyjściową fryzurę, w ręku parasolkę. Madame Dancenis podąża za jego spojrzeniem i znów uśmiecha się z przyjemnością.

– Jeśli da mi pan czterdzistkę albo coś koło tego, nie pomyli się pan specjalnie.

Don Pedro kręci głową, przecząc bardzo łagodnie.

– Piękna kobieta nigdy nie ma czterdziestu lat: ma trzydzieści albo sześćdziesiąt.

– No proszę! Ma pan talent. Czy raczej to, co tu określamy nieprzetłumaczalnym słowem: *esprit*.

– Mam jedynie zdrowy rozsądek.

Tym razem następuje długa i miła pauza. Kobieta patrzy na swoje białe, zadbane dłonie i paznokcie o doskonałym kształcie. Potem delikatnie dotyka książki leżącej do góry grzbietem na kołdrze i wzdycha lekko, po czym znów podnosi wzrok na admirała, patrzącego na szkic.

– Podoba się panu ten obrazek?

– Bardzo.

– Narysowała go moja przyjaciółka Adélaïde Labille-Guiard.

– Jest bardzo delikatny. I w pełni oddaje pani postać.

Admirał widzi, że dama uśmiecha się melancholijnie.

– Istnieje taki okrutny moment w życiu każdej kobiety – odzywa się po chwili Margot Dancenis – która budziła pożądanie u mężczyzn i zazdrość

u innych kobiet, kiedy lustro mówi, że już nie jest tak piękna jak kiedyś.

Don Pedro potakuje ostrożnym ruchem głowy.

– Możliwe... Przypuszczam, że będzie to ciężki cios, jeśli kiedyś nadejdzie.

Madame Dancenis wydaje się zasepiona, jakby przytłumione światło naraz przestało jej sprzyjać.

– Nawet pan sobie nie wyobraża jak bardzo. To znacznie cięższy cios niż dla ministra utrata z dnia na dzień władzy albo królewskiej przychylności. A istnieją tylko dwa wyjścia z takiej sytuacji: powołanie religijne albo talent pozwalający zestarzeć się z godnością. I tak kobieta, która miała licznych kochanków, powinna uważać się za szczęśliwą, jeśli potrafi jednego z nich, tego najinteligentniejszego, zmienić w wiernego, lojalnego przyjaciela.

– To brzmi bardzo rozsądnie.

– I tak jest. Bo kiedy rozwiewają się złudzenia pierwszych namiętności, rośnie w siłę rozsądek... Kobieta czterdziestoletnia może zostać wspaniałą przyjaciółką, wiążąc się z mężczyzną, którego przyjaźń ceni i któremu oddaje tysięczne przysługi.

– To oczywiste – uważa admirał. – Istnieją kobiety godne podziwu, przywykłe do myślenia. Inteligentne damy o swobodnym umyśle, które stają ponad przesadami i łączą silną męską duszę z wrażliwością swojej płci.

– Rzeczywiście tak jest. Być może dlatego mądre kobiety czulej kochają swoich starych przyjaciół niż młodych kochanków... Są zdolne oszukać męża czy kochanka, ale nigdy przyjaciela.

Kolejna pauza. Madame Dancenis znów patrzy na książkę, której tytułu na grzbiecie don Pedro nie jest w stanie odczytać.

– Swoją drogą, napisałam do pana krótki liścik, choć bałam się, czy nie popełnię jakiegoś błędu ortograficznego... Mój hiszpański marnieje z braku używania, a pomyłka byłaby niewybaczalna, kiedy adresatem jest akademik.

– Kobieta taka jak pani może mylić się w ortografii, ale nigdy nie popełni błędu w stylu.

Uśmiech madame Dancenis jest teraz promienny. Roztopiłaby, stwierdza don Pedro, nie tylko całą czekoladę przy rue Saint-Honoré, ale cały lód Arktyki.

– Podoba mi się pan. Często się pan uśmiecha, zamiast odpowiadać. Nie stara się pan być sprytny, okazywać *esprit*. Należy pan do osób, które pozwalają mówić innym i potrafią słuchać, a przynajmniej robi pan takie wrażenie.

Nie umiejąc odpowiedzieć na te słowa, don Pedro jedynie wytrzymuje spojrzenie swojej rozmówczyni. Margot Dancenis wygodnie sadowi się wśród poduszek na łóżku, a jej kształty rysują się wyraźniej pod peniuarem i lekką satyną koszulki.

– Bystra kobieta – ciągnie dalej – potrafi już przy trzecim zdaniu odgadnąć, kto popisuje się wiedzą, ale też odkrywa talent u mężczyzny, który milczy.

Podnosi książkę i pokazuje ją admirałowi, jakby dzieliła się tajemnicą.

– Każdego poranka czytam pół godziny przed wstaniem z łóżka – dodaje. – Teraz to. Zna pan?

Admirał bierze książkę z jej rąk. Jest to tomik *in octavo* oprawny w skórę, z ilustracjami. *Thérèse philosophe*, czyta na stronie tytułowej. Autor: Boyer d'Argens.

– Nie znam tego.

– To się tutaj nazywa „lekturą filozoficzną”... Albo dworną.

– Czy to książka libertyńska? – Don Pedro jest zaskoczony.

– Tak. – Kobieta się śmieje. – To bardziej precyzyjne określenie.

Admirał przewraca kilka stron. Ku jego zaskoczeniu ilustracje są jawnie pornograficzne. Kiedy podnosi wzrok na madame Dancenis, zauważa, że ta, rozbawiona, wypatruje z zaciekawieniem jego reakcji.

– Istnieją konwencjonalne lektury dworne, niemal niewinne, takie jak *Paméla*, *Clarisse Harlowe* czy *Nowa Heloiza*... Ta jest może trochę odważniejsza.

Raczej znacznie, stwierdza don Pedro, przewracając kolejne stronicie i starając się zachować obojętną minę. Jedna z ilustracji, absolutnie jednoznaczna, ukazuje nagą kobietę w pościeli podczas aktu seksualnego z mężczyzną.

– Istnieją panie, które są przekonane, że mogą wypowiadać się o książce, jakby to był puder albo wstążka do kapelusza – mówi madame Dancenis swobodnie – oceniając ją po kolorze i okładce. To te, co mówią bardzo poważnie, że wolą Racine’a od Corneille’a albo odwrotnie... Naprawdę dystyngowane panie zrezygnowały z roli jakże śmiesznych *femmes savantes*, co było w modzie przed trzydziestu laty, i pozostawiły żonom akademików dbanie o reputację swych mężów i ocenianie talentu nowych i dawnych autorów... Tego rodzaju powieści nie tylko są zabawniejsze, ale sprawiają, że kobiety stają się bardziej świadome. Bardziej wolne.

Don Pedro nadal przerzuca strony. Na kolejnym rysunku dziewczyna z obnażonymi piersiami pieści plecy mężczyzny, który zajmuje się dość dogłębnie i od tyłu inną klęczącą kobietą. Dotarłszy do trzeciej ilustracji – trzech mnichów dotykających różnych fragmentów anatomii dziewczęcia z uniesioną suknią – admirał przestaje kartkować książkę i odkłada ją na kołdrę bez komentarza.

– W Paryżu – ciągnie Margot Dancenis – miłość to nic więcej jak powściągnięta rozwiązłość, towarzyska gra, która zajmuje nasze zmysły, nie angażując rozsądku ani nie prowadząc do zobowiązań. Jest delikatna z powodu swej zmienności, nie wymaga zbytnich poświęceń, jakie kosztowałyby nas zbyt wiele. Uwodziciel staje się nim wyłącznie dla kobiety, która chce zostać uwiedziona, a prawdziwa cnota może pozostać nietknięta. Miłość jest lekka, ulotna i znika, kiedy pojawia się nuda... Rozumie pan, o czym mówię?

Pauza jest krótka. Trwa tyle, ile trzeba, by admirał, zbierając całą swoją odwagę, przełknął ślinę przed odpowiedzią albo jej próbą, bo czuje suchość w ustach.

– Tak sędzę – mówi w końcu, opanowując się, na ile potrafi. – Chce pani powiedzieć, że Amor atakuje tu tak powierzchownie, że rani jedynie serca gotowe, by odnieść rany?

Kobieta robi gest, jakby po cichu biła brawo.

– Właśnie tak! Dlatego dopóki wszystko przebiega dyskretnie, mąż za nic nie odpowiada i nikt z niego nie drwi. W wielkim świecie uważa się, że w Paryżu małżonek nie jest panem swojej żony ani żona nie jest mu winna posłuszeństwa. Każde żyje swoim życiem, ma swoich przyjaciół, swoje zainteresowania. Małżonkowie szanują się wzajemnie. Pilnowanie czy oskarżanie żony uważa się za mieszczańskie grubiaństwo... Rozumie pan?

– Jasne.

– Koniec końców cnota inspiruje jedynie obrazy chłodne i spokojne. To namiętność i występki ożywiają kompozycje malarza, poety, muzyka. To one pobudzają śmiałych kochanków.

– Mówiła tak pani przed kilkoma dniami przy kolacji.

– Ma pan dobrą pamięć.

– Czasami.

Kolejna pauza. Cisza jest teraz tak napięta, że don Pedro, naprężony i wyprostowany na swoim krześle od dobrej chwili, czuje, że zaczynają go boleć mięśnie pleców.

– Czy jest pan śmiały, admirale?

Ten smutno się uśmiecha.

– Już od dawna nie.

– A uczciwy?

– Bywają dni, kiedy się staram.

– Dostrzegam u pana jakąś melancholię – mówi powoli, zamyślona. – I myślę, że nie stoi ona w zgodzie z pana wiekiem.

Wreszcie opanowany, odzyskawszy samokontrolę – aluzja do wieku, paradoksalnie, dodała mu otuchy – admirał wzrusza ramionami jakby z lekceważeniem.

– W młodości podróżowałem po świecie, dźwigając pewną melancholię niczym bagaż... Przedwczesną pewność albo przecucie, że życie odbierze mi najpiękniejsze rzeczy, jakie spotkam.

– Na przykład?

– Nic mi nie przychodzi na myśl – odpowiada admirał po króciutkiej pauzie.

– Jest pan pewien?

– Tak.

Rozparta na poduszkach, Margot Dancenis patrzy na niego pytająco, bardzo uważnie, ale teraz jej uśmiech wydaje się pełen aprobaty. Jej ciało – szyja i ramiona – zdaje się ciepłe. Przyjazne. Jest przepiękna, naraz myśli admirał. Znów. W tym miejscu. Przy tym świetle.

– Rousseau doradzał podróże, by się nabawić pogardy dla człowieka.

– Ja nie gardzę człowiekiem. – Admirał już odzyskał zimną krew. – Ograniczam się do próby poznania go. Do obserwacji.

Margot Dancenis znów bierze książkę i przewraca kilka stron, również tych z ilustracjami, z obojętną miną. Naraz szybko podnosi wzrok, jakby chciała zaskoczyć admirała i przyłapać go z takim wyrazem twarzy, którego by nie kontrolował.

– Jest pan bez wątpienia przystojnym mężczyzną – mówi po chwili.

– Nie wiem, co pani przez to rozumie. – Don Pedro mruga, speszony. – W moim wieku...

– Mężczyzna przystojny to taki, którego natura ukształtowała odpowiednio, by spełniał dwie podstawowe funkcje: własne przetrwanie, co obejmuje takie rzeczy, jak choćby prowadzenie wojny oraz przedłużanie gatunku, które sprowadza się do jednego... Czy całował pan jakąś kobietę w Paryżu?

Admirał patrzy na nią zaskoczony. Jest niemal na skraju paniki.

– Nie sądzę, żeby... Na Boga, proszę pani... Oczywiście, że nie.

– Oczywiście? W przeciwieństwie do Hiszpanii w Paryżu całuje się bardzo łatwo. Nic bardziej naturalnego niż ten prosty wyraz afektu.

Madame Dancenis podaje książkę admirałowi, nalega, by znów wziął ją do ręki.

– Niech mi pan poczyta. Bardzo proszę. Moi przyjaciele często czytają mi na głos.

– Sam nie wiem, czy powinienem – wymawia się don Pedro z zakłopotaniem. – To po francusku.

– Pan świetnie mówi po francusku. Niech pan przetłumaczy na hiszpański. Chciałabym sprawdzić, jak to brzmi w naszym języku.

Podaje mu książkę otwartą na stronie, którą wskazuje palcem. Admirał czyta głośno, robiąc przerwy, by znaleźć właściwe słowa:

Kobiety mają swoje potrzeby tak jak i mężczyźni, są też stworzone z tej samej materii, choć nie mogą używać tych samych środków. Poczucie godności, lęk przed niedyskretnymi niezdarami, którzy zrobią im dziecko, nie pozwalają im odwoływać się do tych samych zabiegów, jakich używają mężczyźni...

– Proszę czytać dalej – mówi Margot Dancenis, kiedy admirał podnosi wzrok, żeby na nią spojrzeć. – Kilka linijek dalej, jeśli pan taki miły.

– Jak pani sobie życzy. Dalej...

Krew, duch, nerw prężący napompowały i usztywniły grot. Oboje zgodnie przyjmują odpowiednią postawę; strzała kochanka wsuwa się w kołczan jego ukochanej, nasienie zbiera się poprzez wzajemne nacieranie ich intymnych części. Nadmiar rozkoszy ich unosi, a boski eliksir gotów jest, by się rozlać...

Don Pedro, zmieszany, przerywa lekturę. Zakłopotanie, wyobraża sobie – i to wyobrażenie wcale mu się nie podoba – pewnie maluje się na jego twarzy. Ona obserwuje go z uwagą.

– I co pan sądzi? – pyta.

Don Pedro waha się, szukając odpowiedniego słowa.

– Podniecające – stwierdza. – Zakładam.

– Zakłada pan?

– Tak.

Uśmiech Margot Dancenis staje się wyraźniejszy.

– To nazywa się u nas literaturą filozoficzną.

Teraz admirał nie odpowiada. Pomiędzy wargami kobiety, jeszcze nie umalowanymi, widać białe końce jej siekaczy. Są błyszczące. W jej oczach pojawia się inny błysk.

– Proszę czytać dalej. Od zaznaczonej strony, proszę.

Don Pedro patrzy na nią spokojnie. Już odzyskał zimną krew.

– Czy jest pani pewna? Myśli pani, że to stosowne?

– Jak najbardziej.

Wraca do głośnej lektury, oddzielając zdania. Tłumacząc bez pośpiechu i bez trudu. *À l'instant vous tombâtes entre mes bras...*

Po chwili wpadłeś w moje ramiona. Chwycałam bez wahania grot, który wcześniej wydawał mi się tak groźny, i sama umieściłam go w otworze, w jaki wcześniej celował. Zatopiłeś się we mnie, a pomimo zdwojonej siły twojego natarcia nie wydałam żadnego krzyku; całą uwagę skupiłam na doznawaniu rozkoszy, przez co nawet nie poczułam bólu... I namiętność jakby usunęła całą filozofię z pewnego siebie mężczyzny, kiedy mówiłeś niewyraźnymi słowami:

– Nie skorzystam, Tereso, z wszystkich praw, jakich mi udzieliłaś; obawiasz się ciąży, więc jej nie spowoduję. Wielka rozkosz nadchodzi, zbliż znów rękę do swojego zwycięzcy, a kiedy go wycofam, wspomóż go kilkoma ruchami... To już ta chwila, dziecko moje... Ja... z rozkoszy...

– Ach! Ja też umieram – krzyknęłam. – Samej siebie nie czuję... Tracę... zmysły...

Tymczasem pochwyciłam grot i ujęłam go delikatnie dłonią, która służyła mu za kołczan i w której pokonał ostatni odcinek drogi, jaki dzielił go od zaspokojenia...

Dotarłszy do tego miejsca, admirał zamyka powoli książkę, wstaje i pozostaje kilka chwil bez ruchu, poważny i zamyślony. Potem niespiesznie podchodzi do Margot Dancenis, jakby dawał jej okazję, by go powstrzymała spojrzeniem lub słowem, lecz nie natrafiając na opór, pokonuje drogę, jaka dzieli go od zaspokojenia.

Deszcz rozpościera szarą zasłonę nad całą rue Vivienne, zasłaniając chwilami budynki, które stoją wzdłuż niej. Nieopodal, przy fasadach po lewej, osłonięty przed ulewą peleryną i kapeluszem, Pascual Raposo w pewnej odległości śledzi ruchy don Hermogenesa Moliny i kleryka Bringasa, którzy idą szybkim krokiem pod wielkim czarnym parasolem, trzymając się pod rękę dla lepszej ochrony przed deszczem. Szybkim spojrzeniem w prawo Raposo upewnia się, że Milot w towarzystwie dwóch typów – zaufanych zbirów, jak zapewnił policjant – również idą w ślad za mężczyznami po drugiej stronie ulicy, uważni niczym krogulce, unikając strumieni spływających z rynien i dachów. Na ulicach jest niewielu ludzi, od czasu do czasu jakiś powóz przejeżdża, rozbryzgując błoto, a pojedynczy przechodnie poruszają się szybko, jakby ukradkiem, albo biegną, żeby uciec przed potokami wody. Szare światło pozostawia otwory bram w mroku, a w niektórych sklepach pojawiły się na wystawach świece, żeby oświetlić leżące wewnątrz towary. Wszędzie panuje wrażenie chłodu, wilgoci, opuszczenia i smutku.

Raposo kalkuluje, czekając na okazję. Rue Vivienne kończy się przy rue Neuve des Petits-Champs obok Palais-Royal. Kleryk i akademik wyszli przed pięcioma minutami z biura banku Vanden-Yver i teraz idą w stronę Sekwany. Można założyć, że mają przy sobie pieniądze przeznaczone na *Encyklopedię* wdowy Hénault, które według Milota, zawsze godnego zaufania w tego typu ustaleniach, mają zostać oddane jej synowi, adwokatowi, którego biuro znajduje się przy Pałacu Sprawiedliwości. Dzięki temu nadarzy się wiele okazji, by wykonać jego plan, a sama myśl o tym wywołuje na jego twarzy przedwczesny, morderczy uśmiech. Wszystko jest umówione i przygotowane, brak tylko odpowiedniego miejsca, by rzecz wykonać. Bowiem w miarę jak kleryk z akademikiem zbliżają się do rzeki i do centrum miasta, możliwości działania będzie coraz

mniej. W pobliżu Luwru tłoczy się więcej ludzi i powozów, nawet w tym deszczu; pozostaje posterunek straży przy Pont Neuf, ale jest dość niewygodny. Wszystko musi zdarzyć się wcześniej, w strefie, której wyobrażona granica znajduje się na rue Saint-Honoré. To, zdaniem policjanta, jest linia graniczna. To ostatnia szansa, żeby zaatakować i uciec bez problemu.

Zaskakująca jest nieobecność don Pedra Zárate, myśli Raposo, uciekając z ciężkim przekleństwem na ustach przed strumieniem wody lejącym się z jednej z rynien. Choć Raposo, Milot i dwóch łotrów śledzą bibliotekarza i kleryka od chwili, kiedy ci opuścili bank Vanden-Yver po spędzonej w środku godzinie, admirała wciąż nie widać. Nie ma to wielkiego znaczenia, bo jest oczywiste, w czyich rękach znajdują się teraz pieniądze, na które wymieniono dokument bankowy akademików. Raposo jednak to człowiek metodyczny, który nie lubi pytań bez odpowiedzi. Być może śledzeni idą teraz na spotkanie z nim, stwierdza. Może jest chory albo już czeka u adwokata, albo w Marais z wdową Hénault. Ta ostatnia myśl nieco go niepokoi. Mam nadzieję, myśli podejrzliwie, że osobnik ten nie jest już w trakcie pakowania tych dwudziestu ośmiu przeklętych tomów.

Kleryk i bibliotekarz dotarli na róg. Rusztowania murarzy zastawiają im drogę do ogrodów i przebudowywanych galerii Palais-Royal i Raposo widzi, jak skręcają w lewo. Przyspiesza, żeby nie stracić ich z oczu i zbliża się, brnąc z chlupotem przez kałuże i zauważając, że po prawej stronie Milot ze zbirami też się ożywiają. Raposo dociera na róg na czas, by wychylając się zza niego, dostrzec, że dwaj mężczyźni wchodzi w rue des Bons-Enfants i w niej znikają. To jedna z tych uliczek, które wczoraj z policjantem starannie obejrzeni, podobnie jak całą resztę okolicy, szukając prawdopodobnych i nieprawdopodobnych tras przewidywanej na dzisiaj drogi. To doskonałe miejsce do wykonania planu, ma zakręt i przylegający

doń wąski przesmyk, wychodzący dokładnie w połowie ulicy. Raposo unosi rękę, żeby powiadomić Milota, ale robiąc to, już widzi, że policjant sam zrozumiał sytuację, bo wydaje teraz polecenia swoim zbirom, którzy rzucają się do biegu, rozpryskując wodę, wpadają pod rusztowania przy Palais-Royal i znikają z oczu. Następnie Milot zwraca się do Raposa, dając mu znak, że wszystko jest w porządku, a wtedy on znów przyspiesza, mija róg i widzi, że obaj mężczyźni nadal idą pod rękę pod parasolem, nieświadomi tego, co się dzieje za ich plecami. Są oddaleni o jakieś dwadzieścia kroków, Raposo więc jeszcze przyspiesza, szybko się do nich zbliżając, deszcz siecze mu po twarzy pomimo opuszczonego ronda kapelusza i spływa po połach płaszcza, mocząc mu nogi aż po uda, mimo że nosi sztylpy. Posuwa się naprężony jak struna, zdecydowany, srogi, czując, jak krew pulsuje mu gwałtownie w uszach i w sercu. Dobrze jest, myśli przelotnie, czasem odświeżyć stare zwyczaje. Odkurzyć dawne instynkty. Na moment obraca się, by sprawdzić, czy Milot zgodnie z obietnicą nadchodzi z tyłu, i widzi, jak policjant mija zakręt najspokojniej w świecie, gotów obserwować wszystko z daleka. Tak jak to miało być. W ten sposób nie będzie problemu, gdyby coś poszło nie tak i ktoś wezwałby policję. Bo w sumie – jak wczoraj słusznie zauważył Milot, trzymając po dziwce na kolanie, kiedy popijali piwo w starym kabarecie Ramponeau – policja to on.

Don Hermógenes nigdy nie widział, żeby padał tak rzęsiasty deszcz. Pomimo że parasol osłania kleryka Bringasa i jego, bibliotekarz ma mokre całe nogi i pół tułowia; choć okrył się dodatkowo hiszpańską peleryną, ta dawno przemokła. A Bringas, mimo zapiętego płaszcza, wcale nie jest od niego suchszy. Nie mogli złapać dorożki – wygląda na to, że wszystkie wolne powozy rozpuściły się w deszczu; mężczyźni idą więc ramię w ramię, chroniąc się przed wilgocią na wszelkie sposoby i przyspieszając kroku.

– Kiedy dotrzemy do Luwru, schronimy się przed deszczem – mówi pocieszająco Bringas. – Pójdziemy podcieniami.

Niezbyt przekonany, don Hermógenes kiwa głową, choć podcienie Luwru wydają mu się równie odległe jak kopalnie w Peru. Lewą ręką trzyma się ramienia kleryka, który ściska parasol, podczas kiedy prawą, utkwioną w kieszeni kurtki, dotyka niespokojnie ciężkich rulonów monet, jakie oddano mu w banku Vanden-Yver w zamian za niemal całą sumę pokwitowania wystawionego przez Akademię. Don Hermógenes trzyma po trzy rulony w każdej kieszeni, żeby równo rozłożyć ciężar – tysiąc pięćset liwrów w dobrym francuskim złocie, z wybitymi profilami Ludwika XV i Ludwika XVI. To w każdym razie zbyt wiele ludwików, żeby spokojnie spacerować po Paryżu z tym wszystkim przy sobie i bez żadnej ochrony, poza klerykiem. Mimo że mijają na ulicy niewiele osób, a może właśnie dlatego, bibliotekarz nie czuje się bezpiecznie. Nie jest przyzwyczajony. Brak mu pewności. Nigdy nie był odpowiedzialny za tak dużą kwotę. Nigdy nawet nie widział podobnej sumy na oczy. To złoto, stwierdza, ciąży niczym kajdany u szyi albo jak wyrok w zawieszeniu. Lub jak groźba. Deszcz i związane z nim niedogodności nie są więc jedynym powodem, dla którego don Hermógenes zmusza swojego towarzysza, by przyspieszył kroku, chcąc dotrzeć jak najszybciej do kawiarni, gdzie mają się spotkać z admirałem, zanim dokończą transakcję z adwokatem Henaultem.

Znajdują się w połowie ulicy, gdy naraz bibliotekarz słyszy przez stukot kropli deszczu chlupot za plecami. Obraca się lekko, by spojrzeć za siebie, kiedy w wąskim, ciemnym zaułku po prawej stronie pojawiają się dwa szybko zbliżające się cienie. Naraz szarość dnia wydaje się złowieszcza, jakby padająca z nieba woda przemieniła się w popiół, a nie znany do dziś dreszcz niepokoju, a potem paniki przebiega bibliotekarza po plecach, kręci w brzuchu i zdaje się zatrzymywać mu serce.

– Proszę biec, kleryku.

Ten nagły animusz – dość niezwykły u człowieka o tak pokojowym usposobieniu – okazuje się daremny. Bibliotekarz jeszcze nie zdążył wypowiedzieć ostatnich słów, kiedy chlupot, który słyszał za plecami, staje się coraz szybszy i bliższy, a straszliwy, dźwięczny cios dosięga podstawy jego czaszki, powodując, że przed oczami albo w nich samych wybuchają mu setki świetlistych gwiazdek. Chwiejąc się i próbując trzymać ramię Bringasa, żeby nie upaść, don Hermógenes czuje, jak klerykiem wstrząsa dreszcz, słyszy jego jęk; parasol spada, zakrywając bibliotekarza czarną zasłoną, pod którą błyskają świetliste punkciki, pojawiające się i znikające niczym iskierki, przesywające mu mózg.

– Łotry! Na pomoc! Do mnie! Pomocy! – Bibliotekarz słyszy, jak krzyczy Bringas.

Głos kleryka zdaje się dobiegać z daleka. Don Hermógenes macha rękami, żeby się wyswobodzić spod parasola. Dyszy, łapiąc powietrze, bo ma wrażenie, że nagle jego płuca się opróżniły. Czuje, że miękną mu kolana, a czyjeś silne dłonie chwytają go i zawieszają w powietrzu, a po chwili, kiedy udaje mu się lekko podnieść powieki i dojrzeć cokolwiek pośród absurdalnie rozbłyskujących sztucznych ogni mącących mu wzrok, zauważa pod światło trzy ciemne sylwetki. Trzy postaci w wąskim i mrocznym zaułku, do którego go ciągną, okładają niemiłosiernie kleryka, a jemu zadają kolejny cios, tym razem prosto w żołądek. Bibliotekarz kuli się jak ranne zwierzę, upada na ziemię i pozostaje tam, leżąc na boku, obolały i przerażony, po czym moczy się – ciepła wilgoć, niemal przyjemna, powoli zalewa mu pachwiny – i ledwo czuje, dalekie jak w koszmarnym śnie, zachłanne dłonie, które przeszukują mu kieszenie i zabierają rulony ze złotymi monetami.

1. Mowa wstępna wydawców. Encyklopedia, którą dajemy do rąk czytelnikom, jest, jak jej tytuł wskazuje, dziełem zespołu pisarzy, w: J. Le Rond d'Alembert, *Wstęp do Encyklopedii*, tłum. J. Hartwig.

11. MIESZKANIEC PAŁACU MONTMARTEL

Po latach nieuctwa znowu nadejdzie wiek oświecenia. Pełnia światła uderzy nas silniej, skoro przedtem spędzimy czas jakiś w ciemności.

J. Le Rond d'Alembert, *Wstęp do Encyklopedii*, tłum. Julia Hartwig

Białe peruki, zakłady dostatnie i ciemne. Z uwagi na sąsiedztwo Pałacu Sprawiedliwości stała klientela kawiarni Parnas wygląda poważnie, nawet odświętnie. Atmosfera jest przesycona dymem tytoniowym, gwarem rozmów i zapachem tłumu, mokrych trocin na ziemi, zmokniętych ubrań. Z wieszaków zwisają płaszcze, ociekające parasole stoją oparte o ścianę przy wejściu, a wewnątrz, wokół stołów nakrytych obrusami i serwetkami, zastawionych filiżankami do kawy, prawnicy wszelkiej maści piszą, czytają, palą i rozmawiają.

– To straszliwy cios – stwierdza don Pedro Zárate. – Katastrofa.

Znajdują się w trójkę w jednej z sal w głębi, zajęli miejsce przy śmierdzącym piecu, pod kiepskim obrazem przedstawiającym scenę myśliwską. Don Hermógenes siedzi naprzeciwko admirała z łokciami opartymi na blacie, dłońmi zasłaniając twarz, właśnie skończył opowiadać ostatnie szczegóły zdarzenia. Jego ubranie jest brudne i jeszcze mokre, pomimo że siedzą nieopodal pieca, zakiet rozerwany na ramieniu. Poza wyrazem smutku twarz bibliotekarza ukazuje też straty odniesione podczas niedawnej przygody: opuchnięte powieki, wylew na białku jednego oka,

otępiła mina. Kleryk Bringas, siedzący obok, nie wygląda lepiej: zdjął perukę, a pomiędzy krzywo obciętych kosmykami włosów rysuje się kształt wielkiego guza. Ma też fioletowego siniaka na policzku, a jego ruchy są zbolale i ostrożne, typowe dla kogoś, kto został straszliwie pobity.

– Wszystko nam ukradli – jęczy załamany don Hermógenes. – Zupełnie wszystko. Zabrali nawet mój zegarek. I tabakierę.

– Z pewnością szli za nami od samego banku Vanden-Yver – twierdzi kleryk.

– Skąd mogli wiedzieć, że macie przy sobie tyle pieniędzy?

– Nie wiem. – Bibliotekarz kręci głową, niepokieszony. – Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

– Najważniejsze, że nic wam nie jest.

– Prócz tego, iż dokładnie nas obili – żali się Bringas.

– Mimo wszystko nie odnieśliście groźniejszych ran. Tego trzeba sobie pogratulować. W takich przypadkach zawsze mogło być gorzej... Daliście im odpór?

– Na ile mogliśmy. Pan Bringas oczywiście bronił się lepiej ode mnie. Słyszałem, że w tej potyczce walczył jak dziki lew.

– Właściwie to nawet nie była potyczka – dodaje Bringas z żalem. – Nie mieliśmy żadnych szans... Gdybym ich wcześniej zauważył! W dawnych czasach... No cóż. To fakt, że tych trzech zbirów działało szybko i skutecznie. Wiedzieli, czego szukają.

– Było ich tylko trzech? – nie dowierza don Hermógenes. – Sądząc po cięgach, jakie zebrałem, myślałem, że nie mniej niż trzydziestu.

Zapada cisza, patrzą po sobie ponuro. Niezdecydowanie.

– Co zrobimy? – pyta w końcu don Hermógenes.

Admirał kręci głową.

– Nie wiem.

– Trzeba zgłosić kradzież.

– Na niewiele to się zda. Teraz złoto jest już daleko.

– W każdym razie należy złożyć oficjalną skargę w ambasadzie – sugeruje Bringas.

– To nie rozwiązuje podstawowego problemu – odpowiada admirał. – Jesteśmy umówieni w sprawie *Encyklopedii* wdowy Hénault... Jej syn czeka na pieniądze.

– Niech mu pan powie, że nastąpiło pewne opóźnienie. Parę dni.

– W parę dni nie rozwiążemy tego problemu. Nie mamy dodatkowego półtora tysiąca liwrów.

– Ani nie znajdziemy sposobu, żeby go zdobyć – dodaje don Hermógenes.

– No tak.

Bibliotekarz znów ukrywa twarz w dłoniach.

– Nie mogę uwierzyć, że nam się to zdarzyło. Co za pech.

– To moja wina – próbuje go pocieszyć admirał. – Powinienem być pójść z wami.

– Niczego by to nie zmieniło, drogi przyjacielu... Bylibyśmy obici wszyscy trzej, a nie tylko my dwaj. Złoto tak czy inaczej by zniknęło.

– We trzech lepiej byśmy się bronili.

– Zapewniam pana, że nie było skutecznej obrony – utrzymuje Bringas. – Rzucili się na nas niczym trzy tygrysy bengalskie.

Kleryk i don Hermógenes patrzą na admirała, jakby wymagali od jego spokojnej głowy prawdziwej diagnozy sytuacji. A ten, jakby streszczając ją, wzrusza ramionami.

– Zostało nam jakieś sześćset liwrów, które mieliśmy przeznaczyć na ostatnie wydatki w Paryżu i powrotną podróż, a także na lokum woźnicy, przechowanie berliny i stajnię dla koni.

– To nie wystarczy – stwierdza bibliotekarz. – Sami znaleźlibyśmy się w biedzie.

– Kompletnej.

– Może dalibyśmy połowę wdowie i synowi Hénault jako kaucję, żeby poczekać parę dni.

– Jak długo? Brakującej reszty nie uda się nam zebrać.

– Niech się panowie zwrócą o pomoc do Madrytu, opisując, co się wydarzyło – sugeruje Bringas. – Niech wasza Akademia podejmie decyzję.

Admirał kiwa głową nieco sceptycznie.

– Trzeba będzie tak zrobić. Jednak zanim otrzymamy odpowiedź, minie trochę czasu. I ryzykujemy, że stracimy *Encyklopedię*, czekając na decyzję Akademii... Z drugiej strony dość trudno opisać w zwykłym liście to, co się wydarzyło. Nie wiem, czy nasi koledzy akademicy zrozumieliby nasze położenie.

– O mój Boże – lamentuje don Hermógenes. – Co za wstyd... Hańba.

Bringas marszczy brew, najwyraźniej wpadł na jakiś pomysł i spogląda na don Pedra.

– Nie sądzi pan, że osoby tak znane jak państwo Dancenis mogłyby...

Admirał odchyła się na oparcie krzesła z nieprzejednaną miną. Mówi oschle:

– Nie ma mowy.

Następuje kolejna pauza. Wszyscy trzej patrzą po sobie, są przybici.

– Zabrnęliśmy w ślepy zaułek – stwierdza don Pedro. – Trzeba będzie się wycofać.

Znów milczą. Bringas kręci peruką w zamyśleniu. Potem dotyka swojego guza i z największą ostrożnością wkłada perukę na głowę.

– Powiedziałem, że najpierw trzeba złożyć skargę w ambasadzie.

– Zrobimy to – odpowiada admirał. – To logiczne.

– Tak. Ale w ambasadzie można spróbować jeszcze czegoś innego.

Don Pedro przygląda mu się z zaciekawieniem.

– Proszę wyjaśnić.

– Są panowie hiszpańskimi akademikami... Nie byle kim.

– Obitymi akademikami – precyzuje don Hermógenes. – Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

Admirał przygląda się uważnie klerykowi.

– Do czego pan zmierza?

Bringas uśmiecha się kącikiem ust niemal przebiegle.

– Ambasador, mój ziomek hrabia Aranda, nie może odmówić spotkania się z panami. Tym bardziej kiedy chodzi o taką sprawę. Jego obowiązkiem jest też udzielenie panom rady. A w razie konieczności okazanie pomocy.

– Ma pan na myśli pomoc pieniężną?

– Naturalnie... Ktoś, kto dysponuje dwustoma tysiącami liwrów na roczne wydatki, nie biorąc pod uwagę tajnych funduszy, może panom pomóc, jeśli go przekonacie, jasna sprawa... Bo hrabia słynie ze skąpstwa.

Admirał przez chwilę się nie odzywa, zamyślając się, podczas gdy don Hermógenes spogląda to na jednego, to na drugiego z nadzieją w oczach.

– Nic nie stracimy, jeśli spróbujemy – mówi. – Przyjmie nas jeszcze raz? Poprzednio nie zajął się nami jakoś specjalnie.

Bringas robi pewną siebie minę.

– W kwestii spotkania możecie być panowie spokojni. Wybuchłby skandal, gdyby po tym, co się stało, hiszpański ambasador nie

zainteresował się problemami, jakie jego rodaków i akademików spotkały w Paryżu... Inna sprawa, czy uda się panom pokonać węża, jakiego ma w kieszeni.

Don Hermógenes kiwa głową z przekonaniem, obserwując cały czas admirała.

– Czemu nie? – mówi. – Nic nie stracimy, jeśli spróbujemy.

Bringas opiera się o blat z nagłym ożywieniem.

– Trzeba po prostu tam pójść... Tylko niech mnie panowie posłuchają, bo znam się na rzeczy: nie idziemy tam z pokorą, prosząc o oficjalną audiencję. Chodźmy tam od razu, panowie niech będą pewni siebie, oburzeni tym, co się stało, i zażądają od sekretarza Heredii natychmiastowego spotkania z hrabią. To sprawa wielkiej wagi i tak dalej, trzeba trzaskać drzwiami co niemiara.

– No może bez trzaskania... – protestuje don Hermógenes.

– To tylko figura retoryczna. Zapewniam panów, że na dyplomatów to działa jak magia.

– Jeśli pan tak twierdzi...

– Twierdzę i mogę udowodnić. Ja sam, jak panowie widzą, cieszę się pewną łatwością dostępu do ambasady. I zapewniam...

– Zgoda – przerywa mu nagle admirał.

Bringas mruga, zdziwiony jego tonem.

– Jest pan pewien?

– Całkowicie. Ma pan rację. Trzeba skoczyć na głęboką wodę. Co w Paryżu i w tym deszczu jest jeszcze łatwiejsze.

W każdej powieści znajdują się postacie drugoplanowe, które wymagają sporo pracy, a w tej książce jedną z nich jest hrabia Aranda, ambasador Hiszpanii w Paryżu. Kiedy znalazłem się w tym miejscu przygód

akademików, potrzebowałem bliższych danych na temat misji dyplomatycznej Arandy w przedrewolucyjnej Francji i potwierdzonych konkretnych szczegółów dotyczących biografii tej postaci. Zaangażowany reformista i przyjaciel encyklopedystów, wymieniający listy z Wolterem i innymi filozofami Don Pedro Pablo Abarca de Bolea, hrabia Aranda, był mi znany z różnych przyczyn, między innymi z uwagi na kluczową rolę, jaką odegrał wiele lat wcześniej podczas likwidacji w Hiszpanii zakonu jezuitów, co wiązało się z jedną z moich wcześniejszych powieści, *Zagadka statku Dei Gloria*. Zachowałem w swojej bibliotece obszerny materiał na temat Arandy, w tym parę wnikliwych biografii, łącznie z monumentalną pracą *Hrabia de Aranda* Olaechei i Ferrera, obfitującą w detale związane z dekadą, kiedy to don Pedro Pablo stał na czele ambasady w Paryżu; miałem także kilka jego portretów, dzięki czemu mogłem nadać tej postaci wyrazisty kształt. Odwołałem się do literatury przedmiotu, żeby dokładniej scharakteryzować tego bohatera, który pojawił się już przelotnie w piątym rozdziale naszej historii: miał sześćdziesiąt dwa lata, choć robił wrażenie starszego, był zgarbiony, zezowaty, nieco głuchy i zachował ledwie parę zębów, a tym wszystkim, co wiedziałem i czego się domyślałem, mogłem uzupełnić opowieść o drugim i ostatnim spotkaniu don Pedra Zárate i don Hermogenesa Moliny z ambasadorem Hiszpanii w Hôtel de Montmartel, siedzibie hiszpańskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego, które już wkrótce zostanie przeniesione do budynku przy placu Zgody, gdzie dziś mieści się hotel Crillon. Z rozmowy tej don Hermógenes sporządzi sprawozdanie, które później przekaże Akademii, a którego oryginał, zachowany w archiwach, trafił w moje ręce, co pozwoliło mi dość wiernie przedstawić scenę, jaką sam bibliotekarz opisał tymi słowami:

Na początku jego uprzejmość wobec nas była niezobowiązująca, jakby nieuważna, właściwa osobie, która ma ważniejsze i donioślejsze sprawy na

głowie.

Bo rzeczywiście tak było. W tym czasie hrabia Aranda nie tylko zajmował się dbaniem o stosunki pomiędzy dworami w Madrycie i Wersalu, utrzymywaniem bliskich kontaktów ze światem oświeceniowym, wspieraniem zbuntowanych przeciwko Anglii kolonii w Ameryce, zdobywaniem francuskiego poparcia w sprawach Gibraltaru i Minorki i wieloma innymi poważnymi kwestiami wagi państwowej, ale także konspirował przeciwko swoim politycznym wrogom w Hiszpanii, przede wszystkim przeciw sekretarzowi stanu o nazwisku Floridablanca i prokuratorowi Rady Kastylii Campomanesowi. Kiedy akademicy odwiedzili Paryż, hrabia był człowiekiem oświecenia i reform, chwilowo oddalonym od hiszpańskiego dworu, jednak ciągle wpływowym, szanowanym, o stałych i bogatych kontaktach w Europie. Po powrocie do Hiszpanii czekała na niego świetna pozycja na dworze, choć jego sympatia do postępowych idei, które już wkrótce miały doprowadzić do rewolucji francuskiej, przywiedzie go dekadę później do politycznej klęski.

W każdym razie hrabia Aranda był jeszcze człowiekiem bardzo wiele mogącym, kiedy tamtego szarego dnia deszcz tłukł w szyby okien, a ogień w ogromnym kominku sprawiał, że w jego gabinecie panowała nieznośna temperatura. Przyjął don Pedra Zárate i don Hermogenesa Molineę, siedząc za biurkiem pełnym książek i papierów, po tym jak akademicy, a zwłaszcza szczególnie nalegający admirał, wyjaśnili sekretarzowi Heredii, że nie odejdą, dopóki nie zostaną przyjęci przez ambasadora w związku z nadzwyczaj ważną sprawą, dotyczącą niemal racji stanu. I właśnie teraz przekonywali ambasadora, że tak właśnie było.

– Ubolewania godne – mówi hrabia Aranda. – To, co się panom zdarzyło, jest godne ubolewania.

Wygląda na to, że podoba mu się to określenie, bo powtarza je, kiedy bierze szczyptę tabaki – nie częstując gości – ze złotej emaliowanej tabakiery ozdobionej herbem hiszpańskiej korony.

– Ubolewania godne – dodaje jeszcze raz, po tym jak głośno kichnął i wytarł nos koronkową chustką.

Mętne światło wpadające przez okno sprawia, że jego oczy – prawe lekko zezujące – wydają się jeszcze bardziej szare. Ma siwą, ufryzowaną z absolutną perfekcją perukę, która doskonale współgra z żakiem z zielonego jedwabiu haftowanym złotem na mankietach i klapach, gdzie błyszczy francuski Order Ducha Świętego.

– I co panowie zamierzają teraz zrobić?

Admirał patrzy niezdecydowany na swojego towarzysza. Pytanie hrabiego Arandy ma bardziej charakter uprzejmej rozmowy, niż wyraża prawdziwe zainteresowanie. Od czasu do czasu ambasador rzuca dyskretne, przelotne spojrzenie na papiery i gazety leżące na jego biurku z chęcią, by prędko do nich powrócić po tym, jak przerwali mu goście, których sekretarz Heredia wprowadził do jego biura, tłumacząc, że to poważna sprawa.

– Potrzebujemy pieniędzy – mówi admirał prostu z mostu.

Lewe oko Arandy mruga chwilę wcześniej niż oko prawe. Pieniądze. To jedno z niewielu słów, które sprawiają, że ktoś taki jak on, zaprawiony w najbardziej skomplikowanych intrygach, zaczyna mrugać. Jego wada słuchu zdaje się dawać mu kilka sekund na namysł.

– Pieniądzy, mówią panowie?

– Tak, Ekscelencjo.

– Ekhm... Ile?

– Tyle, ile nam skradziono: tysiąc pięćset liwrów.

Aranda drapie się po nosie, jakby tabaka jeszcze go drażniła. Nos ma duży, garbaty, wyraźnie widoczny na żółtawej twarzy. Przez chwilę, nie

odpowiadając, przygląda się obu mężczyznom siedzącym po drugiej stronie biurka, widzi spokojne oczy admirała Zárate i naiwne, pełne nadziei i dobroci bibliotekarza Moliny. Tysiąc pięćset liwrów to fortuna w tych czasach. Nawet dla ambasady. Marszczy więc czoło z niechęcią.

– Czy chcą panowie powiedzieć, że mam pokryć ten koszt?

Don Hermógenes, który nie czuje się pewnie, znów spogląda na swojego towarzysza. A ten, milczący, sztywny i poważny, siedzi na krześle uważnie wpatrzony w ambasadora, który przygląda się z zaciekawieniem regularnym rysom twarzy admirała, jego siwym włosom zebranych w kucyk, starannie ogolonej brodzie, prostemu granatowemu żakietowi, jaki przydaje mu surowego, niemal wojskowego wyglądu, kontrastującego z niedbałością bibliotekarza. To brygadier Armady, wydaje się, że ambasador do takiej doszedł konkluzji. Jeden z tych gładkich i zarozumiałych marynarzy, rozpoznawalnych nawet w cywilnym stroju. Nic, choćby zaduch panujący w pokoju, nie robi na nim wrażenia.

– Mamy ograniczone możliwości – mówi ambasador po chwili. – Życie w Paryżu jest czterokrotnie droższe niż w Madrycie. Godne reprezentowanie naszego króla kosztuje prawdziwą fortunę. Czy wiedzą panowie, ile wydaje nasze poselstwo tylko na kuchnię, oświetlenie, ogrzewanie i stajnie? No cóż, bagatela, sześćdziesiąt tysięcy liwrów rocznie. I nawet nie wspomnę o całej reszcie... Tutaj kształtuje się politykę całego kontynentu, to generuje monstrualne koszty.

– Te pieniądze są nam potrzebne, Ekscelencjo – mówi don Pedro oschle.

Gdyby wypowiedział je ktoś inny, te słowa mogłyby uchodzić za bezczelność. Jakby nie słyszał wcześniejszych argumentów, myśli z urazą Aranda. Unosi więc wyniośle głowę.

– To nie jest bank, szanowni panowie. Obawiam się, że w kwestii finansowej nic nie mogę dla panów zrobić.

Admirał nie odpowiada przez chwilę i patrzy z roztargnieniem na egzemplarze „Courrier de l’Europe” i „Gazette d’Amsterdam” leżące pośród papierów na stole.

– Proszę pozwolić, bym opowiedział pewną historię, panie ambasadorze.

Aranda spogląda na wskazówki złotego barokowego zegara stojącego na kominku, gdzie pali się ogromny płomień.

– Mam dziś spotkanie z królem w Wersalu – protestuje – i czeka mnie droga, no cóż, przeraźliwie daleka. Nie wiem, czy dysponuję czasem.

– Mamy nadzieję, że pana szlachetność pozwoli panu nim dysponować.

Aranda unosi dłoń do prawego ucha.

– Przepraszam?

– Pańska szlachetność, Ekscelencjo.

Jasne oczy admirała wytrzymują ze szczerością zakłopotane spojrzenie ambasadora. W końcu mina hrabiego wskazuje, że się poddaje, choć niechętnie.

– Proszę więc mówić.

I don Pedro mówi. Przed niemal siedemdziesięciu laty, opowiada, jedenastu godnych mężów, którzy zbierali się w każdy czwartek, żeby rozmawiać o literaturze, postanowiło wzbogacić język hiszpański słownikiem, jak wcześniej zrobili to już Anglicy, Francuzi, Włosi i Portugalczycy. Jest prawdą, że Hiszpania wyprzedziła inne narody o stulecie, kiedy jednojęzyczny słownik romański Sebastiana de Covarrubias zasłużył na powszechny podziw. Czas jednak mijał i słownik Covarrubiasa stawał się coraz bardziej przestarzały, a w Hiszpanii

brakowało skutecznego narzędzia, które najlepiej podsumowałyby bogactwo języka kastylijskiego.

– Wiem o tym wszystkim aż za dobrze – przerywa mu ambasador ze znudzoną miną.

Admirał jednak ciągnie niewzruszenie.

– Rozumiemy, że Wasza Ekscelencja wie o tym, i właśnie do tej wiedzy się odwołujemy... Bo bez wątplenia wie pan także, że ci prekursorzy w postaci jedenastu akademików mianowali swoim dyrektorem markiza Villenę i oddali się pod opiekę króla Filipa V.

– To także wiem.

– Naturalnie... Podobnie to, jak myślę, że Jego Królewska Mość zlecił im „pracę nad precyzyjnym i dokładnym słownikiem języka hiszpańskiego”, słownikiem, jaki najpierw został opublikowany w sześciu tomach, a następnie w jednym, nad którym teraz pracuje Akademia z nadzieją, że nowe wydanie ukaże się za rok albo dwa.

Aranda się niecierpliwi, rzuca kolejne niezadowolone spojrzenie na zegar.

– Do czego pan zmierza?

– Do tego, że w kwestii słowników to my, Hiszpanie, już od dawna musimy się rumienić, że choć byliśmy pierwsi, to wcale nie jesteśmy najlepsi... I właśnie to stara się zmienić obecna Akademia. Chce stworzyć najlepsze trzy publikacje: pierwsza – z cytatami autorytetów, druga – słownik w jednym tomie, aby łatwiej można było z niego korzystać, i trzecia, która ukaże się w niedalekiej przyszłości. Żeby były najdoskonalsze w swojej epoce... Dlatego nie możemy odwracać się od awangardowej myśli europejskiej, jaką zbiera w sposób niezwykle udatny *Encyklopedia*. To jest królewskie polecenie, panie ambasadorze. To nasz obowiązek jako poddanych i zaszczyt – jako Hiszpanów.

– To wszystko doskonale rozumiem i, hm, zgadzam się ze wszystkim – mówi Aranda. – Jednak pieniądze...

– Pieniądze to poświęcenie, rozumiemy to. I mówią to panu dwaj skromni akademicy, którzy nie widzieli na oczy tysiąca pięciuset liwrów naraz w całym swoim życiu. Spotkało nas nieszczęście, co stanowi dla nas upokorzenie wobec towarzyszy z Akademii, wobec króla i wobec całego narodu... Jednak nie zasłużyliśmy na to upokorzenie. Daję panu słowo honoru, że nie zasłużyliśmy sobie na nie. Być może, zadanie przerosło nasze siły, jednak podjęliśmy się go z najlepszymi intencjami... Dlatego dziś przyszliśmy do pana, Ekscelencjo, jako do Hiszpana i człowieka honoru.

Aranda protestuje wymijającym gestem.

– Jestem tylko ambasadorem.

Admirał uśmiecha się słabo, jest nieco nieobecny. Jakby na głos myślał.

– Dla tych, którzy są na obcej ziemi, ambasador jest jak ojciec, a ambasada niczym schronienie... Powrót do Hiszpanii bez *Encyklopedii*, której zdobycie zostało nam powierzone, wydaje się nam nieznośną perspektywą.

– Do diabła! – Aranda gwałtownie odchyła się na oparcie krzesła. – Jest pan elokwentnym człowiekiem, admirale.

– Jestem, podobnie jak mój towarzysz don Hermógenes, człowiekiem zrozpaczonym.

Bibliotekarz kiwa głową, słysząc, że o nim mowa, i ociera kark chustką. Następuje chwila ciszy, kiedy don Pedro bardzo uważnie przygląda się ambasadorowi.

– Jestem też człowiekiem, który widział jaśniejącą pochodnię – dodaje.

Zaskoczenie, z jakim don Hermógenes odwraca się do swojego towarzysza, słysząc te słowa, jest niczym w porównaniu ze zdziwieniem

ambasadora. Jego Ekscelencja z miną typową dla osób niedosłyszących szeroko otwiera oczy, również to prawe. Potem pochyla się nad biurkiem w stronę admirała, patrząc na niego z zakłopotaniem. Wtedy akademik złączonymi palcami wskazującym i serdecznym dotyka lewej kłapy swojego żakietu.

– Murator? – pyta w końcu Aranda niemal szeptem.

– Trzech Świąteł.

– Stopień?

– Trzeci.

Asymetryczne oczy ambasadora bardzo uważnie śledzą admirała.

– Zna pan więc...?

Tu przerywa, nie przestając mu się przyglądać, a admirał powoli kiwa głową. Następnie tymi samymi palcami, co poprzednio, dotyka prawej kłapy.

– Zadziwiający – stwierdza wreszcie Aranda.

– Nie tak bardzo. – Don Pedro teraz nieokreśloną miną wyraża czas i oddalenie. – Zanim zostałem akademikiem, byłem marynarzem... W dawnych czasach podróżowałem do Francji i Anglii.

Ambasador z widocznym niepokojem przelotnie spogląda na don Hermogenesa.

– Czy pański towarzysz również...?

– W żadnym razie. Ale jest człowiekiem honoru, który potrafi zachować milczenie.

Aranda wzdycha, stukając w tabakierę, podczas kiedy don Hermógenes, zakłopotany, patrzy to na jednego, to na drugiego. W końcu ambasador otwiera pudełko i częstuje admirała, który odmawia ruchem głowy.

Pochylając ciało do przodu, bibliotekarz bierze szczyptę i podnosi ją do nosa.

– Niełatwo jest budować w Hiszpanii – zauważa Aranda, podczas kiedy don Hermógenes znów wyjmuje chustkę i głośno kicha.

Mówi te słowa, patrząc na don Pedra z wyczekującą ciekawością. A ten uśmiecha się łagodnie, melancholijnie.

– Wiem – odpowiada. – Ale tym niewiele się zajmuję... Moje zaangażowanie było skromne. Istniało dawno temu.

– Czy chce pan powiedzieć, że nie jest aktywnym budowniczym?

– Już od dawna nie. Choć zachowuję wspomnienie, kodeksy i sympatię.

Następuje długa cisza. Ambasador i admirał patrzą na siebie nawzajem z wyrazem milczącego porozumienia, a don Hermógenes nie wierzy własnym oczom. Wreszcie Aranda bierze gęsie pióro i w zamyśleniu przesuwa nim po grzbiecie lewej dłoni. Następnie otwiera skórzaną teczkę ze swoim herbem wytłaczanym złotem i wyjmuje kartkę papieru.

– Na jakie nazwisko będzie płatność?

– Wdowy Hénault – mówi admirał bez mrugnięcia okiem. – Tak będzie najbezpieczniej.

Ambasador moczy pióro w kałamarzu i powoli pisze. Przez minutę słychać tylko szelest pióra skrobiącego po papierze.

– Będzie mi potrzebne pokwitowanie podpisane przez panów. Ze zobowiązaniem zwrotu sumy przez Akademię. – Unosi twarz i patrzy na przemian to na jednego akademika, to na drugiego. – Czy mogą panowie podjąć takie zobowiązanie?

– Naturalnie – potwierdza chłodno don Pedro. – Tylko do zwrotu zobowiąże się nie Akademia, ale ja osobiście. Moim nazwiskiem i podpisem.

– I oczywiście ja – dodaje don Hermógenes, oburzony, że jego miałoby nie dotyczyć zobowiązanie.

Aranda patrzy na nich z życzliwością.

– Czy w Madrycie mają panowie taką sumę?

Admirał potakuje ruchem głowy.

– Posiadam odpowiednie środki, które pozwolą mi osobiście wypełnić to zobowiązanie. Podpis mojego towarzysza będzie zbędny.

– Opowiada pan byle co, drogi przyjacielu – protestuje bibliotekarz. – Nie pozwolę, żeby taki dług obciążał tylko pana.

– Później o tym podyskutujemy, don Hermesie. To nie jest ani odpowiedni moment, ani miejsce.

Ambasador podpisuje dokument, wyjmując piasek i suszy nim papier, po czym porusza kartą w powietrzu.

– Hm. W takim razie problem rozwiązany.

Ujmuje brązowy dzwonek znajdujący się pomiędzy papierami i potrząsa nim. Po chwili sekretarz Heredia pojawia się w drzwiach.

– Don Ignacio, bardzo proszę zanieść ten dokument Venturze, skarbnikowi, niech dostarczy panom to, o czym mowa w zapisie.

Sekretarz bierze dokument, czyta go i patrzy na ambasadora, wykrzywiając usta, jakby poczuł nagle ból zębów.

– Tysiąc pięćset liwrów, Wasza Ekscelencjo?

– Tak napisałem, prawda? Proszę to zaraz załatwić, rzecz jest pilna.

– Oczywiście. – Sekretarz jest posłuszny, już nie stawia oporu.

Aranda wstaje, wygładza poły zakietu. Akademicy naśladują jego ruchy.

– Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Don Ignacio jest człowiekiem działającym skutecznie, zajmie się wszystkim... Po powrocie

do Madrytu proszę pozdrowić ode mnie markiza Oxinagę, mojego wielkiego przyjaciela. A kiedy opublikujecie już nowe wydanie słownika, przyślijcie mi jeden egzemplarz. – Zezowate oko mruga porozumiewawczo do admirała. – Myślę, że zarobiłem sobie na niego.

– Bez wątpienia.

– Ach, i jeszcze jedno... Mam tu na biurku informację o nieprzyjemnym incydencie, w jakim brał udział pewien hiszpański obywatel znajdujący się przejazdem w Paryżu. Jakiś pojedynek, jak rozumiem... Prawda, don Ignacio?

– Istotnie, Wasza Ekscelencjo. – Sekretarz unosi brew. – Tak przynajmniej jest napisane.

Aranda zwraca się do akademików.

– Czy może przez przypadek wiedzą panowie coś o tej sprawie?

– Niewiele – odpowiada admirał, niewzruszony.

– Choć dotarły do nas takie pogłoski – niespokojnie dodaje don Hermógenes.

– No właśnie. – Zezowate oko patrzy na don Pedra równie przenikliwie jak oko lewe. – Jakiś pojedynek z udziałem osobnika odznaczonego czerwoną szarfą, który podobno więcej tam ucierpiał... Mam tu raport policyjny zawierający sugestię, żeby nasza ambasada przeprowadziła dochodzenie i właściwie ukarała osobę odpowiedzialną za skutki tego wybryku.

– I co pan zamierza zrobić w tej sprawie? – pyta admirał, zachowując zimną krew.

Ambasador przygląda mu się przez chwilę, nic nie mówiąc, jakby nie dosłyszał. Potem unosi ręce w geście komicznej niemocy.

– Prawdę mówiąc, nie zamierzałem robić nic, mam inne sprawy. Prawda, panie sekretarzu? Jak na przykład zaraz wyjechać do Wersalu.

Robi pauzę, odwraca się do biurka, szuka pośród papierów i wyjmuje jeden z nich. Przebiega go pobieżnie wzrokiem, a potem macha nim delikatnie w powietrzu.

– Chciałem tylko powiedzieć panom, że... No cóż... Przedtem sprawa ta była mi obojętna i zamierzałem zamknąć ją bez żadnego dochodzenia. A teraz drę ten dokument z prawdziwą przyjemnością... Życzę dobrego dnia, panowie.

Kleryk Bringas głośno wyciera nos, narzekając na pogodę w Paryżu. Wszyscy trzej, zmoknięci jak psy, stoją przy straganach z książkami, oleodrukami i kiepskimi obrazami pod arkadami Luwru, patrząc na deszcz i otrząsając z wody parasol i płaszczy. Czuć zapach mokrego papieru, zardzewiałych ram, błota na ulicach. W słabym, szarym świetle wpadającym z zewnątrz don Hermógenes spogląda z ukosa na admirała.

– Nigdy bym nie pomyślał – mówi.

Don Pedro jakby powracał z daleka, powoli odwraca się do swojego towarzysza i patrzy na niego, nic nie mówiąc. Bringas przygląda się z krytycznym zainteresowaniem chustce, po czym składa ją i wsuwa do kieszeni, przysłuchując się rozmowie akademików.

– Co ma pan na myśli? – pyta don Pedro.

Bibliotekarz nie odpowiada i nadal patrzy na admirała. Na twarzy don Hermogenesa widoczny jest wyraz bóleści, jakby mężczyzna doświadczył zawodu albo został zdradzony.

– Nie uprzedził mnie pan – mówi wreszcie.

– Nie było powodu – odpowiada po chwili don Pedro.

Akademicy patrzą na siebie w ciszy, przez chwilę słysząc jedynie szum deszczu.

– Mam wrażenie, że coś przeoczyłem – stwierdza Bringas.

Nikt nie wyjaśnia jego wątpliwości. Don Hermógenes nadal uważnie przygląda się admirałowi.

– Przebywamy razem od dość dawna – mówi z goryczą. – I są sprawy...

Przerywa w pół zdania, nie uzyskując odpowiedzi. Bringas patrzy to na jednego, to na drugiego, coraz bardziej zaintrygowany.

– Mogliby mi panowie powiedzieć, o czym, do diabła, jest mowa?

– Don Hermes właśnie się dowiedział, że jestem masonem – mówi admirał. – Albo raczej, że kiedyś nim byłem.

Kleryk też jest oszołomiony.

– Pan?

– To stara historia. Z czasów młodości... Spędziłem trochę czasu w Anglii. I poznałem ludzi morza, którzy byli masonami.

– Coś takiego. – Bringas wsuwa palec pod perukę i drapie się energicznie. – Podziwiam pana.

– Dlaczego? – Don Pedro robi obojętną minę. – To było głupstwo lat młodości... Uległem modzie jak wielu innych. To nic poważnego.

– Przeszedł pan wtajemniczenie i tak dalej?

– Tak, w Londynie. Potem odnowiłem w Kadyksie więzy z innymi kolegami z Obserwatorium Floty.

Bringas, rozemocjonowany konspiracyjnymi wiadomościami, przesuwa językiem po ustach.

– A potem?

– Potem nic. Już mówiłem, że to nie było nic formalnego. I moje związki z lożą powoli się rozluźniały. Ta sprawa należy do przeszłości.

– Jednak u ambasadora okazała się użyteczna – stwierdza don Hermógenes nadal zbolalym głosem.

– Poważnie? – Bringas aż podskakuje ze zdziwienia. – To z tego powodu...?

Don Pedro potakuje ruchem głowy.

– Ambasador jest masonem, jak słyszałem. Albo nim był. A przynajmniej sympatyzuje z lożą. Pomyślałem, że warto spróbować. I udało się.

Klerykowi szczęka opada na pół piędzi.

– Czy pan mu to powiedział otwarcie? Hrabiemu Arandzie, tak po prostu?

– No nie. – W tonie don Hermogenesa słycać sarkazm, niezwykły u niego. – Użył tajemnych kodów. Tych wszystkich dziwnych gestów, jakie stosują pomiędzy sobą.

Admirał bagatelizuje słowa bibliotekarza.

– Wszyscy je znają, nawet dziecko mogłoby je wykonać. Tak, to właśnie ich użyłem.

– Z powagą, która mną wstrząsnęła – upiera się don Hermógenes.

– To był strzał w ciemno.

– Który przyniósł panom półtora tysiąca liwrów – zauważa Bringas. – I to od hrabiego Arandy, który wydaje mniej pieniędzy niż sułtan na katechizm... Powinien pan być wdzięczny admirałowi, don Hermogenesie.

Jednak bibliotekarz nadal jest zagniewany.

– Jakoś nie jestem. – Spuszcza brodę na pierś. – Nie za taką cenę.

– Cenę?

Trwa nieprzyjemna cisza, zakłócana tylko echem głosów księgarzy w podcieniach budynku. Na zewnątrz ciągle pada deszcz.

– Mogę wiele zrozumieć, admirale – mówi w końcu don Hermógenes. – Ale masoneria przerasta moje pojęcie. Daję panu słowo.

– Dlaczego? – zaciekawia się admirał.

– Dwie bulle papieskie ją potępiają. Przynależność jest zagrożona ekskomuniką.

– I taki jest powód? Mówi pan serio?

– Jak najbardziej.

– To wystarczający powód, żeby zostać masonem – stwierdza Bringas.

– Niech pan nie wygaduje głupstw – oburza się na kleryka don Hermógenes. – Wolnomularstwo jest zgubne dla Kościoła i państwa. Sprzeniewierza się powinności posłuszeństwa względem Boga i króla.

– Sporo by można opowiadać o takiej powinności – stwierdza Bringas.

Nie zważając na jego słowa, don Hermógenes zwraca się do admirała.

– Jakoś nie wyobrażam sobie, jak na tajemnych zebraniach konspiruje pan przy płomieniu świec. Opowiada o Wielkim Architekcie Wszechświata i tych wszystkich nonsensach.

Don Pedro wybuchła śmiechem. Śmieje się obojętnie, przez zęby.

– Za dużo pan czytał pism ojca Feijóo, jak mi się wydaje.

Bibliotekarz mruga, jest urażony.

– Czytałem *Strażnika przed wolnomularzami* księdza Torrubii.

– To już lepiej. Nie wątpię, że istnieją absurdalne loże, ale w tej, którą ja poznałem, wszystko było dużo prostsze. Jedni spotykają się w kawiarni, a inni w loży. Ta moja stanowiła rodzaj angielskiego klubu: należeli doń wojskowi, ale też zamożni handlowcy i kilku arystokratów... Rozprawiano tam o książkach, nauce i braterstwie, a rozmowy toczyły się pomiędzy wykształconymi ludźmi, bez względu na ich pochodzenie, ojczyznę czy flagę. Nie była to zła atmosfera. Okultyzm przypominał tam raczej maskaradę niż cokolwiek więcej.

Jednak don Hermógenes się nie poddaje.

– A te wszystkie przysięgi i braterskie spiski?

– To głupstwa. Plotki rozsiewane przez prostaków i stare plotkary. – Admirał palcem wskazuje na swoje czoło. – Czy wyglądam na kogoś, kto wysadzałby trony czy ołtarze albo używał średniowiecznych magicznych kodeksów?

– Jednak w lożach są fanatycy – upiera się bibliotekarz. – Ludzie o skrajnych, destrukcyjnych poglądach.

– Ludzi nierozsądnych można spotkać wszędzie, don Hermesie... W lożach i poza nimi. Ale zapewniam pana, że wielka uniwersalna konspiracja to bujda.

Znów milczą, patrząc w deszcz. Don Pedro kolejny raz się uśmiecha z zamyśloną miną.

– W każdym razie to wszystko działo się bardzo dawno temu. Dziś to raczej zabawne wspomnienie niż cokolwiek więcej.

– Które okazało się zadziwiająco użyteczne – dodaje na koniec Bringas.

– Tak jak wszystkie wspomnienia... Wszystko, co się przeżyło, można wykorzystać w ten czy inny sposób. Nie robią tego tylko fanatycy i głupcy.

Pascual Raposo wysuwa rękę spomiędzy ud półnagiej blondyny siedzącej mu na kolanach, a następnie pociąga długi łyk wina, opróżniając szklankę.

– Otwórz następną butelkę, Milot.

Ten odsuwa siedzącą przy nim dziewczynę, podnosi się, zataczając, bierze butelkę z koszyka stojącego na stole i operując korkociągiem, podśpiewuje nieprzyzwoitą piosenkę.

– Proszę bardzo, kolego – mówi, napełniając szklanki.

Potem zanosi się pijackim rechetem, a kobiety go naśladują. Obaj kolesie od wielu godzin są zamknięci z dziewczkami w jednym z burdeli przy

Chaussée d'Antin, niesławnym miejscu w północnej części miasta. Świętują skok jak należy: porządne wino, dobre jedzenie, wielkie łóżko i dwie ładne dziewczki, wszystko za trzydzieści liwrów. Taki dzień zdarza się tylko raz.

– Za sukces – mówi Milot, podnosząc szklanekę. – Za tysiąc pięćset liwrów.

– Za dużo gadasz – upomina go Raposo, spoglądając spode łba na kobiety.

– Nic się martw. To zaufane dziewczyny.

– Jeszcze nie poznałem kurwy, której by można było zaufać.

Dziewczyna siedząca na jego kolanach wierci się z niezadowoleniem, że tak o niej mówi. Raposo przygląda jej się z bliska, z okrucieństwem i ostrym chłodem.

– Tak, dobrze słyszałaś – mówi do niej. – *Putain... Salope...* Jesteś kurwą tak samo jak matka, która cię urodziła.

Kobieta robi ruch, jakby zamierzała wstać, jest rozgniewana, poprawia na sobie ubranie. Raposo chwyta ją za włosy i unieruchamia.

– Jeśli się ruszysz, łeb ci ukręcę, ty świnio.

Milot dolewa wino, rzuca szybką uwagę w żargonie, czego Raposo właściwie nie rozumie, i atmosfera się rozluźnia. Kobieta, która jest z Raposem, robi inną minę i w końcu się śmieje.

– Co im powiedziałaś?

– Że napełnimy im cipy złotymi monetami.

Raposo spogląda krytycznie na współnika.

– Ciągłe mam wrażenie, że dziś za dużo mówisz.

– Spokojnie, kolego. – Policjant znów wybuchają śmiechem. – Jesteśmy na moim terenie. To są dobre dziewczyny. I potrafią milczeć, kiedy im się

to opłaca.

Raposo znów pije, jest niezbyt przekonany, z roztargnieniem gładzi piersi kobiety siedzącej mu na kolanach. Myśli o akademikach, o tym, jak łatwo było zabrać im pieniądze, i o następnych krokach, jakie trzeba będzie zrobić. Sprawa pieniędzy wydaje się załatwiona. „Wydaje się”, powtarza w myśli to określenie. Bo pozostaje pytanie, czy admirał i bibliotekarz opuszczą Paryż, czy też pozostaną w mieście, starając się zdobyć książki w inny sposób. Choć Raposo nie potrafi sobie wyobrazić, jak mieliby to zrobić. Tysiąc pięćset liwrów nie rośnie na drzewie. Najważniejsze to nie stracić ich z oczu w najbliższych godzinach, ale tym zajmują się konfidenci Milota.

– Rozchmurz się, kolego – mówi mu policjant. – Sprawa zakończona, nie uważasz?

– Nigdy nie wiadomo.

– To prawda. Nigdy. Ale tym razem twoi akademicy mają spory kłopot.

– Ale mówię ci... Nigdy nie wiadomo.

– Może tobie nie wiadomo. Mnie owszem.

– Na przykład co ci wiadomo?

– To, że zaraz rzucę się na tę dziwkę, rozłożę jej nogi i zrobię swoje od przodu i tyłu, za twoim pozwoleniem.

– Już je masz.

– No to biorę się do rzeczy... A ty patrz i ucz się.

Raposo znów pije wino. Blondynka przejeżdża mu wilgotnym, ciepłym językiem po uchu, szepcząc zaproszenie, żeby przyłączyli się do nich, on jednak odsuwa ją ze złością. Ciągłe myśli o akademikach, o tym, co się teraz wydarzy. Instynkt mówi mu, że sprawy nie układają się tak dobrze, jak się wydaje. Nie są wcale załatwione, jak twierdzi Milot. Admirał Zárate, ten wysoki, chudy gość, który trzymał szpadę na łące przy Polach

Elizejskich, a wcześniej z zimną krwią strzelał do rozbójników pośród dąbrowy nad rzeką Riazą, pomimo swojego wieku nie wygląda na takiego, co się łatwo poddaje. Myślenie, że zabierając im pieniądze, załatwiają sprawę, może okazać się błędem. A Raposo nie lubi popełniać błędów, zwłaszcza jeśli mu się płaci za to, żeby ich nie popełniał.

– Chodźmy do nich – nalega dziwka, wskazując na łóżko, gdzie Milot i jej koleżanka, już spleceni, działają.

Raposo odmawia ruchem głowy, przyglądając się z obojętną ciekawością ruchom policjanta, który rzeczywiście wykazuje dużo zaangażowania. Po chwili zastanowienia, jakby wracał do rzeczywistości, jedną ręką rozpina sobie rozporek, a drugą pochyla głowę kobiety.

– Uklęknij – rozkazuje jej.

W tym momencie ktoś stuka do drzwi. Robi to tak gwałtownie i uparcie, że Milot przerywa swoją działalność w łóżku, a Raposo, odsuwając dziewczynę, która już się pochylała do rozpiętego rozporka, cedzi przez zęby przekleństwo, wstaje i idąc do drzwi, poprawia na sobie koszulę.

– Co tam się dzieje, do diabła? – pyta Milot z łóżka.

Raposo, otwierając drzwi, stwierdza, że to jeden z ludzi policjanta – drobny i chudy szpicel o twarzy łasicy – którego widywał już wcześniej. Na głowie ma mokry kapelusz zdeformowany przez deszcz, ubrany jest w pelerynę, z której woda ścieka na ubłocone buty. Widząc go, Milot podnosi się i goły, tak jak stoi, drapie się energicznie po pachwinie – tors ma okrągły i owłosiony, nogi krótkie – rusza przez pokój i podchodzi do swojego człowieka, z którym wychodzi na korytarz, a Raposo przygląda się im z wnętrza. Człowiek o twarzy łasicy szepcze na ucho Milotowi coś, co sprawia, że ten przesuwa dłonią po głowie zaniepokojonym gestem, po czym spogląda na Raposa, uważnie słuchając słów szpicla. Po chwili

odprawia go, wraca do pokoju i zamyka drzwi. Wygląda, że w jednej chwili wyparowało mu z głowy całe wino.

– Poszli do ambasady. Ci twoi akademicy.

Raposo spokojnie kiwa głową.

– Tego można się było spodziewać.

– Tak. Ale potem poszli bezpośrednio do biura adwokata Hénault.

Raposo nagle czuje suchość w gardle. Nie dowierza.

– Dostali pieniądze w ambasadzie?

Milot patrzy na kobietę czekającą w łóżku i znów drapie się po pachwinie.

– Tego to nie wiem... Ale przed biurem wsiedli do dorożki i w towarzystwie adwokata wszyscy razem pojechali do jego matki. Był z nimi ten Bringas.

Raposo czuje, jak świat wali mu się na głowę.

– Kiedy to było?

– Półtorej godziny temu.

– A gdzie są teraz?

– Nadal w domu wdowy. A przynajmniej tam byli, kiedy ten człowiek zdecydował, że trzeba mnie o tym powiadomić.

Milczą. Policjant patrzy na dziwki, a Raposo patrzy na niego.

– Udało im się – mruczy pod nosem, przybity. – Mają pieniądze.

Policjant sceptycznie wykrzywia usta.

– Chcesz mi powiedzieć, że w ambasadzie dostali tysiąc pięćset liwrów na piękne oczy?

– To akademicy. Ludzie godni szacunku... To się zdarza.

– Jasna cholera. – Milot niemal pluje. – Tego nie wzięliśmy pod uwagę.

Jasnowłosa dziwka przyłączyła się do tej drugiej, która teraz przykryła się kołdrą. Obie siedzą na łóżku i patrzą na nich ze znudzonymi minami. Milot rzuca im ostatnie spojrzenie, żegnając się melancholijnie z całą zabawą. Potem niechętnie pochyła się, zbiera z podłogi koszulę i wkłada ją.

– Co teraz zrobisz? – pyta.

Raposo swoją miną okazuje bezsilność.

– Nie wiem.

– Jeśli zdobyli pieniądze i zapłacili, to w tej sprawie niewiele możemy. Książki już do nich należą. W Paryżu nic więcej nie zrobimy.

– Czy nie ma sposobu, żeby wpadli w jakieś kłopoty? Żeby jakoś pozbawić ich książek?

Zasepiony policjant przeczy.

– Tak daleko moja ręka nie sięga, przyjacielu. Dwadzieścia parę tomów trudno tak po prostu zwędzić. Nie wszystko w tym mieście jest możliwe. I jeśli kupili te księgi, są ich prawowitymi właścicielami.

– A jakiś fałszywy donos, coś, co mogłoby sprawić im kłopot?

– Zyskasz najwyżej parę dni, zwłaszcza jeśli są w kontakcie z ambasadą... Jeżeli książki należą do nich, nic już się nie da zrobić.

– A nie można by ich skonfiskować?

– Nie ma powodu. I przypominam ci, że sprzedającym jest adwokat lub też jego matka. Wszystko odbyło się w idealnej zgodzie z prawem... Nie można się do niczego przyczepić.

Milot powoli kończy się ubierać. Jest zamyślony. W końcu wydaje się, że wpadł na jakiś pomysł, bo nagle słabo się uśmiecha.

– Tak czy inaczej – stwierdza ze złowrogim rozmysłem – droga powrotna jest długa. Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy.

Ściszył głos, żeby kobiety go nie słyszały. Konfidentycznie pochyła się nieco do Raposa.

– To będzie wiele dni i wiele mil – dodaje. – A droga z Francji do Hiszpanii jest pełna niebezpieczeństw: wilki, bandyci, sam wiesz. To normalne w tamtych okolicach.

– To prawda – przyznaje Raposo, uśmiechając się w końcu.

– Na ile cię znam, byłoby czymś naprawdę dziwnym, gdyby nie wydarzył się żaden wypadek... Jakieś godne ubolewania nieszczęście.

Mówiąc to, Milot podchodzi do stołu, gdzie stoi wino, napełnia po brzegi dwie szklaneczki, puszcza oko do dziwek i wraca do Raposa, częstując go.

– Książki to delikatny towar, prawda?

– Bardzo – przyznaje Raposo.

– Mogą je zniszczyć myszy albo mole.

– To prawda.

– Tak samo zła pogoda, ogień, woda. Jeśli się nie myłę.

Uśmiech Raposa zmienia się w gromki śmiech.

– Nie mylisz się nic a nic.

Milot teraz też się śmieje, podnosząc szklanekę, żeby wznieść toast ze swoim kompanem.

– W takim razie jestem pewien, że dasz sobie radę, kiedy tylko nadarzy się pierwsza okazja. Albo gdy ją stworzysz, jeśli sama się nie nadarzy... O ile dobrze wiem – jak by powiedział jeden z tych filozofów – twoją największą zaletą jest spójność charakteru.

Przestało padać parę godzin temu, zapalone latarnie stojące w dużych odstępach świecą w ciemności nad brzegami Sekwany, a ich światło odbija się w czarnej wodzie rzeki i na mokrej ziemi nabrzeża Conti. Dalej można

dostrzec jasność przy stanowisku straży na Pont Neuf, gdzie pałąca się lampa oświetla od dołu konny posąg górujący nad mostem.

– Co za piękne miasto – stwierdza don Hermógenes z kapeluszem w ręce, poprawiając pelerynę. – Koniec końców żal mi będzie stąd odjeżdżać.

Wychodzą właśnie z restauracji, gdzie dwaj akademicy razem z klerykiem Bringasem świętowali ostatni wieczór w Paryżu. Wszystko jest gotowe, by wyjechać jutro o brzasku: dwadzieścia osiem wielkich tomów *Encyklopedii* zapakowano w siedem paczek chronionych słomą, kartonem i woskowanym papierem, przygotowano do załadowania na dach berliny, woźnica Zamarra został zawiadomiony i konie czekają w stajni gotowe do drogi. Don Hermógenes i don Pedro chcieli pożegnać się z należnymi honorami z klerykiem Bringasem i podziękować mu za współpracę w najlepszy możliwy sposób – świetną kolacją na jego cześć w restauracji na lewym brzegu Sekwany. Hotel Corty, zaproponowany przez samego Bringasa, słynie ze wspaniałych owoców morza, na stole znalazły się ostrygi z Bretanii i ryby z Normandii, łącznie z turbotami, które wywołały u kleryka łzy wdzięczności; ich przyływ ułatwiły butelki z Chambertin i z Saint-Georges, systematycznie opróżniane przez cały wieczór. Nawet don Hermógenes skosztował więcej wina niż zwykle, a zazwyczaj czerwona twarz admirała nabrała koloru o ton ciemniejszego.

– Nadzwyczajna kolacja – stwierdza szczęśliwy Bringas, ze smakiem zaciągając się cygarem dymiącym między jego palcami.

– Zasłużył pan na to – odpowiada don Hermógenes. – Był pan naszym wiernym towarzyszem.

– Byłem tym, kim powinienem być... Bez względu na te dwieście liwrów.

Cała trójka zatrzymuje się przy murku na nabrzeżu, wdychając chłodne, świeże powietrze. Nad ich głowami niebo jest coraz bardziej przejrzyste, upstrzone gwiazdami. Wiedziony starym zawodowym odruchem, admirał podnosi wzrok i widzi, że Orion jest już nisko, wkrótce zniknie, a błyszczący Syriusz świeci wyraźnie na firmamencie.

– To dobry znak na początek podróży – mówi Bringas, też patrząc w górę. – O której godzinie zamierzają panowie wyruszyć?

– O dziesiątej.

– Pewnie będę za wami tęsknił.

Po tych słowach zapada milczenie, wszyscy patrzą na rzekę i odległe światła. W końcu kleryk wzdycha i wyrzuca niedopałek do wody.

– Tak. Nadejdzie dzień, kiedy wszystko tu będzie zupełnie inne – mówi w zamyśleniu.

– A mnie się podoba takie, jakie jest – stwierdza don Hermógenes pogodnie.

Bringas odwraca się i spogląda na niego. Ponad wąskim płaszczem, którego klapy ma podniesione, odległy blask latarni oświetla w mroku twarz kleryka, podkreślając jej chudość pod bezkształtną peruką i odbijając się w jego zachłannych oczach.

– Panowie byli tu zaledwie kilka dni i w pewnym sensie zostałem waszym Wergilim... Naprawdę nie zauważacie tego, co kryje się za tym wszystkim? Doprawdy byłem tak niezdarny, że nie zdołałem wam pokazać, iż pod powierzchnią tego Paryża, jaki panu tak bardzo się podoba, powoli wzbiera groźna siła, która pewnego dnia zburzy ten cały oszukańczy spokój? Nie wystarczyły moje komentarze i argumenty, byście panowie pojęli, że to miasto i cały świat, jaki ta metropolia reprezentuje, są skazane na śmierć?

Trwa pełna napięcia cisza. Admirał odwrócił się do Bringasa i czeka z uwagą na jego dalszy wywód, podczas gdy don Hermógenes, nagle zaskoczony, mruga przygnębiony. Nie taką rozmowę zamierzał teraz prowadzić bibliotekarz.

– Właściwa trucizna – ciągnie bezlitośnie Bringas – ozdabiający jad, który zniszczy ten świat kłamstw i niesprawiedliwości, tę teatralną dekorację, jutro wyruszy w podróż z panami. I jestem dumny, że przyczyniłem się do tego... Nie wyobrażam sobie szlachetniejszego przedsięwzięcia niż przywiezienie *Encyklopedii*, a zwłaszcza tego wszystkiego, co w sobie zawiera i co sobą przedstawia, do serca ciemnej i nieokrzesanej Hiszpanii, od której żyję z dala, na wygnaniu.

Don Hermógenes wygląda na nieco uspokojonego.

– Pana szlachetność jest nadzwyczajna, kleryku.

Bringas mocno uderza dłońmi w kamienną poręcz.

– Do licha! Niechże pan nie mówi do mnie tego słowa, którego sens został jakże zniekształcony przez tych, co szlachetność uznają za wyróżnik szlachty.

– Zatem miałem na myśli czystość pańskich uczuć – poprawia się bibliotekarz.

– Też źle.

– No cóż... Powiedzmy w takim razie: pańską miłość do rodzaju ludzkiego.

Bringas rozkłada szeroko ręce w niemal kapłańskim geście, jakby brał Sekwanę za świadka.

– Sądziłem, że wyrażałem się szczerze i jasno w tych dniach, które spędziliśmy razem. Motorem moich działań jest nie miłość do ludzkości, ale pogarda dla niej.

– Przesadza pan. – Don Hermógenes znów jest oburzony. – Pan przecież...

– Nie przesadzam ani trochę. Nie. Ludzka istota to niezdarna bestia, nie powoduje nią dobro, ale bat. Żeby stworzyć nowego człowieka, który naprawdę zmieni świat w miejsce harmonijne i nadające się do życia, potrzebny jest etap pośredni. Stadium przejściowe, kiedy ludzie tacy jak ja, bojownicy absolutu, ukażą innym to, czego ci nie chcą widzieć.

– Od tego są szkoły, drogi kleryku – uprzejmie odzywa się admirał. – To one wychowają tego nowego człowieka.

– Nie jest możliwe zbudowanie takiej szkoły, jeśli wcześniej nie postawi się na tym samym miejscu solidnego szafotu.

Don Hermógenes wzdraga się, oburzony.

– O mój Boże!

To wezwanie wywołuje u Bringasa wybuch dzikiego śmiechu.

– On nie ma z tym nic wspólnego, nawet jeśli założyć, że w ogóle zaprzęta sobie głowę naszymi sprawami... Wzywa pan tego Boga, którego przedstawiciele nie zezwalają na szczepienia przeciw ospie, bo to działanie sprzeczne z Boską wolą? Nawet do tego chcą się mieszać?

– Proszę, zostawmy Boga i jego przedstawicieli na boku.

– Bardzo bym chciał. Bo zmiana znaku naszych czasów nie należy do Boga, tylko do ludzi. Panowie także się do tego przyczyniają swoją podróżą i cennym bagażem zabieranym do Hiszpanii. Ech, Hiszpania... Tam lud nie chce niczego więcej poza kawałkiem chleba i corridą. Nienawidzi tego, co nowe, odrzuca wszystko, co mogłoby przeszkodzić w próżniactwie, lenistwie i miernym umiłowaniu pracy.

– Nasza podróż do Paryża dowodzi, że nie wszystko tam jest takie złe – protestuje don Hermógenes.

– Potrzeba znacznie więcej niż kilku książek, żeby obudzić naszą nieszczęsną ojczyznę, drodzy panowie. Konieczny jest większy wstrząs, jaki wyrwałby z letargu ten nędzny i godny politowania naród, któremu Europa w ostatnim wieku za nic nie może podziękować. Jest równie bezużyteczny dla świata, co dla siebie samego.

– Znowu rozmawiamy o tej pańskiej rewolucji – lamentuje bibliotekarz. – O konieczności jej wybuchu.

– Oczywiście. Jakżeby inaczej? Tam potrzeba ogólnego wzburzenia, przeraźliwego wstrząsu, odnawiającej wszystko rewolucji. Tego hiszpańskiego niedowładów nie da się wyleczyć za pomocą cywilizowanych metod. Trzeba ogniem wypalić gangrenę, która trawi organizm.

– Czy i dla naszej ojczyzny chce pan szafotów?

– A czemuż by nie? Co innego może zmienić kraj, w którym medyk czy chirurg, rozpoczynając pracę, musi przysiąc, że będzie bronił prawdy wiary o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny?

Ruszyli wzdłuż balustrady w stronę mostu.

– Odprowadzę panów kawałek – mówi Bringas. – To nasz ostatni spacer.

Idą w milczeniu, zastanawiając się nad prowadzoną rozmową. Księżyc, który właśnie pojawił się nad dachami, oświetla koryto rzeki pomiędzy nabrzeżami i powleka w oddali widmowym blaskiem wieże katedry Notre Dame.

– Koniec końców – odzywa się naraz Bringas – podróże takie jak ta, którą panowie odbywają, będą bezużyteczne, jeśli wcześniej nie wytnie się w pień, nie oczyści społeczeństwa z tych jego członków, których nie da się wyedukować... Z tego wszystkiego, co jest najgorszym odpadem, najciemniejszym i straconym śmieciem ludzkiego rodzaju.

– To brzmi groźnie – zauważa admirał.

– Brzmiałoby jeszcze groźniej, gdyby ode mnie zależało to dzieło.

– Ma pan na myśli zbiorową rzeź?

– A czemu nie? Zbiorową, a przede wszystkim skuteczną. Potem przyjdzie kolej na szkoły, w których dzieci odebrane matkom, jak w starożytnej Sparcie, będą wychowywane na obywateli od samego początku. W porządku, twardą ręką. A ten, kto nie...

– A nie uważa pan, że każdą istotę ludzką można wykształcić za pomocą łagodniejszych metod? Przecież kultura jest źródłem szczęścia, rozwija u ludzi jasność myślenia.

– Nie sądzę. A raczej nie całkiem, przynajmniej nie na pierwszym etapie. Bo motłoch nie jest stworzony do myślenia.

Dźwięczy spokojny, łagodny i zawsze uprzejmy śmiech admirała.

– Widzę, że trochę pan nie uważa, kleryku. Popada pan w sprzeczności. Wolter, którego niezbyt pan szanuje, tak właśnie mówił.

– Raz miał rację ten oportunistą przepadający za luksusem i królami – odpowiada zręcznie Bringas. – W rzeczywistości ludzką istotę, nieszczęśnika stworzonego do niskich skłonności, można wychować jedynie za pomocą rozsądku i strachu... Czy raczej za pomocą strachu przed konsekwencjami lekceważenia rozsądku i tych, którzy go uosabiają... Pamiętajcie, panowie, że wielki Jan Jakub – a on naprawdę był wielki – też miał pewne wątpliwości, bardziej niż słuszne, czy kultura szerzona na lewo i prawo jest dobrodziejstwem.

– Jednak Rousseau nie wspominał o rzeziach i podobnych barbarzyństwach.

– Wszystko jedno. Po to jesteśmy my, żeby tworzyć przypisy drobną czcionką.

– Pisane krwią.

– Tak.

W tym momencie przechodzą obok posterunku francuskich gwardzistów pod pomnikiem Henryka IV. Latarnia wisząca na słupie oświetla w półmroku niebieskie mundury i przysypiających mężczyzn siedzących na stopniach. Jeden z żołnierzy, uzbrojony w strzelbę z nasadzonym na nią bagnetem, podchodzi na chwilę, obrzuca ich spojrzeniem i wraca na stanowisko, nie odzywając się ani słowem po tym, jak admirał pozdrawia go, dotykając róna kapelusza.

– Panowie naiwnie wierzą – ciągnie Bringas – że wystarczy przywieźć *Encyklopedię* do waszej Akademii, układać słowniki i robić podobne rzeczy, żeby cały naród za ich pomocą stopniowo osiągnął szczęście...

– Być może admirał ma w tej sprawie jakieś wątpliwości – przyznaje don Hermógenes. – Ale ja nie mam żadnych.

– A ja mnóstwo... Naród, który miałby manufaktury, sztuki, filozofów i książki, wcale przez to nie byłby lepiej rządzony. Mógłby doskonale nadal pozostawać w tych samych rękach, co zawsze. Oświecona tyrania, bez względu na to, jak oświecona, zawsze pozostaje tyranią... Sprawa polega na wyrwaniu jej z korzeniami. Trzeba zmieść przeciwników postępu. Muszą polecieć głowy.

– W jaki sposób? – interesuje się admirał z chłodną uprzejmością.

– Najpierw uwodząc aktualnych członków klasy rządzącej, oświeconych ze szczerego serca albo dla konwenansu, a potem, kiedy już się im dorówna, zastępując ich.

– A jak to się robi?

– To proste, wybijając ich bezlitośnie do nogi.

Don Hermógenes żegna się znakiem krzyża, oburzony.

– Jezus Maria!

– I tego chce pan dla Francji? – pyta admirał. – Dla Hiszpanii?

Bringas jest nieugięty.

– Tego pragnę dla całego świata. Dla tego kraju i Chin... Jedyna nieodwracalna droga do powszechnej pomyślności to rozlew krwi, który poprzedzi triumf rozumu.

– Czyli jeśli ktoś nie chce wolności, batem zostanie do niej zmuszony, tak?

– No tak, owszem. Można tak powiedzieć.

– A kto będzie trzymał ten bat?

– Sprawiedliwi i światli Likurgowie... Niezłomni. Nieposzlakowani.

– Wydaje mi się, że przesadziliśmy z winem, drogi kleryku.

– Przeciwnie. *Vinum animi speculum*... Nigdy nie myślałem jaśniej niż tej nocy.

Bringas zatrzymuje się na środku mostu i energicznym ruchem ręki wskazuje rzadkie światła błyszczące na nabrzeżu.

– Niech panowie popatrzą na te latarnie wiszące na słupach. Są dobrym symbolem postępu. Przyszłości.

– Istotnie – zgadza się don Hermógenes, z ulgą przyjmując zmianę tematu. – Ten system uważam za bardzo pomysłowy. I ropa naftowa, którą się pali...

– Nie o tym mówię przecież... Tam, gdzie pan widzi ropę i komfort, ja widzę znakomite miejsce do wieszania przeciwników ludu. Tych, którzy stoją na przeszkodzie postępowi... Wyobraża pan sobie to miasto, kiedy na każdej z tych latarń zawiśnie jakiś biskup lub arystokrata? Co za wspaniały widok! Co za lekcja dla świata!

– Jest pan niebezpiecznym człowiekiem, kleryku – stwierdza admirał.

– Tak, rzeczywiście jestem. I zachowuję przy tym pełnię godności. Bycie niebezpiecznym to mój jedyny dobytek.

– „Chudy, jakby głodny; Zbyt wiele myśli; tacy najgroźniejsi”¹... Jak u Shakespeare’a w *Juliuszu Cezarze*.

– Tak. Brutusowie i Kasjusze. My, ludzie o otwartych oczach, pochodzimy z tego znakomitego rodu... Biada królom i tyranom, których pewnego dnia spotkamy pod statuą Pompejusza! Zapewniam panów, że nie zadrżałaby mi ręka ściskająca republikański sztylet.

Naraz rusza przed siebie z takim zdecydowaniem, jakby sztylet czekał na niego na końcu mostu. Akademicy podążają za nim.

– Był pan naszym przyjacielem – mówi don Pedro, zrównując z nim krok. – Choć obawiam się, że należy pan do tych ludzi, którzy jako przyjaciele są mili i serdeczni, ale jako wrogowie stają się nieprzejednani... Trudność polega, jak sądzę, na tym, żeby stwierdzić, w którym momencie przestajemy być przyjaciółmi.

Bringas żywo potrząsa głową, jakby poczuł się obrażony.

– Ja panów nigdy...

Naraz przerywa i idzie dalej przed siebie, nie dodając ani słowa. Po chwili zwalnia kroku.

– W każdym razie było dla mnie zaszczytem poznać panów – mówi, wzruszając ramionami – i pomagać panom w tej sprawie... Są panowie przyzwoitymi ludźmi.

Admirał uśmiecha się w mroku.

– Mam nadzieję, że będzie pan o tym pamiętał, kiedy zacznie w Madrycie wieszać ludzi na latarniach.

– To nie stanie się jutro. Choć szybciej, niż panowie podejrzewają.

Słychać ich kroki na bruku pustego placu; teraz idą wzdłuż długiej, ciemnej fasady Luwru. Nie ma w niej żadnego jasnego okna. Niedaleko świeci się tylko jedna samotna latarnia, a ciemność podkreśla złowrogi wygląd budynku.

– Nie wróci pan do Hiszpanii? – pyta don Hermógenes. – Do domu?

– Do domu? – W głosie kleryka słycać pogardę. – Ja nie wierzę tym, którzy mają – albo sądzą, że mają – dom, rodzinę, przyjaciół... Poza tym w Hiszpanii źle bym skończył. Za kratkami w najlepszym wypadku... Żyłem tam dość długo, by wiedzieć, że odmienność i niezależność budzą jedynie nienawiść.

Bringas robi dłuższą przerwę i znów rozgląda się wokół, jakby pytając mroków.

– Jestem skazany na włóczęgę po tych brzegach, niczym widma w *Eneidzie*.

W świetle pobliskiej latarni admirał widzi, że don Hermógenes kładzie życzliwie dłoń na ramieniu kleryka.

– Może pewnego dnia... – zaczyna bibliotekarz.

– Jeśli pewnego dnia wrócę – przerywa mu Bringas ostro – to tylko jako jeden z jeźdźców Apokalipsy.

– Żeby wyrównać rachunki – dodaje admirał.

– Właśnie!

Znów się zatrzymali. Teraz księżyc, który wzbił się wyżej na niebie, rozlewa srebrzystą jasność na wysokie dachy pokryte ciemnym łupkiem. Sylwetki trzech stojących blisko siebie mężczyzn słabo odcinają się na tle ziemi.

– Życzę panu znalezienia tego, czego pan szuka, drogi kleryku – mówi admirał. – I gdyby doznał pan klęski, żeby pan to przeżył.

Znów zapada cisza. Tym razem Bringas dłużej zwleka z odpowiedzią.

– Wyjście cało z klęski zawsze niesie za sobą jakiś rodzaj ustępstwa – mówi w końcu przybitym głosem. – Nie wiem, jak panowie, ale ja, widząc tych, którzy przeżyli, nie mogę powstrzymać się od myśli, jak nędznych czynów musiał się dopuścić każdy z nich, by mu się to udało. Jeśli miałbym

przegrać, niech mi panowie życzą, żebym skonał wierny sobie, bym nie musiał przeżyć... Nie pozostanie mi nic innego na tym świecie, jak ustąpić miejsca innym.

– Niechże pan tak nie mówi – prosi don Hermógenes ze wzruszeniem w głosie.

Bringas kręci głową.

– Pewnego dnia nadejdzie świt. Nastanie nowy dzień. Przyjdą ludzie, którzy będą się nim cieszyć, mrużąc oczy z wdzięcznością przyjmują pierwsze promienie słońca... Ale nas, co doprowadziliśmy do tego świtu, już tam nie będzie. Polegniemy nocą albo doczekamy brzasku bladzi, zmęczeni, wyczerpani walką.

Kleryk milknie, a po dłuższej chwili słycać głos admirała:

– Życzymy panu doczekania tego świtu, drogi przyjacielu.

– Och, nie. Proszę mi tylko życzyć, żebym gdy nadejdzie chwila próby mojej wiary, umarł godnie, by nie musiało mi przynieść wstydu pianie kura... Abym się nie zaparł wyznania.

Podchodzi do don Pedra, żeby uścisnąć mu dłoń, na co admirał zdejmuje kapelusz. Ręka Bringasa wydaje się lodowata, jakby chłód nocy przeniknął do jego żył. Potem odwraca się do don Hermogenesa, któremu też ściska dłoń.

– Pomaganie panom było dla mnie zaszczytem – mówi chłodno.

Po czym odwraca się do nich plecami i odchodzi w mrok, ginąc w nim niczym tragiczny cień niosący na ramionach nadmierny ciężar mądrości i życia.

1. W. Shakespeare, *Juliusz Cezar*, [w:] *Tragedie i kroniki*, tłum. S. Barańczak, Kraków: Znak 2013, s. 145.

12. WILCZY WĄWÓZ

Pomimo przedsięwzięcia tych wszystkich środków francuskie książki dostały się na hiszpańskie terytorium, omijając przeszkody.

N. Bas Martín, *Kurier oświecenia*

Przystępując do pisania ostatniego rozdziału tej opowieści, musiałem rozwiązać kolejny problem. Jeden z epizodów decydujących o powodzeniu całej przygody akademików, opowiedziany tylko częściowo – choć z ciekawymi szczegółami – w sprawozdaniu, jakie don Hermógenes Molina sporządził dla Akademii po powrocie, został opisany przez bibliotekarza w sposób chaotyczny, z pewnymi nieścisłościami topograficznymi, które mnie zmyliły, bo wspominając „postój bliski hiszpańskim kresom”, don Hermógenes używał nazwy miejscowości położonej dość od nich daleko. Musiałem trochę się natrudzić, studiując dokładnie stare mapy Francji, dawne przewodniki po szlakach i zajazdach, żeby ustalić, gdzie dokładnie umiejscowić ważne fakty, jakie jeszcze zostają do opisania.

W tym miejscu opowieści obaj akademicy przejechali już większą część drogi z francuskiej stolicy do Bajonny i granicy, w berlinie prowadzonej przez woźnicę Zamarę, z bagażami i dwudziestoma ośmioma tomami *Encyklopedii* załadowanymi na dach powozu. Podróż, jak można wnioskować z nieobecności wzmianek o wypadkach w końcowym sprawozdaniu, przebiegała bez szczególnie ważnych zdarzeń. W miarę jak pojazd przemierzał królewską drogę z Paryża do Orleanu i dalej wzdłuż doliny Loary, zdarzały się jedynie przygody typowe dla takich długich

wypraw pośród turkotania powozu, kurzu i niewygód w zajazdach i oberżach, nie zawsze pierwszej kategorii. Wiemy, że don Hermógenes przebył lekki nawrót gorączki i kataru, które to dolegliwości pojawiły się jeszcze w Paryżu, przez co stracili kilka dni w Blois, czekając, by jego stan się poprawił, a także to, że przybór wody zniszczył drewniany most, a obfite deszcze i błoto na drodze zmusiły ich do skorzystania z objazdu i spowodowały stratę kolejnych dwóch dni w okolicy Tours. W każdym razie to były normalne niedogodności właściwe wszelkim podróżom w tamtej epoce i akademicy stawili im czoła z rezygnacją zwykłą u ludzi tych czasów. Zatem wymieniając konie na stacjach, czytając, drzemiąc i rozmawiając w przyjaznej komitywie, jaka powstała w trakcie całej wyprawy, don Hermógenes i don Pedro pokonywali kolejne etapy podróży w rozsądnym tempie: Poitiers, Angoulême i Bordeaux pozostały za nimi i czternastego dnia nasi dwaj podróżni wjechali w lesiste stopy poniżej Garonny.

W tym momencie natknąłem się na problem, o którym wcześniej wspominałem. Raport bibliotekarza, nieścisły w pewnych szczegółach, sprawił, iż początkowo byłem przekonany, że wydarzenia, które potem nastąpiły, miały miejsce pośród surowego pejzażu Pirenejów; jednak po dokładnej lekturze sprawozdania, przewodników, ówczesnych map i prześledzeniu przebytej trasy zrozumiałem, że dobry don Hermógenes, będący bez wątpienia pod silnym wrażeniem zdarzeń, pomylił kilka nazw i miejsc, przybliżając je do granicy bardziej, niż były w rzeczywistości. Jednak opis jednego z najważniejszych momentów całego zdarzenia, związany ze scenerią, dostarczył mi kilku konkretnych tropów wskazujących na lokalizacje, które za pomocą współczesnych map i lotniczych zdjęć udało mi się ustalić w stopniu zadowalającym. Przed wszystkim opis przejazdu – „obok zamku przez most i zaraz potem

w prawo wzdłuż rzeki, nieopodal średniowiecznego kościoła z wysoką dzwonnica, otoczonego lasami sosnowymi i dąbrową, ogrodami i sadami” – zgadzał się niemal co do joty z jednym z widoków z satelity, jakie znalazłem w Google’u. Linia drzew wspomniana przez don Hermogenesa, choć jeszcze jest widoczna, sporo się cofnęła z powodu rozrośnięcia się liczącej „około trzystu dusz” miejscowości przez ostatnie dwa i pół wieku, jakie minęły od tamtych czasów. Bibliotekarz wzmiankował punkt na mapie o nazwie *gorge des Loups* – Wilczy Wąwóz – leżący nad rzeką, jednak nie mogłem zlokalizować tego miejsca, które zapewne zniknęło z powodu wycinki lasów i nowoczesnej urbanizacji. Jednak zamek, czy raczej luksusowa rezydencja jakiegoś ówczesnego arystokraty, nadal tam stał, a za łukiem rzeki, jeśliby przejechać most i skrócić w prawo, wznosiła się dzwonnica gotyckiego kościoła górującego nad całą okolicą; to wokół tej budowli wówczas skupiało się stare miasto. Miejscowość nazywała się Tartas i doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie ją opisał bibliotekarz.

To, co się wydarzyło w samym miasteczku i jego okolicach, było bardzo ważne, decydujące dla zakończenia całej historii. Zatem chcąc dokończyć opowieść rzetelnie, pojechałem do Tartas, zaopatrzony w mapy, notatki i kopię końcowego raportu sporządzonego przez don Hermogenesa dla Akademii. Dotarłem tam wypożyczonym w San Sebastián samochodem, przejeżdżając granicę i jadąc wzdłuż rzeki Adour bocznymi drogami aż do jej dopływu Midouze i miejscowości Tartas. Widok oczywiście bardzo się różnił od tego opisanego w osiemnastym wieku, jednak najważniejsze punkty odniesienia pozostały te same. Miałem dodatkowo szczęście, bo to miejsce, jedna z *messengeries*, czyli stacji wymiany koni dla powozów i dyliżansów na trasie z Paryża do Hendaye, została wymieniona przez markiza Ureñę w jego *Podróży europejskiej* i opisana przez niego bardzo precyzyjnie. Mogłem więc stwierdzić ze

sporym prawdopodobieństwem, że zajazd określany jako „porządny, czysty, dla czterdziestu i więcej osób, z wyposażeniem potrzebnym dla zwierząt” był tym samym, przed którym zatrzymała się berlina akademików pewnego deszczowego popołudnia, pokonawszy pięć mil z Mont-de-Marsan. Kiedy don Pedro i don Hermógenes się tam znaleźli, zmęczeni i głodni, skołowani od turkotu, wysiedli z ubłoconego powozu, żeby odpocząć, nie wiedząc jeszcze, że tej nocy i następnego dnia czeka ich wiele dramatycznych przeżyć.

Pascual Raposo jest gotów dostarczyć im tak wielu mocnych wrażeń, jak to tylko możliwe. Opierając się na łąku siodła swojego konia, samotny jeździec z klapami płaszcza podniesionymi i osłaniającymi uszy, w kapeluszu naciągniętym po brwi obserwuje z oddali berlinę stojącą przed zajazdem w Tartas. Słońce znajduje się już bardzo nisko, niemal dotykając horyzontu poprzez chmury, które w oddali zlewają się z lasami otaczającymi to miejsce, a cienie zaczynają pełzać po szarych polach podmokłych deszczem i sięgają aż do wioski wznoszącej się po drugiej stronie rzeki, gdzie wyraźnie widać już tylko strzelistą wieżę dzwonnicy. Poza tym teren przy ujściu Midouze do Adour jest zupełnie płaski, zatopiony w szarym świetle brudnego zmierzchu i lepiący się w kapuśniaku, którym wszystko przesiąka – i płaszcz Raposa, i sierść jego konia – a krople deszczu mieniają się niczym rtęć w kałużach powstałych w podwójnych śladach powozu w błocie, które brudzi kopyta zmęczonego zwierzęcia i wysokie buty jeźdźca.

Po dłuższej chwili bezruchu Raposo spina ostrogami konia i rusza szybciej w stronę zajazdu, słysząc tylko chłupot podków na błocie. Kiedy mijają gospodę, nie zatrzymując się, uważnie przygląda się stojącej przed wejściem berlinie, którą woźnica osłonięty woskowaną peleryną właśnie zamierza odprowadzić do szopy przeznaczonej dla pojazdów. Dwaj

podróźni już zniknęli w zajeździe, dużym, czterokątnym, oddzielnym budynku pod dymiącym kominem, który sprawia, że przez chwilę Raposo, znużony wilgocią i trudem podróży, zazdrości akademikom, pewnie o tej porze już grzejącym się przy ogniu w oczekiwaniu na porządną kolację. Po drodze jeździec, puszczając luźno wodze, bardzo uważnie przygląda się stajniom dla koni pocztowych i szopie, gdzie w nocy stoją pojazdy; potem spina ostrogami zwierzę, kierując je w stronę kamiennego mostu widocznego w oddali za zasłoną deszczu. Nie po raz pierwszy widzi ten pejzaż – dlatego go wybrał – i z łatwością rozpoznaje niewielki samotny zamek, nieco oddalony od drogi, schowany za kamiennym murem pośród koron drzew.

Stukot podków staje się głośniejszy na bruku pokrywającym most, pod którego łukiem płynie woda mętna i wezbrana, ciągnąc ze sobą konary drzew. Minawszy rzekę, Raposo jedzie drogą w prawo, dochodzącą do miejscowości liczącej około pięćdziesięciu domostw, gdzie w półmroku poprzedzającym ciemną noc widać tylko kilka zapalonych świateł. Orientując się po starej spiczastej wieży przy kościele, Raposo stara się trafić na rynek, przy którym, jak pamięta, jest ratusz. Niemal wszędzie już panuje ciemność, kiedy Raposo schodzi na ziemię, przywiązuje konia do uchwytu w ścianie i rozglądając się wokół, próbuje rozpoznać budynki otaczające ciemny plac. Wreszcie rękami otrząsa z wody płaszcz i rusza w stronę jednego z domów, gdzie nad progiem płonie niewielka latarenka oświetlająca niezgrabny napis na drzwiach: *Aux amis de Gascogne*. Popycha drzwi i wchodzi do karczmy.

– Rany boskie, Raposo! To ty czy twój duch? Tyle czasu minęło!

Karczmarz, który siedział przed kominkiem, pykając fajkę, wyjmując ją z ust i wstaje na widok wchodzącego gościa. Najpierw na jego twarzy widać zaskoczenie. Potem uśmiech. W końcu wyciąga dłoń – brakuje mu

palca wskazującego u prawej ręki. Człowiek nazywa się Durán. Chudy, kościsty, o gęstych włosach mocno poprządkanych siwizną. Ma ruchliwe oczy starego psa. Nie każdy i nie zawsze może im zaufać. Hiszpan z Walencji, ożeniony z Francuzką, mieszka tu od dawna. Dawny kumpel podróżnego, który teraz, zdjęwszy mokry płaszcz, zajmuje miejsce przy ogniu i wyciąga ubłocone buty przed siebie, żeby ogrzać zdrętwiałe nogi. Karczma jest przyjemnym miejscem, na ścianach wiszą myśliwskie trofea, pośrodku stoi długi, masywny i czysty stół, przy nim ławy. Wewnątrz są tylko karczmarz i człowiek, który, nieświadomy wydarzeń, drzemie na końcu stołu z głową opartą na rękach przed dzbankiem wina.

– Skąd się tu wzięłeś?

– Z pieprzonego deszczu.

W szczególnym świecie Pascuala Raposo nigdy nie mówi się zbyt wiele. To zbyt. Często warto nie wiedzieć albo powiedzieć tylko to, co konieczne, zwłaszcza jeśli jest się starym kumplem, który nagle się pojawia z wiarą, że dawne zwyczaje obowiązują, zajmuje miejsce przy ogniu i wyciąga rękę po szklankę grzanego wina. Durán nie zadaje zbyt wielu pytań, a Raposo opowiada tylko tyle, ile trzeba. Podczas gdy ubrania nowo przybyłego parują w ciepło, ów po chwili wstaje i ustawia się plecami do ognia tuż przy kominku, żeby całkiem się wysuszyć, po czym następuje wymiana informacji o wspólnych znajomych, miejscach, wspomnieniach. To oliwi wyschnięty mechanizm każdej starej znajomości.

– Powiesili Nicolasa Augé.

– Co ty powiesz?

– No mówię ci. W zeszłym roku.

– A co z jego bratem?

– Ciągnie za sobą kulę na łańcuchu za kratkami w Tulonie.

Raposo krzywi usta, słysząc te słowa.

- A to pech.
- Ano.
- Nie zawsze się wygrywa.
- To prawda... A czasami wcale.

Przybysz podejrzliwie patrzy na osobnika drzemiącego u końca stołu; Durán, widząc to, macha ręką, dając znak, że to nikt ważny.

- Co cię tu sprowadza?
- Interesy.
- Jakiego rodzaju?

Raposo znów spogląda na śpiącego, a Durán po chwili namysłu idzie i potrząsa nim.

- Obudź się, Marcel, zaraz zamykam. Idź do domu spać dalej. No już.

Człowiek podnosi się, ciągle nieprzytomny, i posłusznie daje się karczmarzowi odprowadzić do drzwi. Kiedy zostają sami, Durán dolewa wina Raposowi, który znów usiadł.

- Chcesz coś zjeść?
- Potem. – Raposo przesuwając ręką po bokobrodach i nieogolonej twarzy, której tłusta cera błyszczy w świetle kominka. – Chciałbym, żebyś mi odpowiedział na parę pytań.

Gospodarz znów patrzy na niego z zaciekawieniem.

- Wyglądasz na zmęczonego – stwierdza.
- Jestem zmęczony, i to bardzo. Właśnie przejechałem konno pięć mil w tej pieskiej pogodzie.

- Pewnie masz swoje powody. – Durán uśmiecha się wyczekująco.
- Możesz być pewien.

Łyk wina. I następny. Przybysz ogrzewa sobie dłonie na szklance.

- Czas na moje pytania – ogłasza.

Durán puszcza oko, zapalając wygasłą już fajkę od żaru z kominka.

– O ile znam odpowiedzi.

– Znasz.

Raposo wkłada palce do kieszeni kamizelki i wyjmując trzy ludwiki, pobrażkuje nimi w dłoni i chowa je na powrót. Karczmarz kiwa głową, wypuszczając dym, jak ktoś znający tę muzykę.

– No, mów.

– Masz dobre układy z miejscowymi władzami?

– Nawet bardzo dobre. Burmistrz jest moim przyjacielem, często tu przychodzi. Nazywa się Rouillé i jest ojcem chrzestnym mojej córki. Wszyscy się znamy... Tutaj jest tylko trzystu osiemdziesięciu mieszkańców, licząc wszystkie domy w okolicy.

– Jak tu stoicie z policją?

Durán spogląda na rozmówcę z nagłą nieufnością i długo pociąga fajkę. Po chwili przestaje marszczyć brew.

– Sierżant i czterech żołnierzy z wiejskiej straży, zwanej tutaj Maréchaussée... Pilnują zmiany koni w zajeździe po drugiej stronie rzeki i przyglądają się przejeżdżającym podróżnym. Ale nie bardzo się przemęczają.

– Gdzie są ich koszary?

– Tu na miejscu, koło ratusza... Tuż przy kościele.

– Strażnicy podlegają burmistrzowi?

Durán wypuszcza kłęb dymu.

– Praktycznie tak. Są z garnizonu w Dax, ale wszyscy łącznie z sierżantem pochodzą stąd.

Teraz Raposo uśmiecha się krzywo kątem ust. Niebezpiecznie i okrutnie.

– Jak myślisz, co by zrobili, gdyby się dowiedzieli, że w zajeździe jest dwóch angielskich szpiegów?

– Nie chrzań! – wykrzykuje Durán.

Ich otwarte, nie całkiem rozpakowane walizki leżą na wielkiej drewnianej skrzyni, a oni rozmawiają jak zwykle przed pójściem spać. Kolację zjedli całkiem przyzwoitą – pieczeń z królika, wędliny i sery, trochę lokalnego wina – a potem dobrą chwilę posiedzieli, gawędząc przy kominku. Teraz don Pedro i don Hermógenes są już we wspólnym pokoju: to obszerne pomieszczenie z dwoma łózkami oddzielonymi od siebie wiklinowym parawanem obitym malowaną tkaniną, z żeliwnym piecykiem, który ledwo co grzeje, choć włożyli do niego przed chwilą sporo grubych bierwion. Dlatego odwołują chwilę wejścia do łóżka i dalej rozmawiają, siedząc na krzeselkach obok piecyka przy płomieniu świecy stojącej w lichtarzu na sosnowym stoliku z surowego drewna, gdzie leżą książki i sprawozdanie z podróży, które don Hermógenes pisze dla Akademii. Są odprężeni, admirał w kamizelce i koszuli, bibliotekarz z ramionami okrytymi kocem. Rozmawiają o zoologii, matematyce, nowym ogrodzie botanicznym, jaki pod królewskim protektoratem ma zostać otwarty w Madrycie, o potrzebie stworzenia Hiszpańskiej Akademii Nauk, do której powinni należeć najwybitniejsi geometryści, astronomowie, fizycy, chemicy i botanicy. Obaj mężczyźni rozmawiają jak zwykle tonem przyjacielskim, kiedy naraz słyszą kroki na schodach i głośnie stukanie do drzwi.

– Co się dzieje? – niepokoi się don Hermógenes.

– Nie mam pojęcia.

Admirał wstaje, żeby otworzyć. Na progu stoi czterech mężczyzn w niebieskich mundurach z czerwonymi wyłogami i białymi lederwerkami. Ich wygląd nie jest miły. Bagnety nasadzone na strzelby odbijają światło

lampy, którą trzyma w górze jeden z umundurowanych ludzi, ten z dystynkcjami sierżanta na kurtce; drugą rękę opiera na rękojeści szabli w pochwie.

– Proszę się ubrać i pójść z nami.

– Przepraszam?

– Mają się panowie ubrać i pójść z nami.

Don Pedro z don Hermogenesem wymieniają kompletnie osłupiałe spojrzenia.

– Czy można wiedzieć, co...

Nie pozwalając mu dokończyć zdania, sierżant opiera rękę na piersi admirała i odpycha go od drzwi.

– Skąd to zamieszanie? – pyta don Pedro z oburzeniem.

Nikt nie odpowiada. Sierżant stoi przy nim, przybrawszy groźną posturę, a trzech pozostali strażnicy wchodzi do pokoju i rewidują go, przerzucają papiery i grzebią w walizkach. Przerażony don Hermógenes cofa się w stronę łóżka i spogląda z lękiem na admirała.

– Żądam wyjaśnień, o co chodzi – mówi don Pedro.

– Chodzi o to – odpowiada sierżant grubiańsko – że jesteście aresztowani.

– To jakaś bzdura.

Mężczyzna patrzy na niego posepnie. Jest weteranem o tępym wyglądzie i pooranej zmarszczkami twarzy z posiwiałymi wąsami.

– Powiedziałem, żebyście się ubierali. Albo pójdziecie tak, jak stoicie.

– Pójdziemy? Dokąd? Z jakiego powodu?

– O tym porozmawiamy później. Mamy sporo czasu.

Na znak sierżanta jeden z gwardzistów pokazuje admirałowi ostrze bagnetu. Ciągle osłupiały, bezsilny, z twarzą poczerwieniałą ze wstydu

i oburzenia, don Pedro niechętnie wkłada żakiet, zabiera płaszcz i kapelusz. Tymczasem zrozpaczony don Hermógenes, ubierając się, widzi, jak gwardziści ładują wszystkie znajdujące się w pokoju papiery do płóciennej torby.

– Nie macie prawa tego robić – bąka pod nosem. – To są prywatne dokumenty, a my jesteśmy szanowanymi osobami. Na Boga! Protestuję przeciw takiemu barbarzyństwu!

Sierżant nawet na niego nie spojrzy.

– Możecie protestować do woli... To wszystko zostanie spisane w aktach. – Wskazuje na drzwi. – A teraz wychodzimy.

Idą po schodach za sierżantem, a za nimi schodzą trzech gwardziści. Na dole stoją właściciel zajazdu, służący i kilku gości na wpół ubranych lub w nocnych koszulach, wszyscy przyglądają im się z zaskoczeniem i podejrzliwością. Widzą, że woźnica Zamarra siedzi przy stole w głębi pod strażą gwardzisty i jest przesłuchiwany przez człowieka w długim szarym prochowcu. Kiedy Zamarra ich dostrzega, spogląda na nich z rozpaczą.

– To nasz woźnica – mówi don Pedro do sierżanta. – I z tego, co wiem, nie zrobił nic złego.

– To się okaże – odpowiada oschle policjant.

Wychodzą w mrok ulicy, gdzie atakuje ich wilgoć i zimno. Sierżant idzie przed nimi z latarnią w ręce, prowadząc ich do wozu, do którego wszyscy wsiadają.

– Dokąd nas wieziecie? – pyta admirał.

Nikt mu nie odpowiada. Wóz jedzie przez noc, najpierw przejeżdża mostem, a potem wzdłuż szeregu domów, które ledwo widać w ciemności. W końcu pojazd dociera na rynek, też zatopiony w mroku, gdzie wśród cieni wznoszą się mury starego kościoła. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej wóz zatrzymuje się przed budynkiem połączonym z ratuszem i tam

akademyści zostają wysadzeni. Wewnątrz, w brudnej izbie słabo oświetlonej olejowym kagankiem, stoją zdezelowany stół, parę krzeseł, nieruchomy zegar, stojak na strzelby i dwie otwarte szafy z półkami pełnymi teczek dokumentów, a nad tym wszystkim wisi barwiona odbitka portretu Ludwika XVI. Za uchylonymi drzwiami widać zakratowane wejście do aresztu.

– Jesteśmy w więzieniu? – pyta oszołomiony don Hermógenes.

– Na to wygląda – stwierdza z niepokojem admirał.

Sierżant przysuwa dwa krzesła i stawia je naprzeciwko stołu.

– Tutaj siadać... I trzymać gębę na kłódkę.

– Jest pan bezczelny, a to wszystko odbywa się bezprawnie. – Don Pedro stawia opór i nie wykonuje polecenia, aż jeden ze strażników sadza go siłą. – Żądam wyjaśnień, o co tutaj chodzi.

Sierżant przygląda mu się z kpina w oku, przesadnie zbliżając twarz.

– Żąda pan, tak?

– Właśnie tak. Nie wiem dlaczego, ale posuwają się panowie zbyt daleko.

– Co pan powie... Jak daleko?

– Znacznie dalej, niż pozwalają przyzwoitość i obyczaj.

Człowiek przestaje się uśmiechać i rzuca admirałowi posępne spojrzenie. Potem siada na brzegu stołu i zakłada ręce na piersi.

– Cierpliwości, zaraz się to wyjaśni – odpowiada z drwiną w głosie. – A teraz siedzieć spokojnie i cicho, trochę sobie poczekamy.

– Poczekamy? A na co? – pyta don Hermógenes.

– Na odpowiednie władze.

Wspomniana odpowiednia władza stawia się kwadrans później. Jest to osobnik w szarym prochowcu, którego akademyści widzieli, jak przesłuchiwał woźnicę, kiedy wyprowadzano ich z zajazdu. Wchodzi bez

kapelusza, jest źle ogolony, ma minę pełną złości i nikiemny wygląd, który jeszcze bardziej podkreślają zbyt wąskie usta, niemal niewidoczne pod małym, płaskim nosem, wąskim czołem i ciemnymi, nieufnymi oczami. Towarzyszy mu skryba, starszy łysy mężczyzna w okularach, niosący ryzę papieru i przybory do pisania. Człowiek w szarym prochowcu wchodzi do pokoju i nie patrząc na akademików ani ich nie pozdrawiając, siada za stołem, rozpina płaszcz, otwiera notatnik pełen zapisków i dopiero wtedy spogląda na nich przeciągle w milczeniu.

– Nazwiska? – pyta w końcu rozkazująco.

– Proszę podać swoje – odpowiada admirał. – I powiedziec, co tu robimy.

– Jestem Lucien Rouillé, burmistrz tego miasteczka. I to ja tutaj zadaje pytania... Nazwiska?

Admirał wskazuje stos papierów, jaki strażnicy położyli na stole obok kart zapisywanych przez sekretarza, który wszystko notuje.

– Pedro Zárate i Hermógenes Molina. Tutaj, proszę, nasze dokumenty podrózne.

– Narodowość?

– Hiszpańska.

Słyszac to, ów Rouillé wymienia porozumiewawcze spojrzenie z sierżantem, który wstał, kiedy wszedł burmistrz, i teraz przysłuchuje się rozmowie, stojąc obok mężczyzn.

– Co robicie w Tartas?

– Podróżujemy z Paryża do Madrytu przez Bajonę.

– W jakim celu?

– Wieziemy książki zakupione w Paryżu. Pośród tych dokumentów znajdzie pan listy, które uwierzytelniają nas jako członków Hiszpańskiej Akademii Królewskiej.

– Czego?

Don Pedro pochyla się w stronę biurka. Jest spięty i rozważny.

– Panie burmistrzu, skoro twierdzi pan, że takie piastuje stanowisko. Domagam się wyjaśnień, dlaczego nas tu przyprowadzono.

Nie zwracając uwagi na słowa admirała, Rouillé spogląda na leżące na stole dokumenty. Robi to z obojętnością wskazującą, że ich treść niewiele go obchodzi.

– Czy któryś z panów mówi po angielsku?

– Tak, ja – odpowiada don Pedro.

– Jak dobrze?

– Nieźle.

Rouillé odwraca się do sekretarza, żeby się upewnić, czy to zanotował. Potem złośliwie spogląda na don Hermogenesa.

– A pan? – pyta z premedytacją.

Speszony bibliotekarz kręci przecząco głową.

– Ja ani słowa.

– To dziwne.

Don Hermógenes szybko mruga z otwartymi ustami.

– Czemu to takie dziwne?

Mężczyzna nie zwraca uwagi na jego słowa. Zwraca się do admirała.

– Twierdzi pan, że jesteście Hiszpanami...

– Nie tylko tak twierdzą. – Don Pedro jest oburzony. – Jestem nawet emerytowanym brygadierem Floty Królewskiej.

– Proszę, nawet sam brygadier.

Krew nagle uderza admirałowi na twarz. Don Hermógenes dostrzega, że jego towarzysz zaciska pięści, aż bieleją mu knykcie.

– Nie przywykliśmy do takiego traktowania – protestuje don Pedro głosem stłumionym przez wściekłość.

Rouillé przygląda mu się zupełnie bezczelnie.

– No to zacznijcie się przyzwyczajać.

Admirał już wykonuje gwałtowny ruch, żeby się podnieść, jednak siada z powrotem, kiedy sierżant robi krok w jego stronę, a jeden ze strażników opuszcza lufę strzelby, opierając mu bagnet na piersi. Poruszony don Hermógenes dostrzega, że na czole jego towarzysza lśnią drobne kropelki potu. Nigdy wcześniej nie widział, żeby admirał się pocił. Burmistrz Rouillé trzyma łokcie oparte na blacie, splótł palce i złożył na nich głowę, przyglądając się obojętnie całej scenie.

– Człowiek, który znajduje się teraz w zajeździe pod strażą – pyta – to wasz woźnica?

Don Hermógenes zabiera głos z zamiarem załagodzenia sprawy.

– Istotnie – potwierdza. – Podróżuje z nami od Madrytu i należy do służby markiza Oxinagi. On mógłby panom wyjaśnić...

– Nie, on niczego nam nie wyjaśni. – Rouillé śmieje się krótko, sardonicznie. – Wydaje się zbyt przerażony. I zapewne nie bez powodu. Na razie twierdzi to samo, co panowie.

– To logiczne. Nie można powiedzieć niczego innego...

– Jakie książki wieziecie?

– Dwadzieścia osiem tomów *Encyklopedii*, dzieła zapewne panu znanego. I kilka innych tytułów, które kupiliśmy w Paryżu.

– I twierdzicie, że te egzemplarze wieziecie do Hiszpanii?

– Tak.

Na twarzy Rouillégo pojawia się przebiegły uśmiech.

– *Encyklopedia* jest tam zakazana – ogłasza triumfalnie. – Wątpię, żeby pozwolili wam przekroczyć z nią granicę.

– Mamy pozwolenie – odzywa się admirał, który, jak się wydaje, już się opanował.

– Ach, tak? – Rouillé zwraca się do niego: – A czyje?

– Mamy list od króla.

– Coś takiego! Króla Hiszpanii czy też Anglii?

Kiedy don Pedro widzi, że rozmowa prowadzi donikąd, na twarzy pojawia mu się wyraz bezsilności.

– To wszystko jest absurdalne – stwierdza, unosząc ręce. – Śmieszne.

– Co pana śmieszy?

Admirał wskazuje spojrzeniem najpierw samego burmistrza, a potem sierżanta i jego ludzi.

– Ta rozmowa. Strażnicy i ich bagnety... Pan sierżant i jego grubiańskie zachowanie w zajeździe.

Rouillé wykrzywia usta w złośliwym grymasie.

– Słyszysz, Bernardzie? – zwraca się do sierżanta. – Temu panu wydajesz się grubiański.

Adresat słów mlaska językiem, uśmiechając się złowieszczo.

– Hm... Trzeba będzie w odpowiednim momencie zatrzeć to złe wrażenie.

Admirał wytrzymuje jego spojrzenie, sam patrzy z pogardą. Potem zwraca się do burmistrza.

– Pan sam też nie popisał się manierami...

Tutaj przerywa, a grymas na twarzy urzędnika robi się wyraźniejszy. Jego nieufne oczy skrzą się gniewem.

– Ach, tak? Ja też wydaję się panu grubiański, tak jak Bernard? A może śmieszny, tak jak nasza rozmowa?

– Tego nie powiedziałem. Mówię, że pan i to przesłuchanie...

– Wie pan, co tu jest śmieszne? To, że bierzecie nas, mieszkańców tego miasteczka, za głupców.

Admirał i bibliotekarz spoglądają po sobie nawzajem, znów nie wiedząc, o co chodzi.

– My nigdy... – zaczyna don Hermógenes.

– To mała, skromna miejscowość – przerywa mu Rouillé. – Ale jesteśmy dobrymi poddanymi Jego Królewskiej Mości, naszego władcy... Mieszkają tu ludzie uczciwi i uważni. – Zbliża do siebie kciuk i palec wskazujący. – Nawet takie drobiazgi nam nie umkną.

– To jakieś nieporozumienie – mówi don Pedro po chwili oszołomienia. – Zapewne biorą nas panowie za kogoś innego... Nie wiem dlaczego, ale popełnia pan poważny błąd, panie burmistrzu.

– To się jeszcze okaże. Na razie zbyt wiele niewiadomych mamy w tej historii.

Admirał wskazuje stosy papierów leżące na stole.

– W tych dokumentach znajdzie pan wyjaśnienie wszystkiego.

Rouillé wzrusza ramionami.

– Te dokumenty przejrzę w swoim czasie, zapewniam pana. I to bardzo uważnie. Na razie, dopóki wszystko się nie wyjaśni, zostaniecie tutaj.

– Dopóki co się nie wyjaśni? Może nam pan, do diabła, powiedzieć, co się dzieje?

– To bardzo proste: w imieniu króla aresztuję was.

– Co pan wygaduje?! – protestuje don Hermógenes. – W narodzie tak wykształconym jak francuski król powinien być niczym dobry ojciec,

karzący w razie konieczności, a nie jak barbarzyński władca, niesprawiedliwie więżący ludzi bez powodu...

– Proszę się nie męczyć, don Hermesie – mówi admirał. – Ci panowie raczej nie wyglądają na zainteresowanych subtelnościami retorycznymi.

– Zamknąć ich! – rozkazuje strażnikom Rouillé.

– Zamknąć nas? Oszalał pan? – Admirał zerwał się na równe nogi. – Mówię, że jesteśmy akademikami! Daję panu słowo, iż...

Sierżant przerywa mu i bez żadnych względów chwyta go za ramię. Don Pedro z urażoną godnością odruchowo jednym gestem strąca dłoń z ramienia. Sierżant próbuje złapać go mocniej, ale admirał broni się z nadspodziewaną energią, opierając się strażnikom, którzy się na niego rzucają. Kiedy don Hermógenes widzi, co się dzieje z jego towarzyszem, podnosi się i próbuje iść mu z pomocą, ale cios kolbą usadza go z powrotem na krześle. Zaczyna się przepychanka, panuje zamęt: Rouillé krzyczy, strażnicy dają pokaz gorliwości i w końcu obaj akademicy zostają otoczeni bagnetami, mocno skrępowani i siłą niemal zaciągnięci do aresztu w izbie obok.

Noc jest czarna, bezgwiezdna. Przystało padać, ale ziemia pozostaje błotnista i latarnia oświetlająca wejście do zajazdu odbija się w kałużach na drodze. Jest to jedyne widoczne światło i Pascual Raposo, zamyślony, stoi przed nim nieruchomo, owinięty płaszczem, w kapeluszu naciągniętym na oczy. Żar cygara oświetla mu brodę przy każdym pociągnięciu.

Hałas za nim powoduje, że odwraca głowę. Widzi zbliżający się od strony mostu cień, który przybiera kształt postaci. Chwilę później karczmarz Durán, przeklinając, że wpadł w błoto, ściska rękę Raposa.

– Jak tam w miasteczku? – pyta witany.

– Wszystko w porządku. Twoje dwa ptaszki siedzą w klatce, a burmistrz cały szczęśliwy.

– Co z nimi będzie?

– Zostaną tam do rana, aż wiadomość dotrze do kawalera d’Esmangarta.

– A kto to taki?

– Człowiek mieszkający tam za zajazdem, w zamku, który mija się po drodze z Mont-de-Marsan. To szlachcic, właściciel połowy Tartas, okolicznych lasów i terenów łowieckich, który czasami pełni tutaj funkcje prefekta; to nasz oficjalny przedstawiciel władzy w sprawach lokalnych... Rouillé, burmistrz, przygotowuje właśnie raport, który zostanie mu doręczony do domu.

– A kiedy przyjdzie ich zobaczyć czy też zdecydować o ich losie, co zrobi ten tam kawaler?

– Nie mam pojęcia. Należy do tych, którzy wstają późno, o ile nie wyjeżdża na polowanie. Nie sądzę, by zadał sobie tyle trudu przed południem.

Raposo zaciąga się cygarem.

– A jak to przyjęli ci dwaj?

– Wydaje się, że dość kiepsko. Opowiadał mi Rouillé, jak to zaczęli tak podskakiwać, że trzeba było im przyłożyć.

Raposo uśmiecha się w ciemnościach, wyobrażając sobie tę scenę.

– Jak mocno?

– Na tyle, żeby się uspokoili... Podobno Bernard, ten sierżant, miał na to ochotę. Za bardzo zadzierali nosa, zwłaszcza ten wyższy.

Raposo ostatni raz pociąga cygaro i upuszcza je na ziemię pod nogi.

– Znasz tego strażnika, który został w zajezdzie?

– Tak, nazywa się Jarnac... Dobry chłopak. Ożenił się z córką piekarza, kuzynką mojej żony.

– Do licha... Tutaj wszyscy są spokrewnieni!

– Prawie. Co, jak widzisz, ma swoje zalety.

– No to chodźmy pogadać z tym twoim krewniakiem.

– Jak chcesz. – Obaj mężczyźni ruszają w stronę zajazdu. – Ale posłuchaj... Ci dwaj dziadkowie naprawdę są angielskimi szpiegami?

– Tak słyszałem.

– Mam nadzieję, że nie skomplikuje mi to za bardzo życia. Rozumiesz mnie?

– Dlaczego miałyby komplikować? Pamiętaj, że ty tylko oddałeś władzom anonimowy list, jaki zostawił u ciebie w karczmie jakiś podróżny.

– Tak. A jeśli będą o niego wypytywać?

– Jak spytają, to im powiesz, że zostawił list i sobie poszedł. I ty za nic nie odpowiadasz. Ty tylko spełniłeś swój obowiązek dobrosąsiedzki i obywatelski.

– Ale naprawdę są szpiegami czy nie?

– Durán, ty lepiej myśl o tych ludwikach, które włożyłem ci do kieszeni, i przestań zawracać głowę.

Kiedy wchodzi do zajazdu, Jarnac rozmawia z właścicielem oberży, siedząc przed kominkiem ze strzelbą opartą o ścianę. Strażnik jest mężczyzną w średnim wieku, o prostym wyglądzie. Rozpiął kurtkę i je ser, popijając winem ze szklanki. Durán przedstawia Raposa jako swojego starego znajomego i przejeżdżającego właśnie tędy podróżnego, który zainteresował się tym zdarzeniem z dwoma angielskimi szpiegami, i przez chwilę wszyscy o tym rozmawiają. Jarnac potwierdza, że woźnica towarzyszący obu podróżnym siedzi na górze zamknięty w swoim pokoju, ich powóz znajduje się w szopie, a wypięte konie są w stajni pocztowej.

– Co zrobili z bagażami? – pyta Raposo.

– Jeszcze nic – odpowiada strażnik. – Bagaże zatrzymanych są w ich pokoju, zarekwirowane papiery zabrali moi koledzy, a reszta nadal leży na dachu powozu... Myślę, że jutro się nimi zajmiemy.

Rozmawiają jeszcze dobrą chwilę, właściciel zajazdu skarży się na niepewne czasy, na to, że różni ludzie tu przyjeżdżają, na perfidię Anglików; to szczęście, mówi, że tacy ludzie jak Jarnac, jego koledzy i sierżant dbają o porządek i prawo. Po chwili, kiedy Raposo uznaje, iż atmosfera jest już dość luźna, wstaje, płaci za kolejkę wina dla wszystkich i mówi, że musi dojrzeć konia, którego zostawił w stajni bez owsa. Posławszy mu porozumiewawcze spojrzenie, Durán proponuje, że się z nim przejdzie. Raposo zapina płaszcz, zapala lampę i w towarzystwie karczmarza wychodzi na zewnątrz, na chłód i wilgoć ciemnej nocy, kierując się ku stajniom i szopie zbudowanej z desek i pokrytej łupkiem, chroniącej powozy przez niepogodę. Jest tam tylko berlina akademików, czarna i nieruchoma, z dyszlem opartym o drewniany słupek.

– Czego tu szukasz? – pyta Durán.

– Nie gadaj i pomóż mi. Choć potem będziesz mówił, że niczego nie widziałeś.

Do dachu jest przymocowana reszta bagaży akademików, ciągle nakryta brezentem. Wspinając się na stopień, Raposo unosi nieco płótno i oświetla paczki lampą.

– Nie powinieneś niczego ruszać – mówi karczmarz.

– Zamknij dziób, do cholery!

Encyklopedia jest zapakowana w siedem dużych paczek, dobrze zabezpieczonych woskowanym papierem i obwiązanych sznurkiem. Raposo dotyka ich i pozwala sobie tylko na słaby uśmiech satysfakcji, obliczając w myśli wagę i wymiary. Obmyśla sposób, jak je przewieźć.

Potrzebne będzie jeszcze jedno zwierzę, stwierdza. Dwa pakunki na grzbiecie jego konia, pięć na dodatkowym. W sumie ma już gotowe plany, zna okolicę i nie musi jechać zbyt daleko.

– Będę potrzebował muła, Durán.

Wreszcie świta. Szare światło wpadające przez brudne szyby okienka pod sufitem oświetla zmęczoną twarz admirała, który niespokojnie przysypia skulony z zimna, leżąc na sienniku z liści kukurydzianych na kamiennej ławie, przykryty własnym płaszczem i starym, brudnym kocem. Teraz, cały ścierpnięty, starając się ustalić, co jest rzeczywistością, a co koszmarem, don Pedro przeciąga dłońią po nieogolonej twarzy, mruga i spogląda na don Hermogenesa, który leży na drugim sienniku, okryty peleryną i kocem równie obrzydliwym jak jego, i przygląda mu się zaropiałymi oczami o bezsennym spojrzeniu.

– Od jak dawna pan nie śpi? – pyta go don Pedro.

– Całą noc.

Admirał ze sporym wysiłkiem zsuwa koc i siada, opierając głowę na dłoniach.

– Jak długo jeszcze będzie trwał ten absurd? – pyta don Hermógenes.

– Nie wiem.

Drzwi do aresztu mają w górnej części kratę, przez którą widać ciemny korytarz i zamknięte wejście. Don Pedro wstaje, stara się jak może rozprostować obolałe członki, poprawia nieco wymięte ubranie, rozgląda się wokół, podchodzi do kraty i trzymając rękami żelazny pręt, woła, lecz nikt nie odpowiada. Kiedy się odwraca z bezsilną miną, napotyka przerażone spojrzenie dobrego don Hermogenesa, który przygląda mu się, jakby to w jego rękach leżało rozwiązanie tego wszystkiego.

– Co się stało? – pyta bibliotekarz.

– To oczywiste, że biorą nas za kogoś innego.

– To szaleństwo! Za kogo?

– Nie mam pojęcia.

Cela jest długa i wąska, o wilgotnych ścianach pełnych wyrytych znaków i wypisanych nieprzyzwoitości. W kącie stoi blaszane naczynie, żeby więźniowie mogli załatwić swoje potrzeby. Obaj korzystają z niego, oddając mocz, przy czym starają się z największym możliwym taktem unikać spoglądania na siebie nawzajem.

– To oburzające – stwierdza don Hermógenes.

Admirał próbuje przypomnieć sobie po kolei wszystko, co się wydarzyło. Okoliczności, jakie ich tu przywiodły. Zaintrygowany, ciągle niewiele rozumiejąc, stara się wytłumaczyć sobie powód zachowania strażników, grubiaństwo sierżanta, zgryźliwość burmistrza Rouillé.

– Te aluzje do Anglii – stwierdza – źle wróżą.

– A co pan podejrzewa?

– Francja jest w stanie wojny z Anglią, podobnie jak Hiszpania. Możliwe, że biorą nas za obcych agentów.

Don Hermógenes otwiera szeroko usta.

– Pana i mnie? Co za bzdura! A co mielibyśmy tutaj robić?

Admirał z powrotem siada na sienniku w płaszczu zarzuconym na ramiona. Zastanawia się.

– Mamy wyjątkowego pecha – zauważa. – Najpierw ta kradzież w Paryżu, a teraz to.

– O mój Boże! – Bibliotekarz jest przerażony. – Sądzi pan, że istnieje związek między tymi wypadkami?

Don Pedro zastanawia się nad tym mocniej.

– Nie, prawdę mówiąc, nie sędzę – stwierdza. – Jednak to zaskakujące. Taki pech.

– A może...

Szczeńk zasuwy przerywa bibliotekarzowi. Latarnia oświetla korytarz, gdzie pojawia się kilka osób. Don Pedro rozpoznaje burmistrza Rouillé, sierżanta Bernarda i jednego ze strażników widzianych w nocy. Towarzyszy im jakiś wysoki osobnik w średnim wieku o wytwornym wyglądzie i z włosami bez pomady zebranymi w kucyk, ubrany w strój wiejski albo myśliwski.

– Tu siedzą nasze ptaszki – mówi Rouillé beczelnie.

Nieznajomy podchodzi do kraty i przygląda się przeciągle obu akademikom wzrokiem zaciekawionym i podejrzliwym.

– Jestem kawaler d’Esmangart i pełnię tutaj funkcję prefekta – mówi oschle. – Właśnie wyjeżdżałem na polowanie, kiedy dostałem wiadomość... Kim panowie są?

– Brygadier Zárate i don Hermógenes Molina – odpowiada admirał – członkowie Hiszpańskiej Akademii Królewskiej.

Mężczyzna przygląda im się z zakłopotaniem. Ma on, zauważa don Pedro, szare, spokojne oczy, które robią wrażenie inteligentnych.

– Akademia języka kastylijskiego z Madrytu? Ta, która wydaje słownik?

– Tak, właśnie.

– I co panowie robią w Tartas?

– Zmierzamy w stronę Bajonny z ładunkiem książek zakupionych w Paryżu.

Kawaler d’Esmangart zastanawia się chwilę nad usłyszczanymi słowami, po czym spogląda na burmistrza Rouillé, a następnie znów zwraca się do akademików:

– Mogą panowie potwierdzić swoją tożsamość?

– Naturalnie – odpowiada admirał zupełnie spokojnie. – Nasze dokumenty podrózne z pieczęciami francuskich władz zostały skonfiskowane razem ze wszystkimi innymi papierami... Wczoraj w nocy leżały na stole tu obok.

D'Esmangart gestem poleca, bo przyniesiono dokumenty, i sierżant wychodzi po nie. Kawaler, rozmyślając, znów spogląda na Rouillégo.

– Kto ich zadenuncjował?

– Jakiś podróżny. W karczmie u Durána.

– I gdzie jest ten podróżny?

– Nie wiem. – Burmistrz waha się przez moment. – Może już ruszył w dalszą drogę... Ale zostawił list.

Wyjmuje papier z kieszeni i podaje kawalerowi. A ten czyta, unosi brwi i podaje go admirałowi przez kraty. Wiadomość napisano po francusku.

Jest mym obowionskiem jako dobrego podanego zawiadomić, że w zajeździe są dwa szpiegi angielskie, które jadom z Paryrza do granic. Niech żyje Francja i tesz niech żyje krul.

– Tak jak się spodziewaliśmy, don Hermesie. – Admirał z niesmakiem oddaje papier kawalerowi. – Zostaliśmy zadenuncjowani jako szpiegdy.

– Co takiego? A kto podpisał się pod tą potwarzą?

– Nie wiem. Nie ma tam podpisu. To anonim.

– O mój Boże! I tak nas tu traktują przez anonim?!

Sierżant wraca z kilkoma najważniejszymi dokumentami, pośród których admirał rozpoznaje paszporty i listy podrózne. W świetle lampy trzymanej w górze przez burmistrza d'Esmangart czyta wszystko bardzo uważnie, spogląda na więźniów i wraca do lektury. Na koniec składa

papiery, poleca otworzyć celę i przejść do biura, gdzie don Pedro i don Hermógenes byli przesłuchiwani ostatniej nocy. Kawaler wskazuje akademikom te same krzesła, a sam siada za stołem, podczas gdy sierżant i strażnik stoją obok.

– Czy panowie coś jedli?

Ton wydaje się teraz łagodniejszy. Bardziej uprzejmy.

– Od wczorajszego wieczoru nic – odpowiada don Hermógenes.

– Zaraz się tym zajmiemy. – D’Esmangart poleca strażnikowi, żeby poszedł po dwie filiżanki bulionu, chleb, dzbanek wody i ręczniki, a potem zwraca się do burmistrza: – Kto przyniósł ten list?

– Durán, już panu mówiłem... Jak nam powiedział, jakiś podróżny, który zatrzymał się tam przejazdem, rozpoznał tych osobników i uznał, że jego obowiązkiem jest o tym poinformować.

Kawaler znów marszczy czoło.

– Dlaczego poinformował Durána, a nie władze?

– Nie wiem, proszę pana.

– Sprowadźcie go.

– To zaufany człowiek, proszę pana. Jestem chrzestnym jego córki. I dlatego...

– Mówię, żeby go sprowadzić.

Przychodzi strażnik ze śniadaniem, wodą i ręcznikami, które d’Esmangart uprzejmie proponuje akademikom. Odświeżają się nieco, kruszą chleb do filiżanek i pożywiają bez ceremonii przy stole w biurze, rozmawiając z kawalerem. A ten, szlachcic z prowincji, wykształcony i kulturalny, jest zaskoczony wiadomością, że wiozą do Madrytu pierwsze wydanie *Encyklopedii* za zezwoleniem króla oraz inkwizycji. Pytani o pobyt w Paryżu, don Pedro i don Hermógenes opowiadają pewne epizody, gdzie pojawiają się wspólni znajomi, tacy jak encyklopedysta Bertenval,

którego d'Esmangart zna i z którym jego wuj, intendent z Lille, utrzymuje korespondencję. W tym czasie zjawia się karczmarz Durán, wydaje się mocno przestraszony i odpowiada z niepokojem na chłodne pytania kawalera, wprowadzające go w jeszcze większą nerwowość. W końcu popada w coraz poważniejsze sprzeczności i zapewnia, że ledwo widział twarz autora anonimowego donosu. D'Esmangart odsyła go, wyraźnie zdegustowany, patrzy ze smutkiem na akademików i zwraca się do Rouillégo.

– Krótko mówiąc, panie burmistrzu, otrzymał pan anonimowy list, który wcześniej dano karczmarzowi, i postanowił pan wsadzić do więzienia tych dwóch dżentelmenów, nie sprawdzając ich tożsamości... Dobrze to ująłem?

Twarz Rouillégo pobleadła.

– To była poważna sprawa, panie kawalerze – jąka się. – Uznałem, że najważniejsze jest szybkie działanie.

– Właśnie widzę. – D'Esmangart stuka palcami po blacie, spoglądając z namysłem na sierżanta Bernarda. – Czy poczuli się panowie dotknięci?

– Niegroźnie – potwierdza don Hermógenes. – Słowem i czynem.

– O wszystkim zdecydował burmistrz – tłumaczy się Bernard. – Ja tylko wykonywałem jego polecenia.

– Nadal uważam... – wtrąca się Rouillé.

D'Esmangart przerywa mu ze zniecierpliwieniem.

– Wszystko jest jasne, panie burmistrzu. Dokumenty są zgodne z przepisami, wizy i pieczęcie jak należy... A ci dwaj panowie pomimo trudów spędzonej tutaj nocy wyglądają na osoby godne szacunku. Myślę, że wczoraj pan przesadził.

– Ale przecież Durán...

– Którego córka jest pana chrześnicą, tak, wiem. – D’Esmangart piorunuje go spojrzeniem szarych oczu. – Już wcześniej pan mówił.

Kawaler znów spogląda na akademików, którzy właśnie skończyli śniadanie. Don Hermógenes przeżuwa spokojnie ostatnią skórkę chleba, a admirał odstawia na stół pustą filiżankę po bulionie.

– Czy znajdują panowie jakieś wyjaśnienie tego wszystkiego?

– Nie wiem, co panu powiedzieć. – Don Pedro z zatroskaną miną ociera usta zmiętą chustką. – Prawda jest taka, że to nie pierwszy wypadek, jaki się nam zdarza. Jednak nie wyobrażam sobie, kto mógłby chcieć...

Przerywa, jakby naraz coś sobie przypomniał. Samotny jeździec, którego nieraz spotykali po drodze z Paryża w dwóch czy trzech zajazdach. Admirał ma przed oczami niewyraźny obraz milczącego osobnika z bokobrodami i w kapeluszu ubranego w hiszpańskim stylu. Możliwe, choć tego nie jest pewien, że widzieli go też na trasie do Paryża.

– Gdzie są nasze bagaże? – pyta, czując, jak przebiega go nagły dreszcz. – Zapakowane książki zostały na powozie.

– W szopie na wozy pocztowe, jak sądzę – odpowiada sierżant Bernard na pytające spojrzenie kawalera. – Przy zajeździe.

– Czy ktoś ich pilnuje?

– Został tam jeden z naszych strażników, prawda? – odzywa się Rouillé.

– Tak, Jarnac – potwierdza sierżant.

Ku zaskoczeniu wszystkich, nawet don Hermogenesa, admirał gwałtownie się zrywa, niemal przewracając krzesło. Jego twarz jest ściągnięta i blada. Zwraca się do d’Esmangarta:

– Proszę, chodźmy tam zaraz. Mam złe przecucia.

Jarnac dobrą chwilę nie może oprzytomnieć. Znaleźli go w szopie, kiedy dotarli tam z miasteczka, przechodząc przez most i obok zajazdu.

Strażnik, gdy dochodzi do siebie, opowiada, że kiedy wszedł do szopy sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, natknął się tam na człowieka majstrującego przy berlinie, gościa, którego wcześniej spotkał w zajęździe w towarzystwie karczmarza Durana. Widząc go, strażnik zapytał, co robi, a ten podszedł uśmiechnięty, żeby mu odpowiedzieć. Wtedy Jarnac nagle poczuł, jak ktoś zadaje mu cios w podstawę czaszki, po czym padł jak worek ziemniaków. Nie pamięta nic więcej, tylko człowieka, który mu to zrobił – osobnika w stroju podróźnym, o zaciętej twarzy, z gęstymi bokobrodami i o bardzo podłym charakterze. Nie wie, co robił w szopie i jakie miał zamiary. To musi wiedzieć Durán, bo on go przyprowadził do zajazdu. Chyba że...

– *Encyklopedia!* – odzywa się przeraźony don Hermógenes.

Wszyscy patrzą we wskazanym przez niego kierunku. Brezent został zerwany z dachu powozu – leży z boku na ziemi przy jednym z kół – i na powozie nie ma pakunków.

– Czy na tym mu zależało? – pyta kawaler d’Esmangart z niedowierzaniem. – Chciał ukraść panom książki?

– Na to wygląda – mówi admirał ze zmienioną miną.

– I co w nich jest szczególnego?

– Nie wiem... Słowo panu daję, że nie wiem.

Patrzą po sobie zdeorientowani. Akademicy są zasmuceni.

– Co panowie teraz robią?

– Tego też nie wiem. – Don Pedro przygląda się szaremu, mokremu pejzażowi, złowrogo zarysowanemu pod ciemnymi chmurami. – Ale musimy wyruszyć za nim.

Burmistrzowi Rouillé jest bardzo przykro. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że denuncjacja i cała reszta to był spisek. I tak dalej.

Z karczmarzem Duranem, zapowiada, jeszcze się policzy. Choć córka jest chrześnicą, to wszystko nieważne. Nędznik jeden.

– Czuję się jak kretyń – podsumowuje.

„I bardzo słusznie” – gorzko komentuje d’Esmangart, dodając, że szkoda już została wyrządzona. Teraz trzeba się zastanowić, jak można złapać osobliwego złodzieja.

– Wiadomo, dokąd pojechał?

Służący z zajazdu, który razem z właścicielem przybiegł na widok zamieszania, mówi, że chociaż nie wiedział, co się przydarzyło strażnikowi Jarnacowi, widział, jak jakiś czas temu jeździec zmierzał wzdłuż rzeki w kierunku Wilczego Wąwozu, prowadząc jeszcze ze sobą muła. A przed chwilą zauważył, że w stajni brakuje zwierzęcia.

– Wąwóz jest o pół mili stąd – mówi sierżant Bernard po chwili zastanowienia. – Jeśli tam jedzie, może uda się nam go dogonić.

Jarnac, choć ma obolałą głowę i urażoną ambicję, zgłasza się na ochotnika, żeby gonić człowieka, który go napadł. Pojedzie z sierżantem, decyduje d’Esmangart przy poparciu burmistrza. A kiedy strażnik idzie po swoją strzelbę, kawaler poleca właścicielowi zajazdu przygotować wszystkie konie w stajni. Cztery się nadają, informuje właściciel: dwa dla strażników, a pozostałe dwa dla tych, którzy zdecydują się z nimi wyruszyć.

– Ja muszę jechać – mówi admirał. – To nie podlega dyskusji.

– Osobnik, który zaatakował Jarnaca, wygląda na niebezpiecznego człowieka – protestuje burmistrz.

– Nieważne. To nasze książki i muszę się dowiedzieć, dlaczego nam je zabrano.

– Jak pan sobie życzy – przystaje na to d’Esmangart. – Ma pan pełne prawo, to fakt. Czy dobrze pan jeździ konno?

– Tak.

– Świetnie. A kto pojedzie jako czwarty?

Wszyscy patrzą na don Hermogenesa, który nieśmiało podnosi rękę.

– Nie ma mowy – odmawia życzliwie admirał.

– Nie wiem, dlaczego miałbym nie jechać – protestuje bibliotekarz. – Jestem tak samo odpowiedzialny za te książki, jak pan. To nasza wspólna sprawa.

– Istnieje spore ryzyko.

– Właśnie dlatego, do licha... W Paryżu też istniało i dużo mnie to kosztowało. Ciekawe, jak miałbym się potem pokazać w Akademii i powiedzieć, że pozwoliłem panu samemu stawić im czoła.

– Jeździ pan konno? – pyta d'Esmangart.

Bibliotekarz odpowiada z bohaterskim stoicyzmem:

– Udaje mi się nie spadać, a to już dużo.

Admirał nadal jest przeciwny i obaj przyjaciele spierają się, kiedy właściciel zajazdu i służący podchodzą do nich, trzymając za uzdy cztery osiodłane konie. Jarnac już wrócił ze strzelbą, a sierżant Bernard z ponurą miną sprawdza pistolet, który nosi za pasem.

– Niech się panowie decydują – mówi, wsiadając na jednego z wierzchowców – inaczej ten łajdak nam umknie.

Widać po jego minie, że nie należy do tych, którzy pozwalają, by ktokolwiek stroił sobie z niego żarty albo masakrował jego podwładnych, a całą sprawę traktuje bardzo osobiście. Jarnac ze strzelbą przewieszoną przez ramię wsiada na drugiego konia; jednak admirał, widząc upór don Hermogenesa, ciągle się waha.

– Pański przyjaciel ma rację – mówi d'Esmangart bezstronnie. – Jeśli chce jechać, ma prawo.

– Oczywiście, że mam! – nie ustępuje bibliotekarz.

Don Pedro przygląda się zdecydowanej twarzy, jaką ma przed sobą, widzi nieogolone oblicze z ciemnymi sińcami i opuchlizną pod oczami po zarwanej nocy. Don Hermógenes ma zaciśnięte szczęki i dzielnie znosi badanie, którego jest przedmiotem. Wygląda, jakby nagle przybyło mu dziesięć lat, ale nigdy wcześniej admirał nie widział u niego takiego zdecydowania. Takiej pewności siebie.

– Jest pan pewien, don Hermesie?

– Całkowicie. A co pan sobie myśli? Postaram się nie przeszkadzać.

Nic więcej nie mówiąc, zrezygnowany don Pedro potakująco kiwa głową, wkłada stopę w strzemień i wsiada na konia. Don Hermógenes z pomocą d'Esmangarta i burmistrza robi to samo i siedząc już na wierzchowcu, owija się peleryną gestem niemal eleganckim.

– Nie mają panowie broni – uprzytamnia sobie kawaler.

– Posiadam łaskę ze sztyletem – odzywa się admirał. – I mam nadzieję, że mój towarzysz nie będzie potrzebował broni.

– Też mam taką nadzieję – zgadza się z nim don Hermógenes.

D'Esmangart podaje admirałowi krótki pistolet, który wyjmuje spod kurtki.

– Proszę, niech pan to zabierze. Jest naładowany. Nigdy nie wiadomo.

– Jest pan bardzo uprzejmy. – Don Pedro uśmiecha się grzecznie, dotykając róna kapelusza. – Postaram się oddać go panu niedługo. Liczę, że przedtem nie będę z niego strzelał.

– Będziemy czekać na wiadomości w zajeździe... Proszę bardzo uważać. – D'Esmangart zwraca się teraz do sierżanta: – A ty, Bernardzie, wiesz, że ponosisz odpowiedzialność za wszystko...? Tym panom nie może spaść włos z głowy.

– Proszę się nie martwić, kawalerze – uspokaja go sierżant. – Wszystkim się zajmę.

Czterej jeźdźcy, spinając ostrogami konie, opuszczają królewski trakt i jadą pod szarym niebem, z którego sączy się wilgoć, wzdłuż rzeki po śladach kopyt na błotnistej ziemi; klucząc pomiędzy drzewami, kierują się w stronę Wilczego Wąwozu.

Woda w Midouzie, wezbrana i mętna, płynie korytem na prawo od Pascuala Raposo. Słysząc głośny szum ołowianej, gwałtownej, niespokojnej toni, która czasem występuje na brzeg i zatapia ziemię między drzewami. W wąwozie urywającym się przy korycie rzeki pojawiają się łachy podmokłego piasku, które zwierzęta pokonują z trudem, potem ścieżka wije się między topolami o jasnozielonych listkach i wydaje się, że pośród ich gałęzi zaplątały się ostatnie pasma mgły. Czasami sroka nagle przelatuje nad trawą, niespodziewanie poruszając paprocie.

Gęsto zarośnięty brzeg wznosi się naraz po jednej stronie urwiskiem wyrzeźbionym przez wodę rzeki. Raposo uważnie przygląda się temu miejsca, po czym tam kieruje zwierzęta, zbaczając ze ścieżki. Zsiada z konia, przywiązuje jego wodze do gałęzi, to samo robi z mułem. Najpierw zdejmuje paczki z końskiego grzbietu, potem pięć pakunków, które wiół muł, spada na mokrą trawę. Są naprawdę ciężkie. Nigdy sobie nie wyobrażał, że książki mogą tak dużo ważyć. Otwiera nóż i przecina sznurek, którym związana jest jedna z pak, potem rozkrawa woskowaną tkaninę i karton opakowania. Docenia, że książki są piękne – porządnego rozmiaru, oprawne w skórę i z ładnymi, złotymi literami na grzbietach. *Encyklopedia*, czyta. Otwiera pierwszy tom, na jaki trafia w paczce, i czyta kilka wierszy na chybił trafił: *Aussi fallut-il au genre humain, pour sortir de la barbarie...*

Tak więc, aby wyjść ze stanu barbarzyństwa, potrzeba było ludzkości jednej z tych rewolucji, które nadają ziemi nowe oblicze; cesarstwo greckie

uległo zniszczeniu; jego upadek sprawia, iż do Europy napływa to i owo z ocalałych w świecie resztek osiągnięć poznawczych; wynalazek sztuki drukarskiej, mecenat Medyceuszów i Franciszka I pobudzają umysły i światłość myśli odradza się wszechstronnie...¹

Raposo odkłada książkę, na której otwarte kartki spadło z drzew kilka kropel rosy, wstaje, podchodzi do konia i z torby wyjmuje przyrządy do palenia. Chwilę później stoi nad brzegiem rzeki, patrząc na płynący nurt i spokojnie pali cygaro. To odpowiednie miejsce, uznaje. Wczoraj w pierwszej chwili pomyślał, żeby podpalić szopę, gdzie stała berlina, żeby wszystko spłonęło. To jednak byłoby strzelanie do much z armaty, zbędna przesada. Większe problemy i zbyteczne zwracanie uwagi. Wyrzucenie książek do rzeki jest dyskretniejsze. I czystsze. Pozostaje tylko pytanie, czy wrzucać je po jednej, czy po prostu razem, łącznie z opakowaniem, bo tak czy inaczej wszystko łatwo tutaj utonie. Wystarczy przeciąć karton, żeby zawartość porządnie namokła. Nurt pod skarpą wydaje się głęboki, a woda i tak zniszczy cały pakunek.

Podjąwszy decyzję, Raposo z cygarem w zębach zabiera się do cięcia woskowanego papieru, w jaki zawinięte są paczki, i ciągnie pierwszy z pakunków na brzeg urwiska. „Potrzeba było ludzkości jednej z tych rewolucji, które nadają ziemi nowe oblicze”, przypomina sobie, spoglądając ostatni raz na egzemplarz leżący na wierzchu. Szkoda, myśli, że nie ma czasu, by przeczytać trochę więcej. Raposo w żadnym razie nie należy do czytelników książek, nawet nie czytuje gazet leżących w kawiarniach, a tym bardziej kiedy traktują o sprawach niebezpiecznych tego świata, gdzie musi walczyć o życie. Ale te zdania sprawiły, że zaczął się zastanawiać. I taka jest prawda, stwierdza, uśmiechając się z wilczym grymasem na ustach. Choć to nie jego sprawa, może jest tak, jak się mówi bezczelnie w tej książce, ludzki rodzaj musi się od czasu do czasu

wypieprzyć. I to całkiem zdrowo. A ktoś musi dać lekkiego prztyczka, żeby to ułatwić. Ta myśl sprawia, że pierwszy raz zaczyna wiązać treść tych ksiąg z mężczyznami, którym je zabrał. Jeszcze chwilę temu, zanim przeczytał tych parę linijek, „encyklopedia” to było słowo bez większego znaczenia, a admirał i bibliotekarz byli dwoma zwykłymi facetami, dwoma starymi ramolami, za uprzykrzanie którym życia Raposo dostaje forszę. Teraz nagle, pod wpływem lektury kilku linijek w książce, którą zamierza wrzucić do rzeki, tych dwóch gości zaczyna nabierać ludzkich cech. Ścigani stają się osobami, które mają cele i ideały, może nawet w coś wierzą. To ludzie oryginalni i niewygodni dla innych, uważający, że niezbędny jest wstrząs, który zmieni oblicze świata. Nikt by nie powiedział, patrząc na nich. Na tych dwóch staruchów.

Rzenie konia powoduje, że Raposo nieruchomieje, kiedy już zamierza wrzucić do wody pierwszą paczkę; podnosi głowę i nieufnie spogląda na ścieżkę biegnącą w dole pomiędzy drzewami. Przez chwilę nasłuchuje w bezruchu, ciągle pochylony nad pakunkiem. Nadstawia ucha. Nie słyhać nic poza szumem rzeki i ptakami wzbijającymi się do lotu. Mimo to, zachowując podejrzliwość profesjonalną oraz instynktowną, nasłuchuje dalej. W końcu docierają do niego dalekie odgłosy, echo rozmów i chlupot końskich kopyt pokonujących błotnisty odcinek. Międląc w zębach przekleństwa, nagle się podnosi, ostatni raz zaciąga się cygarem i wrzuca je do rzeki. Potem zdejmuje kapelusz i płaszcz, podchodzi do konia, grzebie w walizce przypiętej do jego zadu i wyciąga pistolet z podwójną lufą; wyjmuje też kawaleryjską szablę z derki, w którą jest owinięta, rzuca pochwę na ziemię i usiłując robić jak najmniej hałasu, oddala się w stronę drzew i wysokich paproci, skąd może obserwować ścieżkę wijącą się jakieś trzydzieści kroków dalej, po drugiej stronie wzniesienia. I tam, rozejrzawszy się wokół, Raposo uznaje, że miejsce jest zadowalające; wbija

szablę w ziemię, klęka za pniem drzewa, sprawdza, czy spłonka w pistolecie jest sucha, i odbezpiecza broń, starając się stłumić odgłos między udami. Robiąc to wszystko, oddycha głęboko, żeby się uspokoić i spowolnić puls. Czuje w pachwinach stare, dobrze znajome łaskotanie, jak zawsze przed akcją. Czasem człowiekowi tego brakuje, stwierdza. Bywa, że pomimo rewolucji i nowych twarzy – myśli z sarkazmem – ludzki rodzaj potrzebuje, żeby ktoś rąbnął go w jaja.

– Tutaj ślady zbaczą – odzywa się sierżant Bernard.

Mówi to po cichu, podejrzliwie wskazując na gęsto zalesione zbocze. Ściąga wodze konia, zmuszając go do półobrotu, teraz spogląda znacząco na strażnika Jarnaca. Za nimi don Pedro i don Hermógenes zatrzymują wierzchowce i stoją, wyczekując w napięciu, strzemię w strzemię.

– A tu się wznoszą – dodaje sierżant, schodząc z konia i ciągle spoglądając za siebie.

Jarnac ze strzelbą w dłoniach też zsiada. Jego przełożony gestem daje znać akademikom, żeby zeszli z koni. Kiedy to robią, sierżant wydaje polecenia podwładnemu, wskazując na brzeg rzeki. Ten kiwa głową, oddala się kilka kroków i staje za drzewem ze strzelbą gotową do strzału. Klapy i czerwone wyłogi jego niebieskiej kurtki, stwierdza don Hermógenes, wyraźnie odcinają się od zieleni liści w zamglonym lesie.

– Niech się panowie stąd nie ruszają – szepce Bernard, wyciągając pistolet zza pasa. – Pójdziemy zobaczyć, czy ktoś jest na górze.

– Mogę się wam przydać – mówi admirał, trzymając w ręku laskę z wysuwającym ostrzem, wcześniej rozpiąwszy płaszcz, pod którym czuje w kieszeni pistolet kawalera d’Esmangarta.

– Bardziej się przydacie, nie przeszkadzając – bezczelnie ripostuje sierżant.

Uniósł rękę w cichym, profesjonalnym geście, pokazując Jarnacowi, żeby wspiął się na górę, a ten wypełnia polecenie, z nadal przygotowaną strzelbą przechodzi do następnego drzewa i staje w paprociach po pas. Bernard spojrzeniem upewnia się, czy akademicy pozostali przy koniach, sprawdza spust pistoletu i wspina się po stoku. Don Hermógenes szeroko otwiera usta z emocji, wstrzymuje oddech, jedną ręką ściskając ramię admirała i wbijając mu palce w rękaw, patrzy, jak sierżant ostrożnie się porusza, kiedy pnie się po zalesionym stoku, rozglądając się i rozważnie stawiając kroki, rzucając przy tym okiem na Jarnaka, który podobnie jak on posuwa się w górę kilka kroków na prawo od niego. I bibliotekarz ledwo słyszy wystrzał, kiedy ten następuje, czy też zauważa go chwilę później, gdy przez mokre powietrze w lasku dociera jego echo, a sierżant nagle się zatrzymuje, prostuje, jakby coś niespodziewanego przykuło jego uwagę i upada pośród paproci, a z jego gardła tryska strumień krwi.

Teraz wszystko dzieje się z taką szybkością, że bibliotekarz ledwo nadąza za tokiem wydarzeń. Jarnac podnosi strzelbę do twarzy i strzela ze swojego miejsca – tym razem wystrzał jest bliski i głośny, jakby rozdzierał wilgoć wokół – podczas gdy admirał wyswobadza się z zaciśniętych na swoim ramieniu palców don Hermogenesa i pochyla nad leżącym ciałem, starając się chustką zatamować krwotok. Bibliotekarz stoi nieruchomo, półprzytomny z przerażenia, widzi, że pomimo wysiłków jego towarzysza szkarłatny płyn nadal leje się niepohamowanym strumieniem z gardła sierżanta, którego oczy są wytrzeszczone i którego ciało drga, wstrząsane gwałtownymi konwulsjami przy dźwięku głuchego, mokrego charczenia.

– Jeszcze jedną chusteczkę, proszę – krzyczy admirał, który klęcząc nad Bernardem, z dużym wysiłkiem uciska zakrwawionymi rękami jego ranę. – Na Boga, niechże mi pan poda swoją chustkę!

Kiedy don Hermógenes już się zabiera, niezdarnie i pospiesznie, by wypełnić polecenie, jego uwagę przyciąga postać szybko zbiegająca między drzewami po skarpie: to mężczyzna, który wyskoczył z krzaków i prędko zbliża się do Jarnaca, właśnie starającego się załadować na nowo strzelbę. Kiedy mężczyzna jest o trzy, cztery kroki od gwardzisty, nie pozwalając mu dokończyć, oddaje strzał, który odrzuca strażnika w tył i uderza nim o pień drzewa, a następnie jego ciało pada w krzaki i ginie z zasięgu wzroku.

To sprawia, że bibliotekarz dostaje gęziej skórki i wpada niemal w panikę, widząc, jak admirał na dźwięk wystrzału przestaje opatrywać Bernarda, szybko chwyta pistolet upuszczony przez sierżanta, podnosi się, trzymając broń w ręce, i płynnym ruchem celuje i strzela do ruchomej sylwetki agresora; ten, słysząc huk – ogłuszający don Hermogenesa, który zakrywa rękoma uszy – chowa się za pniem drzewa, a potem, kiedy dym spalonego prochu jeszcze unosi się w powietrzu, biegnie bardzo zwinnie po skarpie w górę.

– On ucieka! – krzyczy bibliotekarz, jakby się wyrwał z letargu. – Matko Boska! On ucieka!

Nigdy, nawet podczas napadu rozbójników nad rzeką Riazą ani w trakcie pojedynku z Coëtlegonem, nie widział don Hermógenes u don Pedra Zárata takiego zdecydowania jak w tym momencie. Przez chwilę, kiedy admirał stoi nieruchomo po chybionym strzale, patrzy uważnie, precyzyjnie i chłodno, jak gdyby wilgoć lasu zmroziła mu źrenice, i obserwuje uciekiniera wbiegającego po stoku. W tej chwili zaskoczony bibliotekarz naraz jakby nie poznawał swego towarzysza, wydaje mu się, że lata nagle wyparowały, widzi w nim innego człowieka: admirał chwyta leżącą na ziemi laskę i uwalnia ostrze schowane w środku, po czym zrywa się z nadspodziewaną zręcznością, wyciąga pistolet z kieszeni płaszcza, odbezpiecza go i z nim w jednej ręce, a ostrzem w drugiej zdecydowanie

biegnie w górę, jakby nagle reszta świata przestała istnieć. W tym momencie pokojowo nastawiony i przestraszony bibliotekarz próbuje krzyczeć, żeby admirał się zatrzymał, by nie biegł dalej, że człowiek, który zabił dwóch strażników, równie dobrze może uśmiercić także ich. Jednak kiedy otwiera usta, żeby to powiedzieć, udaje mu się jedynie wydać niezborny bełkot i zaraz milknie w przerażeniu, mając świadomość, że słowa są teraz bezużyteczne, gdy widzi, jak don Pedro już na górze znika pośród drzew. Wtedy don Hermógenes nagle zawstydzona się, że pozwolił mu iść samemu, rozgląda się wokół i dostrzega w trawie pistolet sierżanta Bernarda, z którego admirał strzelił do mordercy. Zatem nie mając pod ręką niczego innego, jakby ta nieprzydatna broń dawała mu bezpieczeństwo albo pociechę, don Hermógenes schyla się po pistolet i trzymając go w drżących rękach, wspina się po zboczu za swoim towarzyszem.

Kiedy Raposo dociera na górę, wyciąga z ziemi szablę i zręcznie ją chwyta. Walka jest jego naturalnym żywiołem, czuje się w niej jak ryba w wodzie i wie, że nie będzie miał czasu, by przeładować pistolet o podwójnej lufie, którego używał przed chwilą. Lepiej więc oszczędzić sobie bezużytecznych gestów i żalów. Na dole jest jeszcze dwóch mężczyzn – doliczył się czterech jeźdźców, kiedy się zbliżali – i sądząc po odgłosach zbliżających się kroków, idą za nim. Przez chwilę wydawało mu się, że jeden z nich, ten, który do niego strzelił, a kulka świsnęła o cal od jego ucha, to wysoki akademik. Admirał. Myśl, że być może zostali tylko ci dwaj, uspokaja go. To nie są poważni przeciwnicy, mimo że ten wyższy ma celne oko, co Raposo mógł docenić podczas podróży do Paryża nad Riazą, kiedy obserwował ich z daleka. Nie jest to dla niego poważne zagrożenie, tym bardziej w tym miejscu i w tych okolicznościach. I tak czeka pochylony z szablą w ręce, ukryty za pniem drzewa pośród paproci, gratulując sobie, że najpierw szybko i zręcznie pozbył się dwóch

mundurowych, bo ich, zawodowców, można się było obawiać. Dlatego wybrał ich na początek, udało mu się ich rozpoznać po czerwonych wyłogach na mundurach, odznaczających się wyraźnie pośród szarzielonych barw lasu. Chociaż z drugiej strony zabicie dwóch strażników z Maréchaussée nie spodoba się specjalnie nikomu. Wolałby oszczędzić sobie tego, ale nie miał innego wyjścia – albo oni, albo on. Kiedy się o tym dowiedzą koledzy zabitych, prawdopodobnie zorganizują porządny pościg; teraz więc jak najpilniej trzeba się pozbyć dziadków, wyrzucić książki do rzeki i zwiewać szybko do granicy. Ze świadomością uczciwie zarobionego grosza.

Bliskie kroki, szelest gałęzi i krzaków. Ktoś wchodzi po zboczu i jest już blisko. W tej odległości sprawa może się okazać trudna, myśli szybko Raposo, jeśli jego prześladowcy mają jeszcze naładowaną broń, zwłaszcza jeśli trzyma ją w rękach admirał. Kiedy padną strzały, nie wiadomo, jak będzie. Najlepiej siedzieć cicho w ukryciu, dopóki akademicy nie znajdą się w zasięgu jego szabli – starego narzędzia kawaleryjskiego z brązową rękojeścią i lekko zakrzywioną szeroką i ostrą klingą, której jeden cios wystarczy, żeby wyeliminować z walki każdego śmiałka.

Coraz bliższy hałas. Szybkie kroki i oddech zdyszany od wysiłku, którego echo do niego dociera. Jeden z prześladowców jest tuż obok, Raposo instynktownie lekko się uspokaja, bo rozpoznaje starszego człowieka – to bez wątpienia ten wysoki akademik. Mimo to pochyła się jeszcze bardziej, mokre liście paproci dotykają jego twarzy, parę razy oddycha głęboko, po czym wstrzymuje dech, uważnie wsłuchany we wszelkie odgłosy, żeby po wyjściu z ukrycia precyzyjnie zlokalizować miejsce, gdzie będzie przeciwnik. Jeśli człowiek będzie uzbrojony, bez względu na to, jak jest stary, atak ze zbyt dużej odległości narażałby Raposa na zarobienie kulki w pierś. Nad pistoletem, a ten człowiek potrafi się z nim

obchodzić, tylko zaskoczenie i bliskość dadzą mu przewagę. I teraz nadchodzi ta chwila.

Raposo błyskawicznie podnosi się z szablą w górze, ledwo widząc stojącego obok mężczyznę – ciemną, zmokniętą postać z jękiem padającą między zarośla dwa kroki od niego – i gwałtownie uderza pchnięciem w dół. Jednak niskie gałęzie drzewa przeszkadzają i zmieniają tor lotu klingi. I zamiast ciąć ostrzem, klinga uderza płasko w ramię przeciwnika. Raposo cedzi przekleństwo przez zęby i ma dość czasu, żeby dostrzec wyraz zaskoczenia na twarzy przed sobą – rzeczywiście to ten wyższy z akademików, stwierdza w jednej chwili – oraz szybką reakcję na uderzającą szablę i natychmiastową decyzję widoczną w jego jasnych, upartych oczach. Niemal jednocześnie pada wystrzał z pistoletu, Raposo czuje ból w prawym boku, a uderzenie, które wywołuje jego jęk, gwałtownie odpycha go w tył, tak że opiera się o pień drzewa.

– Sukinsyn! – syczy, tnąc znowu szablą na oślep.

Cios, czy też próba uniknięcia go, sprawia, że przeciwnik upada między krzaki. I kiedy Raposo cofa się parę kroków, trzymając szablę w prawej ręce, a lewą dotykając rany w boku, widzi, że obolały admirał w przemoczonym i ubłoconym ubraniu powoli wstaje. Ostre gałęzie podrapały mu twarz i siwe włosy są w nieładzie, kucyk na karku prawie się rozsypał. Cholernik, myśli Raposo, kiedy zaskoczony widzi, jak akademik podnosi się z zimną krwią, niespodziewaną u człowieka w jego wieku, błyskając stalą sztyletu w lasce, którą trzyma w ręce. Przeklęty, uparty admirał patrzy na niego tymi swoimi oczami zimnymi jak szron. Cholerny sukinsyn.

– Stać! – rozkazuje Raposo.

Kiedy mówi, dotyka rany w boku i uspokaja się, czując, że to tylko draśnięcie ostrzem, które co najwyżej otarło się o żebra, i rana nie krwawi

zbyt mocno. Dwa cale niżej i miałby złamaną miednicę. Czuje naraz dreszcz wściekłości. Ma ochotę zrobić krzywdę. Może i zabić.

– Krok dalej i przybiję cię do drzewa.

W tym momencie pragnie z całej duszy, żeby mężczyzna zrobił ten krok. Chce spełnić groźbę, zaatakować z radością, rozładować wściekłość z powodu rany w boku i całej absurdalnej sytuacji. Przekląci starcy. Wszystko się tak głupio skomplikowało, myśli. Żadnego z nich, nawet jego samego nie powinno tutaj być.

– Niech pan ucieka – sugeruje, mając dość.

Jednak admirał stoi bez ruchu, patrząc na niego uparcie. Wyprostowany, beznamiętny. Jakby nie słyszał, co się do niego mówi. Jak gdyby był w transie, gdzieś indziej. W innym czasie i w innym świecie. Raposo unosi szablę i mu ją pokazuje. Sam widzisz, mówi ten ruch. Mam takie narzędzie do krojenia wszystkiego, przeciwko twojej delikatnej laseczce. Mało brakowało i przedziurawiłbyś mi biodro. Szalony samobójco i kretynie!

Kolejny odgłos pośród paproci. Kroki kogoś nowego na zboczu. Raposo lekko się odwraca i nie bez zdziwienia dostrzega zbliżającego się drugiego z akademików. Don Hermógenes jest wykończony z wysiłku. W mokrym ubraniu, spocony, bez tchu, patrzy to na jednego, to na drugiego przerażonym wzrokiem. Zaniepokojony tym, że nowo przybyły ściska w ręce pistolet, Raposo już zamierza rzucić się na niego, zanim tamten zdąży wycelować i zrobić z broni użytek; naraz uspokaja się, widząc odwiedziony spust, co prawdopodobnie oznacza, że z pistoletu już wystrzelono. Może to ten strzał, który go nie dosięgnął.

– Rzuć broń – rozkazuje. – Na ziemię, już. Albo zabiję obu.

Bibliotekarz chwilę się waha, patrzy na pistolet, jakby nie wiedział, co zrobić, w końcu słucha i upuszcza broń. Raposo daje mu znak szablą, żeby podszedł do swojego towarzysza, co bibliotekarz robi.

– Sprawy tak wyglądają – mówi Raposo po chwili namysłu. – Panowie nic tu nie mają do roboty... Czyli w tył zwrot i odejdźcie tam, skąd przyszlście, i wszyscy rozstaniemy się w pokoju.

– Nie zabije pan nas? – pyta skołowany bibliotekarz.

– Nie, jeśli to nie będzie potrzebne.

– Ale strażnicy...

– Nie mieli szczęścia. Ale taki jest ich fach. Ja mam konia i dobrze znam te okolice. A teraz mi się spieszy.

Akademik wskazuje na pakunki z książkami leżące przy koniu i mule kilka kroków od skarpy nad rzeką.

– Co zamierza pan z nimi zrobić?

– Utopić je.

– Jak to?

– Wrzucić do wody, kiedy tylko przestaniecie mi przeszkadzać.

Akademik szeroko otwiera oczy z przerażenia.

– Do wody? Dlaczego?

– To moja sprawa... Może mam na to ochotę, na przykład.

– To pan nas okradł w Paryżu?

Raposo złośliwie śmieje się przez zęby.

– Może i tak.

Zapada cisza. Długa. Bibliotekarz patrzy z niedowierzaniem na swojego towarzysza, który nadal się nie odzywa, trzymając w ręce laskę. Potem znów zwraca się do Raposa:

– Nic nie rozumiem – stwierdza.

– I nie ma potrzeby.

– Ale zabił pan dwóch strażników... Wszystko po to, aby ukraść te książki?

– Mniej więcej.

– Żeby je zniszczyć?

Dość tego, myśli Raposo. Traci zbyt wiele czasu, musi jeszcze pozbyć się książek, a w każdej chwili może się pojawić patrol poszukujący swoich kolegów. Trzeba to kończyć. Po dobroci albo i nie. I raczej nie.

– Zabiję też was dwóch, jeśli zaraz nie znikniecie.

– A dlaczego mielibyśmy odejść? – pyta admirał, przerywając swoje bardzo długie milczenie.

Raposo patrzy na niego. Don Pedro stoi, tak jak stał, nieruchomo, w prawej ręce trzyma laskę, której czubek dotyka porośniętej trawą ziemi. Patrzy na Raposa, jakby wokół nie było nikogo więcej. Nawet nie spojrzął na paczki z książkami, kiedy przed chwilą o nich mówili.

– Dlatego... – zaczyna Raposo.

– Zabije nas pan, jeśli nie odejdziemy? – przerwał mu lodowato admirał, bez mrugnięcia okiem. Jakby tylko wspominał prawdopodobny fakt. Raposo przygląda mu się z ciekawością, a potem wykrzywia usta w pełnym okrucieństwa grymasie.

– Panowie nie mogą... – mówi.

– Czego?

– Niczemu przeszkodzić.

Raposo widzi, jak admirał pochyla lekko głowę i przygląda się ostrzu przy lasce, jakby się zastanawiał nad słowami, jakie właśnie usłyszał. Jak gdyby obliczał wytrzymałość albo kruchość ludzkich istot i stali. W końcu znów podnosi wzrok i napotyka spojrzenie przeciwnika. Wzdycha delikatnie z rezygnacją, ledwo słyszalnie, co zbija z tropu Raposa, który nagle rozumie, że człowiek stojący przed nim nie odejdzie stamtąd, dopóki będzie się trzymał na nogach. Jak długo będzie miał odrobinę siły, żeby trzymać swoją żalostną laskę.

– Czy te książki są tak cenne, żeby za nie umierać? – pyta.

Akademik zastanawia się chwilę albo tak się tylko wydaje.

– Nie za nie, ale za to, co zawierają – odpowiada w końcu.

– A co to takiego?

– Rozum. To, co sprawi, że pewnego dnia nie będzie takich ludzi jak pan.

Raposo krzywi usta, zaciekawiony mimo woli.

– Niech mi to pan wyjaśni, byle szybko.

Mężczyzna wydaje się nad tym zastanawiać tylko chwilę.

– Wątpię, żeby pan to zrozumiał.

I ku przerażeniu swojego towarzysza podnosi laskę i robi krok do przodu z zimnym spojrzeniem stale utkwionym w Raposie, który z kolei jest zaskoczony, ciągle nie podjąwszy decyzji, czy ma uderzyć, czy się wycofać, stawia więc krok do tyłu, unosząc groźnie szablę i robiąc nią półkolisty ruch w powietrzu, jakby wyznaczał nieprzekraczalną granicę, miejsce, gdzie słowa zostają zastąpione w sposób nieodwołalny stalowym ostrzem. Gdzie groźby zmieniają się w ciszę i śmierć.

– Dość – uprzedza. – Zostaniecie na miejscu albo...

Ale teraz i drugi akademik, bibliotekarz, blady jak trup, z drżącą, niedogoloną brodą, patrzy z obawą na admirała, przełyka ślinę, zaciera ręce i niemal równocześnie robi krok w przód, stając obok niego, żeby własnym ciałem zagrozić drogę szabli, która ciągle porusza się półkolistą przed nim.

– Jesteście szaleni – mówi Raposo, gotowy zadawać rany, ale nie mogąc zdecydować, komu pierwszemu.

I wtedy ze zdziwieniem widzi coś, czego się spodziewa najmniej na świecie: uśmiech admirała. Uśmiecha się on nagle, marszcząc

niespodziewanie usta i mrużąc powieki, a tysiąc zmarszczek powstaje wokół jego wilgotnych, niebieskich oczu, które naraz zyskują mnóstwo ciepła, jak przy gwałtownej odwilży. Twarz nabiera wigoru. I, paradoksalnie, ta nieoczekiwana mina dokonuje w jednej chwili cudu i odmładza oblicze człowieka, którego Raposo ma przed sobą, pozbawiając go lat, zadrapań od gałęzi, śladów szkód i zniszczeń całego życia. Jednocześnie w Wilczym Wąwozie na szum wody płynącej w rzece i szmer wiatru poruszającego teraz liśćmi na drzewach nakłada się echo nieskończenie licznych dawnych dni, dźwięki starych, zapomnianych bitew, krzyki tych wszystkich, którzy wyli ze strachu i wściekłości, kiedy ukazywali wspaniałości i potworności kryjące się w sercu człowieka. A w tym odwiecznym hałasie i w naraz stających przed oczami obrazach dawny żołnierz kawalerii rozpoznaje ten sam smutny, zmęczony uśmiech owego wiarusa, porucznika o siwych wąsach, który w innym życiu, teraz wydającym się życiem kogoś innego, galopował na nieprzyjaciela na przełęczy La Guardia, aż zniknął pośród dymu wystrzałów, a za nim jechał tylko jeden trębacz, podczas kiedy reszta szwadronu stała w miejscu. I naraz, czując dreszcz na wspomnienie sytuacji, która w tak niezwykły sposób stanęła mu przed oczami, Pascual Raposo patrzy w osłupieniu na dwóch mężczyzn przed nim, a potem omiata spojrzeniem wszystko wokół: las i ostatnie pasma mgły wiszące jeszcze pośród gałęzi drzew, pierwsze promienie słońca przedzierające się poprzez mgłę, wzburzoną wodę płynącą w dole, ciągnącą za sobą muł i gałęzie, a na koniec rozerwane paczki z książkami, które być może kiedyś, jak właśnie usłyszał, zetrą z powierzchni ziemi ludzi takich jak on.

– Jesteście szaleni – powtarza z zadziwieniem.

Następnie opuszcza szablę i niemal radośnie śmieje się w głos, a przestraszone ptaki, które dziobały ziemię między paprociami, zrywają się

do lotu.

1. J. Le Rond d'Alembert, *Wstęp do Encyklopedii*, tłum. J. Hartwig, Warszawa: PIW, 1954.

EPILOG

A teraz jeszcze raz wyobraźmy sobie inną scenerię. Jest czwartkowe popołudnie i do gmachu Skarbca, siedziby Hiszpańskiej Akademii Królewskiej, uczeni wchodzą na cotygodniową sesję. Widać wypomadowane peruki, siwe i szpakowate włosy, żakiety w dyskretnych kolorach, kilka sutann. Dzisiaj są obecni niemal wszyscy członkowie tej instytucji – dwadzieścia jeden okryć, płaszczy, peleryn i kapeluszy wisi na haczykach przy wejściu. Krążą też tabakierki z tytoniem, dymi kilka cygar. Tworzą niewielkie grupy w holu i wszyscy rozmawiają, uprzejmie pozdrawiając się nawzajem, gotowi, by wejść do sali plenarnej. Tym razem – a rzecz to niezwykła – wielkie dębowe drzwi łączące tę salę z holem są zamknięte i kiedy akademicy się zbierają, zaskoczeni pytają się nawzajem, skąd ta odmiana.

Do szóstej brakuje minuty, kiedy wchodzi – a dokładniej można by powiedzieć: robi wejście z niezwykłym talentem scenicznym – dyrektor, don Francisco de Paula Vega de Sella, markiz Oxinaga. Ma na sobie dopasowany haftowany kaftan z przypiętym Orderem Karola III, jest w towarzystwie admirała don Pedra Zárate i bibliotekarza don Hermogenesa Moliny. Niespodziewane pojawienie się obu akademików po ich długiej nieobecności budzi pogwar pozdrowień i powitań. Wszyscy podchodzą, żeby ich uściskać i zapytać o zakończoną podróż, a pośród witających nie brak też Manuela Higuierueli i Justa Sancheza Terrona, którzy z powściągliwymi minami i wymuszoną uprzejmością dołączają do ogólnego zainteresowania, starając się przezornie, by nie patrzeć jeden na drugiego. Eskortowanym przez uśmiechającego się dyrektora nowo

przybyłym serdeczny hołd składają ich towarzysze, którzy podziwiają szczupłą sylwetkę bibliotekarza i cerę admirała ogorzałą w drodze i na powietrzu, wypytują o przebieg podróży, Paryż, poznane tam osoby, szczegóły nadzwyczajnych wydarzeń, jakie ze sporą dokładnością – pomijając szczegóły, co do których don Hermógenes i don Pedro postanowili zachować dyskrecję – bibliotekarz na bieżąco relacjonował Akademii w kolejnych listach. I wszyscy oczywiście pytają o *Encyklopedię*.

– Uwaga, panowie! – wzywa dyrektor.

Następuje pełna wyczekiwania cisza. W uprzejmych słowach, kiedy reszta akademików tworzy krąg wokół nich, Vega de Sella wita podróżników i przypomina decyzję Akademii, zgodnie z którą wysłano ich do Paryża po fundamentalne dzieło stworzone przez francuskich filozofów, a jego nabycie – podkreśla – było konieczne do uwspółcześnienia nowego wydania słownika.

– I w końcu obaj panowie wrócili – dodaje. – Nie była to łatwa podróż i Akademia jest im winna za ten wyczyn dozągoną wdzięczność, szacunek i przywiązanie. Przeżyli liczne strapienia długiej, niewygodnej i pełnej wypadków wyprawy, ale jest faktem, jak mi mówią, że pobyt w Paryżu i zawarte tam znajomości z wybitnymi postaciami świata filozofii i nauki rekompensują im w dużej części owe nieprzyjemności...

Przerywają mu brawa niektórych akademików, przez co don Hermógenes czerwieni się, a admirał spuszcza wzrok. Vega de Sella uśmiecha się zadowolony, spogląda to na jednego, to na drugiego i ciągnie przemowę, zaznaczając, że jego zdaniem podróż, która szczęśliwie dobiegła końca, można uznać za coś znacznie więcej niż tylko zwykły sukces Akademii.

– To był gest patriotyczny – ogłasza otwarcie – dokonany przez osoby godne, szlachetnych Hiszpanów kochających oświecenie i szczęście

ludzkości. – W tym momencie przebiega spojrzeniem po zebranych i jakby przypadkiem zatrzymuje wzrok na Higuierueli i Sanchezie Terronie. – Dlatego jestem pewien, że wszyscy panowie bez wyjątku właściwie doceniają ich wyczyn... Szanowny panie bibliotekarzu, kochany admirale: oto wasza Akademia, wasz dom, dom szlachetnego języka kastylijskiego, poprzez moje skromne usta wyraża dług wdzięczności, jaki u was zaciągnęła... Witajcie i dziękujemy bardzo.

Znów rozlegają się brawa, pojawiają uśmiechy i rozbrzmiewają gratulacje. Uczestnicząc we wszystkim, jakby on sam podróżował do Paryża, dyrektor ściska dłonie i przyjmuje gratulacje. To dzień wielkiej radości, powtarza. Dzień chwały.

– A gdzie są książki? – ktoś pyta.

Kolejna teatralna pauza dyrektora. I tym chwilom ciszy, kiedy nie słyhać nawet bzyczenia much, towarzyszy triumfalne spojrzenie i odświętny gest, którym zaprasza wszystkich do otwarcia zamkniętych drzwi i wejścia do sali plenarnej.

– *Encyklopedia* jest do waszej dyspozycji, panowie akademicy.

I rzeczywiście jest tam, nietknięta i kompletna, u kresu swojej długiej podróży. Złożono ją pod portretami założyciela Akademii markiza Villeny i jej pierwszego protektora Filipa V, pomiędzy kotarami ze starego aksamitu, w otoczeniu mebli ze zmatowiałym lakierem, półek z książkami i teczkami dokumentów pokrytych pyłem prac budowlanych prowadzonych w pobliskim Pałacu Królewskim. Jest to dwadzieścia osiem grubych tomów pięknie oprawionych w skórę, ze złotymi napisami na grzbietach, starannie ułożonych na starym giemzowym obiciu stołu poplamionym kroplami atramentu, woskiem ze świec i olejem z kaganków, w samym środku skromnego pomieszczenia, które jest probierzem czystości i wspaniałości języka hiszpańskiego. I tam, oświetlona wszystkimi możliwymi źródłami

światła, jakie udało się zgromadzić na tę okazję, świecznikami, kandelabrami i lampą podarowaną przez króla Karola III, pierwsza edycja *Encyklopedii* prezentuje się wspaniale – jak pomnik rozumu i postępu, których sumę zebrano na jej stronach. Jeden z tomów – pierwszy – leży otwarty na wprowadzeniu, na stronie, gdzie akademicy znający język francuski, czyli niemal wszyscy, mogą przeczytać następujące wersy:

Mężowie, których udziałem jest natchnienie, niosą światło ludowi, fanatycy sprowadzają go na manowce. Wędzidła, jakie trzeba nieraz zakładać zapędom tych ostatnich, nie powinny zagrażać wolności, bez której nie może się obejść prawdziwa filozofia¹...

I tak wszyscy, nawet niewielka grupa, która w swoim czasie była przeciwna włączeniu tego dzieła do księgozbioru szanownej instytucji, starzy akademicy przechodzą powoli przed książkami w zupełnej ciszy w pełnej podziwu procesji. Są tam don Clemente Palafox, sekretarz Akademii i tłumacz Arystotelesa; duchowny don Joseph Ontiveros, komentator Horacego; don Melchor Loygorri, autor *Raportu na temat nowych technik górniczych i rolnych*; don Felipe Hermosilla, twórca *Zbioru dawnych autorów hiszpańskich*... Niektórzy spośród nich zatrzymują się ze wzruszeniem. Inni zakładają okulary i zaciekawieni, a nawet przejęci, wyciągają ręce, żeby dotknąć otwartych stron, nad którymi pochylają swe siwe głowy i twarze porane przez czas i koleje losu. Chcą podziwiać wyraźny druk, urodę oprawy, wspaniałą biel zadrukowanych stronic o szerokich marginesach na kartach znakomitego czerpanego papieru, który się nie starzeje ani nie żółknie, ani nie kruszy, jest odporny na czas i zapomnienie. Czyni ludzi mądrzejszymi, sprawiedliwszymi i bardziej wolnymi.

– Przegraliśmy – stwierdza Manuel Higuera.

– Pan przegrał – odpowiada Sánchez Terrón. – To zawsze była pańska sprawa.

Wyszli z Akademii i idą obok siebie w żółtawym świetle latarni. Łączy ich instynkt, nie potrzebują wykonywać zbędnych gestów.

– Jest pan świetny – drwi Higuera z rozbawieniem. – Jak te koty, co zawsze spadają na cztery łapy... Ile żywotów pan ma? – Patrzy na towarzysza z ciekawością. – Siedem? Czternaście?

Wychodzą powolnym krokiem na plac San Gil. Dziennikarz jest w pelerynie i kapeluszu, jego towarzysz z gołą głową i w angielskim płaszczu zapiętym pod szyję. W oddali widać pośród mroku ogromną jasną bryłę Pałacu Królewskiego.

– To wszystko było bez sensu od samego początku – odzywa się Sánchez Terrón z goryczą w głosie.

– Ma pan na myśli przywiezienie *Encyklopedii* czy nasz sojusz?

Pytany krytycznie spogląda na niego z ukosa.

– Sojusz? Przesadza pan. To nigdy nie był formalny układ.

– Ale kosztowało nas to dużo pieniędzy. I pana, i mnie... I chciałbym przypomnieć, że jest mi pan jeszcze winien kilka reali.

– Ja? A za co?

– Za ostatni przekaz dla Raposa.

Sánchez Terrón jest oburzony.

– Nie zamierzam płacić ani reala więcej. Co za bezczelność!

Ulice zwężają się, kiedy dochodzą do kościoła pod wezwaniem świętego Jakuba. W jego podcieniach nocny strażnik, wyposażony w pikę i latarnię, podnosi rękę do czapki w geście pozdrowienia, kiedy przechodzą obok.

– Czy wie pan coś o tym człowieku? – pyta Sánchez Terrón.
– O Raposie? Tak, jest tutaj. Z powrotem w swoim środowisku.
– Rozumiem, że nie był na tyle bezczelny, by do pana przychodzić.
– A i owszem. Nie należy do tych, którzy by się ukrywali. Przyszedł opowiedzieć mi, jak się to wszystko potoczyło, o problemie ze strażnikami przy francuskiej granicy i tak dalej. Zapewnił, że zrobił, co mógł.

– I pan mu uwierzył?

– Pół na pół.

– Mam nadzieję, że oddał panu pieniądze.

– Ani pesety.

– Rzadki łotr – oburza się Sánchez Terrón. – Mam nadzieję, że przedsięwziął pan właściwe środki.

– Jakie środki ma pan na myśli?

– Nie wiem. Jakiś rodzaj represji... Może denuncjacja.

Słyszając to, Higuera energicznie drapie się za uchem pod peruką. Potem patrzy z politowaniem na swojego rozmówcę, jakby ten postradał rozum.

– Niechże mnie pan nie rozśmiesza... Niewiele mamy do zadenuncjowania. – Dziennikarz robi w milczeniu kilka kroków, po czym przybiera zrezygnowaną minę. – Poza tym nigdy nic nie wiadomo.

– O co panu chodzi?

– Tym razem nie wyszło, ale życie płata różne figle. Zawsze dobrze jest mieć do dyspozycji takich ludzi jak Raposo. Tym bardziej w Hiszpanii naszych czasów.

Sánchez Terrón przyspiesza kroku, jakby chciał się zdystansować od tego wszystkiego.

– Nie interesują mnie w najmniejszym stopniu ani pańskie plany, ani ludzie tacy jak ten typ. Nie chcę więcej o was słyszeć.

Higueruela dogania go, zrównuje z nim krok i śmieje się bezczelnie.

– O mnie pan jednak usłyszysz... Kiedy w czwartki będzie pan przychodził do Akademii.

– Proszę, żeby w przyszłości oszczędził mi pan tego typu rozmów.

Higueruela mierzy go wzrokiem od stóp do głów.

– Może pan być spokojny – odpowiada mu z pogardliwym uśmiechem. – Choć bliższe pana poznanie było niezwykle doświadczeniem, zapewniam pana.

– Nie mogę się panu odwdzięczyć podobną opinią. Zapewniam, że tak nie było.

Znajdują się na placu de la Villa, pośród starych budynków pogrążonych w mroku. Obok powoli przejeżdża dorożka, słysząc stukot podków na bruku, przy woźnicy świeci zapalona lampa.

– Wie pan, don Justo, jaka jest różnica między panem a mną? – Higueruela śledzi jasny punkt na wozie jadącym w stronę placu Puerta del Sol. – Ja przyznaję, że do zrobienia jajecznicy trzeba rozbić jajka, i otwarcie to mówię. I robię. A pan należy do tych, którzy, choć chcą ją zjeść, nie mają odwagi dotknąć skorupki, obawiając się, co ludzie powiedzą, a nawet stara się pan zachować przyjaźń z kurą już gotowaną w potrawce.

– To idiotyzm.

– Tak? Czas pokaże.

Przechodząc przy murze obok Puerta de Guadalupe, w świetle odległej latarni widzą różne plakaty zapowiadające komedie. Jeden z nich głosi, że w teatrze Caños del Peral wznawiają komedię *Manolo* Ramona de la Cruz,

pokazywaną razem z inną sztuką, co wywołuje złośliwy uśmiech dziennikarza.

– Swoją drogą, skoro mówimy o idiotyzmach... W przyszłym tygodniu opublikuję w „Cenzorze Literackim” recenzję tego pańskiego dramatu, nowatorskiego i nowoczesnego, jaki miał cztery dni temu premierę w teatrze del Príncipe... Wiem, że przez skromność tam pan nie przyszedł, żeby nie musieć się rumienić podczas braw. Że nie lubi pan zbierać laurów. Ale ja tam, owszem, byłem. Nie opuszczam żadnej premiery.

Następuje cisza, słychać tylko odgłos ich kroków. Higuera od czasu do czasu spogląda przebiegle na swojego towarzysza, który idzie w milczeniu ze spojrzeniem utkwionym w mroku.

– Nie pyta pan o moją opinię? Jak to wyglądało?

– Pańska opinia nic mnie nie obchodzi – odpowiada szorstko Sánchez Terrón.

– To prawda! – Higuera uderza się dłonią w czoło. – Zapomniałem, że pan nie czyta mojej gazety ani krytyk, ani *Encyklopedii*, nie potrzebuje pan niczego czytać.

Sánchez Terrón zdaje się zbierać do odpowiedzi, ale w końcu zachowuje milczenie. To tylko podsyca złośliwość jego rozmówcy.

– Pozwoli pan, że nieco zdradzę – zaczyna, ciesząc się własnymi słowami. – *Uczciwy wiarołomca albo naturalne świadectwo filozofii* – wymyślenie tego tytułu musiało pana przyprawić o łysinę, a sztuka wydała mi się niestrawna... Pierwsza scena, kiedy Raimundo wyjaśnia najlepszemu przyjacielowi, że zakochał się w mamce swojego ośmiomiesięcznego synka, wprowadziła publiczność w osłupienie. W drugiej, kiedy zwierza się żonie z niewypowiedzianej namiętności i mówi: „Och, to moja zguba! Ileż miłości zmarnowałaś na mnie, ukochana!”, ludzie zaczęli pękać ze śmiechu. A powszechne tupanie nastąpiło, gdy zaczęła się scena na

cmentarzu... Wie pan, jak zatytułuję swoją recenzję, don Justo? *Odnowiciel sceny teatralnej bierze nas za idiotów.*

Wreszcie Sánchez Terrón zatrzymuje się w świetle latarni. Ze złości łamie mu się głos. Nie może składnie mówić.

– Pan... To niesłychane! Pan...

Higueruela uśmiecha się bezlitośnie i unosi ręce, żeby pokazać mu osiem wyprostowanych palców.

– W przyszły piątek, don Justo... Za osiem dni wychodzi „Cenzor...”. Ma pan przed sobą osiem nocy, żeby przewracać się w pościeli i bezsennie przeżuwać swoją rozpacz... Wyobrazić sobie drwiny całego pańskiego światka, tych filozofów jednej książki, z którymi przez próżność się pan zadaje, kiedy moje piśmidło, jak nie raz był pan uprzejmy nazwać mój periodyk, zacznie krążyć po kawiarniach i przyjęciach... Swoją drogą, w tym samym numerze piszę dobrze o *Uczciwym przestępcy* Gaspara Melchora de Jovellanos, autora, którym pan gardzi, być może dlatego, że ma prawdziwy talent, no i skopiował pan pół jego sztuki... Ten Jovellanos, którego za sprawą odpowiednich zabiegów uczyniłem na kilka dni moim prawdziwym bohaterem.

Sánchez Terrón ma twarz wykrzywioną wściekłością. Oczy niemal wychodzą mu z orbit, a jego mina zapowiada morderstwo.

– Ja tego tak nie zostawię – mamrocze, niemal plując słowami. – Pan, ze swoim ciemnogrodem... Z tą obrzydliwą niegodziwością, rodem z konfesjonu i zakrystii... Tym swoim reakcyjnym jadem... Tak... Daję panu słowo, że jeszcze pan o mnie usłyszy.

– Nie wątpię. – Higueruela kiwa głową z cynicznym spokojem. – Pan, don Justo, i ja jesteśmy skazani na wzajemne kontakty przynajmniej przez kilka stuleci... I nie tylko za pośrednictwem druku i papieru.

I tak, jeden wściekły, drugi nikczemny, mężczyźni odwracają się do siebie plecami, oddalając się od światła latarni, które jeszcze przez chwilę wydłuża na ziemi cienie ich sylwetek, wrogich i jakoś podobnych.

Don Pedro z kapeluszem i laseczką pod pachą otwiera drzwi do swojego domu. Wchodzi i rozpina płaszcz. Jest zmęczony trudami podróży – razem z don Hermogenesem wrócili do Madrytu poprzedniej nocy – i emocjami całego dnia. Wieszając klucz na wieszaku na ścianie, widzi w lustrze nad stojakiem na laski w korytarzu swoje odbicie, które staje się wyraźniejsze dzięki jasności dwóch lampek olejowych palących się na konsoli pod obrazem Najświętszego Serca. Przez chwilę admirał przygląda się uważnie mężczyźnie, który patrzy na niego z lustra, jakby trudno mu było się rozpoznać: jest chudszy, twarz ma ogorzałą od wiatru, słabe światło lampek podkreśla oznaki wieku, cienką szramę na lewej skroni, wodnisty błękit zmęczonych oczu.

Amparo i Peligros, jego siostry, nadbiegają, słysząc kroki brata. Są w domowych sukniach, pantoflach i nakrochmalonych lnianych czepkach. Wysokie, szczupłe, o takich samych jak u admirała jasnych oczach; lustro odbija trzy twarze o bardzo podobnych rysach, podkreślając ich pokrewieństwo i tworząc jakby portret rodzinny.

– Jak poszło w akademii, Pedrito?

Admirał się uśmiecha. Zdrobnienie wskazuje, że siostry jeszcze nie otrząsnęły się ze wzruszenia spowodowanego jego powrotem. Wczoraj przywitały go rozemocjonowane, pokrzykując niczym małe dziewczynki, obsypując go buziakami i ściskając, co stało w jasnej sprzeczności z ich pełnym rezerwy charakterem. Z otwartymi ustami oglądały z przyjemnością i radością podarunki, jakie przywiózł im z podróży – dwa identyczne szale z lyońskiego jedwabiu, dwa łokcie koronki, dwa czarne różańce, dwie

kamee z wizerunkami francuskich królów i teczkę litografii z widokami Paryża. Następnie przygotowały mu kolację z tego, co było w domu – jajka i krokiety z *cocido* – i do bardzo późna siedziały z nim, grzejąc stopy przy przenośnym piecyku i wypytyując go o wszystko. Potem odprowadziły go do sypialni i każda z nich – rzecz niesamowita – ucałowała go w czoło, a on rzucił się na łóżko i zasnął, nawet nie rozpakowując bagaży.

– Wszystko świetnie. Dyrektor i koledzy są bardzo zadowoleni.

– Mogą się cieszyć, bo cóż to była za podróż! Naprawdę dla was obu ogromny trud. Jestem pewna, że nigdy nie zdołają dość się wam podziękować.

Don Pedro uśmiecha się z roztargnieniem. Peligros pomaga mu zdjąć żakiet, podczas kiedy Amparo wskazuje drzwi do jadalni.

– Przygotujemy ci coś na kolację. Dzisiaj mamy już wszystko.

Admirał odmawia ruchem głowy. W południe zjadł bardzo obfity obiad, bo dyrektor Vega de Sella nalegał, żeby wraz z don Hermogenesem poszli do Złotej Fontanny razem świętować powrót podróżnych i mieć okazję do przygotowania wieczornej sesji w Akademii, podczas której zaprezentował *Encyklopedię* ich kolegom. Teraz admirał ma tylko ochotę włożyć domowy strój, tureckie pantofle i spokojnie usiąść w swoim gabinecie, być może z jedną z książek, jakie przywiózł sobie z Paryża. Może na przykład dokończyć lekturę *La morale universelle* Holbacha – zostało mu jeszcze tylko kilka stron książki, która dzięki oficjalnym zezwoleniom, w jakie wraz z bibliotekarzem się zaopatrzyli, bez problemów przeszła dwanaście dni temu odprawę celną w Irúnie, ukryta pośród paczek z tomami *Encyklopedii*.

– Rozpakowałyśmy twoją walizkę – mówi Peligros, odwieszając żakiet. – Wszystko masz w sypialni na łóżku.

Admirał zauważa, jak mu się wydaje, ukradkowe porozumiewawcze spojrzenie sióstr; rozpinając kamizelkę, idzie przez ciemny korytarz, w którego mroku zdają się płynąć statki na oprawionych obrazkach na ścianie. W sypialni, oświetlonej trójramiennym kandelabrem z jedną zapaloną świecą, pod wysokim sufitem z drewnianymi belkami znajdują się szafa z orzechowego drewna, komoda z marmurowym blatem i lustrem z tyłu, wiklinowa mata, stara waliza leżąca na podłodze i taboret.

– Nie chciałyśmy niczego dotykać, bo przecież to są twoje rzeczy – mówi Amparo.

Przedmioty, jakie siostry wyjęły z jego walizki, leżą na łóżku. Kobiety zabrały brudne rzeczy, a ubrania schowały do komody i szafy. Tu, na adamaszkowej kołdrze, leży skórzane etui z szylkretowym grzebieniem, nożyczkami i przyborami toaletowymi, niezbędnik z igłami, guzikami i nićmi, skrzynka z brzytwami, francuskie książki, kilka przewodników podróży, poskładane mapy drogowe używane podczas jazdy, scyzoryk o wielu funkcjach, szczotka do ubrania... A także celowo na samej górze, w widocznym miejscu, znajduje się ramka z czarną sylwetką madame Dancenis, którą admirał dostał w przeddzień wyjazdu z Paryża, po tym jak wysłał jej krótki, oficjalny list pożegnalny. Portret zawinięty był w papier jedwabny obwiązany wstążeczką i został przysłany niejako w odpowiedzi na pożegnalną notkę admirała, razem z książeczką *Thérèse philosophe*, z przypiętym z tyłu odręcznym liścikiem:

Są ludzie, którzy pojawiają się w naszym życiu, nie zostawiając żadnych śladów, i inni, tacy, którzy pozostają na zawsze i nigdy nie popadają w zapomnienie. Mam nadzieję, że pozostanę w Pańskiej pamięci.

Biorąc do ręki obrazek, don Pedro przygląda mu się dłuższą chwilę z melancholią, po czym odwraca go i czyta znów napis, podczas gdy

odżywają w nim odnalezione i utracone emocje oraz nieuniknione rezygnacje. Okrutne oczywistości wynikające z czasu i odległości. Książeczkę zostawił w hotelu w Paryżu, celowo jej „zapominając”, ale portret zabrał ze sobą. Sylwetka delikatnie narysowana kreskami czarnego atramentu ukazuje przepiękny wysmukły profil kobiety z wysoką fryzurą, trzymającej w ręce zamkniętą parasolkę. Cienkie linie konturów oddają sprawiedliwość Margot Dancenis, tak jak admirał ją sobie przypomina.

– Wygląda bardzo elegancko – zauważa Amparo od progu.

Don Pedro odwraca się i widzi obserwujące go uważnie siostry, które przed chwilą szeptały między sobą. Teraz okazują uprzejme zainteresowanie i lekkie oburzenie, jakby przez cały czas, od kiedy rozpakowały mu walizkę i znalazły obrazek z notatką z tyłu, czekały na jego wyjaśnienia. Na moment, kiedy ich brat znów zobaczy wizerunek nieznanej im kobiety położony na wierzchu, na wszystkich innych przedmiotach na kołdrze.

– Paryż to musi być cudowne miasto – wzdycha Peligros.

– Fascynujące miejsce – dodaje Amparo.

– Tak – odpowiada im po chwili milczenia. – Jest właśnie taki.

Wtedy siostry patrzą po sobie, uśmiechając się tak jak wtedy, gdy wszyscy w trójkę byli dziećmi i za plecami dorosłych dzielili sekrety. I obie chwytają się za ręce z czułością, gdy tymczasem admirał po chwili stania bez ruchu z obrazkiem w ręku podchodzi powoli do komody i stawia na niej szkic, opierając go o lustro.

Madryt – Paryż, styczeń 2015 roku

1. J. Le Rond d'Alembert, *Wstęp do Encyklopedii*, tłum. J. Hartwig, Warszawa: PIW, 1954.

Spis treści

Karta tytułowa

1. Mężczyzna wysoki i mężczyzna gruby.

2. Mężczyzna niebezpieczny.

3. Rozmowy w zajazdach i po drodze

4. O statkach, książkach i kobietach

5. Miasto filozofów

6. Urazy kleryka Bringasa

7. Wieczór przy rue Saint-Honoré

8. Panowie z café Procope

9. Sprawa honorowa

10. Śniadania u madame Dancenis

11. Mieszkaniec pałacu Montmartel

12. Wilczy Wąwóz

Epilog

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
Hombres buenos

© 2015, Arturo Pérez-Reverte

Projekt okładki
Michał Pawłowski
www.kreskaikropka.pl

Grafiki wykorzystane na okładce

Der núsritt in der Fleinen Gallopade mit dem Dard Le comencement au petit galope avec le dard, autor: Johann Elias Ridinger, źródło: polona.pl
Nach dem Kopf mit der Pistole im Carier beÿ der Barriere En tirant contre la tête en cariere à la barriere, autor: Johann Elias Ridinger, źródło:

polona.pl

Bootes, die Jagdhunde, Haupthaar der Berenice, autor: John Flamsteed,
źródło: polona.pl

Quadrumanes, autor: Jean-Charles Chenu, źródło: polona.pl

oraz grafiki ze strony: wikipedia.org

Projekt okładki zawiera opracowanie ilustracji autorstwa Wellcome Library,
udostępnianych na licencji CC BY

<https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/>

Opieka redakcyjna
Dorota Gruszka

Adiustacja
Monika Skowron

Korekta
Aurelia Hołubowska
Beata Trebel-Bednarz

Copyright © for the translation by Joanna Karasek
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2017

ISBN 978-83-240-4994-3

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com